

GOODREADS CHOICE AWARDS

Bestseller „New York Timesa”



V E N G E F U L
M Ś C I W I

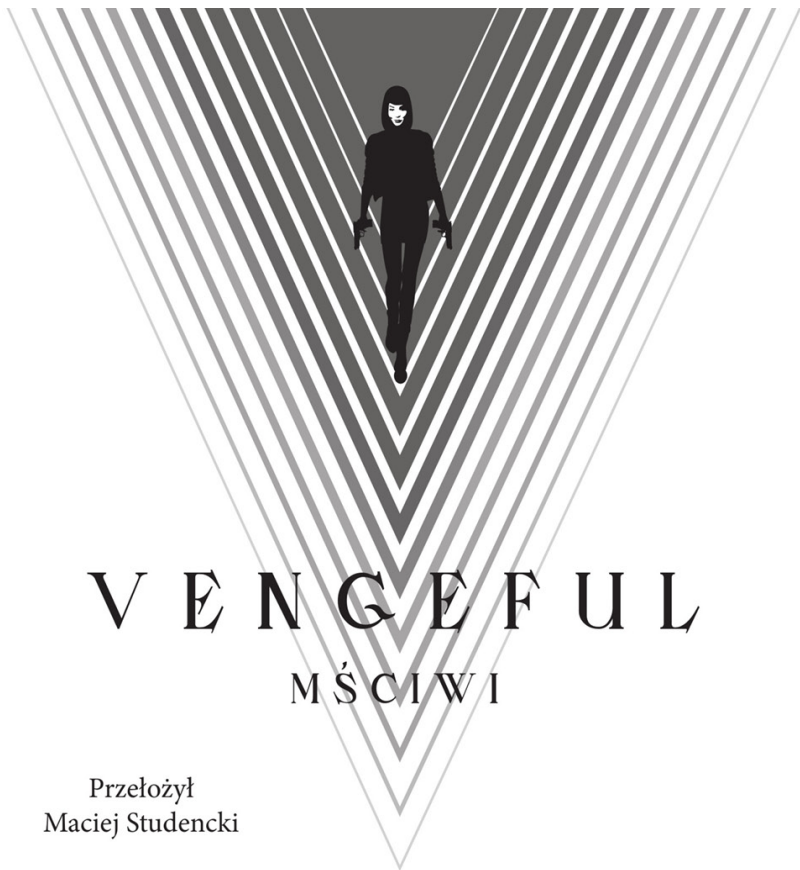
V.E.
SCHWAB





V E N G E F U L
M Ś C I W I

V.E.
SCHWAB



V E N G E F U L
M Ś C I W I

Przełożył
Maciej Studencki

V.E.
SCHWAB



Tytuł oryginału: *Vengeful*

Copyright © 2018 by Victoria Schwab

All rights reserved.

Copyright © for the Polish translation by Maciej Studencki, 2020

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Redaktor prowadząca: Milena Buszkiewicz

Redakcja: Natalia Szczepkowska

Korekta: Joanna Pawłowska

Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki: Will Staehle

Adaptacja okładki i stron tytułowych: Daria Górecka

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

ISBN 978-83-66431-69-0

Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

WE NEED YA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-2519

redakcja@weneedya.pl

Spis treści

Strony tytułowe

Karta redakcyjna

Dedykacja

Cytat

Genesis

Zmartwychwstanie

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

Objawienie

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV
XVI
XVII
XVIII
XIX
XX
XXI
XXII
XXIII
XXIV
XXV
XXVI

Wniebowstąpienie

I
II
III
IV
V
VI
VII
V
VI
VII
VIII
IX
X
XI
XII
XIII
XIV
XV
XVI
XVII
XVIII
XIX
XX
XXI
XXII
XXIII
XXIV
XXV
XXVI

Dzień Sądu

I

II
III
IV
V
VI
VII
VIII
IX
X
XI
XII
XIII
XIV
XV
XVI
XVII
XVIII
XIX
XX
XXI
XXII

Exodus

I
II
III

I jeszcze...

I

PLASZCZYŻNA POROZUMIENIA

Dla Mamy, Holly i Miriam,
najsilniejszych kobiet, jakie znam

*Gdy szukasz zemsty,
wykop dwa groby.
Jeden z nich – dla siebie*

– Douglas Horton

Genesis

SZEŚĆ TYGODNI WCZEŚNIEJ

PRZEDMIĘSCIA MERIT

W wieczór swojej śmierci Marcella przygotowała mężowi jego ulubione danie.

Nie z jakiejś specjalnej okazji, ale właśnie dlatego, że jej nie było. Niektórzy twierdzili, że w miłości spontaniczność to podstawa. Marcella nie była pewna, czy to prawda, ale postanowiła spróbować czegoś nowego i przyrządzić domowy posiłek. Nic specjalnie wyrafinowanego – solidny stek, obsmażany w czarnym pieprzu, pieczone bataty, a do tego butelka merlota.

Tymczasem zegar wybił szóstą. Mijały kolejne kwadransy, a Marcus nie wracał.

Marcella odstawiła kolację do piekarnika, by nie wystygła, a potem stanęła przed lustrem w hallu i sprawdziła makijaż. Rozpuściła długie czarne włosy, poprzednio spięte w kok, i ułożyła je znów tak jak poprzednio, zostawiając parę luźnych kosmyków, po czym wygładziła elegancki strój. Ludzie często nazywali ją „naturalną piękną”, ale w rzeczywistości natura dała jej tylko solidne podstawy. Tak naprawdę Marcella spędzała dwie godziny dziennie na siłowni przez sześć dni w tygodniu, ćwicząc, napinając i rozciągając każdy mięsień swojego smukłego ciała, i nigdy nie opuszczała sypialni bez starannego makijażu. Nie było to łatwe, podobnie jak związek z Marcusem Andoverem Riggensem, lepiej znanym jako Rekin Riggins, prawą ręką Tony’ego Hutcha.

Nie było to łatwe, ale warte zachodu.

Jej matka lubiła powtarzać, że Marcella wybrała się na połów i udało jej się wyciągnąć grubą rybę, prawdziwego żarłacza. Matka nie wiedziała, że Marcella zarzuciła wędkę z myślą o tej właśnie zdobyczy – i złapała dokładnie takiego faceta, jakiego chciała.

Obcasy jej wiśniowych szpilek zastukały po parkiecie, a po chwili ich dźwięk stłumił jedwabny dywan. Skończyła układać zastawę na stole i zapaliła wszystkie dwadzieścia cztery świece w dwóch żelaznych kandelabrach, stojących po obu stronach drzwi.

Marcusowi się nie podobały, ale to akurat Marcelli kompletnie nie obchodziło. Uwielbiała długie trzony i rozgałęziające się ramiona kandelabrow – wyglądały podobnie do świeczników z francuskich zamków. Stanowiły widoczną oznakę luksusu i sprawiały, że nowobogacy mogli poczuć się częścią starej elity.

Zerknęła na zegarek – dochodziła siódma – lecz oparła się pokusie, by zadzwonić do męża. Najlepszym sposobem, by zgasić płomień gniewu, było zduszenie go w zarodku. Poza tym Marcus zawsze traktował interesy priorytetowo.

Marcella nalała wina do swojego kieliszka i stanęła przy kontuarze, wyobrażając sobie, jak silne dłonie męża zaciskają się na czymś gardle, Marcus wypcha komuś głowę pod wodę lub łamię na szczękę. Pewnego razu wrócił do domu z krwią na rękach. Pieprzyli się dokładnie tu, na marmurowej wyspie w kuchni. Pistolet wciąż miał w kaburze. Stalowa kolba objęła jej się o zęba.

Ludzie sądzili, że Marcella kocha męża pomimo jego pracy. Tymczasem kochała go właśnie ze względu na nią.

Z siódmej zrobiła się jednak ósma, a potem wskazówka zbliżyła się do dziewiątej. Podniecenie Marcelli powoli opadło, ustępując irytacji, a gdy frontowe drzwi w końcu się otworzyły, wybuchła prawdziwą wściekłością.

– Przepraszam, kochanie.

Głos zawsze mu się zmieniał, gdy wypił; zaczynał wówczas leniwie przeciągać głoski. Tylko po tym można się było domyślić, że nadużył alkoholu. Nigdy się nie zataczał ani nie

potykał, nie trzęsły mu się ręce. Nie, Marcus Riggins był twardszy niż inni – co nie oznaczało, że jest pozbawiony wad.

– W porządku – odpowiedziała Marcella. W jej głosie zabrzmiał gniew, więc zganiła się w myślach za brak opanowania. Odwróciła się do kuchenki, ale mąż złapał ją za rękę i pociągnął mocno, aż straciła równowagę. Złapał ją w porę i przycisnął do siebie, tak że musiała spojrzeć mu prosto w twarz.

Jasne, trochę przytył, podczas gdy Marcella nieco zeszcupiała. Nadal miał muskularne ciało pływaka, choć z każdym rokiem przybierał w talii, lecz jego ciemnoblonde włosy wciąż były gęste, a oczy granatowe niczym głębia jeziora. Marcus zawsze wyglądał świetnie, ale jego żona nie była pewna, ile z tego zawdzięczał doskonale skrojonym garniturom. Możliwe, że wynikało to ze sposobu, w jaki szedł przez świat, jakby oczekiwał, że wszyscy usuną mu się z drogi. Zwykle tak właśnie się działo.

– Jesteś cudowna – wyszeptał, a Marcella poczuła, jak przyciska ciało do jej biodra, okazując jej pożądanie. Nie była jednak w nastroju.

Przesunęła paznokciami po świeżym zarostu na jego policzkach.

– Jesteś głodny, słońce?

– Zawsze – wymruczał przy jej szyi.

– Świetnie – odparła, cofając się o krok i wygładzając sukienkę. – Kolacja gotowa.



Paciorek czerwonego merlota spłynął niczym kropla potu po szkle uniesionego kieliszka, zmierzając ku śnieżnobiałemu obrusowi. Marcella nalała sobie za dużo wina, a do tego ręce jej się trzęsły z wściekłości. Marcus wydawał się nie zauważać plamy. Ani w ogóle niczego.

– Za moją przepiękną żonę!

Nigdy się nie modlił przed posiłkami, ale zawsze wznosił taki toast. Robił to od dnia, w którym się poznali. Nie miało znaczenia, czy siedzieli przy stole sami, czy też w towarzystwie dwudziestu innych osób. Z początku uważała to za urocze, ale teraz ten gest wydał jej się pusty i wyuczony. Wykonywany, by oczarować widza, ale w rzeczywistości daleki od czarującego. Mimo to Marcus zawsze wypowiadał te słowa. Być może okazywał jej w ten sposób miłość – a może robił to tylko z przyzwyczajenia.

Marcella także uniosła kieliszek.

– Za mojego eleganckiego męża! – odpowiedziała automatycznie.

Już miała upić pierwszy łyk, kiedy zauważyła plamę na mankiecie koszuli Marcusa. W pierwszej chwili pomyślała, że to tylko krew, ale smuga miała zbyt jasną, zbyt różową barwę.

Szminka.

Jej umysł zalały wspomnienia wszystkich rozmów z zameźnymi przyjaciółkami.

„Ogląda się już za młodszymi?”

„Często mu robisz dobrze?”

„Wszyscy faceci to świnię!”

Marcus pracowicie odcinał kawałki steku i rozwlekłe opowiadał o ubezpieczeniach, ale Marcella już go nie słuchała. Widziała oczami wyobraźni, jak jej mąż wodzi kciukiem po uszminkowanych ustach innej kobiety, rozchylając jej wargi.

Zacisnęła palce na nóżce kieliszka. Poczula, że rumieni się z wściekłości, podczas gdy żołądek ścisnęła jej stalowe kleszcze.

– Co za pierdolona sztampa! – wypaliła.

Jej mąż nadal przeżuwał stek.

– Słucham?

– Twój mankiet.

Jego wzrok powoli powędrował w dół, w kierunku różowej plamy. Nie miał nawet tyle przyzwyczajenia, by udawać zaskoczonego.

– Musi być twoja – skomentowała, tak jakby kiedykolwiek używała szminki w podobnym odcieniu! Jakby kiedykolwiek miała w kosmetyczce coś tak tandetnego! Coś, co wybrałaby może nastoletnia zdzira...

– Kim jest ta kobieta?

– No naprawdę, Marce...

– Mów, kto to! – zażądała i z wściekłości zgrzytnęła idealnie białymi zębami.

Marcus w końcu odłożył sztucce i odchylił się w fotelu, mierzając ją wzrokiem.

– Nikt.

– Czyli pieprzysz się z duchem?

Przewróciła oczami, najwyraźniej znudzony tematem, co zakrawało na ironię, jeżeli wzięło się pod uwagę, jak zajmowały go zwykle wszystkie sprawy dotyczące jego osoby.

– Marcella, nie do twarzy ci z zazdrością.

– Dwanaście lat razem, Marcus. Dwanaście. I nagle nie potrafisz utrzymać fiuta w spodniach?

Przez jego twarz przemknął grymas zaskoczenia, a Marcella raptem wszystko zrozumiała. Prawda walnęła ją jak obuchem: oczywiście, że nie zdradził jej po raz pierwszy. Tylko po raz pierwszy dał się przyłapać.

– Od dawna? – zapytała lodowatym tonem.

– Zostaw to, Marce.

Zostaw to. Tak jakby zdrada była tematem jak każdy inny, który można podjąć w trakcie niedbałej konwersacji i z łatwością porzucić.

Nie chodziło tylko o zdradę – Marcella potrafiła wiele wybaczyć, żeby żyć dalej na takim samym poziomie – ale również o wyraz oczu innych kobiet, który zawsze brała za objaw zazdrości, o cyniczne ostrzeżenia byłych żon, o drgający w uśmiechu kącik ust tej czy tamtej... Właśnie zdała sobie sprawę, że wszystkie one wiedziały, i to od Bóg wie jak dawna, a ona nie.

„Zostaw to?”

Marcella odstawiła kieliszek i podniosła nóż do steków. Na ten widok jej mąż miał czelność parsknąć szyderczym chichotem. Zachował się tak, jakby nie wiedziała, jak posłużyć się takim ostrzem; jakby nie słuchała tych jego historii, nie błagała o szczegóły; jakby po pijaku nie opowiadał wyczerpująco o swojej pracy; jakby nie ćwiczyła z poduszką. I torbą mąki. I stekami.

Marcus uniósł brew.

– I cóż teraz zrobisz? – zadał pytanie, a jego głos ociekał wyższością. Jak głupio musiała wyglądać w jego oczach teraz, kiedy jej palce o nienagannie umalowanych paznokciach zaciskały się na oznaczonej monogramem rękojeści noża! – Coś ty, laleczko? – rzucił zalotnie, a określenie to sprawiło, że Marcella zakapiała gniewem.

„Laleczka”. „Mała”. „Kochanie”. Czy po dwunastu latach małżeństwa naprawdę myślał o niej w ten sposób? Czy postrzegał ją jako słabą, kruchą, bezradną dziewczynkę, którą

trzymał dla ozdoby? Porcelanową figurkę, której zadaniem było lśnić, błyszczeć i wyglądać ładnie na półce?

Kiedy stało się jasne, że Marcella nie odpuści, twarz jej męża sposepniała.

– Nie celuj we mnie tym nożem, chyba że rzeczywiście chcesz go użyć...

Być może naprawdę była laleczką z porcelany.

Ale kruchą tylko do chwili, kiedy się stłucze.

Bo wtedy naokoło jest już pełno ostrych odłamków.

– Marcella...

Rzuciła się naprzód, z przyjemnością dostrzegając niedowierzanie w oczach męża. Jego bourbon rozlał się szeroką strugą, gdy odepchnął się od stołu w uniku. Ostrze Marcelli ledwie musnęło jego krawat, ale pięść Marcusa trafiła ją prosto w usta. Poczula krew na języku, a do oczu napłynęły jej łzy. Przetoczyła się po dębowym blacie, miażdżąc talerze i półmiski.

Wciąż miała w dłoni nóż, lecz Marcus zdążył złapać ją za nadgarstek i przycisnąć go do stołu tak mocno, że usłyszała chrzęst kości.

Stosował już wobec niej przemoc, ale zawsze działało się to w porywie chwili, za milczącą obopólną zgodą, a ona pierwsza dawała sygnał do startu.

Tym razem było inaczej.

Marcus był stukilowym, brutalnym facetem, który zarabiał na życie, niszcząc rzeczy i ludzi. Cmoknął teraz sceptycznie, tak jakby wystawiła się właśnie na pośmiewisko. Jakby przesadziła. Jakby to ona doprowadziła go do tego, że pieprzył się z inną kobietą – i zniszczył to wszystko, nad czym tak ciężko pracowała jego żona.

– Ach, Marce, jak ty doskonale wiesz, co mnie wkurza.

– Puść mnie! – syknęła.

Pochylił się ku niej, pogładził ją po włosach i delikatnie objął dłonią jej twarz.

– Tylko jeśli obiecasz zachowywać się grzecznie.

Uśmiechał się teraz. Uśmiechał! Tak jakby to była kolejna gierka.

Marcella napluła mu w twarz śliną zmieszaną z krwią.

Jej mąż westchnął głęboko, tak jakby zachowywał cierpliwość resztką sił. A potem walnął ją tak, że uderzyła skronią o dębowy blat.

Świat wokół Marcelli zniknął nagle w białym błysku. Nie pamiętała upadku ze stołu, ale kiedy odzyskała wzrok, leżała z potwornie bolącą głową na jedwabnym dywanie obok krzesła. Próbowwała wstać, lecz pokój zakołysał się niebezpiecznie. Poczula w gardle żółć, przetoczyła się na bok i zwymiotowała.

– Powinnaś była odpuścić – stwierdził Marcus.

Krew zalała jej oko, sprawiając, że cała jadalnia nagle poczerwieśniała. Jej mąż złapał tymczasem najbliższy kandelabr.

– Nigdy mi się nie podobały – oznajmił, wywracając świecznik.

Jedwabne zasłony zajęły się ogniem, jeszcze zanim kandelabr uderzył o podłogę.

Marcella podniosła się z wysiłkiem na czworakach. Czula, jakby otaczała ją głęboka toń, w której mogła poruszać się tylko wolno, bardzo wolno.

Marcus stał w drzwiach i patrzył na nią. Nic więcej.

Nóż do steków lśnił na parkiecie. Zmusiła się, żeby po niego sięgnąć przez powietrze ciężkie od dymu. Niemal jej się to udało, kiedy coś rąbnęło ją gwałtownie od tyłu. To Marcus przewrócił drugi kandelabr, który upadł, przyszpilając ją żelaznymi ramionami do podłogi.

Ogień rozprzestrzenił się niepokojąco szybko, przeskakując z zasłon na kałuże rozlanego bourbona, a potem na obrus i dywan. Płomienie trzaskały już w całym pokoju.

Przez ogień i dym usłyszała głos męża:

– A tak nam dobrze szło, Marce.

Pierdolony kutas. Tak jakby cokolwiek w ich życiu było jego pomysłem, działo się za jego sprawą!

– Beze mnie jesteś niczym – powiedziała bełkotliwie. – To ja cię stworzyłam – dodała i natężyła mięśnie, by uwolnić się spod kandelabru. Nie poruszył się. – I to ja cię zniszczę!

– Ludzie przed śmiercią mówią mnóstwo rzeczy, kochanie. Słyszałem już wszystko.

Gorąco wypełniło pokój, docierając do jej płuc i głowy. Rozkaszła się, nie mogąc złapać oddechu.

– Zniszczę cię.

Nie było odpowiedzi.

– Słyszysz mnie, Marcus?

Nic. Milczenie.

– Zniszczę cię!

Skrzeczła te słowa w kółko, mimo podrażnionego gardła, aż dym przesłonił jej widok i zdławił głos. Mimo to nadal odbijały się echem w jej głowie, towarzysząc w drodze na dół, coraz niżej, niżej i niżej, ku ciemności.

„Zniszczę cię!”

„Zniszczę!”

„Znisz...”

„Zni...”



Funkcjonariusz Perry Carson przez ostatnią godzinę bezskutecznie próbował przejść dwudziesty siódmy poziom gry Radical Raid. Wysiłki przerwał mu dźwięk zapuszczanego silnika. Podniósł wzrok i dostrzegł eleganckiego czarnego sedana Marcusa Rigginsa, wyjeżdżającego z wyłożonego płytami podjazdu przed posesją. Samochód ruszył z rykiem silnika, dobre trzydzieści na godzinę ponad obowiązujący na przedmieściach limit prędkości, lecz Perry nie pracował w drogówce. Gdyby nawet tak było, to nie spędził ostatnich trzech tygodni na tym zadupiu, żywiąc się tłustym śmieciowym jedzeniem, tylko po to, by przymknąć Marcusa za tak błahe wykroczenie.

O nie, Wydział Policji Merit potrzebował poważniejszych dowodów, które dałoby się obronić przed sądem – i obciążających nie tylko Rekina Rigginsa. Chcieli zarzucić się również na inne grube ryby, pływające w mętnej wodzie przestępczego oceanu tego miasta.

Perry zapadł z powrotem w zniszczony skórzany fotel i wrócił do gry. Udało mu się w końcu przejść dwudziesty siódmy poziom... a zaraz potem poczuł dym.

Pewnie jakiś dupek palił bez pozwolenia ognisko nad basenem. Carson wytężył wzrok, spoglądając przez okno. Zrobiło się już późno, było wpół do dziesiątej. Tak daleko od centrum Merit niebo wydawało się smolście czarne, a w ciemności trudno było dostrzec kłęby dymu.

Ale ogień było widać znakomicie.

W chwili, gdy płomienie rozświetliły frontowe okna posiadłości Rigginsów, policjant zdążył już wyskoczyć z samochodu i biegł przez ulicę, wzywając posiłki. Frontowe drzwi nie były, dzięki Bogu, zamknięte na klucz, więc otworzył je szeroko, układając w myślach

usprawiedliwienie do raportu. Napisze, że były już otwarte i usłyszał przez nie wołanie o pomoc, chociaż tak naprawdę dobiegał go tylko trzask płonącego drewna i szum płomieni buchających z korytarza.

– Policja! – krzyknął prosto w kłęby dymu. – Jest tam kto?!

Zauważył wcześniej, że Marcella Riggins przyjechała do domu, ale nie widział, żeby z niego wyjeżdżała. Sedan Marcusa przejechał koło niego szybko, ale nie aż tak, żeby nie dostrzegł pustego miejsca pasażera.

Rozkaszał się i zasłonił usta rękawem. Z oddali dobiegł go dźwięk syren. Wiedział, że powinien zostać na zewnątrz i poczekać tam, gdzie powietrze było czyste i chłodne, gdzie nic mu nie zagrażało.

Ale wtedy skręcił za róg i zobaczył ciało uwięzione pod żelaznym świecznikiem rozmiaru wieszaka na ubrania. Świeczki dawno się już stopiły, lecz Perry rozpoznał w tym kształcie kandelabr. Kto, u licha, ma w domu kandelabry tej wielkości?!

Perry sięgnął do kutego trzonu i gwałtownie cofnął dłoń – prawie się poparzył. Zaklął pod nosem. Rozgrzane żelazne ramiona przepaliły już sukienkę Marcelli tam, gdzie jej dotykały. W tych miejscach widać było czerwoną, spaloną skórę, ale kobieta nie płakała ani nie krzyczała.

Leżała tylko nieruchomo, z zamkniętymi oczami, a po skroni spływała jej krew, sklejając czarne włosy.

Poszukał tętna i znalazł je – słabe i zanikające. Tymczasem płomienie stawały się coraz gorętsze, a dym – coraz gęstszy.

– Cholera, cholera, cholera – mamrotał Perry, rozglądając się po pokoju, podczas gdy syreny wyły już całkiem blisko domu. Wylał wodę z dzbanka na serwetkę, owinął ją wokół dłoni i złapał trzon kandelabru. Mokry materiał syczał i parował, a gorący metal zaczął parzyć jego dłonie przez płótno, gdy ze wszystkich sił próbował unieść świecznik. W końcu zdołał tego dokonać, a potem odtoczył spod niego ciało Marcelli. Hall wypełnił się głosami tych, którzy wpadli właśnie do domu. – Tutaj! – wyrzęził, dusząc się dymem.

Dwóch strażaków przedarło się przez ciemne kłęby, gdy coś w suficie jęknęło i żyrandol runął, by rozbić się na stole, który pękł i się rozpadł. Strzeliły iskry i płomienie. W następnej chwili jeden ze strażaków ciągnął półprzytomnego Perry'ego przez hall płonącej posiadłości.

Drugi strażak podążył za nimi z bezwładnym ciałem Marcelli na ramieniu.

Przed dom zdażyły już zajechać ciężkie wozy strażackie, demolując starannie wypielegnowany trawnik, a podjazd rozświetlały pulsujące niebieskie światła karetek.

Tymczasem cały budynek stał już w płomieniach. Przypieczona ręka swędziała Perry'ego, płuca go paliły, ale nie zwracał na to uwagi. Obchodziło go tylko jedno: ocalić życie Marcelli Riggins. Tej samej, która zawsze uśmiechała się nieśmiało i dyskretnie machała do obserwujących ją policjantów. Marcelli, która nigdy, przenigdy nie doniosłaby na swojego męża gangstera.

Rana na jej skroni, płomienie ogarniające dom i pospieszna ucieczka jej męża wydawały się jednak sugerować, że mogłaby zmienić zdanie w kwestii zeznań. A Perry nie miał zamiaru zmarnować takiej okazji.

Wężę posyłały strumienie wody prosto w ogień, Perry zdjął maskę tlenową, a teraz kaszlał i pluł, patrząc, jak dwóch ratowników układa Marcellę na noszach.

– Nie oddycha – stwierdził jeden, rozcinając jej suknię.

Policjant potruchtał za nimi.

– Brak tętna – powiedział drugi i rozpoczął reanimację.

– To je przywróćcie! – krzyknął Perry, wsiadając do ambulansu. Potrzebował żywego świadka; trup nie mógł przecież zeznawać przed sądem.

– Saturacja spada – ostrzegł pierwszy, zakładając na twarz Marcelli maskę tlenową. Cała była rozpalona, więc drugi ratownik wyciągnął zimne żelowe okłady z podręcznej lodówki i zaczął rozkładać je na jej skroniach, szyi i nadgarstkach. Wręczył ostatni pakunek Perry'emu, który niechętnie go przyjął.

Na ekranie przenośnego elektrokardiografu było widać wykres pracy serca Marcelli – płaską, prostą, nieruchomą linię.

Karetka ruszyła na sygnale. Płomienie szybko znikaly za oknem tylnych drzwi. Perry spędził przed tym domem trzy tygodnie, od trzech lat próbował przygwoździć gang Tony'ego Hutcha. Los zesłał mu teraz idealnego świadka, toteż Perry nie miał zamiaru oddać go bez walki.

Trzeci ratownik próbował opatrzeć poparzoną rękę policjanta, lecz ten wyrwał mu ją niecierpliwie.

– Skupcie się na niej – rozkazał.

Dźwięk syren rozciął noc. Trzej mężczyźni starali się ze wszystkich sił zmusić płuca Marcelli, by zaczęły oddychać, a serce – by wznowiło pracę. Próbowali wzniecić na nowo płomień życia.

Jednak ich zabiegi nie dawały rezultatu.

Marcella leżała na noszach, bezwładna i nieżywa, a w sercu Perry'ego powoli gasła ostatnia iskra nadziei.

Aż nagle, pomiędzy jednym uciśnięciem klatki a drugim, straszna nieruchoma linia na ekranie drgnęła, skoczyła i zaczęła wznosić się i opadać w normalnym rytmie.

Zmartwychwstanie

CZTERY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

HALLOWAY

– Nie poproszę po raz drugi – ostrzegł Victor Vale. Mechanik cofał się w popłochu w głąb warsztatu – tak jakby kilka metrów robiło jakąkolwiek różnicę. Victor, podążając za nim wolno i nieustępliwie, obserwował, jak jego rozmówca cofa się w róg pomieszczenia.

Jack Linden miał czterdzieści trzy lata, na twarzy kilkudniowy zarost, smar pod paznokciami. Victora sprowadził tu jego nadnaturalny talent naprawiania różnych rzeczy.

– Już ci mówiłem – tłumaczył Linden, podskakując nerwowo, gdy jego plecy dotknęły na wpół złożonego silnika. – Nie potrafię tego zrobić...

– Nie kłam! – ostrzegł go Victor.

Zacisnął palce na kolbie pistoletu. Powietrze wokół niego zaczęło wibrować energią.

Linden zadygotał, zagryzając wargi.

– Naprawdę nie umiem! – wykrzyknął. – Naprawiam tylko samochody! Składam do kupy silniki, nie ludzi. Samochody są proste: śruby, nakrętki i przewody paliwowe. To maszyny, włącza się je i wyłącza. Ludzie to coś więcej, o wiele więcej!

Victor nie wierzył w ani jedno słowo mechanika. Ludzie byli być może bardziej zróżnicowani i skomplikowani, ale w gruncie rzeczy ich organizmy niczym nie różniły się od maszyn. Każdy z nich działał lub nie, psuł się i nadawał do remontu. Prawie każdego można było naprawić.

Zamknął oczy, oceniając napięcie prądu wewnątrz ciała. Elektryczność krążyła już w jego mięśniach, przenikała jego kości i kipiała w klatce piersiowej. Uczucie było nieprzyjemne, ale nawet nie w połowie tak okropne jak to, co się działo, kiedy napięcie osiągało szczyt.

– Przysięgam – zaklinał się Linden. – Pomógłbym ci, gdybym tylko potrafił! – dodał, ale Victor usłyszał, jak mechanik się przesuwa i grzebie na ślepo w narzędziach rozrzuconych po warsztacie. – Musisz mi uwierzyć... – wymamrotał, a jego dłoń chwyciła coś metalowego.

– Wierzę – powiedział Victor, otwierając raptownie oczy, gdy Linden rzucił się w jego kierunku z wielkim kluczem nasadowym w dłoni... jednak w połowie dystansu ciało mechanika zwiotczało i stanęło, tak jakby powstrzymało je szarpnięcie niewidzialnej liny. Victor uniósł pistolet i strzelił Lindenowi w głowę.

Huk wystrzału odbił się echem od ścian warsztatu, od betonu i stali. Mechanik upadł na podłogę.

„Co za rozczarowanie”, pomyślał Victor. Krew zaczęła rozlewać się coraz większą kałużą na betonowej posadzce.

Schował broń i odwrócił się w kierunku wyjścia, ale zdążył przejść zaledwie trzy kroki, kiedy ostry ból uderzył w niego pierwszą, nagłą falą. Zatoczył się tak mocno, że musiał chwycić się karoserii jednego z samochodów, czując, jak cierpienie rozrywa mu pierś.

Pięć lat temu wystarczyłoby przekręcić wewnętrzny wyłącznik, pozbawiający nerwy prądu, żeby uciec od nieznośnych męczarni.

Teraz jednak nie było ucieczki.

Nerwy Victora zatrzeszczały, a ból zaczął wspinać się w górę skali, powoli i nieubłagane. Powietrze wibrowało energią, światła nad głową zaczęły nieregularnie migotać, gdy męczyzna siłą woli włókł się coraz dalej od zwłok i coraz bliżej stalowej bramy garażu. Próbował skupić się na objawach, sprowadzić je do faktów, statystyki, mierzalnych wartości i...

Prąd – ta mordercza moc – poraził go gwałtownie tak, że Victor się zatrząsł. Wyszarpnął z kieszeni czarny ochraniacz na zęby i zdążył wcisnąć go do ust, zanim kolana załamały się pod nim i ciało nie wytrzymało tortury.

Walczył – jak zawsze – ale kilka sekund później leżał już na plecach. Mięśnie kurczyły mu się boleśnie w coraz szybszych interwałach, a serce starało się nadążyć, ominęło uderzenie, straciło rytm...

A potem umarł.

II

PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

CMENTARZ MERIT

Victor otworzył oczy. Poczuł podmuch chłodnego powietrza i zobaczył ziemię osypującą się ze ścian grobu oraz blond włosy Sydney, przez które przeświecał księżyc.

Pierwsza śmierć, wiele lat temu, była wyjątkowo bolesna. Cały świat w ostatnich sekundach sprowadzał się do zimnego metalowego stołu, a jego życie wisiało na cienkiej nici, nadwyrężanej przez prąd o coraz wyższym i wyższym napięciu. Wypalało po kolei nerwy Victora, aż ostatecznie załamał się, rozleciał na kawałki i spadł w ciężką, płynną nicłość. Umieranie trwało całe wieki, lecz sama śmierć – króciutko, tyle co jeden oddech. Uszło z niego całe powietrze i energia, lecz po chwili wynurzył się znów z ciemnej toni, a każda komórka jego ciała wrzeszczała z bólu.

Druga śmierć Victora przebiegła inaczej. Nie było przewodów pod napięciem ani straszliwej męki – odciął takie doznania na długo przed końcem. Tylko rosnąca kałuża krwi wokół jego kolan, ściskające się serce i nóż, którym dźgnął go Eli, a potem ciemność, przesłaniająca cały świat, podczas gdy powoli tracił świadomość, ześlizgując się w objęcia śmierci tak łagodnie, jakby zasypiał.

A na samym końcu – pustka. Czas ściągnięty w jedną, nieprzerwaną sekundę. Akord idealnej ciszy, trwający w nieskończoność, aż wreszcie przerwany. Zakłócony, podobnie jak kamyk wrzucony do stawu zakłóca spokój nieruchomej tafli wody.

I nagle znów był. Oddychał. Żył.

Victor usiadł, a Sydney zarzuciła mu ręce na szyję. Trwali tak przez dłuższą chwilę – ożywiony trup i dziewczynka klęcząca na trumnie.

– Zadziałało? – zapytała szeptem, a on wiedział, że nie ma na myśli samego wskrzeszenia. Sydney nigdy jeszcze nie udało się wskrzesić osoby PonadPrzeciętnej bez problemów. Wracali do świata żywych, ale inni, a ich moc zwykle nie działała równie skutecznie jak przedtem. Tak jakby śmierć ją popsowała. Victor ostrożnie sprawdził swój umysł, szukając uszkodzonych linii, przerw w dostawie prądu, lecz nie wyczuł niczego. Nic się nie zmieniło. Funkcjonował tak jak przedtem, bez zakłóceń. Powrócił cało.

To było doprawdy niebывale uczucie.

– Tak – potwierdził. – Zadziałało.

Nad krawędzią wykopu pojawił się Mitch, z gładko ogoloną głową lśniąca od potu i wytatuowanymi przedramionami zabrudzonymi podczas kopania.

– Cześć! – rzucił, wbił łopatę w trawę i pomógł wyjść z wykopu najpierw Sydney, a potem Victorowi.

Dol w niemym powitaniu otarł się o nogę Victora i wepchnął mu wielki, czarny łeb w dłoni.

Ostatni członek ich bandy oparł się ciężko o pobliski nagrobek. Dominik wyglądał jak ćpun w kiepskiej formie. Żrenice miał rozszerzone od leków, którymi usiłował złagodzić swój chroniczny ból. Victor wyczuwał jego nerwy, wrażliwe i sypiące iskrami jak ze zwarcia.

Zawarli sojusz – pomoc ekszołnierza w zamian za złagodzenie jego cierpień. Pod nieobecność Victora Dominik najwyraźniej nie był w stanie dotrzymać swojej części

umowy. Teraz jednak wskrzeszony PonadPrzeciętny w ułamku sekundy sprawił, że były żołnierz przestał cierpieć. Dominik zatoczył się do tyłu, a napięcie zniknęło z jego twarzy niczym starty chusteczką pot.

Victor podniósł łopatę i wyciągnął ją w kierunku młodszego mężczyzny.

– Wstawaj.

Dominik posłuchał, kręcąc głową na wszystkie strony, by rozluźnić kark. Zerwał się na równe nogi i wszyscy czworo zaczęli zasypywać pusty grób.



Dwa dni.

Victor był martwy przez dwa dni.

Niepokojąco długo. Dość długo, by ciało zaczęło się powoli rozkładać. Inni przez ten czas gnieździli się w mieszkaniu Dominika: dwóch mężczyzn, dziewczynka i pies, czekając, aż Victor zostanie pochowany.

– Mieszkam raczej skromnie – uprzedził Victora gospodarz, otwierając frontowe drzwi. Znajdowały się za nimi zagracony pokój z zniszczoną sofą, betonowy balkon i kuchnia pełna brudnych naczyń. Było to tymczasowe rozwiązanie większego problemu, a Victor nie był jeszcze w stanie stawić czoła przyszłości. Na butach wciąż miał cmentarną ziemię, a w ustach – smak niedawnej śmierci.

Potrzebował prysznica.

Dominik poprowadził go przez pokój – wąski i ciemny, z pojedynczą półką, na której leżały książki, medale i fotografie. Na parapecie stało dużo pustych butelek. Zbyt dużo.

Żołnierz wygrzebał skądś czystą czarną bluzę z logo jakiegoś zespołu rockowego. Victor uniósł brwi.

– Z czarnych mam tylko taką – usprawiedliwił się Dominik.

Włączył światło w łazience i wycofał się, pozostawiając Victora samego.

Ten rozebrał się, z obrzydzeniem zdejmując z siebie ubranie, w którym został pochowany – a którego nie rozpoznawał i na pewno sam nie kupił – i stanął przed lustrem, badawczo oglądając nagą pierś i ramiona.

Znajdowało się na nich wiele blizn – o, jak wiele! – lecz żadna z nich nie pochodziła ze starcia w Falcon Price. Pamięć podsunęła mu wspomnienie strzałów, odbijających się od betonowych, niewykończonych ścian, i podłogi lepkiej od krwi... częściowo należącej do niego, lecz w większości – do Elia. Zapamiętał każdą ranę zadaną tej nocy – płytkie cięcia na brzuchu i ślady pozostawione na nadgarstkach ostrą jak brzytwa metalową linką, a w końcu nóż Elia, wślizgujący się między żebra Victora – ale żadna z nich nie zostawiła śladu na jego ciele.

Moc Sydney była naprawdę wyjątkowa.

Odkręcił kurek prysznica i wszedł pod strumień ukropu, by zmyć ślady śmierci ze skóry. Jeszcze raz sprawdził swoją moc, koncentrując się na wnętrzu, tak jak wiele lat temu, kiedy trafił do więzienia. Wtedy – w izolatce – Victor, nie będąc w stanie sprawdzić swoich umiejętności na nikim innym, użył własnego ciała jako poligonu, poznał granice bólu i dotarł do najdalszych zakątków misternej sieci układu nerwowego. Teraz wziął się

w garść i próbował przestawić w myślach suwak wirtualnego regulatora: najpierw w dół, aż nie czuł niczego, a potem w górę, aż do momentu, kiedy dotyk każdej kropli wody na nagiej skórze kłuł go niczym ostry nóż. Zacisnął zęby, by wytrzymać, i przestawił suwak z powrotem na wyjściową pozycję.

Zamknął oczy i oparł czoło o kafelki. Uśmiechnął się do swoich myśli, przywołując z pamięci głos Elia.

„Nie możesz wygrać”.

A jednak!



W mieszkaniu panowała cisza. Dominik stał na wąskim balkonie, paląc papierosa. Sydney skuliła się na sofie, składając się niczym kartka w origami, podpierając dłońią brodę, a Dol położył się na podłodze koło niej. Mitch siedział przy stole, tasując w kółko talię kart.

Victor objął ich wszystkich spojrzeniem.

„Mam słabość do przybłędów”.

– Co teraz? – zapytał Mitch.

Dwa krótkie słowa.

Nigdy przedtem kilka sylab nie miało tak wielkiej wagi. Przez ostatnie dziesięć lat Victor koncentrował się na zemście. Nigdy nie sięgał wzrokiem poza nią, ale teraz osiągnął cel: Eli gnił w więzieniu, a Victor wciąż tu był. Żywy i w jednym kawałku. Zemsta pochłonęła go bez reszty, lecz kiedy jej dokonał, poczuł się dziwnie. Satysfakcja zniknęła, została pustka.

„Co teraz?”

Mógł ich zostawić. Zniknąć. Tak byłoby najrozsądniej – grupa, zwłaszcza tak dziwna jak oni, przyciągała uwagę, natomiast pojedynczy człowiek mógł przemknąć bez śladu. W dodatku talent Victora pozwalał mu manipulować uwagą ludzi naokoło, wpływać na ich nerwy tak, by wywołać awersję wobec swojej osoby, subtelnie, ale skutecznie. A w dodatku śledczy Stell był przekonany, że Victor Vale nie żyje i został pochowany.

Sześć lat temu Victor poznał Mitcha.

Sześć dni temu poznał Sydney.

Sześć godzin temu – Dominika.

Każde z nich było Victorowi kulą u nogi. Chętnie pozbyłby się obciążenia i porzucił ich.

„Więc odejdz”, pomyślał, ale jego stopy nie zrobiły ani kroku ku drzwiom.

Dominik był najmniejszym problemem. Dopiero co się poznali, a ich sojusz zawiązał się z potrzeby chwili.

Sydney to co innego. Był za nią odpowiedzialny. Wziął na siebie to brzemień, kiedy zabił Serenę. Nie chodziło o sentymenty. To było tak jak w całkowaniu przez podstawienie: nowa zmienna musi zastąpić starą.

A Mitch? Mitcha prześladowała klątwa, sam to przyznawał. Bez przyjaciół zwalisty mężczyzna prędzej czy później skończy z powrotem w więzieniu, prawdopodobnie takim jak to, z którego uciekli z Victorem – i zapewne z powodu Victora. Mimo że znali się

z Sydney krócej niż tydzień, Victor był pewien, że Mitch nie będzie chciał porzucić dziewczynki, która również wydawała się do niego przywiązana.

Pozostawała też oczywiście kwestia Elia.

Eli siedział w areszcie. Wciąż żył. W tej sprawie Victor był bezsilny ze względu na zdolność regeneracji przeciwnika. Gdyby jednak tamten kiedykolwiek wyszedł...

– Victor? – powtórzył Mitch, tak jakby dostrzegał, w jakim kierunku zmierzają myśli przyjaciela.

– Wyjeżdżamy.

Mitch skinął głową, bezskutecznie próbując ukryć ulgę. Jego emocje zawsze były czytelne, tak jakby był otwartą księgą. Sydney na sofie rozprostowała nogi i odwróciła się w kierunku Victora, który nawet w ciemności dostrzegł spojrzenie jej jasnych błękitnych oczu. Najwyraźniej nie spała.

– Dokąd jedziemy? – zapytała.

– Nie wiem – przyznał Victor. – Ale nie możemy tu zostać.

Dominik wślizgnął się z powrotem do mieszkania, wpuszczając powiew zimnego powietrza i nieco papierosowego dymu.

– Wyjeżdżasz? – zapytał, a na jego twarzy odbił się paniczny strach. – A co z naszą umową?

– Odległość nie jest problemem – uspokoił go Victor. To nie była do końca prawda: gdyby Dominik znalazł się poza jego zasięgiem, nie byłby w stanie zmienić jego prognozy bólu, lecz poza tym raz wprowadzona zmiana powinna się utrzymać. – Nasza umowa pozostaje w mocy tak długo, jak dla mnie pracujesz – dodał.

Dominik szybko skinął głową.

– Jasne, w każdej chwili, czegokolwiek potrzebujesz.

Victor zwrócił się teraz do Mitcha.

– Znajdź nam nowy samochód – polecił. – O świcie chcę być już poza Merit.

I tak też się stało.

Dwie godziny później, o pierwszym brzasku, Mitch zajechał pod mieszkanie czarnym sedanem. Dominik stał w drzwiach z ramionami skrzyżowanymi na piersi, patrząc, jak Sydney ładuje się na tylną kanapę, a za nią Dol. Victor zajął miejsce pasażera.

– Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz? – upewnił się Mitch.

Victor spojrzał na swoje dłonie, rozprostował palce i poczuł pod skórą ukłucia energii. Jeżeli to możliwe, czuł się silniejszy niż przedtem. Jego moc wydawała się świeża i czysta.

– W życiu nie czułem się lepiej! – odparł.

III

CZTERY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

HALLOWAY

Victor zadygotał, budząc się do życia na zimnej, betonowej podłodze.

Przez kilka bolesnych sekund jego umysł był pusty. Myśli się rozpieczęły. Czuł się tak, jakby zaliczył zjazd po silnym narkotyku. Usiłował poskładać to, co przekazywały mu rozregulowane zmysły, w logiczną całość, w jakiś porządek: smak miedzi, zapach benzyny, przyćmione światło ulicznych latarni za popękany oknami. Aż wreszcie przypomniał sobie, gdzie jest.

Warsztat samochodowy.

Ciało Jacka Lindena, ciemna masa wśród porzrzucanych narzędzi.

Victor wyciągnął ochraniacz z ust i usiadł. Bezwładną dłonią wygrzebał z kieszeni komórkę. Mitch wyposażył ją w zaimprovizowany bezpiecznik przeciw przepięciom. Urządzenie zadziało: bezpiecznik był przepalony, ale telefon cały. Włączył go z powrotem.

Na ekranie pojawił się tylko jeden esemes od Dominika.

„3 minuty, 49 sekund”.

Tyle czasu był martwy.

Victor zaklął pod nosem.

Za długo. Zdecydowanie za długo.

Śmierć była niebezpieczna. Każda sekunda, w której krew nie dostarczała ciału tlenu, wiązała się z kolejnymi zniszczeniami. Większość narządów mogła przetrwać kilka godzin, ale mózg był wrażliwy. Zależnie od jednostkowej wytrzymałości i natury urazu lekarze uznawali, że śmierć mózgu następuje po czterech minutach, chociaż inni twierdzili, że po pięciu, a zdecydowana mniejszość dawała mu nawet sześć. Victor nie miał ochoty sprawdzać, jaka faktycznie jest górna granica tolerancji.

Nie dało się jednak zignorować faktu, że umierał coraz częściej, a śmierć za każdym razem trwała coraz dłużej. Co do uszkodzeń zaś... Opuścił wzrok i zobaczył na betonie czarne ślady po wyładowaniach elektrycznych oraz szkło żarówek, które eksplodowały w lampach pod sufitem.

Wstał, przytrzymując się najbliższego samochodu, i zaczął czekać, aż pokój przestanie wirować. Póki co nie czuł elektrycznej wibracji. Zastąpiła ją błogosławiona cisza, którą jednak niemal natychmiast przerwał ostry, urywany dźwięk dzwonka telefonu.

Mitch.

Victor przełknął ślinę, czując na języku smak krwi.

– Zaraz ruszam.

– Znalazłeś Lindena?

– Tak – odparł, zerkając na zwłoki. – Ale mi się nie udało. Zaczynaj szukać następnego tropu.

IV

PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

PERSHING

Dwa tygodnie po wskrzeszeniu Victor zaczął słyszeć brzęczenie.

Z początku było nieznaczne: lekki pomruk w uszach, dzwonienie lub pisk tak delikatny, że Victor w pierwszej chwili brał go za odgłos uszkodzonej lampy, odległy dźwięk silnika samochodowego czy też stłumiony głos z telewizora kilka pokoiów dalej. Dźwięk wydawał się jednak taki sam, niezależnie od miejsca i okoliczności.

Niemal miesiąc później Victor stanął bez ruchu w hotelowym lobby, starając się ustalić źródło irytującego brzęczenia.

– Co się dzieje? – zapytała Sydney.

– Też to słyszysz?

Sydney zmarszczyła czoło, zaskoczona.

– Co miałabym słyszeć?

Victor zdał sobie sprawę, że nie pytała o dźwięk, tylko o powód jego zniemczenia. Pokręcił głową.

– Nic, nic – odparł, odwracając się ku kontuarowi.

– Panie Stockbridge – zwróciła się do niego recepcjonistka. – Ma pan rezerwację na trzy najbliższe noce. Witamy w hotelu Plaza!

Nigdy nie zostawali zbyt długo w jednym miejscu. Podróżowali między miastami, czasem zatrzymując się w hotelach, a kiedy indziej – w apartamentach do wynajęcia. Starali się przemieszczać nieregularną trasą, często zmieniając lokalizacje i nie trzymając się żadnego określonego porządku.

– Jaką formę płatności pan wybiera?

Victor wydobył z kieszeni plik banknotów.

– Gotówka.

Pieniądze nie stanowiły problemu. Według Mitcha były tylko ciągiem zer i jedynek, cyfrową walutą w wirtualnych bankach. Jego ulubionym hobby było obecnie podkradanie minimalnych sum pieniędzy, centów od każdego dolara, a potem kierowanie tak zdobytego zysku na setki kont. Zamiast zacierać za sobą ślady, Mitch zostawiał ich tyle, by nikt nie potrafił za nimi nadążyć. W efekcie stać ich było na wynajmowanie ogromnych apartamentów z miękkimi łóżkami; przez cały pobyt w więzieniu Victor marzył o tak przestronnych pomieszczeniach.

Dźwięk zabrzmiał wyższym tonem.

– Wszystkie w porządku? – zapytała Sydney, patrząc badawczo na Victora. Obserwowała go od cmentarza, przyglądając się każdemu gestowi i każdemu ruchowi, tak jakby się bała, że nagle rozleci się na kawałki albo rozsypie w pył.

– Tak, czuję się świetnie – zełgał Victor.

Jednak dźwięk dalej rozlegał się w jego uszach, przez całą drogę do wind i potem do eleganckiego apartamentu z dwiema sypialniami oraz sofą. Nie opuszczał w łóżku, a rano uparcie brzmiał dalej, z subtelną zmianą: zaczęły mu towarzyszyć bodźce dotykowe. Lekkie ukłucia w kończynach. Nie ból, lecz uczucie jeszcze bardziej nieprzyjemne i uporczywe. Nie odstępowało go ani na krok, dźwięk stawał się coraz głośniejszy, a klucze

coraz mocniejsze, aż Victor w przystępie irytacji całkowicie wyłączył sobie możliwość odczuwania bólu. Ukłucia zniknęły, ale brzęczenie nie – ścisnęło tylko do słabych, dalekich zakłóceń. Prawie udało mu się je zignorować.

Prawie.

Usiadł na brzegu łóżka, rozgorączkowany i rozdrażniony. Kiedy ostatnio na coś chorował? Nie potrafił sobie przypomnieć. Z każdą minutą czuł się coraz gorzej, aż wreszcie wstał, założył płaszcz i skierował się ku drzwiom.

– Dokąd idziesz? – zapytała Sydney, skulona na sofie z książką.

– Odetchnąć świeżym powietrzem – rzucił w przelocie, wyslizgując się z apartamentu.

W pół drogi do wind coś walnęło go niczym taran.

Potworny ból.

Zjawił się znikąd, ostry jak nóż, wbijający się w serce. Zachłysnął się i zatoczył pod ścianę, walcząc o utrzymanie pionu, ale wówczas uderzyła w niego kolejna fala tortury, nagła, potężna i nieznoszna. Jego osobisty regulator wciąż stał na zerze, bodźce nerwowe były całkowicie wyciszone, ale to najwyraźniej nie miało najmniejszego znaczenia. Jakaś obca moc lekceważyła jego ustawienia, jego zdolności, jego wolę.

Światła zabyły, odpływając w dal, kiedy świat zaczął mu się rozmazywać przed oczami. Korytarz zawirował. Victor zmusił się, by przejść obok windy i skręcić na klatkę schodową. Ledwie minął drzwi, a ból znów rozbłysnął mu przed oczami. Nogi się pod nim ugięły i upadł ciężko na beton. Spróbował z powrotem wstać, ale złapały go drgawki, serce skoczyło mu w piersi i wyładowało na półpiętrze.

Zacisnął w męce szczęki. Od lat nie czuł czegoś takiego. Od dziesięciu lat. Laboratorium, gumowa rolka między zębami, chłód metalowego stołu, straszliwy ból, kiedy prąd wypalał jego nerwy, szarpał mięśniami i w końcu zatrzymał serce.

Teraz musiał się poruszyć.

Nie mógł jednak wstać. Ani mówić, ani oddychać. Niewidzialna dłoń przestawiała suwak coraz wyżej, wyżej i wyżej, aż w końcu ogarnęła go miłosierna ciemność.



Victor odzyskał przytomność na półpiętrze klatki schodowej.

W pierwszej chwili poczuł ulgę, że piekielne brzęczenie zniknęło. Świat wydawał się teraz dużo piękniejszym miejscem. Zaraz potem poczuł coś jeszcze: dłoń Mitcha, potrząsającą jego ramieniem. Przetoczył się na bok i wyrzygał żółć, krew oraz złe wspomnienia.

Było ciemno, żarówka nad głową się przepaliła, toteż ledwie mógł dostrzec ulgę na twarzy przyjaciela.

– Jezu – powiedział Mitch, opierając się o ścianę. – Nie oddychałeś. Nie wyczuwałem tętna. Myślałem, że nie żyjesz!

– Chyba tak właśnie było – odparł Victor, wycierając usta.

– Co masz na myśli? – zapytał Mitch. – Co tu się właściwie stało?

Victor powoli pokręcił głową.

– Nie wiem – przyznał. Niewiedza sprawiała, że czuł się nieswojo, a przyznanie się do niej na pewno nie przyszło mu łatwo. Dźwignął się z podłogi i oparł o ścianę klatki schodowej. Nie powinien był wyłączać sobie bólu, zamiast tego raczej uważnie obserwować narastanie objawów i zmierzyć ich intensywność. Wówczas zapewne dowiedziałby się tego, co wyczuwała Sydney: że jego moc została uszkodzona, a może nawet na dobre zepsuta.

– Victor... – zaczął Mitch.

– Jak mnie znalazłeś?

Przyjaciel uniósł komórkę.

– Dzięki Dominikowi. Zadzwoił do mnie, spanikowany, powiedział, że znów czuje ból i że było dokładnie tak jak wcześniej, kiedy umarłeś. Próbowałem wobec tego zadzwonić do ciebie, ale nie odbierałeś. Poszedłem do windy, ale po drodze zauważyłem przepaloną żarówkę na schodach – wyjaśnił i pokręcił głową. – Miałem złe przeczucie...

Telefon Mitcha znowu zaczął dzwonić. Victor wziął go do ręki i odebrał połączenie.

– Dominik?

– Nie możesz mi tego robić! – wrzasnęła ekszołniercz. – Mieliliśmy umowę, tak czy nie?!

– To nie było zamierzone... – zaczął powoli Victor, ale rozmówca nie dał mu dojść do głosu.

– W jednej chwili wszystko jest w porządku, a w następnej ślaniem się na czworakach, próbując nie zemdleć. I to bez ostrzeżenia, więc nie jestem w stanie wziąć nic przeciwbólowego! Nie wiesz nawet, jak to jest...

– Zapewniam cię, że wiem – odpowiedział Victor, opierając głowę o beton. – Czy teraz już wszystko w porządku?

Przez chwilę było słychać tylko dyszenie.

– Tak, jestem znowu w formie.

– Jak długo to trwało?

– Co?! Nie wiem. Nie byłem w stanie zmierzyć.

Victor westchnął, zamykając oczy.

– Następnym razem postaraj się to zrobić.

– Następnym razem?!

Victor się rozłączył. Otworzył oczy i zobaczył, że Mitch się w niego wpatruje.

– Czy zdarzało ci się to wcześniej? – zapytał.

„Wcześniej”. Victor wiedział, co ma na myśli. Wieczór w laboratorium podzielił jego życie na dwa okresy: przed – człowiek, po – PonadPrzeciętny. Teraz nastąpił kolejny podział: przed – PonadPrzeciętny, po – to. Co oznaczało, że była to sprawka Sydney. Jej moc miała pewną wadę – dziewczynka potrafiła ożywiać PonadPrzeciętnych, ale ich umiejętności ulegały uszkodzeniu. Victor tego nie uniknął, choć próbował ignorować.

Mitch zaklął, chwytając się za głowę.

– Musimy jej powiedzieć.

– Nie.

– I tak się dowie.

– Nie – powtórzył Victor. – Jeszcze nie teraz.

– A kiedy?

Kiedy Victor zrozumie, co się dzieje i jak to naprawić. Kiedy stworzy plan, w którym znajdzie się zarówno diagnoza problemu, jak i jego rozwiązanie.

– Kiedy będzie to miało znaczenie – odpowiedział.

Mitch zgarbił się, pokonany przez tę logikę.

– Może to się już więcej nie zdarzy – zasugerował Victor.

– Może... – odparł Mitch.

Żaden z nich w to nie wierzył.

V

CZTERY I PÓŁ ROKU WCZEŚNIEJ

FULTON

A jednak zdarzyło się po raz kolejny.

I jeszcze raz.

Trzy przypadki w ciągu niecałych sześciu miesięcy, w coraz krótszych odstępach. Za każdym razem śmierć trwała coraz dłużej. Mitch nalegał, by Victor odwiedził specjalistę – i nawet znalazł mu jednego. Doktor Adam Porter, niski mężczyzna o orlim nosie, cieszył się reputacją jednego z najlepszych neurologów w kraju.

Victor nigdy nie przepadał za lekarzami.

Nawet w czasach, kiedy sam chciał zostać jednym z nich, nie interesowało go ratowanie życia pacjentów. Medycyna przyciągała go ze względu na wiedzę, władzę i kontrolę. Chciał być dłonią trzymającą skalpel, nie rozcinanym przez niego ciałem.

Teraz zaś brzęczenie zaczynało przesączać się z jego czaszki do kończyn. Victor siedział w gabinecie Portera, który zgodził się go przyjąć po oficjalnych godzinach pracy. Wiedział doskonale, z jakim ryzykiem wiąże się oczekiwanie, aż nastąpi kolejny atak, ale trafna diagnoza wymagała prezentacji symptomów.

Przejrzał kwestionariusz pacjenta. Mógł w nim opisać objawy, ale podanie zbyt wielu szczegółów byłoby niebezpieczne. Przesunął kartkę z powrotem ku lekarzowi, nawet nie podnosząc długopisu.

Doktor westchnął.

– Panie Martin, słono pan zapłacił za wizytę. Sugeruję, żeby wykorzystał pan wszystkie dostępne możliwości.

– Zapłaciłem tak dużo przede wszystkim za dyskrecję.

Porter pokręcił sceptycznie głową.

– W porządku – odparł, splatając palce. – Jakiż problem pana do mnie sprowadza?

– Nie jestem pewien – przyznał pacjent. – Od pewnego czasu miewam coś w rodzaju... napadów.

– Jakich napadów?

– Neurologicznych – wyjaśnił Victor, zacierając granicę między niedopowiedzeniem a kłamstwem. – Zaczyna się to od dźwięku, brzęczenia w mojej głowie. Staje się coraz głośniejsze, aż czuję wibrację w całym ciele, aż do kości, tak jakbym był transformatorem.

– A potem?

„Potem umieram”, pomyślał Victor.

– W końcu tracę przytomność – powiedział.

Doktor zmarszczył brwi.

– Od jak dawna się to panu przydarza?

– Od pięciu miesięcy.

– Czy przeszedł pan przedtem jakąś traumę?

„Tak”.

– Nie kojarzę nic podobnego.

– Zmienił pan styl życia?

– Nie.

- Czuje pan osłabienie w kończynach?
- Nie.
- Cierpi pan na alergię?
- Nie.
- Czy zauważył pan, żeby te ataki powodowały jakiegokolwiek bodźce? Migrenę powoduje czasem kofeina, ataki epileptyczne – błyski światła, a brak...
- Nie obchodzi mnie, jaki jest powód – przerwał mu Victor, tracąc cierpliwość. – Chcę tylko wiedzieć, co się dzieje i jak to naprawić.
- Doktor wyprostował się na fotelu.
- W takim razie zrobimy kilka badań.



Victor patrzył na linie biegnące przez ekran, skaczące gwałtownymi zygzakami, niczym wykres sejsmografu podczas trzęsienia ziemi. Porter przyczepił mu do głowy kilkanaście elektrod i przyglądał się teraz bacznie wykresowi EEG, a na jego czole formowały się coraz głębsze zmarszczki.

– O co chodzi? – zapytał Victor.

Doktor pokręcił głową.

– Ten poziom aktywności rzeczywiście odbiega od normy, ale wzór nie sugeruje epilepsji. Widzi pan, jak blisko siebie przebiegają te linie? – powiedział, stukając w ekran. – Układ nerwowy jest pobudzony do takiego stopnia, że wydaje się, jakby przewodził zbyt mocne impulsy...

Victor przyglądał się wykresowi. Być może było to złudzenie, ale wydawało mu się, że linie na ekranie wznoszą się i opadają zgodnie z dźwiękiem w jego czaszce, a zygzaki pasują do rytmu wibracji pod jego skórą.

Porter wyłączył program monitorujący.

– Potrzebuję więcej szczegółów – oświadczył, zdejmując elektrody z głowy Victora. – Wsadzimy pana teraz do skanera i zbadamy rezonansem magnetycznym.

W pomieszczeniu stał tylko skaner z ruchomym łóżkiem, wsuwającym się do tunelu aparatu. Victor położył się na nim powoli, a jego głowa spoczęła w płytkiej obejmie. Porter nasunął mu na głowę cewkę i zatrzasnął ją, unieruchamiając pacjenta do badania. Tętno Victora przyspieszyło, kiedy łóżko poruszyło się z metalicznym brzęczeniem. Powoli wjechał do tunelu, tracąc z oczu pokój.

Usłyszał, jak lekarz wychodzi, zamykając za sobą drzwi. Po chwili głos Portera odezwał się znowu, zniekształcony przez interkom:

– Proszę teraz leżeć kompletnie nieruchomo.

Przez całą minutę nic się nie działo, a potem przez aparaturę przebiegł głęboki dźwięk, przypominający uderzenie, niski i basowy. Na chwilę zagłuszył wibracje w jego głowie, jak również wszystkie inne odgłosy.

Aparatura łomotała i brzęczała. Victor próbował liczyć sekundy, żeby zorientować się, ile trwa badanie, ale szybko stracił rachubę. Mijały kolejne minuty, a on czuł, że traci

kontrolę. Brzęczenie wibrowało teraz w jego kościach, a pod skórą pojawiły się pierwsze ukłucia bólu, którego nie był w stanie stłumić.

– Zakończ badanie – powiedział, lecz jego słowa utonęły w hałasie maszynierii.

Przez interkom dobiegł głos Portera:

– Już prawie skończyłem.

Victor starał się opanować oddech, ale bezskutecznie. Serce waliło mu jak młotem, zaczął widzieć podwójnie, a potworny elektryczny pomruk stawał się coraz głośniejszy.

– Zakończ bada...

Prąd przeszył Victora jasnym, oślepiającym impulsem. Spazmatycznie chwycił boki łóżka. Jego mięśnie wrzasnęły z bólu, kiedy przetoczyła się przez nie pierwsza fala. Pamięć podsunęła mu obraz Angie, stojącej obok aparatury.

„Chcę, żebyś wiedział jedno” – powiedziała, zaczynając mocować czujniki do jego piersi.

– „Nigdy, przenigdy ci tego nie wybaczę”.

Zawyła syrena alarmu.

Skaner wydał z siebie przenikliwy wizg, zatrząsł się i zatrzymał.

Porter znalazł się nagle po drugiej stronie maszynierii, mówiąc coś nagłoco. Łóżko zaczęło wyjeżdżać z tunelu. Victor wpił się w obejmę unieruchamiającą jego głowę i po sekundzie poczuł, że ustępuje. Musiał natychmiast wstać. Musiał...

Impuls elektryczny znów w niego uderzył, tak mocno, że cały pokój rozleciał się na kawałki: krew na języku, szaleńczo bijące, tracące rytm serce, Porter, lekarska latarka, świat rozświetlony białym błyskiem, zduszony krzyk – a potem ból wymazał mu wszystko z umysłu.



Victor obudził się na przesuwym łożu skanera.

Aparatura stała nieruchoma, ze zgaszonymi światłami. U wylotu tunelu widać było ciemne, osmalone ślady, jak po wyładowaniach elektrycznych. Usiadł i poczuł zawroty głowy. Powoli wracała mu ostrość widzenia. Porter leżał parę metrów dalej, jego ciało było nienaturalnie wygięte, niczym w gwałtownym skurczu. Victor nie musiał badać tętna ani sprawdzać aktywności jego nerwów swoim zmysłem, żeby upewnić się, że doktor nie żyje.

Wspomnienie podsunęło mu obraz z innego czasu i innego miejsca. Ciało Angie, wyprężone w ten sam nienaturalny sposób.

Cholera!

Zerwał się, ogarniając wzrokiem pomieszczenie. Zwłoki. Zniszczenia.

Teraz, kiedy znów był przytomny i spokojny, mógł myśleć jasno. To było jak cisza po burzy, okres spokoju, kiedy napięcie znów mogło zacząć rosnać, a na horyzoncie zbierały się nowe ciemne chmury. Kolejny atak pozostawał tylko kwestią czasu, co oznaczało, że każda sekunda była na wagę złota.

Na podłodze tuż obok dłoni Portera leżała strzykawka, wciąż zabezpieczona osłonką na igle. Victor podniósł ją i schował do kieszeni, a następnie wrócił do poczekalni, gdzie zostawił płaszcz. Wyciągnął komórkę i odczytał esemesa od Dominika.

„1 minuta, 32 sekundy”

Odetchnął głęboko, żeby się uspokoić, po czym rozejrzał się po pustym korytarzu.

Wrócił do gabinetu, skąd zabrał wszystkie wyniki badań i wydruki. Wyczyścił również komputer Portera – usunął zapis o wizycie w wersji cyfrowej, a poza tym wydarł z notesu kartkę z zapiskami, i jeszcze następną, bezpośrednio pod spodem. Krok po kroku, systematycznie zacierał ślady swojej obecności w gabinecie.

Z grubsza mu się to udało, lecz pozostały jeszcze zwłoki.

Nic nie mógł z nimi zrobić, poza może podpaleniem budynku. Rozwazał taką możliwość, lecz po chwili ją odrzucił. Ogień był nieprzewidywalnym żywiołem, pełnym temperamentu. Lepiej zostawić to tak, żeby wyglądało na zawał lub wypadek z aparaturą.

Założył płaszcz i wyszedł.

W hotelowym apartamencie Sydney i Mitch leżeli rozciągnięci na sofie z Dołem w nogach, oglądając stary film. Mitch popatrzył Victorowi prosto w oczy i uniósł brwi w niemym pytaniu. Tamten w odpowiedzi nieznacznie pokręcił głową.

Sydney przetoczyła się na bok i usiadła.

– Gdzie byłeś?

– Rozprostować nogi – powiedział Victor.

Dziewczynka się naburmuszyła. Przez kilka poprzednich tygodni jej zmartwiona mina ustąpiła miejsca sceptycyzmowi.

– Wyszedłeś parę godzin temu!

– Pamiętaj, że jeszcze niedawno odsiadywałem wieloletni wyrok – skontrował, nalewając sobie drinka. – Człowiek robi się od tego nerwowy.

– Ja też jestem nerwowa – oświadczyła Sydney. – Dlatego Mitch wymyślił nową grę w karty. – Odwróciła się do zwalistego mężczyzny. – Dlaczego Victor nie musi grać?

Victor uniósł brew i upił łyżeczek ze szklanki.

– Na czym to polega?

Sydney wzięła talię kart ze stołu.

– Jeżeli wyciągniesz blotkę, zostajesz tutaj i musisz nauczyć się czegoś nowego; jeśli dostaniesz figurę, możesz wyjść. Do parku albo do kina, ale to i tak lepsze niż siedzenie tutaj, jak w puszcze.

Victor wymienił spojrzenia z Mitchem, który wzruszył tylko ramionami, po czym wstał i poszedł do łazienki.

– Spróbuj! – zaproponowała dziewczynka, wyciągając przed siebie talię. Victor pomyślał chwilę, po czym uniósł dłoń, ale zamiast wyciągnąć kartę, wytrącił je wszystkie z dłoni Sydney, rozsypując na podłodze. – Hej! – zaproponowała, kiedy ukląkł, rozważając możliwości. – Oszukujesz!

– Nie powiedziałaś, że muszę grać fair – odparł, po czym podniósł z podłogi króla pik. – Proszę – powiedział, podając go jej. – Trzymaj go w rękawie.

Sydney przez dłuższą chwilę przyglądała się królowi, a potem ukryła go w dłoni. Kiedy Mitch wrócił do pokoju, spojrzął z obawą na Victora, a potem na Sydney.

– Co tu się dzieje?

– Nic – odparła błyskawicznie dziewczynka. – Victor się ze mną drażni.

Kłamstwo przychodziło jej niepokojąco łatwo.

Wróciła na kanapę, Dol wspiał się tam za nią, a Victor wyszedł na balkon.

Kilka minut później drzwi za jego plecami znów się otworzyły i Mitch dołączył do niego na świeżym powietrzu.

– No i? – zapytał. – Co powiedział Porter?

– Nie znalazł żadnych odpowiedzi – rzucił Victor.

– To znajdziemy kogoś innego – uznał Mitch.

Victor przytaknął i dodał:

– Powiedz Syd, że rano wyjeżdżamy.

Potężny mężczyzna wślizgnął się z powrotem do apartamentu, a Victor postawił szklankę na balustradzie. Wyciągnął z kieszeni strzykawkę i przeczytał etykietkę. Lorazepam. Silny lek uspokajający. Miał nadzieję, że uzyska od Portera diagnozę i dowie się, jak wyleczyć swoją przypadłość, ale na razie musiał ograniczyć się do leczenia objawów.



– Normalnie nie przyjmuję pacjentów poza oficjalnymi godzinami pracy.

Victor siedział naprzeciwko młodej lekarki. Szczupła, ciemnoskóra kobieta w okularach patrzyła na niego z zainteresowaniem. Ciekawość czy ewentualne podejrzenia nie miały jednak nic do rzeczy; prowadziła praktykę lekarską w Capstone, mieście ściśle związanym z administracją i rządem, gdzie dyskrecja była podstawą, a zachowanie tajemnicy zawodowej – obowiązkiem. Długi język zakończył tu niejedną karierę, a nawet życie.

Victor przesunął ku lekarce gotówkę.

– Dziękuję, że zrobiła pani dla mnie wyjątek.

Przyjęła pieniądze i spojrzała na kilka zdań, które nakreślił w formularzu.

– Co mogę dla pana zrobić, panie... Lassiter?

Mimo coraz głośniejszego szumu w głowie Victor próbował się skupić, kiedy zadawała kolejne pytania, te same co wszyscy, a on podawał jej odpowiedzi, te same co zawsze. Opowiedział o objawach – brzęczeniu, bólu, konwulsjach i omdleniach – pomijając, co się dało, i kłamiąc, kiedy musiał. Lekarka wysłuchiwała go, pilnie notując, a potem zaczęła się zastanawiać na głos:

– Mogłaby to być epilepsja, miastenia rzekomoporaźna, może dystonia... czasem choroby neurologiczne są trudne do zdiagnozowania, zwłaszcza kiedy ich objawy się nakładają. Przeprowadzimy kilka badań...

– Nie – uciął Victor.

Podniosła wzrok znad notatek.

– Nie wiedząc, co dokładnie jest...

– Badano mnie już – stwierdził. – Testy dały... niejednoznaczne wyniki. Przyszedłem tutaj, ponieważ chcę wiedzieć, co by mi pani przepisała.

Doktor Clayton wyprostowała się na fotelu.

– Nie przepisuję lekarstw bez diagnozy, a tej nie postawię bez przekonujących dowodów. Bez urazy, panie Lassiter, ale pańskie słowo mi nie wystarczy.

Victor odetchnął głęboko, po czym pochylił się ku niej, sięgając zarazem do jej głowy swoim PonadPrzeciętnym zmysłem, wywierając nacisk tuż poniżej progu bólu. Lekki dyskomfort, taki sam jak ten, który sprawiał, że nieznajomi odsuwali się i patrzyli w inną stronę, pozwalając Victorowi niezauważenie przemykać przez tłum. Clayton nie mogła jednak tak łatwo uciec przed tym uczuciem, więc jej umysł uznał je za zagrożenie, którym w gruncie rzeczy było. Bodziec wywołujący reakcję „walka lub ucieczka”, prostą i zwierzęcą tak jak drapieżnik i ofiara.

– W tym mieście jest pełno lewych lekarzy – powiedział. – Ale ich gorliwość w wypisywaniu recept jest często odwrotnie proporcjonalna do profesjonalnych

umiejętności. Dlatego właśnie przyszedłem tutaj, do pani.

Clayton z wysiłkiem przełknęła ślinę.

– Zła diagnoza – odezwała się pewnym głosem – a lek narobi więcej szkód niż dobrego.

– Tak, istnieje takie ryzyko – zgodził się Victor. – Jestem gotów je podjąć.

Lekarka odetchnęła z drżeniem. Pokręciła głową, jakby próbując oczyścić umysł.

– Zapiszę panu lekarstwa przeciwpadaczkowe i beta-blokery – oznajmiła w końcu, szybko pisząc na kartce. – Jeżeli będzie pan chciał cokolwiek mocniejszego – dodała, wydzierając kartkę z notatnika i podając mu ją – musi się pan zgłosić na obserwację.

Victor przyjął kartkę i wstał.

– Dziękuję, pani doktor.

Dwie godziny później wysypał pigułki na dłoń i połknął je bez popijania.

Wkrótce potem poczuł, że serce bije mu spokojniej, a brzęczenie cichnie, i pomyślał, że może znalazł odpowiedź. Przez dwa tygodnie czuł się dużo lepiej.

A potem znów umarł.

VI

CZTERY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

HALLOWAY

Victor doskonale się orientował, że był spóźniony.

Rozprawa z Lindenem zajęła mu więcej czasu, niż się spodziewał, do tego musiał się upewnić, że warsztat opustoszał i zostali tylko we dwóch. A potem oczywiście zaczął samotnie na zbliżającą się śmierć. Nie chciał, by zgon przydarzył mu się w domu, gdzie mieszkali przez ostatnie dziewięć dni, wynajętym miejscu, jednym z wielu, które można było zarezerwować na dzień, tydzień lub miesiąc.

Wybrała go Sydney, twierdząc, że wygląda jak prawdziwy, rodzinny dom.

Gdy Victor wszedł, powitał go aromat stopionego sera i odgłosy wybuchów z wielkiego telewizora. Sydney przycupnęła skulona na oparciu kanapy, rzucając Dolowi popcorn, podczas gdy Mitch stał przy kuchennym blacie, ustawiając świeczki na torcie czekoladowym.

Scena wyglądała na ponadprzeciętnie... normalną.

Pies zauważył go pierwszy i zaczął zamiatać ogonem podłogę.

Mitch popatrzył na niego i zmarszczył czoło w niemym pytaniu, lecz Victor zbył go gestem dłoni.

Dziewczynka obejrzała się przez ramię.

– Hej!

Po pięciu latach Sydney Clarke pod wieloma względami wyglądała tak samo. Wciąż niska i szczupła, buzię miała równie okrągłą, a oczy tak wielkie, jak tego dnia, gdy spotkali się na poboczu drogi pod Merit. Większość różnic wydawała się powierzchowna – zmieniła niebieskie legginsy na czarne w białe gwiazdki, a blond włosy ukrywała zwykle pod jedną z wielu peruk ze swojej kolekcji, zmieniając je stosownie do nastroju. Tego wieczoru nosiła jasnoniebieską, takiego samego koloru jak jej oczy.

Pod innymi względami Sydney zmieniła się tak jak każdy. Ton głosu, nieugięte spojrzenie, sposób, w jaki przewracała oczami – wszystko to stanowiło elementy pozy, którą najwyraźniej przyjęła, by podkreślić swój wiek, ponieważ jej wygląd o nim nie świadczył. Wciąż jeszcze miała ciało dziecka, lecz w tym ciele tkwił umysł nastolatki.

Teraz rzuciła okiem na puste ręce Victora i popatrzyła na niego pytająco: czy przypadkiem nie zapomniał?

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Sydney – powiedział.

Urodziny dziewczynki przypadały na ten sam dzień, co rocznica jej pojawienia się w życiu Victora. Co roku świętowali obie te okazje – licząc również lata spędzone przez nią z Victorem, a właściwie z nimi oboma.

– Gotowi? Mogę zapalić świeczki? – zapytał Mitch.

Victor pokręcił głową.

– Dajcie mi parę minut na przebranie – powiedział, przemyskując korytarzem.

Zamknął za sobą drzwi i przy zgaszonym świetle przeszedł na drugi koniec sypialni. Wystrój wnętrza mu nie odpowiadał – białe i błękitne poduszki, sielankowe obrazy na ścianach i książki na półkach wybrane tylko dla ozdoby, nie dla treści. Dla książek znalazł jednak zastosowanie: jedna z nich, opasły, reprezentacyjny tom o tematyce historycznej,

leżała otwarta, a na środku, między kartkami, spoczywał gruby, czarny flamaster. Strona po lewej była całkowicie zaczerwioniona, a ta z prawej – niemal cała, z wyjątkiem ostatniego wersu, tak jakby Victor szukał w tekście odpowiedniego słowa i jeszcze go nie znalazł.

Strząsnął z ramion płaszcz i wszedł do łazienki, podwijając rękawy. Odkręcił kran przy umywalce i ochlapał twarz, pozwalając, by szum wody zagłuszył delikatne brzęczenie, które znów zaczynało narastać mu pod czaszką. Teraz mógł mierzyć okresy spokoju w minutach, nie w dniach.

Przejechał dłonią krótkie blond włosy i spojrzał na swoje odbicie. Z lustra patrzyły na niego błękitne oczy, tkwiące w wychudzonej twarzy.

Ostatnio znacznie schudł.

Zawsze był szczupły, ale teraz, kiedy uniósł głowę, światło odbiło się od jego czoła i policzków, a pod brodą pojawił się głęboki cień.

Na umywalce stał rząd buteleczek z pigułkami. Sięgnął po najbliższą i wydobyl z niej tabletkę valium.

Narkotyki nigdy go nie pociągały.

Perspektywa ucieczki mogła wydawać się atrakcyjna, ale nigdy nie był w stanie rozwiązać problemu z utratą kontroli. Kiedy kupił narkotyki za pierwszym razem, jeszcze w Lockland, nie próbował nawet wywołać odlotu. Chciał tylko skończyć ze sobą, a potem powrócić pomiędzy żywych jako ktoś lepszy.

„Co za ironia”, pomyślał Victor, przelękając pastylkę bez popijania.

VII

CZTERY LATA WCZEŚNIEJ

DRESDEN

Victor nigdy nie bywał w klubach ze striptizem.

Po prostu nie rozumiał, na czym polega ich atrakcyjność. Nie podniecały go póżnacie, wijące się, naoliwione ciała, ale nie przyszedł do Glass Tower na rozbierany pokaz.

Szukał tu pewnej konkretnej osoby.

Gdy tak rozglądał się w półmroku po klubie, próbując nie oddychać zbyt głęboko mieszaniną perfum, dymu i potu, jego ramię musnęła starannie wypielęgnowana dłoń.

– Cześć, cukiereczku – zagruchał słodki głos. Victor obejrzał się przez ramię i zobaczył ciemne oczy i jasnoczerwone usta. – Założę się, że potrafimy przywołać uśmiech na tę twarz.

Victor szczerze w to wątpił. Pożądał w życiu wielu rzeczy – władzy, kontroli, zemsty – ale seks nigdy do nich nie należał. Nawet z Angie... oczywiście, że jej pragnął, pragnął jej uwagi, jej oddania, nawet jej miłości. Troszczyłby się o nią, znalazłby tysiąc sposobów, by uprzyjemnić jej życie, i zapewne sam by się przy tym dobrze bawił – ale nigdy nie chodziło mu o seks.

Tancerka zmierzyła go wzrokiem, biorąc jego brak zainteresowania za zahamowanie, a może zakładając, że wołałby raczej przebywać w męskim towarzystwie.

Delikatnie zdjął z ramienia jej dłoń.

– Szukam Malcolma Jonesa – wyjaśnił. Jones, samozwańczy „przedsiębiorca”, specjalizował się w czarnorynkowych transakcjach. Broń. Seks. Narkotyki.

Dziewczyna westchnęła i wskazała mu czerwone drzwi w głębi klubu.

– Po schodach na dół.

Ruszył ku drzwiom i był już bardzo blisko, kiedy wpadła na niego drobna blondynka. Przytrzymał ją, żeby nie upadła, a ona zaczęła go przeproszać wysokim, słodkim, melodyjnym głosem. Popatrzyli na siebie i przez jej twarz przemknął ulotny wyraz zainteresowania – jakby go sobie przypomniwała, ale był pewien, że nigdy wcześniej się nie spotkali. Po sekundzie każde z nich poszło w swoją stronę – ona wtopiła się w tłum, on dotarł do czerwonych drzwi.

Zamknęły się za nim, odcinając od reszty klubu. Rozprostował palce i zszedł po betonowych stopniach ku trzewiom budynku. Na końcu schodów znajdował się wąski korytarz, którego ściany pomalowano na czarno. W powietrzu unosił się stęchły odór dymu z cygar. Z pokoju na końcu korytarza dobiegł go głośny śmiech. Drogę zagroził mu tęgi ochroniarz w dopasowanej czarnej koszuli.

– Wybierasz się gdzieś?

– Tak – przyznał Victor.

Mężczyzna mu się przyjrzał.

– Wyglądasz jak ćpun.

– Już to kiedyś słyszałem – odparł Victor, rozkładając ramiona, by tamten mógł go obszukać.

Ochroniarz skrupulatnie go obmacał, a potem przepuścił.

Malcolm Jones w drogim garniturze siedział za ogromnym biurkiem. Obok jego łokcia leżał stos banknotów, przyciśniętych lśniąącym srebrnym pistoletem. W pokoju było jeszcze trzech innych mężczyzn: jeden wpatrywał się w wiszący na ścianie płaski telewizor, drugi grał w coś na telefonie, a trzeci zezował w kierunku koki, którą Jones właśnie dzielił na kreski na blacie biurka.

Żaden nie wydawał się szczególnie przejęty wejściem Victora.

Tylko Jones zadał sobie trochę trudu i uniósł wzrok. Nie był młody, ale wyglądał niczym głodny drapieżnik, tak jak większość ludzi jego pokroju w drodze na szczyt.

– A ty kto?

– Nowy klient – wyjaśnił zwięźle Victor.

– Skąd o mnie wiesz?

– Wieści się rozchodzą.

Jones dumnie wyprężył pierś. Najwyraźniej pochlebiali mu, że zyskał pewną sławę w branży. Wskazał na puste krzesło naprzeciwko biurka.

– Czego szukasz?

Victor powoli usiadł.

– Prochów.

Jones zerknął na niego.

– Popatrz, a wziąłem cię za kogoś od broni. O czym rozmawiamy? Hera? Koka?

Vale pokręcił głową.

– Coś na receptę.

– Ach, o to chodzi... – Jones machnął dłonią. Jeden z jego ludzi wstał i otworzył szafkę, w której w równych rządkach stały buteleczki z lekarstwami. – Mamy oksykodon, fentanyl, benzodiazepiny, adderall... – wyrecytował Jones, podczas gdy jego człowiek ustawiał buteleczki na biurku.

Victor zastanawiał się, od czego zacząć.

Ataki zdarzały mu się coraz częściej i najwyraźniej nic nie było w stanie ich powstrzymać. Założywszy, że jego ciało jest czymś w rodzaju baterii, której nie należy zbyt często rozładowywać, próbował ograniczyć korzystanie ze swojej mocy. Kiedy to nic nie dało, zmienił taktykę i używał mocy niemalże non stop, zakładając – dla odmiany – że powinien rozładowywać swoją baterijkę jak najczęściej. Za każdym razem kończyło się jednak tak samo – brzęczenie stawało się coraz głośniejsze, potem zaczynały się ukłucia, ból, a w końcu Victor umierał.

Teraz popatrzył na rząd buteleczek.

Potrafił określić, jak szybko rośnie napięcie tego prądu, ale najwyraźniej nie umiał go wyłączyć.

Z naukowego punktu widzenia miał przerąbane.

Z psychologicznego – jeszcze bardziej.

Mógł opanować do pewnego stopnia sam ból, lecz uczucie to było tylko jednym z wielu generowanych przez układ nerwowy. Jego tłumienie było jedną z wielu zalet większości opiatów. Istniały również inhibitory, nie tylko przeciwbólowe, ale także znieczulające, spowalniające tętno lub pozbawiające świadomości. Jeżeli jeden z nich nie wystarczy, będzie potrzebny cały koktajl.

– Wezmę je – oznajmił.

– Które?

– Wszystkie.

Jones uśmiechnął się zimno.

– Przyhamuj, koleś. Firma nakłada ograniczenie, sprzedajemy tylko jedną porcję na raz. Nie mogę oddać ci całego zapasu. Inaczej ani się obejrzę, jak towar pojawi się na ulicy za potrójną cenę...

– Nie będę ich sprzedawać – powiedział Victor.
– To nie potrzebujesz ich tak dużo – uznał Jones z niebezpiecznym uśmiechem. – A teraz, co do zapłaty...

– Powiedziałem, że je wezmę – rzucił Victor, pochylając się. – Nigdy nie wspominałem o jakiegokolwiek płatności.

Jones roześmiał się, a jego ludzie natychmiast podchwycili ten upiorny, pozbawiony wesołości rehot.

– Jeżeli chciałeś mnie obrobić, mogłeś przynajmniej przynieść gnata!

– Ależ przyniosłem – wyjaśnił Victor, unosząc dłoń. Powoli, jakby wykonywał sztukę, zwinął trzy palce do wnętrza dłoni, zostawiając kciuk sterczący ku górze, a wskazujący wyprostowany. – Widzisz? – powiedział, celując w Jonesa.

Ten nie wydawał się już ani trochę rozbawiony.

– Co z ciebie za...

– Bang – powiedział spokojnie Victor.

Huk strzału nie odbił się echem od ścian, nie brzęknęła spadająca łuska, nie pojawił się kłęb dymu z lufy – a mimo to Jones wrzasnął potwornie i upadł na podłogę.

Pozostała trójka sięgnęła po pistolety, ale niedowierzanie i wstrząs spowolniły ich reakcje. Zanim zdążyli wypalić, Victor skosił ich wszystkich. Żadnego stopniowania, żadnych niuansów, tylko tępa, brutalna siła, ból sięgający tam, gdzie zrywają się nerwy i wywalają wszystkie bezpieczniki.

Mężczyźni osunęli się na podłogę jak marionetki z przeciętymi sznurkami, ale Jones pozostał przytomny. Trzymając się za tors, gorączkowo szukał rany postrzałowej, lepkiej czerwieni krwi, jakiegokolwiek fizycznego uszkodzenia odpowiadającego temu, co zgłaszały mu nerwy.

– Co, kurwa... Co, kur... – mamrotał, wpatrując się dzikim wzrokiem we własną pierś.

Victor już od dawna wiedział, że ból potrafi zmienić ludzi w zwierzęta.

Pozbierał lekarstwa, wrzucając saszetki i buteleczki do czarnej skórzanej torby, stojącej koło biurka. Jones dygotał na podłodze, aż dostrzegł błysk metalowego przedmiotu na blacie. Próbował po niego sięgnąć, lecz gość tylko pstryknął palcami i gangster osunął się nieprzytomny pod ścianą.

Victor podniósł pistolet Jonesa i zważył go w rękę. Nie ciągnęło go do broni, uważał ją w dużej mierze za niepotrzebną – zwłaszcza jeżeli brał pod uwagę swoją moc. Jednak w obecnej sytuacji mogła się przydać, chociażby na zapas. Poza tym sam widok pistoletu mógł okazać się odstraszący.

Schował broń do kieszeni płaszcza i zamknął torbę.

– Interesy z wami to czysta przyjemność – powiedział w przestrzeń, odwrócił się i wyszedł z pokoju, w którym panowała śmiertelna cisza.



W TYM SAMYM CZASIE...

June poprawiła fryzurę i przeslizgnęła się między pluszowymi zasłonami do prywatnego pokoju. Harold Shelton już tam czekał, pocierając niecierpliwie różowymi dłońmi o uda.

– Tęskniłem za tobą, Jeannie.

Prawdziwa Jeannie została tego dnia w domu z zatruciem pokarmowym.

June pożyczyła sobie tylko jej ciało.

– Jak bardzo za mną tęskniłeś? – zapytała, próbując mówić niskim, chropawym głosem. Nie brzmiał idealnie, ale to akurat zawsze był najtrudniejszy element. Głos był wypadkową natury i kultury, genów, ale i wychowania. June trafiała w wysokość – to zależało w dużej mierze od ciała – ale jej prawdziwy akcent z lekkim zaśpiewem zawsze się przebijał. Harold jednak zdawał się tego nie dostrzegać. Zbyt pochłaniało go pożądliwe wgapienie się w cycki Jeannie, widoczne przez biało-niebieski uniform cheerleaderki.

Nie był to ulubiony strój June, ale nie miało to większego znaczenia.

Wystarczyło, że podobał się Haroldowi.

Powoli go okrążyła, muskając jego ramię pomalowanymi na różowo paznokciami. Tam, gdzie palce dotykały skóry, dostrzegała przebliski jego życia – nie całe, tylko fragmenty, które pozostawiły ślad. Pozwalała im przepływać przez umysł, nie zatrzymując ich dla siebie. Wiedziała, że nigdy nie wypożyczy jego ciała, więc nie musiała nic wiedzieć na jego temat.

Harold chwycił ją za rękę i pociągnął na swoje kolana.

– Harold, znasz zasady – ostrzegła go, uwalniając się z uchwytu.

Reguły klubu były proste: patrzeć, ale nie dotykać. Ręce przy sobie – na kolanach albo pod tyłkiem. Gdzie chcesz, pod warunkiem, że nie dotykasz dziewczyny.

– Ależ ty mnie prowokujesz! – Jęknął, podniecony, a jednocześnie poirytowany. Odchylił głowę i spojrzał na nią zamglonym wzrokiem. Poczula jego nieświeży oddech, kiedy rzucił: – I za co ja właściwie płacę?

June przemknęła za jego plecy i objęła go ramionami.

– Ty nie możesz mnie dotykać – zanuciła, pochylając się i dotykając ustami jego ucha. – Ale ja mogę dotknąć ciebie...

Nie dostrzegł drutu w jej rękach. Nie przeczuwał niczego, dopóki pętla nie zacisnęła się na jego gardle.

Wówczas zaczął walczyć, ale zasłony uszyto z grubego pluszu, muzyka grała głośno, a im bardziej starał się uwolnić, tym szybciej zużywał tlen.

June zawsze lubiła garotę. Była szybka, skuteczna i groźna.

Harold zmarnował zbyt dużo energii, szarpiąc się z pętlą, zamiast próbować sięgnąć jej twarzy. Nie żeby w jego sytuacji robiło to jakąkolwiek różnicę.

– Nic osobistego, mój drogi – powiedziała June, kiedy walił stopami o podłogę, usiłując się uwolnić.

To prawda – mężczyzna nie figurował na jej liście. Traktowała jego śmierć jako czysty biznes.

W końcu osunął się bez życia na kanapę. Z ust ciekła mu cienka strużka śliny.

June wyprostowała się, odetchnęła i odłożyła drut. Obejrzała swoje dłonie, które nie były jej własnymi. Tam, gdzie wbił się w nie drut garoty, naznaczyły je cienkie, głębokie linie. June nic nie czuła, ale wiedziała, że prawdziwa Jeannie obudzi się z tymi odciskami, i to bolesnymi.

„Przepraszam, Jeannie”, pomyślała, przeslizgując się z powrotem między zasłonami i zasuważąc je szczelnie za sobą. Harold był rozrzutny: wybulił z góry za całą godzinę spektaklu z Jeannie, nastoletnią królową balu, co dawalo teraz June dobre pięćdziesiąt minut zapasu, by uciec tak daleko od ciała, jak to możliwe.

Roztarła dłonie, by zniknęły z nich odciski, i ruszyła korytarzem. Przynajmniej koleżanki Jeannie były w domu, więc w razie czego miała alibi. Nikt nie widział, jak June

wchodzi do pokoju Harolda, i nikt nie widział, jak go opuszcza, więc wystarczyło, jeśli...

– Jeannie! – zawołał ktoś za jej plecami, zdecydowanie za blisko. – Nie powinnaś przypadkiem teraz pracować?

June zakląła pod nosem i się odwróciła, zmieniając jednocześnie powierzchność. Cztery lata zbierania tożsamości wszystkich ludzi, których dotknęła, pozwoliły jej skompletować imponującą kolekcję. W mgnieniu oka pozbyła się wyglądu Jeannie, wybierając kogoś innego, inną blondynkę o tym samym odcieniu włosów i budowie ciała, ale mniejszym biuście i okrągłej twarzy, ubraną w krótką błękitną sukienkę.

Zmiana okazała się cholernym majstersztykiem. Ochroniarz mrugnął, zaskoczony i zmieszany, ale June wiedziała z doświadczenia, że ludzie byli skłonni do zmiany wcześniejszych przekonań, jeżeli zobaczyli coś, czego nie rozumieli. „Widziałem” zmieniało się w „wydawało mi się, że widziałem”, potem w „nie mogłem tego widzieć” i w końcu w „nie widziałem”. Wzrok bywał kapryśny, a umysł – słaby i podatny na sugestie.

– Do tej części wpuszczamy tylko tancerki i klientów, proszę pani.

– Nie mam ochoty na podglądanko – oświadczyła June, starając się wymawiać słowa z mocnym akcentem. – Szukam tylko damskiej toalety.

Mężczyzna wskazał drzwi po prawej.

– Z powrotem tą samą drogą, a potem po przeciwnej stronie klubu.

– Dzięki i cześć – pożegnała go, puszczać figlarnie oko.

Szła przez klub równym, swobodnym krokiem. Teraz chciała tylko wziąć prysznic. W klubach ze striptizem panowała właśnie taka atmosfera: woń pożądania i potu, taniego alkoholu i brudnych pieniędzy wisiała w powietrzu, tak gęsta, że przywierała do skóry i było ją czuć jeszcze w domu. Wiedziała jednak, że to tylko iluzja – June nie mogła czuć, wahać ani smakować. Pożyczone ciało było właśnie takie – pożyczone.

W pół drogi do drzwi wpadła na mężczyznę, chudego blondyna ubranego na czarno. W miejscu takim jak to – gdzie spotykali się biznesmeni i złota młodzież – nie wydawał się dziwny. June dotknęła go i aż się zatoczyła – po muśnięciu palcami nie zobaczyła... kompletnie nic. Żadnych szczegółów ani wspomnień.

Facet nie zwrócił na nią większej uwagi i po chwili rozeszli się, każde w swoją stronę. On zniknął za czerwonymi drzwiami w głębi klubu, a June zmusiła się, żeby maszerować dalej, czując się jednak tak, jakby świat wokół niej stanął.

Jakie były szanse?

Minimalne, zdawała sobie z tego sprawę, ale nie zerowe. Kilka lat wcześniej spotkała kogoś takiego – młodego gościa, którego minęła na ulicy pewnego letniego wieczoru, w sumie nawet na niego wpadła, bo obserwowała coś w górze, a on szedł ze spuszczoną głową. Kiedy się zetknęli, poczuła taki sam przyływ chłodu, zobaczyła taką samą czerń tam, gdzie powinny być jego wspomnienia. Po miesiącach zbierania dotykami tożsamości i wspomnień nieobecność jakichkolwiek informacji wydawała jej się niepokojąca, wręcz dziwna. June nie wiedziała jeszcze wtedy, co to oznacza – czy tamta osoba jest popsuta, czy też problem leży po jej stronie; czy była to immanentna cecha, czy też nabyta wada. Potem jednak poszła za mężczyzną i zobaczyła, jak przesuwa dłonią po masce jakiegoś samochodu. Pod jego dotykiem silnik nagle zapalił, a ona zdała sobie sprawę z tego, że był inny.

Nie pod tym względem, co ona, ale i tak daleki od przeciętności.

Po tym wydarzeniu zaczęła szukać takich osób.

June, która nigdy przedtem nie lubiła kontaktu z innymi ludźmi ani niechcianego dotyku, teraz wykorzystywała każdy pretekst, żeby musnąć kogoś palcami lub pocałować w policzek w poszukiwaniu nieuchwytnych połączy czerni... ale nie znalazła nikogo takiego.

Aż do tej pory.

Wślizgnęła się za filar, zmieniając się z blondynki w mężczyznę o pospolitej twarzy. Usiadła przy barze, zamówiła drinka i czekała, aż nieznajomy pojawi się ponownie.

Wyłonił się z czeluści klubu dziesięć minut później z czarną torbą w ręku, po czym wyszedł w ciemność wieczoru.

A June podążyła za nim.



Ulice nie były puste, ale i nie przechadzały się nimi takie tłumy, by najwytrawniejszy nawet wywiadowca mógł ukryć, że kogoś śledzi. Dlatego za każdym razem, kiedy June opuszczała krąg światła pod latarnią, zmieniała kształt.

Co by zrobiła, gdyby mężczyzna w czerni ją zauważył?

A co zrobi, jeżeli jej nie zauważy?

Nie wiedziała, po co w ogóle za nim idzie ani co robi, kiedy facet się zatrzyma. Czy to instynkt kazał jej za nim podążać, czy tylko ciekawość? Nigdy nie potrafiła ich odróżnić. Chyba że przedtem...

June nie lubiła jednak wspominać tego, co było przedtem. Nie chciała ani nie potrzebowała takich wspomnień. Może nie zapamiętała umierania, ale sama śmierć była wystarczająco realna. Otwieranie tej trumny było bez sensu.

Oczywiście tak naprawdę nie nazywała się June. Pogrzebała swoje poprzednie imię wraz z resztą wspomnień.

Jedyna rzecz, jaką zatrzymała z tamtych lat, był akcent. „Zatrzymała” to zresztą określenie mocno na wyrost – uparte cholerstwo trzymało się jej jak przyklejone. Poza tym było to jedyne wspomnienie domu w obcym świecie. Zieleni i szarości, wyniosły klif i ocean... Prawdopodobnie mogłaby się go pozbyć, wyczyścić tak jak wszystkie inne elementy, które przedtem sprawiała, że była sobą... ale akcent był jedynym, co pozostało. Ostatnią nicią wiodącą w przeszłość.

„Aleś ty sentymentalna!”, zakpiła z siebie w myśli, przyspieszając kroku.

W końcu przestała się zmieniać i po prostu szła dalej tropem nieznajomego.

Obserwowała przedziwną rzecz: wywierał na ludzi subtelny wpływ, tak że omijali go, schodząc mu z drogi. Widzieli go. Tego była pewna, sądząc po tym, jak zmieniali trasę, usuwając się na bok. Ale w gruncie rzeczy go nie zauważali.

„Zupełnie jak magnesy”, pomyślała June. Każdy kojarzył ze słowem „magnes” przyciąganie, ale wystarczyło je odwrócić jednoimiennymi biegunami ku sobie i zaczynały się odpychać. Można było spędzić wieczność, próbując je zbliżyć, i nawet odnieść chwilowy sukces, ale w końcu i tak się rozjeżdżały.

Zastanawiała się, czy to śledzony mężczyzna wywiera taki wpływ na świat wokół, wykorzystując w ten sposób nadzwyczajne zdolności.

Cokolwiek to było, nie czuła tego.

Ale przecież nie czuła niczego!

„Kim jesteś?”, zastanawiała się, zirytowana, że nie potrafi go odczytać. Jej talent rozpieścił ją, przyzwyczaił do tego, że łatwo jej zdobyć informacje o innych ludziach. Nie

żeby wiedziała o nich wszystko – to byłaby prosta droga do szaleństwa – ale dosyć. Nazwiska. Wiek. Wspomnienia, owszem, ale tylko te, które pozostawiały piętno.

Poznawała czyjąś tożsamość, osobę sprowadzoną do podstawowych elementów.

A teraz czuła się zaniepokojona, że jej tego pozbawiono.

Mężczyzna przed nią zatrzymał się u wejścia do apartamentowca, a po chwili wszedł przez obrotowe drzwi. June stała w cieniu budynku i patrzyła, jak facet zmierza do windy. Cyferki na wyświetlaczu nad drzwiami dotarły do dziewiątki, a potem się zatrzymały.

Przygryzła wargę, myśląc intensywnie.

Było późno. Ale jeszcze nie tak bardzo.

Przejrzała w myślach swoją kolekcję. Zakupów ze sklepu nie dostarczano już o tej porze, ale kurierzy mogli się jeszcze zdarzyć. Wybrała dziewczynę – budzącą zaufanie, zwłaszcza wieczorem – w granatowym stroju rowerowego posłańca, złapała jedną z kopert leżących w lobby i nacisnęła guzik windy.

Na dziewiątym piętrze było czworo drzwi. Cztery szanse.

Przyłożyła ucho do pierwszych i nie usłyszała nic. Głucha cisza opuszczonego mieszkania.

To samo przy drugich.

Przy trzecich złowiła uchem czyjeś kroki i zapukała. Drzwi nie otworzył mężczyzna w czerni, tylko dziewczynka z wielkim psem u boku.

Była drobna, z jasnoblond włosami i oczami w odcieniu lodowatego błękitu. Jej widok zaskoczył June. Tamta miała dwanaście, może trzynaście lat, czyli była w wieku Madeline. Madeline należała do czasów „przedtem” – kiedy June miała rodzinę: rodziców i rodzeństwo, w sumie czwórkę, jedno starsze od niej i trójkę młodszych, a najmłodsza miała takie same blond loki...

– O co chodzi? – zapytała dziewczynka.

June pomyślała, że musiała pomylić mieszkania, toteż pokręciła tylko głową i zaczęła się wycofywać.

– Kto to? – zapytał głęboki, ciepły głos. Wielki facet z wytatuowanymi przedramionami uśmiechał się do niej przyjaźnie.

– Kurier – odparła dziewczynka. Sięgała już po kopertę, jej palce niemal dotknęły dłoni June, kiedy pojawił się on.

– Sydney – odezwał się mężczyzna w czerni. – Mówiłem, żebyś nie otwierała drzwi.

Dziewczynka wycofała się do pokoju, a pies za nią. Tymczasem mężczyzna podszedł do wejścia, a chłodny wzrok jego niebieskich oczu spoczął na kopercie w dłoniach June.

– Zły adres – stwierdził, zamykając jej drzwi przed nosem.

June stała na korytarzu, myśląc gorączkowo.

Spodziewała się, że będzie sam. Ludzie tacy jak on zazwyczaj działali w pojedynkę.

Czy pozostali – wielki facet i dziewczynka – byli zwykłymi ludźmi? Czy również dysponowali jakąś mocą?

Wróciła w to samo miejsce następnego dnia. Przyłożyła ucho do drzwi, lecz panowała za nimi cisza. Klęknęła, pogrzebała w zamku i po chwili mieszkanie stanęło otworem. Było puste. Ani śladu dziewczynki, psa, wielkiego gościa ani nieznajomego.

Po prostu zniknęli.

VIII

TRZY LATA WCZEŚNIEJ

CAPITAL CITY

Potem umarł po raz kolejny. I znów. I jeszcze raz.

Victor oparł się o szafkę. Lekarstwa z zapasów Malcolma Jonesa stały przed nim w równym rzędzie, a ciągle brzęczenie pod czaszką przeszło w wysoki pisk. Przeglądał etykiety, szukając czegoś, czego jeszcze nie wypróbował – oksykodon, morfina, fentanyl – ale nie było takich tabletek. Zażył już chyba wszystkie ich kombinacje i permutacje – nic nie działało.

Słumił pełne frustracji warknięcie i dłonią wymiotł otwarte buteleczki z szafki. Pigułki wysypały się na podłogę, a on wypadł z sypialni do salonu. Musiał stąd uciec, zanim brzęczenie sięgnie szczytu po raz kolejny.

– Dokąd idziesz? – zapytała Sydney, kiedy pośpiesznie szedł przez pokój.

– Dokądś – odparł.

– Ale przecież właśnie wróciłeś, a dzisiaj mamy filmowy wieczór. Obiecałeś, że usiądziesz razem z nami.

Mitch położył jej dłoń na ramieniu.

– Victor na pewno zaraz wróci.

Sydney przenosiła wzrok między nimi, najwyraźniej orientując się, że ktoś jej czegoś nie mówi, być może nawet kłamie, a w każdym razie starannie pomija prawdę.

– Co się dzieje?

Victor zdjął płaszcz z wieszaka.

– Muszę się przewietrzyć – wyjaśnił. Elektryczność przebiegała z trzaskiem przez jego ciało i zaczynała się już przelewać. Dol zaskomlał. Mitch się skrzywił, ale Sydney nie chciała odpuścić.

– Ale przecież pada! – zaprotestowała.

– Nie rozpuszczę się.

Jednak dziewczynka sięgała już po swój płaszcz.

– Świetnie – powiedziała. – W takim razie idę z tobą.

– Sydney...

Stała już pod drzwiami.

– Zejdź mi z drogi! – warknął.

– Nie! – odpyskowała, zagradzając przejście drobnym ciałem.

– Rusz się! – rzucił Victor z desperacją w głosie.

Sydney nie chciała ustąpić.

– Nie, chyba że powiesz mi, co się dzieje. Wiem, że coś ukrywacie. Widzę, że kłamięcie. To nie fair. Zastługuję na...

– Ruszaj się! – rozkazał. A chwilę potem, nawet nie myśląc – bo nie było na to czasu, brzęczenie narastało, sekundy mijały, a on musiał stąd uciec – uruchomił swoją moc, złapał Sydney, nie sięgając do jej nerwów, ale do całego ciała, i popchnął. Poleciała w bok, jakby ją fizycznie przesunął, a on przebiegł koło niej ku drzwiom.

Wtedy uderzył go pierwszy spazm.

Zatoczył się i oparł o ścianę, jęcząc głucho przez zaciśnięte zęby.

Sydney obok podniosła się do kłęczek. Kiedy osunął się na podłogę, wściekłość na jej twarzy ustąpiła miejsca przerażeniu.

– Co się dzieje? Coś nie tak?

Victor pochylił głowę, próbując złapać oddech i wykrztusił:

– Zabierz... ją...

Mitch już tam był, odciągając dziewczynkę od Victora.

– Co mu jest?! – załkała, walcząc z uściskiem wielkiego mężczyzny.

Victor zdołał otworzyć drzwi i zrobić jeden krok, zanim ból ogarnął go niczym fala przyplywu. Upadł tam, gdzie stał.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, była Sydney, wrywająca się z objęć Mitcha i biegnąca ku niemu.

A potem wszystko wymazała śmierć.



– Sydney?!

Victor zaczerpnął powietrza, oddychając płytko.

– Sydney, słyszysz mnie?

To mówił Mitch, niskim, błagalnym tonem.

Victor usiadł i zobaczył przyjaciela kłęczącego na podłodze, skulonego nad drobną postacią. Sydney. Leżała na wznak, całkowicie nieruchomo, z jasnymi włosami wokół głowy i pobladałą twarzą. Mitch chwycił ją za ramię, potrząsnął, a potem przyłożył ucho do jej piersi.

Victor wstał. Podłoga zakolysała mu się pod stopami. W głowie miał mętlik i nie mógł poskładać myśli – jak zawsze po ataku. Przesunął wewnętrzny regulator w górę, wyostrając swoje nerwy niemal do bólu. Potrzebował tego uczucia, by oczyścić umysł.

– Suń się – powiedział, kłęcząc koło dziewczynki.

– Zrób coś! – zażądał Mitch.

Skóra Sydney pozostała chłodna – ale przecież zawsze taka była. Poszukał tętna i po kilku rozpaczliwych sekundach, które ciągnęły się w nieskończoność, wyczuł jedno, słabutkie uderzenie serca. Oddychała, ale równie powoli.

Victor przycisnął dłoń do jej mostka, sięgnął do nerwów i spróbował bardzo delikatnie poruszyć suwakiem. Nie za daleko, tylko tyle, żeby wywołać jakąś reakcję.

– Obudź się – rozkazał.

Nic się nie stało.

Podciągnął suwak o milimetr.

„Obudź się!”

Nic. Nadal leżała na podłodze, chłodna i nieruchoma.

Victor złapał ją za ramię.

– Sydney, zbudź się! – rozkazał, posyłając impuls przez jej drobne ciało.

Zachłysłnęła się powietrzem, otworzyła oczy, a potem przetoczyła się na bok, kaszłąc. Mitch ruszył, by się nią zająć, a Victor osunął się na podłogę pod drzwiami. Serce tłukło mu się w piersi.

Kiedy Sydney zdołała wreszcie usiąść, spojrzała na Mitcha i Victora szeroko otwartymi oczami, w których kryła się nie złość, lecz smutek. Mógł odczytać z jej twarzy pytanie, to samo, które rozbrzmiewało echem w jego głowie.

„Co ja narobiłam?”



Victor usiadł na balkonie i patrzył na padający śnieg, białe płatki na tle ciemnego nieba.

Powoli zamarzał. Mógłby założyć płaszcz, znieczulić nerwy, odciąć uczucie zimna i w ogóle wszystkie bodźce. Zamiast tego rozkoszował się mrozem, patrząc, jak jego oddech unosi się w kłębach pary daleko w nocne niebo, i korzystał z chwili ciszy.

We wnętrzu apartamentu znów zabłysły światła, lecz Victor nie potrafił zmusić się do powrotu. Nie mógł znieść wyrazu twarzy Sydney. Mitcha zresztą też.

Mógł odejść.

Powinien odejść.

Odległość by go nie ocaliła, ale mogła ochronić jego przyjaciół.

Drzwi za jego plecami się rozsunęły. Usłyszał lekkie kroki Sydney. Zapadła w fotel koło niego, podciągając kolana do piersi. Przez kilka minut panowało milczenie.

Dawno, dawno temu Victor obiecał Sydney, że nie pozwoli nikomu jej skrzywdzić, ponieważ to on pierwszy skrzywdzi wszystkich wrogów.

Złamał tę obietnicę.

Oglądał teraz swoje dłonie, przypominając sobie chwilę tuż przed atakiem, kiedy usunął Sydney z drogi. Nie dotykał wówczas jej nerwów, a przynajmniej nie kombinował z regulacją bólu... a jednak nią poruszył. Wstał z fotela, rozważając konsekwencje tego wydarzenia. Był w połowie drogi do drzwi, kiedy Sydney w końcu przerwała milczenie.

– Czy to boli? – zapytała.

– Teraz nie – odpowiedział wymijająco.

– Ale wtedy, kiedy się dzieje – nalegała. – Czy wtedy to boli?

Odetchnął głęboko. W powietrze unióś się kłęb pary.

– Tak.

– Jak długo boli? – dopytywała. – Mocno? Jak się czuleś, kiedy...

– Sydney – przerwał jej.

– Chcę wiedzieć – powiedziała żałośnie. – Muszę to wiedzieć!

– Dlaczego?

– Bo to moja wina. Ja ci to zrobiłam – wyznała. Victor pokręcił głową, lecz tym razem nie dała sobie przerwać. – Powiedz mi. Powiedz mi prawdę. Kłamałeś przez cały czas, więc przynajmniej teraz możesz mi powiedzieć, jak się wtedy czuleś.

– Jakbym umierał.

Wstrzymała oddech jak po ciosie w splot słoneczny. Victor westchnął i podszedł do krawędzi balkonu. Balustrada była oblodzona i śliska. Przesunął po niej palcami, czując ukąszenia mrozu.

– Opowiadałem ci kiedykolwiek, jak uzyskałem PonadPrzeciętną moc?

Sydney pokręciła głową tak energicznie, że jej włosy się zakotyły. Doskonale wiedział, że nigdy jej tego nie mówił. Raz tylko zwierzył się jej, o czym wtedy myślał, ale nie poza tym. Nie była to kwestia zaufania lub jego braku, a raczej tego, że oboje pozostawili przeszłość za sobą i nie chcieli do niej wracać – z wyjątkiem kilku wybranych wspomnień.

– Większość PonadPrzeciętnych zyskuje moc w losowych wypadkach – zaczął, wpatrując się w śnieg – ale Eli i ja byliśmy inni. Chcieliśmy znaleźć sposób, by wywołać zmianę. To wyjątkowo trudne zadanie. Ktoś musi umrzeć... to znaczy zabić się, naumyślnie, a druga osoba – kontrolować jego stan i wskrziesić go. Musieliśmy znaleźć sposób, by odejść na tamten świat, ale niedaleko, tak żeby dało się nas ściągnąć z powrotem, a wszystko to tak, żeby nie uszkodzić ciała. Jakby tego było mało, nasza metoda powinna była pozbawić obiekt eksperymentu kontroli na tyle, żeby zaczął się bać, ponieważ do trwałej metamorfozy całego organizmu musi doprowadzić biochemiczna zmiana wywołana przez strach i adrenalinę.

Uniósł głowę i przyjrzał się niebu.

– Tej nocy, kiedy umarłem, to nie był mój pierwszy raz – dodał cicho. – Próbowałem już wcześniej i mi się nie udało. Przy przedawkowaniu, jak się okazało, miałem za dużo kontroli, a za mało się bałem. Dlatego postanowiłem spróbować ponownie. Tymczasem Eliowi udało się za pierwszym podejściem, a ja byłem zdecydowany mu dorównać. Doprowadziłem więc do sytuacji, w której nie mogłem przejąć kontroli. Znalazłem się w takim położeniu, że nie pozostało mi nic oprócz strachu i bólu.

– Jak? – szepnęła Sydney.

Zamknął oczy i przywołał wspomnienie Angie, stojącej z jedną ręką na panelu z kontrolkami.

– Przekonałem kogoś, żeby mnie torturował.

Dziewczynka syknęła, wciągając powietrze. Victor mówił dalej.

– Zostałem przywiązany do stalowego stołu i podłączony do prądu. Znajdował się tam regulator i ktoś, kto go obsługiwał, a ból był tym większy, im wyższe napięcie włączała moja współniczka. Powiedziałem jej, żeby nie przestawała, aż moje serce się zatrzyma – powiedział, zaciskając dłonie na lodowatej poręczy. – Ludzie mają bardzo powierzchowne pojęcie na temat bólu. Myślą, że wiedzą, czym jest i na czym polega, ale to naprawdę tylko ogólne pojęcie. Kiedy zaczynasz czuć go tak jak ja, staje się czymś całkowicie innym – wyjaśnił i odwrócił się znów ku dziewczynce. – Więc jeżeli zapytasz mnie, jak się czuję podczas ataków, to odpowiem, że za każdym razem czuję się tak, jakbym umierał. Jakby ktoś podciągał suwak coraz wyżej, aż nie wytrzymam.

Sydney zbladła jak papier.

– Ja to zrobiłam – wymamrotała pod nosem, ściskając kolana. – Ja ci to zrobiłam.

Victor podeszedł i ukląkł przed jej fotelem.

– Sydney, żyję dzięki tobie – powiedział z mocą. Po policzkach dziewczynki popłynęły łzy, a on dotknął jej ramienia. – Ocalałaś mnie.

Popatrzyła na niego jasnobłękitnymi oczami, teraz czerwonymi od płaczu.

– Ale cię popsulałam.

– Nie... – zaczął mówić i przerwał. Przyszedł mu do głowy nowy pomysł. Ledwie jego załazek, jasna iskierka, lecz wciąż jeszcze słaba. Osłonił ją, próbując rozdmuchać mocniejszy płomień, a kiedy to robił, zdał sobie z czegoś sprawę.

Szukał w złym miejscu. Próbował znaleźć zwyczajne rozwiązanie.

A przecież nie był przeciętnym człowiekiem, a to, co mu się zdarzyło, również było nieprzeciętne.

PonadPrzeciętna uszkodziła jego moc.

Teraz potrzebował innej PonadPrzeciętnej osoby, żeby ją naprawić.

IX

DWA LATA WCZEŚNIEJ

POŁUDNIOWE BROUGHTON

To zadziwiające, co w niektórych kręgach uchodziło za muzykę.

Victor oparł się o kontuar. Potworny hałas dobiegał ze sceny, na której grupa facetów z całych sił waliła w instrumenty. Plus tej sytuacji, jak sądził, polegał na tym, że zagłuszał dźwięk rosnący w jego głowie. Minus – że w jego miejsce powoli zaczynała pojawiać się migrena.

– Hej! – wrzasnął do niego barman. – Chcesz się napić?

Victor odwrócił się z powrotem ku barowi i stojącemu za nim facetowi.

Will Connelly był wielkim chłopem, metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Miał kwadratową szczękę, grzywę czarnych włosów i wszystko, co wskazywało, że mógł być osobą PP.

Victor odrobił pracę domową: już jakiś czas temu kazał Mitchowi odtworzyć wzorzec wyszukiwania, ten sam, na podstawie którego Eli, a potem również policja, odnajdywali kolejnych PonadPrzeciętnych, a który nieco później doprowadził Victora do Dominika.

Potrzebowali dwóch miesięcy, by znaleźć pierwszy trop – kobietę z Południa, która potrafiła cofać czas, ale nie umiała naprawić uszkodzeń ciała ani umysłu, a potem kolejnych trzech, zanim wpadli na drugi ślad – mężczyznę rozbierającego rzeczy na części i składającego je z powrotem. Niestety, jego talentu nie dało się wykorzystać w przypadku żywych istot.

Odnalezienie PonadPrzeciętnego było wyjątkowo trudne.

Odnalezienie takiego, który potrafiłby naprawiać innych, było dużo, dużo trudniejsze.

Ostatnim tropem był Will Connelly, który zwiął ze szpitalnego łóżka bez oficjalnego wypisu, jakieś dwa dni po wypadku. Lekarze osłupieli. To sugerowało talent uzdrowiciela.

Pytanie brzmiało: czy Will będzie potrafił uzdrowić Victora? Do tej pory nikomu się to nie udało.

– No i jak? – zapytał Connelly, przekrzykując muzykę.

– Glen Ardoch! – odwrzasnął Victor, pokazując gestem butelkę na półce za barmanem. Była pusta.

– Zaraz przyniosę następną! – oznajmił gromko Connelly, dając znak drugiemu barmanowi, żeby go na chwilę zastąpił, a potem wyszedł zza kontuaru.

Victor odczekał chwilę, po czym podążył za nim korytarzem w głąb budynku. Znalazł go w otwartym składziku.

– Zmieniłem zamówienie.

Barman zamachnął się na niego, a wówczas Victor użył swojej mocy i jednym potężnym pchnięciem zrzucił go ze schodów.

Connelly nie spadł z bardzo wysoka, lecz na dole stała stalowa ściana z beczek piwa. Mężczyzna uderzył w nie z łomotem, który zapewne zwróciłby uwagę wszystkich, gdyby nie hałas dobiegający ze sceny.

Victor podążył za nim, idąc spokojnie na dół, podczas gdy barman powoli wstawał, trzymając się za łokieć.

– Kurwa, złamałeś mi ramię!

– No cóż – wycedził Victor. – Może w takim razie je sobie naprawisz?

Na twarzy Connelly'ego odbiło się zaskoczenie.

– Co? O czym ty mówisz...

Jego rozmówca pstryknął palcami i barman zatoczył się, tłumiąc krzyk bólu. Nie trzeba było go uciszać. Basy z klubu nad ich głowami były dość głośne, by zagłuszyć nawet odgłosy morderstwa.

– Okej! – wydyszał Connelly. – Już, dobra.

Victor zdjął blokadę, a tamten się wyprostował. Odetchnął kilka razy, a potem całe jego ciało zadrżało. Dygot był tak szybki i gwałtowny, że przypominał bardziej wibrację. Tak jakby cofał taśmę. Ułamek sekundy później ramię zwisało swobodnie u jego boku, a z twarzy zniknął grymas bólu.

– Świetnie – ocenił Victor. – A teraz napraw mnie.

– Nie umiem – wyznał Connelly, wyraźnie zmieszany. Victor zgiął palce, a tamten zatoczył się z powrotem na beczki i skrzywnie. – Nie... nie potrafię! – wydyszał. – Nie sądzisz... że jakbym umiał... pomóc innym... to bym... to robił? Cholera... Byłbym pierdolonym mesjaszem, a nie pracował w tym jebanym barze!

Wyglądało na to, że ma rację.

– To działa tylko na mnie!

„Kurwa”, pomyślał Victor, a ułamek sekundy później zadzwoniła jego komórka. Wyciągnął ją z kieszeni i zobaczył na ekranie: Dominik.

Dominik, który dzwonił do niego tylko w razie prawdziwych kłopotów.

Odebrał połączenie.

– Co się dzieje?

– Złe wieści – powiedział ekszołnier.

Tymczasem w składziku Connelly złapał z półki butelkę i wywijając nią jak maczugą, rzucił się na Victora... a przynajmniej spróbował. Ten podniósł jednak wolną dłoń i ciało Connelly'ego zatrzymało się gwałtownie w pół skoku. Victor złapał barmana i przytrzymał. Ćwiczył tę nową umiejętność od wieczoru, kiedy przesunął Sydney. Nauczył się, że ból i ruch to dwa aspekty kontrolowania innych. Wywołanie bólu było proste; zatrzymanie ruchu – trudniejsze, ale po pewnym czasie zaczęło mu całkiem niezłe wychodzić.

– Mów dalej – poprosił Dominika.

– Dobra, no więc wiesz, sporo gości, którzy odchodzą z wojska, trafia do sektora prywatnego. Ochroniarze, jednostki do zadań specjalnych, ogólnie praca dla mięśniaków. Czasem oferty są legalne, czasem nie, ale zawsze znajdzie się robota dla ludzi z pewnymi umiejętnościami, jeżeli chcą i potrafią.

Connelly wciąż walczył z blokadą założoną przez Victora, próbując ją przełamać całym ciężarem ciała, tak jakby siłowali się na rękę. Tak jakby był to pojedynek mięśniaków, nie umysłów.

– No więc poszedłem na drinka ze starym kumplem z woja – ciągnął Dominik. – Facet zamówił sobie bourbona, ja zostałem przy wodzie sodowej...

– Streszczaj się – popędził go Victor, zmuszając barmana do ukłęknięcia.

– Racja, przepraszam. No więc opowiedział mi o nowym ogłoszeniu w sprawie pracy. Jest tajne. Nie pojawia się publicznie, nie ma ogłoszeń w papierowych gazetach ani w sieci, wieść rozchodzi się między ludźmi, na gębę. Żadnych szczegółów, tylko nazwa. A dokładnie skrót. PION.

Victor zmarszczył brwi.

– PION?

Connelly próbował krzyknąć, ale Victor zacisnął mu usta.

– Tak, PION – potwierdził Dominik. – Ten skrót oznacza: „PonadPrzeciętni: Instytucja Obserwacji i Neutralizacji”.

Victor zeszywniał.

– To jakieś więzienie?
– Albo coś w tym stylu. Szukają strażników, ale także szkolą funkcjonariuszy, którzy będą polowali na takich jak my.

Victor rozważał tę informację.

– Co jeszcze powiedział ci ten przyjaciel?

– Niewiele, ale dał mi wizytówkę. Normalnie jak w jakimś gównianym filmie sensacyjnym. Z jednej strony tylko cztery litery, a z drugiej – nazwisko i numer telefonu. Nic więcej.

– Czyje nazwisko? – zapytał Victor, czując, że zna odpowiedź.

– Dyrektora Marka Stella.

Stell. To nazwisko sprawiło, że Victor poczuł ciarki na skórze. Gliniarz, który przesłuchiwał go jeszcze w Lockland, prowadząc śledztwo w sprawie śmierci Angie. To dzięki Stellowi spędził pięć lat w izolatce i kolejne cztery na oddziale ogólnym. Ten sam śledczy namierzył Elia w Merit dekadę po wydarzeniach w Lockland i uległ wpływowi Sereny Clarke. Stell był jak uparty pies – kiedy raz złapał kość, nie puszczał. A teraz to. Organizacja, stworzona, by polować na osoby PP.

– Pomyślałem, że wolałbyś wiedzieć – powiedział Dominik.

– Miałeś rację – odparł Victor i zakończył rozmowę.

„Co za bałagan”, pomyślał, kręcąc głową. Victor Vale umarł i został pochowany na cmentarzu Merit, ale wystarczył choćby cień podejrzenia... cholera, ciała ekshumowano z setek powodów. A on zostawił po sobie pustą trumnę. Od tego mogło się zacząć kolejne śledztwo. Nie byłby to świeży ślad, ale wystarczył, by zaczęły się problemy. Ile by zajęło ludziom z PION-u złapanie tropu, a potem samego Victora?

– Puść... mnie... – wydusił z siebie Connelly przez zaciśnięte zęby.

– Proszę bardzo – powiedział Victor. Barman zatoczył się i upadł, pozbawiony równowagi. Już się podnosił, kiedy Victor wyciągnął pistolet i strzelił mu prosto w skroń.

Nad nimi szalała przez cały czas ciężka, ostra muzyka.



– Chcę pięć słodkich pianek! – zażądała Sydney, siedząca na kuchennym blacie. Dziś wieczorem miała na sobie okazałą fioletową perukę.

– To za dużo – zaproponował Mitch, stojący przy kuchence.

– Dobrze, w takim razie trzy.

– A może cztery?

– Nie lubię parzystych liczb. O! Hej, Victor! – przywitała się Sydney, beztrąsko wymachując nogami. – Mitch robi gorącą czekoladę!

– Jaka sielanka – skomentował Victor, zdejmując płaszcz. Nie pytali o to, jak mu poszło tego wieczoru z Connollym, ale wyczuł, że atmosfera zgęstniała, napięta niczym struna. Jego milczenie było wymowne.

Popatrzył na Mitcha.

– Chciałbym, żebyś znalazł jak najwięcej danych na temat PION-u.

– A co to takiego?

– Spory problem – powiedział Victor, po czym przekazał im informacje od Dominika. Sydney zbladła, a Mitch najpierw wydawał się zaskoczony, a potem – zatroskany. Kiedy Victor skończył, skierował się do swojego pokoju. – Pakujcie się.

– Dokąd teraz jedziemy? – zapytała Sydney.

– Fulton. Capstone. Dresden. Capital City.

Mitch się zafrasował.

– Przecież już byliśmy we wszystkich tych miejscach.

– Wiem – odparł Victor. – A teraz wracamy. Musimy po sobie posprzątać.

Przez twarz Sydney przemknął cień.

– Chcesz ich pozabijać – odgadła. – Wszystkich ludzi, z którymi się spotykałeś...

– Nie mam wyboru – odparł.

– A jednak masz – sprzeciwiła się, krzyżując ramiona na piersi. – Dlaczego od razu chcesz...

– Niektórzy wiedzą o mojej przypadłości. Niektórzy poznali moją moc. Wszyscy widzieli moją twarz. Od tej chwili nie będziemy zostawiali absolutnie żadnych śladów. To oznacza, że zanim ruszymy naprzód, musimy się cofnąć.

Stanęli przed wyborem: pozostawić za sobą ślad znaczony trupami albo znaczony świadkami. Żadna z tych możliwości nie była doskonała, ale zwłoki nie mogły przynajmniej składać zeznań. Rozwiązanie Victora wydawało się logiczne, lecz Sydney to nie przekonywało.

– Jeżeli zabijesz wszystkich PonadPrzeciętnych, z którymi się spotkałeś, to czym się będziesz różnił od Elia? – zapytała.

Victor zacisnął zęby, a potem odparł:

– Nie będzie to dla mnie przyjemne, Sydney, ale jeżeli odnajdą ich ludzie z PION-u, to zaczną deptać nam po piętach. Chcesz, żeby tak się stało?

– Nie, ale...

– Wiesz, co zrobią ludzie z PION-u, jak nas złapią? Najpierw zabiją Dola, a potem zamkną ciebie, mnie i Mitcha tak głęboko, że już nigdy, przenigdy nie zobaczymy światła dziennego ani siebie nawzajem – oznajmił. Sydney otworzyła szeroko oczy, ale on ciągnął: – Jeżeli będziesz miała szczęście, wsadzą cię za kratki. Samą. Jeżeli nie, będą prowadzić na tobie eksperymenty naukowe...

– Victor! – usiłował przerwać mu Mitch, lecz on podszedł tylko bliżej. Sydney wpatrywała się w niego z zaciśniętymi pięściami, a on spojrzał jej prosto w oczy.

– Myślisz, że działam jak Eli? Uważasz, że bawię się w Boga? Świetnie, Sydney, w takim razie twój ruch. Zdecyduj, tu i teraz, kto powinien żyć. My czy oni?

Łzy zawisły na jej rzęsach. Nie patrzyła mu prosto w twarz, opuściła wzrok na jego koszulę. Jej usta poruszyły się, ale nie usłyszał dźwięku.

– Co to było? – zapytał.

Tym razem powiedziała nieco głośniejsze.

– My.

X

CZTERY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

HALLOWAY

Victor chwycił krawędź umywalki, czekając, aż lekarstwo zacznie działać, i zastanawiając się, czy czasem jego skuteczność nie wynika z efektu placebo. Mniej medycyny, więcej nieuzasadnionej nadziei, że będzie spokojniej, że zyska na czasie, że potrafi się kontrolować.

Puścił umywalkę i wrócił do sypialni, gdzie na szafce leżał plik kartek. Z leżącej na wierzchu patrzyło na niego zdjęcie Jacka Lindena. Victor zaczerpnął profil mechanika, wykreślając jedną linię tekstu po drugiej, aż zostały tylko dwa słowa, złożone z dziesięciu liter rozrzuconych losowo po całej stronie.

N A P R A W M N I E

Patrzył na nie przez dłuższą chwilę, a potem zgniótł papier i rzucił w kąt pokoju.

Powoli kończyły im się tropy.

A jemu kończył się czas.

„3 minuty, 49 sekund”.

– Victor! – zawołała niecierpliwie Sydney.

Wyprostował się.

– Idę! – odkrzyknął, wyjmując niewielkie niebieskie pudełko z najwyższej szuflady.

W salonie wyłączono światła.

Sydney klęczała przed niskim stolikiem, na którym tuż obok tortu piętrzył się niewielki stos prezentów. Na torcie paliło się osiemnaście świeczek, posyłając w powietrze różnokolorowe iskry. Mitch stał z założonymi na piersi rękami. Wydawał się zadowolony.

– Pomyśl jakieś życzenie – zasugerował.

Sydney przeniosła spojrzenie z tortu na Mitcha, a potem na Victora.

Przez jej twarz przemknął cień i zniknął. Zaraz potem zdmuchnęła wszystkie świece.



Osiemnaście świeczek. Sydney sama nie mogła w to uwierzyć, układając je w równy rząd obok na wpół zjedzonego tortu. Osiemnaście. Dol próbował zlizać trochę kremu czekoladowego ze stołu, lecz Victor odsunął jego pysk, a Mitch w tym czasie dał Sydney pierwszy prezent. Z figlarnym uśmiechem przyjęła od niego pakunek, potrząsnęła nim, a potem rozdarła papier i wyciągnęła czerwoną bomberkę.

Zobaczyła ją na wystawie sklepowej w jednym z odwiedzonych przez nich miast i zatrzymała się, zachwycona wyglądem prezentującego ją chudego manekina. Postać

wygięta w eleganckie, rozwarne „S”, dłonie w kieszeniach na biodrach.

Nie powiedziała wtedy na głos, że chciałaby mieć nie tylko taki strój, ale przede wszystkim figurę. Sama kurtka była na nią za duża – rękawy sięgały przynajmniej dwadzieścia centymetrów poniżej jej dłoni.

– Przepraszam – usprawiedliwił się Mitch. – To był najmniejszy rozmiar.

Zdobyła się na uśmiech.

– W porządku – powiedziała. – Kiedyś do niej dorosnę.

W tamtej chwili uwierzyła, że rzeczywiście tak się stanie. Któregoś dnia.

Mitch wręczył jej kolejne pudełko, paczkę z adresem nadawcy w Merit. Dominik. Tęskniła za ekszołnierzem. Victor rozmawiał z nim czasem przez telefon, ale żadne z nich nie widziało go osobiście od wyjazdu z Merit. Było to jedno z miast, do których nigdy nie zawitali ponownie.

Zbyt wiele szkieletów w szafie, jak sądziła.

Aż się ugięła pod ciężarem prezentu od Dominika. Wewnątrz znalazła parę glanów ze wzmocnionymi stałą noskami, o podeszwach grubych na kilka centymetrów. Siadła na podłodze i założyła je, starannie sznurując. Kiedy z powrotem stanęła, poprosiła Mitcha, żeby się nie ruszał, i porównała swój obecny wzrost z jego potężną postacią. Teraz sięgała mu do mostka zamiast do brzucha. Mitch przyjaźnie zmierzył jej perukę.

Wreszcie Victor podał jej małe niebieskie pudełko.

– Tylko nie potrząsaj – przestrzegł.

Sydney kłęknęła przy stoliku i wstrzymała oddech, unosząc wieczko.

Wewnątrz, na aksamitnej poduszeczce, leżał szkielet ptaszka. Bez piór, bez skóry ani mięśni – tylko kilkadziesiąt cienkich, delikatnych kosteczek, idealnie ułożonych na błękitnym aksamicie.

Mitch wzdrygnął się na ten widok, lecz Sydney wyprostowała się, trzymając pudełko przy piersi, tak jakby kryła się w nim jakaś bliska jej tajemnica.

– Dziękuję – powiedziała z uśmiechem. – Jest idealny!

XI

PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

MERIT

Tej nocy, kiedy Victor umarł w wieżowcu Falcon Price, Sydney nie mogła zasnąć.

Dominik wziął garść pigułek i popił je szklanką whiskey, a potem zwałił się bezwładnie na kanapę. Mitch, poobijany, zakrwawiony i zamyślony tak, jakby znajdował się tysiąc kilometrów dalej, zapadł w niespokojną drzemkę kilka minut później.

Tymczasem Sydney usiadła, a Dol nadstawił uszu. Myślała o zwłokach Victora spoczywających w kostnicy i zwęglonych szczątkach Sereny na placu budowy, aż w końcu senność ostatecznie jej minęła. Założyła buty i wymknęła się z mieszkania.

Dotarła do parceli Falcon Price tuż przed świtem – jak mawiała Serena, o najczarniejszej godzinie nocy. W czasie, kiedy na świat wyłażą duchy i potwory.

Cały plac budowy został odgradzony taśmą policyjną.

Sydney skuliła się i prześlizgnęła między płytami ogrodzenia na wysypaną żwirem przestrzeń. Policjanci już odjechali, hałas i światła zniknęły, a z nocnego chaosu pozostały tylko znaczniki z numerami, plamy zaschniętej krwi i biały, plastikowy namiot.

Wewnątrz znajdowało się ciało Sereny, a właściwie to, co z niego zostało. Ogień palił się dość długo, a wysoka temperatura sprawiła, że ze zwłok zostało nieco poczerniałej skóry i kruchych kości. Sydney wiedziała, że płomienie już dawno zgasły, a mimo to, kiedy wyciągnęła dłoń w kierunku zwęglonych pozostałości, na wpół oczekiwała, że kości ją sparzą. Ale nie, nie były gorące ani nawet ciepłe. W tych szczątkach nie pozostała już nawet iskra życia. Połowa już się pokruszyła, a większości pozostałych groził podobny los przy najbliższym dotknięciu, chociaż gdzieś tam były jeszcze bardziej wytrzymałe fragmenty.

Sydney zaczęła w nich grzebać.

Chciała zdobyć pamiątkę, która pozwoliłaby jej wspominać siostrę, kawałek, który mogłaby zachować. Dopiero kiedy zagłębiła ręce po łokcie w zwęglonym stosie, dotarło do niej, co właściwie robi.

Szukała sposobu, by wskrzesić Serenę.



Sydney zaczęła umierać – co prawda tylko w snach.

Koszmary zaczęły się po opuszczeniu Merit. Niemal każdej nocy, gdy tylko zamknęła oczy, znajdowała się znów na zamarznętym jeziorze, tam, gdzie trzy lata wcześniej lód popękał i połamał się, a potem toń połknęła ją i jej siostrę.

W tych snach Serena była cieniem na odległym brzegu, postacią stojącą ze skrzyżowanymi ramionami, czekającą i obserwującą, ale Sydney nigdy nie stała na lodzie sama, przynajmniej na początku snu. Dol trzymał się blisko niej, próbując lizać zamrożone podłoże, a Dominik, Mitch i Victor formowali wokół niej luźny krąg.

Tymczasem z pewnej odległości zmierzał ku nim żwawo przez jezioro postawny mężczyzna z ciemnoblond fryzurą, uśmiechając się przyjacielsko.

Eli, który nigdy się nie starzał, nie zmieniał i nie umierał.

Eli, przez którego włosy na karku stawały jej dęba tak jak nigdy przedtem.

– Wszystko w porządku, mała – mówił Dominik.

– Jesteśmy tutaj – mówił Mitch.

– Nie pozwolę mu cię skrzywdzić – dodawał Victor.

A na końcu i tak okazywało się, że mijali się z prawdą.

Nie dlatego, że świadomie kłamali, ale dlatego, że nie mogli dotrzymać obietnicy.

Jezioro zaczęło nagle trzeszczeć tak, jakby ktoś łamał gałęzie w lesie. Łód pod ich stopami rozjeżdżał się we wszystkie strony.

– Uciekać! – wołała, nie wiedząc, czy zwraca się do nich, czy do Elia, ale nie miało to najmniejszego znaczenia. I tak nikt jej nie słuchał.

Eli dalej zbliżał się do nich przez jezioro. Szedł po nich. Po nią! Pod nim łód pozostał twardy i gładki, ale za każdym razem, kiedy stawiał krok, ktoś inny znikał.

Krok.

Jezioro rozstępowało się pod Dominikiem.

Krok.

Mitch tonął jak kamień.

Krok.

Dol wpadał w szczelinę i szedł pod wodę.

Krok.

Victor znikał pod powierzchnią.

Krok.

Tonęli jeden po drugim.

Krok.

Aż zostawała sama.

Sama z Eliem.

– Cześć, Sydney – mówił wesoło.

Czasami miał nóż.

Czasami – pistolet.

Czasem niósł ze sobą zwój liny.

A Sydney zawsze miała puste ręce.

Chciała nieustępliwie walczyć, chciała stawić czoła potworowi, ale ciało zawsze ją zdradzało. Wbrew własnej woli zaczynała biec w kierunku brzegu, ślizgając się i potykając.

Czasami niemal jej się udawało.

Czasami nawet się nie zbliżała do brzegu.

Nie miało to znaczenia. Cokolwiek robiła, sen zawsze kończył się tak samo.

XII

CZTERY LATA WCZEŚNIEJ

DRESDEN

Sydney usiadła, niemal się zachłystując.

Obudziła się na dźwięk pękającego lodu, syków i trzasków rozpadającej się lodowej tafli. Dłuższą chwilę trwało, zanim zorientowała się, że dźwięki nie pochodzą już z jej koszmaru, tylko z kuchni.

I są to odgłosy towarzyszące rozbijaniu i smażeniu jajek. Oraz syki i trzaski bekonu na rozgrzanej patelni.

Rodzice Sydney nigdy nie robili śniadania. Owszem, w domu zawsze było jedzenie – albo przynajmniej pieniądze na jedzenie, w słoiku stojącym w kuchni – ale nigdy nie jedli posiłków całą rodziną. To wymagałoby jednoczesnej obecności ich wszystkich. Inaczej niż w rodzinnych filmach, w ich domu nigdy nie budził nikogo zapach śniadania, ani w Boże Narodzenie, ani w urodziny, a już na pewno nie w zwyczajny wtorkowy poranek.

Jeżeli Sydney budził syki i zapach smażonego bekonu albo szcęk tostera, oznaczało to, że po kuchni krząta się Serena. Śniadanie w jej wykonaniu zawsze było prawdziwą uczcą – i zawsze zostawało po nim jeszcze mnóstwo jedzenia.

– Jak tam, śpiochu? Zgłodniałaś? – pytała Serena, nalewając jej soku do szklanki.

Wtedy półprzytomna, zaspana Sydney, zanim jeszcze zorientowała się dokładnie, gdzie się znajduje, niemal wyfruwała z łóżka, żeby przyłapać siostrę przy pracy.

Dlatego teraz serce dziewczynki przyspieszyło. Zobaczyła jednak ściany obcego apartamentu, a na nieznajomej szafce nocnej – czerwoną puszkę zawierającą doczesne szczątki Sereny Clarke. Przypomniała sobie, gdzie jest i co się dzieje.

Dol pisnął cicho w nogach łóżka, najwyraźniej rozdzierany pomiędzy lojalnością wobec Sydney a miłością do jedzenia.

– Jak tam, śpiochu? Zgłodniałaś? – zapytała, drapiąc go za uszami. Sapnął z ulgą, odwrócił się i otworzył sobie drzwi nosem. Dziewczynka podążyła za nim w głąb wynajętego apartamentu – jedenastego, w którym mieszkali, w piątym mieście z kolei. Całkiem miłe miejsce, jak zawsze. Byli w drodze – uciekali – od blisko sześciu miesięcy, a Sydney wciąż chodziła na paluszkach, wstrzymując oddech, na wpół spodziewając się, że Victor odeśle ją do rodziców. Przecież ani razu nie powiedział wprost, że może z nimi zostać. Po prostu nigdy nie kazał jej odejść, a ona nigdy o to nie prosiła.

W kuchni królował Mitch, przyrządzający śniadanie.

– Cześć, dzieciaku – przywitał się. Tylko on tak się do niej zwracał. – Chcesz jeść?

Jednocześnie wykladał jajka sadzone na dwa talerze, trzy dla niego i jedno dla niej (ale, jak zawsze, bekon podzielił pół na pół).

Wzięła pasek bekonu z talerza, podzieliła się z Dolem i rozejrzała po apartamencie.

W sumie... nie tęskniła za domem.

Ani za rodzicami. Wiedziała, że powinna mieć z tego powodu wyrzuty sumienia, ale w gruncie rzeczy czuła się tak, jakby straciła ich na długo przed swoim zniknięciem. Jej pierwsze wspomnienia z domu rodzinnego krążyły wokół spakowanych walizek i długoterminowych opiekunek do dzieci, a ostatnie, ze szpitala – dwóch cieni rodziców, zostawiających ją samą na sali po wypadku na jeziorze.

Ludzie, z którymi teraz podróżowała, byli jej bliżsi niż matka i ojciec.

– Gdzie jest Victor?

– Och... – Mitch zrobił tę minę, starannie wypraną z emocji, którą przybierali dorośli, kiedy próbowali przekonać dziecko, że wszystko jest w porządku. Zakładali zawsze, że jeśli nic nie powiedzą, to dzieciak się nie domyśli, co było błędem.

Serena mawiała, że potrafi rozpoznać, kiedy ktoś kłamie, bo wtedy wszystkie niedopowiedziane rzeczy zawisają w powietrzu, tworząc ciężką atmosferę, niczym cisza przed burzą.

Sydney może i nie wiedziała, na czym dokładnie polega łgarstwo Victora, ale nieomal namacalnie czuła, że dzieje się coś złego.

– Wyszedł na spacer – powiedział Mitch. – Jestem przekonany, że wkrótce wróci.

Wiedziała, że on również kłamie.

Odsunęła pusty talerz.

– Okej – stwierdził Mitch, podsuwając jej talię kart. – Wyciągnij jedną.

Tę grę wymyślili zaraz po Merit, kiedy musieli się na trochę przyciąć. Konieczność zachowania dyskrecji kolidowała z naturalną potrzebą opuszczania od czasu do czasu czterech ścian. Victor często był nieobecny, a to oznaczało, że Sydney i Mitch spędzali mnóstwo czasu razem (przy czym dobroduszny ekswięzień najwyraźniej nie miał pojęcia, co robić z trzynastolatką, która potrafi wskrzeszać zmarłych).

– Co byś robiła, gdybyś była teraz...

Sydney wiedziała, że chciał powiedzieć „w domu”, ale odpowiedziała:

– W Brighton? Pewnie siedziałabym w szkole.

– Lubiałaś szkołę?

Wzruszyła ramionami.

– Lubiałam się uczyć.

Mitch pojaśniał na te słowa.

– A wiesz, że ja też? Tyle że nigdy nie mieszkałem długo w jednym miejscu. Rodziny zastępcze i tak dalej. Dlatego nie przejmowałem się za bardzo szkołą... ale nie trzeba do niej chodzić, żeby się uczyć. Mógłbym ci dać parę lekcji...

– Naprawdę?

Mitch zarumienił się lekko.

– No, jest mnóstwo rzeczy, których nie wiem, ale może moglibyśmy uczyć się razem? – zaproponował i wyciągnął z kieszeni talię kart. – To może tak: kiery to literatura, trefle – nauki przyrodnicze, kara – historia, a piki – matma. Tak na dobry początek.

– A figury?

Wówczas Mitch porozumiewawczo się uśmiechnął.

– Jeżeli wyciągniesz figurę, to gdzieś pójdziemy.

Teraz Sydney wstrzymała oddech i wyciągnęła kartę ze środka, mając nadzieję, że będzie to król albo dama.

Wybrała szóstkę trefl.

– Następnym razem będzie lepiej – pocieszył ją, rozkładając laptopa. – Dobra, zobaczymy, jakie eksperymenty możemy przeprowadzić w tej kuchni...

Byli w połowie produkowania domowej lampy z lawą, kiedy drzwi się otworzyły i wrócił Victor. Wydawał się bardzo zmęczony, a twarz miał ściągniętą, jakby z bólu. Sydney poczuła, że atmosfera gęstnieje.

– Głodny? – zapytał Mitch, lecz Victor tylko machnął ręką i opadł na krzesło przy kuchennym stole. Wziął swój tablet i zaczął w roztargnieniu przesuwać palcem po ekranie. Mitch postawił przed nim kubek czarnej kawy.

Sydney przysiadła na blacie i przyglądała się Victorowi.

Za każdym razem, kiedy wskrzeszała zwierzę albo człowieka, wyobrażała sobie nic zawieszoną w ciemności. Siłą umysłu chwyciła koniec tej nici i ciągnęła ku sobie, z powrotem ku światłu, ale kiedy skończyła, nigdy nie puszczała nici. Sama nie wiedziała, jak to się dzieje. Mogła wyczuć ją teraz, kiedy Victor był w domu, ale i wcześniej, gdy chodził po mieście. Czuła ją ciągle, bez względu na to, jak daleko odszedł, tak jakby jego energia, jego napięcie wprowadzało tę niewidzialną strunę w wibracje, docierające aż do niej.

Dlatego nawet gdyby atmosfera nie była tak napięta, gdyby Mitch nie patrzył na Victora tak jak teraz, a Victor nie unikał jej spojrzenia, wiedziałyby, że dzieje się coś złego.

– O co chodzi, Sydney? – zapytał Victor, nie podnosząc wzroku.

„Powiedz mi prawdę”, pomyślała. „Po prostu powiedz mi prawdę”.

– Na pewno wszystko w porządku? – odpowiedziała pytaniem.

Powoli podniósł głowę i popatrzył na nią chłodno.

Jego usta drgnęły w uśmiechu, jak zawsze, kiedy miał skłamać.

– Nigdy nie czułem się lepiej.

XIII

TRZY LATA WCZEŚNIEJ

CAPITAL CITY

Sydney przemknęła obok pnia drzewa, a promienie słońca usiały jej skórę jasnymi cętkami.

Wyciągnęła figurę, damę karo, ale pogoda była tak piękna, że gdyby los dał jej inną kartę, podmieniłaby ją na pikowego króla otrzymanego od Victora, tylko po to, by wyrwać się z apartamentu.

Victor.

Pamięć podsunęła jej obraz mężczyzny osuwającego się pod drzwiami, tłumiącego krzyk, zwijającego się na podłodze do pozycji embrionalnej. Poczowała również ból, ukłucie prosto w serce, a potem ciemność, ale to akurat jej nie przeraziło.

Przeraził ją natomiast Victor, jego cierpienie, jego śmierć w męczarniach.

Ponieważ to wszystko było jej winą. Polegał na mocy Sydney, a ona go zawiodła.

Ożywiła go, ale nie tak, jak powinna. Popsuła jego moc.

To była tajemnica, na tym polegało kłamstwo.

„Tak, jakbym umierał”.

Spacerowała, patrząc pod nogi, na pokrytą mchem ziemię. Gdyby ktokolwiek skupił na niej wzrok, założyłby zapewne, że szuka kwiatów. Tymczasem wiosna miała się ku końcowi; o tej porze roku młode ptaki wyfruwają z gniazd w nadziei, że polecą dalej. Nie wszystkim jednak się to udawało, a Sydney zawsze szukała istot, które mogłaby wskrziesić, obiektów, na których mogłaby ćwiczyć swoje zdolności.

Wiedziała już, jak sięgnąć do wnętrza ciała i przywrócić je do życia. A co, jeżeli dane stworzenie było martwe od dłuższego czasu? Co w przypadku, kiedy ciało nie było kompletnie? Ile musiało go pozostać, by mogła znaleźć nić życia? Jaka część?

Dol zawzięcie węszył w pobliskiej kępie trawy, a po przeciwnej stronie polany Mitch położył się na zboczu wzgórza, z podniszczoną książką opartą na kolanie i okularach przeciwsłonecznych na nosie.

Mieszkali teraz w Capital City, mieście wielu parków i wieżowców, równie górzystym, jak Fulton było płaskie.

Podobało jej się tutaj. Nie miałyby nic przeciwko pozostaniu tu na dłużej, chociaż wiedziała, że tak się nie stanie. Przyjechali do Capital City tylko dlatego, że Victor szukał jeszcze jednej osoby PP, kogoś, kto potrafiłby naprawić to, co zepsuła Sydney.

Coś trzasnęło pod jej stopą.

Spojrzała w dół i zobaczyła zmiażdżone pisklą zięby. Ciało leżało tu już od dość dawna, żeby wtopić się w mech. Dość długo, żeby odpadły od niego pióra i nawet całe skrzydło, a kruche kości rozsypały się pod jej butem jak skorupka jajka.

Sydney klękła nad malutkim szkieletem.

Zdażyła się już dowiedzieć, że wskrzeszenie żywej istoty to jedna sprawa, ale odbudowanie najpierw jej uszkodzonego ciała – całkiem inna. Miała tylko jedną szansę. Nauczyła się tego na własnych błędach, próbując rozplątywać nici i patrząc, jak kości rozsypują się pod jej dotykiem w proch, ale żeby zyskać biegłość w swojej sztuce, musiała

ćwiczyć. A Sydney chciała – ba, musiała być coraz lepsza, więc teraz delikatnie objęła palcami szczątki ptaszka, zamknęła oczy i sięgnęła w głębi.

Chłód przebiegł przez nią falą, gdy rozglądała się w ciemności, poszukując nici, włókna, jasnej smużki. Na pewno kryła się gdzieś tam, nieco dalej, tak słaba, że Sydney nie potrafiła jej dostrzec – jeszcze nie teraz. Musiała zdać się na instynkt. Płuca ją zabolaly, ale sięgała coraz głębiej, wiedząc, że jest niemal u celu, jeszcze troszkę, jeszcze...

Poczuła, jak pisklak drga pod jej dłonią. Delikatnie, niczym spokojny puls.

A potem...

Otworzyła oczy, czując, jak chłodny powiew muska jej usta, i zobaczyła, że ptaszek wznosi się na słabych jeszcze skrzydełkach i skrywa w koronie drzewa.

Sydney wyprostowała się i odetchnęła niepewnie.

– No proszę, to była całkiem niezła sztuczka.

Uniosła raptownie głowę. Przez sekundę – dosłownie sekundę – wydawało jej się, że patrzy na ducha. Platynowoblond włosy, lodowate błękitne oczy i olśniewający uśmiech na sercowatej twarzy.

Ale to nie była Serena.

Z bliska było widać, że dziewczyna ma wyższe kości policzkowe niż jej siostra, szerszy podbródek i oczy, w których tańczyły filuterne ogniki. Dol zmarszczył pysk, błyskając zębami, ale kiedy nieznamoma wyciągnęła dłoń, powąchał ją ostrożnie, a potem się uspokoił.

– Dobry piesek – powiedziała dziewczyna, która nie była Sereną, a w jej głosie zabrzmiał śpiewny akcent, niczym muzyka. Spojrzała na Sydney. – Przestraszyłam cię?

– Nie – wydo była z siebie dziewczynka przez zaciśnięte gardło. – Wyglądałaś tylko jak... jak ktoś inny.

Tamta uśmiechnęła się z namysłem.

– Mam nadzieję, że ktoś fajny – odparła, po czym wyciągnęła dłoń ku koronie drzewa. – Widziałam, co zrobiłaś z tym ptaszkiem.

Serce Sydney przyspieszyło.

– Nic nie zrobiłam.

Nieznamoma wybuchła lekkim, beztróskim śmiechem, a potem przeszła za pnium drzewa. Kiedy pojawiła się z powrotem, była już kimś innym. Minęła sekunda, potrzebna, by zrobić krok, ale blond piękność zniknęła, a Sydney patrzyła teraz w znajomą twarz Mitcha.

– To wielki świat, dzieciaku – powiedział. – Nie ty jedna masz talent do robienia niesamowitych rzeczy.

Wiedziała, że tak naprawdę to nie on. Nie tylko dlatego, że prawdziwy Mitch wciąż czytał książkę po drugiej stronie polany, ale również dzięki akcentowi, przebijającemu wciąż spod jego głosu.

Nieznamoma podeszła i znów zmieniła kształt. Mitch zniknął, a zastąpiła go szczupła dziewczyna w falbaniastej spódnicy, o blond lokach spiętych w nieporządną kok.

Popatrzyła po sobie.

– To moja ulubiona postać – powiedziała na wpół do siebie.

– Jak to zrobiłaś? – zapytała Sydney.

Tamta uniosła brew.

– „Nic nie zrobiłam” – powiedziała, powtarzając jej słowa, a potem znów szeroko się uśmiechnęła. – Widzisz? Czy to nie zabawne: kłamać, kiedy obie znamy prawdę?

Sydney przelknęła ślinę.

– Jesteś PP!

– PP?

– PonadPrzeciętna. Tak właśnie ich nazywają... to znaczy nas.

Dziewczyna zastanowiła się chwilę.

– PonadPrzeciętna? Podoba mi się to – oceniła, po czym gwizdnęła z zadowoleniem. – Proszę – powiedziała, podnosząc z trawy malutką ptasią czaszkę. – Widziałas moją sztuczkę, to pokaż mi jeszcze raz swoją.

Sydney wzięła w dłoń czaszkę nie większą od pierścionka. Była cała, nieuszkodzona – ale nie wystarczała.

– Nie potrafię – odparła, oddając ją. – Za dużo brakuje.

– Syd! – zawołał Mitch z oddali.

Nieznajoma wyjęła z tylnej kieszeni pozaginaną zakładkę, a z koka – długopis. Naskrobała coś pospiesznie na tekturce i wręczyła ją Sydney.

– W razie gdybyś potrzebowała kiedyś przyjaciółki – powiedziała i się pochyliła. – Dziewczyny takie jak my powinny się trzymać razem – dodała, puszczając oko.

Mitch znów zawołał Sydney.

– Lepiej już idź. Nie chcemy martwić tego wielkiego faceta – rzuciła dziewczyna i musnęła dłonią pysk Dola. – Pilnuj swojej pani – przykazała mu.

– Do zobaczenia! – odpowiedziała Sydney.

– Jasne!

Mitch czekał na nią po drugiej stronie polany.

– Z kim rozmawiałaś?

Wzruszyła ramionami.

– Z jakąś laską – odparła, zdając sobie sprawę, że nie zapytała tamtej o imię. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła ją, stojącą wciąż pod drzewem i unoszącą małą białą czaszkę ku światłu.

Wieczorem Sydney wpisała sobie numer do telefonu. Zaraz potem wysłała jej esemesa.

„Zapomniałam ci powiedzieć: mam na imię Sydney”.

Wstrzymała oddech i czekała.

Kilka sekund później nadeszła odpowiedź.

„Miło było cię poznać, Sydney. Jestem June”.

XIV

CZTERY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

HALLOWAY

Sydney pomagała Mitchowi dokończyć ciasto, kiedy poczuła, że jej komórka wibruje w tylnej kieszeni spodni.

Przeprosiła, prześlizgnęła się do swojego pokoju, zamknęła drzwi i przeczytała wiadomość.

June: Sto lat, Syd xoxo

Poczuła, że się uśmiecha.

June: Dostałaś coś ładnego?

Sydney posłała jej zdjęcie bomberki.

Syd: Ale nie pasuje.

June: Dobry, stary styl nigdy nie wyjdzie z mody ;)

Odwrociła się do lustra na szafie, uważnie obserwując swoje odbicie.

Osiemnaście.

Oficjalnie była dorosła, nawet jeżeli tak nie wyglądała.

Popatrzyła na buty. Na jasnoniebieskie włosy. Na bomberkę – naprawdę dla niej za dużą. Ile lat minie, zanim będzie na nią pasować? Dziesięć? Dwadzieścia?

Według Victora to, że Sydney praktycznie się nie starzała, miało coś wspólnego z okolicznościami jej śmierci, z lodowatą wodą, która zamroziła jej ciało i zatrzymała tętno. Minęło tyle lat, a jej procesy życiowe wciąż zachodziły wolniej, skóra ciągle była chłodna w dotyku. Wszyscy inni się zmieniali – Victor coraz bardziej się garbił, a do tego chudł, zmarszczki wokół oczu Mitcha się pogłębiały, a pysk Dola siwiał.

Tylko Sydney wydawała się wciąż taka sama.

„Podobnie jak Eli”, pomyślała i przeszedł ją dreszcz. Eli jednak zniknął z jej życia. Powinna przestać go wspominać, przestać przywoływać go ciągle przed oczy.

Skurczyła się na brzegu łóżka.

Syd: Gdzie jesteś?

June: Właśnie przyjechałam do Merit.

Tętno Sydney przyspieszyło.

Syd: Naprawdę? Jak długo zostajesz?

June: Mam robotę. Jestem tylko przejazdem.

Syd: Chciałabym tam być z tobą.

June: Mogłabyś ;)

Ale obie wiedziały, że to nie takie proste.

Sydney nie mogła zostawić Victora, a on jak dotąd był przekonany, że Merit – i wszystkie tamtejsze tajemnice – należą do przeszłości.

XV

DWA LATA WCZEŚNIEJ POŁUDNIOWE BROUGHTON

Na biurku Sydney leżała martwa mysz – skulona na ściereczce w kwiatki.

Najwyraźniej dopadł ją kot. W ciele brakowało mnóstwa kawałków, w sumie zostało go trochę więcej niż połowa. Był koniec lata, więc dziewczynka uchyliła i zablokowała okno, by w pokoju nie zbierał się smród.

Dol oparł pysk na ramie okna, wachając powietrze wpadające z dworu, od strony schodów pożarowych, podczas gdy ona pracowała. Ożywiała już wcześniej kilka razy małe zwierzęta, które najczęściej natychmiast uciekały spod jej dłoni w głąb apartamentu, kryjąc się głęboko pod sofą albo za szafką. Wówczas wzywała na pomoc Mitcha, który pomagał je wypłoszyć. Victor zauważył jej ćwiczenia i nawet ją do nich zachęcał, ale pod jednym warunkiem: nie wolno jej było zatrzymać żadnego ze wskrzeszonych zwierząt. Musiała je wypuszczać na wolność albo się ich pozbyć (Dol był oczywiście jedynym wyjątkiem od tej zasady).

W korytarzu stuknęły otwierane, a potem zamykane drzwi. Pies zastrzygł uszami.

Wrócił Victor.

Sydney wstrzymała oddech i słuchała, mając nadzieję na dobre wieści. Jednak zarówno ton jego głosu, jak i odpowiedzi Mitcha wskazywały, że to kolejny ślepy zaułek.

Serce jej się ścisnęło i z powrotem skoncentrowała się na martwej myszy, składając dłonie nad małym, futrzanym trupkiem. Na łóżku obok biurka leżał jej plecak, a na nim – mała czerwona puszka. Zerknęła na nią, tak jak za każdym razem. Weszło jej to w nawyk i stało się rytuałem, jak odpukiwanie w niemalowane drewno czy spluwanie przez lewe ramię. Zamknęła oczy i sięgnęła poza ciało, w ciemność, szukając nici. Z każdą sekundą chłód wspinał się coraz wyżej: obejmował jej palce, potem nadgarstki, łokcie...

Aż w końcu poczuła nic, a pod złożonymi dłońmi coś drgnęło.

Westchnęła i zamrugała oczami. Mysz ożyła, cała i zdrowa, i właśnie wymykała jej się z rąk, biegnąc po biurku.

Rzuciła się i złapała małego gryzonia, a potem wystawiła go na schody pożarowe i zamknęła okno, zanim zwierzątko zdążyło wskoczyć z powrotem, po czym ruszyła ku drzwiom, by opowiedzieć Victorowi i Mitchowi o swoim sukcesie, mimo że koniec końców jego skala była niewielka.

W pół drogi zwolniła jednak, a potem stanęła. Powstrzymał ją ton głosu Mitcha.

– ...czy to było naprawdę konieczne?

– To czysta kalkulacja – odparł chłodno Victor. Nastąpiła chwila milczenia, po czym rozległ się dźwięk lodu grzechoczącego w szklance. – Myślisz, że uwielbiam zabijać ludzi?

– Nie... nie wiem. Myślę, że czasem wybierasz najłatwiejsze wyjście zamiast najwłaściwszego.

Szydercze prychnięcie.

– Jeżeli pijesz do tego, co stało się z Sereną...

Na dźwięk tego imienia Sydney wstrzymała oddech. Od trzech lat nie słyszała, by ktokolwiek je wymieniał.

– Można to było załatwić w inny sposób – upierał się Mitch.

– Nie można było – wycedził Victor. – Doskonale o tym wiesz, nawet jeżeli udajesz, że jest inaczej.

Sydney przycisnęła dłoń do ust.

– Proszę bardzo, zwal na mnie całą winę za tamtą noc, Mitch. Umyj ręce od wszystkiego. Tylko nie zachowuj się tak, jakby Serena Clarke była niewinna, postronną osobą albo ofiarą przypadku. Była wrogiem, stanowiła zagrożenie i zabicie jej było nie tylko przejawem inteligencji – było jak najbardziej właściwe.

Kroki Victora zabrzmiały twardo na parkiecie korytarza.

Sydney cofnęła się w głąb pokoju. Podeszła do okna, otworzyła je i wyszła na schody pożarowe. Oparła łokcie na metalowej barierce, próbując udawać, że patrzy w zadumie na panoramę miasta, a nie zaciska pięści tak mocno, że bolą ją palce.

Victor jednak minął jej drzwi, nawet nie oparla głowę o metalowe pręty.

Kiedy jego kroki ucichły, opadła na kolana i oparła głowę o metalowe pręty.

Zalały ją wspomnienia tamtej nocy. Głos Sereny w jej uszach, mówiący, żeby nie uciekała, podporządkowujący sobie jej umysł, ręce i nogi posłusznie spełniające nakazy siostry. Zimny piętrowy parking i lufa pistoletu przy jej głowie. Długa pauza, a potem rozkaz: „idź”. Tam, gdzie będzie bezpiecznie. „Tam”, które zaczęło oznaczać raczej czyjeś towarzystwo, a konkretnie Victora.

Ale Victor...

Część jej umysłu wiedziała o tym od dawna. Musiała o tym wiedzieć.

Miała ochotę zacząć wrzeszczeć. Zamiast tego uciekła. Skacząc po dwa stopnie naraz, zbiegła ze schodów pożarowych, nie przejmując się tym, jaki robi przy tym hałas.

Zeskoczyła na ulicę i ruszyła dalej. Jedna przecznica, trzy, pięć – nie orientowała się, dokąd biegnie, wiedziała tylko, że nie może wrócić i spojrzeć Victorowi w oczy.

Wyciągnęła z tylnej kieszeni komórkę i wybrała numer June. Korespondowały od niemal roku, wymieniając krótkie wiadomości, opowiadając sobie, gdzie są i co robią, ale Sydney nigdy nie dzwoniła do przyjaciółki.

Sygnal w słuchawce zabrzmiał raz, drugi, trzeci.

Ale nikt nie odebrał.

Zwolniła kroku. Początkowy szok zaczynał właśnie krzepnąć, przechodzić w trwalszy stan. Wściekłość? Rozejrzała się. Stała w wąskiej uliczce, czymś pośrednim między boczną alejką i główną ulicą. Ludzie mówili, że duże miasta nie zasypiają, ale robi się w nich bardzo cicho. I ciemno.

„Wracaj już”, mówił głos w jej głowie, ale ponieważ brzmiał jak Victor, szła dalej.

To była pomyłka.

Najgorsze w pomyłkach było to, że nie zawsze były wielkie czy też oczywiste. Zdarzały się raczej przy okazji najprostszych, najmniej ważnych decyzji. Idź dalej. Skręć w lewo, a nie w prawo. Zrób kilka kroków w niewłaściwym kierunku.

Sydney próbowała po raz kolejny zadzwonić do June, kiedy ich zauważyła. Dwoch mężczyzn. Jednego w czarnej skórzanej kurtce, drugiego z chustką na szyi.

Stanął, nie wiedząc, czy się odwrócić, co oznaczałoby, że mężczyźni znajdą się za jej plecami, czy też iść naprzód – w takim wypadku musiałaby przejść tuż koło nich. Z początku jej nie zauważyli, a może tylko udawali, teraz jednak popatrzyli prosto na nią i się uśmiechnęli.

Wyglądali na nieszkodliwych, inaczej niż w filmach, które oglądała z Mitchem. Wiedziała jednak, że to nic nie znaczy. Wszyscy, którzy kiedykolwiek ją skrzywdzili, z początku wydawali się nieszkodliwi. Im dłużej stała w miejscu, tym wyraźniej czuła podmuch zła, rozchodzącego się od nich niczym zapach wody po goleniu. Mogła je niemalże powąchać i posmakować.

– Hej, dziewczynko – powiedział jeden, skręcając ku niej. – Zgubiłaś się?

– Nie – odparła zdecydowanie. – I nie jestem dziewczynką.

– Co to za czasy teraz – pożalili się drugi. – Dzieciaki tak szybko dorastają!

Sydney nie wiedziała, jakim cudem dopadli jej tak szybko, ale kiedy tylko zaczęła się wycofywać, a potem zrobiła w tył zwrot, by uciec, czyjaś ręka chwyciła ją za kołnierz. Facet w skórzanej kurtce odwrócił ją siłą ku sobie i objął ramieniem.

– No już, bądź grzeczna!

– Zabieraj łapy! – krzyknęła, ale mężczyzna ścisnął ją za mocno. Nie mogła oddychać ani myśleć. Poczowała, jak coś twardego wpija jej się w zębra, i zdała sobie sprawę, że gość ma pistolet. Zaczęła więc się w jego uścisku, starając się chwycić broń.

– Ostrożnie – powiedział drugi facet, zbliżając się do niej. – Ma charakterek!

Spróbowała go kopnąć, ale odskoczył i pogroził jej palcem. Jej palce ześlizgnęły się po kolbie pistoletu. Nie zdołała go chwycić.

Poczwała na policzku gorący, nieswieży oddech pierwszego.

– Wyluzuj, mała, zabawimy się!

Walnęła go potylicą w nos, a właściwie spróbowała, ale jej głowa sięgała mu tylko do brody. Mimo to trafiła w kość i usłyszała trzask łamanych zębów, a w następnej sekundzie była wolna. Upadła na kolana, tymczasem facet zatoczył się do tyłu, a broń wypadła mu spod kurtki i potoczyła się po ulicy. Sydney skoczyła i złapała ją w chwili, gdy drugi mężczyzna chwycił jej kostkę i pociągnął z całych sił.

Przejechała po betonie, ocierając sobie łokcie i podbródek, a potem obróciła się i uniosła broń, celując w serce tamtego.

– Puść mnie! – wrzasnęła.

– O cholera – rzucił facet w chustce, ale drugi parsknął tylko pogardliwie. Krew ciekła mu z kącika ust. – To strasznie wielka spluwa jak na taką małą dziewczynkę.

– Puśćcie mnie!

– A wiesz w ogóle, jak jej używać?

– Tak! – Mówiąc to, nacisnęła spust, przygotowując się na odrzut i huk wystrzału.

Ale nic się nie stało.

Mężczyzna się roześmiał, co zabrzmiało jak warczenie psa, i wytrącił jej z rąk pistolet, który potoczył się w bok.

– Ty mała dziwko – powiedział, unosząc stopę w ciężkim butcie, tak jakby Sydney była pluskwą, którą trzeba rozdeptać, a potem opuścił ją ciężko... a przynajmniej próbował. Jego noga zatrzymała się w połowie ruchu, a facet upadł. Spomiędzy jego zaciśniętych zębów rozległ się urywany, przerażający dźwięk. Sekundę później drugi napastnik również padł, dygocząc, a od wylotu uliczki podszedł do nich Victor z kołnierzem postawionym dla ochrony przed chłodem.

Poczwała, jak zalewa ją fala ulgi zmieszanej z przerażeniem.

– Co ty tu robisz?

Mężczyźni na ulicy wili się w niemej męce. Z ich nosów ciekła krew, pękały im naczynia krwionośne w gałkach ocznych.

Victor klęknął i podniósł porzuconą broń.

– Byłoby miło, gdybym usłyszał chociaż „dziękuję”.

Wstała na trzęsących się nogach i ogarnęła ją wściekłość.

– Śledziłeś mnie!

– Tylko nie próbuj mi tu moralizować, Sydney. Wymknęłaś się bez pytania.

– Zdecydowałam się wyjść. Nie jestem więźniem.

– Ale jesteś dzieckiem, a ja obiecałem chronić...

– Obietnica, której nie umiesz dotrzymać, to tylko inna nazwa kłamstwa! – Prychnęła pogardliwie. Miała już dosyć tego, że wszyscy naokoło lżą jak najęci. Mitch skłamał, mówiąc jej, że Victor jest absolutnie zdrowy. Eli również ją oszukał, twierdząc, że nic jej

nie zrobi. Serena lgała, obiecując, że jej nigdy nie opuści. A Victor miał się z prawdą niemal codziennie, od kiedy go wskrzesiła. – Nie chcę, żebyś mnie ratował! – wypaliła. – Wolę zadbać o siebie sama.

Victor zważył pistolet w dłoni.

– Świetnie – powiedział, podając jej go. – Po pierwsze: odbezpiecz broń.

Sydney wzięła ją, dziwiąc się jej wadze. Pistolet był cięższy, niż się spodziewała... ale zarazem lżejszy. Kciuk zsunął jej się na przełącznik z boku broni.

– Jeżeli chcesz, nauczę cię strzelać – zaproponował Victor, odwracając się ku wylotowi uliczki.

Sydney nie była jeszcze gotowa, by opuścić to miejsce.

– Victor! – zawołała, ściskając kolbę. – Zrobiłeś to?

Zwolnił i stanął. Odwrócił się do niej.

– Co zrobiłem?

Nie spuściła wzroku.

– Czy zabiłeś Serenę?

Westchnął tylko. Najwyraźniej spodziewał się takiego pytania, ale nie odpowiedział. Sydney podniosła broń, celując w jego pierś.

– Czy to zrobiłeś?!

– A jak myślisz?

Zacisnęła dłoń.

– Chcę, żebyś powiedział to wprost!

Ruszył ku niej powoli, nie zwalniając ani nie przyspieszając.

– Kiedy się spotkaliśmy, ostrzegłem cię. Niektórzy powiedzieliby, że nie jestem dobry.

– Wyduś to z siebie! – zażądała.

Victor zatrzymał się na wyciągnięcie ręki, z lufą pistoletu opartą o żebra. Spojrzał na Sydney.

– Tak, zabiłem Serenę.

Jego słowa zraniły Sydney, ale ból był tępy. Nie taki jak od rany klutej ani taki jak w lodowatej wodzie. Takie uczucie towarzyszyło zwykle chwili, kiedy spełniały się czyjeś obawy, kiedy podejrzenie okazywało się uzasadnione.

– Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś?

– Była niestabilna i nieobliczalna. Stanowiła zagrożenie dla wszystkich, którzy stanęli jej na drodze.

Ależ on o niej mówił. Tak samo jak o wszystkich innych. Jakby byli tylko elementami równania. Serena nie była jednak elementem równania... ani problemem do rozwiązania.

– Była moją siostrą.

– Zabiłaby cię.

– Nie – wyszeptwała Sydney.

– Gdybym jej nie zlikwidował, policjanci wciąż pozostawaliby pod jej urokiem. Nie aresztowaliby Elia. Chodziłby wolno.

Sydney zadygotała, a razem z nią zadrżał pistolet w jej dłoni.

– Dlaczego spaliłeś jej ciało?

– Nie chciałem ryzykować, że ją wskrzesisz – powiedział i powoli unióśł dłoń ku pistoletowi. Chwyił luźno za lufę, nie tak mocno, żeby uniemożliwić strzał, gdyby nacisnęła spust, ale na tyle pewnie, by ustabilizować broń. – Tego właśnie chcesz? Zabicie mnie nie zwróci jej życia. Czy poczujesz się bezpieczniej, kiedy będę martwy? Przemysł to dobre, Sydney. Wszyscy musimy żyć z konsekwencjami naszych decyzji.

Zatrzęsa się.

A potem puściła kolbę.

Victor chwycił broń, zanim upadła na ziemię. Wysunął magazynek, a potem kucnął tak, by patrzeć jej prosto w oczy.

– Spójrz na mnie – powiedział zimno, łapiąc ją za podbródek. – Następnym razem, kiedy w kogoś wycelujesz, upewnij się, że jesteś gotowa nacisnąć spust.

Wstał, położył broń na pobliskiej skrzyni i poszedł.

Sydney objęła się ramionami i klękła na chodniku. Nie wiedziała, jak długo pozostawała w takiej pozycji, aż w końcu zadzwonił telefon. Trzęsącymi się dłońmi wydobyla komórkę z kieszeni i odebrała.

– Cześć, dzieciaku! – powiedziała June, wyraźnie zdyszana. – Przepraszam, kończyłam pewną robotę. Co tam u ciebie?



Dziesięć minut później Sydney siedziała w całodobowej jadłodajni, trzymając kubek herbaty.

To był pomysł June.

Krzesło naprzeciwko dziewczyny było puste, ale jeżeli wbiła wzrok we wnętrze kubka i skupiła się na głosie z telefonu, mogła sobie wyobrazić, że rozmówczyni siedzi z nią przy stoliku. Dźwięki dobiegające z innej jadłodajni w innym mieście – sygnał oznajmiający, że czyjeś zamówienie jest gotowe do odbioru, dzwonienie łyżeczki mieszającej cukier w kubku – tworzyły dla ich rozmowy tło, miękkie niczym kurtyna.

– Powiedziałaś, że pracowałaś – próbowała podtrzymać rozmowę Sydney. – Co takiego robisz?

Po drugiej stronie na chwilę zapadło milczenie.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– No tak.

– Zabijam ludzi.

Sydney przełknęła ślinę.

– Złych?

– Tak, w większości przypadków.

– Lubisz tę pracę?

Cichy dźwięk, coś pomiędzy westchnieniem a śmiechem.

– A co byś sobie o mnie pomyślała, gdybym powiedziała, że tak?

Sydney popatrzyła na puste krzesło po drugiej stronie stolika.

– Pomyślałabym, że przynajmniej jesteś szczerą.

– Co się tam dzisiaj stało? – zapytała June. – Powiedz mi.

Zrobiła to. Słowa płynęły niczym fala. Nie mogła uwierzyć, jak łatwo jej było rozmawiać z June, jak dobrze im się gadało, szczerze i od serca, wbrew atmosferze wiecznej tajemnicy. Od śmierci Sereny nie czuła się tak swobodnie. Ta rozmowa była niczym haust świeżego powietrza po wynurzeniu się spod wody.

Wszystko to sprawiło, że nareszcie poczuła się normalnie.

Opowiedziała tamtej o Victorze i Mitchu. O swojej siostrze, o dniu, kiedy obie utonęły, o tym, jak wróciły między żywych, Sydney powoli, a Serena natychmiast. Opowiedziała

o umiejętnościach Sereny i o mocy Elia.

– Czy jest taki jak my? – zapytała June.

– Ależ nie! – zachłysnęła się Sydney. Wzięła głęboki oddech. – To znaczy, tak, jest PonadPrzeciętny, ale nie jest taki jak my. Uważa, że jesteśmy źli, że nie powinniśmy istnieć. Dlatego zaczął nas zabijać. Zabił kilkadziesiąt osób, zanim Victor go powstrzymał – mówiła coraz ciszej, aż obniżyła głos do szeptu. – Moja siostra... ona i Eli...

Ale przecież nie była to do końca wina Sereny. Jej starsza siostra pogubiła się na długo przedtem, zanim znalazł ją Eli.

Sydney również się pogubiła, ale ją z kolei odnalazł Victor.

Serena nie była w żaden sposób winna temu, że dostał jej się wilk, a Sydney – łowca.

– Wiem, co się stało z Sereną – oświadczyła June.

Sydney zeszywniała.

– Co?

Westchnienie.

– Żeby móc przybrać czyjąś twarz, muszę dotknąć tej osoby. A kiedy to robię, widzę różne rzeczy. Nie wszystko, bo w mojej głowie nie ma miejsca na tyle bezużytecznych wspomnień, ale te fragmenty, które określają osobowość człowieka. Osoby, które kocha lub nienawidzi. Najważniejsze chwile. Tamtego dnia w parku, zanim się spotkałyśmy, dotknęłam ramienia Mitcha i zobaczyłam, jak stoi przed ogniem. Płomienie pochłaniały ciało jakiejś dziewczyny, a ja czułam tylko smutek i wyrzuty sumienia.

Sydney zamknęła oczy i próbowała się uspokoić.

– Mitch nie zabił Sereny – powiedziała. – To Victor.

– Dlaczego miałby to zrobić? – zapytała June.

Dziewczyna odetchnęła głęboko. Cała się trzęsła.

– Moja siostra potrafiła kontrolować ludzi. Rzuciła na nich urok. Potrafiła sprawić, żeby robili to, co chciała, wystarczyło, że kazała im to zrobić. Była mocna, przepiękna, ale... taka jak Eli. Uważała, że ludzie tacy jak my są pogubieni. Uszkodzeni.

– Może i miała rację – stwierdziła June.

– Jak możesz...

– Posłuchaj, być może jesteśmy uszkodzeni, ale mimo to jesteśmy w stanie funkcjonować. Przeżyliśmy, dlatego jesteśmy tak potężni. A co do rodziny – no cóż, więzy krwi zawsze tworzą rodzinę, ale rodzina nie zawsze musi się na nich opierać.

Sydney poczuła się nagle wyczerpana, pusta w środku.

– A co z tobą? – zapytała. – Masz jakąś rodzinę?

Długa pauza.

– Nie – odpowiedziała cicho June. – Już nie mam.

– A co się z nimi stało? Umarli?

– Nie. Ale ja tak. – Znów dłuższa chwila milczenia. – Rozumiesz, nie rozpoznaliby mnie.

– Ale przecież na początku byłaś sobą. Nie możesz zamienić się z powrotem w samą siebie?

– To skomplikowane. To, co potrafię – powiedziała wolno June – sprawia, że jestem niezwyciężona. Ale tylko tak długo, jak jestem kimś innym – dodała, po czym zastanowiła się chwilę. – Pochowałam kogoś, moja rodzina też. Nie pozostał po mnie grób, ale odeszłam. I tak musi zostać. Kiedy zmartwychwstałam, postanowiłam, że nikt nigdy mnie już nie zrani. W zamian za to wyrzekłam się wszystkich i wszystkiego.

Sydney zmarszczyła czoło.

– I co, było warto?

Długie milczenie. A potem June odpowiedziała:

– Tak. – Dźwięk kubka przesuwanego po stole. – Ale wiesz, tak jak powiedziałam, nie każda rodzina musi się opierać na pokrewieństwie, no nie? Czasami musimy sobie znaleźć

nową rodzinę, a czasem mamy szczęście i to ona znajduje nas.

Sydney spojrzała w herbatę.

– Bardzo się cieszę, że się spotkałyśmy.

Milczały obie przez kilka minut, a dźwięki, docierające do nich z obu jadłodajni, zacierają dzielącą je odległość. June nucila coś cicho, a Sydney żalowała, że nie siedzą przy jednym stoliku, naprzeciwko siebie.

Zamknęła oczy.

– Hej, June?

– Tak, Syd?

Głos jej się załamał.

– Nie wiem, co robić dalej.

– Mogłabyś odejść.

Myślała o tym. Zmęczyły ją ciągle przeprowadzki, życie na walizkach, pogoń za jednym tropem, a potem następnym, mimo że za każdym razem i tak trafiali na kolejną ślepa uliczkę. Miała dość oglądania, jak Victor cierpi, szczególnie że była za to odpowiedzialna. Z tego samego powodu nie mogła odejść. Tak, Victor zabił Serenę, lecz teraz Sydney zabijała jego, wciąż od nowa. Nie mogła go zostawić. Mitcha zaś nie chciała porzucać. Razem stanowili rodzinę; tylko taka jej pozostała. Przyjęli ją do siebie i dali nadzieję.

– Syd?

– Nie mogę.

– No cóż, trudno – powiedziała June. Sydney usłyszała w tle brzęk monet upuszczanych na stół i szurnięcie odsuwanej krzesła. – W takim razie chyba lepiej, żebyś wróciła do domu.

XVI

ROK WCZEŚNIEJ

EDGEFIELD

Jak na Halloween było zdecydowanie zbyt gorąco.

Tym razem zawitali do niewielkiego uniwersyteckiego miasta na Południu. Było tu parno, powietrze lepiło się do skóry. Ulicami przewalały się grupy nastolatków zmierzające na imprezy, więc Sydney zdecydowała, że również wyjdzie.

Stała przed lustrem w sypialni, poprawiając ciemnobrązową perukę. Umalowała usta najciemniejszą szminką, jaką miała, i podkreśliła oczy czarnymi liniami. Jednak im dorożej próbowała wyglądać, tym idiotyczniej się czuła. Ściągnęła perukę i rzuciła się na łóżko.

Podniosła telefon i przeczytała ostatnią wymianę esemesów z June:

June: No to wyjdź.

Syd: Nie mogę.

June: A kto ci zabroni?

June: Masz 17 lat.

June: Możesz podejmować decyzje sama.

June: Nie powstrzymają cię.

Sydney wstała i wróciła do lustra.

Poprzedniego dnia wybrała się z Mitchem do sklepu z kostiumami i znalazła strój typowej uczennicy z anime. Zdecydowała, że jeżeli postarzenie się nie działa, to przebierze się za kogoś, kto próbuje wyglądać młodziej.

Starannie uczesała swoje blond włosy, założyła plisowaną spódniczkę i poprawiła wstążkę zawiązaną na szyi. Do małego plecaka wsunęła pistolet – teraz już nigdzie się bez niego nie ruszała – a potem wymaszerowała z pokoju.

Victor siedział przy stole kuchennym, przeglądając profile potencjalnych PonadPrzeciętnych, Dol spał u jego stóp. Mitch siedział na kanapie, oglądając mecz uniwersyteckiej ligi futbolowej. Kiedy ją zobaczył, siadł prosto.

– Wystroiłaś się.

– Tak – potwierdziła, ruszając ku drzwiom. – Wychodzę.

Mitch skrzyżował ramiona na piersi.

– Sama? W życiu – rzucił, wyciągając talię kart z tylnej kieszeni. Na ich widok Sydney ogarnął nagły gniew.

– To nie jest jakaś głupia gra! – syknęła. – To moje życie!

– Sydney! – Głos Mitcha zabrzmiał dawno niesłyszaną stanowczością.

– Przestań traktować mnie jak dziecko!

– To przestań się tak zachowywać – wtrącił Victor, nie podnosząc wzroku.

Mitch pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Co w ciebie wstąpiło?

– Nic – warknęła. – Rzygam już tym ciągłym siedzeniem w czterech ścianach.

– Pozwól jej iść – poprosił Victor. – Od jej gadania boli mnie głowa.

– Nie pomagasz! – zaatakował go Mitch.

– Potrafi o siebie zadbać – zapewnił go Victor i spojrzął na nią. – Nieprawdaż, Syd? – dodał, a ona aż się zjeżyła na jego wyzywający ton. – No i co? – zadrwił. – Na co czekasz?

Wypadła z apartamentu, zatraskując za sobą z hukiem drzwi. Wybiegła na ulicę i przysiadła na chwilę na schodach.

„Co w ciebie wstąpiło?”

Nie miała pojęcia, ale wiedziała, że nie wytrzyma w apartamencie już ani chwili dłużej. Ta cęła. Ta imitacja rzeczywistości. Nie chodziło tylko o upał, o stałe przeprowadzki, ani nawet o to, że musiała patrzeć, jak życie wypływa z Victora niczym topniejący wosk. Chciała chociaż przez jeden wieczór poczuć się normalnie, jak człowiek.

Obok niej przemknął samochód, z okna wychylał się nastolatek, prezentując zastygłą w uśmiechu maskę przypominającą czaszkę. Przechodzące w pobliżu dziewczyny w zbyt krótkich spódnickach i zbyt wysokich szpilkach wybuchły śmiechem. Po przeciwnej stronie ulicy kilku chłopaków w maskach wilków uniosło głowy ku niebu i zawyło.

Sydney wstała i poszła na najbliższe skrzyżowanie. Do słupa telefonicznego przypięto zszywaczem z dziesięć ulotek, reklamujących imprezy w klubach i siedzibach studenckich bractw. „Bal Potworów!”, głosiła jedna z nich, a inna zapraszała na „Święto Strachu” literami ociekającymi krwią. Trzecia precyzowała rodzaj kostiumów: „Bohaterowie i Złoczyńcy”, a pod spodem, w nawiasie, dopisano zastrzeżenie: „Żadnych drugoligowych postaci!”.

Zerwała ze słupa ostatnią ulotkę i ruszyła przed siebie.



Już z ulicy usłyszała muzykę grającą we wnętrzu.

Ciężkie basy wylewały się przez otwarte frontowe drzwi, koło których facet w pelerynie obcałowywał dziewczynę w rogatej masce. W oknach za nimi błyskały światła stroboskopu, zsynchronizowane z muzyką, tak że cały dom wyglądał, jakby się poruszał.

Na taką imprezę chętnie poszłaby jej siostra. Tłum, jaki się tutaj zgromadził, owinęłaby sobie wokół palca. Taka właśnie była Serena. Zanim jeszcze zyskała moc, przywykła już do kontrolowania wszystkich naokoło. Nie zginała kolan przed światem, lecz zmuszała go, żeby przed nią klękał.

Jednak kiedy Sydney weszła na schody, jej determinacja zaczęła topnieć. Nie przebywała w tak licznych tłumie, od kiedy odwiedziła Serenę na uniwersytecie. Na chwilę przed tym, jak sprawy potoczyły się tak fatalnie.

Zamknęła oczy i zobaczyła, jak siostra nachyla się ku niej.

„Ale wyrosłaś!”

Poczuła uścisk ramion Sereny wokół szyi.

„Poznaj Elia”.

Chłód szklanki oranżady w dłoni.

„Możesz mu zaufać”.

Trzask strzału, rozlegający się w lesie echem.

– Kawaii!

Sydney rozejrzała się i dostrzegła ciemnoskórą dziewczynę w rzymskich sandałach, siedzącą na poręczy ganku, wymachując nogami i palącą papierosa.

– A może chibi? – dodała, wskazując jej przebranie. – Nigdy nie pamiętam...

Po czym podała Sydney papierosa, a ta go przyjęła. Nigdy nie paliła, ale widziała, jak to robi Serena.

„Sztuczka polega na tym, żeby utrzymać dym w ustach. O, w ten sposób”. Czubek papierosa rozżarzył się na czerwono, Serena policzyła na palcach, raz, dwa, trzy, a potem wypuściła idealną chmurę dymu.

Teraz Sydney zrobiła podobnie. Dym wypełnił jej usta, gorący i gryzący. Połaskotał jej nos i zaczął zakradać się do gardła, a ona szybko go wydmuchnęła, zanim złapał ją kaszel. Poczula, że trochę kręci jej się w głowie, ale za to wcześniejsze zdenerwowanie zniknęło.

Oddała tamtej papierosa i weszła na imprezę. Wewnątrz roilo się od studentów, tańczących, krzyczących, przechodzących, rozwalonych na fotelach... Zdecydowanie zbyt wielu. Czula, jak ktoś trąca ją łokciem, jak jej ramiona muskają peleryny i skrzydła. Falowała w morzu ciał.

Cofnęła się, próbując uciec spośród fal, i zderzyła się z facetem w czarnej maseczce. Serce stanęło jej na sekundę. Eli. Palce same sięgnęły do plecaka – ale to nie był on. Jasne, że nie. Ten chłopak był za niski, za gruby, jego głos za wysoki. Przepisnął się koło niej, wołając kumpla przez zatłoczony pokój.

Sydney już zaczynała czuć się spokojniej, kiedy ktoś złapał ją za rękę. Odwróciła się i zobaczyła wysokiego gościa w metalowym hełmie i spandeksowym wdzianku.

– Jak się tu dostałaś? – zapytał, po czym unosił jej ramię ku górze, jednocześnie podnosząc głos: – Kto przyprowadził tutaj tego dzieciaka? To czyjaś siostra?

Zobaczyła, jak w ich kierunku odwracają się kolejne głowy, i poczuła, że na twarz wypełza jej rumieniec.

– Nie jestem dzieciakiem! – prychnęła, uwalniając rękę.

– Taa, pewnie, nie ściemniaj – powiedział, popychając ją ku wyjściu.

W tym momencie Sydney wiele by dała, by zamienić się na umiejętności z Victorem.

Student wypchnął ją za próg.

– Idź zbierać słodycze gdzieś indziej!

Stała na ganku z płonącej twarzą, a za nią szalała impreza. Na chodniku prowadzącym ku domowi pojawiało się coraz więcej dziewczyn i chłopaków.

Łzy zakręciły jej się w oczach, ale zdołała je powstrzymać.

– Hej, wszystko w porządku? – zapytał chłopak w pelerynie, klękając przy niej. – Może chcesz do kogoś zadzwonić?

– Spierdalaj – odparła, ruszając po schodach w dół, z rumieńcem wściekłości wciąż plonącym na twarzy.

Nie mogła wrócić do domu, jeszcze nie teraz. Nie potrafiła również się przemóc i napisać esemesa do June, więc przez kolejną godzinę wędrowała po mieście, aż w końcu się ochłodziło, a kolorowe tłumy się przerzedziły. Trzymała plecak z częściowo odsuniętym zamkiem błyskawicznym, gotowa użyć pistoletu, gdyby ktokolwiek próbował czegokolwiek.

Nikt niczego nie próbował.

Kiedy w końcu wróciła do apartamentu, światła były zgaszzone.

Zsunęła buty z nóg, usłyszała cichy odgłos ciała przesuwającego się na kanapie i spojrzała, spodziewając się zobaczyć Mitcha.

Ale był to Victor, rozciągnięty na miękkich poduchach. Jednym ramieniem zasłaniał oczy, a jego pierś wznosiła się i opadała w powolnym, miarowym rytmie snu.

Dol leżał obok niego na podłodze, czujny i rozbudzony. Jego oczy lśniły w ciemności, a ogon bezszelestnie machał na powitanie.

Sydney na paluszkach przemknęła przez apartament, a wówczas pies wstał i podążył za nią do sypialni, gdzie bez zaproszenia wskoczył na jej łóżko. Po cichu zamknęła drzwi i usiadła na podłodze, opierając się o nie plecami.

Kilka chwil później usłyszała delikatne skrzypienie kanapy. Dźwięki wskazywały, że Victor wstał, a potem, mijając jej drzwi, cicho przeszedł do swojej sypialni i zamknął się w niej.

Zdała sobie sprawę, że wcale nie spał.

Victor czekał, aż Sydney wróci do domu.

XVII

CZTERY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

HALLOWAY

Było późno, lecz Sydney jeszcze nie czuła zmęczenia. Zbyt wysoki poziom cukru we krwi, zbyt wiele myśli w głowie. Poza tym musiała dopilnować urodzin – i wytrwać przynajmniej do północy.

Taką już miała tradycję.

W jej pamięci tkwiło niczym drzazga wspomnienie, gdy próbowała nie zasnąć, a zegar powoli odmierzał minuty do północy. Serena szturchała ją za każdym razem, kiedy zaczynała przysypiać.

„No, obudź się, Syd. Już prawie północ. Jak zaśniesz, będziesz miała pecha. Wstawaj i zatańcz ze mną”.

Pokręciła głową, próbując uciszyć głos siostry. Stała przed lustrem i powoli okręciła się wokół własnej osi, patrząc, jak błękitne włosy wirują naokoło jej głowy. Potem ściągnęła perukę i wyjęła spinki przytrzymujące fryzurę pod spodem. Jej naturalne włosy – prosta pocięta blond grzywa – opadły swobodnie, sięgając jej niemal do ramion.

Znów spojrzała na swoje odbicie, tym razem kątem oka.

Czasem, kiedy je zmrużyła, prawie dostrzegła w zwierciadle kogoś innego.

Kogoś z bardziej wydatnymi kośćmi policzkowymi i pełniejszymi ustami, układającymi się w szelmowski uśmiech. Ducha swojej starszej siostry, echo, odbicie. Potem jednak iluzja zniknęła i Sydney znów widziała ostro i wyraźnie, że w lustrze odbija się tylko dziewczyna przebrana za zupełnie obcą osobę.



Zdjęła czerwoną bomberkę i rozsznurowała buty ze stalowymi noskami, a potem zajęła się prezentem Victora. Podniosła niebieskie pudełko i ułożyła je na biurku w kącie pokoju. Dol przyglądał się z podłogi, kiedy ostrożnie unosiła wieczko i oglądała zawartość. Malutki szkielet ptaszka był nietknięty, nieskazitelny. Wyglądał jak eksponat z muzeum historii naturalnej – i, jak znała Victora, stamtąd właśnie pochodził.

Sydney usiadła i w zamyśleniu przesunęła palcami po skrzydłach ptaka, zastanawiając się, sprzed ilu lat pochodzi szkielecik. Zdawała sobie sprawę, że im wcześniej zginęła dana istota, tym trudniej będzie ją wskrzesić. A im mniej z niej pozostało, tym bardziej jej życie było kruche i podatne na zniszczenie... a kiedy zniknęło, to już na zawsze. Jeśli Sydney zdarzyło się zawieść, nie dostawała drugiej szansy.

Nie zostawało już nic, co mogłaby uchwycić.

Spojrzała na czerwoną metalową puszkę koło łóżka, a potem wzięła pęsetę i zaczęła usuwać kości, powoli, po jednej, aż w pudełku zostało ich tylko kilka. Długa kostka jednego skrzydełka. Fragment kręgosłupa. Tylny palec jednej z nóg.

Odetchnęła głęboko i zamknęła oczy, przykrywając ręką częściowy szkielet.

A potem sięgnęła w głąb.

Z początku nie wyczuła nic poza kośćmi pod dłonią, ale wyobraziła sobie, że sięga jeszcze dalej, głębiej, poza ptaka, pudełko i biurko, zanurzając rękę w chłodnej, pustej przestrzeni.

Zaczęły ją boleć płuca. Zimny dreszcz przeszedł przez jej palce i powędrował w górę, ku przedramionom, ostro i gryzący, a kiedy wypuściła powietrze z ust, poczuła, jak skroplona para wodna, niczym mgła, osiada jej na wargach. Światło tańczyło – dalekie i słabe – pod jej zamkniętymi powiekami, aż wreszcie palce musnęły coś ledwie wyczuwalnego, dosłownie cień nici. Sydney pociągnęła, delikatnie i ostrożnie. Wciąż miała zamknięte oczy, lecz czuła, jak szkielecik pod jej dłonią zaczyna się odbudowywać, zyskuje mięśnie, skórę, czerwonawe piórka...

Prawie...

Aż w pewnej chwili pociągnęła odrobinę za mocno.

Nic znikła. Słabiutkie światełko pod jej powiekami zniknęło.

Mrugnęła, uniosła dłoń i zobaczyła, że delikatny szkielecik ptaka do niczego się już nie nadaje. Kostki, tak starannie ułożone na aksamicie, teraz były rozszczepione i połamane. Stosik tych, które odłożyła, również się pokruszył, tak jakby malutkie szczątki załamały się pod własnym ciężarem.

Wciąż nie miała dość mocy. Jeszcze nie była gotowa.

Kiedy z wahaniem dotknęła kostek, rozpadły się i rozsypały na pył, pozostawiając tylko smugę na błękitnym aksamicie, niczym popiół lub kurz.

„Zniszczony”, pomyślała Sydney, zmiatając resztki do kosza.

XVIII

CZTERY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

SZPITAL MIEJSKI W MERIT

„Zniszczę cię!”

„Zniszczę!”

„Znisz...”

„Zni...”

Marcella otworzyła oczy.

Powitała ją zimne fluorescencyjne światło, zapach środków odkażających używanych do szorowania podłóg i dotyk szorstkich, jednorazowych prześcieradeł z włókny. Doskonale zdawała sobie sprawę, że nie powinno jej tutaj być. Powinna już dawno nie żyć. Jednak jej bijące serce i zielona, falista linia na monitorze nad głową jednoznacznie świadczyły o tym, że jest inaczej. Zaczepnęła powietrza i skrzywiła się boleśnie. Gardło i płuca miała podrażnione, a pod czaszką tętnił jej ból, mimo silnych środków znieczulających, płynących bezpośrednio do jej żył.

Ostrożnie poruszyła palcami u rąk i u nóg, a potem – głową, najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Jej ruchy były precyzyjne oraz – za co udzieliła sobie pochwały – wyjątkowo spokojne. Wiele lat wcześniej nauczyła się nadawać swoim uczuciom odpowiednie etykiety i upychać niewygodne oraz niestosowne na samym dnie umysłu – niczym stare sukienki w najciemniejszym kącie szafy.

Przesunęła palcami po prześcieradle, spróbowała się podciągnąć i usiąść, ale przy najbliższym ruchu własne ciało przypomniało jej boleśnie o połamanych, posiniaczonych żebrach oraz poparzonej, usianej pęcherzami skórze. Przez całe życie Marcella przywykła do rozmaitych ukłuć, uszczypnięć i podrażnień, towarzyszących zabiegom zapewniającym jej atrakcyjny wygląd.

Teraz jednak ból sprawił, że zapomniała o wszystkich drobnych zabiegach i operacjach plastycznych, na które się decydowała. Ten ból zagnieździł się pod jej skórą i w kościach. Przelewał się niczym płynny ogień przez żyły i tętnice. Marcella nie próbowała jednak od niego uciekać; zamiast tego skupiła się na nim.

Kiedyś miała instruktora jogi, który porównał umysł do domu. Wówczas tylko parsknęła śmiechem i przewróciła z politowaniem oczami, ale teraz wyobraziła sobie, że przechodzi z pokoju do pokoju, wyłączając światła. Tutaj był strach. Pstryk! Tu – panika. Pstryk. Tutaj była dezorientacja. Pstryk.

Tutaj był ból.

Tu była wściekłość.

A tu – jej mąż, ten zdrażliwy skurwiol.

Tutaj walnął jej głową o stół.

Tutaj – przewracał wielki świecznik.

Tu załamał jej się głos, a płuca wypełnił dym.

Tu zobaczyła jego plecy, gdy odchodził, pozostawiając ją na pewną śmierć.

Tutaj niczego nie wyłączała, przyglądała się tylko, jak światło świeci w jej głowie coraz jaśniej, jak wraz z nim pod jej skórą wędruje uczucie gorąca. Zaciśnęła palce na barierze łóżka, która zmiękła pod jej dłonią. Gładki metal błyskawicznie pokrył się rdzą, szybko

wędrującą wzdłuż stalowych prętów. Zanim to zauważyła i cofnęła rękę, cały fragment, długości jej przedramienia, został kompletnie zniszczony. Rdzawe płatki opadły na łóżko.

Marcella gapiała się na to, nic nie rozumiejąc.

Powiodła wzrokiem od swojej dłoni ku metalowi i z powrotem, czując wciąż gorąco promieniujące z jej skóry. Złapała zamiast barierki cienkie szpitalne prześcieradło... ale włóknina również się rozpadła, w ciągu sekundy kompletnie zetlała, pozostawiając tylko cienką warstwę pyłu.

Uniosła dłonie, nie w geście poddania, lecz fascynacji, oglądając ich wnętrze i szukając wyjaśnienia, jakiegokolwiek znaku tak wyjątkowej zmiany. Zobaczyła jednak tylko zrujnowany manikiur, siniaka w kształcie dłoni, zieleniejącego wokół jej nadgarstka, i białą szpitalną opaskę z błędnym nazwiskiem: „Melinda Pierce”.

Zmarszczyła brwi. Pozostałe szczegóły się zgadzały – wiek i data urodzenia – ale najwyraźniej ktoś wprowadził jej dane do systemu pod fałszywym nazwiskiem, co oznaczało, że nie chcieli, by Marcus dowiedział się, że jego żona tu jest. Ani nawet że w ogóle żyje. Pomyślała, że to rozsądna decyzja, jeśli wziąć pod uwagę wcześniejsze wydarzenia tego wieczoru. A może upłynęła od nich już doba? Marcella straciła poczucie czasu.

Ale rany wydawały jej się całkiem świeże.

Gdy ściągnęła z siebie prześcieradła, zobaczyła bandaż owijające jej nogi, osłaniające brzuch i ramię. Przebiegały tam, gdzie rozpalony kandelabr pozostawił ślady na jej...

Usłyszała głosy z policyjnej krótkofalówki. Ostre trzaski zakłóceń wyróżniały ten dźwięk spośród innych szpitalnych hałasów. Spojrzała na drzwi. Były zamknięte, lecz przez okienko mogła dostrzec fragment munduru.

Powoli zwlokła się z łóżka mimo licznych kabli i przewodów łączących ją z aparaturą medyczną. Sięgnęła ku stojakowi z kroplówką, ale w porę przypomniała sobie o przerdzewiałej barierce i rozsypującym się w proch prześcieradle. Zawahała się, lecz teraz jej dłonie były już chłodne. Kiedy złapała plastikową rurkę, nic strasznego się nie stało. Ostrożnie ją odłączyła, a potem, starając się nie przestawić elektrokardiografu, sięgnęła za niego i wyciągnęła wtyczkę z gniazdka.

Maszynaria ucichła, a jej ekran poczerniał.

Szpitalna koszula zwisała na niej luźno, co było błogosławieństwem ze względu na kontakt z jej poparzoną skórą, ale jednocześnie problemem: nie mogła wymknąć się ze szpitala, mając na sobie tylko to.

W rogu sali stała sterylnie biała szafa. Podeszła do niej, wbrew rozsądkowi mając nadzieję, że w środku znajdzie swoje ubranie, torebkę i klucze; oczywiście szafa była pusta.

Zza drzwi dobiegł ją szorstki głos.

– ...jeszcze się nie obudziła... nie, nie chcemy przecieku do mediów... Zadzwoniłem już do Programu Ochrony Świadków...

Marcella prychnęła cicho. Program Ochrony Świadków, dobre sobie. Nie po to starannie zaplanowała sobie życie i zbudowała coś z niczego, żeby spędzić jego resztę w ukryciu. I niech ją szlag, jeżeli da się zabić, nie zemściwszy się przedtem na mężu. Odwróciła się, ogarniając badawczym wzrokiem salę. Jedne drzwi i okno z panoramą Merit, na wysokości przynajmniej sześciu kondygnacji.

Jedno pomieszczenie, jedno drzwi, jedno okno.

I dwie ściany.

Podeszła do tej naprzeciwko łóżka, przyłożyła do niej ucho i usłyszała tylko miarowe popiskiwanie aparatury medycznej. Przyłożyła palce do tynku, lekko go dotykając.

Nic się nie stało.

Powoli przycisnęła do ściany całą dłoń. Dalej nic. Spojrzała na paznokcie, połamane, kiedy jej palce rozpaczliwie wpijały się w jedwabny dywan i drapały parkiet...

Dłoń zaczęła się lekko jarzyć. Marcella patrzyła, jak ściana ulega zniekształceniu, wykrzywia się, gips puchnie jakby od wilgoci i odpada pod własnym ciężarem, aż między pokojami powstała dziura dość duża, żeby przez nią przejść.

Spojrzała z podziwem na własną dłoń i na zniszczenie, jakiego dokonała. A więc nie była to kwestia siły, lecz uczuć!

Bardzo jej to pasowało. Marcella była niebywale uczuciową kobietą.

Wycofała moc z powrotem w głąb ciała, tak jakby była oddechem, i zostawiła ją płonącą wewnątrz, niczym płomyk pilotujący w piecyku gazowym, by tliła się tam i czekała na wezwanie.

Po czym przeszła przez dziurę w ścianie do pokoju obok.

Drzwi stały otworem. Kobieta w łóżku – według wiszącej na nim karty: pani Alice Tolensky – była kilka centymetrów niższa od Marcelli i przynajmniej piętnaście kilo cięższa.

Jej ubranie wisiało w małej szafce w rogu sali. Marcella zmarszczyła nos. Wsuwane buty na płaskim obcasie? Kwiecista bluzka z falbankami? Dżinsy ze ściągaczem w pasie?

Ale darowanemu koniowi... Wciągając dżinsy, dziękowała za ich rozmiar – i tak wstrzymała oddech, kiedy tkanina otarła się o zabandażowane rany. Ubrana, zerknęła jeszcze raz do szafy. Na półce leżała oklapła skórzana torebka, podróbka znanej marki. Marcella znalazła w niej sto dolarów w gotówce i parę okularów.

Upięła włosy w luźny kok na karku, założyła okulary i wyszła na korytarz. Policjant przed drzwiami obok skubał bandaż na rękę. Nawet nie podniósł wzroku, kiedy Marcella odwróciła się i wyszła.

Przed szpitalem czekały taksówki. Wsiadła do najbliższej.

– Dokąd? – burknął kierowca.

– Heights – rzuciła. Przemówiła po raz pierwszy od przebudzenia. Głos dobiegający z podrażnionego dymem gardła był niższy niż zwykle, do tego brzmiał seksowną chrypką, której tak pożądały początkujące gwiazdki. – Na Grand Avenue.

Samochód ruszył, a Marcella rozparła się na skórzanej kanapie.

Pod presją zawsze dawała sobie radę. Inne kobiety mogły sobie pozwolić na panikę, ale pozycja żony gangstera wymagała pewnego opanowania. Oznaczało to, że powinna zachować spokój, a przynajmniej jego pozory.

W tej chwili jednak Marcella nie musiała zachowywać żadnych pozorów. Nie bała się, nie czuła się zagubiona, nie kręciło jej się w głowie, nie miała również najmniejszych wątpliwości, dokąd powinna się udać. Rysowała się przed nią wyraźna, prosta droga, na końcu której świecił oślepiający punktowy reflektor.

A w jego świetle stał Marcus Andover Riggins.

Objawienie

CZTERNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

UNIwersytet Merit

Wszyscy byli narąbani.

Marcella siedziała na blacie kuchennym, w zamyśleniu stukwała obcasami w szafki pod spodem i patrzyła, jak wokół niej ludzie zataczają się, wylewają drinki i przekrzykują hałas imprezy. Dom wypełniała muzyka, odór spoconych ciał, przetrawionego alkoholu, tanich perfum, czyli wszystko to, co zawsze towarzyszyło studenckim imprezom. Przyjaciółki przekonały ją, żeby się z nimi wybrała, twierdząc, że tak właśnie robią wszyscy na studiach, że będzie tam darmowe piwo, fajne ciacha, a do tego mnóstwo świetnej zabawy.

Teraz te same dziewczyny zniknęły gdzieś w morzu ludzkich ciał. Co jakiś czas wydawało jej się, że łapała kątem oka znajomą blond fryzurę na pazia lub wysoko upięty koński ogon... ale takich dziewczyn były tu dziesiątki. Takich samych studentek, jak od sztancy. Zainteresowanych bardziej wtopieniem się w tłum niż wyróżnieniem na jego tle.

W takim towarzystwie Marcella Renee Morgan bawiła się raczej kiepsko.

Obracała w dłoniach butelkę z piwem, znudzona do granic możliwości wszystkim naokoło: muzyką, chłopakami, którzy podchodzili do niej co jakiś czas, flirtując, a potem zmywali się jak niepyszni, kiedy wysyłała ich na drzewo. Uważała to za nudne: najpierw nazywali ją ślicznotką, a potem suką. Najpierw najpiękniejszą, a potem nadętą. Najpierw pięknością, potem prowokatorką.

Marcella zawsze olśniewała urodą, i to taką, której nie dało się zignorować. Jasne, niebieskie oczy i kruczoczarne włosy, trójkątna twarz i znakomita figura modelki. Ojciec powiedział jej, że nigdy nie będzie musiała pracować, a matka – że będzie musiała pracować dwa razy ciężiej niż koleżanki. Na swój sposób oboje mieli rację.

Ludzie najpierw dostrzegali jej ciało. Większość poprzestawała na tym.

– Co, myślisz, że jesteś lepsza od innych? – bluznął w jej kierunku pijany student z wyższego roku.

Marcella spojrzała mu prosto w twarz. On miał wzrok zamglony alkoholem, ona – ostry i przenikliwy.

– Tak – powiedziała bez ogródek.

– Dziwka – wymamrotał, odchodząc chwiejnie. Przewidywalne.

Marcella obiecała przyjaciółkom, że wpadnie na drinka. Jednego. Dlatego teraz przechyliła butelkę, by dokończyć piwo.

– Oho, znalazłaś lepszy towar – powiedział ktoś głębokim głosem ze śpiewnym południowym akcentem.

Obejrzała się i zobaczyła faceta opartego o wyspę kuchenną. Nie wiedziała, co miał na myśli, dopóki nie skinął głową w kierunku szklanej butelki w jej ręku, a potem plastikowego kubka w swojej dłoni. W odpowiedzi wskazała mu gestem lodówkę. Sięgnął do niej i wyjął jeszcze dwie butelki. Otworzył je o brzeg blatu, zdejmując kapsle dwoma uderzeniami, i podał jej jedno piwo.

Przyjęła je, taksując go wzrokiem znad butelki.

Miał granatowe oczy i włosy ciemnoblonde. Większość facetów na tej imprezie nie pozbyła się jeszcze dziecięcego tłuszczu i zachowywała raczej jak licealiści, ale u niego czarna koszula opinała się ciasno na potężnych ramionach, a szczękę miał ostrą, z dołeczkiem w podbródku.

– Marcus – przedstawił się zwięźle.

Wiedziała, kim był. Widziała go już wcześniej na kampusie, a Alice jej o nim opowiadała. Marcus Riggins oznaczał kłopoty. Nie dlatego, że był przystojny czy bogaty; nie chodziło o tak banalne sprawy. Problemy wynikały z innego prostego powodu: pochodził z gangsterskiej rodziny. Alice powiedziała to w taki sposób, jakby było to coś złego, cecha wykluczająca go z grona kandydatów do związku, ale ta informacja tylko zaostrzyła ciekawość Marcelli.

– Marcella – odparła, zakładając nogę na nogę.

Uśmiechnął się.

– Marcus i Marcella – zauważył, unosząc butelkę. – Pasujemy do siebie.

Ktoś podkręcił muzykę i jego następne słowa utonęły w potopie basowych dźwięków.

– Co powiedziała?! – zapytała, usiłując przekrzyczeć piosenkę, a on skorzystał z okazji: podszedł do niej, pachnąc jak jabłka i świeża pościel, czysty i schludny, co było miłą odmianą po lepkich od potu, zaniedbanych cielskach pijanych imprezowiczów.

Postawił piwo na kontuarze tuż obok jej ramienia. Chłodne szkło dotknęło łokcia, aż przeszedł ją dreszcz. Jego twarz powoli rozświetlił uśmiech.

Pochylił się ku niej, tak jakby chciał powierzyć jej tajemnicę, i szepnął:

– Idziesz za mną.

Po czym się odsunął, zabierając ze sobą otaczający go świeży aromat i ciepło.

Nie ściągnął jej z kontuaru, ale kiedy odwrócił się i zaczął przeciskać przez tłum, poczuła, jakby pociągnęła ją magnetyczna siła. Podążyła za nim między hałaśliwymi imprezowiczami, korytarzem, ku drzwiom sypialni.

– Jesteś tam? – zapytał, oglądając się przez ramię.

Drzwi otworzyły się, ukazując pokój jakże odmienny od reszty domu. Pranie leżało w koszu, biurko sprzątnięto, łóżko porządnie pościelono, a jedynym odstępstwem od porządku był stos książek na kółku.

Marcella stała w drzwiach, czekając, co zrobi chłopak: zbliżył się do niej, a może skłonił ją do zrobienia pierwszego kroku?

Zamiast tego podszedł do okna, otworzył je i wyskoczył na taras. Lekki wietrzyk owiał Marcellę, która poszła za nim, zdejmując po drodze obcasy.

Podał jej dłoń i pomógł przejść przez parapet. Przed nimi rozpostarła się panorama miasta, pociemniałe budynki zlewały się z niebem, a nieliczne rozświetlone okna przypominały gwiazdy. W nocy Merit zawsze wydawało się większe.

Chłopak upił łyk piwa.

– Lepiej?

Marcella uśmiechnęła się i odpowiedziała:

– Lepiej.

Muzyka, na dole irytująco głośna, teraz była tylko wyciszonym pulsem, wibrującym w jej kręgosłupie.

Marcus oparł się o drewnianą balustradę.

– Jesteś stąd?

– Nie, ale z okolic – odparła. – A ty?

– Tu się urodziłem i wychowałem – oznajmił. – Co studiujesz?

– Przedsiębiorczość – powiedziała krótko. Nienawidziła takich konwersacji, dlatego że zwykle wydawały się jej przykrym obowiązkiem. Puste dźwięki, słowa bez znaczenia, mające tylko wypełniać przestrzeń. – Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś?

– Ja? – zapytał z nutą fałszywej niewinności. – To ty przysłaś za mną.

– Ale kazałeś... – zaprotestowała, w pół słowa zdając sobie sprawę, że tego nie zrobił. W jego głosie nie było intonacji rozkazu, tylko oznajmienie.

– Miałaś właśnie wychodzić – wyjaśnił Marcus. – A ja tego nie chciałem.

Marcella zmierzyła go wzrokiem.

– Zwykle dostajesz to, czego chcesz?

Przez jego twarz przebiegł cień uśmiechu.

– Coś czuję, że oboje tak mamy – odparł i odwzajemnił jej przeciągłe spojrzenie. – Marcella, magister przedsiębiorczości. Kim chcesz być?

Zachybotła butelką.

– Kimkolwiek u władzy.

Marcus zaśmiał się cichym, chropawym śmiechem.

– Myślisz, że żartuję?

– Nie – powiedział. – Gdzie tam.

– A skąd wiesz, że nie?

– Ponieważ – wyjaśnił, przysuwając się do niej – naprawdę do siebie pasujemy.

Nagły podmuch bryzy sprawił, że zadrżała.

– Lepiej wracajmy do środka – powiedział Marcus, wstając.

Wszedł do pokoju przez okno, znów pomagając Marcelli, ale poprzestał na tym.

– Panie przodem – rzucił uprzejmie, wskazując jej drogę. Drzwi były wciąż otwarte, muzyka i śmiech z imprezy wlewały się przez nie do sypialni. Kiedy dziewczyna przystała na progu, zawahała się, opierając dłoń o futrynę. Wyobrażała sobie Marcusa, stojącego niedaleko z rękami w kieszeniach i czekającego na jej ruch.

Popchnęła drzwi.

Zamknęły się z cichym stuknięciem. Marcus nagle znalazł się za nią, niczym duch, a jego usta muskały jej kark. Dłonie, lekkie jak piórka, prześlizgiwały się nad jej ramionami i talią. Ten delikatny dotyk rozgrzał ją do czerwoności.

– Spróbuj mocniej, nie popsuję się – szepnęła, odwracając się i przyciskając usta do jego twarzy. Napał na nią, przyciskając do drzwi. Jej paznokcie wpiły się w jego ramiona, gdy zaczął rozpinać koszulę. Przejechał zębami po jej barku, gdy jej bluzka także opadła z ramion. Potem zaś nabałaganili w tym schludnym, uporządkowanym pokoju, zdzierając z siebie ubrania, przewracając krzesło i lampę, zmiatając książki leżące na kołdrze. Marcus popchnął ją na łóżko i opadł na nią.

Pasowali do siebie idealnie.

Jak dwie połówki pomarańczy.

CZTERY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

ŚRÓDMIEŚCIE MERIT

Taksówka zatrzymała się przed budynkiem Heights, iglicą z jasnego kamienia stojącą w sercu miasta. Marcella zapłaciła za kurs gotówką i wysiadła. Z każdym krokiem jej ciało krzychało z bólu.

Kiedy dawno temu odkryła tajny apartament męża – czynsz za niego figurował na cholernym wyciągu z konta – zakładała najgorsze, lecz Marcus utrzymywał, że kupił go ze względów czysto praktycznych. Jako bezpieczną kryjówkę. Upierał się nawet przy zaproszeniu jej, żeby zobaczyła, jak urządził wnętrze – z ciuchami jej ukochanych projektantów w szafie, ulubioną marką kawy w kuchni i szamponu pod prysznicem.

Nic dziwnego, że Marcella mu uwierzyła.

Uwierzyła, że to ich wspólny sekret, nie tylko jego tajemnica. Co jakiś czas dzwoniła do niego, twierdząc, że nastąpiła awaryjna sytuacja, a on nakazywał jej przyjechać do bezpiecznej kryjówki. Kiedy sam się tam zjawiał, już na niego czekała, mając na sobie tylko szeroką złotą wstążkę, starannie zawiązaną na kokardę.

Teraz przed oczami stanęło jej bolesne wspomnienie tandetnej różowej szminki. Jaka była głupia!

Konsjerż Ainsley wstał zza biurka, by ją powitać.

– Pani Riggins – powiedział, wyraźnie zaskoczony. Rzucił okiem na jej źle dopasowany strój i bandaże wystające spod ubrania, ale mieszkańcy Heights płacili zarówno za okna od sufitu do podłogi, jak i za dyskrecję (teraz Marcella zastanawiała się, ile razy z dyskrecji Ainsleya skorzystał Marcus).

– Czy... wszystko w porządku? – ośmielił się zapytać.

Machnęła lekceważąco dłonią.

– Długa historia – rzuciła, a po chwili dodała: – Marcusa nie ma w domu, prawda?

– Nie, nie ma go, proszę pani – odparł poważnie Ainsley.

– Aha – powiedziała. – Obawiam się, że zapomniałam kluczy.

Konsjerż skinął głową i wyszedł zza biurka, by przywołać windę. Kiedy jej drzwi się otworzyły, wszedł razem z nią. Ruszyli w górę, a ona potarła czoło w geście zmęczenia i zapytała o dzisiejszą datę.

Powiedział jej. Marcella zeszytywniała. Leżała w szpitalu przez niemal dwa tygodnie!

Teraz jednak nie miało to najmniejszego znaczenia. Liczyło się to, że był piątek. Dzięki temu doskonale wiedziała, gdzie przebywa Marcus.

Winda zatrzymała się na czternastym piętrze. Ainsley również wyszedł, otworzył kremowe drzwi, po czym życzył jej spokojnej nocy.

Marcella zaczekała, aż sobie pójdzie, a potem weszła i zapaliła światło.

– Kochanie, wróciłam! – zaśpiewała w pustkę apartamentu. Powinna była poczuć ukłucie smutku albo żalu, ale czuła tylko ból płynący pod skórą i wzbierającą falę wściekłości. Kiedy sięgnęła po kieliszek stojący na kontuarze, pod jej dotykiem najpierw się wygiął, a potem zamienił w piach. Tysiąc ziarenek wysypało się z rozżarzonej dłoni Marcelli na podłogę.

Popatrzyła na swoją dłoń i pozostałości szkła, które przywarły do jej skóry niczym złoty pył. Dziwny blask zniknął już z powrotem pod jej skórą, więc kiedy sięgnęła po następny kieliszek, zachował kształt pod jej dotykiem.

W lodówce chłodziła się butelka chardonnay. Marcella nalała sobie pełny kieliszek i włączyła kanał informacyjny w telewizorze, chcąc się dowiedzieć, co przegapiła przez ostatnie dwa tygodnie. Podkręciła głośność i udała się do sypialni.

Na łóżku leżała jedna z koszul Marcusa... oraz jedna z jej własnych. Kieliszek w jej dłoni delikatnie ugiął się pod naciskiem, więc odstawiła go na szafkę. Drzwi do garderoby były otwarte; wewnątrz jedną stronę zajmowały ciemne garnitury Marcusa, drugą – kolekcja wytwornych sukni, bluzek i eleganckich butów.

Marcella obejrzała się na koszule, spoczywające na łóżku i obejmujące się nawzajem rękawami niczym kochankowie. Poczowała, jak wzbiera w niej wściekłość, niczym para w kotle. Przebiegła jarzącymi się czerwono palcami po strojach męża, patrząc, jak niszczyją i znikają pod jej dotykiem. Wełna, bawełna i jedwab tłały i opadały z wieszaków, rozsypując się tuż nad podłogą.

„Nie zna piekło straszliwszej furii”, pomyślała, otrzepując dłonie.

Usatysfakcjonowana – nie, nawet nie bliska satysfakcji, najwyżej chwilowo udobruchana – Marcella wzięła wino i udała się do luksusowej łazienki. Postawiła kieliszek na brzegu marmurowej umywalki i zaczęła zdejmować z siebie ciuchy ukradzione ze szpitala, aż została tylko w bandażach. Sterylnie białe wstęgi nie miały w sobie nic pociągającego, inaczej niż ozdobna złota wstążka, ale przebiegały przez te same miejsca: uda, brzuch i ramiona.

Znacząc ją. Szydząc z niej.

Dłonie drgnęły jej, gdy poczuła nagłą chęć, by dotknąć czegoś – czegokolwiek – i zniszczyć to, obrócić w proch. Oparła się jednak tej pokusie i stała tylko przed lustrem, oglądając swoje odbicie pod każdym kątem, zapamiętując każdą ranę, każdą niedoskonałość, aż gniew jej minął – lecz nie zniknął, a tylko wycofał się w głąb, jak pazury u kotki. Jeżeli nowa moc była tymczasowa lub ograniczona w jakikolwiek inny sposób, wołała nie marnować jej na głupoty. Potrzebowała ostrych pazurów, by się zemścić.

Środki przeciwbólowe ze szpitala powoli przestawały działać, zaczęło jej dzwonić w głowie, więc wyjęła dwie tabletki paracetamolu z zapasu pod umywalką, popiła je resztką chardonnay i poszła się przygotować.

III

OSIEM LAT WCZEŚNIEJ

ELEGANCKA DZIELNICA MERIT

Telefon dzwonił, dzwonił i dzwonił.

– Nie odbieraj – rzucił Marcus, nerwowo krążąc po sypialni. Ciemny krawat wisiał luźno na jego szyi, niezawiązany.

– Kochanie – powiedziała Marcella, siadając na brzegu łóżka. – Wiesz przecież, że to oni.

Jej mąż czekał na ten telefon od kilku dni, a może nawet tygodni, cały w nerwach. Oboje wiedzieli, kto dzwoni: Antony Edward Hutch, jeden z czterech bossów świata przestępczego Merit i wieloletni dobroczyńca Jacka Rigginsa.

Oczywiście Marcus w końcu powiedział jej, czym się zajmuje jego ojciec. Dla nich słowo „rodzina” nie oznaczało tylko więzów krwi, ale także profesję. Wyznał jej to na ostatnim roku studiów, z twarzą bladą jak śmierć, a Marcella zdała sobie wówczas sprawę – w połowie kolacji – z tego, że właśnie próbuje z nią zerwać.

– Czy to tak, jakbyś został duchownym? – zapytała, popijając wino. – Złożyłeś śluby czystości?

– Co?! Nie... – odparł, zmieszany.

– Dlaczego w takim razie nie możemy wejść w to razem?

Marcus pokręcił głową.

– Próbuję cię chronić!

– A nie dotarło jeszcze do ciebie, że potrafię się obronić sama?

– Marcella, to nie wygląda tak jak na filmach. Moja rodzina zajmuje się brutalnymi, krwawymi sprawami. W tym świecie, to znaczy w moim świecie, krzywdzi się ludzi. Czasem nawet umierają.

Marcella zamrugła i odstawiła kieliszek. Pochyliła się ku niemu.

– Ludzie umierają we wszystkich światach, Marcus. Nie odejdę od ciebie z tego powodu.

Dwa tygodnie później się oświadczył.

Marcella poprawiła pierścionek z diamentem na palcu, a telefon ucichł.

Kilka sekund później zadzwonił znowu.

– Nie odbiorę.

– No to nie odbieraj.

– Nie mam wyboru! – wybuchnął, przeciągając dłonią po włosach.

Marcella wstała z łóżka i wzięła go za rękę.

– Coś podobnego! – zdziwiła się, unosząc ją. – Nie widzę żadnych sznurków, jak u marionetki.

Marcus wyrwał jej dłoń.

– Nie wiesz, jak to jest, kiedy inni decydują za ciebie, kim jesteś i kim zostaniesz!

Oparła się pokusie przewrócenia oczami. Oczywiście, że wiedziała. Ludzie patrzyli na nią i zakładali rozmaite rzeczy, na przykład, że ładna buzia równa się pustej głowie, że dziewczynie takiej jak ona marzy się tylko łatwe życie, że zadowoliliby się luksusem zamiast władzy – tak jakby nie można było mieć obu tych rzeczy.

Własna matka powiedziała jej, by mierzyła wysoko i tak też się ceniła (powszechnie znana wersja tego powiedzenia oczywiście mówiła tylko o tym, żeby w ogóle się cenić). Marcella jak najbardziej ceniła samą siebie – i nie miała zamiaru wycenić się zbyt nisko. Wybrała Marcusa Rigginsa, a on już za chwilę miał wybrać swoją życiową drogę.

Telefon wciąż dzwonił.

– Odbierz wreszcie.

– Jeżeli odbiorę – ostrzegł – to wezmę tę robotę. Jeżeli ją wezmę, to wchodzę do rodziny na dobre. A stamtąd już nie ma powrotu.

Marcella chwyciła męża za ramię, zatrzymując go w pół kroku. Zatoczył się i stanął jak wryty, a ona owinęła wokół dłoni jego jedwabny krawat i pociągnęła go ku sobie. W jego oczach zabłysły wściekłość, strach i bunt, a Marcella wiedziała już, że sprawdzi się w tej pracy. Marcus nie był słaby ani miękki, był po prostu uparty. Dlatego właśnie potrzebował jej, bo tam, gdzie on widział pułapkę, ona dostrzegała wielką szansę.

– Kim chcesz być? – zapytała. Zadał jej to samo pytanie tego wieczoru, kiedy się poznali. Sam nigdy nie odpowiedział na nie.

Teraz patrzył na nią pochmurnie.

– Kimś więcej.

– To bądź kimś więcej. To – skinęła głową w stronę telefonu – tylko drzwi. Przejście. – Przesunęła palcami po jego policzku. – Chcesz być kimś więcej, Marcus? Udowodnij mi to. Odbierz telefon i przejdź przez te cholerne drzwi.

Dzwonienie się urwało. W zapadłej nagle ciszy usłyszała własne przyspieszające tętno i nierówny oddech mężczyzny. Napięcie wzrastało jeszcze przez chwilę, aż nagle się załamało. Przywarli do siebie gwałtownie, Marcus pocałował ją, mocno i głęboko, jedną ręką już sięgał między jej nogi, drugą chwycił jej dłoń, z paznokciami wbijającymi się w jego policzek. Odwrócił ją, a ona pochyliła się nad łóżkiem.

W tym momencie był już twardy. A ona była już wilgotna.

Zduśliła sapanie rozkoszy, a w gruncie rzeczy triumfu, kiedy przycisnął się do niej – wszedł w nią – a ona chwyciła prześcieradło. Zerknęła w bok, na telefon leżący obok niej na łóżku.

Kiedy zadzwonił po raz kolejny, Marcus odebrał.

IV

CZTERY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

HEIGHTS

Marzyła, by wziąć gorący prysznic, ale jej wrażliwa, podrażniona skóra zareagowała na pierwsze krople wody palącym bólem, toteż Marcella musiała się zadowolić mokrym ręcznikiem, zanurzonym w letniej wodzie napuszczonej do umywalki.

Końcówki włosów miała spalone, nie do uratowania, znalazła więc najostrożniejsze nożyczki w mieszkaniu i zaczęła ciąć. Gdy skończyła, jej czarne, falujące włosy kończyły się tuż ponad ramionami. Gęsty lok zasłaniał jej lewą skroń, ukrywając świeżą bliznę i obramowując jej twarz.

Twarz, która jakimś cudem uniknęła obrażeń podczas walki i pożaru. Nałożyła maskarę na rzęsy i umalowała usta czerwoną szminką. Każdy gest był torturą – każde rozciągnięcie lub zgięcie skóry przypominało jej o mężu, ale mimo to Marcella się uspokoiła. Jej umysł działał już gładko, a myśli przypominały teraz jedwabne wstążki, nie szorstki węzeł.

Wróciła do garderoby i przesunęła palcami po kolekcji damskich strojów. Mała, mściwa część jej umysłu wołała, by wybrać coś odslaniającego oparzenia i rany, ale Marcella doskonale wiedziała, czego potrzebuje. Słabości najlepiej było ukrywać. W końcu założyła parę eleganckich czarnych spodni, jedwabną bluzę, zasłaniającą jej szczupłe ciało, i czarne szpilki z obcasami cienkimi i błyszczącymi jak ostrza noży.

Dopinała właśnie sprzączkę przy drugiej, kiedy usłyszała głos prezentera, dobiegający z telewizora w pokoju obok:

– Nowe szczegóły w sprawie pożaru domu, który dwa tygodnie temu strawił dom w zamożnej części Brighton...

Wyszła z garderoby na czas, by zobaczyć na ekranie własną twarz.

– ...w którym śmierć poniosła Marcella Renee Riggins...

Czyli miała rację. Policja najwyraźniej chciała, by Marcus uwierzył, że jego żona nie żyje. Prawdopodobnie tylko z tego powodu wciąż jeszcze żyła. Wzięła pilota i dała głośniej. Tymczasem na ekranie pojawiło się ujęcie ich domu, a właściwie jego zwęglonych i dymiących resztek.

– Odpowiednie służby ustalając jeszcze przyczynę pożaru, ale uważa się, że był to przypadek...

Marcella zacisnęła dłoń na pilocie, kiedy na ekranie ukazało się ujęcie Marcusa, trzymającego się za głowę w geście żaloby.

– Mąż ofiary, Marcus Riggins, przyznał policji, że tego wieczoru kłócił się z żoną, która często okazywała intensywne emocje, ale stanowczo zaprzeczył sugestii, że to ona podłożyła ogień. Pan Riggins twierdzi, że nigdy nie była skłonna do przemocy ani destrukcyjnych zachowań...

Pilot rozpadł jej się w dłoni, baterie rozpułyły, a plastik wygiął i stopił.

Marcella pozwoliła, żeby resztki wypadły jej z dłoni, i ruszyła na poszukiwanie męża.

V

TRZY LATA WCZEŚNIEJ

ŚRÓDMIEŚCIE MERIT

Wieżowiec National zawsze podobał się Marcelli. Ten budynek ze szkła i stali wznosił się w sercu miasta niczym trzydziestopiętrowy pryzmat. Pragnęła go tak, jak ktoś inny mógłby pożądać diamentu, jednak wieżowiec był własnością Tony'ego Hutcha, od marmurowego lobby do ogrodów na dachu, gdzie wyprawiał imprezy.

Ramię w ramię przekroczyli próg frontowych drzwi, Marcus w dopasowanym czarnym garniturze, Marcella w złotej sukience. Złowiła wzrokiem policjanta w cywilu, siedzącego w lobby, i puściła do niego figlarnie oko. Połowa policji w Merit siedziała w kieszeni u Hutcha, a druga połowa nie była w stanie znaleźć na niego żadnego znaczącego haka.

Wnętrze windy wypolerowano na wysoki połysk. Kiedy ruszyła do góry, Marcella przytuliła się do męża i spojrzała na ich odbicie w lustrze. Uważała, że jako para wyglądali cudownie. Uwielbiała jego mocną linię szczęki i szorstkie dłonie, granatowe oczy i ton, jakim wykrzykiwał w ekstazie jej imię. Byli współnikami w zbrodni, idealną parą.

Złowiła jego wzrok w lustrze i wymruczała:

– Cześć, przystojniaku.

Uśmiechnął się.

– Cześć, ślicznotko.

Tak, kochała swojego męża. Prawdopodobnie bardziej, niż powinna.

Drzwi windy otworzyły się, a oni wyszli na znajdujący się na dachu taras, pełen światła, śmiechu i muzyki. Hutch znalazł się na organizowaniu przyjęć. Wzrok Marcelli wędrował po muślinowych baldachimach, sofach z miękkimi poduchami, niskich szklanych stolikach ze złoceniami i kelnerach przemykających przez tłum z kieliszkami szampana oraz wytwornymi przekąskami. Jej uwagę przyciągnęło jednak coś innego: niewiarygodny widok na miasto. National był dość wysoki, by z jego dachu rozciągała się wspaniała panorama Merit.

Marcus poprowadził ją przez gwarny tłum.

Przechodząc, czuła na sobie spojrzenia wszystkich mężczyzn i połowy kobiet. Jej sukienka z tysiąca jasnych złotych lusek podkreślała krągłości ciała i szeleściła z każdym krokiem. Szpilki i paznokcie miała w tym samym odcieniu złota, podobnie jak siatkę oplatającą jej czarne włosy, na której umieszczono paciorki z białego złota. Jedynym miejscem, gdzie pojawiały się inne akcenty, była twarz Marcelli z niebieskimi oczami w czarnej oprawie i ustami umalowanymi karmazynową szminką.

Marcus kazał jej się wystroić.

– Jaki sens ma posiadanie pięknych rzeczy, jeżeli nie pokazuje się ich publicznie? – zapytał.

Teraz prowadził ją ku centrum dachu, oznaczonego marmurową posadzką ze wzorem gwiazdy, gdzie brylował sam szef.

Antony Hutch.

Nie był brzydki – szczupły i żyłasty, z ciemnobrązowymi włosami i opaloną skórą – ale miał w sobie coś, od czego Marcellę przechodził dreszcz.

– Tony, poznałeś już Marcellę, moją żonę.

Poczuła, że Hutch obejmuje ją wzrokiem tak, jakby kładł wilgotną dłoń na nagiej skórze.

– O Jezu, Marc – powiedział – przykleiłeś na niej ostrzeżenie, że to twoje?

– Nie, nie przykleił – wypaliła Marcella.

Hutch tylko się uśmiechnął.

– Nie, ale serio: jak mógłbym zapomnieć taką piękność?

Podszedł o krok.

– Czy Marc dobrze cię traktuje? Jakbyś czegokolwiek potrzebowała, daj znać.

– Dlaczego? – zapytała ironicznie. – Czyżbyś szukała żony?

Gangster zarechotał i rozłożył ramiona.

– Niestety! Lubię podrywać dziewczyny, ale nie zatrzymuję ich na dłużej.

– To oznacza po prostu, że jeszcze nie znalazłeś tej właściwej – powiedziała Marcella.

Hutch znów się roześmiał.

– Aleś sobie wziął dozorcę! – zwrócił się do Marcusa.

Ten objął żonę i pocałował ją w skroń.

– Tak jakbym nie wiedział!

Po czym odwrócił się od niej i Marcella została sama, tuż za kręgiem mężczyzn, którzy zaczęli rozmowę o interesach.

– Chcemy rozszerzyć naszą strefę wpływów na południe.

– Uważaj, takie ruchy są zawsze niebezpieczne.

– Caprese zwykle reaguje nerwowo. Żeby nie spanikował.

– Możecie przycisnąć go subtelniej – zaproponowała Marcella. – Zaczynjcie przejmować kwartały wokół jego terenu. To nie bezpośredni atak, więc nie będzie miał podstaw do odwetu, a wyślecie jasny sygnał.

Rozmowa ucichła.

Po chwili bolesnego milczenia Marcus rzucił swobodnym tonem:

– Oto moja żona. Magister przedsiębiorczości.

Marcella poczuła, że się rumieni, kiedy wśród mężczyzn rozległ się znaczący chichot. Hutch spojrział na nią z ospałym uśmiechem.

– Marcello, obawiam się, że jesteśmy strasznie nudni. Jestem pewien, że czułaś się dużo lepiej wśród innych pań.

Już miała mu dosadnie odpowiedzieć, kiedy Marcus ją wyprzedził.

– No, już, Marce – powiedział, całując ją w policzek. – Daj mężczyznom pogadać.

Miała ochotę chwycić go za twarz i wpić się paznokciami w jego policzek, aż do pierwszej krwi. Zamiast tego uśmiechnęła się, przykrywając emocje maską spokoju. Liczyły się pozory.

– Oczywiście – zgodziła się. – Zostawiam was z tym samych, chłopaki.

Odwróciła się i odeszła, chwytając w przelocie kieliszek szampana z tacy usługowego kelnera, tak mocno, że palce ją zabołały. Czują za plecami ich wzrok, śledzący jej rejteradę.

„Jaki sens ma posiadanie pięknych rzeczy, jeżeli nie pokazuje się ich publicznie?”

Nie zdawała sobie sprawy, że chodziło mu o nią. Potraktował ją jak rzecz. Ten komentarz spłynął po niej niczym jedwabna sukienka, piękna i leciutka, ale...

– Marcella! – zawołał do niej znajomy śpiewny głos. Jego właścicielka miała na sobie piętnastocentymetrowe szpilki i zapewne dlatego spędzała większość przyjęcia na siedząco, wodząc rej wśród innych pań. Jej suknia miała piękny ciemnoczerwony odcień, idealnie pasujący do karnacji – Grace była blondynką, a ten kolor kontrastował z jej bladą skórą niczym krew.

– I jak, zaliczyłaś eksmisję? – zapytała Theresa, usadowiona wygodnie z wielkim drinkiem w dłoni.

– Boże, nie – odparła Marcella. – Prawie zanudzili mnie na śmierć.

– Za dużo gadania o interesach – podsumowała beztrzesko Bethany i machnęła dłonią, dzwoniąc bransoletkami na nadgarstku. „Więcej urody niż umysłu”, oceniła ją Marcella, nie po raz pierwszy zresztą.

– Mogą sobie myśleć, że są królami – podsumowała Grace – ale to my jesteśmy potęgą stojącą za tronem.

Niedaleko rozbrzmiał dźwięczny śmiech.

W innym kącie dachu siedziała druga grupa kobiet, w krótszych sukienkach i butach na jeszcze wyższym obcasie. Kochanki. Drugie i trzecie żony. Łaski na boku. „Nowsze modele”, jak powiedziałyby Grace.

– Jak tam Marcus? – zapytała Bethany. – Mam nadzieję, że trzymasz go na smyczy?

– Och – odparła Marcella, upijając nieco szampana – Nigdy by mnie nie zdradził.

– Skąd ta pewność? – zdziwiła się Theresa.

Marcella złowiła wzrok Marcusa z drugiej strony dachu. Uniosła kieliszek i powiedziała:

– Bo mój mąż wie, że prędzej bym go zabiła.



– Dobrze się bawiłeś? – zapytała później Marcella, gdy wracali limuzyną z przyjęcia.

Marcus tryskał energią.

– Świetnie! Załatwiłem całe Tony sprawy i nie było w tym żadnego Hutchyka – roześmiał się z własnego dowcipu. Marcella milczała. – Widzę, że mu się spodobałem. Powiedział, że zadzwoni rano. Ma dla mnie coś nowego. Dużą sprawę – wyjaśnił i przyciągnął ją do siebie.

– Miałaś rację.

– Zawsze mam rację – powiedziała roztargnionym tonem, wyglądając przez okno. – Zostańmy na noc w mieście.

– Świetny pomysł – zgodził się Marcus. Zapukał w szybę dzielącą ich od kierowcy, podał mu adres mieszkania w Heights i kazał się pospieszyć. A potem z powrotem rozsiadł się na kanapie, przyciskając udo do nogi Marcelli. – Nie mogli oderwać od ciebie oczu, ale nie winię ich za to. Ja też nie mogę się napatrzeć.

– Nie tutaj – powiedziała, starając się bez powodzenia, żeby zabrzmiało to lekko. – Zrzuńniesz mi sukienkę.

– Pierdolić sukienkę – sapnął jej prosto w ucho. – Chcę ciebie!

Ale Marcella odepchnęła go.

– Co się stało? – zapytał.

Popatrzyła na niego.

– „Oto moja żona. Magister przedsiębiorczości”. Naprawdę?

Przewrócił oczami.

– Marce...

– „Daj mężczyznom pogadać”?

– Weź już przestań.

– Zrobiłeś ze mnie idiotkę.

Wydał odgłos podejrzenia podobny do śmiechu.

– Ej, chyba trochę przesadzasz!

Zazgrzytała zębami.

– Masz szczęście, że nie zareagowałam na miejscu.

Marcus zrobił kwaśną minę.

– Nie do twarzy ci z takim fochem, Marce.

Limuzyna zatrzymała się przed Heights, a Marcella opanowała chęć, by wyskoczyć z auta i pobiec do domu. Otworzyła drzwi, wysiadła i stanęła, wygładzając złote łuski sukni i czekając, aż Marcus okrąży samochód.

– Dobry wieczór – przywitał się konsjerż. – Czy dobrze się państwo bawili?

– Doskonale – zapewniła go Marcella, wchodząc żwawo do windy. Marcus podążył za nią. Zaczekał, aż drzwi się zamkną, po czym westchnął i pokręcił głową.

– Wiesz, jacy oni są – wymruczał. – Stara gwardia, rodzinne fortuny... Konserwatyści. Poza tym sama tego chciałaś. Chciałaś, żebym w to wszedł.

– Razem ze mną! – warknęła. – Chciałam, żebyśmy weszli w to razem.

Próbował jej przerwać, ale nie dała mu dojść do słowa.

– Nie jestem pierdolonym płaszczem, Marcus. Mnie się nie oddaje do szatni przy wejściu na imprezę!

Winda zatrzymała się, a Marcella wyszła z niej, stukając obcasami po marmurowej posadzce. Dotarli do swoich drzwi, ale Marcus chwycił ją za rękę i przycisnął do drewna. Normalnie o tej porze podobny pokaz siły podnieciłby ją tak, że zaczęłaby się o niego ocierać... ale tego wieczoru nie była w nastroju.

„Daj mężczyznom pogadać”.

– Marcella...

Ten rechot. Te protekcjonalne uśmieszki.

– Marcella! – powiedział, chwytając ją za podbródek i kierując ku sobie. Patrzyli sobie prosto w oczy. Wtedy to zobaczyła (a może tylko chciała zobaczyć): za nieruchomymi, granatowymi tęczówkami był ten sam Marcus, którego poznała wiele lat wcześniej, młody, głodny i kompletnie w niej zakochany. Marcus, który pragnął jej i potrzebował.

Przysunął twarz ku niej tak, że mogła poczuć jego oddech.

– Gdzie ja, tam i ty – powiedział. – Jesteśmy w tym razem. Krok po kroku.

Marcella pragnęła mu wierzyć, potrzebowała tej wiary, ponieważ nie chciała go opuścić, stracić jego i wszystkiego, co zbudowała.

„To my jesteśmy potęgą stojącą za tronem”.

Pochyliła się ku niemu i pocałowała go. To był długi, powolny i głęboki pocałunek.

– Udowodnij to – szepnęła, wciągając go do mieszkania.

VI

CZTERY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

PRZEDMIĘSCIA MERIT

Marcus Andover Riggins był więźniem swoich przyzwyczajęń.

Rano – espresso, przed snem – szklaneczka bourbona. Masaż co poniedziałek, po śniadaniu, a co środę po lunchu – przepłynięcie paru długości basenu. W piątkowe wieczory zaś, deszcz czy bezchmurne niebo, od zmierzchu do świtu grał w pokera. Czterech lub pięciu członków rodziny Tony’ego Hutcha spotykało się co tydzień w domu Sama McGuire’a, ponieważ był singlem – a przynajmniej nie był żonaty. Stosował system rotacji – co tydzień nowa dziewczyna. Żadna z nich nie zagrażała miejsca na dłużej.

Sam, podobnie jak jego towarzysze z mafijnej rodziny, mieszkał w bardzo przyjemnym domu, niestety zwykł zostawiać tylne drzwi otwarte, zamiast dać jednej ze swoich tymczasowych dziewczyn klucz. Marcella ostrzegała go wiele razy, że kiedyś skorzysta z nich ktoś nieproszony. Sam zawsze się wtedy uśmiechał i wyjaśniał, że nikt nie będzie nachodził jednego z ludzi Tony’ego Hutcha.

Być może, tyle że Marcella Riggins nie była nikiem.

Dlatego swobodnie weszła do domu Sama.

Tylne drzwi prowadziły do kuchni. Marcella zastała tam dziewczynę zgiętą w pół, z zadartym wysoko tyłkiem i głową w zamrażarce, grzebiącą w poszukiwaniu lodu. Stała chwiejnie na zbyt wysokich obcasach, dzwoniąc bransoletkami o ściany lodówki, lecz pierwszą rzeczą, jaką dostrzegła Marcella, była jej sukienka. Ciemnoniebieska, jedwabna, z krótkim, marszczonym dołem. Ta sama, która wisiała przez ponad rok w garderobie Marcelli w Heights.

Dziewczyna wyprostowała się i odwróciła, a jej usta ułożyły się w idealne różowe „o”.

Bethany. Ta, która miała dwa razy więcej cycków niż szarych komórek.

Ta sama, która przy każdej okazji pytała o Marcusa.

Bethany, wyglądająca jak tania podróbka Marcelli, w kolczykach z diamentami, skradzionej sukience, której oczywiście nie ukradła, ponieważ w tym momencie Marcella zrozumiała, że Marcus trzymał apartament w mieście również dla tamtej.

Bethany szeroko otworzyła oczy i wyjąkała:

– Marcella?

„Czy zawsze byłeś pewien – spytała kiedyś Marcusa żona, odpinając guziki od jego pokrwawionej koszuli – że potrafisz odebrać komuś życie?”

„Nie, dopóki nie wyciągnąłem broni” – przyznał. – „Myślałem, że to będzie trudne, ale w tamtej chwili to była najłatwiejsza rzecz pod słońcem”.

Miał rację. Okazało się jednak, że istnieje zasadnicza różnica między niszczeniem rzeczy i unicestwianiem ludzi.

Ludzie mianowicie krzyczeli. A przynajmniej próbowali. Bethany na pewno by to zrobiła, gdyby Marcella nie chwyciła jej w porę za gardło i nie rozpuściła w pierwszej kolejności strun głosowych, zanim zdołały uformować coś więcej niż krótkie, zdławione sapnięcie.

Mimo to mężczyźni w drugim pokoju zdołaliby je usłyszeć, gdyby nie rechotali tak głośno.

Szybko poszło. W jednej sekundzie usta Bethany uformowały idealne „o” w grymasie zaskoczenia, a w następnej jej różowe ciało pomarszczyło się, a twarz skurczyła do uśmiechniętej czaszki, która po chwili obróciła się w pył. To, co zostało z Bethany, rozsypało się na podłodze kuchni.

Koniec nastąpił tak szybko, że Marcella niemal nie miała czasu, by się tym nacieszyć, pomyśleć o wszystkich emocjach, które powinna czuć w tych okolicznościach, ani w końcu zdziwić się ich nieobecnością.

To było takie łatwe! Tak jakby wszystko samo chciało się rozpaść. Prawdopodobnie mówiło o tym któreś prawo fizyki. Uporządkowanie ustępowało miejsca chaosowi.

Gdy Marcella wzięła ścierkę do naczyń i wytarła pył z palców, w domu znów rozbrzmiał ochryply śmiech. A potem znajomy głos zawołał:

– Laleczko, gdzie mój drink?

Podążyła za głosem przez krótki korytarz prowadzący z kuchni do pokoju, w którym mężczyźni grali w karty.

– Kurwa, gdzie jest mój drink?! – ryknął Marcus, a zaraz potem usłyszała szuranie odsuwanego krzesła. Kiedy weszła do pokoju, stał za stołem.

– Cześć, chłopcy.

Marcus nie musiał udawać zaskoczenia, w końcu według jego najlepszej wiedzy Marcella nie żyła. Z jego twarzy odpłynęła krew – jak to się mówiło... ach tak: jakby zobaczył ducha. Pozostali czterej mężczyźni zmrużyli oczy, usiłując dojrzeć coś przez opary alkoholu i dymu z cygar.

– Marce? – odezwał się jej mąż, a słowo to ledwie przeszło mu przez gardło.

Och, jak bardzo pragnęła go zabić! Chciała jednak zrobić to gołymi rękami, a tymczasem wciąż dzielił ich stół. Marcus stał jak wryty, patrząc na nią z mieszaną podejrzliwości i obawy. Marcella doskonale wiedziała, co musi zrobić. Zaczęła płakać. To było łatwe, musiała tylko przypomnieć sobie, że jej dotychczasowe życie, na które tak ciężko pracowała, dwa tygodnie wcześniej poszło z dymem.

– Tak się bałam! – wypaliła, oddychając gwałtownie. – Obudziłam się w szpitalu, a ciebie tam nie było. Policjanci mówili, że był pożar, i myślałam... i tak bardzo się bałam... że nie chcę mi nic powiedzieć, bo coś ci się stało. Nic mi nie mówili!

Teraz Marcus wydawał się niezdecydowany. Postąpił o krok ku niej.

– Myślałem, że nie żyjesz – powiedział, jękając się wymuszenie, udając emocje, których nie czuł. – Gliny nie pozwoliły mi zobaczyć twojego... Myślałem, że może... Co pamiętasz, kochanie?! – Wciąż jeszcze zwracał się do niej czule.

Pokręciła bezradnie głową.

– Pamiętam, jak robiłam kolację, a potem mam w głowie wielką, niewyraźną plamę.

W jego oczach dostrzegła błysk nadziei, oszołomienia, że może zbrodnia ujdzie mu na sucho, że uda mu się mieć ciastko i zjeść ciastko: zabić żonę, a potem ją odzyskać.

Zamiast do niej podejść, opadł jednak ciężko z powrotem na krzesło.

– Jak wróciłem – wyjaśnił – na miejscu byli już strażacy, a dom stał w płomieniach. Nie chcieli mnie wpuścić – poskarżył się i odchylił głowę, jakby jeszcze raz przeżywał traumę, głęboki żal na samo wspomnienie. Tak jakby dziesięć minut wcześniej nie grał w pokera i nie czekał, aż kochanka, była przyjaciółka Marcelli, przyniesie mu drinka.

Marcella podeszła do męża, stanęła za jego krzesłem i objęła ramionami jego barki.

– Taka jestem szczęśliwa...

Wziął ją za rękę i przycisnął usta do nadgarstka.

– Już wszystko dobrze, laleczko.

Wtuliła twarz w jego kołnierz. Marcus, który sądził, że właśnie wyprztykał się z atutów, pomyślał teraz, że jest bezpieczny, i odprężył się, rozluźnił mięśnie.

– Panowie – powiedział – Na dzisiaj koniec gry!

Pozostali zaczęli odsuwać się od stołu, gotowi wstać.

– Nie – wyszeptła najsłodszy tonem, na jaki potrafiła się zdobyć. – Zostańcie, to już długo nie potrwa.

Odchylił ku niej głowę i zmarszczył czoło.

Marcella się uśmiechnęła.

– Nigdy nie chciałeś babrać się w przeszłości, Marcus. Uwielbiałam w tobie to, z jaką łatwością rozwiązywałeś wszystkie sprawy. – Podniosła ze stołu pusta szklankę. – Za mojego męża! – powiedziała.

Ułamek sekundy potem destrukcja wytrysnęła z jej palców czerwonym światłem. Szkło rozsypało się w piach, który opadł z szelestem na pokryty filcem stół do pokera. Mężczyźni zareagowali pomrukami zgrozy, a Marcus rzucił się naprzód, tak jakby chciał wstać, lecz Marcella nie miała zamiaru go puścić.

– A tak nam dobrze szło – wyszeptła mu do ucha, kiedy wściekłość, nienawiść i poczucie krzywdy powędrowały gorącą falą ku jej palcom.

Pozwoliła, żeby wszystkie te emocje wystrzeliły razem.

Mąż opowiadał jej przez te wszystkie lata setki historii o tym, jak umierają ludzie. Nikt nigdy nie potrafił zachować milczenia, nie w obliczu śmierci. Na końcu zawsze prosili i błagali o łaskę, łkali i wrzeszczeli.

Marcus nie okazał się wyjątkiem.

Szybko poszło, ale nie dlatego, że Marcella chciała okazać mu litość. Po prostu nie potrafiła kontrolować swojej mocy. Naprawdę wolałaby się rozkoszować powolną śmiercią męża i zapamiętać jego przerażenie, ale niestety – twarz rozsypała się jako pierwsza.

Musiała zadowolić się pełnymi grozy, wstrząśniętymi minami pozostałych mężczyzn.

Oczywiście to też nie trwało długo. Dwaj z nich – Sam, oczywiście, i jeszcze jeden mężczyzna, którego nie znała – skoczyli na równe nogi.

Marcella westchnęła. Szczątki jej męża rozpadły się, gdy je roztrąciła. Teraz złapała za rękaw Sama.

– Tak wcześniej wychodzisz? – zapytała, czując w palcach przypływ niszczącej mocy. Potknął się i upadł, a jego ciało rozsypało się, zanim dotknął podłogi. Drugi mężczyzna wyciągnął nóż z ukrytej kieszeni, ale gdy runął w kierunku Marcelli, złapała ostrze w jarzącą się dłoń. Rozsypało się w proch, a zniszczenie błyskawicznie przebiegło z ostrza na rękojeść, a potem po ramieniu napastnika. Wrzasnął i odskoczył, próbując uciekać, ale rozpad ogarniał go już jak ogień, aż jego ciało uległo kompletnej dezintegracji.

Dwaj pozostali siedzieli na swoich miejscach z uniesionymi rękami i twarzami zastygłymi w przerażeniu. Przez całe życie Marcelli mężczyźni patrzyli na nią z pożądaniem. Tym razem było inaczej.

To był paniczny strach. Czuła się z tym znakomicie.

Zajęła miejsce męża, siadając na szczątkach, które nie zdążyły jeszcze ostygnąć. Wyciągnęła chusteczkę i wytarła smugę jego prochów ze stolika.

Po dłuższej chwili milczenia zapytała:

– No i? Rozdacie w końcu jakieś karty?

VII

CZTERY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

WSCHODNIE MERIT

Dominik Rusher jako nastolatek nie był rannym ptaszkiem.

Mimo to armia szybko przyzwyczała go do wstawania, jak tylko usłyszał cholerną pobudkę. Poza tym od czasu wypadku nie sypiał dobrze, toteż zerwał się już po trzecim sygnale budzika, nastawionego na wpół do piątej. Wziął prysznic, wytarł zaparowane lustro w łazience i spojrzął na swoje odbicie.

Przez ostatnie pięć lat wiele się zmieniło, i to na lepsze. Zniknął udręczony wyraz twarzy człowieka żyjącego w ciągłym bólu i nieradzącego sobie z cierpieniem. Teraz przed lustrem stał żołnierz o muskularnej sylwetce z szerokimi barkami, potężnymi, opalonymi ramionami i prostymi plecami. Włosy miał po bokach starannie przystrzyżone, u góry zaczesane do tyłu.

Pozbierał się do kupy.

Medale wisiały na ścianie, a nie, jak wcześniej, na szyjkach pustych butelek po alkoholu. Obok nich wisiały klisze rentgenowskie. Każda metalowa płytka i wkreć, śruba i gwóźdź, które wykorzystano podczas operacji, jaśniały biało na tle mięśni i skóry.

Mieszkanie było czyste.

Dominik również był czysty. Nie przyjmował alkoholu ani narkotyków od wieczoru, kiedy wykopali Victora – żałował, że nie od dnia, kiedy się poznali i usunął jego ból, ale zaraz potem sukinsyn wziął i umarł, pozostawiając Dominika bez pomocy w świecie pełnym cierpienia. Nastąpiły wówczas dwie trudne doby, o których eksz żołnierz wolałby zapomnieć, ale od kiedy Victor powrócił do żywych, Dominik potrafił się skutecznie kontrolować.

Nawet gdy Victorowi zdarzało się krótkie zwanie i ból nagle powracał, Dominik był w stanie przeczekać te kilka minut z zaciśniętymi zębami. Traktował te chwile jako przypomnienie, a następującą po nich ulgę jako dar.

Mimo wszystko mogło być gorzej. Dużo gorzej, tak jak przedtem.

Wypił niemal duszkiem kubek zbyt gorącej kawy i pochłoniął talerz niedosmażonych jajek, założył kurtkę, złapał kask z wieszaka i wybiegł z domu prosto w szary przedświt.

Jego pojazd czekał zaparkowany na swoim miejscu – prosty, czarny motocykl, żaden wypas, po prostu taki, jaki zawsze chciał mieć, jeszcze od nastoletnich czasów, tylko nie było go stać. Dominik wytarł rosę z siodelka, usiadł na nim, kopnął rozrusznik i – zanim wystartował – przez chwilę rozkoszował się niskim pomrukiem silnika.

Jechał przez puste ulice, a wokół niego budziło się Merit. O tej porze na większości skrzyżowań miał zielone, więc już po dziesięciu minutach wyjechał z miasta. Zabudowania z obu stron szosy szybko zniknęły, ustępując miejsca pustym polom. Za jego plecami weszło słońce, pod nim wył silnik, a wiatr uderzał w wizjer kasku. Przez piętnaście minut czuł się całkowicie wolny.

Dotarł do zjazdu i zwolnił, wjeżdżając w nieoznakowaną drogę. Po kolejnych pięciu minutach przejechał przez otwartą bramę i zaparkował pod budynkiem.

Z zewnątrz miejsce to wyglądało dość niepozornie. Jak szpital, a może jakaś przetwórnia? Kilka białych bloków, stojących bezładnie obok siebie. Zwykle człowiek mija

takie miejsca, nie poświęcając im większej uwagi – chyba że wie, co kryją.

Jeżeli ktoś wiedział, atmosfera od razu robiła się bardziej złowieszczą.

Dominik zsiadł z motocykla i wszedł po schodach. Drzwi otworzyły się na hall, lśniący nieskazitelną bielą i sterylną wręcz czystością. Po obu stronach stali funkcjonariusze, jeden obsługujący aparaturę rentgenowską, a drugi skaner.

– Mam implanty – przypomniał im Dominik, wskazując lewy bok.

Jeden z nich skinął głową, stukając w ekran, podczas gdy Dominik kładł komórkę, klucze, kurtkę i kask na tacę. Wszedł do komory maszynierii, czekając, aż smuga białego światła przesunie się po jego postaci w górę i w dół, a potem odebrał swoje rzeczy po drugiej stronie. Wykonywał wszystkie czynności swobodnie, jakby weszły mu już w nawyk. Zdziwiająco, jak szybko pewne rzeczy mogą stać się normą, a działania – wdrukować się w pamięć.

Za pierwszymi drzwiami po prawej znajdowała się szatnia. Dominik umieścił kask i kurtkę na półce, a potem przebrał się w czarną mundurową bluzę z wysokim kołnierzem i długim rękawem. Przemył twarz, zwilżył włosy i poklepał kieszeń, upewniając się, że ma w niej kartę dostępu.

Dwa piętra wyżej przeciągnął nią przez czytnik, wszedł do centrum kontroli i okazał kartę dowódcy. Na jej awersie znajdował się hologram twarzy Dominika, a nieco niżej – litery układające się w słowo „PION”.

– Dominik Rusher – powiedział z uśmiechem. – Melduję się na służbie.

VIII

CZTERY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

PRZEDMIĘSCIA MERIT

Stell przemknął pod żółtą taśmą, którą odgradzono miejsce zbrodni.

Nie pokazał odznaki. Nie musiał. Wszyscy tutaj pracowali dla PION-u. Czyli dla niego.

Agent Holtz stał przy tylnych drzwiach.

– Dzień dobry, sir – powiedział gorliwie, nieco zbyt gorliwie jak na tak wczesną porę.

– Kto to zgłosił? – zapytał Stell.

– Jakiś miłosierny samarytanin wezwał gliniarzy, a oni zadzwonili do nas.

– Od razu? Taka ewidentna sprawa?

– O tak – zapewnił go Holtz, przytrzymując drzwi.

Agentka Rios stała w kuchni. Wysoka, opalona i bystrooka, pełniła obowiązki zastępczyni Stella od niemal czterech lat. Opierała się łkociami o kontuar, obserwując technika, który fotografował stos... czegoś... na podłodze wyłożonej ceramicznymi płytkami. Wśród szczątków błyszczał spory diament.

– Ten sam profil, co w szpitalu? – zapytał Stell.

– Na to wygląda – odparła Rios. – Marcella Riggins, trzydzieści dwa lata. Ostatnie trzynaście dni spędziła w śpiączce, po tym jak jej mąż próbował spalić ich dom – z nią w środku. Nie ma co się dziwić jej agresji.

– To zrozumiałe, że jest wściekła – przyznał Stell. – Gorzej, że morduje ludzi. – Rozejrzał się. – Ile ofiar?

Rios się wyprostowała.

– Sądymy, że cztery. Wiesz, trudno dokładnie to określić – wyjaśniła i wskazała na podłogę w kuchni. – Raz – zaczęła liczyć, a potem odwróciła się i poprowadziła go korytarzem do pokoju, gdzie w upiornym otoczeniu stał stół do pokera. – Dwa. – Wskazała szczątki rozsypane na podłodze. – Trzy – policzyła wyschniętą postać, tylko z grubsza przypominającą człowieka. – I cztery – zakończyła przy stosie pyłu pokrywającym oparcie krzesła i częściowo filc stolika. – Nie zna piekło straszliwszej furii...

Stell policzył krzesła.

– Ktoś przeżył?

– Jeżeli nawet tak, to nie poszedł z tym na policję. Dom należy do Sama McGuire'a – odparła Rios. – Możemy chyba założyć, że jest gdzieś... tutaj.

Holtz stanął w drzwiach i gwizdnął przeciągle.

– Widzieliście już kiedyś coś podobnego?

Stell się zastanowił. Od kiedy półtorej dekady temu po raz pierwszy trafił na PonadPrzeciętnych, widział sporo niewiarygodnych rzeczy... i osób: Vale'a, który potrafił regulować ból; Cardale'a, który się regenerował; Clarke, która umiała kontrolować innych – a to był dopiero początek. Czubek góry lodowej. Od tamtej pory poznał również osoby PP, które zaginały czas, przechodziły przez ściany, potrafiły stanąć w ogniu albo zamienić się w kamień.

To jednak, musiał przyznać, było coś nowego.

Przesunął dłonią po szczątkach na filcu.

– Co to jest? Popiół?

– O ile się orientujemy, to jest Marcus Riggins – wyjaśniła agentka. – To, co z niego zostało. Albo to – wskazała gestem na drugą kupkę – albo tamto.

– No dobrze – powiedział Stell, strzepując pył z dłoni. – Opracujcie raport. Chcę wszystkie, ale to wszystkie dostępne zapisy. Wszystko ze szpitala. Wszystkie stąd. Zdjęcia i charakterystykę każdego ciała, z każdego pokoju. Wszystkie szczegóły, nawet jeżeli nie uważacie ich za istotne. Chcę to mieć w aktach.

Holtz uniósł dłoń jak uczeń, który chce zadać pytanie. Wciąż było widać, że pracuje dla Stella od niedawna.

– Do kogo trafią te akta?

– Do naszego analityka – odparł Stell. Wiedział, że agenci i technicy lubią paplać. – Mogłeś o nim słyszeć. Nazywamy go psem gończym.

– Hmm – zamyślił się Holtz, rozglądając. – A nie byłoby łatwiej przyprowadzić tego psa tutaj, na miejsce zbrodni, zamiast dostarczać mu materiały?

– Być może – powiedział Stell. – Ale jego smycz tutaj nie sięga.



W bloku więziennym PION-u wszystkie światła zapaliły się naraz.

Eli Ever otworzył oczy, spojrzął na lustrzany sufit celi i zobaczył siebie. Jak zwykle. Czysta skóra, ciemnoblond włosy, mocna linia szczęki. Kopia chłopaka z Lockland. Najlepszego studenta na roku, wielce obiecującego. Tak jakby lodowata kąpiel zatrzymała nie tylko jego serce, ale również sam czas.

Piętnaście lat, podczas których jego twarz i ciało pozostały niezmienione. W tym czasie Eli postarzał się jednak w inny sposób. Jego umysł wyostrzył się i zahartował. Pozbył się części młodzieńczych ideałów. Zmienił zdanie na swój temat, a także na temat Boga, ale tego rodzaju zmian nie było widać w lustrze na suficie.

Wstał z pryczy, przeciągnął się i przeczłapał na bosaka przez prywatną celę, która od niemal pięciu lat była całym jego światem. Stanął przed umywalką i ochlapał twarz zimną wodą, a potem przeszedł do niskiej półki, na której stały teczki, wszystkie bezowe, poza jedną – grubym czarnym pakunkiem z wydrukowanym na okładce nazwiskiem. Jego własnym. Eli nigdy po nią nie sięgał. Nie musiał – zapamiętał dokładnie jej zawartość. Zamiast tego jego palce zatańczyły nad grzbietami pozostałych teczek, aż spoczęły na wyraźnie grubszej od innych, oznaczonej tylko prostym czarnym X.

Jeden z jego niewielu otwartych przypadków. Coś w rodzaju hobby.

„Myśliwy”.

Eli usiadł przy stole na środku celi i otworzył okładkę, a potem przewracał strony, przelatując przez kolejne raporty o poprzednich zabójstwach, aż do najnowszego.

PonadPrzeciętny nazywał się Jack Linden. Mechanik, zamieszkały niemal pięćset kilometrów na zachód od Merit. Wymknął się algorytmowi PION-u, ale najwyraźniej nie Myśliwemu. Zdjęcia z miejsca zbrodni ukazywały PonadPrzeciętnego leżącego na plecach wśród porozrzucanych narzędzi. Został zastrzelony z bliska. Eli w zamyśleniu przesunął palcem po ranie wlotowej na fotografii.

W pobliżu sapnęła rozszczelniana śluza ciśnieniowa i chwilę później dalsza ściana celi Elia zrobiła się ze śnieżnobiałej przezroczysta. Po drugiej stronie stał krępy mężczyzna ze szpakowatymi włosami, trzymając kolejną teczkę i – jak zawsze – kubek kawy. Ostatnie piętnaście lat nie zmieniło fizycznie Elia, ale z pewnością odcisnęło piętno na Stellu.

Mężczyzna kiwnął głową w kierunku dokumentów w dłoniach Elia.

– Jakież nowe hipotezy?

Eli zamknął ją z trzaskiem.

– Nie – odparł, odkładając teczkę na bok i unosząc się z krzesła. – Czym mogę służyć, dyrektorze?

– Mamy nowy przypadek – oznajmił Stell, wstawiając teczkę i kubek do wnęki w pleksiglasowej ścianie. – Chciałbym wiedzieć, co o nim myślisz.

Eli podszedł do ściany i odebrał oba przedmioty.

– Marcella Riggins – przeczytał na głos, wracając na swoje miejsce i powoli pociągając łyk kawy.

Nie potrzebował jej – podobnie jak nie musiał w ogóle jeść ani spać, ale niektóre nawyki pozostały. Poza tym parujący kubek był nowym elementem w jego statycznym świecie. Ustępstwem, rekwizytem, który pozwalał mu chociaż przez chwilę wierzyć, że wciąż jest człowiekiem.

Eli odstawił kubek i zaczął czytać zawartość teczki. Nie była wystarczająca – nigdy nie dostawał dość danych – ale tylko tyle byli w stanie mu dać. Stos papieru i zmysł obserwacji Stella. Przekładał kolejne strony, pobieżnie czytając o dowodach i następstwach ataku, aż ostatecznie zatrzymał się na zdjęciu ludzkich szczątków z diamentem lśniącem w kupce popiołu. Odłożył teczkę i podniósł wzrok na oczekującego Stella.

– No dobrze – powiedział. – Może zaczniemy?

IX

PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

LOKALIZACJA NIEZNANA

Eli zapamiętał z chwil po zabiciu Victora niewiele, głównie rozmazane plamy.

Po pierwsze, chaos. Czerwone i niebieskie światła, syreny, funkcjonariusze wbiegający do wieżowca Falcon Price i straszny moment, kiedy okazało się, że nie stoją już po jego stronie.

Potem kajdanki, zacisnięte tak ciasno, że wbiły mu się w nadgarstki; czarny kaptur, który zasłonił mu widok zwłok Victora i śliski od krwi beton, zagłuszył głosy wydające rozkazy oraz łoskot zatrzaskiwanych drzwi. Eli słyszał teraz tylko własny oddech, gwałtownie bijące serce i rozpaczliwy głos.

„Musicie spalić ciało. Musicie spalić ciało. Musicie spalić ciało”.

Następne było wspomnienie celi – bardziej betonowego pudła niż pokoju – i momentów, kiedy walił pięściami w drzwi, aż połamał sobie palce, które po chwili się zrosły, więc znów je połamał, a one jeszcze raz się zrosły, tak że jedynym dowodem jego desperacji pozostała krew rozsmarowana na ściany.

A w końcu – laboratorium.

Ręce przyciskające Elia do zimnego, stalowego stołu, obejmujące zapinane tak ciasno, że wrzynały się w skórę, sterylne białe ściany i zbyt jasne światła, a do tego chemiczny smród środków dezynfekujących.

W środku tego wszystkiego stał mężczyzna w bieli, którego twarz pływała nad Eliem. Ciemne oczy, osadzone głęboko za czarnymi okularami. Dłonie naciągające rękawiczki z tworzywa sztucznego.

– Jestem doktor Haverty – powiedział. Wybrał skalpel. – Witam w moim laboratorium. – Pochylił się. – Będziemy tu próbowali wzajemnie się zrozumieć.

A potem zaczął ciąć. „Sekcja” – to słowo oznaczające preparowanie martwego organizmu. „Wiwisekcja” – oznaczało sekcję dokonywaną na żywej istocie. Ale kiedy poddawane jej stworzenie nie mogło umrzeć? Jakiego słowa powinno się używać na określenie takiego zabiegu?

W tym pomieszczeniu umarła wiara Elia. Odnalazł tutaj piekło.

Bóg dał mu tylko jeden znak: niezależnie od tego, co robił Haverty, Eli ciągle żył.

Czy tego chciał, czy też nie.



Czas rozpadł się w laboratorium Haverty'ego na części.

Eli sądził, że wie, czym jest ból, ale do tej pory znał go tylko jako jasny, ulotny impuls, powodujący chwilowy dyskomfort. Okazało się, że pod dłońmi doktora ból zmienił się w stan domyślny.

– Twoja zdolność do regeneracji jest wyjątkowa – zagaił Haverty, ujmując skalpel dłonią w zakrwawionej rękawicze. – Czy uda nam się ustalić jej granice?

„Nie masz w sobie nic boskiego”, powiedział kiedyś Victor. „Jesteś efektem eksperymentu naukowego”. Teraz te słowa wróciły echem do Elia.

Wraz z nimi powrócił także Victor.

Eli zobaczył go w laboratorium. Victor okrążył stół za plecami Haverty’ego. Pojawiał się i znikał, uważnie obserwując nacięcia wykonywane przez lekarza.

– Może jesteś w piekle?

„Nie wierzysz w piekło”, pomyślał Eli.

Kącik ust Victora drgnął.

– Ale ty tak.

Co wieczór Eli padał z dygotem na prycze, czując mdłości na myśl o godzinach spędzonych na stalowym stole sekcyjnym.

Co rano wszystko zaczynało się od nowa.

Moc Elia miała jedną słabą stronę. Dziesięć lat po tym, jak poznał ją Victor, zdał sobie z niej sprawę również Haverty. Ciało Elia, mimo niebywałej zdolności regeneracji, nie potrafiło odrzucić obcych przedmiotów. Jeżeli były dość małe, zabliźniało się wokół nich. Jeżeli były większe – takie jak nóż, piła czy klamra chirurgiczna – w ogóle nie mogło się zagoić.

Gdy Haverty wyciął Eliowi serce po raz pierwszy, ten pomyślał, że może w końcu umrze. Doktor przytrzymał je przed oczami Elia, zanim odciął je od ciała, i wówczas tętno znikło na ułamek sekundy, a aparatura monitorująca włączyła alarm... ale w chwili, gdy Haverty umieszczał serce w sterylnym pojemniku, w otwartej klatce piersiowej Elia biło już nowe.

Doktor wydobyl z siebie tylko dwa słowa:

– Zaiste, ponadprzeciętne!



W tym wszystkim za najgorszą Eli uważał gadanie Haverty’ego.

Kroił, łamał, wiercił i ciął, a przez cały ten czas starał się podtrzymać swobodną rozmowę. Szczególnie fascynowały go blizny Elia, pozostałości brutalnego smagania po plecach. Jedyne ślady, jakie nigdy nie zniknęły.

– Opowiedz mi o nich – prosił, zagłębiając igłę w kręgosłup Elia.

– Masz trzydzieści dwie blizny – oznajmiał, wwiercając się w jego kości.

– Policzyłem je – wyjaśniał, rozcinając mostek i rozchylając żebra.

– Możesz do mnie mówić, Eli. Z przyjemnością posłucham, co masz do powiedzenia.

Ale Eli nie dałby rady, nawet gdyby chciał.

Ze wszystkich sił starał się nie wrzeszczeć.

X

DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

DOM PIERWSZY

Dawno, dawno temu, kiedy blizny na jego plecach były jeszcze świeże, Eli wmówił sobie, że rosną mu skrzydła.

Przecież matka uważała, że jest aniołem, nawet jeśli ojciec twierdził, że Eli ma w sobie szatana. Chłopiec nigdy nie dał pastorowi powodu do takiej opinii, ale mężczyzna utrzymywał, że widzi czasem cień diabła w oczach syna. A kiedy go dostrzegał, chwycił Elia za ramię i prowadził do prywatnej kaplicy, stojącej obok ich drewnianego domu.

Eli ją uwielbiał. W jej okna wstawiono śliczne witraże z czerwonych, niebieskich i zielonych szybek, a ponieważ zwrócona była na wschód, rankami przepięknie przeświecało przez nie słońce. Podłogę wyłożono kamiennymi płytami, toteż nawet w lecie chłopiec czuł pod bosymi stopami chłód. Na środku pomieszczenia wbito zaś aż do fundamentów metalowy krzyż. Eli zapamiętał, że ten widok – krzyża rozłupującego podłogę na części, tak jakby ciśnięto go z bardzo wysoka – wydał mu się bardzo brutalny.

Za pierwszym razem, gdy ojciec dostrzegł cień diabła, wziął Elia za ramię i poszedł z nim do kaplicy, w drugiej dłoni dzierżąc pleciony skórzany pasek. Matka patrzyła za nimi, zaciskając dłonie na ręczniku.

– John! – powiedziała, tylko raz, lecz ojciec Elia nie obejrzał się ani nie zatrzymał, dopóki nie przecięli wąskiego trawnika, a drzwi kaplicy nie zamknęły się za nimi z hukiem.

Pastor Cardale kazał synowi podejść do krzyża i złapać poprzeczkę. Z początku Eli odmówił, płacząc i błagając o litość, próbując przeprosić za to, co rzekomo zrobił. To nie pomogło. Ojciec przywiązał mu dłonie do krzyża i wysmażał go jeszcze mocniej – za krnąbrność.

Eli miał wtedy dziewięć lat.

Tego samego wieczoru matka opatrzyła pręgi po biczowaniu na plecach i powiedziała mu, że musi być silny. Bóg poddaje ich próbie, podobnie jak ojciec Elia. Gdy układała chłodne, zmoczone paski gazy na poranionych barkach syna, rękawy podjechały jej nieco do góry i Eli zobaczył na wierzchu jej przedramion końcówki starych blizn. Matka powiedziała mu, że wszystko będzie lepiej i na pewno szybko wydobrzeje.

Przez pewien czas tak właśnie było.

Eli ze wszystkich sił starał się być dobrym chłopcem, wartym miłości swoich rodziców – a także uniknąć gniewnego spojrzenia ojca.

Spokój nigdy jednak nie trwał długo. Prędzej czy później pastor dostrzegał u syna diabelskie spojrzenie i prowadził Elia do kaplicy. Czasami od jednej chłosty do drugiej mijały miesiące, czasem dni. Czasem Eli sądził, że zasłużył na baty, a nawet – że ich potrzebował. Podchodził do krzyża, chwycił zimną metalową krawędź i modlił się – nie do Boga, a przynajmniej nie na początku. Do swojego ojca. Modlił się, by pastor przestał widywać to, co dostrzegał w oczach syna, podczas gdy John Cardale rzeźbił nowe pióra w poszarpanych skrzydłach na plecach Elia.

Chłopiec nauczył się nie krzyczeć, ale podczas chłosty jego oczy wciąż napełniały się łzami, kolory witraży zlewały się w jedną plamę, aż widział tylko światło. Trzymał się go

równie mocno jak stalowego krzyża pod palcami.

Eli nie wiedział, co mu dolegało, ale bardzo chciał zostać uleczony.

Chciał dostąpić zbawienia.

XI

CZTERY LATA WCZEŚNIEJ

SKRZYDŁO LABORATORYJNE PION-U

Stell wybił palcami werbel na kontuarze.

– Przyszedłem porozmawiać z jednym z waszych podopiecznych – poinformował. – Z Eliotem Cardale'em.

– Przykro mi, sir. Właśnie bierze udział w testach.

Stell uniósł brwi.

– Znowu?

Trzeci raz przyszedł porozmawiać z Eliem i trzeci raz usłyszał tę samą odpowiedź.

Za pierwszym razem brzmiała wiarygodnie, za drugim niezręcznie, jak wymówka, a teraz Stell najwyraźniej miał do czynienia z łągarstwem. Dotychczas nie powoływał się na swój status zwierzchnika, ale tylko dlatego, że nie chciał nikogo denerwować, a poza tym wiedział, jak to wpłynie na jego reputację. PION był jego ukochanym dzieckiem, w dodatku nowo narodzonym, do tego stopnia świeżym, że budynek wokół nich był jeszcze wykańczany, ale na dyrektorze spoczywała również odpowiedzialność za instytucję i ludzi, a teraz czuł instynktownie, że coś tu nie gra. Poczuł ukłucie niepokoju.

– Tak samo odpowiedziano mi poprzednio.

Kobieta – Stell nie wiedział, czy była lekarką, naukowczynią czy sekretarką – zacisnęła usta.

– Ależ, sir, to jest laboratorium naukowe. Testy odbywają się tu tak często...

– W takim razie nie powinna mieć pani nic przeciwko przerwaniu aktualnej sesji.

Zmarszczyła czoło.

– W przypadku pacjenta takiego jak pan Ever...

– Cardale – wtrącił Stell. Eli sam wybrał sobie pseudonim „Ever” w aroganckiej i megalomańskiej próbie dorównania komiksowym superbohaterom. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Eliot – inaczej Eli – Cardale.

– W przypadku pacjenta takiego jak pan Cardale – poprawiła się – testy wymagają czasochłonnych przygotowań. Przedwczesne zakończenie sesji byłoby marnotrawstwem zasobów PION-u.

– A cała ta sytuacja oznacza marnowanie mojego czasu – zirytował się Stell, szczypiąc się w nasadę nosa. – W takim razie chcę uczestniczyć w tej sesji, aż nie dobiegnie końca.

Przez twarz kobiety przemknął cień.

– Byłoby lepiej, gdyby zaczekał pan tutaj...

Na te słowa niepokój Stella zamienił się w przerażenie.

– Zaprowadź mnie do niego. Natychmiast!

XII

DWADZIEŚCIA TRZY LATA WCZEŚNIEJ

DOM PIERWSZY

Eli siedział na schodkach przed gankiem i patrzył w niebo.

Był przepiękny wieczór. Migające światła barwiły dom, trawnik i kaplicę na czerwono i niebiesko. Na trawie parkował ambulans i furgonetka koronera. Załoga pierwszego była już zbędna, załoga drugiego czekała na swoją kolej.

Eli przycisnął do piersi zniszczoną starą Biblię. Tymczasem policjanci i ratownicy medyczni poruszali się wokół niego niczym satelity – blisko, ale cały czas obok.

– Dzieciak przeżył wstrząs – orzekł jakiś funkcjonariusz.

Eli uważał, że to nieprawda. Nie czuł się wstrząśnięty. Czuł tylko dziwny spokój. Może to właśnie był objaw wstrząsu? Czekał, aż ten stan minie, aż stały pomruk w jego głowie ustąpi miejsca przerażeniu albo smutkowi... ale nic takiego się nie działo.

– Nie dziwię mu się. Miesiąc temu stracił matkę, a teraz to.

„Stracił”. Co za dziwne słowo. Sugerowało, że coś zostało zgubione i może zostać odnalezione. Nie zgubił jej przecież, co więcej, to on ją odnalazł – w wannie. Wokół niej pływała biała sukienka, zabarwiona na różowo. Matka leżała z dłońmi otwartymi ku górze, tak jakby w geście prośby, a jej przedramiona były rozcięte od łokci do nadgarstków. Nie, nie stracił jej.

To ona go opuściła.

Zostawiła Elia samego, uwięzionego w jednym domu z pastorem Johnem Cardale’em.

Ratowniczką medyczną położyła chłopcu dłoń na ramieniu, a on się wzdrygnął, po trosze ze względu na niespodziewany kontakt, a po trosze – ponieważ rany po ostatniej chłości dopiero niedawno się zabiłiły. Coś powiedziała, ale nie słuchał. Kilka chwil później wywieziono ciało. Kobieta próbowała stanąć tak, żeby zasłonić mu widok, ale nie było w nim nic straszniejszego – tylko czarny worek na zwłoki. Śmierć przybrała nowe oblicze – czyste i schludne, niemal sterylne.

Eli zamknął oczy i przywołał obraz ojca, leżącego bez ruchu u podnóża schodów. Płytką czerwona kałuża rozlewała się wokół głowy pastora niczym aureola, tyle że w mroku piwnicy krew wydawała się smolście czarna. Oczy miał mokre, a jego usta bezdźwięcznie otwierały się i zamykały.

Czego szukał jego ojciec w piwnicy? Eli nigdy się tego nie dowiedział. Otworzył oczy i zaczął z roztargnieniem kartkować Biblię.

– Ile masz lat? – zapytała ratowniczką.

Przelknął ślinę.

– Dwanaście.

– Znasz kogoś z dalszej rodziny?

Pokręcił głową. Miał gdzieś jakąś ciotkę. I może kuzyna? Ale nigdy ich nie poznał. Cały jego świat mieścił się tutaj; był nim kościół ojca oraz wierni z jego parafii. Pomyślał, że wśród wiernych działa przecież siatka kontaktów, używana do przekazywania informacji o okazji do celebrowania czyichś narodzin... albo śmierci.

Kobieta odeszła parę kroków i nawiązała rozmowę z dwoma funkcjonariuszami. Ściszyła głos, lecz Eli dosłyszał kilka słów:

– Chłopak został z niczym.

I znów się myliła. Eli nie miał matki ani ojca, a teraz i domu, ale została mu wiara.

Nie dlatego, że nosił na plecach blizny albo że uczestniczył w mniej brutalnych rytuałach, odprawianych przez pastora Cardale'a dla wszystkich parafian. Nie, wiara Elia wiązała się z tym, co czuł, spychając ojca ze schodów do piwnicy... kiedy głowa pastora uderzyła w podłogę u podnóża stopni... a potem ostatecznie przestał się ruszać.

W tamtej chwili Eli poczuł spokój. Tak jakby w jednym małym zakątku wielkiego świata zapanował wreszcie porządek.

Coś – albo ktoś – prowadziło jego rękę i dało mu odwagę, by przyłożyć dłoń do pleców ojca i popchnąć z całej siły. Pastor błyskawicznie poleciał w dół, odbijając się niczym piłka od starych drewnianych schodów, aż w końcu wylądował w piwnicy ze złamanym karkiem.

Eli podążył za nim powolutku, rozważnie stawiając stopy na kolejnych stopniach. Wyjął z kieszeni telefon, ale nie wybrał numeru alarmowego i nie nacisnął „Połącz”. Zamiast tego usiadł na jednym z dolnych stopni w bezpiecznej odległości od kałuży krwi, trzymając komórkę w dłoni, i czekał.

Czekał, aż jego ojciec nie będzie już oddychać, aż kałuża krwi przestanie się rozlewać, a oczy pastora będą puste i martwe.

Przypomniał sobie wówczas jedno z jego kazań.

„Ci, którzy nie wierzą w nieśmiertelną duszę, nigdy nie widzieli, jak opuszcza ciało”.

„Miał rację”, pomyślał Eli, wybierając w końcu numer alarmowy.

Między żywym a martwym naprawdę była różnica.

– Nie przejmuj się – powiedziała ratowniczką, wracając przed ganek. – Znajdziemy ci jakieś schronienie – zapewniła, klękając przed nim, najwyraźniej po to, by poczuł się tak, jakby byli sobie równi. – Wiem, jakie to straszne – oznajmiła, chociaż przecież wcale tak nie uważał. – Powiem ci jednak coś, co pomaga mi, kiedy czuję się przytłoczona życiem: każdy koniec to nowy początek – powiedziała uroczyście i wstała. – No już, chodźmy.

Eli podniósł się i podążył za nią po schodach.

Wciąż czekał, aż uczucie spokoju zniknie, ale nic podobnego się nie działo.

Nie wówczas, gdy prowadzili go coraz dalej od domu. Ani wtedy, kiedy kazali mu poczekać przy ambulansie. Ani kiedy go odwozili. Obejrzał się za siebie raz, tylko raz, ogarniając wzrokiem dom, kaplicę, a potem odwrócił się, spoglądając naprzód.

„Każdy koniec to nowy początek”.

XIII

CZTERY LATA WCZEŚNIEJ

SKRZYDŁO LABORATORYJNE PION-U

Stell wszedł do pokoju obserwacyjnego w momencie, kiedy człowiek w białym kitlu rozciął już klatkę piersiową Cardale'a i rozwierał żebra. Pacjent był przypięty do stalowego stołu, a chirurg używał piły oraz całej kolekcji klamer i metalowych gwoździ. Eli ciągle żył, ale – co gorsza – był również przytomny.

PonadPrzeciętny miał na nosie i ustach maskę. Gumowy wąż prowadził od niej do maszynarii za jego głową, ale niezależnie od tego, jaki gaz mu podawano, nie pomagał; cierpienie było widać w każdym skurczu mięśni. Całe ciało prężło się w pasach, a skóra wokół unieruchomionych nadgarstków i kostek zbieleła z wysiłku. Obejma przytrzymywała głowę Elia na stole, uniemożliwiając mu oglądanie własnej sekcji, ale Stell wątpił, czy pacjent faktycznie musi patrzeć, żeby wiedzieć, co się z nim dzieje. Krople potu ściekały po twarzy Elia, zraszając jego włosy, podczas gdy chirurg poszerzał rozcięcie w jego piersi.

Stell nie wiedział, czego się spodziewać, ale nie oczekiwał takiej sytuacji.

Kiedy chirurg skończył przecinać mostek pacjenta i zaczął odciągać skórę z rany, Cardale jęknął tak głośno, że maska stłumiła ten dźwięk tylko częściowo. Krew wydobywała się z jego otwartej klatki piersiowej, zalewając śliską strugą stół sekcyjny, którego krawędzie były zbyt niskie, by powstrzymać potop czerwonej cieczy. Jej strumyki przelewały się bokami na podłogę.

Stell poczuł mdłości.

– Wyjątkowy, nieprawdaż?

Odwrócił się do przeciętnie wyglądającego mężczyzny zdejmującego upaprane krwią rękawiczki. Głęboko osadzone oczy doktora za okrągłymi szklami jaśniały dziwnym blaskiem, a źrenice miał rozszerzone, tak jakby oglądanie sceny na stole sekcyjnym sprawiało mu przyjemność.

– Co tam się według pana wyprawia, do jasnej cholery? – wybuchnął Stell.

– Uczymy się – wyjaśnił lekarz.

– Torturujecie go.

– Studiujemy jego umiejętności.

– Ale on jest świadomy!

– Niestety – odparł lekarz z cierpliwym uśmiechem – regeneracyjne zdolności pana Cardale'a sprawiają, że jakiegokolwiek środki znieczulające są bezużyteczne.

– To po co maska?

– Ach – zachwyił się doktor – to jeden z moich osobistych triumfów. Rozumie pan, nie możemy go znieczulić, ale to nie znaczy, że nie potrafimy obniżyć jego funkcji życiowych. Maskę to część systemu deprywacji tlenowej. Ogranicza mu dostęp powietrza do dwudziestu pięciu procent, co spowalnia jego zdolności regeneracyjne poprzez pozbawianie komórek tlenu. Dzięki temu zyskujemy nieco więcej czasu podczas badania reszty jego ciała, zanim rozcięcia się zagoją.

Stell spojrział na pierś Elia, która unosiła się i opadała ciężko. Z tego miejsca mógł niemal dostrzec serce PonadPrzeciętnego.

– Nigdy dotąd nie badaliśmy takiego pacjenta PP jak pan Cardale – ciągnął doktor. – Gdybyśmy znaleźli sposób, by okiełznać jego moc, zrewolucjonizowałoby to medycynę.

– Ale PonadPrzeciętnych umiejętności nie da się opanować... przenieść na inną osobę ani skopiować – powiedział Stell.

– Jeszcze nie. Gdybyśmy jednak potrafili zrozumieć...

– Dość – zdecydował dyrektor, zapatrzonej w zrujnowane ciało Elia. – Proszę ich powstrzymać.

Doktor zmarszczył czoło.

– Jeżeli zdejmą klamry, ciało się uleczy i będziemy musieli zaczynać wszystko od początku. Naprawdę nalegam, aby...

– Jak się pan nazywa?

– Haverty.

– No to posłuchaj mnie pan, Haverty: nazywam się Stell i jestem pańskim dyrektorem. Oficjalnie zamykam ten eksperyment. Powstrzymajcie ich pan albo straci pracę.

Mdły uśmiech powoli spelzł z twarzy Haverty'ego. Chwycił mikrofon z uchwytu na ścianie pokoju obserwacyjnego i włączył go.

– Zakończyć sesję – rozkazał chirurgom na sali operacyjnej. Lekarze się zawahali. – Powiedziałem: zakończyć! – powtórzył Haverty oschle.

Personel zaczął metodycznie usuwać klamry i gwoździe chirurgiczne z otwartej klatki piersiowej Elia. Gdy skończył, ciało PonadPrzeciętnego pacjenta się odprężyło. Spoczywał teraz bezwładnie na stole, rozprostował ręce, a jego kończyny nabierały z powrotem zdrowego koloru, kiedy jego organizm wracał do zdrowia. Żebra zamknęły się z trzaskiem, skóra zrosła i wygoiła. Rysy twarzy wygładziły się, a oddech, mimo że wciąż wysiłony (nikt nie zdjął mu maski) zaczął się wyrównywać.

Jedynym śladem po niedawnych potwornych wydarzeniach były plamy świeżej krwi, lśniące na stole i podłodze.

– Jest pan zadowolony? – zapytał Haverty z pretensją w głosie.

– O, daleko mi do zadowolenia – zapewnił go Stell, wychodząc z pokoju obserwacyjnego. W drzwiach zatrzymał się jeszcze i wypalił: – A pan, doktorze Haverty, już tu nie pracuje.



– Oprzyj czoło o ścianę i wystaw dłoń przez wnękę.

Eli wykonał rozkaz, wymacując otwór w pleksiglasowej ścianie. Nic nie widział. Zasłonięto mu świat miękkim, czarnym kapturem, który żołnierze naciągnęli mu na głowę, wywlekając go tego ranka z betonowej celi. Jeszcze zanim się zjawili, wiedział, że stało się coś złego – chociaż nie, nie złego, lecz z pewnością coś się zmieniło. Haverty miał swoje przyzwyczajenia, a mimo że Eli nie dysponował idealnym wyczuciem czasu, orientował się, że ostatnia sesja zakończyła się przedwcześnie.

Odnalazł wnękę w pleksiglasie, coś w rodzaju wąskiej półki, i oparł nadgarstki na jej brzegu. Ktoś brutalnie wciągnął jego dłońe głębiej, a po chwili zdjęto mu kajdanki.

– Trzy kroki w tył.

Eli wycofał się, oczekując, że dotknie plecami przeciwległej ściany, ale nic takiego się nie stało.

– Zdejmij kaptur.

Zrobił to i zmrużył oczy, porażony nagłą jasnością. Światło wydawało się tu jednak inne niż na sali operacyjnej – było przyjemne, ciepłe i nie oślepiało. Miał przed sobą przezroczystą pleksiglasową ścianę, sięgającą od podłogi do sufitu, z otworami w regularnych odstępach oraz jedną wąską wnęką, w której przed chwilą spoczywały jego dłonie. Z drugiej strony stali trzej żołnierze w pełnym bojowym rynsztunku, z twarzami skrytymi za przyłbicami hełmów. Dwóch trzymało pałki z elektrycznymi paralizatorami, od których dobiegał niski pomruk, a po końcówkach przebiegały jasnobłękitne wyładowania. Trzeci chował kajdanki zdjęte z nadgarstków więźnia.

– Co to za miejsce? – zapytał Eli, lecz żołnierze nie odpowiedzieli. Odwrócili się tylko i odeszli, a ich kroki rozległy się echem w pomieszczeniu. Gdzieś otworzyły się drzwi, potem zamknęły, dał się słyszeć syk powietrza, gdy wyrównywano ciśnienie. I świat za pleksiglasem zniknął. Ściana, jeszcze chwilę temu przezroczysta, stała się jednolicie biała.

Eli rozejrzył się po swoim nowym lokum.

Znajdował się we wnętrzu sporego sześcianu, ale po miesiącach spędzonych w pasach na stole sekcyjnym lub w celi rozmiarów grobu był wdzięczny losowi za tę zmianę. Zbadał rozmiary nowego więzienia, licząc krokami długość ścian i notując w pamięci szczegóły i brak w wyposażeniu.

Zauważył cztery kamery, osadzone nad gładką powierzchnią sufitu. Nie było tu okien ani żadnych oczywistych drzwi (wcześniej słyszał, jak pleksiglasowa bariera wsuwa się w podłogę i unosi za nim z powrotem). Prycza, stół z krzesłem, w rogu toaleta, umywalka i prysznic. Ubrania z jednolicie szarej bawełny leżały złożone na wbudowanej w ścianę półce.

Widmo Victora przesunęło po nich dłoń.

– I tak oto anioł zamienia piekło na czyściec – zadrwiło.

Eli nie wiedział, gdzie się znajduje. Ale przynajmniej nikt go tu nie przypinał pasami i nie rozcinał jego ciała, a to już była znaczna poprawa. Zdjął ubranie i wszedł pod prysznic. Rozkoszując się bieżącą wodą, zmył z siebie zapach alkoholu i innych środków dezynfekcyjnych oraz resztki krwi. Spodziewał się niemal, że spływająca z niego woda będzie gęsta od brudu, który zebrał się na ciele po roku tortur, ale Haverty był skrupulatny: fundował Eliowi codziennie dwa mycia szlauchem, rano i wieczorem, toteż po męczarniach nie pozostał żaden ślad – nawet blizny.

Eli położył się na pryczy, plecami do ściany, i czekał.

XIV

DWADZIEŚCIA TRZY LATA WCZEŚNIEJ

DOM DRUGI

Sieć kontaktów zadziałała.

Jeszcze tego samego wieczoru Eli przybył do domu państwa Russo z plecakiem pełnym ciuchów, zdając sobie sprawę, że trafił tu tylko na pewien czas. Miał zaczekać, aż władze odnajdą jego żyjących krewnych, którzy chcieliby go przygarnąć.

Pani Russo powitała go przy drzwiach w szlafroku. Był późny wieczór i jej dzieci – cała piątka, w wieku od sześciu do piętnastu lat – dawno już spały. Wzięła plecak Elia i poprowadziła go w głąb domu, ciepłego i przytulnego, jak wiele rodzinnych domów. Podłogi były porysowane, a kanty ścian i mebli – wytarte i obłe.

– Biedactwo – mruknęła pod nosem i cmoknęła ze współczuciem, wchodząc z Eliem do kuchni. Wskazała mu gestem krzesło przy stole i dalej mamrotała, bardziej do siebie niż do niego, całkiem innym tonem niż matka Elia. Ta zawsze szeptała z nutą przerażenia w głosie: „Mój aniołku, mój aniołku, już dobrze, już cichutko”.

Usiadł na rozchwanym krześle i wbił wzrok we własne dłonie, wciąż czekając, aż nadejdzie wstrząs – albo minie, wszystko jedno. Pani Russo postawiła przed nim parujący kubek, a on objął go dłońmi. Naczynie było gorące, do tego stopnia, że zaczęło go parzyć, ale nie puszczał. Dobrze znał ten ból, a teraz witał go niemalże z radością.

„I co teraz?”, pomyślał.

„Każdy koniec to nowy początek”.

Pani Russo usiadła naprzeciwko niego i objęła jego dłonie swoimi. Eli wzdrygnął się i próbował odsunąć, ale trzymała go mocno.

– Musisz cierpieć – powiedziała, i tak właśnie było: kubek parzył jego dłonie, ale wiedział, że kobieta miała na myśli głębsze, poważniejsze cierpienie, a tego akurat nie czuł. Wręcz przeciwnie, wydawało mu się, że od lat nie czuł takiej ulgi. – Bóg nigdy nie daje nam więcej, niż możemy unieść – ciągnęła.

Eli skupił wzrok na złotym krzyżyku, wiszącym na łańcuszku wokół jej szyi.

– Ale to my powinniśmy odnaleźć cel cierpienia.

Cel cierpienia.

– No dobrze – podsumowała, klepiąc go współczująco po dłoni. – Zaraz ci pościelę.



Eli nie spał zbyt dobrze.

Zwykle spędzał połowę nocy, nasłuchując kroków ojca tuż za drzwiami, tak jakby pastor był wilkiem, czatującym w lesie za domem. Drapieżnikiem, krążącym blisko ofiary. Tymczasem w domu państwa Russo panowała cisza i spokój. Eli leżał, nie mogąc zasnąć, i zastanawiał się nad tym, jak to jest, że osiem osób pod jednym dachem zajmuje mniej przestrzeni niż dwie.

Spokój nie trwał jednak długo.

W którymś momencie Eli musiał odpłynąć, ponieważ obudził go gromki śmiech i światło poranka. Znad krawędzi łóżka patrzyła na niego para szeroko otwartych zielonych oczu. Najmłodsza córka gospodarzy gapiła się na niego z zainteresowaniem i podejrzliwością.

Raptem do pokoju wpadły cztery kolejne osoby, hałaśliwe i bezpośrednie. Była sobota, więc dzieciaki państwa Russo szalały w najlepsze. Eli spędził większość dnia, próbując schodzić im z drogi, ale w tak zatłoczonym domu było to trudne.

– Dziwadło! – rzucił jeden z chłopaków, wpadając na niego na schodach.

– Jak długo zostaje? – zainteresował się inny.

– Zachowujcie się po chrześcijańsku! – upomniała ich pani Russo.

– Jest straszny, aż mnie ciary przechodzą – poskarżył się najstarszy.

– Co z tobą jest nie tak? – zapytała inkwizytorskim tonem najmłodsza z rodzeństwa.

– Nic – odparł Eli, chociaż nie był pewny, czy to prawda.

– Więc zachowuj się normalnie – zażądała, jakby to było coś najprostszego na świecie.

– A jak to jest normalnie? – zapytał, na co dziewczynka jęknęła cicho z rozpaczy i odbiegła.

Eli czekał, aż ktoś przyjedzie i go zabierze – chociaż nie wiedział dokąd – ale minął dzień, zapadła noc, a on wciąż tkwił w tym samym miejscu. Spędził samotnie tylko pierwszą noc, na kolejne pościelono mu w pokoju chłopaków, na zapasowym materacu upchniętym w kącie. Leżał tam, nasłuchując oddechów śpiących, z mieszaniną irytacji i zazdrości. Mózg, czujnie reagujący na najmniejsze poruszenie, nie pozwalał mu odocząć.

W końcu wstał i poszedł na dół, mając nadzieję, że uda mu się zasnąć na kanapie.

Państwo Russo nie spali jeszcze, a Eli podsłuchiwał ich rozmowę w kuchni.

– Coś z tym chłopakiem jest nie tak.

Zatrzymał się w przedpokoju, wstrzymując oddech.

– Jest za cichy.

Pani Russo westchnęła.

– Tyle go ostatnio spotkało... Wiesz, Alan, jestem pewna, że odnajdzie właściwą drogę.

Eli wrócił do pokoju chłopaków i położył się z powrotem. W ciemności przypominał sobie słowa, które padły pod jego adresem.

„Cichy”. „Dziwadło”. „Mam ciary na jego widok”.

„Odnajdzie właściwą drogę”.

„Zachowuj się normalnie”.

Nie wiedział, co znaczy „zachowywać się normalnie” ani jak wygląda takie zachowanie, ale spędził dotychczasowe życie na uważnej obserwacji nastrojów ojca i przemilczeń matki, dzięki czemu nauczył się rozpoznawać nadciągającą burzę po subtelnych zmianach atmosfery w domu. Teraz patrzył, jak rozrabiają synowie państwa Russo, i starał się uchwycić różnice między humorem a agresją.

Przyglądał się, z jaką pewnością najstarszy – piętnastolatek – wodzi rej wśród młodszego rodzeństwa. Uważnie obserwował sceny prostodusznej niewinności, odgrywane przez najmłodszego z chłopców, który dzięki temu dostawał to, czego chciał. Koncentrował się na minach wyrażających całą paletę emocji – irytację, niesmak i wściekłość, ale w największym skupieniu oglądał, jak się cieszą. Studiował radosny blask ich oczu, rozmaite tony chichotu i dziesiątki odcieni mniej lub bardziej intensywnych uśmiechów. Wszystko zależało od przedmiotu ich radości.

Nigdy wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że jest tyle rodzajów szczęścia, a co dopiero sposobów wyrażania go.

Jego badania przerwano, kiedy – zaledwie dwa tygodnie po przyjeździe do państwa Russo – znów musiał się przeprowadzić, do innego domu i innej rodziny.

„Zachowuj się normalnie”, powiedziała mu najmłodsza Russo.

I Eli próbował zachowywać się normalnie. Zaczął z czystą kartą. Imitacja była jeszcze niedoskonała, ale wyraźnie lepsza. Dzieci w nowym domu wciąż go przezywały, ale same epitety się zmieniły.

„Wypłosza”, „dziwadło” i „cichego” zastąpiły „odmieniec”, „ciekawski” i „wiercipięta”.

Wkrótce przeprowadził się do kolejnej rodziny i dostał następną szansę. Jeszcze jedną okazję, żeby odnaleźć się w nowym otoczeniu, skorygować zachowanie i dostosować osobowość do ludzi.

Eli wypróbowywał swoje role na członkach coraz to nowych rodzin, tak jakby byli widownią teatralną, i wykorzystywał ich natychmiastowe, bezpośrednie i szczere reakcje, by zmieniać treść przedstawienia.

Dzięki temu „odmieniec”, „ciekawski” i „wiercipięta” ustąpiły miejsca określeniom: „czarujący”, „skoncentrowany” i „inteligentny”.

A potem zmieniło się jeszcze coś. Inny samochód uwiózł go w dal, ale tym razem nie do kolejnej rodziny z trzódki jego ojca.

Tym razem pojechał do własnych krewnych.



DOM PIĄTY

Patrick Cardale był niewierzący.

Był siostrzeńcem Johna Cardale’a, synem zmarłej ciotki Elia, której chłopak nigdy nie poznał. Patrick wykładał w lokalnym college’u, a Lisa, jego żona, malowała. Byli bezdzietni, więc Eli nie miał kogo naśladować ani za kim się ukryć.

Usiadł na kanapie naprzeciwko nich, zafascynowanych widzów jego solowego występu.

– Ile masz lat? – zapytał Patrick. – Dwanaście?

– Prawie trzynaście – odpowiedział Eli. Od wypadku pastora Cardale’a minęło już ponad pół roku.

– Przepraszam, że tak długo nam to zajęło – powiedział Patrick, zwieszając ręce między kolanami.

Lisa położyła mu dłoń na ramieniu.

– Bądźmy szczerzy: to nie była dla nas łatwa decyzja.

Patrick przesunął się niespokojnie.

– Wiem, że byłeś wychowywany w... pewien sposób. Wiem też, że nie potrafiłbym ci zapewnić podobnej opieki. W wielu sprawach nie zgadzałem się z Johnem.

– Ja też nie – wtrącił Eli.

Zdał sobie sprawę, że mogli się poczuć nieco zmieszani tym wyznaniem, więc się uśmiechnął. Nie za intensywnie, tylko na tyle, by Patrick zrozumiał, że wszystko jest w porządku.

– Chodź – zaproponowała Lisa, wstając. – Pokażę ci twój pokój.

Eli poszedł za nią.

– Możemy znaleźć w okolicy kościół – dodała, prowadząc go korytarzem. – Jeśli to dla ciebie istotne.

Nie potrzebował kościoła. Nie dlatego, by zrezygnował z wiary w Boga, ale ze względu na to, że kościół był jedynym miejscem, gdzie Eli nigdy nie czuł Jego obecności. Owszem, Bóg stał przy nim u szczytu schodów do piwnicy. Dał mu wszystkie te rodziny, by chłopiec miał się od kogo uczyć. Doprowadził go do tej pary i jej domu, który był jego nową szansą.

W końcu dotarli do jego pokoju, wygodnego i czystego. Podwójne łóżko, szafa, biurko. Na ścianie nad biurkiem wisiały dwie oprawione grafiki, przedstawiające ludzką anatomię: przekrój dłoni oraz serca. Eli stanął przed nimi, uważnie przyglądając się liniom, zaskoczony ich misternością i elegancją.

– Jeżeli ci się nie podobają, możesz je zdjąć – powiedziała Lisa. – Dostosuj pokój do siebie, powieś plakaty czy co tam wieszają chłopaki w twoim wieku.

Obejrzał się na nią.

– Jak długo tu zostaję?

Zrobiła wielkie oczy, zaskoczona tym pytaniem. Jej twarz była niczym otwarta księga – tak się chyba mówiło? Eli nigdy do końca nie rozumiał tego powiedzenia, dopóki nie poznał Lisy.

– Ile tylko chcesz! – powiedziała. – Teraz to twój dom.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Od śmierci ojca przebywał w różnych domach najwyżej po parę tygodni, czego oczywiście nie można było traktować jako zamieszkiwania w pełnym tego słowa znaczeniu. Teraz mógł zostać w jednym domu na całe miesiące, a nawet lata.

Uśmiechnął się i tym razem wypadło to niemal naturalnie.

XV

CZTERY LATA WCZEŚNIEJ

PION

Stell siedział na fotelu w swoim gabinecie i czekał na rozmowę.

Jego biuro urządzono schludnie i czysto, podobnie jak resztę pomieszczeń PION-u, w oszczędnym, minimalistycznym stylu. Na biurku świeciły trzy płaskie ekrany, a na ścianie jarzyła się siatka kolejnych, przekazujących podgląd z każdego korytarza, punktu kontrolnego i celi.

Cele PION-u miały kształt kostki. Każdy z tych sześciątów, stanowiący najnowsze osiągnięcie techniki, stał pośrodku własnego betonowego hangaru. Większość ekranów na ścianie była wciąż ciemna; miały przekazywać obraz z jeszcze nieukończonych skrzydeł budowli lub z cel, które dotąd pozostawały puste. Jednak na środkowym ekranie Eli krążył po swoim więzieniu niczym lew sprawdzający granice klatki.

I pomyśleć, że to wszystko by się nie wydarzyło, gdyby nie Eliot Cardale.

Eli Ever.

Stell podniósł z biurka czarną wizytówkę i obracał ją w roztargnieniu między palcami. Litery „PION”, nadrukowane bezbarwnym błyszczącym lakierem, były widoczne tylko pod odpowiednim kątem.

PION był od samego początku pomysłem Stella, najpierw jednak – luźną propozycją, stworzoną na podstawie doświadczeń z Vale'em i Cardale'em; zarówno sukcesów, jak i porażek. Dziesięć lat wcześniej Stell wsadził Victora do więzienia, a Elia puścił wolno, a w konsekwencji tego wyboru – porażki, bo przegapił oczywiste wskazówki, bo nie potrafił przejrzeć podstępny – zginęło trzydzieścioro dziewięścioro ludzi. Niepokoiło go to od wielu lat. Dręczyło jego sumienie.

Musiał istnieć sposób, by znajdować PonadPrzeciętnych i powstrzymywać ich, a pewnego dnia może także wykorzystać. Owszem, osoby PP bywały niebezpieczne, niektóre z nich w katastrofalnym stopniu, ale może wśród zagubionych i szalonych znajdowały się jednostki, które można było przywrócić społeczeństwu, dając im cel i poczucie własnej wartości? Co, jeżeli śmierć nie zmieniała czyjejś natury, tylko ją wzmacniała?

Zgodnie z tą logiką można by oczekiwać, że zraniony żołnierz nadal zechce służyć w armii.

Takie było sedno pomysłu Stella. Świat, w którym wyszkoleni PonadPrzeciętni mogliby zapobiegać przestępstwom, zamiast je popełniać, a resztę tych wyjątkowych ludzi dałoby się powstrzymać od wyrządzania krzywdy innym.

Krótki, przenikliwy sygnał oznajmił, że ktoś do niego dzwoni. Półkole ekranów na biurku Stella rozjarzyło się światłem.

Dyrektor przejechał palcami w powietrzu, przyjmując połączenie, a sekundę później pojawiło się przed nim wnętrze sali konferencyjnej, na której za długim, solidnym stołem siedziało pięć sztywnych postaci.

Zarząd.

Trzech mężczyzn i dwie kobiety, wszyscy w ciemnych garniturach lub garsonkach – standardowych uniformach tak agencji rządowych, jak prywatnych. Wyglądali jak klony –

takie same ciemne włosy, zmrużone oczy i twarze pozbawione wyrazu.

– Dyrektorze – odezwał się mężczyzna w ciemnografitowym stroju – czy mógłby pan wyjaśnić, z jakiego powodu usunął pan cenny obiekt badań z laboratorium i zwolnił jednego z naszych najwybitniejszych – a jeśli już przy tym jesteśmy, najwartościowszych – naukowców?

– Ponieważ prowadził wiwisekcję na osobie PonadPrzeciętnej.

Nastąpiło milczenie, wbrew pozorom wcale nie pełne napięcia. Członkowie zarządu patrzyli na niego tak, jakby im nie odpowiedział. Jakby w ogóle nie dostrzegali problemu.

– O ile dobrze pamiętam – zaczął Stell, splatając palce – to jestem dyrektorem tej instytucji. Czy decyzje personalne mieszczą się jeszcze w moich kompetencjach?

– Oczywiście, że tak, panie dyrektorze – powiedziała kobieta w granatowym, podkreślając ostatnie słowo. – Dysponuje pan głęboką wiedzą na temat potrzeb tej jednostki i stojących przed nią wyzwań, jednak...

– PION może być pana organizacją – przerwał jej mężczyzna w czerni – ale to my jesteśmy finansującym ją bankiem.

– I jako bank – uzupełnił człowiek w grafitowym garniturze – chcemy wiedzieć, czy nasze pieniądze są wydawane we właściwy sposób. W interesie bezpieczeństwa narodowego.

Ostatnie zdanie zabrzmiało wymuszenie. Tak jakby pięciu głodnym wilkom w ciemnych garniturach chodziło o coś więcej niż zysk.

– Może i metody Haverty'ego budzą wątpliwości – podjęła kobieta w granatowym – ale kierunek jego badań był obiecujący. A co do pańskiego PonadPrzeciętnego, to jego zdolności sprawiają, że jest jedynym obiektem, na jakim można przeprowadzać takie eksperymenty. Teraz pozbawił nas pan zarówno badacza, jak i badanego.

– Porozmawiamy o tym PonadPrzeciętnym – wtrąciła druga kobieta, ta w czarnej garsonce. – Eliot Cardale, alias Eli Ever. Co się z nim teraz dzieje?

– Został przeniesiony do celi na oddziale ścisłej izolacji.

– W jakim celu?

– W celu odizolowania go – wyjaśnił cierpliwie Stell. – Eli Cardale zabił niemal czterdzieści osób.

Ten w szarym garniturze pochylił się ku kamerze.

– Niemal wszyscy byli PonadPrzeciętni, nieprawdaż?

– Czy w związku z tym jego zbrodnie można uznać za usprawiedliwione?

Mężczyzna lekceważąco machnął dłonią.

– Chodzi mi o to, że pański podopieczny udowodnił swoją biegłość.

– W zakresie zabijania osób PP?

– Przede wszystkim ich odnajdywania.

– Czy nie taki cel ma pańska organizacja? – zapytała kobieta w granatowym uniformie.

– Odnaleźć i odizolować PonadPrzeciętnych, zanim wyrządzą szkody?

– Właśnie taki – wycedził Stell.

– W takim razie – stwierdził mężczyzna w czerni – sugeruję, żeby powierzył pan Everowi dokładnie takie zadanie.



Światła zgasty, potem znów się zapaliły, a Eli wciąż czekał.

Minęła noc i nikt się nie zjawił, żeby go wywlec z celi i dokąś zabrać. Zastanawiał się, czy tak właśnie wyglądała odsiadka Victora po aresztowaniu: oczekiwanie bez końca, w samotności.

Pochylił się i usiadł z łokciami opartymi na kolanach. Splótł palce, ale zamiast się modlić, patrzył ponad knykциями w przeciwległą ścianę i nasłuchiwał. W celi i wygłuszonej przestrzeni naokoło panowała jednak absolutna cisza.

– I co, będziesz tak siedział i czekał? – zadrwił Victor, znów pojawiając się obok Elia. – Musisz być z siebie bardzo zadowolony.

Eli wstał i podszedł do przegrody z pleksiglasu, zapukał w nią knykциями, po czym przycisnął do niej otwartą dłoń, sprawdzając wytrzymałość materiału.

– Zapewniam cię – zabrzmiał znajomy głos – że ściany tej celi są mocniejsze, niż się wydają.

Ściana stała się przezroczysta, jakby ktoś błyskawicznym ruchem odsłonił okno. Po drugiej stronie stał Mark Stell. Ostatnim razem Eli widział policjanta w wieżowcu Falcon Price, stojącego nad zwłokami Victora, podczas gdy antyterroryści wywlekali stamtąd Elia.

– Dzień dobry, agencie Stell – przywitał się PonadPrzeciętny.

– Właściwie teraz już „dyrektorze”.

– Gratulacje – powiedział chłodno Eli. – Dyrektorze czego?

Stell rozłożył ramiona.

– Tego miejsca. Twojego nowego domu. Nazywa się PION. PonadPrzeciętni: Instytucja Obserwacji i Neutralizacji – wyjaśnił i podszedł do ściany. – Przyznasz, że to poprawa w porównaniu z poprzednimi warunkami?

– Zakładam, że jako dyrektor ponosisz odpowiedzialność również za tamto?

Stell spochmurniał.

– Nie byłem poinformowany o metodach stosowanych w laboratorium. Inaczej nie pozwoliłbym na to. Jak tylko się dowiedziałem, zostałeś stamtąd wyciągnięty, a badania zostały zakończone. Jeżeli będzie to dla ciebie jakimkolwiek pocieszeniem, kariera Haverty'ego również.

– Pocieszeniem... – powtórzył Eli, przyciskając dłoń od pleksiglasu.

– Ostrzegam cię – powiedział Stell – że jeśli spróbujesz mocniej uderzyć w którąś ze ścian, rozlegnie się sygnał ostrzegawczy, a zaraz potem na całej powierzchni zostanie włączony prąd. Spróbuj po raz drugi, i... no cóż, wiemy obaj, że cię to nie zabije, ale na pewno zabol.

Eli cofnął dłoń.

– Jaka przezorność.

– Raz już cię zlekceważyłem. Nie mam zamiaru powtórzyć tego błędu.

– Nigdy ci nie zagrażałem. Czy nie lepiej byłoby skierować energię i zasoby twojej instytucji przeciwko PonadPrzeciętnym niebezpiecznym dla ogółu społeczeństwa?

Stell wykrzywił usta w ponurym uśmiechu.

– Zabiłeś trzydzieści dziewięć osób, a przynajmniej o tylu wiemy. Jesteś seryjnym mordercą.

Prawdziwa liczba była bliższa pięćdziesięciu, ale Eli nie miał zamiaru tego ujawniać. Odwrócił się, mierząc wzrokiem celę.

– A czym sobie zasłużyłem na lepsze warunki?

Stell wyciągnął zwykłą żółtawą teczkę i wsunął ją we wnękę w pleksiglasowej ścianie. Eli wziął ją, po czym szybko przejrzał zawartość – profil, podobny do tych, jakie zakładali policjanci w Merit według jego wytycznych.

– Posiadasz unikalną, sprawdzoną umiejętność – wyjaśnił Stell. – Przebywasz tutaj, by wspierać nas podczas odnajdywania i izolowania innych...

Eli zaśmiał się, krótko i niewesoło.

– Jeżeli chcesz, żeby pomagał wam polować na PonadPrzeciętnych – stwierdził szyderczo, rzucając teczkę na stół – nie powinienes mnie zamykać w celi.

– Inaczej niż ty, traktujemy egzekucję jako rozwiązanie ostateczne.

– Więc poprzestajecie na półśrodkach?

– Na środkach humanitarnych – podkreślił ostatnie słowo dyrektor.

– Oto hipokryzja w praktyce. – Eli pokręcił głową. – To co robicie, co robi PION, to tylko nieśmiała kopia mojego projektu. Dlaczego więc to ja siedzę w tej celi? – Podeszedł do przezroczystej ściany. – Możesz się nie zgadzać z moimi metodami, Stell, powątpiewać w moje motywy, ale jeżeli uważasz, że robisz coś innego niż ja, jesteś idiotą. Jedyna różnica polega na tym, że naiwnie upierasz się, by zachowywać przy życiu tych, których ja z pewnością bym zniszczył. Chcesz udawać, że chwytając PonadPrzeciętnych żywcem, okazujesz im litość. A po co? Żebyś lepiej sypiał bez ich krwi na rękach? Czy żebyś mógł powiększyć swoją kolekcję dziwadeł i dysponować ich ciałami, jak Bóg? Bawiłem się kiedyś w Boga, Stell, i kiepsko się to skończyło. – Eli zakotłosał się na piętach. – Spędziłem dziesięć lat, usiłując zmienić świat na lepsze, naprawić szkody, które wyrządziłem. Tak, zabiłem mnóstwo PonadPrzeciętnych, ale nie ze złości, okrucieństwa czy zamiłowania do przemocy. Zrobiłem to, żeby chronić ludzi, żywych, niewinnych ludzi, przed potworami, które odnalazłem w ciemności.

– Jesteś pewien, że wszyscy byli potworami? – zapytał zaczepnie Stell.

– Tak – odparł Eli z przekonaniem. Swego czasu myślał o sobie jako wyjątku od tej reguły, teraz jednak zmienił zdanie. – PonadPrzeciętni może wyglądają jak ludzie, Stell, ale nie myślą ani nie działają tak samo.

Victor wymieniłby dowolną liczbę symptomów tej zmiany – zredukowane poczucie odpowiedzialności za swoje czyny, brak wyrzutów sumienia, egocentryzm, zmianę postawy i wyglądu – ale Eli wypowiedział tylko jedno zdanie:

– Nie mają duszy. – Pokręcił głową. – Chcesz ocalić PonadPrzeciętnych? Ocal ich od nich samych. Poślij ich do piachu; tam, gdzie powinni się znaleźć. Jeżeli masz inny plan, nie pomogę ci.

W odpowiedzi Stell umieścił we wnękę inną teczkę, tym razem czarną.

Eli rzucił na nią okiem.

– Czy ty mnie w ogóle słuchałeś?

– To nie jest inny profil – wyjaśnił Stell. – To twoja jedyna alternatywa.

Eli dostrzegł na teczce nadruk ze swoim nazwiskiem. Nie sięgnął jednak po nią. Wiedział, co znajduje się wewnątrz i co to oznacza.

– Przemyśl to sobie do jutra – poradził mu Stell. – Za dwadzieścia cztery godziny wrócę po odpowiedź.

Odszedł sprzed celi, a jej ściana znów zbiałała, zamieniając ją w grobowiec. Eli zgrzytnął zębami, a potem wyjął teczkę z wnęki i zaniósł ją do stołu, na którym leżał już drugi folder, cienki i żółtawy.

Opadł na krzesło i otworzył czarną okładkę. Na wierzchu leżała czarno-biała klisza rentgenowska, pozornie niewinna. Odłożył ją i zobaczył wydruk z badania rezonansem magnetycznym: obrys ciała wypełniały jasne plamy czerwieni, błękitu i zieleni. A potem spojrział na następną kartkę i poczuł nagły ucisk w gardle. Zdjęcie przedstawiało klatkę piersiową mężczyzny – a konkretnie jego własną – rozwartą za pomocą metalowych klamr. Wewnątrz widać było żebra, płuca i bijące serce.

Każdy, kto przygotowywał się do studiów medycznych, brał udział w sekcjach. Eli na pierwszym roku wykonał ich kilkanaście; odciągał i przypinał skórę małych zwierząt, by zbadać narządy wewnętrzne. Zdjęcia z czarnej teczki przypomniały mu tamte czasy. Jedyna różnica polegała oczywiście na tym, że Eli w trakcie sekcji pozostawał żywy.

Ból dawno minął, ale wspomnienie wryło się Eliowi w pamięć, a teraz odezwało się echem, tnąc aż do kości.

Chciał zmieść teczkę ze stołu i poszarpać ją na strzępy, ale wiedział, że jest obserwowany. Zauważył już wcześniej kamery wbudowane w sufit, a teraz wyobrażał sobie Stella, stojącego z zadowoloną miną w centrum kontroli. Dlatego został przy stole i przejrzał tę ponurą kartotekę stroną po stronie, zdjęcie po zdjęciu, uważnie oglądając każde z nich, każdy diagram i każdą odręczną notatkę – wszystkie zapisy tortur przedstawione w najdrobniejszych szczegółach. Zapamiętywał zawartość teczki, tak by już nigdy więcej jej nie otwierać.

„Nie zostałeś pobłogosławiony, nie masz w sobie nic boskiego ani nie zostałeś obarczony żadnym zadaniem. Jesteś efektem eksperymentu naukowego”.

Może Victor miał rację.

Może Eli był tak samo pokręcony i przeklęty, jak wszyscy inni PonadPrzeciętni? W końcu od tamtej nocy, gdy zabił Victora, nie wyczuwał już boskiej obecności. Ani przez chwilę nie czuł spokoju.

To jednak nie uwalniało go od zadania.

Wciąż miał cel. Wciąż był zobowiązany ratować innych, nawet jeśli nie potrafił już ocalić siebie.

XVI

DWADZIEŚCIA LAT WCZEŚNIEJ

DOM PIĄTY

Eli przesunął palcami po okładce książki.

Była gruba i ciężka; na każdej stronie przedstawiono szczegółowo cudowne, misterne mechanizmy kryjące się wewnątrz ludzkiego ciała.

– Sądziłem, że powinniśmy raczej kupić ci bilety na mecz – powiedział Patrick – ale Lisa uparła się, żeby...

– Nie, prezent jest idealny – przerwał mu Eli.

– Widzisz? – powiedziała Lisa, trącając męża w ramię. – Chłopak chce zostać lekarzem. Trzeba zaczynać za młodu.

– Od kleryka do medyka – zażartował Patrick. – John musi przewracać się w grobie.

Eli się roześmiał. Śmiech był łatwy, a on wywyczył go do perfekcji. Prawdę mówiąc, nie traktował tych dwóch dróg rozłącznie. Dostrzegł Boga w dniu przyjazdu do tego domu, kryjącego się w rysunkach na ścianie; widział Go również teraz na stronach tej książki, w doskonałym dopasowaniu kości, w delikatnej sieci układu nerwowego, w mózgu – widział iskrę wiary, która zmieniała bezrozumną istotę w człowieka.

Patrick pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Jaki piętnastolatek woli książkę od...

– Wolałbyś, żebym poprosił zamiast tego o samochód? – zapytał Eli, szczerząc się w łobuzerskim uśmiechu.

Patrick klepnął go w ramię. Teraz Eli już nie reagował na to wzdrygnięciem.

Opuścił wzrok z powrotem ku podręcznikowi anatomii. Być może jego zainteresowanie tą dziedziną nie wydawało się jego opiekunom normalne, ale mógł sobie pozwolić na tak nieznaczne odstępstwo od normy.

W wieku piętnastu lat zbudował sobie już niemal idealną osobowość. Dzień po przybyciu Elia Patrick i Lisa zapisali go do szkoły, a on przekonał się boleśnie, że półroczny intensywny kurs normalności niekoniecznie wystarczy, by przeżyć w nowym otoczeniu. Była to jednak wielka szkoła, a Eli szybko się uczył, toteż wkrótce określenia „czarujący”, „skoncentrowany” i „inteligentny” weszły na stałe do słownika tych, którzy go opisywali. Ponadto dołączyły do nich: „przystojny”, „życzliwy” i „wysportowany”. Uprawiał lekką atletykę, miał najlepsze stopnie ze wszystkich przedmiotów. Oczarowywał wszystkich zwycięskim uśmiechem, był życzliwy każdemu, a jednocześnie nikt nie wiedział o bliźnach na jego plecach ani mrocznej przeszłości. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że wszystko to było świadomą grą, a nie naturalnym zachowaniem.



Śmiech Lisy zabrzmiał w całym domu niczym srebrny dzwoneczek.

Eli usłyszał go poprzez muzykę klasyczną w słuchawkach, robiąc pracę domową z chemii. Chwilę później Patrick zapukał w futrynę, a Eli nacisnął pauzę.

– Wychodzicie?

– Tak – potwierdził Patrick. – Przedstawienie zaczyna się o siódmej, więc nie powinniśmy wrócić zbyt późno. Nie pracuj za ciężko.

– I to mówi profesor do ucznia.

– Hej, badania wykazują, że kiedy urozmaicasz naukę, dużo lepiej zapamiętujesz informacje.

– Chodźże już! – zawołała Lisa.

– Kładę pieniądze na wierzchu w kuchni – powiedział Patrick. – Zamów przynajmniej pizzę. I możesz podkraść piwo z lodówki.

– Zrobi się – powiedział z roztargnieniem Eli, wciskając znów odtwarzanie.

Patrick powiedział coś jeszcze, ale Eli nie dosłyszał jego słów przez dźwięki koncertu. O dziewiątej skończył pracę domową i udał się do kuchni, by zjeść resztki z obiadu. O dziesiątej poszedł pobiegać, a o jedenastej położył się spać.

Kwadrans później zadzwoniła jego komórka. Nie rozpoznał numeru ani głosu w słuchawce.

– Czy rozmawiam z Eliotem Cardale'em? – zapytał jakiś mężczyzna.

Eli znieruchomiał. Nie tak jak wówczas, kiedy zepchnął ojca ze schodów. Nie, teraz poczuł nagły chłód i ciężar... jak wtedy, gdy znalazł matkę w wannie. Opadł na łóżko, czując się niczym jedna z kamiennych płyt w podłodze kaplicy.

– Obawiam się – ciągnął mężczyzna – że miał miejsce nieszczęśliwy wypadek.



Eli zastanawiał się, czy na tym właśnie polega szok. Siedział na chwiejnym plastikowym krześle koło pracownika opieki społecznej, naprzeciwko lekarza, za którym stał policjant podobny do posępnego cienia. Głiniarze zapukali do drzwi, zawieźli go do szpitala, mimo że nie miał tam nic do roboty ani do oglądania. Wujostwo zmarli na miejscu. Według doktora – od uderzenia.

– Przykro mi, synu – mruknął policjant.

„Bóg nigdy nie daje nam więcej, niż możemy unieść”.

Eli splótł palce i opuszczył głowę.

„Powinniśmy odnaleźć cel cierpienia”.

– Kierowca nie przeżył – ciągnął gliniarz. – Wyników toksykologii jeszcze nie ma, ale wygląda na to, że był pijany.

– Jak umarli?

Poniewczasie zdał sobie sprawę, że zadał złe pytanie. Doktor spochmurniał.

– Przepraszam – dodał szybko. – Ja nie... to tylko... mam nadzieję, że kiedyś będę lekarzem. Chcę ratować życie. Ja po prostu... muszę zrozumieć – wyjąkał i zwinął dłonie w pięści. – Jeżeli mi pan nie powie, nie będę mógł zasnąć. Wolałbym wiedzieć.

Doktor westchnął.

– Uderzenie złamało Patrickowi kręgi C2 i C3 – objaśnił, dotykając kości własnego karku. – Lisa doznała poważnego wstrząśnienia mózgu, którego efektem był krwotok śródczaszkowy. W obu przypadkach niemal natychmiast nastąpiła śmierć.

Eli poczuł ulgę na myśl, że nie cierpieli.

– Dziękuję panu – powiedział.

– Nie wyznaczyli opiekuna prawnego – stwierdził pracownik opieki. – Masz u kogo zostać? Dopóki nie wyjaśnimy twojego statusu prawnego?

– Tak – skłamał Eli, wygrzebując telefon z kieszeni. – Zadzwoń do przyjaciela.

Wstał i odszedł kilka kroków korytarzem, ale nie zawracał sobie głowy dzwonieniem. Tym razem nie było siatki kontaktów, a udawanie, że jest inaczej, nie miało sensu. Eli był lubianym i popularnym uczniem, lecz zawsze starał się zachować dystans. Gdyby dopuścił kogokolwiek zbyt blisko, osoba ta mogłaby przejrzeć jego maskę, zorientować się, że przez cały czas subtelnie udaje. Lepiej uchodzić za życzliwą osobę niż rzeczywiście mieć przyjaciół.

Eli wrócił do pracownika socjalnego i policjanta. Lekarz tymczasem gdzie poszedł.

– Muszę zabrać z domu parę rzeczy – powiedział. – Czy ktoś mógłby mnie tam podrzucić?

Wszedł do domu i nasłuchiwał, aż dźwięk silnika radiowozu ucichł w oddali. Zamknął drzwi na zasuwę i stał przez kilka długich sekund w ciemnym korytarzu.

A potem odwrócił się i walnął pięścią w ścianę. Ból przeszył jego dłoń, a potem przedramię, mimo to uderzył jeszcze raz, i znowu, aż skóra na jego kostkach pękła i krew pociekła mu do rękawa, a w końcu znów mógł oddychać.

Nogi się pod nim ugięły i osunął się na podłogę.

Po tym wszystkim znowu został sam.

„Bóg nigdy nie daje nam więcej, niż możemy unieść”.

Powiedział sobie, że tak musiał wyglądać plan, nawet jeśli nie potrafił go dostrzec. W cierpieniu krył się jakiś cel. Spojrzał na zakrwawioną dłoń.

„Idiota”, pomyślał.

Teraz trudno mu będzie to ukryć przed czujnymi pracownikami opieki społecznej i wszystkimi w szkole, przed tysiącem oczu czyhających na każde potknięcie, pęknięcie fasady.

Wstał i poszedł do łazienki. Przemył zakrwawione knykcie nad umywalką i precyzyjnie zabandażował dłoń. Spojrzał w lustro i zmusił się, by przybrać normalny wyraz twarzy.

Po czym poszedł do swojego pokoju i zaczął się pakować.



DZIEWIĘTNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

DOM SZÓSTY I OSTATNI

– Proszę, to tutaj.

Eli stał w drzwiach, trzymając pudło z książkami. Pokój był skromnie urządzone: w środku stało wąskie łóżko, a pod oknem biurko.

– Spartańskie warunki, wiem – powiedziała właścicielka, która nalegała, by zwracać się do niej „Maggie”. – Ale okna mają podwójne szyby, a w prysznicu na końcu korytarza zawsze jest gorąca woda – dodała, po czym spojrzała na niego badawczo. – Nie jesteś czasem za młody na samodzielne mieszkanie?

– Jestem z nowoczesnej rodziny – wyjaśnił Eli.

To było najłatwiejsze wytłumaczenie. Miał już niemal szesnaście lat. Niewielu ludzi chciało wynająć pokój nastolatкови, a jego nie interesowało miejsce w domu dziecka. Rodzice nie żyli, Patrick i Lisa zginęli. Po tych pierwszych zostały mu tylko blizny, ale drudzy pozostawili mu w spadku trochę pieniędzy – niewiele, lecz dość, by mieć za co żyć, tak by mógł ukończyć liceum i dostać się na dobre studia.

– Dzięki, Maggie – powiedział, przekraczając próg.

– Dobrze, Eliot. Daj znać, jakbyś czegoś potrzebował.

Deski podłogi zaskrzypiały pod jej stopami, kiedy ruszyła z powrotem do swoich spraw, a potem pod jego ciężarem, gdy umieścił pudło na biurku i rozpakał się, układając podręczniki w równy stos.

– Tak nam przykro, Eliot – powiedział dyrektor.

– Możemy umówić cię z psychologiem – zaproponował dziekan.

– Daj nam znać, gdybyśmy mogli pomóc – powtarzali nauczyciele.

– Proszę – błagał ich Eli – nie mówcie nikomu.

Normalność była takim delikatnym stanem... Tak łatwo go było zakłócić, nawet jeśli ktoś miał dobre intencje.

I tak, pod pretekstem spokojnego przeżycia żałoby, zdołał nakłonić ich do dotrzymania tajemnicy.

Wypakował dwie ostatnie książki – podniszczoną Biblię Króla Jakuba i podręcznik do anatomii. Odłożył Biblię, usiadł na krześle i przysunął podręcznik.

„Powinniśmy odnaleźć cel cierpienia”, pomyślał.

Otworzył gruby tom i kartkował go, dopóki nie znalazł rysunku głowy i szyi, z koronkowym odworowaniem mózgu i delikatną kolumną kręgosłupa.

„Odnaleźć cel”.

Zaczął notować.

XVII

CZTERY LATA WCZEŚNIEJ

PION

Gdy Stell pojawił się następnego dnia, Eli nawet nie podniósł głowy.

Utkwił wzrok w zawartości teczki, którą uważnie studiował przez większą część poprzedniej nocy.

– Widzę, że zdecydowałeś się na współpracę.

Eli poskładał kartki w schludny stosik.

– Potrzebuję komputera – oznajmił.

– Wykluczone – odparł natychmiast Stell.

Eli wstał z krzesła, wziął teczkę i podszedł do pleksiglasowej ściany.

– Zanim tu trafiłem, spędzałem na tropieniu PonadPrzeciętnych całe miesiące. Badałem każdą sprawę, żeby potwierdzić umiejętności PP, i śledziłem ich ruchy na miejscu. – Wypuścił z dłoni papiery, które rozsypały się po całej podłodze. – A teraz chcesz, żeby robił to samo z betonowego pudła, mając do dyspozycji tylko podstawowe informacje? To nie wystarczy – dodał, wskazując kartki u stóp.

– To wszystko, co mamy.

– W takim razie nie szukacie dość intensywnie – rzucił gniewnie Eli. Opuścił wzrok na zdjęcie leżące na podłodze. – Tabitha Dahl – zaanonsował. – Dziewiętnaście lat. W college’u uprawia sport, młoda, towarzyska, aktywna, ryzykantka. Podczas pieszej wycieczki doznaje rozległego zawału w związku z reakcją alergiczną. Przyjaciół ją reanimuje, dziewczyna trafia do szpitala, a potem – znika. Rodzice wypełniają zgłoszenie o zaginięciu dwa tygodnie temu. – Popatrzył na Stella. – Dokąd się udała? Jak tam trafiła? Dlaczego w tych aktach nie ma nic na temat przyjaciela, z którym wtedy była? Jak się czuła i co myślała bezpośrednio po wypadku?

– A niby jak mamy uzyskać takie informacje? – odpowiedział pytaniem Stell.

Eli rozłożył dłonie.

– Dziewczyna ma dziewiętnaście lat. Zaczynajcie od mediów społecznościowych. Wydobądźcie esemesy i inne wiadomości, które wysyłała do przyjaciół. Wejdźcie w jej życie, wślizgnijcie się do jej głowy. Na osobowość PP składają się nie tylko skutki przeżytej traumy, ale także elementy życia sprzed doświadczenia bliskiego śmierci. Okoliczności, ale także ukształtowana wcześniej psychika. Mogę wam pomóc odnaleźć Tabithę Dahl. Jeżeli będę miał do dyspozycji odpowiednie środki, określe również z pewnym prawdopodobieństwem, jaką umiejętnością dysponuje... ale nie potrafię zrobić tego z pięcioma kartkami.

Zapadło dłuższe milczenie. Eli czekał cierpliwie, aż Stell przerwie je pierwszy.

Tak też się stało.

– Dostaniesz komputer – powiedział dyrektor. – Z ograniczonym dostępem do sieci. Poza tym system zostanie zduplikowany. Będę widział wszystko, czego szukasz, w tym samym czasie. A jeżeli spróbujesz jakichkolwiek sztuczek, utracisz coś więcej niż tylko sprzęt. Rozumiemy się?

– Mógłbym zrobić coś więcej – zaferował Eli, klękając, by pozbierać kartki z podłogi. – Gdybyście mnie wypuścili...

– Słuchaj, Cardale – powiedział poważnie Stell. – Chciałbym, żeby jedna rzecz była jasna. Możesz pomagać nam z wnętrza tej celi albo z laboratorium, ale nigdy, przenigdy nie wydostaniesz się z tego budynku.

Eli wstał, lecz dyrektor już skierował się w stronę wyjścia.

XVIII

SIEDEMNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

COLLEGE HAVERFORD

Eli szedł przez kampus z kołnierzem podniesionym dla ochrony przed jesiennym chłodem.

Haverford było dobrą szkołą – nie najlepszą w całym rankingu, ale na pewno najlepszą, na jaką sobie mógł pozwolić, a do tego dobrze skomunikowaną z jego kwatery. Poza tym była to spora uczelnia: liczba tutejszych studentów przekraczała populację typowego miasteczka, a kampus był tak duży, że dwa miesiące po rozpoczęciu roku akademickiego Eli wciąż odkrywał nowe budynki.

Może dlatego nie zauważył wcześniej kaplicy.

A może do tej pory ukrywała się przed nim między drzewami? Czerwone i złote liście zasłaniały jej klasyczną sylwetkę, prostą wieżyczkę i stromy biały dach.

Na jej widok zwolnił kroku, ale się nie cofnął. Poczłł subtelne, lecz uparte przyciąganie i pozwolił, żeby jego ciało mu się poddało. Wszedł na stopnie prowadzące ku wejściu.

Od lat nie był w kościele, ani razu od chwili, w której Bóg stał się kwestią bardziej... osobistą.

Kiedy przekroczył próg kaplicy, pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł, były witraże. Czerwone, niebieskie i zielone plamy światła tańczyły na posadzce, a w głębi stał kamienny krzyż. Zaczęły go świerzbić palce. Zamknął oczy, z całej siły tłumiąc wspomnienie głębokiego męskiego głosu i świstu skórzanego paska.

– Zachwycające, prawda? – zapytał ktoś lekkim tonem.

Eli mrugnął, rozejrzał się po kaplicy i zobaczył dziewczynę, ładną i szczupłą, o wielkich, piwnych oczach i miodowozłotych włosach.

– Nigdy nie byłam religijna – ciągnęła – ale uwielbiam takie budynki, a ty?

– Nigdy nie zwracałem uwagi na budynki – odparł z kpiącym uśmiechem – ale od zawsze jestem religijny.

Nadała się i pokręciła głową.

– Och, nie, jacy jesteśmy niedopasowani! – rzuciła, po czym przestała udawać i się uśmiechnęła. – Przepraszam, nie chciałam ci przeszkadzać. Wyglądałeś na smutnego.

– Naprawdę? – Najwyraźniej na chwilę zapomniał o masce i pokazał prawdziwą twarz. W ułamku sekundy odzyskał jednak pewność siebie i zwrócił uwagę na dziewczynę, wypróbując na niej swój starannie wypracowany urok. – Mam rozumieć, że studiowałaś mnie zamiast budynku?

W jej oczach zatańczyły figlarne iskielki.

– Och, potrafię docenić jedno i drugie. – Wyciągnęła dłoń. – Jestem Charlotte.

Uśmiechnął się i przedstawił:

– Eli. – Wokół rozbrzmiał pojedynczy dźwięk dzwonu, a on uściłnął jej dłoń. – Jadłś już lunch?



Tydzień wcześniej Maggie pojawiła się w drzwiach jego pokoju z koszem prania na biodrze.

– Eliot, jest piątkowy wieczór.

– No i?

– A ty siedzisz tutaj nad algebrą!

– Nad biologią – poprawił ją.

Pokręciła głową.

– Ciągła praca, brak zabawy... jak na chłopaka w twoim wieku to nie jest normalne. To słowo. „Normalne”. Najważniejszy element jego maski.

Podniósł wzrok znad pracy domowej.

– A co takiego powinienem robić? – zapytał z uniesioną brwią, by zamaskować powagę tego pytania.

– Imprezować! – wykrzyknęła Maggie. – Pić tanie piwsko! Podejmować złe decyzje! Umawiać się z ładnymi dziewczynami!

Odchylił się na krześle.

– Czy ładne dziewczyny liczą się jako złe decyzje, czy to dwie różne rzeczy?

Maggie przewróciła oczami i poszła, a Eli wrócił do pracy, ale wziął sobie jej słowa do serca. W ciągu kolejnych dni z przyklejonym na twarzy uśmiechem wybrał się na jedną czy dwie imprezy studenckiego bractwa, gdzie pił kiepskie piwo (co było zdecydowanie złą decyzją).

Teraz jednak miał Charlotte.

Przy okazji dowiedział się, że jeśli ktoś pozostawał w związku, był powszechnie uznawany za „normalnego”. Zyskiwał społeczną aprobatę, niczym oficjalną pieczęć, zaś umawianie się konkretnie z Charlotte Shelton było uważane za pieczęć odbitą w złocie. Pochodziła ze starej, mającej rodziny i była tak przyzwyczajona do związanego z tym statusu, że traktowała go jako coś oczywistego.

Była ładna, radosna i rozpieszczona. Mieszkała w akademiku tylko dlatego, że chciała zakosztować autentycznego studenckiego życia. Jej zachcianki w zakresie autentyczności nie wykaczały jednak poza pojedyncze, szerokie łóżko i wspólny salon.

Odwiedziła kiedyś Elia w jego pokoju, tylko raz i tylko dlatego, że sama nalegała. Wiedziała, że chłopak jest sierotą (to słowo najwyraźniej wzbudzało w niej potężny instynkt opiekuńczy), ale naga prawda nie była tak romantyczna. Potrafił dojrzeć litość zamaskowaną współczuciem.

– Nie kocham cię za twoje rzeczy – upierała się. – Kasa moich rodziców wystarczy dla nas obojga.

Nigdy jednak nie zamieszkali wspólnie. Charlotte wciągała Elia do swojego życia, a on jej na to pozwalał.

To było łatwe. To było proste.

Ona go adorowała. On się przy tym dobrze bawił.

Charlotte lubiła powtarzać, że są idealną parą. Eli wiedział, że tak nie jest, ale tylko on dostrzegał nierówne krawędzie i puste miejsca w ich relacjach.

– Jak wyglądam? – zapytała, kiedy na drugim roku studiów wchodzili po schodach do domu, a właściwie rezydencji jej rodziców, zaproszeni na Święto Dziękczynienia.

– Oszałamiająco – powiedział Eli automatycznie, puszcżając oko. Charlotte poprawiła mu krawat. Przeszesała mu palcami ciemnoblond włosy, a on pogładził jej podbródek i pocałował ją.

– Nie denerwuj się – wyszeptała.

Eli był spokojny.

Drzwi otworzyły się szeroko, więc odwrócił się, na wpeł oczekując, że zobaczy odźwiernego, ponurego starszego pana we fraku, ale stała tam elegancka kobieta, starsza wersja Charlotte.

– To ty jesteś Eli! – powiedziała radośnie, a za jej plecami pojawił się szczupły, sztywny mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze.

– Dziękuję za zaproszenie – powiedział Eli, podając jej ciasto.

– Ależ nie ma sprawy – odparła ciepło pani Shelton. – Kiedy Charlotte powiedziała, że nie masz innych planów, kazaliśmy jej cię sprowadzić.

– Do tego – dodał pan Shelton, rzucając Charlotte znaczące spojrzenie – najwyższy czas, żebyśmy poznali chłopaka, który tak zawrócił w głowie naszej córce.

Ruszyli korytarzem, dziewczyna ramię w ramię z matką.

– Eli – zagał pan Shelton, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Może oprowadzę cię po domu, a panie nadrobią zaległości.

To nie było pytanie.

– Oczywiście – zgodził się chłopak, ruszając za gospodarzem, który wprowadził go przez podwójne drzwi do gabinetu.

– To jedyny pokój, który się tu liczy – objaśnił pan Shelton. Otworzył barek i nalał sobie drinka. – Rozumiem, dlaczego Charlotte cię lubi – powiedział, opierając się o biurko. – Zawsze miała słabość do młodych ludzi wymagających jałmużny. Szczególnie do tych przystojnych.

Eli znieruchomiał. Pogodna mina ustąpiła miejsca innej, pełnej rezerwy.

– Sir, jeżeli sądzi pan, że jestem z Charlotte dla jej pieniędzy lub statusu...

– Prawda nie ma najmniejszego znaczenia, panie Cardale, tylko to, co widać. A to nie wygląda dobrze. Odrobiłem pracę domową na pański temat. Taka tragedia, a pan znosi ją z takim opanowaniem! Daleko pan zaszedł, podziwiam, ale fakt pozostaje faktem: wnosi pan błoto do mojego salonu.

Eli zgrzytnął zębami.

– Nie możemy zmienić naszej przeszłości – wycodził. – Tylko przyszłość.

Ojciec Charlotte się uśmiechnął.

– Dobrze powiedziane. I to właśnie ci proponuję: świetlaną przyszłość, tyle że nie z moją córką. Widziałem twoje stopnie. Jesteś inteligentnym młodym człowiekiem, Eliot. Więcej, ambitnym, co potwierdza sama Charlotte. Chcesz być lekarzem. Haverford to przyzwoity college, ale nie najlepszy. Wiem, że dostałeś się do innych, lepszych szkół, więc zakładam, że nie stać cię na ich czesne.

Eli gapił się na niego w zdumieniu. Po raz pierwszy ktoś usiłował go przekupić!

Pan Shelton odwrócił się od biurka.

– Wiem, że zależy ci na mojej córce. Cholera, może nawet wydaje ci się, że ją kochasz...

Wcale tak nie było.

Gdyby pan Shelton lepiej odczytywał ludzkie intencje – lub gdyby chłopak nie ukrywał swoich zamiarów tak dobrze – może dostrzegłby prostą prawdę: wcale nie musiał przekonywać Elia. Charlotte Shelton zawsze była dla niego środkiem do celu, trampoliną. To, co proponował teraz jej ojciec – jeżeli tylko mówił prawdę – było realną szansą na znaczącą zmianę, na duży zysk przy minimalnej stracie.

Teraz musiał tylko rozegrać to z wycuciem.

– Panie Shelton – zaczął, krzywiąc twarz w starannie kontrolowanym grymasie buntu.

– Pańska córka i ja...

Mężczyzna uniósł dłonie.

– Zanim zagrasz kartą szlachetności i powiesz mi, że nie można cię kupić, pomyśl, że jesteście oboje bardzo młodzi, a miłość to kapryśne uczucie. Możesz uważać to, co czujesz do Charlotte, za prawdziwe, ale zapewniam cię, że to nie przetrwa.

Eli wypuścił powietrze z płuc i spojrzał na własne stopy, jakby zawstydzony. Przybrał zrezygnowaną minę.

– Czego pan ode mnie oczekuje?

– Dziś wieczorem? Niczego. Ciesz się posiłkiem. Za kilka dni? Zakończ ten związek. Wybierz jedną z lepszych szkół, Chester albo Lockland. Przenieś się. Wpisowe i czesne nie będą problemem.

– Chłopcy! – zawołała pani Shelton z kuchni. – Indyk jest gotowy!

Pan Shelton klepnął Elia w ramię.

– Chodźmy – powiedział radośnie. – Umieram z głodu.

– Tato – odezwała się ostrzegawczo Charlotte, kiedy przyszli do jadalni. – Próbowałeś na nim swoich sztuczek?

– Och, tylko trochę – odparł pan Shelton i pocałował córkę w policzek. – Mam obowiązek napędzić stracha każdemu, kogo przyprowadzasz do domu.

Odwróciła się do Elia i zmierzyła go ciepłym spojrzeniem.

– Mam nadzieję, że tato nie potraktował cię zbyt brutalnie?

Eli zaśmiał się cicho i pokręcił głową.

– Co to, to nie.

Zajęli miejsca i rozpoczęli swobodną konwersację przy stole, podając sobie talerze i miski, mówiąc przy tym jak najwięcej, żeby powiedzieć jak najmniej.

A gdy wieczorem Eli i Charlotte szli do samochodu, objęła go ramieniem.

– Wszystko w porządku?

Eli obejrzał się przez ramię ku frontowym drzwiom, z których obserwował ich pan Shelton.

– Ależ tak – zapewnił ją i pocałował delikatnie w skroń. – W najlepszym.

XIX

DWA LATA WCZEŚNIEJ

PION

Eli przesunął palcami wzdłuż półki, na której trzymał teczki z aktami poprzednich przypadków. Czarny folder z jego nazwiskiem stał niczym plama na końcu rzędu; jak kropka, stale przesuwana, by kończyć wciąż rosnące zdanie. Dziewiętnaście osób PP namierzonych, wysledzonych i zatrzymanych w ciągu niecałych dwóch lat. Nieźle, zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę ograniczenia, jakie mu nałożono.

Nalegał, by pozwolono mu przechowywać teczki z rozwiązanymi sprawami. Powiedział Stellowi, że dane z przeszłości pomogą mu przy pracy nad kolejnymi przypadkami.

Częściowo była to prawda. Rzeczywiście, wśród PonadPrzeciętnych można było wyróżnić pewne wzorce postępowania, wspólne cechy, pojawiające się u różnych ludzi, ale główny powód był prosty: Eli odnajdywał satysfakcję w wyszukiwaniu tych tropów. Nie tak głęboką, jak kiedy ścisnął dłońmi gardło kolejnego PonadPrzeciętnego i czuł, jak tamtemu słabnie puls, a po chwili nieruchomieje pod jego dłońmi. Jednak teraz każdej zamkniętej sprawie towarzyszyło echo tamtych odczuć, spokojna, przyjemna świadomość, że pomógł wyprostować kolejny skrzywiony fragment rzeczywistości.

Był jeszcze inny aspekt jego małej kolekcji: w niemal dwudziestu teczkach kryła się ponura prawda.

– Co myśmy zrobili? – wymamrotał do siebie Eli.

Odpowiedział mu Victor.

– Dlaczego myślisz, że to my coś zrobiliśmy?

Podniósł wzrok i zobaczył szczupłe blond widmo, oparte o pleksiglasową ścianę.

– Liczba PonadPrzeciętnych w ciągu ostatnich dziesięciu lat gwałtownie wzrosła – powiedział Eli, wskazując na półkę. – Co, jeśli to przez nas? Co, jeżeli uszkodziliśmy coś w materii samego świata? Co, jeśli puściliśmy w ruch jakiś proces?

Victor przewrócił oczami.

– Nie jesteśmy bogami, Eli.

– Ale bawiliśmy się w Boga.

– A co, jeżeli to Bóg zabawił się w Boga? – Victor odepchnął się od ściany. – Co, jeśli PonadPrzeciętni byli częścią jego planu? Co, jeżeli ci ludzie, ci sami, których zabijałeś przez sporą część życia, mieli powstać z martwych tak, jak to zrobili? Co, jeśli próbowałeś cofnąć w rozwoju dzieło tej samej siły wyższej, którą czczysz?

– Nie zastanawiałeś się nigdy, czy to nie nasza wina?

Victor przechylił głowę.

– Powiedz mi, to bluźnierstwo czy tylko beczelność? Przypisywanie sobie zasług Boga?

Eli pokręcił głową.

– Nigdy tego nie rozumiałeś.

W pobliżu rozległy się czyjeś kroki.

Ściana zrobiła się przezroczysta.

– Do kogo mówiłeś? – zapytał Stell.

– Sam do siebie – wymamrotał Eli, odganiając widmo Victora dłonią jak smugę dymu. – Myślałem jeszcze o tej elektrokinetycznej nastolatce... – Podniósł wzrok. Stell stał przed

nim, ubrany jak do wyjścia, w czarny garnitur.

– Jak poszło ostatnie przejęcie? – zapytał Eli, starając się usunąć ton pogardy z głosu. Spędził dwa tygodnie, tropiąc PonadPrzeciętną kobietę – Helen Andreas, lat czterdzieści jeden, obdarzoną zdolnością rozbierania i składania z powrotem struktur samym dotykiem. Mimo swoich ograniczeń Eli dał agentom PION-u tyle informacji, ile się dało.

– Nie za dobrze – powiedział pochmurnie Stell. – Kiedy dotarliśmy na miejsce, Andreas już nie żyła.

Eli zmarszczył czoło. PonadPrzeciętni mimo destrukcyjnych skłonności rzadko popełniali samobójstwo. Ich instynkt samozachowawczy był zbyt silny.

– Jakiś wypadek?

– Raczej nie – odparł Stell, przykładając zdjęcie do pleksiglasu. Przedstawiało Andreas leżącą na ziemi w kałuży krwi. W jej czole widać było czarną dziurkę.

– Interesujące. Jakiegolwiek ślady?

– Nie... – Stell się zawahał. Wyraźnie starał się coś przemilczeć, lecz Eli go przeczekał. Po dłuższej chwili dyrektor w końcu zdecydował się kontynuować: – To nie był odosobniony przypadek. Dwa miesiące temu inną podejrzaną osobę PP znaleziono w takich samych okolicznościach, w piwnicy klubu. – Wsunął dwie kartki do wnęki. – Will Connelly. Obserwowaliśmy go, ponieważ nie mieliśmy jeszcze dość danych, by ustalić dokładną naturę jego talentu i nadać mu stosowny priorytet, ale podejrzewaliśmy, że potrafi się regenerować... Coś podobnego jak u ciebie, chociaż najwyraźniej nie tak skutecznego. Kiedy zginął, założyliśmy, że jego śmierć to odosobniony przypadek. Być może zadarł z niewłaściwymi ludźmi, na przykład zaciągnął u kogoś dług. Teraz jednak...

– Jedna śmierć to przypadek, dwie – to już zgodność – podsumował Eli. – Jeżeli odkryjecie trzecią, będziemy mieli wzór – dodał i popatrzył na Stella. – Co z bronią?

– Nierejestrowana.

– Zatrzymajcie wyniki badań balistycznych w aktach. Jeżeli on – albo ona – poluje na PonadPrzeciętnych, jest kwestią czasu, zanim uderzy znowu. Albo inaczej. Wyszukajcie w bazie wszystkie zabójstwa pasujące do schematu egzekucji z ostatnich... – zastanowił się przez chwilę – ...trzech lat.

– Trzy? Interesujący wybór.

Rzeczywiście. Trzy lata – tyle czasu Eli Ever przebywał w więzieniu PION-u. Od trzech lat nie polował na PonadPrzeciętnych. Gdyby wcześniej zaczął to robić ktoś inny, wiedziałby o tym.

Co oznaczało, że jego miejsce zajął ktoś nowy.

XX

SZESNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

UNIwersytet Lockland

Eli przybył do Lockland prawie tydzień przed rozpoczęciem wiosennego semestru.

Nie wybrał pierwszej lepszej szkoły. Rachunki płacił ojciec Charlotte, a Eli miał zamiar wycisnąć z niego jak najwięcej. Uniwersytet Lockland znajdował się w ścisłej krajowej czołówce pod względem programów nauczania. Teraz chłopak szedł przez przytulny kampus, rozkoszując się spokojnym otoczeniem pełnym zieleni. Do pierwszych zajęć pozostał jeszcze niemal tydzień, toteż uliczki i ławki świeciły pustkami.

Kiedy dotarł do części mieszkalnej, poczuł się jednak nieco rozczarowany. Miał nadzieję na prywatne mieszkanie; zamiast tego umieszczono go w dwuosobowym pokoju: dwa biurka, dwa łóżka i okno na ścianie naprzeciwko wejścia. Jedno łóżko było puste, na drugim leżała szczupła postać z ramieniem pod głową i książką w drugiej ręce.

Na dźwięk otwieranych drzwi książka opadła, odsłaniając wąską twarz, drapieżne błękitne oczy i jasnoblond włosy.

– Pewnie jesteś Eliot?

– Eli – poprawił, stawiając walizkę na podłogę.

Tamten wstał z łóżka. Był o kilka centymetrów wyższy od Elia i wyglądał, jakby składał się z samych kątów i ostrych krawędzi.

– Victor – przedstawił się, wkładając dłonie do kieszeni. – Victor Vale.

Eli uśmiechnął się lekko.

– Z takim nazwiskiem powinieneś być superbohaterem.

Victor przesunął ręką wzdłuż ciała w zamasytym geście. Miał na sobie czarne dzinsy i czarną koszulkę polo.

– Naprawdę wyobrażasz sobie mnie w spandeksie? – zakpił. Zerknął na walizkę Elia i stojące na niej pudło. – Nie masz za dużo bagażu.

Eli skinął głową w kierunku łóżka i biurka Victora.

– Wcześniej przyjechałeś.

Jego rozmówca wzruszył ramionami.

– Rodzina najlepiej wchodzi w małych dawkach.

Eli nie był pewien, jak na to odpowiedzieć, więc zmilczał. Cisza przedłużała się nieznośnie, aż w końcu Victor przechylił głowę niczym wilk i zapytał:

– Jesteś głodny?



Victor nadział na widelec kolejny kawałek brokołu.

– To na jakich studiach jesteś?

Siedzieli w wielkim kompleksie restauracyjnym kampusu. Wzdłuż ścian mieściły się jadłodajnie, niczym kapsuły z różnymi daniami z różnych stron świata.

– Przygotowuję się do medycyny – odparł Eli.

– O, ty też? – Victor dziobnął kąsek wołowiny. – A co cię w tym pociąga? – Podniósł wzrok na Elia, który poczuł się... obnażony. Victor wydawał się wwiercać spojrzenie bladych oczu w drugą osobę, co wyglądało co najmniej niepokojąco. Jakby usiłował przeprowadzić wzrokową wiwisekcję rozmówcy.

Eli popatrzył na własny talerz.

– Chyba to, co większość studentów – powiedział ostrożnie. – Poczulem powołanie, czy coś takiego. A ciebie?

– Pasowało mi to w dość oczywisty sposób – odparł Victor. – Zawsze byłem dobry z matmy i nauk przyrodniczych. Lubiłem wszystko, co ścisłe, co można sprowadzić do równań, do przyczyny i skutku.

Eli nawinął makaron na widelec.

– Ale medycyna nie jest przecież ścisła. Życie to nie równanie. Każda osoba to coś więcej niż suma poszczególnych składników.

– Czyżby? – zapytał Victor beznamiętnie, z kamienną miną.

To było wkurzające. Eli przywykł do rozbrajania ludzi podczas dyskusji, prowokowania do ujawnienia emocji i rozgrywania ich przeciwko nim.

Tymczasem Victor nie wydawał się zainteresowany takim pogrywaniem.

– Oczywiście – pociągnął temat Eli. – Same części, tkanki, mięśnie, narządy, kości, krew, składają się na ciało, nie na osobę. Bez boskiej iskry, bez duszy, człowiek byłby tylko bezmyślnym mięsem.

Victor cmoknął z dezaprobatą.

– A więc jesteś religijny.

– Wierzę w Boga – odparł Eli z mocą.

– No cóż – stwierdził tamten, odsuwając talerz. – Możesz zamieszkać w niebiosach, a ja w takim razie przejmę ziemską sferę.

W tym momencie pojawiła się dziewczyna. Usiadła na krześle obok Victora i zapytała:

– Co my tu mamy?

Zmierzyła mu jasne włosy ze swobodą, która świadczyła o tym, że robi to nie po raz pierwszy. Interesujące. Victor nie wydał się Eliowi człowiekiem łasym na takie pieszczoty, a jednak nie odsunął się, zamiast tego posyłając dziewczynie znudzony uśmiech.

– Angie – powiedział – poznaj Elia.

Błysnęła uśmiechem w stronę nowego znajomego, a on poczuł się niczym lustro zwrócone w kierunku słońca. Nareszcie znalazł źródło światła, które mógł odbijać.

– Właśnie rozmawialiśmy o roli Boga w medycynie – wyjaśnił Victor. – Dorzucisz swoje trzy grosze?

– Nie, dziękuję – odparła i poczęstowała się kawałkiem brokołu z jego talerza.

– Niegrzecznie tak kraść komuś jedzenie.

– Nigdy nie kończysz posiłku. Rodzice cię nie nauczyli, że trzeba zawsze dojadać warzywa?

– Nie – odparł beznamiętnie. – Mówili tylko, że muszę sięgnąć do wnętrza i zdać sobie sprawę z mojego prawdziwego potencjału. Tematu warzyw nigdy nie poruszali.

Angie rzuciła Eliowi konspiracyjne spojrzenie.

– Rodzice Victora są guru samodoskonalenia.

– Rodzice Victora – oznajmił Victor oficjalnym tonem – są grafomanami.

Angie roześmiała się z czułością.

– Czasami wychodzi z ciebie taki dziwak!

– Tylko czasami? – zainteresował się Victor. – Muszę się bardziej postarać. – Mrugnął porozumiewawczo do Elia. – Normalność jest przereklamowana.

Eli napiął mięśnie, ale nie dał po sobie poznać, że tak go to poruszyło. „Normalność jest przereklamowana”. Victor powiedział to jak ktoś, kto nie musiał się starać, by pozostać normalny... kto nie potrzebował normalności, żeby przeżyć.

Victor odchrząknął.

– Angie zaś jest najjaśniejszą gwiazdą na firmamencie wydziału inżynierskiego.

Przewróciła oczami.

– Victor jest zbyt dumny, by dopraszać się pochwał, ale jest najlepszym studentem na roku.

– Ach, nie słyszałaś najnowszych wieści – powiedział Victor skromnie. – Eli ma zamiar rzucić mi wyzwanie i zająć moje miejsce.

Angie popatrzyła na niego z nowym zainteresowaniem.

– Naprawdę?

Eli się uśmiechnął.

– Zrobię, co w mojej mocy.

XXI

DWA LATA WCZEŚNIEJ

PION

– Miałeś rację – przyznał Stell.

Eli uniósł się z pryczy.

– Dlaczego słyszę w twoim głosie takie rozczarowanie?

– Wyodrębniliśmy wszystkie zabójstwa przypominające egzekucje, a potem przepuściliśmy je przez nasz system, żeby sprawdzić, czy ofiary nie były przypadkiem PonadPrzeciętne. Poznaj Justina Gladwella. – Stell wsadził do wnęki zadrukowaną kartkę. Eli sięgnął po nią i spojrział na skąpy w szczegóły profil. Z fotografii patrzył na niego mężczyzna około trzydziestki ze świeżym zarostem. – Zastrzelony niemal rok temu, o nieznanym zdolnościach. Nawet go nie podejrzewaliśmy.

– Wyprowadzają was – stwierdził Eli, rozkładając trzy profile na stole. Justin Gladwell, Will Connelly, Helen Andreas. – Gratulacje. Najwyraźniej macie nowego myśliwego.

– A ty dorobiłeś się naśladowcy – odparł Stell.

Eli zirytował się nieco. Nie spodobał mu się pomysł, że ktoś go zastępuje.

– Nie – zaprzeczył, porównując zdjęcia zwłok. – Ja zrobiłbym to inaczej, tak, żeby wyglądało bardziej... naturalnie. Tego zabójcę – popukał palcem w stół – interesuje coś innego.

– Co masz na myśli?

– Chodzi mi o to, że wyraźnie traktuje egzekucje jako konieczne, ale wątpię, żeby jego celem było samo eliminowanie ofiar.

– Musimy znaleźć tę osobę najszybciej, jak się da – podkreślił Stell.

– Chciecie, żebym upolował myśliwego.

Stell uniósł brew.

– Czy to będzie problem?

– Wręcz przeciwnie – odparł Eli. – Od dawna czekam na jakieś prawdziwe wyzwanie. – Założył ręce na piersi, uważnie patrząc na zdjęcia. – Jednej rzeczy jestem niemal pewien.

– Czego?

– Wasz myśliwy sam jest PonadPrzeciętny.

Stell zeszczywniał.

– Skąd ten pomysł?

– No cóż, nie wiem tego na pewno – zastrzegł Eli. – Mogę tylko stawiać hipotezy. Ale jakie są szanse, że zwykły człowiek byłby w stanie przeprowadzić skuteczną egzekucję trojga różnych PonadPrzeciętnych bez najmniejszych śladów oporu z ich strony? – Przyłożył zdjęcie Gladwella do pleksiglasu. – Pojedyncze, idealne trafienie z bliska, prosto w czoło, we wszystkich trzech przypadkach. Przy takim poziomie celności opcje są dwie: albo strzelec jest wyszkolonym snajperem, albo ofiary nie podejmowały walki. Rozprysk krwi świadczy o tym, że zostały zastrzelone w pozycji wyprostowanej i były w pełni świadome. Czyli po prostu sobie stały. Ilu znasz przeciętnych ludzi, który byłiby w stanie przekonać lub zmusić kogoś, by stał spokojnie i czekał na śmierć? – Nie czekał na odpowiedź. Pokręcił głową, przyglądając się zdjęciom i myśląc intensywnie. Tydzień. Dwa miesiące. Dziewięć miesięcy. – Zabójstwa są popełniane w dużych odstępach – powiedział –

co sugeruje, że albo wasz myśliwy jest kiepskim tropicielem, albo nie wyszukuje wszystkich PonadPrzeciętnych.

– Sądziś, że szuka konkretnych ludzi?

– Albo konkretnych umiejętności – stwierdził Eli.

– Masz jakiś pomysł?

Eli złożył dłonie w piramidkę.

Ustalenie zdolności osoby PP po jej śmierci było niemożliwe. Talent każdego PonadPrzeciętnego stanowił wypadkową wielu czynników – sposobu, w jaki umarł, czy motywacji do życia. Mógł zgadywać, czego akurat nie cierpiał, ponieważ uważał to za niebezpieczne i nieskuteczne. Ustalanie czegokolwiek na podstawie poszlak wciąż było tylko zgadywaniem i nie mogło zastąpić doświadczenia z pierwszej ręki. Tropy zawarte w profilu nie potrafiły mu powiedzieć zbyt wiele – wystarczyło spojrzeć choćby na siostry Clarke. To samo doświadczenie bliskie śmierci – głębokie zanurzenie w lodowatym jeziorze – a w rezultacie dwa jakże odległe talenty. Każdy człowiek stanowił indywidualny przypadek o odmiennej psychice. Sztuka polegała na tym, by celować w niewyraźne kształty, skupić się na konturach, na najogólniejszych cechach, zebrać ich dość, by dało się odnaleźć wzór i ułożyć go w spójny obraz.

– Daj mi wszystko, co macie o tej trójce – zażądał, kładąc dłoń na zdjęciach. – Może i są martwi, ale to nie znaczy, że nie mogą mi jeszcze zdradzić paru sekretów. – Wskazał na pudło u stóp Stella. – A co to takiego?

Tamten trącił je czubkiem buta.

– To akta wszystkich zabójstw, czy też egzekucji, pasujących do sposobu działania myśliwego, ale nie do PonadPrzeciętnego profilu ofiar.

Zwykli ludzie. No oczywiście. Nie wziął pod uwagę, że myśliwy może polować na kogoś jeszcze, nie tylko na PonadPrzeciętnych – zapewne dlatego, że sam Eli ich nie zabijał. Co za nieostrożne założenie.

– Mogę je zobaczyć?

Pudło nie mieściło się we wnęce z pleksiglasu, więc Stell musiał je otworzyć i podawać więźniowi jego zawartość po kilka sztuk naraz.

– I co myślisz? – zapytał, gdy PonadPrzeciętny ustawił stos papieru na stole.

W umyśle Elia pływały pojedyncze, niezwiązane punkty, umykające, gdy próbował połączyć je liniami.

– Jest tu pewien wzór – oświadczył. – Jeszcze go nie widzę, ale na pewno znajdę.

PIĘTNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

UNIwersytet Lockland

– „Zobaczyć świat w ziarenku piasku...”*

W oddali rozległ się grzmot, a chmury zaczęły zasnuwać błękit nieba. Rozpoczął się ostatni rok studiów. Po rozpakowaniu bagaży poszli na dach, by obserwować nadciągającą burzę.

– „Niebiosą w jednym kwiecie z lasu” – ciągnął Eli. Uniósł rękę, by widzieć ją pozornie tuż pod uderzającą błyskawicą. – „W ściśniętej dłoni zamknąć bezmiar...”

– Naprawdę, Eli – powiedział Victor, siadając na jednym ze składanych krzeseł, stojących wokół zaimprovizowanego patio. – Oszczędź mi tych świętych cytatów.

Tamten opuścił dłoni.

– To nie Biblia – powiedział gniewnie. – To poezja Williama Blake’a. Trochę kultury, człowieku. – Wyrwał Victorowi butelkę szkockiej. – A niezależnie od wszystkiego to nic złego, gdy ktoś doszukuje się stwórcy w jego stworzeniu.

– Owszem, to złe, jeżeli rościsz sobie pretensje do naukowości.

Eli pokręcił głową. Victor nie rozumiał – i nie zanosilo się na zmianę – że nauka i wiara nie są rozłączne. Tymczasem były nierozdzielalne.

Pociągnął łyżeczek ze zdobycznej butelki i opadł na krzesło obok. Burza wyraźnie się do nich zbliżała. To był ich pierwszy wieczór po powrocie – i pierwszy po przeprowadzce do nowego, obszerniejszego apartamentu. Victor spędził letnie wakacje, unikając rodziców podczas wspólnych czasów i jeszcze przed początkiem roku zaczynając naukę chemii organicznej, Eli zaś został w Lockland, na stażu u profesora Lyne’a. Teraz spojrzął z ukosa na przyjaciela, pochylonego, z łokciami na kolanach, wyraźnie skoncentrowanego na odległych błyskawicach.

Na początku Victor był zagadką. Osobowość Elia Cardale’a, tak starannie budowana przez ostatnie dziesięć lat, nie pasowała do jego poważnego współlokatora. Eli nie musiał się stale uśmiechać, okazywać życzliwości ani zachowywać z wystudiowaną swobodą. Nie miało to większego sensu, skoro Victor wydawał się kompletnie niezainteresowany. Nie, to złe słowo – Victor przez cały czas obserwował otoczenie z największą uwagą – ale im bardziej czarujący usiłował być Eli, z tym większą rezerwą reagował tamten. Szczerze mówiąc, takie próby wydawały się irytować Victora, jakby wiedział, że tym właśnie są: świadomie podejmowanym wysiłkiem, spektaklem, a nie naturalnym zachowaniem. Eli złapał się na tym, że przy Victorze nie zmusza się do okazywania przyjaźni i prezentuje tylko najważniejsze cechy osobowości.

A kiedy to robił, Victor wyraźnie się rozluźniał.

Reagował przy tym na Elia jak lustro. Uśmiech za uśmiech. To przerażało Elia: po raz pierwszy ktoś oglądał go w ten sposób, a on mógł się przeglądać w czymś zachowaniu. Nie w całości, na to byli jednak zbyt odmienni, ale mieli ze sobą wiele wspólnego. Victor przejawiał jednak te same najważniejsze cechy, widoczne niczym żyła identycznego kruszcu tuż pod powierzchnią skały.

Błyskawica zaślniła nad nimi jasnoblękitną linią, przypominającą układ żył w ludzkim ciele. Sekundy później świat zatrząsł się od ogłuszającego grzmotu. Dźwięk przeniknął Elia do szpiku kości. Uwielbiał burze – sprawiały, że czuł się malutki, jak pojedynczy szew w olbrzymim gobelinie, kropła wody podczas deszczu.

Chwilę później zaczęło padać.

W ciągu kolejnej minuty pierwsze krople ustąpiły miejsca prawdziwej ulewie.

– Cholera – mruknął Victor, pospiesznie wstając z krzesła.

Potruchtał do drzwi klatki schodowej.

Eli wstał, ale nie ruszył za nim. Po kilku sekundach był kompletnie mokry.

– Idziesz?! – wrzasnął Victor, przekrzykując szum deszczu.

– Idź przodem, ja przyjdę później – odparł Eli, lecz ulewa zagłuszyła jego słowa. Odchylił głowę i pozwolił, by burza pochłonęła go całego.

Godzinę później przeczłapał na bosaka przez środek apartamentu, zostawiając za sobą mokre ślady.

Drzwi do sypialni Victora były zamknięte, a światło w środku zgaszone.

Eli dotarł do swojego pokoju, ściągnął mokre ubranie i usiadł na krześle. Za oknami powoli kończyła się burza. Minęła właśnie druga w nocy, następnego dnia zaczynały się zajęcia, ale jemu wciąż nie chciało się spać.

Komórka leżała na biurku, czekało na niej kilka esemesów od Angie, ale Eli nie był w nastroju do odpisywania, poza tym dziewczyna pewnie już spała. Przesunął dłonią po mokrych włosach, odgarniając je do tyłu, i wybudził laptopa.

Kiedy siedział na dachu, coś utkwilo mu w pamięci: obraz błyskawicy na dłoni. Eli spędził większą część wakacji, pochłaniając wiedzę na temat elektromagnetyzmu w ludzkim ciele, metaforycznej i dosłownej iskry życia. Teraz płynął na fali wyczerpania przez najgłębszą noc, a zaciemniony pokój, rozświetlany tylko blaskiem ekranu laptopa, sprawiał, że chłopak, balansując pomiędzy świadomością a snem, położył palce na klawiaturze i zaczął szukać.

Nie był pewien, czego dokładnie.

Kolejne portale i strony przemykały przez ekran, a Eli przeglądał artykuły, prace naukowe i posty z forów tak, jakby jego umysł błędził między sennymi marzeniami. Mimo pozorów miał jednak całkiem konkretny cel: próbował znaleźć pewien wątek. Kilka tygodni wcześniej, innej bezsennej nocy, odnalazł pewną hipotezę, która w ciągu ostatniego miesiąca zapuściła korzenie w jego głowie i pochłaniała go bez reszty.

Wciąż nie wiedział, co kazało mu kliknąć w pierwszy link. Victor zapewne powiedziałby, że pusta ciekawość albo zmęczenie, ale taki stan, zbliżony do transu, wydawał się Eliowi dziwnie znajomy. Dłoń, działająca jakby sama z siebie. Błogosławieństwo. Jeden ruch, jedno pchnięcie.

Odkryta przez niego hipoteza brzmiała następująco: nagła, skrajna trauma może prowadzić do katastrofalnych, czasem nawet trwałych zmian w fizycznej naturze człowieka i jego zdolnościach. Poprzez doświadczenie bliskie śmierci ludzie mogą stać się kimś całkowicie innym i zacząć nowe życie.

Był to przepiękny wykwit pseudonauki.

Pseudonauka nie musiała jednak zawsze się mylić. Tym razem hipoteza nie doczekała się po prostu przekonujących dowodów. A co, jeżeli ktoś podjąłby się zdobycia takiego dowodu? Przecież ludzie w skrajnych warunkach robili nadzwyczajne rzeczy: wykazywali się ponadnaturalną siłą lub innymi niebywałymi zdolnościami. Czy skok jakościowy mógł być tak skrajny? Czy faktycznie w chwilach decydujących o życiu i śmierci, w tunelu między mrokiem a światłem, mogło się dziać coś tak wyjątkowego? Czy szaleństwem było w to uwierzyć? Czy arogancją – zanegować?

Strona załadowała się, a Eli poczuł, że przyspiesza mu tętno. Spojrzał jeszcze raz na słowo w nagłówku.

„PonadPrzeciętni”.

— — — — —

* Wszystkie cytaty w tym fragmencie z wiersza Williama Blake’a, Wróżby niewinności w: Poezje wybrane, przeł. Z. Kubiak, Warszawa 1991.

XXIII

PÓŁTORA ROKU WCZEŚNIEJ

PION

Eli ukląkł na podłodze celi, rozłożywszy przed sobą kilkanaście kartek. Odfiltrował większość zabójstw tak, że ze sporego stosu pozostało trzydzieści przypadków, potem dwadzieścia, a ostatecznie – sześć.

Malcolm Jones, Theodore Goslin, Ian Hausbender, Amy Tao, Alice Clayton, Ethan Barrymore.

Trzech dealerów narkotykowych, dwoje lekarzy i farmaceuta.

Wsunął trzy pierwsze kartki do wneki i powiedział:

– Sprawdźcie, czy wyniki badań balistycznych z tych spraw pasują do egzekucji PonadPrzeciętnych.

Stell odwrócił kartki.

– W tym stosie były akta stu zabójstw, porachunków między gangsterami i kartelami narkotykowymi. Dlaczego akurat te trzy?

– Iluzjonista nie zdradza swoich tajemnic – odparł beznamiętnie Eli.

– Ale ty nie jesteś iluzjonistą, tylko mordercą.

PonadPrzeciętny westchnął.

– Oczywiście, jak mógłbym zapomnieć? W tym stosie są akta dokładnie stu siedmiu zabójstw ludzi należących do gangów i karteli. Osiemdziesiąt trzy z nich można wykluczyć, ponieważ nie pasują do modelu egzekucji z bliskiej odległości. Z pozostałych dwudziestu czterech czternaście dotyczy handlu nielegalną bronią, a dziesięć – czarnego rynku farmaceutyków. Biorąc pod uwagę, że nasz myśliwy używał tego samego pistoletu podczas każdego zabójstwa, zdecydowałem się założyć, że nie chodziło mu o nową broń. Możemy zawęzić tę listę, ponieważ w przypadku zabójstw Jonesa, Goslina i Hausbendera były również inne ofiary. Jeśli przyjmiemy hipotezę, że ten, którego szukamy, używa PonadPrzeciętnych mocy, zmuszając ofiary, żeby podczas egzekucji stały spokojnie, możemy pominąć konieczność pobierania dodatkowych próbek z każdego miejsca zbrodni, i pozostawia nam to trzy przypadki z początkowych dziesięciu.

– „Ten”? Jesteś pewien, że to mężczyzna?

– Niczego nie jestem pewien – odpowiedział cierpliwie Eli – ale statystyka wskazuje na mężczyznę. Zabójczynie zdarzają się o wiele rzadziej i zwykle preferują bardziej bezpośrednie metody.

– I uważasz, że poluje na dealerów narkotykowych? – zapytał Stell.

Eli pokręcił głową.

– Sądzę, że chodzi mu o narkotyki. I lekarstwa. – Sięgnął po trzy pozostałe kartki. – Według mojej hipotezy wasz zabójca jest uzależniony albo ciężko chory; stąd pozostałe akta. Amy Tao, Alice Clayton i Ethan Barrymore. Dwie pierwsze ofiary to lekarki, trzecia – farmaceuta.

Stell przechadzał się nerwowo za przezroczystą ścianą.

– A martwi PonadPrzeciętni? Do którego miejsca tej układanki pasują?

– Obstawiam przy hipotezie, że nasz myśliwy szukał i prawdopodobnie nadal szuka kogoś o specyficznych umiejętnościach. Andrea potrafiła niszczyć, ale również odtwarzać.

Connelly umiał się regenerować.

– Co wspiera twoje przypuszczenia, że myśliwy jest chory.

Eliowi wydało się, że w głosie Stella dosłyszał niechętny podziw.

– To wciąż tylko hipoteza – zastrzegł. – Sprawdźmy najpierw, czy potwierdzą ją badania balistyczne.



Wyniki badań nadeszły dwa dni później.

Alice Clayton i Malcolm Jones. Lekarka i dealer narkotykowy dołączyli do grona trzech martwych PonadPrzeciętnych.

Układanka Elia rosła, ale wciąż mu czegoś brakowało.

Obsesyjnie wracał do pistoletu.

Myśliwy, którego tropili, był metodyczny i precyzyjny. Musiał wiedzieć, że zmieniając metody i styl egzekucji, zamaskowałby lepiej swój szlak... a mimo to wybrał jedną technikę. Ludzie trzymali się takich wzorców z różnych powodów: czasami był to podpis, innym razem wygoda lub precyzja, ale w tym przypadku Eli miał poczucie, że zabójca nie chciał brudzić sobie rąk. Strzał w głowę pozwalał zachować dystans; był zimną, skuteczną metodą. Czystą i sterylną. Morderca strzelał z daleka, nie ryzykując pozostawienia śladów biologicznych na miejscu zbrodni. Dobór broni, mimo zagrożenia związanego z wzorcem, sugerował, że myśliwemu zależy bardziej na zachowaniu anonimowości niż na ukryciu ciała ofiar... co z kolei sugerowało, że DNA zabójcy znajdowało się już w policyjnej bazie danych.

A więc PonadPrzeciętny znany władzom!

Serce zabiło mu mocno, gdy kolejne kawałki puzzli wskakiwały na swoje miejsce.

Jego umysł, kierowany nagłym impulsem, ruszył do szaleńczej, irracjonalnej gonitwy. Eli znów poczuł na plecach czyjąś dłoń, popychającą go naprzód – włączył komputer i zaczął szukać dziwnych lub nagłych zgonów wśród praktykujących lekarzy.

Spędził następne czterdzieści osiem godzin bez snu, przeszukując bazy danych, nekrologi i serwisy informacyjne. Wiedział, że skacze w ciemność, zamiast badać teren, poruszając się rozważnym krokiem, ale ponieważ grunt wydawał się gładki, a do tego było z górki, Eli, zamiast się powstrzymywać, pozwolił, by zadziałała grawitacja.

Aż w końcu znalazł nekrolog doktora Adama Portera. Czołowego neurologa, którego znaleziono martwego w jego prywatnym gabinecie, po oficjalnych godzinach przyjęć. Raport koronera stwierdzał, że lekarz zmarł na zawał, ale nie przy biurku, w drodze do samochodu lub w bezpiecznym zaciszu własnego domu. Nie, ciało znaleziono na szpitalnym linoleum, tuż obok dymiącego skanera MRI z awarią zasilania.

Dziwaczny wypadek. Potężny skok napięcia.

Zapisów na temat pacjentów z tego wieczoru brakowało – ktoś równiutko wyrwał z terminarza wszystkie kartki, ale Eli potrafił odgadnąć, co kryje się w pustym miejscu układanki, po kształtach kawałków, które leżały naokoło.

Znał ten wzorec doskonale. Widział już w życiu taką sytuację.

Zwłoki Angie, skręcone, leżące na podłodze laboratorium w Lockland, z wygiętymi w łuk plecami i otwartymi ustami, świadczącymi o tym, że w ostatnich sekundach życia

towarzyszył jej potworny ból.

Zawał, akurat.

Dziwaczny wypadek. Potężny skok napięcia.

W obu przypadkach palce maczał pewien PonadPrzeciętny z talentem myśliwego, potrafiący manipulować ciałami ofiar. Ktoś, kogo dane już znajdowały się w systemie, ale czuł się bezpieczny... ponieważ wszyscy uważali go za martwego.

– Zabiłem cię przecież – wymamrotał Eli.

Widmo Victora pojawiło się jak wywołane. Zimne błękitne oczy i drwiący uśmiech.

– Owszem.

– W takim razie jak?

– Naprawdę nie wiesz?

Eli zacisnął zęby. Sydney Clarke.

Serena uparła się, że pozbędzie się młodszej siostry samodzielnie. Najwyraźniej jej determinacja w międzyczasie się rozwinęła – i Sydney wciąż żyła.

Ta dziewczynka miała przykry zwyczaj wskrzeszania ludzi z martwych... również PonadPrzeciętnych, ale przy tym upośledzała ich zdolności. Eli widział to na własne oczy, kiedy ożywiła jedną z jego wcześniejszych ofiar, Barry'ego Lyncha, i wysłała mu go niczym popsutą zabawkę z listem od Victora w dłoni.

„Zaprzyjaźniłem się z kimś”.

Eli zerwał się na równe nogi i spojrzał w najbliższą kamerę.

– Stell? – powiedział cicho, a po chwili powtórzył głośniej.

Przez interkom odpowiedział mu chłodny głos:

– Dyrektor jest obecnie niedostępny.

– A kiedy wróci? – zapytał, ale głos milczał.

To go wkurzyło. Musiał zobaczyć Stella, spojrzeć mu prosto w oczy i zapytać, jak mógł być tak głupi i nie spalić ciała, mimo że Eli prosił o to podczas aresztowania, głośno i wyraźnie.

Rozejrzał się po celi, szukając czegoś, co mógłby wykorzystać, by zwrócić na siebie uwagę dyrektora. Niestety, wszystko było przymocowane do podłoża lub ścian. Poza nim samym, oczywiście. Walnął pięścią w pleksiglasową ścianę. Rozległ się niski dźwięk ładowanych kondensatorów.

– Osadzony, wycofać się na środek celi – rozkazał bezcielesny głos.

Eli nie posłuchał i rąbnął w ścianę jeszcze raz. Rozległ się alarm, a ułamek sekundy później potężny ładunek elektryczny uderzył go w ramię i odrzucił do tyłu. Tętno Elia na moment straciło rytm, a potem wróciło do normy. Ruszył do ściany po raz trzeci, ale zanim jeszcze jego pięść zdążyła dotknąć ściany, światła zgasły, pogrążając go w całkowitej ciemności.

Deprywacja sensoryczna była tak nagła, a ciemność tak absolutna, że Eli poczuł, jakby spadał. Wyciągnął ramiona, by złapać się czegoś, i zatoczył się. Przez kilkanaście sekund szukał po omacku krzesła, a gdy je znalazł, usiadł na nim i czekał.

„Dlaczego nie spaliliście ciała?”

„Dlaczego nie...”

Kiedy tak siedział w ciemności, powtarzając bez końca w myślach to pytanie, znów poczuł niewidzialną dłoń, tę samą, która kierowała nim już tyle razy, teraz powstrzymującą go od działania. Jeżeli Eli poinformuje Stella i PION o Victorze, wezmą go żywcem. Wsadzą go do celi. Nie, Eli nie mógł – nie miał zamiaru – pozwolić na takie zaniedbanie. Victor był zbyt niebezpieczny. Trzeba go było unicestwić, a Stell już raz poniósł porażkę.

Dlatego Eli nie chciał powierzyć mu tego zadania ponownie.

Światła znów się zapaliły, ściana celi zrobiła się przezroczysta, a w pole widzenia wbiegł sam dyrektor, ubrany w czarny garnitur, z połuzowanym krawatem pod szyją.

– Co się dzieje, do cholery? – zapytał gniewnie. – Lepiej, żebyś wpadł na coś przełomowego, skoro narobiłeś takiego zamieszania!

Eli zawahał się na ułamek sekundy, a potem wypiął pierś, przekonany o słuszności swojej decyzji.

– Chodzi o to – powiedział chłodno – że zabrąłem w ślepą uliczkę.

Biorąc pod uwagę niedawne wyłączenie światła, nie było to kłamstwo.

Stell przybrał podejrzliwą minę.

– To zaskakujące, biorąc pod uwagę, jak spędziłeś zeszły tydzień. Zdawało mi się, że mkniez ku rozwiązaniu wielkimi skokami.

Eli zaklął w myślach. Odkrycie tak go oszołomiło, że od pierwszej chwili parł ku konfrontacji, a podejmując decyzję o zatąpieniu go, nie przemyślał konsekwencji. Trzaśnięcie z bicia. Odstępstwo od wzoru.

– W którym miejscu rozleciała ci się koncepcja? – naciskał Stell.

– Nie rozleciała się – poinformował go Eli. – Skończyły mi się tropy.

– W takim razie po jaką cholere mnie wzywałeś? – zdenerwował się dyrektor.

Eli popełnił błąd. Nie zwykł się mylić, poza sytuacjami, w których pojawiał się Victor Vale. Victor miał jedną irytującą cechę: potrafił wytrącić Elia z równowagi i rozproszyć jego zazwyczaj skupiony umysł. Teraz zaś to Eli musiał pokrzyżować plany Stella, odwrócić uwagę dyrektora, zamienić podejrzenia w... coś innego. Gniew – to taka silna emocja, że z łatwością powinna zagłuszyć pozostałe.

– Myślę – powiedział, wsączając w te słowa tyle szyderstwa, ile potrafił – że chciałem zobaczyć, co teraz zrobisz. No i właśnie widzę.

Stell patrzył na niego z niedowierzaniem, z półotwartymi ustami. A potem, jak było do przewidzenia, jego twarz skurczyła się w furii.

– Naprawdę chcesz, żebym odesłał cię do laboratorium?

– Ta groźba jest już chyba mocno przeterminowana.

Stell cofnął się, jakby ktoś uderzył go na odlew.

– Och, tak myślisz? – zapytał jadownicę. – Pozwól, że odświeżę ci pamięć.

Eli napiął mięśnie. Stell uniosł przegub z zegarkiem do ust i powiedział coś do ukrytego mikrofonu, za cicho, by dało się go usłyszeć z celi.

– Czekaj... – zaczął Eli, lecz jego głos zagłuszył metaliczny szcęk nad głową. Z sufitu wysunęły się cztery małe zraszaczki i siknęły lodowatą wodą, w ciągu kilku sekund kompletnie mocząc więźnia. Zaczął się cofać, lecz powstrzymał go głos dyrektora.

– Ani mi się waź!

Pozostał więc na miejscu.

– Świetnie – rzucił, patrząc na dłonie, a potem znów na Stella. – Nie rozpuszczę się.

– Wiem – odpowiedział posępnie dyrektor.

Eli przez szum wody dosłyszał niskie buczenie. Za późno zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, i zdołał zrobić tylko krok w kierunku pleksiglasowej ściany, kiedy uderzył w niego prąd.

Był wszędzie. Rozrywał mu mięśnie nóg, przeszywał jego pierś i palił każdy nerw. Eli opadł na czworaka, kiedy elektryczność płynęła przez jego ciało, przewodzona przez warstwę wody. Miała dość woltów, by położyć trupem spore zwierzę, ale moc regeneracji Elia utrzymywała go przy życiu, ciągle rażonego prądem.

Chwytał go szcękostkisk, a pomiędzy zaciśniętych zębów rozległo się niskie, zwierzęce wycie.

Stell odwrócił się i odmaszerował, unosząc dłoń niemal lekceważąco. Ściana zmatowiała aż do bieli, a kilka potwornych sekund później prąd wreszcie wyłączono. Eli upadł na bok,

na śliską podłogę, po chwili strumienie wody zwolniły, aż w końcu się zatrzymały.

Przekręcił się na plecy, oddychając z trudem.

A potem powoli wstał i podszedł do biurka. Ciężko opadł na krzesło przed komputerem. Ponieważ system był połączony ze sprzętem Stella, dyrektor mógł zobaczyć wszystko, co robił Eli, doczytać się prawdy na kolejnych odwiedzanych przez więźnia stronach – jeśli nawet nie między wierszami.

Zaczął więc badać inne przypadki śmierci, inne przyczyny i tropy. Nie mógł wymazać wyszukiwania, które doprowadziło go do Adama Portera, brakującego ogniwa w jego rozumowaniu, ale próbował zatrzeć ślady i utrudnić Stelli odtworzenie swojego rozumowania. Z każdym kolejnym słowem kluczowym zbaczał z wcześniej obranego kursu i zmniejszał prawdopodobieństwo wykrycia. Przy odrobinie szczęścia zostanie to odczytane jako frustracja po porażce i gorączkowe usiłowania dotarcia do prawdy.

Podczas gdy jego palce śmigały po klawiszach, tworząc poplątany labirynt fałszywych tropów i ślepych uliczek, w jego umyśle skrytykowała się jedna, czysta myśl.

Zachowa Victora tylko dla siebie.

XXIV

CZTERY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

PION

Eli spędził większą część poprzedniej godziny, słuchając, jak Stell opowiada o nowym obiekcie: Marcelli Renee Riggins, żonie gangstera, która została morderczynią. Dyrektor mówił, a więzień przeglądał akta. Eli odłożył na bok wycinki z gazet i podsumowanie sporządzone w PION-ie, koncentrując się na zdjęciach ze szpitala. Widniało na nich łóżko z przerdzewiałą barierką, zetlałe prześcieradła i o wiele bardziej efektowna dziura w ścianie.

– Skoro dysponuje taką mocą, najlepiej ją zabić – uznał Eli.

Stell skrzyżował ramiona na piersi.

– Czy to jedyna rada, jaką masz do zaoferowania?

– W tym przypadku z pewnością najlepsza – odparł Eli. Widział już PonadPrzeciętnych z taką mocą, jak Marcella – pierwotną, destrukcyjną, bezgraniczną. Na świecie nie było dla niej miejsca. Kobieta mogła rozpuścić piekło... chyba że ktoś by ją definitywnie powstrzymał. – Jak sądzisz, ile czasu zajmie jej przebicie dowolnej zbroi czy zabezpieczenia twoich ludzi?

– Nasi agenci nie po raz pierwszy staną wobec kogoś, kto dysponuje mocą uruchamianą poprzez dotyk.

– Zakładając, że udałoby się wam nawet ją złapać: czy macie celę, w której można zatrzymać kogoś, kto dysponuje takimi zdolnościami?

– Każda moc ma ograniczenia.

– Słuchaj...

– Nie muszę tego słuchać – uciął Stell. – Widzę, że twoja filozofia nic a nic się nie zmieniła. Gdyby to zależało od ciebie, PION nigdy by nikogo nie pojmał.

– Zauważ, że częściowo to dzięki mnie uwięziliście ostatnich dwudziestu dwóch PonadPrzeciętnych, więc lepiej mnie posłuchaj, kiedy mówię, że ktoś dysponujący taką mocą nadaje się tylko do piachu.

– Znasz nasze zasady.

– Znam. Wierzyście, że wszystkich PonadPrzeciętnych trzeba zachować przy życiu, ale zapewniam, nie wszyscy jesteśmy tego warci.

– Nie decydujemy, kto ma żyć, a kto umrzeć – powiedział krótko Stell. – Nie wydajemy wyroków na PonadPrzeciętnych bez konfrontacji.

– I kto teraz pozwala, żeby ideały przestąpiły mu zdrowy rozsądek?

– Zaproponujemy Marcelli to samo, co każdej innej osobie PP: żeby dobrowolnie poszła z nami. Jeżeli odmówi, a oddział wykonujący zadanie nie będzie mógł bezpiecznie...

– Bezpiecznie?! – przerwał mu opryskliwie Eli. – Ta kobieta potrafi muśnięciem zamieniać ludzi w pył. Rozłożyć na czynniki pierwsze metal i kamień. Czy stawiasz życie PonadPrzeciętnych ponad życie normalnych ludzi? Ponieważ wysyłając po nią agentów, posłesz ich na samobójczą misję, tylko po to, by nasycić swoją dumę...

– Przyhamuj – ostrzegł go Stell.

Eli wypuścił powietrze ze świstem przez zaciśnięte zęby.

– Jeżeli nie zabijesz jej teraz, gorzko tego pożałujesz.

Stell odwrócił się ku wyjściu.

– Jeżeli nie masz dalszych sugestii...

– Wyślij mnie.

Dyrektor spojrział na Elia, marszcząc czoło w zdumieniu.

– Co to ma znaczyć?

– Chcesz innego rozwiązania? Takiego, które nie doprowadzi do śmierci niewinnych ludzi? – Eli rozłożył ramiona. – Nasze zdolności się uzupełniają. Ona niszczy, ja się regeneruję. Jest w tym pewna kosmiczna elegancja, nie sądzisz?

– A co będzie, jeżeli jej moc jest szybsza? – zapytał Stell.

Eli opuścił ramiona i szczerze odparł:

– Wtedy umrę.

Dawno, dawno temu wierzył, że przetrwał, ponieważ Bóg tak chciał. Że jest nieśmiertelny, ponieważ Pan ma dla niego misję. Teraz sam już nie wiedział, w co wierzyć. Miał jednak nadzieję, że jest jakiś powód, dla którego pozostaje przy życiu.

Stell uśmiechnął się pośepnie.

– Doceniam ofertę, Cardale, ale nie wypuszczę cię tak łatwo.

Ściana znów stała się mlecznobiała, zasłaniając dyrektora. Eli westchnął i skierował kroki ku pryczy. Usiadł na niej, opierając łokcie na kolanach, splatając dłonie i pochylając głowę, tak jakby się modlił.

Nie oczekiwał oczywiście, że Stell się zgodzi.

Zasiał jednak ziarno, które zapuściło korzenie – dostrzegł to w oczach dyrektora. Teraz musiał tylko zaczekać, aż wykiełkuje.

CZTERY LATA WCZEŚNIEJ

SKRZYDŁO LABORATORYJNE PION-U

Thomas Haverty miał bujną wyobraźnię.

Dlatego nie czuł się zaskoczony, kiedy Stell pozbawił go stanowiska w PION-ie. Nie zdziwił się, gdy ochroniarze wyprowadzili go z laboratorium i odebrali kartę elektroniczną, teczki i śnieżnobiały kitel. Historia znała wielu geniuszy, którym krzyżowali szyki krótkowzroczni głupcy. Naukowców oskarżano o wiele grzechów, zanim ich doceniono. Bogów najpierw krzyżowano – a zaczynało czcić dopiero wiele stuleci później.

– Tędy, panie Haverty – powiedział żołnierz w czarnym mundurze.

– Doktorze! – poprawił, wchodząc do komory skanera. Rozłożył ramiona i pozwolił strażnikom przeszukać swoje ubranie, skórę, a nawet szkielet, wszystko po to, by upewnić się, że nie ukradł niczego z laboratorium. Tak jakby Haverty rzeczywiście był w stanie zrobić coś tak oczywistego, tak głupiego.

Odeskortowali go aż na parking, gdzie przeszukali również jego samochód, po czym grzecznie zwrócili kluczyki i dali znać strażnikom przy bramie, żeby go przepuścili. Brama zasunęła się za nim z ponurą nieuchronnością.

Haverty przejechał czterdzieści kilometrów aż do swojego mieszkania na południowych przedmieściach Merit. Wszedł, położył klucze na swoim miejscu, zdjął płaszcz oraz buty, a potem podwinął rękawy.

Kilka zabłąkanych kropeł krwi pana Cardale'a poplamilo skórę po wewnętrznej stronie jego nadgarstka, mimo ochronnych lateksowych rękawiczek. Haverty przyglądał się przez chwilę czerwonym kropkom, tworzącym dziwny wzór, niczym konstelacja na firmamencie, nowe gwiazdy czekające na odkrycie.

Z uniesionym ramieniem przeszedł do gabinetu, sterylnie białego pokoju bez okien, otoczonego chłodziarkami z półkami pełnymi próbek tkanek, probówek z krwią, słoiczków zawierających rozmaite środki chemiczne. Tu znajdowało się także archiwum teczek, zawierających ręcznie skopiowane notatki.

Nie, Haverty nie był taki głupi, by wykradać cokolwiek z PION-u ostatniego dnia pracy. Robił to wcześniej, metodycznie, przez wiele dni. Wynosił materiały i wyniki swoich badań po trochu. Pojedyncza próbka. Jedno szkieleto z preparatem. Jakaś ampułka. Każda zdobycz dość mała, by w razie przyłapania mógł wytłumaczyć strażnikom, że to przypadek, wynikający z przepracowania i przemęczenia umysłu. Cierpliwość naprawdę była najwyższą cnotą, a postęp osiągało się powoli, krok po kroku.

Co wieczór – lub co rano – po powrocie do domu Haverty brał notatnik i odtwarzał słowo w słowo notatki, które zrobił w laboratorium, w sanktuarium PION-u.

Ludzie wyprzedzający swój czas z definicji nie mieli się w jego kategoriach.

Haverty zaliczał do ich grona również siebie. Stell – ani nikt w całym PION-ie – nie potrafił dostrzec tego, co on: że cel uświęci środki. Jeszcze im pokaże. Złamie kod PonadPrzeciętności i wstrząśnie podstawami nauki, a wtedy powitają go z powrotem w swoich szeregach, ba, będą czcić.

Podszedł do laboratoryjnej szafki i z najwyższej szuflady wyciągnął mikroskopowe szkieleto podstawowe oraz skalpel. Delikatnie zeszkrobał zaschniętą krew Eliota Cardale'a

z własnej skóry na gładką powierzchnię.

Czekało go jeszcze tyle pracy.

XXVI

CZTERY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

POŁUDNIOWE MERIT

Nick Folsetti usiadł na ławce za rzędem metalowych szafek i zaczął odwijać bandaż z dłoni. Przesunął językiem po wnętrzu ust – wciąż czuł smak krwi po tym, jak przeciwnik celnie trafił go w głowę.

Uwolnił dłoń od ostatniego bandaża i napiął ją, obserwując, jak skóra na kostkach twardnieje i zaczyna przypominać kamień. Oczywiście nie był to kamień ani nic podobnego. Wydawało mu się raczej, że jego ciało traci całą miękkość, wypiera całą słabość. Napiął dłoń jeszcze raz i palce odzyskały naturalny kolor, mięknąc i stając się z powrotem normalnym ciałem z krwi i kości.

Nick potrafił utwardzać swoje ciało tylko fragmentami – dłonie, zebra, golenie, szczęka – i tylko świadomie.

Mimo tych ograniczeń była to niebywała sprawa.

Owszem, słyszał plotki na temat żołnierzy, którzy szukali takich jak on. Kiedyś wpadł nawet w internetowy ciąg i przez parę dni przekopywał sieciowe pokłady w poszukiwaniu informacji o PonadPrzeciętnych, zanim zdał sobie sprawę, że w ten sposób zwraca na siebie uwagę. Wówczas zmienił taktykę, korzystając z anonimowych przeglądarek na publicznych komputerach.

PION – tak się nazywała ich organizacja. Wyobrażał ich sobie jako ludzi z programów telewizyjnych, obłąkańców wierzących w duchy, potwory lub obcych. Nick nigdy nie był łatwowierny, toteż wątpił, by ci łowcy naprawdę istnieli.

Ale potem nadeszła chwila, pół roku wcześniej, kiedy Nick, świeżo wypisany ze szpitala, walnął pięścią w ścianę, która ustąpiła pod ciosem. Przedtem nie wierzył również w istnienie takich ludzi, jakim był on sam.

Tavish, bukmacher, stanął w drzwiach do szatni i zagwizdał z podziwem. W zębach przeżuwał świeżą wykałaczkę.

– Jak na faceta takich rozmiarów, masz niezły cios – powiedział, wskazując korytarz i salę z ringiem. – Przed tobą większe walki i mocniejsi bokserzy.

– Znaczy chcesz, żebym odszedł? – zapytał Nick.

– Tego nie powiedziałem – wycofał się Tavish, przekładając wykałaczkę z jednego kącika ust w drugi. – Tak tylko mówię, że jakbyś chciał zrobić karierę, mógłbym ci pomóc... za odpowiednią działkę.

– Nie szukam sławy – odparł krótko Nick. – Tylko szmalu.

– Nie ma sprawy, rób, jak chcesz. – Przez szatnię przeleciała koperta i wylądowała na ławce. Nie była szczególnie gruba, ale jej zawartości nie dało się namierzyć, poza tym zawierała więcej pieniędzy, niż potrzebował, żeby przeżyć do następnej walki. I o to mu chodziło.

– Widzimy się za trzy dni – rzucił Tavish przez ramię, znikając w korytarzu.

Nick przeliczył pobieżnie banknoty, potem założył płaszcz i wyszedł.

Żarówka w zewnętrznej lampie znów się spaliła, toteż alejka za drzwiami o tej porze tonęła w cieniach, chwiejnych i mających wzrok.

Nick zapalił papierosa. Czerwony, rozżarzony punkcik zatańczył przed nim w ciemności.

W jednym z pobliskich magazynów szalała dzika impreza. Ciężkie dudnienie basów wylewało się na ulicę. Nick nie słyszał w tym łomocie własnego pulsu, a co dopiero cichych kroków za plecami.

Nie zdawał sobie sprawy, że w ogóle ktoś tam jest, dopóki nagły ból nie przeszył jego boku. Został kompletnie zaskoczony, a przez sekundę myślał nawet, że dostał kulkę, ale kiedy spojrzął w dół, dostrzegł wystającą spomiędzy żeber krótką, metalową strzałkę z pustą fiolką.

Odwrócił się, czując zawroty głowy. Spodziewał się zobaczyć policjanta, zakapiora albo nawet żołnierza PION-u, ale za nim stał tylko łysiejący facecik w okrągłych okularach i białym laboratoryjnym kitlu.

Zaraz potem wzrok odmówił mu posłuszeństwa, świat naokoło się zamazał, kolana ugięły się pod bokserem i wszystko ogarnęła ciemność.



Nick odzyskał przytomność w pomieszczeniu o stalowych ścianach – kontenerze, a może blaszanym magazynie? Nie potrafił stwierdzić. Wzrok raz mu się wyostrzał, raz zamazywał, a serce waliło jak młotem. W końcu wróciło wspomnienie strzałki z ampułką.

Próbował się poruszyć i odkrył, że jest unieruchomiony opaskami wokół nadgarstków i kostek. Pod głową szeleściła mu plastikowa plachta. Napiął się, utwardzając nadgarstki, ale nic to nie dało. Twardość była czymś innym niż siła. Krępowały go wytrzymałe więzy, które za nic nie chciały pęknąć. Walczył, rzucając się na stole, dopóki ktoś nie cmoknął z dezaprobatą.

– Jakże szybko cofamy się w rozwoju – odezwał się głos za jego głową. – Jak tylko uwięzić ludzi, stają się zwierzętami.

Nick wykręcił szyję i odwrócił głowę, aż w końcu dojrzał brzeg białego kitla.

– Przepraszam za stan mojego laboratorium – odezwał się głos. – Nie jest idealny, wiem, ale nauka nie daje priorytetu wymogom estetyki.

– Kim ty, do kurwy nędzy, jesteś?! – zapytał gromko Nick, wijąc się rozpaczliwie w więzach.

Biały kitel zbliżył się do stołu, a wówczas okazało się, że okrywa mężczyznę. Chudego i łysiejącego. W okrągłych okularach, zza których wyglądały głęboko osadzone, ciemne oczy.

– Nazywam się doktor Haverty – przedstawił się, naciągając lateksowe rękawiczki. – Coś błysnęło w jego dłoni; cienkiego, srebrnego i ostrego. Skalpel. – Obiecuję, że wszystko, co zaraz będzie miało tu miejsce, odbędzie się w interesie postępu.

Pochylił się nad nim, niemal dotykając ostrzem lewego oka Nicka. PonadPrzeciętny dostrzegł wyraźnie czubek skalpela, tak blisko, że niemal muskał mu rzęsy, podczas gdy doktor w tle zmienił się w niewyraźną białą plamę.

Nick zacisnął zęby i próbował się uchylić przed ostrym narzędziem, ale nie był w stanie, więc skupił całą uwagę na utwardzeniu lewego oka. Skalpel opadł na nie z brzęknięciem, tak jakby uderzył o lód.

Niewyraźna twarz doktora rozlała się w uśmiech.

– Fascynujące.

Lekarz odsunął skalpel i zniknął z pola widzenia Nicka, który usłyszał metaliczne szcęknięcie przekładanych narzędzi, a po chwili Haverty pojawił się ze strzykawką, zawierającą gęsty, jadowicie błękitny płyn.

– Czego od mnie chcesz? – jęknął Nick, kiedy igła zniknęła mu z oczu.

Sekundę później ból przeszył mu potylicę. Po jego kończynach zaczął pełznąć chłód.

– Czego chcesz? – powtórzył Haverty przeciągle, podczas gdy Nick zaczął drżeć, trząść się, a wreszcie wść w konwulsjach. – Tego samego, co wszyscy ludzie nauki. Nowej wiedzy!

Wniebowstąpienie

TRZY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

PION

– Co z tobą, Rush?

Dominik mrugnął. Siedział przy stole na piętrze kantyny, naprzeciwko agentów Holtza i Bary. Holtz nie tylko załatwił mu pracę w PION-ie, ale także pomógł wpasować się w tamtejszy zespół. Pogodny blond dzieciak – Dominik nie potrafił myśleć o nim inaczej, chociaż Holtz był od niego o rok starszy – zawsze zachowywał łobuzerski uśmiech i wiecznie dobry humor. Służyli razem przez dwie tury, zanim Dominik wszedł na minę i musiał przejść w stan spoczynku. Fajnie było wspólnie spędzać przerwę na lunch, obecność Bary w ogóle im nie przeszkadzała.

Agentka Rios – jak zawsze – siedziała sama przy sąsiednim stole, z książką obok talerza. Za każdym razem, kiedy któryś z żołnierzy podchodził zbyt blisko, rzucała mu ostrzegawcze spojrzenie, a wtedy pospiesznie się wycofywał.

– Co ma być ze mną? – zapytał Dominik.

– No, gdybyś był PonadPrzeciętnym – wyjaśnił Bara niewyraźnie z ustami zatkanymi kanapką – jaką chciałbyś mieć moc?

To było niewinne pytanie, a nawet nieuchronne, biorąc pod uwagę, gdzie pracowali. Ale Dominikowi i tak zaschło w ustach.

– Ja... nie wiem.

– Och, daj spokój – zachnął się Bara. – Nie powiesz mi, że o tym nie myślałeś.

– Ja bym chciał rentgena w oczach – rozmarzył się Holtz. – Albo umieć latać. Albo móc zamieniać samochód w dowolny inny model, kiedy bym się nim znudził.

Rios popatrzyła na nich i pokręciła głową.

– Twój umysł nie przestaje mnie zadziwiać – stwierdziła zgryźliwie.

Holtz odpowiedział promiennym uśmiechem, jakby uznał to za komplement.

– Gdybyś zadał sobie trochę trudu i przeczytał oceny poszczególnych PP – ciągnęła – wiedziałbyś, że ich zdolności są ściśle związane z okolicznościami ich DBŚ i stanu umysłu w chwili wypadku. Czy zatem mógłbyś mi wyjaśnić – zapytała, odwracając się ku niemu – jakiego rodzaju wypadek mógłby obdarzyć cię mocą zmieniania modelu samochodu?

Holtz zmarszczył komicznie czoło, jakby rzeczywiście próbował wymyślić taką sytuację, ale Barę już znudziła ta gadanina.

– A co z tobą, Rios? – wypalił. – Jaką moc ty byś chciała mieć?

Opuściła wzrok, wracając do lektury, ale odpowiedziała:

– Pasowałyby mi zdolność uciszania wszystkich naokoło.

Holtz wybuchnął nerwowym chichotem.

Dominik ogarnął wzrokiem całą grupę.

Nie spodziewał się, że z czasem będzie mu łatwiej – ba, nawet tego nie chciał – ale tak właśnie się stało. W tym tkwiło sedno sprawy: zadziwiające, do czego mógł się przystosować człowiek; jak szybko to, co dziwne, stawało się nudne, a nadzwyczajne – normalne. Po opuszczeniu armii tęsknił za towarzystwem takich jak on, za wspólnymi tematami rozmów. Cholera, tęsknił za mundurem, rozkazami i wojskową rutyną!

W PION-ie nie potrafił przywyknąć do jednego – tutejszych cel więziennych. A raczej do ich lokatorów.

Szybko przyzwyczał się do śnieżnobiałych ścian kompleksu – skomplikowanego labiryntu, po którym poruszał się już na pamięć – ale myśl o podstawowym celu PION-u przejmowała Dominika dreszczem. Gdyby kiedykolwiek o nim zapomniał, wystarczyło mu zerknąć na ekrany monitoringu i przewinąć obrazy ze wszystkich cel.

Co jakiś czas w ramach obowiązków musiał obejść więzienie i dostarczyć posiłki. Słyszał wtedy PonadPrzeciętnych za pleksiglasowymi ścianami, błagających o wypuszczenie. Czasami, kiedy wypełniał arkusz oceny, musiał się naprzeciwko jednego z nich – więzień w swojej celi, a Dominik za ścianą, ubrany po cywilnemu – i wypytać ich o to, jak żyli, jak umarli, co pamiętają i jak działa ich umysł. Musiał udawać, że nie rozumie, o co im chodzi, kiedy mówili o ostatnich chwilach życia, rozpaczliwych myślach, które towarzyszyły im w zapadającej ciemności i pomogły wrócić do życia.

Naprzeciwko niego Holtz i Bara wciąż wymyślali różne hipotetyczne zdolności, a przy stole obok Rios czytała książkę. Dominik gapił się w talerz, kompletnie straciwszy apetyt.

II

DWA LATA WCZEŚNIEJ MIESZKANIE DOMINIKA

Obracał wizytówkę w ręku, czekając, aż Victor oddzwoni.

Czarny kartonik pod pewnym kątem łapał światło odbijające się od nadrukowanych liter.

PION.

Dziesięć minut później telefon w końcu się odezwał.

– Weź tę robotę.

Dominik zamarł.

– Chyba nie mówisz poważnie? – Milczenie w słuchawce podpowiedziało mu, że owszem, Victor mówi jak najbardziej poważnie. – Przecież oni na nas polują, łapią, nawet zabijają. A ty chcesz, żebym dla nich pracował?

– Jesteś przeszkolony, masz kwalifikacje...

– A jeżeli odkryją, że jestem PonadPrzeciętny?

Krótkie, niecierpliwe sapnięcie.

– Potrafisz wykraczać poza normalny bieg czasu. Jeżeli ty nie unikniesz aresztowania, to kto?

– Tak, potrafię wyjść poza czas – przyznał Dominik – ale nie umiem przechodzić przez ściany ani otwierać zamków. – Przesunął dłonią po głowie. – Z całym szacunkiem...

– Takie sformułowanie zazwyczaj poprzedza odmowę – stwierdził chłodno Victor.

– To, o co mnie prosisz, jest...

– Nie proszę.

Victor znajdował się sto pięćdziesiąt kilometrów dalej, ale Dominik wzdrygnął się na tę niewypowiedzianą groźbę. Zawdzięczał Victorowi wszystko. Obaj o tym wiedzieli.

– Dobrze, oczywiście – odpowiedział ekszołnier.

Victor Vale się rozłączył. Dominik przez dłuższą chwilę gapił się na telefon, a potem odwrócił wizytówkę i zadzwonił pod widniejący na niej numer.



Czarna furgonetka przyjechała po niego o świcie.

Czekał na chodniku, patrząc na zwyczajnie ubranego faceta, który wysiadł z miejsca pasażera i otworzył tylne drzwi. Dominik zmusił się do wejścia. Robił to powoli i z ociąganiem, tak jakby coś go powstrzymywało.

Nie chciał tego. Instynkt samozachowawczy podpowiadał mu głośno i wyraźnie, żeby tego nie robił. Nie wiedział, co myślał Victor ani na ile kroków naprzód planował. Zachowywał się tak, jakby świat był wielką partią szachów; klepał ludzi w ramię i mówił: „Ty będziesz pionkiem, ty skoczkiem, a ty wieżą”.

Ta myśl nieco irytowała Dominika, ale w armii nauczył się nie zadawać pytań, tylko ufać nadchodzącym rozkazom. Wiedział, że nie potrafi ogarnąć całego obrazu. Wojna potrzebowała dwóch rodzajów ludzi – strategów, planujących w dłuższej perspektywie, i działających na krótki dystans taktyków.

Victor należał do tych pierwszych. Dominik – do drugich.

Nie czyniło go to oczywiście pionkiem. Dzięki temu był dobrym żołnierzem.

Teraz zmusił się, by wejść do samochodu. Zanim jednak postawił stopę w środku, mężczyzna otworzył zamek błyskawiczny torby i odezwał się:

– Telefon, zegarek, wszystko, co przesyła dane i nie jest na stałe przytwierdzone do ciała.

Dominik przez wszystkie lata maskowania swojej PonadPrzeciętności nauczył się ostrożnego postępowania. W jego telefonie znajdowało się tylko kilka numerów i żadnemu z nich nie przypisał imienia ani nazwiska. Victor występował jako „szef”, Mitch jako „wielkolud”, a Sydney jako „lobuziara”. Mimo to ekszołnierczyciel poczuł nerwowe ukłucie, kiedy torba zniknęła z pola widzenia, a tamten zaprosił go do auta.

Nie było puste.

W środku znajdowało się już czworo innych ludzi – trzech mężczyzn i kobieta. Siedzieli pod ścianami bez okien. Dominik również zajął miejsce, tylne drzwi się zatrzasnęły i furgonetka odjechała. Wszyscy milczeli, ale potrafił rozpoznać u innych wojskowy sznyt. Sposób, w jaki trzymali ramiona, ich fryzury – krótko przycięte lub starannie zaczesane, a także beznamiętne miny. Jeden miał protezę przedramienia: od łokcia w dół widać było wymyślną aparaturę, ostatni krzyk biotechnologii. Dominik obserwował mechaniczne palce jego dłoni, stukające w kolano.

Zabrali jeszcze jedną osobę – młodą czarną kobietę – a potem samochód wjechał na inną nawierzchnię. Odgłosy z zewnątrz utonęły w ryku silnika, kiedy furgonetka zaczęła nabierać prędkości.

Dominik spędził połowę kariery w takich konwojach, podczas transportu z jednej bazy do drugiej.

Jeden z mężczyzn próbował sprawdzić czas, zanim przypomniał sobie, że skonfiskowano im zegarki. Dominik nie miał nic przeciwko temu – mógł poczekać.



Z punktu widzenia Dominika czas poruszał się dziwnie.

A może to on poruszał się dziwnie w czasie?

Dokumenty mówiły, że miał trzydzieści trzy lata, ale czuł się starszy – i domyślał się, że w pewnym sensie tak właśnie jest. Potrafił wyjść poza normalny czas, do świata cienia, gdzie krajobraz stawał się malowidłem z odcieni szarości, w ciemność, donikąd, gdzie był jedyną poruszającą się istotą.

Nigdy tego nie policzył, ale prawdopodobnie spędził po drugiej stronie – czy też na zewnątrz, poza swoim czasem – tygodnie, jeżeli nie miesiące. Przez to jego własna linia czasu rozciągnęła się, straciła kształt.

Pewnego razu w ramach eksperymentu przeszedł do świata cienia i został tam, ciekawy, jak długo potrafi wytrzymać. Czuł się wtedy tak, jakby wstrzymywał oddech, chociaż wcale tak nie było – w tej osobliwej przestrzeni poza czasem znajdowało się dość tlenu, istniał tam również ciężar i ciśnienie. Wcześniej, kiedy każdy krok sprawiał mu ból, to ciśnienie niemal go zmiażdżyło. Teraz odbierał je jako uciążliwe i spowalniające, ale potrafił się mimo niego poruszać.

Od tamtej pory codziennie rano i wieczorem Dominik spędzał pewien czas poza czasem. Niekiedy chodził tylko po mieszkaniu, ale czasami udawał się w teren, sprawdzając, jaką odległość potrafi przejść, a nie ile sekund minie mu po tamtej stronie.



Furgonetka zwolniła. Dominik wrócił do rzeczywistości – na metalową ławkę, do ciemnego wnętrza samochodu, między współtowarzyszy podróży.

Kilka minut później auto się zatrzymało, drzwi otworzyły, a podróżnych wyprowadzono na gładki asfalt. Dominik zmrużył oczy, zdezorientowany promieniami porannego słońca. Stali przed budynkiem, który musiał być siedzibą PION-u.

Z zewnątrz wyglądał nieszkodliwie, a nawet nijako. Otaczał go mur, ale nie było widać drutu kolczastego ani wieżyczek z uzbrojonymi strażnikami.

Grupa dotarła do frontowych drzwi, które rozsunęły się z sykiem niczym śluza. Lobby – jeżeli można było je tak nazwać – było eleganckie i przestronne, lecz pomiędzy wejściem a resztą przestrzeni znajdował się punkt kontroli bezpieczeństwa. Całą szóstkę nowo przybyłych wywoływano – jedno po drugim – nazwiskami. Mieli opróżnić kieszenie i wejść do komory skanera.

Klinberg. Matthews. Linfield.

Tętno Dominika przyspieszyło.

Bara. Plinetti.

Victor zapewniał go wcześniej, że nie zostanie schwytany, jednak Dominik nie wiedział tego na pewno. Praca tych ludzi polegała na łapaniu takich jak on, musieli mieć odpowiednią technologię. Co, jeżeli znaleźli sposób na odróżnienie człowieka od PonadPrzeciętnego? Co, jeśli potrafili wykrywać takich jak on?

– Rusher! – wezwał funkcjonariusz, zapraszając Dominika gestem. Ten wypuścił powietrze i wkroczył do skanera.

Przeraźliwy dźwięk alarmu odbił się echem od ścian lobby.

Dom wytoczył się tyłem z komory, przygotowując wewnętrznie na to, że za moment otworzą się ukryte drzwi i do lobby wbiegnie oddział uzbrojonych po zęby żołnierzy. Spiał mięśnie, gotów przejść do świata cienia, zdradzić swoją tożsamość, stracić anonimowość, spejprzyć koncertowo całą akcją i stawić czoła gniewowi Victora... ale strażnik tylko przewrócił oczami.

– Masz jakieś implanty?

– Co? – zapytał Dominik, kompletnie zdezorientowany.

– Metalowe części w ciele. Musisz uprzedzić o takich sprawach przed wejściem do skanera.

Funkcjonariusz energicznie wstukał nowy zestaw instrukcji dla maszynierii.

– Dobra, jeszcze raz.

Dominik zmusił się do ponownej próby, modląc się w duchu, by badanie nie pokazało jego paniki.

– Stój nieruchomo!

Poczuł się tak, jakby ktoś go kserował. Smuga jaskrawobiałego światła przesunęła się w górę i w dół jego ciała.

– Teraz wyjdź.

Posłuchał rozkazu, walcząc z drżeniem ogarniającym jego ciało.

Jeden z pozostałych – Bara – złapał go za ramię.

– Rany, chłopie, ale jesteś spięty.

Dominik zdobył się na nerwowy chichot.

– Jakoś nie pasują mi głośne dźwięki – powiedział. – To pewnie przez tę minę, na którą nadepnąłem.

– Cholerny pech, chłopie. – Uścisk na ramieniu zelżał. – Ale niezłe cię poskładali.

Dominik przytaknął.

– Taa, dość dobrze.

Zaprowadzono ich do pokoju bez krzeseł ani żadnych innych siedzisk. Tylko nagie ściany i pusta podłoga. Drzwi zasunęły się za nimi, szczęknął zamek.

– Myślicie, że to jakiś test? – zapytała po trzydziestych minutach jedna z kobiet, nazwiskiem Plinetti.

– Jeżeli tak, to główniany – oświadczył Matthews, rozciągając się na podłodze. – Trzeba czegoś więcej niż białe pudełko, jeżeli chcą ze mną pogrywać.

Dominik zakotyłał się na piętach i oparł plecami o ścianę.

– Napiłbym się kawy – powiedział Bara i ziewnął.

Odezwał się również inny facet, Klinberg.

– Hej – powiedział teatralnym szeptem. – Widzieliście to kiedyś?

– Co? – zapytała druga z kobiet, Linfield.

– No wiesz. To, co tu trzymają.

Powiedział „to”, nie „tych”. Dominik oparł się pokusie poprawienia go. Drzwi się otworzyły i do pomieszczenia weszła żołnierka – wysoka i szczupła, opalona, z krótkimi czarnymi włosami. Większość rekrutów automatycznie stanęła na baczność – żołnierzom trudno było zmienić ten nawyk – lecz facet leżący na podłodze podniósł się powoli, niemal leniwie.

– Jestem agentka Rios – przedstawiła się kobieta. – Dzisiaj zajmę się waszym szkoleniem – wyjaśniła, przechodząc przez pokój. – Niektórzy z was zastanawiają się, co tutaj robimy. PION ma trzy wydziały: Zatrzymań, Obserwacji i Neutralizacji. Zespoły wydziału Zatrzymań zajmują się lokalizacją, pościgiem i chwyтaniem PonadPrzeciętnych. Zatrudnieni w wydziale Obserwacji pracują tutaj, w bazie.

Klinberg podniósł rękę.

– A który zespół ich likwiduje?

Dominik wstrzymał oddech, ale Rios nie wahała się z odpowiedzią ani sekundy.

– Neutralizacja jest wyjściem ostatecznym. Żołnierze pracujący w tym wydziale rekrutują się spośród tych, którzy wykazali się w pozostałych. Dość powiedzieć, Klinberg, że w najbliższym czasie na pewno nie będziesz zabijać PonadPrzeciętnych. Jeżeli to cię zniechęca, daj mi znać, żebym mogła kontynuować szkolenie dla pozostałej piątki, nie marnując twojego czasu.

Klinberg miał dość rozsądka, żeby się zamknąć.

– Zanim zaczniemy – ciągnęła Rios – podpiszecie oświadczenie o zachowaniu poufności. Jeżeli złamiecie jego postanowienia, nie zostaniecie aresztowani. Nikt nie będzie was pozywał. – Uśmiechnęła się ponuro. – Po prostu znikniecie. – Puściła w obieg tabletkę z oświadczeniem, a rekruci kolejno przyciskali kciuki do ekranu. Kiedy urządzenie wróciło do rąk agentki, podjęła: – Większość z was słyszała określenie „PonadPrzeciętni” i prawdopodobnie odnosi się do niego sceptycznie. Najszybciej będzie rozwiązać wasze wątpliwości poprzez demonstrację. – W ścianie za jej plecami otworzyły się drzwi. – Za mną.



– Nie wkładać rąk za kraty – zażartował szeptem Klinberg, kiedy szli korytarzem.

„Zapamiętaj to miejsce”, pomyślał Dominik, karnie maszerując w szeregu. „Zapamiętaj wszystko”. Ale to był labirynt korytarzy, białych, sterylnych, jednakowych i kompletnie dezorientujących. Przeszli przez kilka punktów kontrolnych, w każdym przekraczając hermetyczne drzwi. Agentka Rios musiała je otwierać kartą elektroniczną.

– Hej – szepnęła Bara. – Słyszałem, że trzymają tutaj tego zabójcę, co to wykończył ze setkę innych PP. Myślicie, że to prawda?

Dominik nie odpowiedział. Czy rzeczywiście Eli przebywał gdzieś w tym budynku?

Rios włączyła naramienny komunikator.

– Status osadzonej w celi numer osiem?

– Rozdrażniona – odpowiedział głos z drugiego końca.

Ponury uśmiech przemknął przez twarz agentki.

– Znakomicie.

Przeciągnęła kartą przez czytnik w ostatnich drzwiach, a Dominik poczuł, że serce staje mu w piersi. Weszli do wielkiego hangaru, niemal całkowicie pustego, poza jedną celą stojącą na jego środku. Była to kostka z pleksiglasu, wewnątrz której, niczym owad w słoiku, klęczała kobieta. Miała na sobie kombinezon z lśniącego materiału, który wyglądał jak lakierowany.

– Tabitha – powiedziała agentka Rios spokojnie.

– Wypuście mnie.

Rekruci stanęli naokoło celi, tak jakby jej lokatorka była dziełem sztuki albo eksponatem muzealnym, który trzeba obejrzeć z każdej strony.

Matthews zapukał nawet palcami w pleksi, niczym w zoo.

– Nie karmić zwierząt – wymamrotał pod nosem.

Dominik poczuł naciągające mdłości.

Uwięziona kobieta wstała.

– Wypuście mnie!

– Musisz ładnie poprosić – odparła Rios.

Tabitha zaczęła się jarzyć przebijającym jej spod skóry światłem w odcieniu rozgrzanego do czerwoności metalu.

– Wypuście mnie! – wrzasnęła urywającym się głosem.

A potem stanęła w ogniu.

Płomienie lizały jej skórę, ogarniały ją całą. Jej włosy płonęły jaskrawym, błękitnobiałym żarem, jak główka zapalki potartej o draskę.

Część rekrutów cofnęła się o krok. Jeden zakrył usta dłonią, reszta patrzyła zafascynowana, zaskoczona, przerażona.

Dominik udawał, że jest wstrząśnięty, ale nie musiał pozorować strachu, który pełził w górę jego ciała, dając doskonale znane, ostrzegawcze sygnały – „źle, źle, źle” – podobnie jak na sekundę przed nastąpieniem na minę, gdy jego świat zmienił się już na zawsze. Strach, który miał mniej wspólnego z kobietą stojącą w ogniu, a więcej – z całą, w której ją trzymano. Przez grubą pleksiglas nie przebijał nawet żar.

Rios nacisnęła guzik w panelu na ścianie, uruchamiając zraszacz wewnątrz celi. Natychmiast rozległ się syk tłumionego ognia, a cela wypełniła się parą. Kiedy woda przestała lecieć i chmura zniknęła, kompletnie przemoczona Tabitha siedziała w żalosznej pozie na podłodze, próbując złapać oddech.

– Koniec lekcji pokazowej – oznajmiła Rios, odwracając się ku rekrutom. – Jakies pytania?



Czarna furgonetka czekała na nich po zakończeniu szkolenia.

Przez całą drogę powrotną rekruci gadali o błahych sprawach, ale Dominik zamknął oczy i skupił się na utrzymaniu miarowego oddechu.

Po „lekcji pokazowej” nastąpiła rozmowa, podczas której wyjaśniono mu, jak będzie wyglądało szkolenie, a potem ocena psychologiczna. Wszystkie procedury wydawały się zwykle i przyziemne; najwyraźniej zaprojektowano je tak, by kandydaci zapomnieli o specyfice pracy w PION-ie.

Dominik jednak nie był w stanie zapomnieć. Wspomnienie kobiety w ogniu nie pozwalało mu odzyskać równowagi. Był pewien, że nie uda mu się zachować w tajemnicy swoich PonadPrzeciętnych zdolności, więc zaskoczyło go – i nastawiło podejrzliwie – kiedy pod koniec zajęć Rios powiedziała mu, żeby zgłosił się następnego dnia na dalszy ciąg szkolenia.

Jechał tak z zamkniętymi oczami, a furgonetka krążyła po mieście, zatrzymując się przed domami kolejnych rekrutów. Kiedy tylne drzwi zatrzasnęły się za przedostatnią osobą i w środku siedział już tylko Dominik, poczuł, że ogarnia go panika. Był pewien, że wyczuwa pod oponami samochodu nawierzchnię autostrady, że zabierają go z powrotem do siedziby PION-u, do jednej z przezroczyстых cel.

– Rusher!

Podniósł wzrok i zdał sobie sprawę, że furgonetka stoi na jałowym biegu, drzwi są otwarte, a w gasnącym świetle dnia widać jego blok. Dominik odebrał od funkcjonariusza torbę zawierającą telefon, a potem wyszedł z samochodu. Jednak nawet idąc po schodach do swojego mieszkania, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ktoś go śledzi.

Tam, na ulicy, nieznany samochód. Dominik włączył telewizor i wyjrzał przez okno. Ciemne auto stało tam nadal. Przebrał się w strój do biegania, wziął głęboki oddech

i prześlizgnął na drugą stronę czasu.

Świat ucichł, stężał i poszarzał. Z pokoju wyszło wszystkie dźwięki i ruchy. Dominik przedostał się do frontowych drzwi, walcząc z oporną materią zamrożonego czasu.

Dawniej, kiedy każdy krok sprawiał mu ból, nie był w stanie spędzić w świetle cienia więcej niż kilka chwil, ale teraz, po miesiącach treningu, jego ciało poruszało się sprawnie, nawet jeżeli nie swobodnie, przełamując opór.

Zszedł bezdźwięcznie po schodach – chwilę wcześniej jego kroki rozlegały się na klatkę głośnym echem – a potem wydostał na chodnik. Zatrzymał się przy nieznanym samochodzie i pochylał, by przyjrzeć się postaci za kierownicą z telefonem komórkowym przy uchu. Mężczyzna wyglądał na byłego żołnierza, a teczka na fotelu obok niego miała etykiety z nazwiskiem Dominika.

Podniósł wzrok na okna swojego mieszkania. Ekran telewizora rzucał blask na zasłony. Dominik odwrócił się i przeszedł dwie przecznice do najbliższej stacji metra. W połowie schodów wydostał się z cienia i wrócił do normalnego świata, do światła, koloru i czasu, by rozpląnąć się w tłumie wieczornych pasażerów.



– Obserwują moje mieszkanie – powiedział Dominik, kiedy Victor odebrał telefon.

Biegł przez park, oddychając szybko.

– Spodziewałem się tego – stwierdził Victor niewzruszonym tonem.

Dominik zwolnił krok do spacerowego.

– Po co robię to wszystko?

– Ponieważ niewiedza jest błogosławieństwem tylko wtedy, gdy chcesz, żeby cię złapali.

Z tymi słowami Victor się rozłączył.

Następnego dnia Dominik wrócił do PION-u, tak jak poprzednio, czarną furgonetką. Okazało się, że grupa rekrutów zmniejszyła się z sześciu do pięciu osób. Brakowało Klinberga. Trzeciego dnia odpadł również Matthews. Rios prowadziła ich przez rozmaite ćwiczenia i testy, a Dominik robił dokładnie to, co mu kazano. Próbował się niczym nie wyróżniać, wciąż spodziewając się, że zostanie wyeliminowany.

W sumie nawet tego chciał.

Trzeciego dnia po zajęciach szedł już do furgonetki, kiedy zatrzymała go agentka Rios.

– Dyrektor Stell chciałby zamienić z panem słówko.

Dominik zeszytniał. Nigdy nie spotkał Stella, ale znał jego reputację. Wiedział, że to on jako śledczy posłał Victora, wówczas jeszcze studenta, do więzienia, to on śledził Elia w Merit i oczywiście to jego dziełem był PION.

„Uciekaj!”, odezwał się głos w głowie Dominika.

Spojrzał na Rios, potem na wjazd do siedziby PION-u. Brama właśnie zaczęła się zasuwać.

„Uciekaj, zanim się zamknie!”

Gdyby posłuchał tego głosu, byłby to koniec wszystkiego. Jego przykrywka zostałaby spalona, tożsamość wyszłaby na jaw, a potem Dominik musiałby uciekać już do końca życia

Zmusił się do zachowania spokoju.

Rios poprowadziła go do gabinetu na końcu długiego korytarza. Zapukała raz i pchnęła drzwi.

Dyrektor Stell siedział za szerokim stalowym biurkiem na fotelu z wysokim oparciem. Jego czarne włosy zaczęły robić się szpakowate, a ostrą, kanciastą twarz miał zwróconą w kierunku tabletu.

– Panie Rusher, proszę spocząć.

– Sir – przywitał się Dominik i usiadł.

Drzwi zamknęły się za nim, szczerknął zamek.

– Coś nie dawało mi spokoju – powiedział Stell, nie podnosząc wzroku. – Też pan tak czasem ma, że o czymś pan zapomni i nie potrafi sobie przypomnieć? Czasami pamięć pogrywa sobie z nami tak nikczemie. Strasznie to rozprasza człowieka. Zupełnie jakby swędziało, ale nie wiadomo gdzie. – Odłożył tablet i Dominik zobaczył na ekranie własną twarz. Nie zdjęcie zrobione podczas kontroli albo z monitoringu PION-u. Nie, to była stara fotografia, z czasów służby w wojsku. – To było pana nazwisko – ciągnął Stell. – Wiedziałem, że już mi gdzieś mignęło, ale nie pamiętałem gdzie. – Odwrócił tablet i pchnął go przez stalowy blat. – Wie pan, co to jest?

Dominik spojrzał uważnie na ekran. Poza jego zdjęciem znajdowało się tam coś w rodzaju uproszczonego profilu z podstawowymi informacjami o wieku, dacie urodzin, rodzicach, a także faktach z jego życia – adresie, ukończonych szkołach i tak dalej – ale profil ten zawierał błąd.

Jako jego drugie imię wpisano „Eliston”. A Dominik miał na drugie Alexander.

– Czy słyszał pan kiedykolwiek nazwisko Eli Ever? – zapytał Stell.

Dominik znieruchomiał, szukając właściwej odpowiedzi, zastanawiając się, jaką wiedzę wolno mu się wykazać. Informacje na temat Elia swego czasu pojawiły się w mediach – ale które? Ile szczegółów zawierały? Spotkał go tylko raz, i to przez ułamek sekundy – tyle, ile potrzebował, żeby przejść przez świat cienia do wnętrza wieżowca Falcon Price i wyciągnąć z niego Sydney oraz jej psa.

– Ten seryjny zabójca? – zaryzykował.

Stell przytaknął.

– Eliot Cardale, znany z mediów jako Eli Ever, był jednym z najgroźniejszych istniejących PonadPrzeciętnych. Zabił niemal czterdzieści osób i przez krótki okres korzystał z bazy danych policji w Merit – a także z usług tamtejszych funkcjonariuszy – by stworzyć listę celów, profili tych, których podejrzewał o PonadPrzeciętność. To – powiedział powoli Stell – jest jeden z nich.

Kiedyś, gdy Dominik służył za granicą, wszedł do pokoju i znalazł uzbrojoną bombę. Nie taką jak mina, na którą nadepnął. Nie, miny nie zdążył nawet zauważyć, dopóki nie wybuchła. Bomba zaś była wielka niczym stalowa beczka, a całe pomieszczenie było jedną wielką pułapką. Pamiętał, że spojrzał wtedy pod nogi i centymetr przed czubkiem lewego buta dostrzegł drut-potykaç.

Jedyne, czego wówczas pragnął, to uciec jak najdalej stamtąd. Nie wiedział jednak, gdzie są inne druty ani jakim cudem dotarł aż tu, nie zaczepiając o żaden z nich. Musiał ostrożnie wycofać się na zewnątrz, umierając z przerażenia przy każdym kroku.

I oto znów musiał ostrożnie stawiać kroki, bo wystarczył jeden niewłaściwy, żeby wszystko poszło w drzazgi.

– Pyta pan, czy jestem PonadPrzeciętny.

Stell patrzył na niego chłodno, bez mrugnienia.

– Nie wiemy, czy każda z osób namierzanych przez Elia rzeczywiście była...

Dominik z hukiem odłożył tablet.

– Służyłem temu krajowi i przelewałem za niego krew. Dałem z siebie wszystko. Prawie umarłem za ten kraj! I nie zyskałem dzięki temu żadnych specjalnych mocy. Bardzo tego żałuję! Zamiast tego mam w ciele pełno złomu, do tego codziennie znoszę ból, ale wciąż jestem tu, na służbie, wciąż robię, co mogę, żeby ludzie byli bezpieczni. Jeżeli nie chce mnie pan zatrudnić, proszę bardzo, pański wybór. Ale powinien mieć pan dość odwagi, żeby wymyślić jakiś lepszy powód... sir!

Opadł na krzesło bez tchu, mając nadzieję, że taki wybuch emocji wystarczy.

Milczenie się przeciągało, aż w końcu Stell skinął głową i powiedział:

– Skontaktujemy się z panem.

Dominik zrozumiał, że rozmowa się skończyła, podniósł się z krzesła i wyszedł. Udał się do toalety w hallu i tam – w zaciszu kabiny – zwymiotował do muszli wszystko, co miał w żołądku.

III

TRZY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

PION

Bara klepnął dłonią stół i wstał.

– Nienawidzę jeść w pośpiechu – oznajmił – ale mam misję do wykonania.

– Niemożliwe! – zdziwił się Holtz. – Dopuszcili cię do pracy w terenie? – Odwrócił się do agentki Rios. – Co jest grane? Od tygodni składam podania o przeniesienie do Zatrzymań.

Bara wygładził mundur.

– To dlatego, że jestem wartościowym pracownikiem.

Rios prychnęła.

– To dlatego, że tutaj jesteś kompletnie bezużyteczny!

Bara chwycił się za pierś, pokazując, jak bardzo go zraniono, a potem odpałił:

– A ty?

– Co: ja?

– Ty nie wykonujesz zadań w terenie.

Popatrzyła na niego chłodno.

– Ktoś musi pilnować, żeby potwory nie wydostały się na wolność.

Dominik był zaskoczony. Pracował tu już od dwóch lat i był świadkiem paru prób ucieczki – jeden z PonadPrzeciętnych zdołał przedziurawić ścianę z pleksiglasu, inny zerwał pasy zabezpieczające podczas rutynowego badania lekarskiego – ale nigdy nie słyszał, żeby któremuś z więźniów naprawdę się udało.

– Czy jakkolwiek PonadPrzeciętny kiedyś stąd uciekł?

Usta Rios drgnęły.

– Ludzie nie uciekają z PION-u, Rusher. Nie po tym, jak ich wsadzimy do celi.

„Ludzie”. Rios była jedną z nielicznych osób w PION-ie, które traktowały PonadPrzeciętnych jak ludzi.

– Na kogo polujecie? – zapytał Holtz, postanawiając najwyraźniej cieszyć się z awansu kolegi.

– Na jakąś szaloną kurę domową – odparł Bara. – Wypala dziury w różnych rzeczach. Znaleźliśmy tajne mieszkanie jej męża w Heights.

Holtz, dysponujący bogatym doświadczeniem w sprawach damsko-męskich, pokręcił głową.

– Pamiętaj, nie lekceważ rozwścieczonej kobiety.

– Pamiętaj, nie lekceważ żadnej kobiety – poprawiła go Rios.

Bara wzruszył ramionami.

– Tak, tak. Możecie się zakładać, możecie się ze mnie śmiać, ale kiedy laska wyląduje w celi, stawiacie mi kolejkę!



MERIT, W TYM SAMYM CZASIE...

June zamknęła oczy i wsłuchiwała się w uderzenia kropli deszczu o jej czarny parasol.

Żałowała, że nie może stać teraz gdzieś na środku łąki, z szeroko rozpostartymi ramionami, i łapać błyskawic, zamiast przestępować z nogi na nogę w środku miasta, pod smukłym wieżowcem.

Czekała niecierpliwie przez dziesięć minut, zanim ktoś w końcu wyszedł przez obrotowe drzwi i – co za pech! – musiał to być akurat brzuchaty koleś w źle dopasowanym garniturze, z cieniem zarostu na szczęce i zaczeską przykrywającą łysinę.

June westchnęła. Na bezrybiu i rak ryba, uznała. Ruszyła ku budynkowi, ocierając się o mężczyznę na rogu. Najłżejsze dotknięcie – takie, którego nikt nie zauważy, zwłaszcza w tłumie przechodniów w deszczowy dzień – i miała wszystko, czego potrzebowała. Facet poszedł w swoją stronę, ona w swoją. Zmieniła się dopiero tuż przed frontowymi drzwiami Heights.

Za kontuarem w lobby siedział starszy wiekiem konsjerż.

– Zapomniał pan czegoś, panie Gosterly?

June wydała z siebie pomruk irytacji i wymamrotała:

– Jak zawsze...

Drzwi windy stanęły otworem, a kiedy się za nią zamknęły, w wypolerowanym metalu wnętrza dostrzegła znów własne odbicie. To znaczy nie jej własne, ale w każdym razie to, od którego zaczęła rano. Falbaniasta spódnica i skórzana kurtka z rękawami podwinętymi do łokci, figlarny uśmiech i włosy opadające w luźnych ciemnoblonde splotach. Znalazła tę dziewczynę w metrze i wzięła sobie jej postać niczym ubranie z wieszaka w sklepie. Była jedną z jej ulubionych.

Winda powoli jechała w górę, a June wyciągnęła komórkę i napisała wiadomość do Sydney.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, a potem przy imieniu tamtej pojawiły się trzy kropki, oznaczające powstającą odpowiedź.

June patrzyła na nie, niecierpliwie czekając na reakcję.

W kontaktach z Sydney nigdy nie potrafiła zdobyć się na cierpliwość.

IV

TRZY LATA WCZEŚNIEJ

CAPITAL CITY

June potrzebowała roku, żeby znów ich odnaleźć, a udało jej się całkowitym przypadkiem. Jakby to było przeznaczenie.

Problem polegał na tym, że June nie wierzyła w przeznaczenie, a przynajmniej nie chciała w nie wierzyć. To oznaczałoby, że wszystko dzieje się z jakiegoś powodu, a zbyt wiele rzeczy chciała wymazać z historii. Poza tym trudno jej było uwierzyć w siłę wyższą lub jakikolwiek boski plan, skoro zarabiała na życie, zabijając ludzi.

Wówczas przeznaczenie – a może szczęście, wszystko jedno – interweniowało, ponownie stawiając jej Sydney na drodze.

Minął rok, od kiedy zaczęła szukać mężczyzny w czerni – do tej pory bezskutecznie. Aż wreszcie, idąc przez park do pracy, June znów zauważyła blondyneczkę. Było to prawie dwa i pół tysiąca kilometrów od Dresden, gdzie spotkały się po raz pierwszy.

Minął rok, ale to była bez wątpienia ta sama dziewczynka. Wciąż wydawała się być w wieku, kiedy zmiany potrafią zachodzić w ciągu jednej nocy. Nastolatki rosną wwyż, nabierają krągłości... jednak dziewczynka wydawała się taka sama. Identyczna. Ten sam blond bob i chłodne błękitne oczy, ta sama szczupła sylwetka i ten sam ogromny czarny pies, warujący wiernie u jej boku.

June szybko rozejrzała się po parku – w pobliżu nie było śladu mężczyzny w czerni, lecz dojrzała tego drugiego, z ramionami w tatuażach, siedzącego na trawie z otwartą książką na kolanie. W pobliżu mignęło jej coś różowego – zapomniane frisbee. Podniosła je, zakręciła dłonią i posłała plastikowy dysk prosto w głowę mężczyzny.

Frisbee sięgnęło celu z lekkim stuknięciem. June podbiegła do faceta, przybrawszy po drodze postać energicznej brunetki, przepaszając ze skruchą.

– W porządku – stwierdził, rozcierając potylicę. – Trzeba czegoś więcej niż frisbee, żeby mnie ogłuszyć.

Podał jej plastikowy krążek, a kiedy jej palce musnęły jego dłoń, życie mężczyzny rozwinęło się przed nią jak taśma filmowa. Był tak otwarty, tak ludzki. Mitch Turner. Czterdzieści trzy lata. Zastępcze rodziny, poobdzierane kolana i kostki krwawiące po ulicznych bójkach. Ekran komputera i piszczące opony samochodów. Kajdanki, cela więzienna, kafeteria, mężczyzna z nożem ręcznej roboty, cicha groźba – a potem June zobaczyła znajomą twarz.

Dzięki Mitchowi twarz zyskała również nazwisko.

Victor Vale.

We wspomnieniach Mitcha Victor był szczupły, ale jeszcze nie tak wychudły. Zamiast dopasowanego czarnego stroju miał na sobie sprany, szary więzienny uniform. Nieznacznym ruch dłoni i napastnik upadł z wrzaskiem na podłogę.

To spotkanie było punktem zwrotnym w umyśle Mitcha – od tego momentu w jego pamięci stale pojawiały się jasne oczy Victora i jego spłowiałe blond włosy... dopóki nie odnaleźli Sydney. Zakrwawionej i przemoczonej deszczem, w zbyt wielkim płaszczu. Sydney, która nie była człowiekiem. Sydney, z którą Mitch nie potrafił dać sobie rady. Sydney, o którą teraz cały czas się bał.

Bał się, że ją straci.

W tym wszystkim tkwiło, jak zakładka w książce, ostatnie wspomnienie. Inna blondynka. Ciało pochłaniane przez ogień. Wybór obciążony wyrzutami sumienia.

– Przepraszam – powtórzyła June, kiedy wspomnienia mężczyzny przeleciały jej przed oczami. – Straszna ze mnie niezdara.

– Nie przejmuj się – odpowiedział Mitch, ciepło i życzliwie.

Uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała tym samym i pożegnała się, a potem skoncentrowała całą uwagę na dziewczynce pod drzewem.



Nieznany numer: Zapomniałam ci powiedzieć

Nieznany numer: Mam na imię Sydney

June ścisnęła komórkę w dłoni. Oczywiście знаła już wcześniej imię dziewczynki, ale było dużo lepiej, jeżeli sama jej się przedstawiła. June wołała, kiedy rzeczy toczyły się naturalnym torem, nawet jeżeli tak się nie zaczęły.

„Miło było cię poznać, Sydney”, odpisała. „Jestem June”.

„Dobrze”, pomyślała z uśmiechem.

Teraz mogły zostać prawdziwymi przyjaciółkami.

V

TRZY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

HEIGHTS

Winda dojechała na czternaste piętro. June wyszła na korytarz i stanęła przed kremowymi drzwiami. Oczekiwała, że znajdzie zapasowy klucz na futrynie lub pod wycieraczką, ale nic tam nie było. Bez znaczenia. Dwa cienkie paski metalu i pół minuty później była w środku.

Apartament Marcelli Riggins wyglądał mniej więcej tak, jak oczekiwała: skórzana kanapa, gęsty biały dywan, kinkiety koloru miedzi – mnóstwo pieniędzy, zero duszy.

Ale było i kilka zaskakujących akcentów. Brakujący kawałek drewna w drzwiach sypialni oraz linia próchna, przypominającego na wpół spalony papier, wyznaczająca szlak zniszczenia. Małe, lśniące kawałki szkła rozrzucone na kontuarze i podłodze. Najpierw jednak zajęła się gramofonem. Był to sprzęt, jaki bogaci ludzie kupują dla ozdoby, nie po to, by używać zgodnie z przeznaczeniem. Koło niego leżał stosik płyt, być może również na pokaz. June przejrzała je i znalazła coś optymistycznego. Uwielbiała trzask igły na płycie.

Muzyka rozlała się po apartamencie.

June zamknęła oczy i zakochała się. Piosenka przypomniwała jej o lecie, o śmiechu i szampanie, chłodnych bryzgach wody z basenu, zasłonach na werandzie, mocnych dłoniach i szorstkim dotyku kamiennych płytek na jej policzku i...

Uniosła igłę i zatrzymała płytę. Muzyka ucichła.

Niech przeszłość pozostanie przeszłością. Martwa i pochowana.

Wędrowała bez celu po sypialni i garderobie, przeciągając w roztargnieniu dłonią po ubraniach – z których połowa najwyraźniej padła ofiarą gniewu Marcelli. Jej komórka zawibrowała.

Syd: Bardzo się nudzę

Syd: Chciałabym być teraz z tobą

June odpisała.

June: Mogłabyś

Syd: Wiesz, że nie mogę.

Rutynowa wymiana uprzejmości. Obie wiedziały, że zmiana obecnego stanu rzeczy nie jest możliwa.

Poza wszystkim June mogła stać się kimkolwiek, natomiast Sydney, jak się zdawało, potrafiła być tylko sobą. Obecność dziewczynki, wyglądającej zawsze tak samo, mogłaby wzbudzić podejrzenia i odebrałyby June całą przewagę. Oczywiście pozostawałaby także kwestia innych osób – Mitcha, a co ważniejsze, Victora. June nie rozumiała z początku natury łączących ich więzi ani stopnia przywiązania Sydney, dopóki pewnego dnia dziewczynka nie załamała się i nie opowiedziała jej wszystkiego.



Było to jesienią poprzedniego roku. Prowadziły jedną ze swoich nocnych rozmów, każda usadowiona na dachu, w innych miastach, daleko od siebie, ale pod tym samym niebem. Sydney była zmęczona – życiem na walizkach, tym, że nie miała szansy zapuścić nigdzie korzeni, a w konsekwencji prowadzić normalnego życia.

June zastanawiała się oczywiście, dlaczego tak często się przeprowadzają. Przez dłuższy czas przypuszczała, że uciekają. Za tymi podróżami kryło się jednak coś więcej, toteż czekała na zwierzenia Sydney.

Tamtej nocy dziewczynka była tak zmęczona, że wyznała June prawdę:

– Victor szuka kogoś, kto będzie potrafił mu pomóc.

– Jak to: pomóc?

– Jest chory – dłuższa pauza – i to przeze mnie.

– Jakim cudem może być chory przez ciebie?

– Myślałam, że potrafię go uratować. Próbowałam, ale nie zadziałało. Nie tak, jak powinno.

June się zawahała. Widziała, jak Sydney ratuje zwierzątka, i wiedziała, na czym to polega.

– Więc... wskrzesiłaś Victora?

Ledwie dosłyszała wyszeptaną odpowiedź:

– Tak. Robiłam to już wcześniej z innymi ludźmi... Ale kiedy ratuję kogoś z nas, to dużo trudniejsze. Trzeba sięgać głębiej w ciemność. Myślałam, że złapałam całą nić, ale była poszarpana, wszędzie walały się luźne kawałki... Musiałam przegapić jeden z nich i teraz... jego moc nie działa, jak trzeba.

Ostatnie zdanie było jak szczelina w zbroi. Teraz June miała szansę zadać pytanie, które prześladowało ją od dnia, kiedy otarła się o mężczyznę w czerni. Jego talent pozostawał dla niej tajemnicą, mimo że dostrzegła coś we wspomnieniach Mitcha. Obraz był jednak niewyraźny, czuła bardziej strach wielkoluda, a z ostrożnych wypowiedzi Sydney mogła wywnioskować, że Victor potrafił robić coś więcej niż odpalać samochody lub układać puzzle z zawiązanymi oczami.

– A jaką ma moc? – zapytała teraz i usłyszała, jak dziewczynka gwałtownie przełyka ślinę.

– Potrafi zadawać ludziom ból.

June poczuła dreszcz. Zadała następne pytanie:

– Sydney, czy kiedykolwiek cię skrzywdził?

– Nie. A przynajmniej nie celowo.

Wściekłość ukłuła June niczym rozżarzona igła. Podjęła ważną decyzję: uwolni Sydney z rąk Victora.

Do tej pory jej się to nie udało. Brak sukcesu nie powstrzymał jej jednak przed dalszymi próbami.

– Gdybyś kiedykolwiek chciała odejść...

Ale June знаła odpowiedź, jeszcze zanim ją usłyszała.



June westchnęła. Sydney wciąż obciążała się odpowiedzialnością za sytuację Victora i jeżeli nikomu nie uda się znaleźć sposobu, by uwolnić dziewczynkę od jej cienia, June zawsze będzie słyszeć te same słowa: „Nie mogę”.

Odłożyła telefon, wracając myślami do bieżącego zadania i kwestii Marcelli Riggins. Wzięła z komody oprawione zdjęcie. Kobieta olśniewała urodą: czarne włosy, jasna skóra, długie nogi. Takie piękno sprawia, że przestaje się liczyć wszystko inne. June też tak niegdyś wyglądała.

Uroda była przereklamowana.

Rzuciła zdjęcie na łóżko i podeszła do okna, wypatrując powrotu Marcelli.

Zamiast pani domu dostrzegła czarną furgonetkę, stojącą u wylotu bocznej alejki.

O, co to, to nie.

Przybrała kształt pana Gosterly’ego i zesza na dół schodami. Minęła obrotowe drzwi, a potem znowu zmieniła postać, tym razem na jeszcze bardziej bezkształtną – mężczyznę w średnim wieku, który zbyt wiele nocy spędził pod gołym niebem. Bezdomny zatoczył się, jakby był pijany, i odzyskał równowagę, opierając się o maskę czarnego samochodu... a potem, nie podnosząc wzroku, rozpiął pasek i zaczął załatwiać się na zderzak pojazdu.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i zatrzasnęły z powrotem.

– Hej! – wrzasnął ktoś, łapiąc jej pożyczone ciało od tyłu.

June odwróciła się i zatoczyła na żołnierza, udając, że traci równowagę. W tej samej chwili otworzyła ukrywany w dłoni nóż sprężynowy: ostrze wyskoczyło z cichym kliknięciem. Zagłębiła je w gardle żołnierza, a potem przytrzymała jego ciało, które powoli osunęło się po ścianie alejki.

Jeden załatwiony.

Ilu jeszcze zostało?



W TYM SAMYM CZASIE PO DRUGIEJ STRONIE MIASTA...

Marcella siedziała na tarasie kawiarni Le Soleil, sącząc latte, podczas gdy markizy ociekały deszczem, a ulicą przechodziły setki nieznajomych z czarnymi parasolami.

Nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że jest śledzona. Oczywiście ją zauważano, jak zwykle, ale to uczucie było inne. Natarczywe. A mimo to nie potrafiła odnaleźć jego źródła.

Nie próbowała się jednak maskować – ukrywanie się nie było w jej stylu. Zdecydowała tylko zmienić styl na subtelniejszy: związała czarne włosy wysoko, w prosty koński ogon, a ulubione szpilki zamieniła na bardziej funkcjonalne czarne kozaki. Paznokciami ze świeżo nałożonym złotym lakierem niecierpliwie stukała w szklanekę, przyglądając się uważnie wyjściu ze stacji metra po drugiej stronie ulicy. Nakreśliła w głowie plan stacji, wyobrażając sobie ruchome schody na poziom minus jeden, a potem minus dwa, kończące się przy rzędzie schowków na bagaż stojących pod ścianą wyłożoną białymi płytkami.

Schówek, o którym myślała, był jednym z pięciu, rozrzuconych po całym Merit. Był to pomysł Marcelli: podzielić fundusze i zachomikować je na wszelki wypadek, w razie kłopotów. Co prawda nigdy nie przewidywała problemów takich jak te!

Zawyla policyjna syrena, a palce Marcelli zacisnęły się na szklance, kiedy radiowóz wyskoczył zza rogu... po czym przejechał obok, nie zatrzymując się. Odetchnęła i uniosła latte do ust.

Dziwnie się czuła. Przez kilka dni po konfrontacji z Marcusem żyła na krawędzi, spodziewając się w każdej chwili nalotu policjantów. Nie była głupia. To w końcu oni zachowali w tajemnicy informację o tym, że przeżyła. Zdawała sobie również sprawę, że jej ucieczka ze szpitala była daleka od subtelności. A mimo to nikt się jeszcze nie pojawił, ani po to, by ją aresztować, ani żeby ją zlikwidować.

Zastanawiała się, co robi, kiedy w końcu spróbują.

– Czy podać coś jeszcze? – zapytał kelner.

Marcella spojrzała na niego zza okularów przeciwsłonecznych, uśmiechając się.

– Tylko rachunek.

Zapłaciła i wstała, wzdrygając się z lekka – poparzenia się goiły, ale skóra wciąż była wrażliwa; rany bolały przy każdym ruchu. Uznała to uczucie za pozytywne: przypominało jej o zbrodniach Marcusa i ułatwiało wezwanie nowej mocy, kiedy jej potrzebowała.

Przebiegła ulicę i weszła na stację.

Do stała się do schowków, znalazła właściwy numer – dzień, kiedy się poznali – i wstukała kod, którego Marcus zwykle używał do zamków cyfrowych.

Schówek się nie otworzył.

Spróbowała po raz drugi i westchnęła.

Mąż potrafił ją rozczarować nawet po śmierci.

Dotknęła palcami zamka i patrzyła, jak rozsypuje się w rdzawy proszek. Drzwiczki otworzyły się i wyciągnęła z wnętrza stylową czarno-złotą torbę. Rozpięła ją i przeliczyła szybko pliki banknotów, łącznie pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

To było oczywiście za mało, ale na początek wystarczyło.

„Na początek czego?” – zapytała w myślach.

Prawdę mówiąc Marcella nie była pewna, co ma dalej robić, dokąd pójść i kim zostać. Marcus przestał być punktem oparcia dla jej kariery, a stał się ograniczeniem i przeszkodą.

Zabrała torbę, wróciła na ulicę i wezwała taksówkę.

– Dokąd? – zapytał kierowca, kiedy wślizgnęła się na tylną kanapę.

Rozsiała się wygodnie, zakładając nogę na nogę.

– Heights.

Miasto przemyciła za oknami, pozornie niewinnie, ale gdy Marcella dziesięć minut później wysiadła z taksówki, poczuła to znowu – ukłucie czyjegós wzroku na karku.

– Pani Riggins – przywitał ją konsjerż Ainsley. Głos miał pewny, lecz kiedy odprowadzał ją wzrokiem przez lobby, na jego twarzy dało się dostrzec pewne napięcie. Stał zbyt sztywno i zbyt nieruchomo, za bardzo starał się zachować spokój.

„Cholera!” – pomyślała Marcella, wchodząc swobodnym krokiem do windy. Kiedy ta ruszyła, rozpięła czarno-złotą torbę i sięgnęła do bocznej wewnętrznej kieszeni. Jej dłoń zamknęła się na znajomej kolbie pistoletu.

Wyciągnęła go z torby, podziwiając chromowane wykończenie, wysunęła magazynek, sprawdziła, czy jest pełny, a potem odbezpieczyła broń, wykonując każdą z tych czynności z wystudiowaną swobodą.

„To tak jak chodzenie w szpilkach”, pomyślała, odciągając zamek.

Kwestia praktyki, nic więcej.

VI

DWA LATA WCZEŚNIEJ

ZBROJOWNIA MERIT

To były jej urodziny. Marcella i Marcus mieli całe miejsce tylko dla siebie.

Mogła wybrać restaurację, muzeum, kino – cokolwiek chciała, a Marcus z pewnością znalazłby sposób, żeby zarezerwować je tylko dla niej. Był zaskoczony, kiedy wybrała strzelnicę.

Zawsze chciała się nauczyć strzelać.

Szła teraz, stukając obcasami po posadzce, mijając skąpane we fluorescencyjnym świetle szafy z bronią.

Marcus wyłożył na kontuarze kilkanaście pistoletów, a ona przesuwała teraz nad nimi dłoń. Przypominały jej karty do tarota. Dawno temu w wesołym miasteczku wślizgnęła się do namiotu wróżki, by poznać swoją przyszłość. Starsza kobieta o wyglądzie stereotypowej wiedźmy rozłożyła karty i kazała jej wybrać bez namysłu jedną z nich.

Marcella wyciągnęła wtedy Królową Monet. Wróżka powiedziała jej, że karta symbolizuje ambicję.

„Władza – stwierdziła – należy do tych, którzy ją wezmą”.

Dłoń Marcelli zatrzymała się na eleganckiej chromowanej berecie.

– Chcę tę – oznajmiła z uśmiechem.

Marcus wziął pudełko nabojęw i poprowadził ją na strzelnicę.

Wybrał cel – pełną sylwetkę człowieka, oznaczoną w paru miejscach tarczami – i przypiął go do linki. Nacisnął guzik, a cel odjechał w głąb toru, pięć, dziesięć, potem piętnaście metrów, aż zatrzymał się, czekając na strzały.

Pokazał jej, jak załadować magazynek – minęło kilka miesięcy, zanim nauczyła się to robić, nie łamiąc przy tym paznokci – i podał pistolet. Broń, ta posłanniczka śmierci, zaciążyła jej w dłoni.

– To, co teraz trzymasz, to spluwa – objaśnił Marcus. – Ma jeden cel: zabić.

Odwrocił ją twarzą do celu i przytulił się do niej niczym płaszcz, układając jej ciało w prawidłową sylwetkę strzelecką. Jego tors przy jej barkach. Jego ramiona wzdłuż jej ramion, jego dłonie na jej dłoniach, pokazujące, jak trzymać broń. Czuła jego podniecenie, ale wizyta na strzelnicy nie była tylko pretekstem do urodzinowego bzykanka. Będzie na to czas nieco później, jednak najpierw chciała się czegoś nauczyć.

Odchyliła głowę i oparła ją na ramieniu męża.

– Kochanie – szepnęła – zostaw mi trochę miejsca.

Wycofał się, a Marcella skupiła się na papierowej sylwetce, wycelowała i strzeliła. Huk odbił się echem od betonowych ścian. Serce zabiło jej mocniej, a po plecach przeszedł dreszcz. Dłonie zadrżały od odrzutu.

Na płachcie pojawiła się regularna okrągła dziura – w prawym ramieniu celu.

– Nieźle – ocenił Marcus – zakładając, że strzelasz do amatora. – Wyjął jej pistolet z ręki. – Problem polega na tym – powiedział, swobodnie wysuwając magazynek – że większość profesjonalistów nosi kamizelki kuloodporne. – Sprawdził liczbę naboji. – Strzelasz im w pierś... i po chwili nie żyjesz.

Wsunął magazynek z powrotem, szybko i gwałtownie. Jego dłonie obsługiwały broń krótkimi, sprawnymi ruchami. Tak samo zwykle dotykał jej ciała – z pewnością wynikającą z wieloletniej praktyki.

Unióśł pistolet i wystrzelił szybko dwa razy. Jego dłonie niemal się nie poruszały, ale rozrzut między trafieniami był znaczny. Pierwsza kula przebiła nogę celu, podczas gdy druga pozostawiła otwór prosto między jego oczami.

– Po co strzelałeś po raz pierwszy, jeżeli potrafiłeś to zrobić tak, jak za drugim?

Jej mąż uśmiechnął się szeroko.

– Ponieważ w mojej branży, kochanie, cel nie pozostaje w bezruchu. I najczęściej jest uzbrojony. O wiele trudniej strzelić celnie w takiej chwili, dlatego pierwszy strzał ma zaskoczyć ofiarę, a dopiero drugi zabić.

Marcella się skrzywiła.

– Brzmi niechlujnie.

– Śmierć jest brudna, złotko.

Wzięła od niego pistolet, ustawiła się naprzeciwko celu i znów wystrzeliła. Pocisk przebił papier kilkanaście centymetrów na prawo od głowy.

– Chybiłaś – zauważył Marcus, tak jakby nie było to oczywiste.

Marcella rozluźniła mięśnie, odetchnęła głęboko, a potem opróżniła resztę magazynka prosto w papierową płachtę. Niektóre pociski poszły bokiem, ale kilka trafiło w obrys głowy, klatki piersiowej, brzucha i krocza.

– Proszę – powiedziała, odkładając pistolet. – Teraz chyba nie żyje.

Chwilę później Marcus pocałował ją namiętnie i popchnął w kierunku ściany; ich stopy roztrącały puste łuski, leżące na podłodze, kiedy brał ją na stojąco. Seks był krótki i brutalny. Jej paznokcie zostawiały ślady pod jego koszulą, lecz zamiast skupiać się na mężu, przez cały czas zerkała na rozszarpany cel, wiszący niczym cień za jego plecami.

Tej nocy nie oddała już ani jednego strzału, ale wracała tu sama przez najbliższe tygodnie – aż nauczyła się strzelać naprawdę celnie.

VII

TRZY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

HEIGHTS

Drzwi windy rozsunęły się i Marcella wyszła z dłonią spoczywającą wewnątrz torby, na kolbie pistoletu. Kątem oka dojrzała zbliżającego się mężczyznę. Wydawał się nieszkodliwy – w swetrze i luźnych spodniach – ale spod nogawek wystawały czarne wojskowe buty.

– Marcella Riggins? – zapytał, podchodząc do niej powoli.

Odwróciła się ku niemu.

– Znamy się?

– Nie, proszę pani – odpowiedział z uśmiechem. – Ale miałem nadzieję, że możemy porozmawiać.

– O czym? – zapytała ostro.

Uśmiech zastąpił mu na twarzy.

– O tym, co wydarzyło się tamtego wieczoru.

– Co wydarzyło się... – powtórzyła, jakby przeszukując pamięć. – Masz na myśli ten wieczór, kiedy mój mąż próbował spalić nasz dom ze mną w środku? Czy ten, kiedy rozpuściłam mu twarz gołymi rękami?

Mężczyzna patrzył na nią spokojnie. Zwolnił kroku, ale nie zatrzymał się, z każdą chwilą zmniejszając dzielący ich dystans.

– Sądzę, że powinieneś zostać tam, gdzie jesteś... – ostrzegła Marcella, wysuwając pistolet z torby, nie do końca, tylko tyle, by dostrzegł błysk chromowanej lufy.

– No już, bez przesady – powiedział, unosząc dłonie tak, jakby była dzikim zwierzęciem, które trzeba osaczyć. – Nie chce pani przecież robić scen.

Marcella przechyliła głowę.

– Dlaczego tak myślisz?

Po czym wyciągnęła broń i strzeliła.

Najpierw trafiła go w kolano. Zachłysnął się krzykiem i przyklęknął, ale zanim zdążył sięgnąć po pistolet przypięty nad kostką, strzeliła po raz drugi, trafiając prosto w głowę. Upadł, krwawiąc obficie na wykładzinę korytarza.

Za późno usłyszała kroki za plecami i odwróciła się w sam raz, by dostrzec czarną postać, żołnierza w czarnej zbroi i pełnym rynsztunku – oraz trzeszczący łuk wyladowania elektrycznego, skaczący ku niej z końcówki pałki z paralizatorem. Jej dłoń wystrzeliła do przodu i złapała broń w chwili, kiedy ta musnęła jej ramię. Poczowała nagły, intensywny ból, ale zdołała zacisnąć palce na paralizatorze – błysnęły czerwienią, osobliwy blask załśnił wokół jej nadgarstka i przyrząd zaczął się rozpadać. A po chwili również trzymająca go dłoń.

Napastnik przerwał atak i odskoczył z wrzaskiem, chwytając się za ramię, a Marcella kopnęła go w pierś, posyłając na podłogę. Klęknęła na nim i chwyciła za przyłbicę hełmu.

– No dalej, kochanie – mruknęła – pozwól mi zobaczyć swoją buzię.

Tworzywo wygięło się i skręciło, a po sekundzie mogła je już oderwać jednym szarpnięciem. Spod hełmu patrzyła na nią kobieta, z twarzą zniekształconą grymasem cierpienia.

Marcella cmoknęła z niesmakiem.

– Nie wygląda to za dobrze – powiedziała, chwytając kobietę za odsłonięte gardło, by zdusić jej krzyk. Po chwili ciało zwirotezało i zwiędło.

Wówczas rozległ się metaliczny dźwięk przeladowywanej broni. Podniosła wzrok i zobaczyła trzeciego żołnierza, z pistoletem wycelowanym w jej głowę. Jej broń leżała porzucona kilka metrów dalej. Upuściła ją, kiedy skoczyła, by złapać pałkę.

– Wstawaj! – rozkazał żołnierz.

Marcella zmierzyła go wzrokiem.

Tak się na niej skupił, że nie zauważył postaci za jego plecami, przynajmniej do momentu, kiedy oplotła ramieniem jego szyję.

Człowiek ten – mężczyzna o posturze boksera wagi ciężkiej – zaczął dusić żołnierza, który wygiął się w uścisku, a przy okazji jego broń wypaliła. Stalowa strzałka drasnęła policzek Marcelli i utkwiała w ścianie obok jej głowy.

Żołnierz nie miał szansy, by strzelić jeszcze raz, tym razem celnie. Mężczyzna za jego plecami złapał za przyłbicę i przekręcił ją, z głośnym trzaskiem łamiąc ofierze kark. Puścił ciało, które upadło bezwładnie na wykładzinę.

Marcella nie marnowała czasu. Skoczyła na równe nogi, łapiąc po drodze broń i celując w faceta, który jednak wydawał się nie przejmować tym faktem.

– Ostrożnie, proszę – powiedział wesoło, ze śpiewnym akcentem. – Zastrzel mnie, a zabijesz niewinną dwudziestotrzylatkę z przedmieścia, która kocha swoją mamcią.

– Gadaj, kim jesteś! – zażądała Marcella.

– Ach, to nieco skomplikowane.

Wtedy mężczyzna zaczął się zmieniać. Przez jego ciało przebiegły fale, po czym zniknął, a na jego miejscu pojawiła się dziewczyna o luźno opadających ciemnoblonde spletach.

– Mów mi June – oznajmiła. Marcella zmrużyła oczy, zaskoczona, a tamta się uśmiechnęła. – Nie myślałaś chyba, że jesteś taka wyjątkowa, no nie? – Spojrzała na trzy ciała. – Nie powinnaś zostawiać ich tak na widoku. Lepiej, żeby nikt ich nie znalazł – stwierdziła i klękła, zmieniając się po drodze z powrotem w boksera, a potem chwytając jednego z martwych żołnierzy pod pachami.

Marcella gapiła się na nią w niemym zdumieniu.

June popatrzyła na nią niecierpliwie.

– Może byś mi pomogła?



Marcella przycisnęła ręcznik do policzka. Jej pistolet balansował niebezpiecznie na skraju umywalki. Cienkie zadrapanie wciąż jeszcze krwawiło. Popatrzyła w lustro i syknęła z irytacji.

Wszystko wskazywało na to, że ranka niedługo się zagoi, ale zdążyła już zniszczyć prześliczną bluzkę.

– Kim jesteś? – zawołała przez ramię w kierunku salonu, gdzie zmiennokształtna obszukiwała ciała żołnierzy.

– Mówiłam ci już – odparła June śpiewnie.

– No właśnie nie! – stwierdziła Marcella.

Rzuciła ręcznik, wzięła broń i wróciła do salonu. Ciała leżały rzędem na podłodze; ostatnie – któremu brakowało połowy czaszki – krwawiło na wypolerowany parkiet.

„Śmierć jest brudna, złotko”.

– Już nie wydziwiał – powiedziała June, trafnie odczytując obrzydzenie z twarzy Marcelli. – Wątpię, żebyś chciała tu jeszcze mieszkać w najbliższym czasie.

– Pierdolone gliny – wymamrotała Marcella.

– To nie gliny – wyjaśniła June. – To większy problem. – Oddarła małą czarną naszywkę z ramienia jednego z żołnierzy i wręczyła ją Marcelli. – Dokładnie rzecz biorąc, PION.

Marcella zmarszczyła czoło. Naszywka była czarna z prostym „P” wyhaftowanym czarną nicią.

– Nic mi to nie mówi – rzuciła.

June wstała.

– A powinno – odparła, przeciągając się. – PION to skrót. Pełna nazwa to „PonadPrzeciętni: Instytucja Obserwacji i Neutralizacji”. PonadPrzeciętni, czyli PP, to my. Oni zajmowali się właśnie neutralizacją. – Trąciła zwłoki czubkiem buta. – Rekiny, które zjawiają się, kiedy wyczują krew. Masz szczęście, że cię znalazłam.

Marcella uniosła na wpół stopiony hełm. Odwróciła go dnem do góry, wytrzepując pył.

– A jak właściwie mnie znalazłaś?

– Ach. Przez Bethany.

Marcella skrzywiła się gniewnie na wspomnienie byłej przyjaciółki i nieżyjącej kochanki nieżyjącego męża.

– Bethany...

– Młoda cizia, taaakie cycki.

– Tak, znałam ją.

– Lubiła gadać, buzia jej się nie zamykała. O Marcusie i mieszkaniu, które dla niej wynajął.

Marcella nie zdawała sobie sprawy, że ściska hełm, dopóki nie rozpadł się w jej rozszarpanych do czerwoności dłoniach.

– A ty? – zapytała, otrzepując ręce z pyłu. – Szukasz mojego męża?

– Och, na pewno nie żyje. Już o to zadbałaś. – June gwizdnęła z podziwem. – Jesteś naprawdę utalentowana.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo.

– Wiem, że weszłaś do pokoju, w którym pięciu facetów siedziało przy stole i grało w karty, a kiedy wyszłaś, z trzech zostały kupki popiołu, a dwaj pozostali przeżyli tylko po to, żeby opowiadać przedziwne historie. – June uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Następnym razem powinnaś zabić wszystkich. Niemądrze jest zostawiać świadków, zwłaszcza tak gadatliwych. Wiesz co? – dodała, podchodząc. – Problem polega na tym, że jeden z mężczyzn, których zabiłaś tamtego wieczoru, należał do mnie.

– Moje kondolencje – odparła sucho Marcella.

June machnęła ręką.

– Należał do mnie, co znaczy, że miałam go zabić. A w mojej branży podebranie komuś ofiary to gruby nietakt.

– Jesteś płatnym mordercą?

– Hej, co za seksistowskie pytanie! Żeby to robić, nie trzeba być facetem. Ale owszem, zgadza się. I widzę to tak, że wisisz mi jedną śmierć.

Marcella skrzyżowała ramiona.

– O, czyżby?

– Oczywiście.

– Kogoś konkretnego?

– Myślę, że go znasz. Antony Hutch.

Marcella nachmurzyła się na dźwięk tego nazwiska. Przypomniała sobie imprezę na dachu, wilgotne, taksujące spojrzenie mafijnego bossa i jego protekcyjnalny uśmiezek.

June wciąż mówiła:

– Mamy z panem Hutchem pewien osobisty interes do dokończenia, a mnie trudno dorwać jego tyłek. Ale z tego, co słyszałam, facet cię szuka.

Marcella nie była zaskoczona, w końcu przerzedziła szeregi jego ludzi.

– Chcesz, żebyśmy zabiła Antony'ego Hutch'a?

June spochmurniała.

– Nie. Wystarczy, że zabierzesz mnie dość blisko, żebyśmy mogła się z nim przywitać. I będziemy kwita. Co ty na to?

– Mogłabym tak zrobić – powiedziała Marcella, stukając lufą pistoletu o udo. – Ale mogłabym też cię zabić.

– Tak, to prawda – przyznała June z cierpkim uśmiechem – ale to nie mnie byś zabiła.

– Jak to?

– Trudno to wyjaśnić – stwierdziła June. – Łatwiej pokazać. Te przebieranki, które widziałaś, to jeszcze nic, ale zostaw mnie w jednym pokoju z Tonym Hutchem, a zobaczysz, co naprawdę potrafię.

Marcella słuchała, zaintrygowana.

– W takim razie umowa stoi – oświadczyła w końcu.

– Świetnie! – wykrzyknęła June z olśniewającym uśmiechem. – A tymczasem powinniśmy się stąd wynieść. To tylko kwestia czasu, zanim przyślą więcej ludzi.

– Pewnie masz rację... – Marcella spojrzała krytycznie na leżące ciała. – Ale to byłoby chamskie, tak wyjść bez pożegnania.



– Kurwa mać – mruknął pod nosem Stell.

Zaczął oględziny od lobby, gdzie konsjerż – starszy człowiek, nazwiskiem Richard Ainsley – zwiślał bezwładnie na fotelu. Poderżnięto mu gardło.

Miejsce zbrodni na czternastym piętrze opowiadało własną historię.

Po wykładzinie ciągnęła się smuga popiołu, a na ścianach i podłodze widniały rozpryski krwawej mgiełki. Stell wyciągnął strzałkę z sąsiednich drzwi. Ewidentne ślady walki, brak ciała.

– Sir – zawołał Holtz. – Powinien pan to zobaczyć.

Stell ominął ostrożnie ciemne plamy i wszedł do apartamentu Marcelli.

Dwóch techników zabezpieczało ślady, zbierając i nagrywając wszystko, co mogli. Odsunęli się na jego widok. Stell dostrzegł wtedy, po co wołał go agent.

„Jeżeli nie zabijesz jej teraz, gorzko tego pożałujesz”.

Marcella Riggins nie próbowała ukryć swojego dzieła. Wręcz przeciwnie, wyeksponowała je. Ciała trojga agentów – a raczej to, co z nich zostało – leżały na podłodze, ułożone w niepokojących pozach.

Makabryczna wersja trzech małek: „nic nie widziałem, nic nie słyszałem, nic nie powiem”.

Pierwszemu żołnierzowi, któremu brakowało połowy czaszki, przytknięto dłonie do uszu. Drugi, ze złamanym karkiem, zasłaniał oczy bojowymi rękawicami. Trzecia postać – z której zostało niewiele ponad kruche kości wewnątrz zbroi taktycznej – w ogóle nie miała głowy.

Na niskim szklanym stoliku w centralnym punkcie salonu leżał na wpeł stopiony hełm. „Ile czasu zajmie jej przebicie dowolnej zbroi czy zabezpieczenia twoich ludzi?”

Stell podniósł go i znalazł w środku złożoną karteczkę. Napisano na niej eleganckim charakterem pisma jedno zdanie:

„Nie wchodźcie mi w drogę”.

Stell skubnął nasadę nosa.

– Gdzie była reszta agentów?

Przydzielił do tej misji sześcioro. Sześcioro pracowników na jedną osobę PP. Powinno w zupełności wystarczyć.

– Znaleźliśmy jednego w pojeździe – zaraportował Holtz. – A dwóch następnych w alejce. – Nie musiał dodawać, że wszyscy byli martwi. Milczenie, które zapadło po tych słowach, było wystarczająco wymowne.

– Przyczyna śmierci? – zapytał cicho Stell.

– Żaden nie został sproszkowany, jeżeli o to pan pyta. Jednemu skręcono kark, dwaj dostali nożem, w gardło i w brzuch – stwierdził młody agent, po czym zaryzykował hipotezę: – Czy to możliwe, żeby Marcella nie działała sama?

– Wszystko jest możliwe – odparł Stell. Domysły Holtza miały jednak sens. Dotąd Marcella Riggins preferowała własne ręce lub pistolet, ale czwórka żołnierzy, których tu posłał, została zabita inaczej. – Rozejrzył się. – Powiedźcie mi, że w tym budynku jest monitoring.

– Owszem, w publicznych miejscach – odpowiedział technik. – Ktoś skasował pliki, ale robił to najwyraźniej w pośpiechu. Powinno nam się udać wyciągnąć nagrania z lobby i z korytarza.

– Świetnie – stwierdził Stell. – Przyślijcie mi je natychmiast, jak tylko będziecie je mieli.

– Co dalej? – zapytał Holtz.

Dyrektor zgrzytnął zębami i wymaszerował z apartamentu.

V

TRZY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

HEIGHTS

Winda dojechała na czternaste piętro. June wyszła na korytarz i stanęła przed kremowymi drzwiami. Oczekiwała, że znajdzie zapasowy klucz na futrynie lub pod wycieraczką, ale nic tam nie było. Bez znaczenia. Dwa cienkie paski metalu i pół minuty później była w środku.

Apartament Marcelli Riggins wyglądał mniej więcej tak, jak oczekiwała: skórzana kanapa, gęsty biały dywan, kinkiety koloru miedzi – mnóstwo pieniędzy, zero duszy.

Ale było i kilka zaskakujących akcentów. Brakujący kawałek drewna w drzwiach sypialni oraz linia próchna, przypominającego na wpół spalony papier, wyznaczająca szlak zniszczenia. Małe, lśniące kawałki szkła rozrzucone na kontuarze i podłodze. Najpierw jednak zajęła się gramofonem. Był to sprzęt, jaki bogaci ludzie kupują dla ozdoby, nie po to, by używać zgodnie z przeznaczeniem. Koło niego leżał stosik płyt, być może również na pokaz. June przejrzała je i znalazła coś optymistycznego. Uwielbiała trzask igły na płycie.

Muzyka rozlała się po apartamencie.

June zamknęła oczy i zakochała się. Piosenka przypomniwała jej o lecie, o śmiechu i szampanie, chłodnych bryzgach wody z basenu, zasłonach na werandzie, mocnych dłoniach i szorstkim dotyku kamiennych płytek na jej policzku i...

Uniosła igłę i zatrzymała płytę. Muzyka ucichła.

Niech przeszłość pozostanie przeszłością. Martwa i pochowana.

Wędrowała bez celu po sypialni i garderobie, przeciągając w roztargnieniu dłonią po ubraniach – z których połowa najwyraźniej padła ofiarą gniewu Marcelli. Jej komórka zawibrowała.

Syd: Bardzo się nudzę

Syd: Chciałabym być teraz z tobą

June odpisała.

June: Mogłabyś

Syd: Wiesz, że nie mogę.

Rutynowa wymiana uprzejmości. Obie wiedziały, że zmiana obecnego stanu rzeczy nie jest możliwa.

Poza wszystkim June mogła stać się kimkolwiek, natomiast Sydney, jak się zdawało, potrafiła być tylko sobą. Obecność dziewczynki, wyglądającej zawsze tak samo, mogłaby wzbudzić podejrzenia i odebrałyby June całą przewagę. Oczywiście pozostawałaby także kwestia innych osób – Mitcha, a co ważniejsze, Victora. June nie rozumiała z początku natury łączących ich więzi ani stopnia przywiązania Sydney, dopóki pewnego dnia dziewczynka nie załamała się i nie opowiedziała jej wszystkiego.



Było to jesienią poprzedniego roku. Prowadziły jedną ze swoich nocnych rozmów, każda usadowiona na dachu, w innych miastach, daleko od siebie, ale pod tym samym niebem. Sydney była zmęczona – życiem na walizkach, tym, że nie miała szansy zapuścić nigdzie korzeni, a w konsekwencji prowadzić normalnego życia.

June zastanawiała się oczywiście, dlaczego tak często się przeprowadzają. Przez dłuższy czas przypuszczała, że uciekają. Za tymi podróżami kryło się jednak coś więcej, toteż czekała na zwierzenia Sydney.

Tamtej nocy dziewczynka była tak zmęczona, że wyznała June prawdę:

– Victor szuka kogoś, kto będzie potrafił mu pomóc.

– Jak to: pomóc?

– Jest chory – dłuższa pauza – i to przeze mnie.

– Jakim cudem może być chory przez ciebie?

– Myślałam, że potrafię go uratować. Próbowalam, ale nie zadziałało. Nie tak, jak powinno.

June się zawahała. Widziała, jak Sydney ratuje zwierzątka, i wiedziała, na czym to polega.

– Więc... wskrzesiłaś Victora?

Ledwie dosłyszała wyszeptaną odpowiedź:

– Tak. Robiłam to już wcześniej z innymi ludźmi... Ale kiedy ratuję kogoś z nas, to dużo trudniejsze. Trzeba sięgać głębiej w ciemność. Myślałam, że złapałam całą nić, ale była poszarpana, wszędzie walały się luźne kawałki... Musiałam przegapić jeden z nich i teraz... jego moc nie działa, jak trzeba.

Ostatnie zdanie było jak szczelina w zbroi. Teraz June miała szansę zadać pytanie, które prześladowało ją od dnia, kiedy otarła się o mężczyznę w czerni. Jego talent pozostawał dla niej tajemnicą, mimo że dostrzegła coś we wspomnieniach Mitcha. Obraz był jednak niewyraźny, czuła bardziej strach wielkoluda, a z ostrożnych wypowiedzi Sydney mogła wywnioskować, że Victor potrafił robić coś więcej niż odpalać samochody lub układać puzzle z zawiązanymi oczami.

– A jaką ma moc? – zapytała teraz i usłyszała, jak dziewczynka gwałtownie przełyka ślinę.

– Potrafi zadawać ludziom ból.

June poczuła dreszcz. Zadała następne pytanie:

– Sydney, czy kiedykolwiek cię skrzywdził?

– Nie. A przynajmniej nie celowo.

Wściekłość ukłuła June niczym rozżarzona igła. Podjęła ważną decyzję: uwolni Sydney z rąk Victora.

Do tej pory jej się to nie udało. Brak sukcesu nie powstrzymał jej jednak przed dalszymi próbami.

– Gdybyś kiedykolwiek chciała odejść...

Ale June знаła odpowiedź, jeszcze zanim ją usłyszała.



June westchnęła. Sydney wciąż obciążała się odpowiedzialnością za sytuację Victora i jeżeli nikomu nie uda się znaleźć sposobu, by uwolnić dziewczynkę od jej cienia, June zawsze będzie słyszeć te same słowa: „Nie mogę”.

Odłożyła telefon, wracając myślami do bieżącego zadania i kwestii Marcelli Riggins. Wzięła z komody oprawione zdjęcie. Kobieta olśniewała urodą: czarne włosy, jasna skóra, długie nogi. Takie piękno sprawia, że przestaje się liczyć wszystko inne. June też tak niegdyś wyglądała.

Uroda była przereklamowana.

Rzuciła zdjęcie na łóżko i podeszła do okna, wypatrując powrotu Marcelli.

Zamiast pani domu dostrzegła czarną furgonetkę, stojącą u wylotu bocznej alejki.

O, co to, to nie.

Przybrała kształt pana Gosterly’ego i zeszała na dół schodami. Minęła obrotowe drzwi, a potem znowu zmieniła postać, tym razem na jeszcze bardziej bezkształtną – mężczyznę w średnim wieku, który zbyt wiele nocy spędził pod gołym niebem. Bezdomny zatoczył się, jakby był pijany, i odzyskał równowagę, opierając się o maskę czarnego samochodu... a potem, nie podnosząc wzroku, rozpiął pasek i zaczął załatwiać się na zderzak pojazdu.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i zatrzasnęły z powrotem.

– Hej! – wrzasnął ktoś, łapiąc jej pożyczone ciało od tyłu.

June odwróciła się i zatoczyła na żołnierza, udając, że traci równowagę. W tej samej chwili otworzyła ukrywany w dłoni nóż sprężynowy: ostrze wyskoczyło z cichym kliknięciem. Zagłębiła je w gardle żołnierza, a potem przytrzymała jego ciało, które powoli osunęło się po ścianie alejki.

Jeden załatwiony.

Ilu jeszcze zostało?



W TYM SAMYM CZASIE PO DRUGIEJ STRONIE MIASTA...

Marcella siedziała na tarasie kawiarni Le Soleil, sącząc latte, podczas gdy markizy ociekały deszczem, a ulicą przechodziły setki nieznajomych z czarnymi parasolami.

Nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że jest śledzona. Oczywiście ją zauważano, jak zwykle, ale to uczucie było inne. Natarczywe. A mimo to nie potrafiła odnaleźć jego źródła.

Nie próbowała się jednak maskować – ukrywanie się nie było w jej stylu. Zdecydowała tylko zmienić styl na subtelniejszy: związała czarne włosy wysoko, w prosty koński ogon, a ulubione szpilki zamieniła na bardziej funkcjonalne czarne kozaki. Paznokciami ze świeżo nałożonym złotym lakierem niecierpliwie stukała w szklanekę, przyglądając się uważnie wyjściu ze stacji metra po drugiej stronie ulicy. Nakreśliła w głowie plan stacji, wyobrażając sobie ruchome schody na poziom minus jeden, a potem minus dwa, kończące się przy rzędzie schowków na bagaż stojących pod ścianą wyłożoną białymi płytkami.

Schówek, o którym myślała, był jednym z pięciu, rozrzuconych po całym Merit. Był to pomysł Marcelli: podzielić fundusze i zachomikować je na wszelki wypadek, w razie kłopotów. Co prawda nigdy nie przewidywała problemów takich jak te!

Zawyla policyjna syrena, a palce Marcelli zacisnęły się na szklance, kiedy radiowóz wyskoczył zza rogu... po czym przejechał obok, nie zatrzymując się. Odetchnęła i uniosła latte do ust.

Dziwnie się czuła. Przez kilka dni po konfrontacji z Marcusem żyła na krawędzi, spodziewając się w każdej chwili nalotu policjantów. Nie była głupia. To w końcu oni zachowali w tajemnicy informację o tym, że przeżyła. Zdawała sobie również sprawę, że jej ucieczka ze szpitala była daleka od subtelności. A mimo to nikt się jeszcze nie pojawił, ani po to, by ją aresztować, ani żeby ją zlikwidować.

Zastanawiała się, co robi, kiedy w końcu spróbują.

– Czy podać coś jeszcze? – zapytał kelner.

Marcella spojrzała na niego zza okularów przeciwsłonecznych, uśmiechając się.

– Tylko rachunek.

Zapłaciła i wstała, wzdrygając się z lekka – poparzenia się goiły, ale skóra wciąż była wrażliwa; rany bolały przy każdym ruchu. Uznała to uczucie za pozytywne: przypominało jej o zbrodniach Marcusa i ułatwiało wezwanie nowej mocy, kiedy jej potrzebowała.

Przebiegła ulicę i weszła na stację.

Do stała się do schowków, znalazła właściwy numer – dzień, kiedy się poznali – i wstukała kod, którego Marcus zwykle używał do zamków cyfrowych.

Schówek się nie otworzył.

Spróbowała po raz drugi i westchnęła.

Mąż potrafił ją rozczarować nawet po śmierci.

Dotknęła palcami zamka i patrzyła, jak rozsypuje się w rdzawy proszek. Drzwiczki otworzyły się i wyciągnęła z wnętrza stylową czarno-złotą torbę. Rozpięła ją i przeliczyła szybko pliki banknotów, łącznie pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

To było oczywiście za mało, ale na początek wystarczyło.

„Na początek czego?” – zapytała w myślach.

Prawdę mówiąc Marcella nie była pewna, co ma dalej robić, dokąd pójść i kim zostać. Marcus przestał być punktem oparcia dla jej kariery, a stał się ograniczeniem i przeszkodą.

Zabrała torbę, wróciła na ulicę i wezwała taksówkę.

– Dokąd? – zapytał kierowca, kiedy wślizgnęła się na tylną kanapę.

Rozsiadła się wygodnie, zakładając nogę na nogę.

– Heights.

Miasto przemyciła za oknami, pozornie niewinnie, ale gdy Marcella dziesięć minut później wysiadła z taksówki, poczuła to znowu – ukłucie czyjegós wzroku na karku.

– Pani Riggins – przywitał ją konsjerż Ainsley. Głos miał pewny, lecz kiedy odprowadzał ją wzrokiem przez lobby, na jego twarzy dało się dostrzec pewne napięcie. Stał zbyt sztywno i zbyt nieruchomo, za bardzo starał się zachować spokój.

„Cholera!” – pomyślała Marcella, wchodząc swobodnym krokiem do windy. Kiedy ta ruszyła, rozpięła czarno-złotą torbę i sięgnęła do bocznej wewnętrznej kieszeni. Jej dłoń zamknęła się na znajomej kolbie pistoletu.

Wyciągnęła go z torby, podziwiając chromowane wykończenie, wysunęła magazynek, sprawdziła, czy jest pełny, a potem odbezpieczyła broń, wykonując każdą z tych czynności z wystudiowaną swobodą.

„To tak jak chodzenie w szpilkach”, pomyślała, odciągając zamek.

Kwestia praktyki, nic więcej.

VI

DWA LATA WCZEŚNIEJ

ZBROJOWNIA MERIT

To były jej urodziny. Marcella i Marcus mieli całe miejsce tylko dla siebie.

Mogła wybrać restaurację, muzeum, kino – cokolwiek chciała, a Marcus z pewnością znalazłby sposób, żeby zarezerwować je tylko dla niej. Był zaskoczony, kiedy wybrała strzelnicę.

Zawsze chciała się nauczyć strzelać.

Szła teraz, stukając obcasami po posadzce, mijając skąpane we fluorescencyjnym świetle szafy z bronią.

Marcus wyłożył na kontuarze kilkanaście pistoletów, a ona przesuwała teraz nad nimi dłoń. Przypominały jej karty do tarota. Dawno temu w wesołym miasteczku wślizgnęła się do namiotu wróżki, by poznać swoją przyszłość. Starsza kobieta o wyglądzie stereotypowej wiedźmy rozłożyła karty i kazała jej wybrać bez namysłu jedną z nich.

Marcella wyciągnęła wtedy Królową Monet. Wróżka powiedziała jej, że karta symbolizuje ambicję.

„Władza – stwierdziła – należy do tych, którzy ją wezmą”.

Dłoń Marcelli zatrzymała się na eleganckiej chromowanej berecie.

– Chcę tę – oznajmiła z uśmiechem.

Marcus wziął pudełko nabojów i poprowadził ją na strzelnicę.

Wybrał cel – pełną sylwetkę człowieka, oznaczoną w paru miejscach tarczami – i przypiął go do linki. Nacisnął guzik, a cel odjechał w głąb toru, pięć, dziesięć, potem piętnaście metrów, aż zatrzymał się, czekając na strzały.

Pokazał jej, jak załadować magazynek – minęło kilka miesięcy, zanim nauczyła się to robić, nie łamiąc przy tym paznokci – i podał pistolet. Broń, ta posłanniczka śmierci, zaciążyła jej w dłoni.

– To, co teraz trzymasz, to spluwa – objaśnił Marcus. – Ma jeden cel: zabić.

Odwrocił ją twarzą do celu i przytulił się do niej niczym płaszcz, układając jej ciało w prawidłową sylwetkę strzelecką. Jego tors przy jej barkach. Jego ramiona wzdłuż jej ramion, jego dłonie na jej dłoniach, pokazujące, jak trzymać broń. Czuła jego podniecenie, ale wizyta na strzelnicy nie była tylko pretekstem do urodzinowego bzykanka. Będzie na to czas nieco później, jednak najpierw chciała się czegoś nauczyć.

Odchyliła głowę i oparła ją na ramieniu męża.

– Kochanie – szepnęła – zostaw mi trochę miejsca.

Wycofał się, a Marcella skupiła się na papierowej sylwetce, wycelowała i strzeliła. Huk odbił się echem od betonowych ścian. Serce zabiło jej mocniej, a po plecach przeszedł dreszcz. Dłonie zadrżały od odrzutu.

Na płachcie pojawiła się regularna okrągła dziura – w prawym ramieniu celu.

– Nieźle – ocenił Marcus – zakładając, że strzelasz do amatora. – Wyjął jej pistolet z ręki. – Problem polega na tym – powiedział, swobodnie wysuwając magazynek – że większość profesjonalistów nosi kamizelki kuloodporne. – Sprawdził liczbę naboji. – Strzelasz im w pierś... i po chwili nie żyjesz.

Wsunął magazynek z powrotem, szybko i gwałtownie. Jego dłonie obsługiwały broń krótkimi, sprawnymi ruchami. Tak samo zwykle dotykał jej ciała – z pewnością wynikającą z wieloletniej praktyki.

Unióśł pistolet i wystrzelił szybko dwa razy. Jego dłonie niemal się nie poruszały, ale rozrzut między trafieniami był znaczny. Pierwsza kula przebiła nogę celu, podczas gdy druga pozostawiła otwór prosto między jego oczami.

– Po co strzelałeś po raz pierwszy, jeżeli potrafiłeś to zrobić tak, jak za drugim?

Jej mąż uśmiechnął się szeroko.

– Ponieważ w mojej branży, kochanie, cel nie pozostaje w bezruchu. I najczęściej jest uzbrojony. O wiele trudniej strzelić celnie w takiej chwili, dlatego pierwszy strzał ma zaskoczyć ofiarę, a dopiero drugi zabić.

Marcella się skrzywiła.

– Brzmi niechlujnie.

– Śmierć jest brudna, złotko.

Wzięła od niego pistolet, ustawiła się naprzeciwko celu i znów wystrzeliła. Pocisk przebił papier kilkanaście centymetrów na prawo od głowy.

– Chybiłaś – zauważył Marcus, tak jakby nie było to oczywiste.

Marcella rozluźniła mięśnie, odetchnęła głęboko, a potem opróżniła resztę magazynka prosto w papierową płachtę. Niektóre pociski poszły bokiem, ale kilka trafiło w obrys głowy, klatki piersiowej, brzucha i krocza.

– Proszę – powiedziała, odkładając pistolet. – Teraz chyba nie żyje.

Chwilę później Marcus pocałował ją namiętnie i popchnął w kierunku ściany; ich stopy roztrącały puste łuski, leżące na podłodze, kiedy brał ją na stojąco. Seks był krótki i brutalny. Jej paznokcie zostawiały ślady pod jego koszulą, lecz zamiast skupiać się na mężu, przez cały czas zerkała na rozszarpany cel, wiszący niczym cień za jego plecami.

Tej nocy nie oddała już ani jednego strzału, ale wracała tu sama przez najbliższe tygodnie – aż nauczyła się strzelać naprawdę celnie.

VII

TRZY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

HEIGHTS

Drzwi windy rozsunęły się i Marcella wyszła z dłonią spoczywającą wewnątrz torby, na kolbie pistoletu. Kątem oka dojrzała zbliżającego się mężczyznę. Wydawał się nieszkodliwy – w swetrze i luźnych spodniach – ale spod nogawek wystawały czarne wojskowe buty.

– Marcella Riggins? – zapytał, podchodząc do niej powoli.

Odwróciła się ku niemu.

– Znamy się?

– Nie, proszę pani – odpowiedział z uśmiechem. – Ale miałem nadzieję, że możemy porozmawiać.

– O czym? – zapytała ostro.

Uśmiech zastąpił mu na twarzy.

– O tym, co wydarzyło się tamtego wieczoru.

– Co wydarzyło się... – powtórzyła, jakby przeszukując pamięć. – Masz na myśli ten wieczór, kiedy mój mąż próbował spalić nasz dom ze mną w środku? Czy ten, kiedy rozpuściłam mu twarz gołymi rękami?

Mężczyzna patrzył na nią spokojnie. Zwolnił kroku, ale nie zatrzymał się, z każdą chwilą zmniejszając dzielący ich dystans.

– Sądzę, że powinieneś zostać tam, gdzie jesteś... – ostrzegła Marcella, wysuwając pistolet z torby, nie do końca, tylko tyle, by dostrzegł błysk chromowanej lufy.

– No już, bez przesady – powiedział, unosząc dłonie tak, jakby była dzikim zwierzęciem, które trzeba osaczyć. – Nie chce pani przecież robić scen.

Marcella przechyliła głowę.

– Dlaczego tak myślisz?

Po czym wyciągnęła broń i strzeliła.

Najpierw trafiła go w kolano. Zachłysnął się krzykiem i przyklęknął, ale zanim zdążył sięgnąć po pistolet przypięty nad kostką, strzeliła po raz drugi, trafiając prosto w głowę. Upadł, krwawiąc obficie na wykładzinę korytarza.

Za późno usłyszała kroki za plecami i odwróciła się w sam raz, by dostrzec czarną postać, żołnierza w czarnej zbroi i pełnym rynsztunku – oraz trzeszczący łuk wyladowania elektrycznego, skaczący ku niej z końcówki pałki z paralizatorem. Jej dłoń wystrzeliła do przodu i złapała broń w chwili, kiedy ta musnęła jej ramię. Poczowała nagły, intensywny ból, ale zdołała zacisnąć palce na paralizatorze – błysnęły czerwienią, osobliwy blask załśnił wokół jej nadgarstka i przyrząd zaczął się rozpadać. A po chwili również trzymająca go dłoń.

Napastnik przerwał atak i odskoczył z wrzaskiem, chwytając się za ramię, a Marcella kopnęła go w pierś, posyłając na podłogę. Klęknęła na nim i chwyciła za przyłbicę hełmu.

– No dalej, kochanie – mruknęła – pozwól mi zobaczyć swoją buzię.

Tworzywo wygięło się i skrzywiło, a po sekundzie mogła je już oderwać jednym szarpnięciem. Spod hełmu patrzyła na nią kobieta, z twarzą zniekształconą grymasem cierpienia.

Marcella cmoknęła z niesmakiem.

– Nie wygląda to za dobrze – powiedziała, chwytając kobietę za odsłonięte gardło, by zdusić jej krzyk. Po chwili ciało zwirotezało i zwiędło.

Wówczas rozległ się metaliczny dźwięk przeładowywanej broni. Podniosła wzrok i zobaczyła trzeciego żołnierza, z pistoletem wycelowanym w jej głowę. Jej broń leżała porzucona kilka metrów dalej. Upuściła ją, kiedy skoczyła, by złapać pałkę.

– Wstawaj! – rozkazał żołnierz.

Marcella zmierzyła go wzrokiem.

Tak się na niej skupił, że nie zauważył postaci za jego plecami, przynajmniej do momentu, kiedy oplotła ramieniem jego szyję.

Człowiek ten – mężczyzna o posturze boksera wagi ciężkiej – zaczął dusić żołnierza, który wygiął się w uścisku, a przy okazji jego broń wypaliła. Stalowa strzałka drasnęła policzek Marcelli i utkwiała w ścianie obok jej głowy.

Żołnierz nie miał szansy, by strzelić jeszcze raz, tym razem celnie. Mężczyzna za jego plecami złapał za przyłbicę i przekręcił ją, z głośnym trzaskiem łamiąc ofierze kark. Puścił ciało, które upadło bezwładnie na wykładzinę.

Marcella nie marnowała czasu. Skoczyła na równe nogi, łapiąc po drodze broń i celując w faceta, który jednak wydawał się nie przejmować tym faktem.

– Ostrożnie, proszę – powiedział wesoło, ze śpiewnym akcentem. – Zastrzel mnie, a zabijesz niewinną dwudziestotrzylatkę z przedmieścia, która kocha swoją mamcią.

– Gadaj, kim jesteś! – zażądała Marcella.

– Ach, to nieco skomplikowane.

Wtedy mężczyzna zaczął się zmieniać. Przez jego ciało przebiegły fale, po czym zniknął, a na jego miejscu pojawiła się dziewczyna o luźno opadających ciemnoblonde spletach.

– Mów mi June – oznajmiła. Marcella zmrużyła oczy, zaskoczona, a tamta się uśmiechnęła. – Nie myślałaś chyba, że jesteś taka wyjątkowa, no nie? – Spojrzała na trzy ciała. – Nie powinnaś zostawiać ich tak na widoku. Lepiej, żeby nikt ich nie znalazł – stwierdziła i klęknęła, zmieniając się po drodze z powrotem w boksera, a potem chwytając jednego z martwych żołnierzy pod pachami.

Marcella gapiła się na nią w niemym zdumieniu.

June popatrzyła na nią niecierpliwie.

– Może byś mi pomogła?



Marcella przycisnęła ręcznik do policzka. Jej pistolet balansował niebezpiecznie na skraju umywalki. Cienkie zadrapanie wciąż jeszcze krwawiło. Popatrzyła w lustro i syknęła z irytacji.

Wszystko wskazywało na to, że ranka niedługo się zagoi, ale zdążyła już zniszczyć prześliczną bluzkę.

– Kim jesteś? – zawołała przez ramię w kierunku salonu, gdzie zmiennokształtna obszukiwała ciała żołnierzy.

– Mówiłam ci już – odparła June śpiewnie.

– No właśnie nie! – stwierdziła Marcella.

Rzuciła ręcznik, wzięła broń i wróciła do salonu. Ciała leżały rzędem na podłodze; ostatnie – któremu brakowało połowy czaszki – krwawiło na wypolerowany parkiet.

„Śmierć jest brudna, złotko”.

– Już nie wydziwiał – powiedziała June, trafnie odczytując obrzydzenie z twarzy Marcelli. – Wątpię, żebyś chciała tu jeszcze mieszkać w najbliższym czasie.

– Pierdolone gliny – wymamrotała Marcella.

– To nie gliny – wyjaśniła June. – To większy problem. – Oddarła małą czarną naszywkę z ramienia jednego z żołnierzy i wręczyła ją Marcelli. – Dokładnie rzecz biorąc, PION.

Marcella zmarszczyła czoło. Naszywka była czarna z prostym „P” wyhaftowanym czarną nicią.

– Nic mi to nie mówi – rzuciła.

June wstała.

– A powinno – odparła, przeciągając się. – PION to skrót. Pełna nazwa to „PonadPrzeciętni: Instytucja Obserwacji i Neutralizacji”. PonadPrzeciętni, czyli PP, to my. Oni zajmowali się właśnie neutralizacją. – Trąciła zwłoki czubkiem buta. – Rekiny, które zjawiają się, kiedy wyczują krew. Masz szczęście, że cię znalazłam.

Marcella uniosła na wpół stopiony hełm. Odwróciła go dnem do góry, wytrzepując pył.

– A jak właściwie mnie znalazłaś?

– Ach. Przez Bethany.

Marcella skrzywiła się gniewnie na wspomnienie byłej przyjaciółki i nieżyjącej kochanki nieżyjącego męża.

– Bethany...

– Młoda cizia, taaakie cycki.

– Tak, znałam ją.

– Lubiła gadać, buzia jej się nie zamykała. O Marcusie i mieszkaniu, które dla niej wynajął.

Marcella nie zdawała sobie sprawy, że ściska hełm, dopóki nie rozpadł się w jej rozszarpanych do czerwoności dłoniach.

– A ty? – zapytała, otrzepując ręce z pyłu. – Szukasz mojego męża?

– Och, na pewno nie żyje. Już o to zadbałaś. – June gwizdnęła z podziwem. – Jesteś naprawdę utalentowana.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo.

– Wiem, że weszłaś do pokoju, w którym pięciu facetów siedziało przy stole i grało w karty, a kiedy wyszłaś, z trzech zostały kupki popiołu, a dwaj pozostali przeżyli tylko po to, żeby opowiadać przedziwne historie. – June uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Następnym razem powinnaś zabić wszystkich. Niemądrze jest zostawiać świadków, zwłaszcza tak gadatliwych. Wiesz co? – dodała, podchodząc. – Problem polega na tym, że jeden z mężczyzn, których zabiłaś tamtego wieczoru, należał do mnie.

– Moje kondolencje – odparła sucho Marcella.

June machnęła ręką.

– Należał do mnie, co znaczy, że miałam go zabić. A w mojej branży podebranie komuś ofiary to gruby nietakt.

– Jesteś płatnym mordercą?

– Hej, co za seksistowskie pytanie! Żeby to robić, nie trzeba być facetem. Ale owszem, zgadza się. I widzę to tak, że wisisz mi jedną śmierć.

Marcella skrzyżowała ramiona.

– O, czyżby?

– Oczywiście.

– Kogoś konkretnego?

– Myślę, że go znasz. Antony Hutch.

Marcella nachmurzyła się na dźwięk tego nazwiska. Przypomniała sobie imprezę na dachu, wilgotne, taksujące spojrzenie mafijnego bossa i jego protekcyjnalny uśmiezek.

June wciąż mówiła:

– Mamy z panem Hutchem pewien osobisty interes do dokończenia, a mnie trudno dorwać jego tyłek. Ale z tego, co słyszałam, facet cię szuka.

Marcella nie była zaskoczona, w końcu przerzedziła szeregi jego ludzi.

– Chcesz, żebyśmy zabiła Antony'ego Hutch'a?

June spochmurniała.

– Nie. Wystarczy, że zabierzesz mnie dość blisko, żebyśmy mogła się z nim przywitać. I będziemy kwita. Co ty na to?

– Mogłabym tak zrobić – powiedziała Marcella, stukając lufą pistoletu o udo. – Ale mogłabym też cię zabić.

– Tak, to prawda – przyznała June z cierpkim uśmiechem – ale to nie mnie byś zabiła.

– Jak to?

– Trudno to wyjaśnić – stwierdziła June. – Łatwiej pokazać. Te przebieranki, które widziałaś, to jeszcze nic, ale zostaw mnie w jednym pokoju z Tonym Hutchem, a zobaczysz, co naprawdę potrafię.

Marcella słuchała, zaintrygowana.

– W takim razie umowa stoi – oświadczyła w końcu.

– Świetnie! – wykrzyknęła June z olśniewającym uśmiechem. – A tymczasem powinniśmy się stąd wynieść. To tylko kwestia czasu, zanim przyślą więcej ludzi.

– Pewnie masz rację... – Marcella spojrzała krytycznie na leżące ciała. – Ale to byłoby chamskie, tak wyjść bez pożegnania.



– Kurwa mać – mruknął pod nosem Stell.

Zaczął oględziny od lobby, gdzie konsjerż – starszy człowiek, nazwiskiem Richard Ainsley – zwał bezwładnie na fotelu. Poderżnięto mu gardło.

Miejsce zbrodni na czternastym piętrze opowiadało własną historię.

Po wykładzinie ciągnęła się smuga popiołu, a na ścianach i podłodze widniały rozpryski krwawej mgiełki. Stell wyciągnął strzałkę z sąsiednich drzwi. Ewidentne ślady walki, brak ciała.

– Sir – zawołał Holtz. – Powinien pan to zobaczyć.

Stell ominął ostrożnie ciemne plamy i wszedł do apartamentu Marcelli.

Dwóch techników zabezpieczało ślady, zbierając i nagrywając wszystko, co mogli. Odsunęli się na jego widok. Stell dostrzegł wtedy, po co wołał go agent.

„Jeżeli nie zabijesz jej teraz, gorzko tego pożałujesz”.

Marcella Riggins nie próbowała ukryć swojego dzieła. Wręcz przeciwnie, wyeksponowała je. Ciała trojga agentów – a raczej to, co z nich zostało – leżały na podłodze, ułożone w niepokojących pozach.

Makabryczna wersja trzech małek: „nic nie widziałem, nic nie słyszałem, nic nie powiem”.

Pierwszemu żołnierzowi, któremu brakowało połowy czaszki, przytknięto dłonie do uszu. Drugi, ze złamanym karkiem, zasłaniał oczy bojowymi rękawicami. Trzecia postać – z której zostało niewiele ponad kruche kości wewnątrz zbroi taktycznej – w ogóle nie miała głowy.

Na niskim szklanym stoliku w centralnym punkcie salonu leżał na wpół stopiony hełm. „Ile czasu zajmie jej przebicie dowolnej zbroi czy zabezpieczenia twoich ludzi?”

Stell podniósł go i znalazł w środku złożoną karteczkę. Napisano na niej eleganckim charakterem pisma jedno zdanie:

„Nie wchodźcie mi w drogę”.

Stell skubnął nasadę nosa.

– Gdzie była reszta agentów?

Przydzielił do tej misji sześcioro. Sześcioro pracowników na jedną osobę PP. Powinno w zupełności wystarczyć.

– Znaleźliśmy jednego w pojeździe – zaraportował Holtz. – A dwóch następnych w alejce. – Nie musiał dodawać, że wszyscy byli martwi. Milczenie, które zapadło po tych słowach, było wystarczająco wymowne.

– Przyczyna śmierci? – zapytał cicho Stell.

– Żaden nie został sproszkowany, jeżeli o to pan pyta. Jednemu skręcono kark, dwaj dostali nożem, w gardło i w brzuch – stwierdził młody agent, po czym zaryzykował hipotezę: – Czy to możliwe, żeby Marcella nie działała sama?

– Wszystko jest możliwe – odparł Stell. Domysły Holtza miały jednak sens. Dotąd Marcella Riggins preferowała własne ręce lub pistolet, ale czwórka żołnierzy, których tu posłał, została zabita inaczej. – Rozejrzył się. – Powiedźcie mi, że w tym budynku jest monitoring.

– Owszem, w publicznych miejscach – odpowiedział technik. – Ktoś skasował pliki, ale robił to najwyraźniej w pośpiechu. Powinno nam się udać wyciągnąć nagrania z lobby i z korytarza.

– Świetnie – stwierdził Stell. – Przyślijcie mi je natychmiast, jak tylko będziecie je mieli.

– Co dalej? – zapytał Holtz.

Dyrektor zgrzytnął zębami i wymaszerował z apartamentu.

VIII

TRZY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

PION

Eli kartkował akta Marcelli Riggins. Po drugiej stronie celi Victor opierał się o ścianę z rękami w kieszeniach.

Przez dłuższy czas Eli sądził, że nawiedza go duch Victora, lecz teraz wiedział, że tamten żyje, więc widmo musiało być wytworem jego własnej wyobraźni... a może nawet oznaką szalenstwa. Dlatego z całych sił starał się je ignorować.

Za ścianą zabrzmiały kroki. Eli rozpoznał chód Stella; co więcej, zorientował się, że dyrektor PION-u jest wściekły.

Pleksyglas zrobił się przejrzysty, lecz Eli nie podniósł wzroku znad akt.

– Rozumiem – powiedział cierpko – że zatrzymanie było wyjątkowo udane?

– Wiesz, że nie.

– Ilu ludzi zginęło?

Nastąpiła długa, znacząca cisza.

– Wszyscy.

– Co za marnotrawstwo – mruknął Eli, zamykając teczkę. – A wszystko w imię zasad.

– Niewątpliwie jesteś teraz bardzo z siebie zadowolony.

Eli wstał od biurka.

– Może pan mi wierzyć lub nie, dyrektorze, ale nie czerpię przyjemności z faktu, że zginęli niewinni ludzie. – Wyjął najnowsze zdjęcia z wnęki, do której wsadził je przed chwilą Stell. – Mam nadzieję, że jest pan gotów zastosować właściwe rozwiązanie. – Przejrzał fotografie z Heights. – Dziewczyna nie jest specjalnie subtelna, prawda?

Stell tylko chrząknął z irytacją.

Eli obejrzał resztę zdjęć i przeczytał notatki, rekonstruując w głowie przebieg walki. Dość szybko zauważył dwie rzeczy. Po pierwsze Marcella miała skłonność do aranżowania dramatycznych scen. Po drugie – nie działała sama.

Wskazywał na to oczywiście czas poszczególnych zabójstw oraz ich metody, ale Eli uznał, że najbardziej przekonujące dowody są o wiele bardziej subtelne. Kryły się w estetyce miejsca zbrodni. Na czternastym piętrze wszystko wydawało się efektowne, makabryczne i teatralne; w alejce koło furgonetki zabójca działał prosto, brutalnie i skutecznie.

Pierwsza z tych osób była ekshibicjonistką.

Druga wyszkolonym mordercą.

Pierwsza to oczywiście Marcella, ale w związku z tym pojawiało się pytanie: kim była druga? Sojuszniczką? Koleżanką? Czy też kimś, kogo łączył z panią Riggins wspólny interes?

– Współpracuje z kimś – powiedział.

– A więc ty też tak uważasz – skomentował Stell.

Była to oczywiście tylko hipoteza, ale wkrótce potwierdziły ją nagrania z monitoringu w Heights. Eli ściągnął pliki na komputer, podczas gdy Stell zrobił to samo na swoim tablecie. Patrzyli razem w milczeniu, jak Marcella zabija dwoje agentów. Eli z ponurą

satysfakcją zauważył pojawienie się drugiej postaci, wielkiego faceta, który złamał kark trzeciemu żołnierzowi.

A potem na oczach Elia facet nagle stał się kobietą.

Zmiana zaszła z jednej klatki filmu na drugą, tak nagle, że wydawała się usterką kamery. Ale to nie był błąd. To była kolejna osoba PP.

Zmiennokształtna, sądząc po nagraniu. Co sprawiało, że obdarzonego taką mocą PonadPrzeciętnego trudno było śledzić.

– To skurwiel... – wymamrotał Stell.

– Mam nadzieję, że nie będziesz nalegać, by oszczędzić tego nowego z uwagi na zasady?

– Nie – odparł posępnie dyrektor. – Chyba jednoznacznie ustaliliśmy, że żadne z nich nie ma zamiaru współpracować, więc będziemy musieli zaplanować stosowne działania.

– Jedno czy dwoje, bez różnicy – stwierdził Eli. – Mogą nie być ludźmi, ale nadal są śmiertelni. Znajdźcie ich, zabijcie i zakończcie wreszcie tę sprawę.

– Kiedy o tym mówisz, wydaje się to takie proste...

Eli wzruszył ramionami. To było proste – w teorii. Praktycznie rzecz biorąc, zadanie należało do ambitnych. Musiał się powstrzymać ze wszystkich sił, żeby po raz kolejny nie zasugerować swojego udziału w całej operacji. Ziarno zostało dopiero co zasiane, więc jego korzenie były jeszcze zbyt słabe. Poza tym wiedział, jakie działania podejmie teraz Stell – sam zasugerował ten kierunek. Strzał snajpera z bezpiecznej odległości. Elegancka egzekucja. Jeżeli plan się uda, nie umrze już nikt niewinny. Oczywiście wówczas nie będzie również potrzeby, by uwalniać go z celi.

Eli stężał. Ręka na jego ramieniu, subtelne pchnięcia naprzód lub pociągnięcia powstrzymujące go od działania... Tak długo zakładał, że kieruje nim Bóg, ale zwątpienie było powolną, podstępą siłą, z czasem podkopującą najbardziej niezłomną wiarę. Eli wciąż pragnął wierzyć, bardziej niż czegokolwiek innego, lecz wiedział, że żądanie dowodu, prośba o znak były zaprzeczeniem tej wiary... a jednak potrzebował czegoś takiego. Dlatego powiedział sobie, że jeśli Bóg tak chce... jeżeli misja PION-u spali na panewce... jeśli tak ma być...

A co, jeżeli to wszystko było fikcją? Jeśli Eli naprawdę był zdany sam na siebie?

Nie. Zobaczył okazję i skorzystał z niej, a teraz musiał poczekać. Potrzebował tylko wiary.

– Wiesz, co powinniście zrobić – powiedział na głos.

Stell skinął głową.

– Musimy ich tylko najpierw znaleźć.

– To nie powinno być trudne – stwierdził Eli. – Marcella nie wygląda mi na osobę, która unikałaby konfrontacji.

IX

TRZY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

ŚRÓDMIEŚCIE MERIT

Stalowe obcasy Marcelli stukały w posadzkę lobby budynku National.

June szła o krok za nią, za sprawą rzymskich sandałów nieco ciszej. Przybrała nowy aspekt – jak nazywała swoje wcielenia – tym razem chudej dziewczyny z czarnymi włosami do ramion i wielkimi, ciemnymi oczami. Na patykowatych nogach miała białe szorty. Wyglądała co najwyżej na szesnaście lat, a kiedy Marcella zapytała ją o to, June odparła:

– Słyszałam, że lubi takie młode.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał recepcjonista.

Marcella odsunęła okulary przeciwsłoneczne nad czoło, prezentując błękitne oczy i długie rzęsy w całej okazałości.

– Och, mam nadzieję, że tak – rzuciła głębokim, chropawym głosem.

Już dawno nauczyła się zmieniać mężczyzn w posłuszne laleczki. Całkiem prosta sprawa, nie trzeba było do tego nadnaturalnych mocy.

Uśmiechnęła się, a mężczyzna odpowiedział uśmiechem. Pochyliła się ku niemu, a on też się nachylił.

– Przyszliśmy zobaczyć się z Tonym.

Marcella nie była umówiona, ale June odgadła trafnie: Hutch rzeczywiście szukał pani Riggins. Od feralnego pokerowego wieczoru zostawił kilkanaście wiadomości na jej poczcie głosowej. Pół minuty później jechały już na górę.

June oparła się o ścianę windy. Podejrzenie zamilkła, zaciskając ponuro usta. Wcześniejszy dobry humor gdzieś się ulotnił. Wodziła nerwowo wzrokiem między klawiaturą z numerami pięter, własnym odbiciem w wypolerowanym metalu i złotym ornamentem na suficie.

Winda stanęła, rozległ się dźwięczny sygnał i drzwi otworzyły się na eleganckie foyer. Na jego końcu stało dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach, spod marynarek było widać kabury z bronią. Matowe szklane drzwi za nimi prowadziły do penthouse'u.

– Panowie – powiedziała Marcella, idąc w ich kierunku.

Jej sukienka nie pozostawiała wiele miejsca na ewentualne ukrycie broni, lecz jeden z goryli mimo to nalegał, by ją obszukać. Jego dłonie pozostały na jej biodrach i pod biustem dłużej, niż powinny. Kiedy drugi facet złapał June w tym samym celu, dziewczyna uśmiechnęła się szyderczo, a Marcella odchrząknęła.

– Jestem pewna, że prawo tego zakazuje.

Ochroniarz sapnął z urazą, ale cofnął się, najwyraźniej uznając, że gra nie jest warta świeczki. Wstukał kod na klawiaturze w ściennym panelu i matowe drzwi stanęły otworem. Pomieszczenie za nimi wyglądało bardziej na salon niż gabinet – wielkie białe kanapy i niskie szklane stoliki, a w kredensie pod ścianą – rząd karafek z alkoholami.

Tony Hutch siedział przy lśniąącym czarnym biurku, czytając gazetę. Za jego plecami wyrastała szklana ściana, przez którą widać było panoramę miasta. Bliżej jednak rozciągało się wyłożone kamieniem patio, a za nim – basen z błękitną wodą, nad którą unosiła się delikatna mgiełka; ciepła woda parowała w zetknięciu z chłodnym wiosennym powietrzem.

Gospodarz uniósł wzrok znad gazety i się uśmiechnął.

Mówi się, że niektórzy ludzie potrafią nieźle zająć za skórę – i może to prawda, ponieważ po każdej wizycie u Tony’ego Marcella czuła, że musi wziąć długi prysznic, żeby zmyć z siebie jego lepkie spojrzenie.

Wstał i z szeroko rozłożonymi ramionami wyszedł zza biurka.

– Marcella! Gdyby uroda była zbrodnią... – powiedział, ściskając jej dłoń.

– ...to rządziłabym tym miastem zamiast ciebie – dokończyła cierpko.

Tony roześmiał się, zerkając w bok.

– A któż to z tobą przyszedł?

– Moja siostrzenica, J...

– Jessica – wtrąciła June, zmieniając akcent na mniej śpiewny i wyciągając dłoń.

Tony przywitał się, pożerając ją wzrokiem.

– Urodę najwyraźniej macie w genach – powiedział, muskając ustami wierzch jej dłoni. Kiedy się schylił, nie zauważył, że June zmrzyła gwałtownie oczy. Marcella znów zastanowiła się, co dziewczyna miała na myśli, mówiąc o „osobistym interesie”.

Dwóch goryli stało wyczekująco w drzwiach z dłońmi na kaburach, ale Tony odprawił ich gestem.

– Odpuście, chłopcy – powiedział i mrugnął porozumiewawczo. – Poradzę sobie.

„Zadziwiające”, pomyślała Marcella. Hutch najwyraźniej widział, czego dokonała przy stole do pokera, a mimo to wciąż traktował ją jak rekwizyt, piękną, lecz bezradną błyskotkę. Ilu mężczyzn musi jeszcze obrócić w proch, zanim któryś potraktuje ją poważnie?

Ochroniarze wycofali się, a Tony zwrócił się ku kredensowi.

– Siadajcie, siadajcie – zaprosił je na fotele przed biurkiem. – Nalać wam drinka, dziewczyny? – Nie czekał na odpowiedź, tylko zaczął nakładać lód do szklanek z rżniętego szkła.

June spacerowała po pomieszczeniu, podziwiając dzieła sztuki, a Marcella zapadła w fotel i odezwała się do Tony’ego:

– Wiedziałaś o Bethany?

Cmoknął z dezaprobatą.

– Ach, to – powiedział, machając lekceważąco ręką. – Słuchaj, mówiłem Marcusowi, żeby się jej pozbył, ale wiesz, jacy są faceci. Gdybyśmy nie myśleli kutasem... To znaczy, rozumiesz, tyle razy próbowałem cię odbić mężowi, i nic. Ale czekaj, przecież nie dlatego tu jesteś.

– A dlaczego właściwie tu jestem, Tony?

Wrócił na swój fotel.

– Bo miałaś dość rozsądku, żeby przyjść, kiedy cię wezwałem. Jesteś tutaj, żeby pomóc mi zrozumieć, co się tu odpierdala, ponieważ słyszałem ostatnio kupę pojebanych bzdur, Marce. Wiem tylko, że trzech moich najlepszych chłopaków nie żyje, a pozostałych dwóch bredzi coś o tym, że to ty ich zabiłaś.

– Tak właśnie było.

Tony roześmiał się, lecz w tym śmiechu brakowało wesołości.

– Nie jestem w nastroju do gierki, Marce. Wiem, że ty i Marcus się posprzeczaście...

– Posprzeczaście?! – przerwała mu Marcella. – Walnął moją głową o stół, potem zwałił na mnie dwadzieścia pięć kilo kutego żelaza, a na końcu podpalił dom, kiedy leżałam nieprzytomna w środku!

– A mimo to jesteś tutaj, żywa i w dobrym zdrowiu, a mój najlepszy silnoręki zmienił się w kupkę popiołu na podłodze domu Sama McGuire’a. Dlatego pomożesz mi zrozumieć, co tam się naprawdę stało – oznajmił Tony. Nie dodał nawet „w przeciwnym wypadku...”,

tylko rozsiadł się wygodniej w fotelu. – Słuchaj, jestem rozsądnym człowiekiem. Ty pomożesz mnie, a ja pomogę tobie.

Usta Marcelli drgnęły.

– Jak zamierzasz mi pomóc?

– Zawsze byłeś za dobra dla Marcusa. Mógłbym dać ci życie, na jakie zasługujesz. Takie, jakiego jesteś warta... – Tu uśmiechnął się oblesnie. – Jeżeli grzecznie poprosisz.

„Grzecznie poprosisz”.

„Zachowuj się grzecznie”.

Marcella była kurewsko zmęczona byciem grzeczną.

June zaśmiała się szyderczo z drugiego końca pokoju.

Uśmiech spelzł z twarzy Tony’ego.

– Co cię tak bawi, dzieciaku?

June odwróciła się ku nim.

– Kiedyś poprosiłam cię grzecznie, Tony – powiedziała sucho. – I niczego to nie zmieniło.

Gangster zmrugał oczy.

– Czy my się już spotkaliśmy?

June oparła łokcie o pusty fotel i z nadąsaną miną wycedziła:

– Och, Tony... – Tym razem było znakomicie słychać jej silny, słodki, śpiewny akcent. – Nie rozpoznajesz mnie?

– Nie... – wymamrotał, blednąc. Marcella nie wiedziała, czy był to szok, czy zaprzeczenie, ale ręka Tony’ego powędrowała do górnej szuflady biurka.

– Serio? – June się wyprostowała. Nastolatka zniknęła, zastąpiona przez idealną kopię samego Tony’ego Hutcha. – A teraz?

Marcella patrzyła, jak Tony Hutch – ten za biurkiem – wyciąga z szuflady pistolet i strzela trzy razy prosto w tors June... a może własny?

Spojrzała w dół, kiedy na jej – jego – koszuli zakwitły nagle krwawe kwiaty, ale nie krzyknęła ani nie upadła, tylko się uśmiechnęła. Za biurkiem prawdziwy Hutch sapnął nagle i złapał się za pierś, w której pojawiły się trzy idealnie okrągłe dziury broczące krwią.

– Co to mi wtedy powiedziałeś? – zapytała June, pochylając się ku niemu przez biurko. – A, tak... „Nie walcz z tym, kochanie. Wiem, że lubisz na ostro”.

Drgnął spazmatycznie raz, potem drugi, a w końcu płuca przestały pracować.

Kiedy umarł, June najwyraźniej straciła kontrolę nad swoją mocą.

Podobizna Tony’ego opadła z niej jak ubranie, które przestało pasować, i przez chwilę Marcella widziała kogoś innego – dziewczynę o kasztanowych włosach, piwnych oczach i piegach na nosie niczym konstelacja gwiazd. Obraz ten ukazał się jednak tylko na мгновение oka, a potem June wróciła do postaci, w której tu weszła – chudej, ciemnowłosej nastolatki.

Marcella oglądała całą tę scenę, ze zdumieniem uświadamiając sobie prawdziwy potencjał zdolności June. Ta dziewczyna nie była tylko zwierciadłem czy też kameleonem.

Była żywą lalką voodoo!

Marcella uśmiechnęła się z zachwytem, lecz w tej samej chwili matowe drzwi otworzyły się gwałtownie i dwóch ochroniarzy wpadło do środka z wyciągniętą bronią.

June obróciła się błyskawicznie na pięcie – już nie jako nastolatka, lecz idealna kopia mężczyzny, który próbował ją przeszukać. Uniósł broń, ale na widok samego siebie zamarł. June wykorzystwała jego niezdecydowanie; złapała z biurka nóż do papieru i wbiła go sobie w dłoń – która była w gruncie rzeczy jego dłonią.

Mężczyzna jęknął i upuścił pistolet, a krew pociekła mu po palcach. Drugi ochroniarz zawahał się, wstrząśnięty widokiem martwego szefa, a także swojego partnera w dwóch

osobach. Marcella skorzystała z okazji, chwyciła pistolet Tony'ego z biurka i strzeliła gorylowi w głowę.

Upadł ciężko, jakby był z ołowiu. Drugi, ranny, usiłował podnieść broń, ale Marcella zdążyła do niego doskoczyć i przyszpilić jego ranną dłoń do podłogi metalowym obcasem.

– Pojebana suka! – wybełkotał, a ona pochyliła się i objęła dłoń jego twarz.

– Tak się nie mówi do damy – pouczyła go, wbijając paznokcie w policzki. Skóra mężczyzny zwiędła pod jej dotykiem, mięśnie wyschły i odsłoniły kość, która spróchniała i popękała... aż wystarczył lekki dotyk, by zamienić ją w proch.

Marcella wyprostowała się i otrzepała dłonie. Zakłęła cicho, zauważywszy, że pękł jej paznokieć.

June gwizdnęła z uznaniem.

– Ale zabawa! – Rzuciła się na kanapę, wymachując nogami jak dziecko. Po chwili zeskokczyła i ruszyła ku szklanym drzwiom, teraz upstrzonym plamami krwi. – Chodź – powiedziała, mijając kredens Tony'ego. – Potrzebuję prawdziwego drinka.

X

TRZY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

WSCHODNIE MERIT

Marcella odwiedziła w życiu sporo barów, ale ostatnio głównie eleganckich, z witrażowymi lampami i skórzanymi kanapami – a przynajmniej z drukowanym menu.

W barze Palisades szyby w oknach były popękane, siadało się na drewnianych stołkach, a o ofercie informowała brudna od kredy tabliczka.

Owszem, Marcella знаła ten świat – świat drinków wykrzywających gębę i rachunków płaconych drobnymi – ale świadomie z niego zrezygnowała. June wydawała się jednak czuć tu jak w domu, opierając łokcie na lepkim kontuarze. Znow była sobą, to znaczy nie dziewczyną, którą Marcella dostrzegła przez moment w gabinecie Hutcha, ani nastolatką, której postać przybrała, by się tam dostać, ale tą, którą pojawiła się w Heights, z luźnymi ciemnoblonde splecami i długą spódnicą z falbanami.

June zamówiła dla siebie podwójną whiskey, a dla Marcelli martini, które okazało się czystą wódką – co w tej chwili zupełnie jej nie przeszkadzało. Stała przy barze, sącząc alkohol.

– Weźże, kurwa, siadaj – powiedziała June, obracając się w kółko na hokerze. – I przestań marszczyć nos. – Uniosła szklankę w toaście. – Za udaną robotę!

Marcella niechętnie wspięła się na stół, obserwując June znad szklanki.

W jej umyśle kłębiły się pytania. Dwa tygodnie wcześniej była piękną, ambitną, lecz lekko znudzoną żoną gangstera i nie miała pojęcia, że tacy jak June – i jak ona sama – w ogóle istnieją. Teraz była wdową, dysponowała zdolnością niszczenia wszystkiego, co dotknęła, a wokół roilo się od innych ludzi obdarzonych rozmaitymi mocami.

– Możesz być każdym? – zapytała.

– Każdym, kogo dotknę – uściśliła June. – Jeżeli żyje. I jeżeli jest człowiekiem.

– Jak to działa?

– Pojęcia nie mam. A jak ty palisz ludzi żywcem?

– Nie robię tego – obruszyła się Marcella. – To znaczy, nie palę ich. To bardziej jak... – wpatrzyła się w szklankę z drinkiem – ...niszczenie. Drewno próchnieje. Stal rdzewieje. Szkło rozsypuje się z powrotem w piasek. Ludzie się rozpadają.

– Jak to odczuwasz?

„Jak ogień!” – pomyślała Marcella, ale nie do końca o to chodziło. Pamiętała, jak się czuła, kiedy Marcus rozpadał się w jej ramionach. Dokonała prostego, niemal eleganckiego aktu zniszczenia. W jej mocy było coś pierwotnego, być może nawet nieograniczonego. Opowiedziała June o tym wszystkim.

– Każda moc ma jakieś granice – stwierdziła dziewczyna. – Powinnaś je odnaleźć.

Spochmurniała nagle, a Marcella przypomniała sobie, co dostrzegła w gabinecie Hutcha: trwającą przez moment wizję innej postaci.

– A ty to czułaś? – zapytała. – Kiedy cię postrzelili?

June uniosła brwi.

– Nie. Niczego nie czuję.

– Musi być fajnie.

Tamta przytaknęła, po czym zapytała z innej beczki:

– Pamiętasz swoją ostatnią myśl przed śmiercią?

Tak. To dziwne, ale Marcella doskonale ją pamiętała.

Ta sama Marcella, która nie potrafiła powiedzieć, co jej się śniło, która rzadko zapamiętywała numer telefonu albo dowcip, która w ataku wściekłości mówiła tysiące rzeczy, a potem nie pamiętała ani jednej – nie zapomniała ostatniej myśli. Teraz te same słowa odbiły się echem w jej umyśle.

– „Zniszczę cię” – powiedziała cicho, niemal z nabożeństwem.

Teraz zrozumiała.

To było tak, jakby stworzyła tę moc z własnej woli, wykuła ją w ogniu własnego cierpienia, gniewu. Wściekle pragnęła zobaczyć, jak jej mąż płaci za swoje grzechy.

Dlatego teraz zaczęła się zastanawiać, w jakich okolicznościach ukształtowały się zdolności June. Jakiej śmierci było trzeba, by stworzyć zmiennokształtną PonadPrzeciętną? Kiedy jednak zapytała ją wprost, zapadła cisza, w której Marcella usłyszała huk wewnętrznego ognia w umyśle dziewczyny.

– Moja ostatnia myśl? – powtórzyła w końcu June. – Że przetrwam. I nikt już więcej nie będzie w stanie mnie zranić.

Marcella uniosła kieliszek.

– No i tak się właśnie stało. A najlepsze, że możesz być, kim tylko chcesz.

– Każdym, tylko nie sobą – rzuciła June z przewrotną uciechą. Nie użalała się nad sobą. – Ironia to suka.

– Podobnie jak karma – odparła Marcella, kołysząc kieliszkiem. – Znasz już moją historię. A jaka jest twoja?

– Zastrzeżona – odpaliła June.

– Daj spokój.

June zmarszczyła czoło.

– Och, przepraszam! Jeżeli myślałaś, że to będzie babski wieczór, urzniemy się i będziemy sobie zwierzać, to muszę cię rozczarować.

Marcella się rozejrzała.

– W takim razie co tutaj robimy?

– Świętujemy! – rzuciła June, odstawiając pustą szklanekę i sygnalizując barmanowi, żeby ją ponownie napełnił. Wyciągnęła z kieszeni karteczkę zwiniętą w rulonik. Z początku Marcella myślała, że to papieros, ale po chwili, kiedy June ją rozwinęła, zdała sobie sprawę, że to lista.

Cztery nazwiska, zapisane drobnym pismem. Trzy zostały przekreślone już wcześniej.

Na dole widniało czwarte – Antony Hutch.

Marcella patrzyła, jak June podnosi z baru długopis i przekreśla również i to nazwisko.

– Dobra, załatwione – wymamrotała na wpół do siebie. A potem znów stała się normalną sobą: z szalonym błyskiem w oku okręciła się na stołku i oparła na barze. – Co planujesz zrobić dalej?

Marcella zajrzała do pustego kieliszka.

– Tak sobie myślę – zaczęła powoli – że przejmę kontrolę nad tutejszą mafią.

June parsknęła do szklanki.

– Ale jaja!

Ale Marcella nie żartowała. Zgodziła się na miejsce u boku męża tylko dlatego, że inaczej nikt nie zaproponowałby jej miejsca przy stole.

Teraz jednak miała dość zasiadania u czyjegokolwiek boku.

Według Marcusa władza należała do faceta z największą spluwą. Marcella pomyślała o zwłokach Tony’ego Hutch’a, płamiących jego biały dywan.

– Jak myślisz, ile jest takich... osób jak my?

– Ponadprzeciętnych? – June zastanowiła się przez chwilę. – Kto wie? Więcej, niż myślisz. Wiesz, żadne z nas nie reklamuje się wszem i wobec.

– Ale potrafisz ich znaleźć.

Szklanka znajdowała się w pół drogi do ust June, lecz tam nie dotarła.

– Co?

– Twoja moc – wyjaśniła Marcella. – Powiedziałas, że kiedy kogoś dotkniesz, możesz przyjmując wygląd tej osoby, ale tylko, jeśli jest człowiekiem. Czy to nie oznacza, że potrafisz rozpoznać tych, którzy nimi nie są?

June spojrzała na nią poważnie, ale po sekundzie uśmiechnęła się znów, dwa razy szerzej niż przedtem.

– Umysł to ty masz ostry jak brzytwa!

– Tak mówią.

Dziewczyna przeciągnęła się na stołku.

– No więc tak, potrafisz ich rozpoznać. Dlaczego pytasz? Chciałabyś znaleźć więcej takich jak my?

– Może...

– Po co? – June spojrzała na nią z ukosa. – Żeby pozbyć się konkurencji?

– Raczej nie – odparła Marcella, dokończyła swoje martini i odstawiła pusty kieliszek, wzdając złotym paznokciem wokół krawędzi. – Mężczyźni uważają każdego, kto ma władzę, za zagrożenie, przeszkodę na ich drodze. Nie próbują nawet dostrzec tego, czym jest naprawdę władza, realna potęga i moc.

– A czym jest? – zainteresowała się June.

– Potencjałem. – Marcella zacisnęła palce na nóżce kieliszka. – Moja zdolność jest bronią – powiedziała, podczas gdy jej dłoń rozżarzyła się na czerwono. Szkło rozsypało się w piasek, przeslizgując się między jej palcami. – Dlaczego jednak mielibyśmy poprzestawać na jednej broni, jeżeli możemy mieć cały arsenał?

– Ponieważ arsenał rzuca się w oczy? – zaryzykowała June.

Usta Marcelli drgnęły.

– A może powinien? Dlaczego ludzie ze zdolnościami takimi jak nasze mieliby się ukrywać? Moje życie całkowicie się zmieniło i nie da się tego cofnąć. Wolę zacząć nowy, lepszy rozdział. Taki, w którym nie będę musiała udawać słabej, żeby przeżyć.

June przygryzła wargę z namysłem, a potem – tak jakby odpowiedziała sobie w myślach na jakieś ważne pytanie – zeskoczyła ze stołka.

– Chodź.

Marcella nie wiedziała, czy kieruje nią nagła, zaraźliwa energia dziewczyny, czy też brak innych możliwości, ale również stanęła obok baru.

– Dokąd idziemy? – zapytała.

June odwróciła się, a w jej oczach zamigotał łajdacki błysk.

– Mam ochotę posłuchać muzyki.



Palisades było kiepską knajpą, ale Marina była jeszcze gorsza: podziemny bunkier, na wpół bar, na wpół obskurny klub jazzowy, w którym człowiek lepił się do niemal każdej powierzchni. Przy okrągłych stolikach stały koślawe krzesła, a połowa miejsc była pusta. Pod ścianą w głębi biegła niska scena, na której stało tylko kilka instrumentów i samotny mikrofon.

June opadła na puste krzesło i gestem zaprosiła towarzyszkę do zajęcia miejsca obok.

– Co tu robimy? – zapytała Marcella, podejrzliwie lustrując otoczenie.

– Kochanie, musisz nauczyć się wtopić w tło! – wykrzyknęła June dramatycznie i zaraz potem zmieniła się z efektownej brunetki w starszego czarnego mężczyznę w wypłowiałej koszuli, z rękawami podwiniętymi do łokci.

Marcella zeszytniała. Światła w barze były przygaszone, ale nie aż tak. Rozejrzała się.

– To nie było subtelne.

June zachichotała chrapliwie, tak jakby to zrobił starszy człowiek o gardle zniszczonym papierosami.

– Myślałam, że kończymy z ukrywaniem się? – Machnęła lekceważąco dłonią w kierunku pozostałych stolików. – Ludzie widzą wiele rzeczy, ale nie dowierzają własnym oczom. – Starszy człowiek zakłóysał się razem z krzesłem. Przednie nogi mebla oderwały się od podłogi, a twarz mężczyzny zniknęła w cieniu, poza kręgiem światła nad stolikiem. Kiedy krzesło wróciło na miejsce, June znów była jedną ze swoich zwykłych postaci, dziewczyną z luźnymi splotami brązowych włosów opadających na twarz. – Może usiądziesz?

Marcella ostrożnie siadła na krzesło obok, a June ciągnęła:

– Prawdę mówiąc, nie przyprowadziłam cię tu, żeby słuchać muzyki, a w każdym razie nie tylko po to. Jeżeli jednak interesują cię inne osoby PP, może miałabym dla ciebie cenny nabytek.

Wyciągnęła z kieszeni telefon i zaczęła przeszukiwać esemesy, aż znalazła. Odwróciła ekran ku Marcelli. Widniało na nim jedno nazwisko: Jonathan Richard Royce.

– Kto to taki?

– Saksofonista – wyjaśniła June – i to niezły. A właściwie był niezły, zanim uzależnił się od heroiny i zadłużył u Jacka Caprese.

„Caprese!” – pomyślała Marcella. Znała to nazwisko. Merit podzielili na strefy wpływów czterech szefowie gangów: Hutch, Kolhoff, Mellis i Caprese.

Hutch wykroił sobie największą porcję, lecz Caprese miał wielkie oczy i ostre kły. A do tego olbrzymi apetyt.

– Nie potrafił się uwolnić od nałogu – kontynuowała June – ale nie mógł sobie też na niego pozwolić. Pewnego dnia wpadli do niego ludzie Capresego, żeby wyjaśnić kwestie księgowo, połamać parę palców... tyle że w domu była też żona Jonathana. Wyciągnęła pistolet i rozpętało się piekło. Zginęła. Według raportów lekarskich Royce też się przekręcił, w każdym razie na parę minut, ale jakoś z tego wyszedł. No to Caprese przysłał więcej ludzi... którzy też skończyli w piachu. Nikt nie chciał się chwalić spartaczoną robotą ani ujawnić, że im się nie udało, ale nadal chcieli zlikwidować Royce'a, więc poszukali podwykonawcy.

– Aha. Wezwali ciebie.

June się uśmiechnęła.

– Taa, wezwali mnie... ale nie mogłam go zabić.

Marcella zdziwiła się.

– Co, nagle zmieniłaś zdanie?

– No właśnie nie. Chodzi o to, że naprawdę próbowałam go zabić. I nie mogłam!

XI

TRZY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

MERIT. NIEDALEKO GRANIC MIASTA

Jonathan Royce miał jeden jedyny elegancki garnitur, a i ten na niego nie pasował.

Kiedys, dawno temu, owszem, wszystko było w porządku. Właściciel garnituru ważył wtedy piętnaście kilo więcej, teraz jednak spodnie i marynarka zwisały na jego sylwetce, jakby miały za chwilę spaść. Tak samo jak obrączka ślubna, trzymająca się na palcu tylko dzięki dwukrotnie złamanej kostce. Jonathan nigdy nie był potężnym mężczyzną, ale ostatnimi czasy wychudł jak szczapa; źle spał i niewłaściwie się odżywał. Ironia losu polegała na tym, że wyglądał jak narkoman, mimo że od śmierci Claire był czysty.

Ćpali wszyscy, których znał – muzyka i prochy były nierozłączne, a scena jazzowa nie była wyjątkiem.

Ale najlepszego kopa dawała heroina.

Nie chwilowe wzloty i upadki po kokainie ani łagodny, beztroski fatalizm po spaleniu dobrego zioła, ale potężna, senna fala, dająca błogi odlot, pozwalająca uciec od życia, wyjść z własnej głowy. To była wolność, uczucie przypominające letnią kąpiel z gołym tyłkiem o północy w ciepłym oceanie... Przynajmniej z początku. Jonathan widział, jak uzależnienie narasta, jak toczy się ku niemu niczym falą przypiływu, ale i tak był już mokry, a poza tym nie mógł wyczołgać się z powrotem na brzeg.

I dokładnie tak jak fala pływowa albo prąd wsteczny, zważyło się na niego, zabierając wszystko.

Pieniądze. Radość. Bezpieczeństwo. Zdrowie psychiczne.

Codziennie przypiływ podchodził wyżej. Co dzień woda stawała się trochę głębsza. Każdego dnia pływał coraz dalej od brzegu, a fale mogły go porwać na dobre. W takiej sytuacji powinno się po prostu wyjść z morza.

Jonathan zawiązał teraz krawat, niezdarnie szarpiąc węzeł bolącymi palcami.

Mimo że minął rok, codziennie bolały go stawy.

Tego wieczoru, kiedy odwiedzili go ludzie Capresego, nie czuł się specjalnie zaskoczony, może dlatego, że był już naćpany. Claire wyszła z przyjaciółkami, a Jonathan nie miał dla gangsterów pieniędzy, doskonale o tym wiedział, oni też o tym wiedzieli, więc w ruch poszedł młotek, wałący w jego dłonie. Wtedy do domu weszła Claire, wrzeszcząc, a potem wyciągnęła pistolet – skąd go wzięła? – rozległ się hałas, nastąpił ból i ciemność.

Po tych wydarzeniach Jonathan powinien był opuścić Merit.

Powinien był podjąć decyzję o ucieczce w chwili, gdy ocknął się na sali szpitalnej z dwiema połamanymi dłońmi i trzema dziurami po pociskach w brzuchu i klatce piersiowej. Ale skoro krew Claire wciąż jeszcze mieszała się z jego krwią na podłodze ich kuchni, nie potrafił zmusić się do odejścia. To kompletnie nie miało sensu – ona była martwa, on wciąż żył. Claire nie zasługiwała na to, by przejść do przeszłości, by stać się przypisem do cudzej historii. Jonathan miał dziwne, lecz nieodparte poczucie, że też nie przeżył – że stał się duchem, związanym nierozłącznie z miejscem, gdzie wszystko się wydarzyło, dopóki nie zakończy ponurych porachunków z żyjącymi. Został więc, założył na pogrzeb żony swój jedyny elegancki garnitur i ubrudził go popiołem, odpalając jednego

papierosa od drugiego w pokoju taniego hotelu. Czekał tam, by ludzie Capresego znaleźli go i dokończyli robotę.

To śmieszne, ale zanim tamtego wieczoru do niego nie przyszli, Jonathan nigdy nikogo nie zabił.

Myślał, że to będzie trudniejsze.

Powinno być. Powinno być niemożliwe, biorąc pod uwagę, ilu ich było i ile strzałów oddali, ale tamtego dnia zdarzyło się dużo więcej niemożliwych rzeczy. Chociażby takich jak błękitno-białe lśnienie, które pojawiło się wokół niego i jak tarcza odbijało pociski. Kiedy kakofonia huków i przemocy dobiegła końca, Jonathan stał sam wśród nieruchomych ciał.

Bez jednej rany. Nietknięty.

W rzadkich momentach metafizycznej refleksji myślał, że to Claire go ochroniła. Ale potem przychodziła inna myśl, dręcząca i drwiąca – takie zdarzały mu się dużo częściej – że to kara: wszechświat szydzi z niego za to, czego nie zdołał zrobić.

Teraz zegar wybił siódmą, więc zawiązał w końcu wytarty krawat, założył kurtkę, podniósł futerał z saksofonem i ruszył do pracy.

Obłoki pary unosiły mu się z ust, gdy szedł przez ulice tej części Merit, zaciemnionej, tak jakby nikt nie ośmielał się zakłócać jej spokoju ulicznymi latarniami. Miał do przejścia około kilometra. Zmierzał do Mariny, mieszczącej się przy ulicy, która na mapie nosiła nazwę Zielonego Zakątka, co było ironiczne, ponieważ wszystko pokrywał tutaj beton i asfalt.

Widmo Zielonego Zakątka.

To on. Człowiek, który nie mógł umrzeć.

Był już...

– Hej, ty! – zabrzmiał opryskliwy głos. – Wyskakuj z kasy!

Jonathan nie zauważył, że ktoś za nim idzie, ale prawdę mówiąc, w ogóle nie nasłuchiwał. Poczul teraz lufę wbijającą mu się w plecy pojedynczym nerwowym szturchnięciem. Odwrócił się i zobaczył dzieciaka, może szesnastolatka, trzymającego pistolet w obu dłoniach, tak jakby był to kij bejsbolowy.

– Wracaj do domu.

– Jesteś głuchy czy głupi?! – zawył chłopak. – Nie widzisz klamki? Powiedziałem, wyskakuj z pierdolonej kasy!

– Bo co?

– Bo cię, kurwa, kropnę!

Jonathan odchylił głowę i spojrział w niebo.

– Proszę bardzo.

W połowie przypadków tacy napastnicy nie mieli dość ikry, żeby strzelić. Ten jednak należał do drugiej połowy – nie żeby Jonathanowi robiło to jakąkolwiek różnicę. Pistolet wypalił, a powietrze wokół mężczyzny zaiskrzyło jak krzemień uderzający o krzemień, tak jakby Claire objęła go ramionami i wyszeptwała, że jego czas nie nadszedł, że to jeszcze nie jego kolej. Pocisk odbił się i poleciał w ciemność.

– Co, kurwa? – zdumiał się napastnik.

– Oduść, póki stoisz na nogach – ostrzegł go Jonathan, lecz dzieciak nie posłuchał: opróżnił w głowę mężczyzny cały magazynek. Siedem pocisków, z których sześć odbiło się i poleciało nieszkodliwie na boki, krzesząc iskry z cegieł, lądując na asfalcie i wybijając okno. Ostatni jednak zrykoszetował w kierunku strzelca i trafił go w kolano. Dzieciak runął na ulicę z przeraźliwym wrzaskiem.

Jonathan westchnął, sprawdzając zegarek.

Właśnie spóźnił się do pracy.



Marina świeciła pustkami. Jak zwykle.

Jonathan rozpoznawał większość twarzy na widowni, ale czuł, że coś jest nie tak. Zorientował się zaraz po wejściu, tak jakby w powietrzu wirował śnieg. Od razu zauważył dwie kobiety z tyłu sali, jedną jak wyjętą z kolorowego magazynu, z ustami umalowanymi na czerwono i lśniącą czarną fryzurą, a drugą młodszą, z grzywą brązowych splotów i niebezpiecznym uśmiechem.

Przyglądały mu się przez cały wieczór.

Może kiedyś faktycznie przyciągał uwagę takich kobiet, ale to było wtedy, gdy jego dłonie spisywały się na klawiszach saksofonu o wiele lepiej, kiedy garnitur na niego pasował, kiedy często się uśmiechał – zwłaszcza kiedy był na haju.

Śledzony wzrokiem obu kobiet, dotarł do końca programu, grając nuty bardziej z przyzwyczajenia niż z pasji, a potem poszedł do baru, niesiony falą wątlých brow i nienawiści do samego siebie.

– Woda sodowa – powiedział, siadając na hokerze. Wciąż czuł na sobie ich wzrok. Co jakiś czas Caprese wysyłał kogoś, żeby znów spróbował zabić Jonathana, jednak nikomu się to nie udawało. Te dwie kobiety nie wyglądały jak zabójcy Capresego... ale może tak właśnie miało być? Usłyszał stukot obcasów, a sekundę później bardziej efektowna z kobiet pojawiła się u jego boku.

– Panie Royce – przywitała się ciepłym, gładkim, nieco gardłowym głosem.

Druga kobieta usiadła obok niego.

– Johnny, chłopcze – powiedziała. Słowa te zabrzmiały znajomo, tak jakby się już kiedyś spotkali, chociaż był pewien, że nie.

– Jeżeli to Caprese was przysłał... – wymamrotał.

– Ach, Caprese – powtórzyła ciemnowłosa, powoli i z namysłem. – To ten, co zabił ci żonę, prawda?

Jonathan milczał.

– Otóż wyobraź sobie – ciągnęła – że Jack Caprese wciąż żyje. Słyszałam, że jego interesy kwitną. A ty siedzisz w tej spelunie, niesłusznie zwanej klubem, marnując życie.

– Hej! – zaprotestowała druga. – Mnie się tu podoba.

– Kim jesteście? – zapytał Jonathan.

– June – powiedziała szatynka.

– Marcella – przedstawiła się czarnowłosa piękność. – Ale w przypadku takich jak my, prawdziwe pytanie nie brzmi „kim jesteś”, prawda? Raczej „co potrafisz?”.

Przycisnęła do baru pomalowany na złoto paznokcie. Jonatan zobaczył, jak jej palec zaczyna żarzyć się czerwienią, a drewno pod nim wygina się i próchnieje, zostawiając dziurę na wylot. June błyskawicznie zasłoniła otwór podkładką do piwa, tyle że nie była już szatynką. Teraz na jej miejscu siedział Chris, barman z Mariny, mimo że prawdziwy Chris stał właśnie po drugiej stronie baru tyłem do nich i wycierał szklankę. Kiedy się do nich odwrócił, szatynka znów była sobą.

Jonathanowi zaschło w ustach.

Kobiety dysponowały nadprzyrodzonymi zdolnościami, takimi jak jego moc. Ale błękitno-białe lśnienie było wyłącznie jego darem – jego własną klątwą. W tym piekle nie powinno być innych osób.

– Czego chcesz? – zapytał ledwie słyszalnym szeptem.

– A o to – powiedziała piękność – miałam właśnie zapytać ciebie.

Jonathan gapił się w szklankę z wodą sodową. Chciał z powrotem swoje życie... ale na to nie było szans. Chciał więc umrzeć, ale tej możliwości też go pozbawiono.

Tamtego wieczoru, gdy wszyscy ludzie Capresego byli już martwi, a Jonathan nadal żył, kiedy w pokoju zapadła już cisza i ciemność, a cały świat stał się nagle pusty, przyłożył sobie łufę do skroni i nacisnął spust. To powinno zakończyć sprawę, jednak nic podobnego się nie stało, ponieważ lśnienie znów się pojawiło, czy tego chciał, czy nie. Pomyślał wówczas o Claire i o tym, jak by się na niego wściekła... i zmarnował jeszcze jeden nabój. Myśl o Claire sprawiła, że nabrał ochoty na narkotykowy odłot, na powolne kołysanie na falach haju.

Ale lśnienie nie pozwoliło mu na to.

Jonathan zdecydował, że nie będzie więcej próbował. Nie zawiedzie Claire ponownie.

Lśnienie było niczym nowy narkotyk, przypominający mu o przerażającym fakcie, że wciąż żyje.

June zmarszczyła czoło, tak jakby potrafiła odczytać myśli Jonathana, lecz Marcella tylko się uśmiechnęła.

– Czemu miałbyś siedzieć, waląc focha, jeżeli mógłbyś odplacić ludziom, którzy cię skrzywdzili? – zapytała.

Ale przecież im odplacił – zabił tych, którzy odpowiadali za śmierć Claire, a potem tych, którzy przyszli po niego, a potem wszystkich innych, których wysłał Caprese. Wszystkich, co do jednego. Został tylko...

– Caprese – mruknął.

Czy dlatego lśnienie nie dawało mu spokoju? Dlatego nie mógł połączyć się z Claire?

– Mogę ci pomóc go dorwać – powiedziała Marcella. Pochyliła się ku niemu, tak blisko, że poczuł zapach jej perfum. – Słyszałam o twoich zdolnościach, ale byłoby świetnie, gdybyś opowiedział mi o nich więcej. – Położyła mu dłoń na ramieniu. To był prosty, niemal serdeczny gest... dopóki nie zauważył, że jej palce rozgorzały czerwienią. Lśnienie zabłysło nad jego skórą i Marcella cofnęła rękę, oglądając ją z zaciekawieniem. – Hmm. Jak to robisz? – zapytała swobodnie, tak jakby nie próbowała właśnie unicestwić Jonathana.

– Niczego nie robię – odparł gorzko. – To się dzieje samo. Ktoś próbuje mnie zranić – cholera, sam próbuję zrobić sobie krzywdę – i bęc, to coś się pojawia i mnie chroni.

– Ech, świetna sprawa – stwierdziła June, opierając się o bar.

Marcella chrząknęła z niezadowoleniem.

– Nie bardzo rozumiem, jak taka moc może mi pomóc.

Jonathan wpatrzył się w szklankę.

– Mogę się tym dzielić.

Zmrużyła błękitne oczy.

– Co masz na myśli?

Jonathan pokręcił głową. W ten właśnie sposób lśnienie z niego drwiło. Stąd wiedział, że to nie dar, ale klątwa, niczym płytkie zranienie, nie dość głębokie, by zabić, ale wystarczające, żeby zadać ból. Wcześniej chciał obronić Claire – i nie zdołał. Teraz, kiedy w końcu potrafiły to zrobić, było już za późno. Jego żona umarła.

– Jonathanie – sprowadziła go na ziemię Marcella.

– Potrafię ochronić kogoś innego – przyznał. – Jak długo go widzę.

Marcella się uśmiechnęła. To był olśniewający uśmiech, na który chciało się odpowiedzieć radością, nawet kiedy nikomu nie było do śmiechu.

– W takim razie – powiedziała – porozmawiajmy o zemście.

XII

TRZY TYGODNIE WCZEŚNIEJ GDZIEŚ W OKOLICACH BRENTHAVEN

Kroki Victora szeleściły w poszyciu.

Zapadał zmierzch. Gdy Victor przedzierał się przez las, niebo nad jego głową mieniło się czerwieniami i fioletami. Co jakiś czas ciszę przerywał odległy odgłos strzału: to myśliwi dopadali swojej zdobyczy w gasnącym świetle dnia.

Victor również polował. Tropił wielkiego mężczyznę w pomarańczowej kamizelce, której jaskrawy kolor wyróżniał go spośród innych myśliwych w zieleniach i szarościach. Drzewa rosły tu rzadko, otoczone ze wszystkich stron polami. Kilka kilometrów na południe znajdowała się mała chata, wokół której ten facet zostawił pełno śladów.

Niełatwo było odnaleźć Iana Campbella, mimo stroju, który obecnie nosił. Po wypadku zniknął z systemu, niemal tak skutecznie, jakby rzeczywiście umarł.

Niemal.

W tych czasach jednak nie dało się zniknąć, nie pozostawiając ani śladu.

Mitch potrzebował wielu miesięcy, by wysledzić tego PonadPrzeciętnego, ale w końcu mu się udało. Haker wiedział – tak samo jak Victor – że kończą im się możliwości. Stos papieru skurczył się do zaledwie kilku kartek, a im mniej było tropów, tym dłużej Victor pozostawał martwy po swoich atakach. Za każdym razem zegar tykał o kilka sekund dłużej, aż zaczął niebezpiecznie zbliżać się do krawędzi śmierci, zza której – według oficjalnej wiedzy medycznej – nie było już powrotu.

Cichy odgłos przypominający beczenie przyciągnął teraz uwagę Victora – i jeszcze kogoś. Czyżby właśnie odnalazł Campbella?

Za krzakami leżał ranny jeleni, z bokiem przeorany ładunkiem grubego śrutu. Victor zatrzymał się, by obserwować scenę zza pobliskiego drzewa, a Campbell ukląkł nad rannym zwierzęciem, uspokajając je po cichu, i położył dłoń na jego boku.

A potem, na oczach Victora, śrut wy dostał się z mięśni i spod skóry, stoczył po boku jelenia w trawę.

Victora zatkąło.

Przyzwyczał się do niepowodzeń. Odnajdywał kolejnych PonadPrzeciętnych tylko po to, by przekonać się, że ich zdolności są niezgodne z charakterem jego dolegliwości albo, co gorsza, bezużyteczne. Dlatego widok Campbella uzdrawiającego zwierzę całkowicie go zaskoczył. Zdał sobie sprawę, że ostatecznie znalazł kogoś, kto mu pomoże.

Jeleni wstał niepewnie, a potem odbiegł w podskokach między drzewa, cały i zdrowy.

Campbell patrzył za nim, a Victor patrzył na Campbella.

W końcu przerwał milczenie.

– Jeżeli jesteś taki życzliwy, to po co wypuszczasz zwierzynę z powrotem do lasu? Żeby ktoś znów ją postrzelił?

Trzeba przyznać, że Campbell się nie przestraszył. Stał prosto, ocierając dłonie o spodnie.

– Nic nie poradzę na myśliwych, ale nigdy nie przechodzę obojętnie obok cierpiącej istoty.

Victor roześmiał się głucho, bez wesołości.

– W takim razie bez problemu powinieneś udzielić mi pomocy.

Campbell zmrużył oczy.

– Zwierzęta są niewinne. Ludzie to całkiem inna sprawa. Z tego, co wiem, większość nie zasługuje na życzliwe traktowanie – powiedział.

To brzmiało jak jedna ze złotych myśli Elia, więc Victor zareagował nerwowo: palce mu drgnęły, a powietrze wokół zawibrowało. Campbell zaskoczył go, podchodząc zamiast uciekać.

– Jakiego rodzaju jest twoja przypadłość? – zapytał.

Victor zawahał się, niepewny, jak odpowiedzieć na to proste pytanie, skoro wyjaśnienie było tak skomplikowane. W końcu powiedział tylko:

– Śmiertelnie groźna.

Campbell zmierzył go wzrokiem.

– W porządku – powiedział. – Zrobię, co w mojej mocy.

Serce Victora stanęło na chwilę, tym razem nie dlatego, że zaczynał się atak, ale w przypływie nadziei. Tak rzadko mu się to zdarzało, że niemal zapomniał, jakie to uczucie. Przygotował się na użycie siły, a tu...

– Moje zdolności są ograniczone – ciągnął Campbell. – Nie mogę zatrzymać ani zmienić naturalnego biegu rzeczy. Nie potrafię nikogo wskrzесиć, ale umiem odwrócić skutki przemocy.

– W takim razie – powiedział Victor, którego obie śmierci były naznaczona krwią i cierpieniem – powinno ci się udać.

Campbell wyciągnął dłoń. Victor, który zawsze czuł się nieswojo, gdy dochodziło do fizycznego kontaktu, zmusił się do stania nieruchomo, podczas gdy PonadPrzeciętny położył mu dłoń na ramieniu.

Zamknął oczy. Victor czekał, aż brzęczenie w jego głowie umilknie, aż zniknie mrowienie w nerwach, a zegar przestanie w końcu odliczać czas do kolejnego ataku...

Ale nic takiego się nie stało.

Po dłuższej chwili dłoń Campbella opadła, a Victor wiedział, że po raz kolejny zabrnął w ślepią uliczkę. A jednak... widział przecież, co potrafi tamten. Moc Campbella powinna zadziałać również na niego. Musiała zadziałać!

– Przykro mi – powiedział uzdrowiacz, kręcąc głową. – Nie mogę ci pomóc.

– Dlaczego nie? – warknął Victor.

Po raz pierwszy Campbell się cofnął.

– Kiedy mówiłem, że potrafię... chodziło mi o to, że umiem odwrócić krzywdę wyrządzoną przez kogoś innego. Cokolwiek ci się przydarzyło, jakkolwiek zostałeś zraniony, zrobiłeś to sobie sam.

Victor poczuł, jak ogarnia go gniew, ostry niczym nagle i głębokie cięcie noża. Jego dłoń zwinęła się w pięść, a Campbell zatoczył się w krzaki, jęcząc z bólu przez ściśnięte gardło.

– Wstawaj – zażądał Victor. Mówiąc to, podniósł rękę, zmuszając tamtego, żeby się wyprostował. – Napraw mnie!

– Nie mogę! – wydyszał Campbell. – Powiedziałem ci, potrafię uzdrawiać tylko niewinnych. Nie jesteś ofiarą.

– A ty kim jesteś, żeby mnie osądzać?! – zawył Victor.

– Nikim – wyszeptał Ian. – Moc sama wydaje wyrok. Przykro mi, ale...

Victor odepchnął go z wściekłym okrzykiem. Pamięć podsunęła mu przed oczy jego własną śmierć – nie tę ostatnią, nie tę z rąk Elia, tylko pierwszą, w laboratorium w Lockland. Znow wspiął się na stół i przyciskał nagie plecy do zimnej stali, wzywając śmierć niczym podwładnego, demona, niewolnika.

Tymczasem tu i teraz Campbell zdołał z powrotem wstać. Victor na wpół spodziewał się, że PonadPrzeciętny zacznie uciekać.

Zapadła już ciemność, ale nawet w pozbawionym oświetlenia lesie dostrzegał autentyczny smutek w oczach Iana. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie puścić go wolno... ale jeśli on odnalazł tego PonadPrzeciętnego, było tylko kwestią czasu, aż znajdzie go również PION. Codziennie wydawali się sięgać dalej.

– Przykro mi – powtórzył Campbell.

– Mnie też – odparł Victor, wyciągając broń.

Strzały odbiły się w lesie echem.

Ciało zważyło się na ziemię, a Victor westchnął i oparł się o najbliższe drzewo. Brzęczenie w jego głowie stało się głośniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Zamknął oczy, odczuwając nagle potworne zmęczenie.

„Jeżeli zabijesz wszystkich PonadPrzeciętnych, z którymi się spotkałeś, to czym się będziesz różnił od Elia?”

„Cokolwiek ci się przydarzyło, jakkolwiek zostałeś zraniony, zrobiłeś to sobie sam”.

Ciszę przerwała vibracja jego komórki. Victor niechętnie otworzył oczy, wyprostował się i odebrał połączenie.

– Jakies nowe wieści? – zapytał.

– Pojawiła się nowa PonadPrzeciętna – odpowiedział Dominik na wymownym tle ogłosów z baru. – Bardzo niegrzeczna. Nazywa się Marcella Riggins.

– Czy ten trop mi się przyda? – dążył Victor, ruszając z powrotem.

– Nie – powiedział Dominik. – Nie uzdrawia, tylko niszczy, i to dokumentnie.

Victor westchnął.

– To na co mi ona?

– Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć. Mnóstwo osób się nią interesuje.

– Świetnie – odparł Victor. – Niech PION marnuje czas, polując na nią, a nie na mnie.

Wiedział oczywiście dzięki Dominikowi, że PION wpadł już na jego trop, a właściwie na czyjś trop, nie wiedząc, za kim goni. A on tymczasem domyślił się, kto prowadzi pościg.

Poczuł niesmak – chociaż nie zaskoczenie – na wieść, że Stell zatrudnia Elia Evera jako analityka. Eli zawsze potrafił przyciągnąć uwagę innych i znaleźć się w centrum zainteresowania, a Stell uległ jego urokowi już wcześniej. Victor zastanawiał się, czy to nie z tej przyczyny PION nie potrafi go ostatecznie dopaść: nie dlatego, że ich pupil nie odgadł udziału Victora w tych zabójstwach, ale właśnie dlatego, że mu się udało.

To byłoby zachowanie tak bardzo w stylu Elia; przeświadczenie kogoś zadufanego i zapatrzonego w siebie, że tylko on sprostą pewnym rzeczom.

Każdego dnia, kiedy Victor budził się i nie czuł zaciskającego się na szyi stryczka, stawał się coraz bardziej podejrzliwy.

A Marcella Riggins niech sobie bryluje do woli, jak długo zdoła. Wśród PonadPrzeciętnych funkcjonowało coś w rodzaju doboru naturalnego. Większość z nich miała dość rozsądku, by pozostawać w cieniu, lecz gdy potrzeba przyciągnięcia uwagi przeważała nad instynktem samozachowawczym, szale zwykle dążyły do równowagi.

Tacy jak Marcella zazwyczaj nie dożywali późnej starości.

XIII

TRZY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

TUŻ POD MERIT

Dach hali przeciekał. Rytmicznie kapiące krople deszczu świetnie zagłuszały stukot obcasów Marcelli na betonowej posadzce. Stara, nieczynna fabryka konserw znajdowała się na obrzeżach miasta. Jej szkielec z betonowych filarów i stalowych belek podtrzymujących dziurawy dach był jednym z neutralnych miejsc spotkań gangsterów z Merit.

Pomiędzy kośćmi budynku odbijały się głuchym echem męskie głosy.

– ...we własnym gabinecie...

– ...to nieznośne...

– ...kto się tym zajmie...

– ...tylko jedna kobieta...

– ...niemożliwe, żeby działała sama...

– Co z wami jest, faceci? – zapytała głośno Marcella, kiedy dostrzegła trzy głowy. – Przysięgam, zawsze wybieracie na spotkanie najbardziej ponure miejsca.

Mężczyźni odwrócili się ku niej. Joe Kolhoff. Bob Mellis. Jack Caprese. Niemalże spodziewała się, że będą siedzieć przy okrągłym stole, niczym samowolny rycerz z Merit, ale zamiast tego stłoczyli się w pustej, mokrej przestrzeni na środku byłej fabryki.

„Niewiarygodne”, pomyślała. Jej mąż stał się kupką popiołu, Tony Hutch padł trupem przy własnym biurku, a ci trzej wciąż jeszcze nie zdecydowali się wyciągnąć pistoletów. Zasady neutralnego miejsca wymagały, by żaden z mafiozów nie miał przy sobie broni, ale nie wierzyła, by przyszli na takie spotkanie bez przynajmniej jednej sztuki.

– Czy to nastrój tego miejsca? – zastanawiała się na głos, idąc powoli ku nim. – Czy raczej chodzi o to, że ciągnie swój do swego? Uszkodzone. Przeszarżałe. Zbędne. W tym mieście jest tak wiele starych budynków – mówiła, muskając paznokciami kolejne betonowe filary. – To szaleństwo, ile pieniędzy pochłaniają remonty i naprawy. Czasami lepiej zrównać całe miejsce z ziemią i zacząć od nowa, nie uważacie?

– Nieswiętej pamięci Marcella Riggins – zadrwił Kolhoff. – Ależ ty masz tupet...

– Och, czasem myślę, że mam całe mnóstwo tupetu, Joe.

– Gdybyś jeszcze miała do tego chociaż trochę rozsądku – stwierdził Mellis – już dawno zaczęłabyś uciekać.

– W tych butach? – zapytała prowokacyjnie, patrząc na swoje szpilki. – I ominąć to przemile spotkanie?

– Na które nie byłaś zaproszona – zauważył Kolhoff.

– Cóż mam powiedzieć? Słyszałam, że ktoś mnie obgaduje.

– Jak nas znalazłaś? – zapytał ostro Caprese.

Marcella przechadzała się między filarami, przebierając paznokciami po betonie.

– Mój mąż swego czasu mawiał: „Wiedza daje władzę, ale obie te rzeczy kupisz za gotówkę”. – Opuściła dłoń. – Okazuje się, że część ludzi Hutchca całkiem szybko przeszła na moją stronę w zamian za awans.

– Gówno prawda – syknął Caprese. – Rodzina jest zawsze lojalna!

Marcella przewróciła oczami.

– Najzabawniejsze w tych waszych rodzinach – powiedziała, przeciągając dłonią po kolejnej betonowej kolumnie – jest to, że są „rodzinami” tylko dla tych na szczycie. Jeżeli zejdziecie wystarczająco nisko w strukturze, znajdziecie całą masę ludzi, których nie obchodzi, kto nimi rządzi, jeżeli tylko dostają wypłatę. – Popatrzyła ku ścianie hali i pustej działce za nią. Stało na niej kilka czarnych samochodów z włączonymi silnikami. – Zastanawiam się, ilu z waszych ludzi skorzysta z szansy, by pracować dla mnie, gdy już przejdziecie do historii.

Kolhoff się zasepił. Mellis wyciągnął z tylnej kieszeni sprężynowy nóż i zwolnił ostrze. Caprese w końcu dobył broni.

– Zawsze uważałem cię za bezczelną sukę – powiedział, celując w nią – ale zdaje się, że jesteś też głupia, bo przysłaś sama.

Marcella kontynuowała spacer między filarami, nie przejmując się bronią.

– A kto powiedział, że jestem tu sama?

Jonathan wyszedł zza filaru, a echo jego kroków rozległo się nierównym rytmem. Poruszał się jak w transie, spojrzenie ciemnych oczu utkwił w Capresem. Zmierzał prosto ku niemu. Szef mafii nacisnął spust, lecz pocisk uderzył w powietrze przed Jonathanem z błękitno-białym błyskiem i zrykoszetował, krzesząc iskry na betonowej podłodze.

– Co, do kurwy nędzy... – warknął Caprese, strzelając raz za razem. Jonathan zmniejszał dystans między nimi, a pociski leciały w głąb hali. Wreszcie jeden odbił się w kierunku strzelca, trafiając Capresego prosto w kolano. Mafiozo jęknął z bólu i upadł, trzymając się za nogę.

Jonathan nie powiedział ani słowa. Po prostu wyciągnął swój pistolet, wycelował w czoło klęczącego i strzelił.

Kolhoff i Mellis zamarli, wytrzeszczając oczy na zwłoki Capresego, leżące bezwładnie na zimnym betonie.

Marcella cmoknęła sceptycznie, przyciskając dłoń do ostatniego filara.

– Gdybyście mieli chociaż trochę rozsądku – powiedziała, a jej palce rozżarzyły się na czerwono – już dawno byście uciekli.

Beton ustąpił pod jej ręką, a kiedy filar zaczął się chwiać, pozostałe – nadwyrężone jej dotykem sprzed chwili – również zadrżały i zaczęły pękać. Konstrukcja budynku wydała przeciągły jęk, kolejne kolumny powoli przekrzywiały się i kruszyły, a dach ugiął się i zaczął walić.

Mellis i Kolhoff próbowali uciec, ale nie miało to większego sensu: June pozamykała wszystkie wyjścia. Potężny kawał betonu oderwał się powoli od sufitu i spadł prosto na Marcellę.

Patrzyła, jak leci, zafascynowana niebezpieczeństwem, podniecona i przerażona jednocześnie.

– Jonathan – powiedziała ostrzegawczo, ale już na nią patrzył. Powietrze wokół niej zalsniło błękitem i bielą na ułamek sekundy przed upadkiem betonu. Gruz uderzył w ochronne pole i rozleciał się na kawałki, które rozsypały się wokół Marcelli.

Przypomniała sobie pierwszy raz, kiedy oglądała rozbiórkę. Najbardziej podobała jej się – oprócz początkowego wybuchu – powolna gracia, z jaką potężny budynek opadł, jakby układając się do snu, zapadając się nie jak konstrukcja z cegieł i stali, a bardziej jak nieudany suflet. Musiała jednak przyznać, że z tego punktu widzenia wyglądało to mniej majestatycznie, a na pewno nie było tak ciche.

Mimo to cały proces podobał jej się tak samo.

Podobały jej się również wrzaski mężczyzn, pogięty metal i roztrzaskane kawały betonu, a także wstrząs, kiedy budynek zapadł się wokół nich, grzebiąc pod gruzami Kolhoffa, Mellisa i zwłoki Capresego. Trzech kolejnych mężczyzn stojących jej na drodze.

Betonowe i stalowe szczątki utworzyły strefę zniszczenia wokół Marcelli i Jonathana, pozostawiając ich nietkniętych w kręgach wyznaczanych przez ochronne pole, ale uwięzionych. Teraz jednak nic nie powstrzymało Marcelli. Przyłożyła dłoń do najbliższego bloku betonu i nacisnęła, z palcami żarzącymi się czerwienią. Światło pomknęło przez jej rękę niczym ogień polykający gałąź. Beton zadygotał, popękał i rozsypał się w pył. Przeszkoda została usunięta, a ścieżka – oczyszczona.

Marcella musiała jeszcze sprawdzić granice swojej potęgi, a właściwie – ustalić, czy jakiegokolwiek istnieją. Unicestwienie przychodziło jej tak łatwo!

Wymaszerowała ze zburzonej fabryki. Jonathan trzymał się jej niczym cień.

June czekała tuż za strefą zniszczenia z szeroko otwartymi oczami.

– No, to nie było zbyt subtelne!

Marcella tylko się uśmiechnęła.

– Subtelność jest przerekłamowana.

June wskazała mężczyznom wysiadających pośpiesznie z czarnych samochodów.

– A co powiemy nadciągającej na odsiecz kawalerii?

Marcella popatrzyła na gangsterów z zadumą, po czym powiedziała:

– Ogłosimy, że mafia w Merit ma nowy zarząd.



Marcella opadła ze śmiechem na kremową skórzaną kanapę.

– Och, June, szkoda, że nie widziałas ich twarzy!

Za przeszkloną ścianą rozciągała się panorama miasta, lśniącego szkłem i stałą w ostatnich promieniach słońca.

Pani Riggins zawsze chciała mieszkać w budynku National.

A teraz siedziała na kanapie Hutcha. Jego penthouse wydawał się tylko przystankiem na drodze do lepszych miejsc i większych zaszczytów, mimo to nadal jej się podobał. Zwłaszcza teraz, kiedy oczyszczono go z krwi. Na podłodze pozostało co prawda kilka szczególnie upartych plamek, ale Marcelli to nie przeszkadzało: przypominały jej o tym, czego dokonała. Co potrafiła zrobić. Wrogowie zostali upokorzeni i zniszczeni, a teraz byli już tylko brudem pod jej stopami.

Personel budynku był przekonany, że Tony Hutch wyjechał na wakacje. Tony był sybarytą i lubił czasem urządzić sobie taki niespodziewany wypad, nic nikomu nie mówiąc.

Jonathan przesliznął się korytarzem niczym duch, lecz June przysiadła z ociąganiem na brzegu kanapy.

– Wiesz co? – zagaіła. – Jeden trup nie przyciąga uwagi, jednak kiedy padają kolejne, zaczyna się robić problem. Gangsterzy nie dzwonią do federalnych za każdym razem, kiedy ktoś im wpierdoli, ale zaczynasz nadużywać ich cierpliwości. Nie pamiętasz, co ci mówiłam o PION-ie?

– To jeszcze jeden powód, by było o nas głośno.

June założyła ramiona na piersi.

– Jak to?

Marcella w zamyśleniu nawijała czarny lok na palec.

– Kiedy ludzie kryją się w ciemności, łatwiej sprawić, żeby zniknęli bez śladu. – Usiadła prosto. – A ja właśnie zburzyłam gołymi rękami cały wielki budynek. Ty możesz być, kim chcesz. Jonathan może dać nam nietykalność. Nasza potęga nie opiera się tylko na robieniu dobrego wrażenia, jesteśmy naprawdę niezwykłymi. Powinniśmy zadbać o to, żeby było o nas głośno.

June pokręciła głową.

– Jeżeli chcemy przeżyć...

– Ale ja nie chcę tylko „przeżyć” – rzuciła Marcella pogardliwie. – Chcę odnosić sukcesy.

I powiem ci jedno: dopiero się rozkręcę!

Dziewczyna przewróciła oczami.

– I co teraz? Urządzisz sobie wielki pieprzony bal?

Marcella powoli się uśmiechnęła. To był całkiem niezły pomysł.

– O nie! – zaprotestowała June. – Nie, to był tylko żart!

Z pokoju obok dobiegł je huk wystrzału.

– Jasny szlag! – syknęła Marcella, skacząc na równe nogi.

Razem z June zastały Jonathana stojącego w jednej z sypialni. Pistolet zwisał z jego bezwładnej dłoni, a w ścianie widniała dziura, wybita przez rykoszetujący pocisk.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała z pretensją Marcella.

– Nie zadziało – wymamrotał. – Myślałem, że może teraz, kiedy Caprese nie żyje...

– Przykro mi, Johnny – powiedziała June. – Najwyraźniej zostało ci jeszcze coś do zrobienia.

Usiadł ciężko na łóżku, zwieszając ponuro głowę.

– Ja tylko chciałem... być razem z Claire...

Marcella westchnęła i odebrała mu broń. Jego posępny nastrój psuł jej całą radość.

– Daj spokój – powiedziała, odwracając się na pięcie. – To jasne, że wszyscy potrzebujemy sobie chlapaną po jednym.

Nie obejrzała się, ale usłyszała, jak Jonathan podnosi się z łóżka i podąża za nimi do salonu.

June była w zmiennym nastroju, niezmiernie wcielając się wciąż w nowe postacie: starą kobietę z wytatuowanymi przedramionami, młodego czarnego mężczyznę w garniturze na miarę, śliczną dwudziestokilkulatkę w białej miniówce.

– Ej, już mi się kręci w głowie! – powiedziała ostro Marcella.

June opadła na kanapę, przyjmując jeszcze jedną postać. Nie skopiowała Marcelli, tego nie potrafiła, ale najwyraźniej próbowała się do niej upodobnić. Skóra jasna niczym z porcelany, czarne włosy i nogi do samej ziemi. Twarz miała jednak nieco szerszą, a oczy zamiast niebieskich – zielone. Patrzyły teraz na Marcelle, która podeszła do stojącego pod ścianą kredensu z kolekcją rzadkich, drogich trunków.

Położyła pistolet na szklanej półce i nalała Jonathanowi pół szklanki czegoś ciemnego i mocnego. Bez lodu.

– Przegapiłeś niezłą przemowę – powiedziała June. – Ta dziewczyna ma wielkie plany.

Marcella nie dała się sprowokować. Podała szklankę Jonathanowi.

– Owszem – przyznała. – I zanosisz się na to, że będziesz ich częścią. – Odwróciła się ku June i pokazała jej pustą szklankę. – A co z tobą, June?

Obie zdawały sobie sprawę, że pytanie nie dotyczyło tylko drinka.

Zmiennokształtna pokręciła głową. Na ustach miała uśmiech, a w oczach – figlarne, niemal niebezpieczne błyski.

– Powiedziałam już swoje. Rób, jak uważasz. Zresztą kiedy zapuka do nas PION, mnie na pewno nie złapią.

Wstała i przyjęła drinka od Marcelli, która uniosła swoją szklankę i powiedziała:

– Wznoszę ten toast za większe, lepsze...

Okno za nimi pękło na tysiąc kawałków.

Gdyby Jonathan nie patrzył w tym momencie na Marcellę, pocisk trafiłby ją w plecy. Zamiast tego odbił się ze świstem w błysku błękitno-białego światła, a po nim, w krótkich odstępach, trzy następne.

Jeden z rykoszetów trafił June. Zatoczyła się i upadła, tracąc kształt. Na ułamek sekundy Marcella znów dostrzegła jej prawdziwą postać – kasztanowe włosy, rój piegów – a potem June stała się kimś innym, nieznanym, który rzucił się na podłogę, by zejść z linii ognia.

– Mówiłam ci...

– Nie teraz! – warknęła Marcella, kiedy karafka obok niej eksplodowała w burzy szklanych odłamków. – Miej mnie na oku! – poleciła Jonathanowi, a potem odwróciła się, odstawia szklankę z whiskey i chwyciła pistolet.

Strzały z zewnątrz padały nadal. Grad pocisków rozświetlał salon Hutcha na błękitno-biało, kiedy ochronne pole Jonathana kolejno je odbijało. Marcella poruszała się z ostrożną, wyrachowaną gracją, z trudem powstrzymując panikę. Świadomość, że przez chwilę ktoś inny decyduje o jej życiu, że gdyby Jonathan chociaż na chwilę odwrócił wzrok, tarcza by opadła, była ekscytująca.

Czasami jednak trzeba było w kogoś uwierzyć.

Przemaszerowała przez penthouse pod strzaskane okno. Poszarpane, ostre brzegi wyglądały jak zęby w otwartej paszczy. Dotknęła ich i pozostałe odłamki rozsypały się w proch, który rozwił powiew chłodnego wieczornego powietrza. Marcella przeszła przez pustą ramę, a szkło i piach zachrzęściły jej pod obcasami.

„Dlatego właśnie”, pomyślała, idąc ku krawędzi balkonu, „nie należy się chować”.

„Dlatego właśnie”, pomyślała, unosząc pistolet, „trzeba pokazać im swoją siłę”.

Zmrużyła oczy, próbując poprzez błyski ochronnego pola Jonathana dojrzeć w ciemności ogień wylotowy z karabinu snajpera, a potem zaczęła strzelać, równo i precyzyjnie, opróżniając magazynek w wieczorne niebo.

XIV

DWA TYGODNIE WCZEŚNIEJ

ŚRÓDMIEŚCIE WHITTON

Sydney pogładziła palcami malutkie kości.

Tego dnia Dol znalazł w rynsztoku ptaka – o ile te szczątki można było jeszcze tak nazwać. Z powykrcanej masy ścięgien i piór wystawało pojedyncze, okaleczone skrzydło. Od początku wyglądało żałośnie, a kiedy Sydney wydobyła to siłą z psiej paszczy – jeszcze gorzej. Leżał teraz na wytartej ściereczce u wezłowia jej łóżka. Dol obserwował go z pyskiem spoczywającym na kołdrze.

Za drzwiami Mitch przygotowywał kolację, nucąc pod nosem starą piosenkę. Każde z nich miało własny sposób radzenia sobie ze stresem, z lękiem, z nadzieją. Sydney skupiła całą uwagę na ptaku.

– Co myślisz? – zapytała Dola.

Westchnął, wciąż mając jej za złe, że odebrała mu zdobycz. Podrapała go między uszami. Im bliżej był, tym mocniej czuła łączące ich więzi i tym łatwiej było przypomnieć jej palcom, czego mają szukać.

Sydney zaczerpnęła powietrza, zerknęła na czerwoną puszkę stojącą przy łóżku i zamknęła oczy. Na ślepo znalazła smętne resztki ptaka i sięgnęła w głąb.

Poczuła, jakby spadała.

Poczuła pustkę i chłód.

Poczuła, jakby trwało to całą wieczność – a potem zauważyła słabo świecącą, spiralnie poskręcaną nić. Nie, nie nić, tuzin wątych fragmentów, rozsypanych na czarnym tle przed jej oczami. Płynęły niczym ryby, uciekając przed dotykiem. Zaczęły ją boleć płuca, lecz nie poddała się; powoli, z trudnością pozbierała te fragmenty, wyobrażając sobie, że dopasowuje rozsypujące się kawałeczki do siebie, a potem łączy je razem.

Trwało to całe godziny, dni, a może nawet lata.

A jednocześnie ledwie chwilę.

Kiedy zawiązała ostatni węzeł, nić zabłysła i zapulsowała, stając się kłębkim piór w wnętrzu jej dłoni.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że pod jej palcami porusza się żywy ptak.

Z jej gardła wydobyło się na wpół łkanie, na wpół śmiech, mieszanka okrzyku zwycięstwa i niedowierzania, ale natychmiast zagłuszył je wściekły łopot skrzydeł i skrzek bardzo zdziwionego gołębia, próbującego uciec jej z dłoni.

Dziobnął ją w kostki, więc go puściła. To był błąd. Gołąb zaczął latać po wąskim pokoiku, szukając drogi ucieczki, odbijając się od lampy i okna. Dol wodził z nim nosem, tak jakby próbował go namierzyć i zestrzelić.

Sydney rzuciła się do okna i otworzyła je z rozmachem, a ptak odleciał w ciemną noc w tumanie szarych piór.

Patrzyła za nim w zachwycie.

Wreszcie jej się udało.

Był to ptak, nie człowiek, ale... Sydney miała do dyspozycji tylko kilka zmiażdżonych kostek, a mimo to udało jej się odtworzyć stworzenie w całości. Wskrzesić je.

W sekundzie znalazła się z powrotem przy łóżku i zdjęła wieczko z czerwonej puszki. W środku znajdowały się ostatnie – jedyne – szczątki Sereny Clarke, zawinięte w kawałek materiału. Sydney sięgnęła po nie z bijącym sercem – lecz nagle się zatrzymała.

Jej dłoń zawisła nad kawałkami kości.

Co, jeżeli to nie wystarczy?

Ptak to nie dziewczyna. Gdyby próba zakończyła się niepowodzeniem, Sydney nie dostałaby drugiej szansy.

Gdyby próba zakończyła się niepowodzeniem... Ale co innego mogła zrobić? Pozostała część szczątków Sereny zmieniła się już w popiół, rozsiany po mieście odległym o setki kilometrów.

Czy cokolwiek by się zmieniło, gdyby tam wróciła?

Sydney nigdy nie zastanawiała się nad tym, czy „gdzie” liczy się tak samo jak „co”, ale teraz, zamykając puszkę, pomyślała: „Duchy ludzi są związane z miejscem, w którym umarli”. Nie wierzyła w duchy, ale musiała w coś uwierzyć – jarząca się nic była jedyną znaną jej rzeczą, która przypominała duszę. Jeżeli z Sereny pozostało cokolwiek poza kośćmi z puszki, to będzie tam – w ciemności.

Sydney musiała tylko zaczekać.

XV

DWA TYGODNIE WCZEŚNIEJ

CAPSTONE

Samolot Stella wylądował o świcie. Dyrektor nie wiedział, dlaczego tym razem wideokonferencja nie wystarczy, ale zarząd nalegał na jego obecność, więc miał do wyboru tylko otwarte nieposłuszeństwo albo podróż.

Zostawił Rios ściśle rozkazy, obowiązujące pod jego nieobecność. Żadnego wprowadzania w życie nowych procedur. Żadnego wydawania ani wykonywania rozkazów, chyba że pochodziłyby od niego.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, był bunt.

Teraz patrzył na pięć nijakich twarzy po drugiej stronie standardowego stołu konferencyjnego. Ich właściciele mieli na sobie równie nijakie garnitury lub garsonki. Stell podejrzewał, że po zakończeniu konferencji nie byłby w stanie rozpoznać tych ludzi nawet podczas policyjnego okazania, a co dopiero w tłumie.

– Najpierw nieudane zatrzymanie osoby PP – odezwała się kobieta w czerni – a teraz nieudana likwidacja.

– Narobiliście niezłego bałaganu – dodał mężczyzna w szarym.

– Mieliśmy już wcześniej do czynienia z trudnymi PonadPrzeciętnymi – stwierdził Stell.

– To tylko kwestia czasu...

– Tylko kwestia czasu – przerwał mu mężczyzna w czarnym garniturze – zanim PION i obiekty, którymi się zajmuje, znajdą się w centrum powszechnego zainteresowania!

– Mój zespół daje z siebie wszystko – oświadczył Stell.

– To nie do końca prawda – skontrował ten w czerni. – Wezwaliśmy pana tutaj, ponieważ uważamy, że osobiste uprzedzenia powstrzymują pana przed pełnym wykorzystaniem wszystkich zasobów.

– Uprzedzenia? – zaperzył się Stell.

– Nie zaprzeczamy – podjęła kobieta w granatowym – że okazał się pan niezwykle ważny dla rozwoju tej organizacji...

– Rozwoju?! Stworzyłem PION z niczego. Udostępniłem wam pierwsze informacje, wyjaśniłem poziom zagrożenia... Cholera, ile czasu musiałem was przekonywać, jakie to ważne, żeby PION w ogóle powstał?!

Mężczyzna w grafitowym garniturze odchrząknął.

– Nie kwestionujemy pańskiego wkładu...

Facet w szarym pochylił się nad stołem.

– Wiemy, że jest pan osobiście przywiązany do pierwotnej idei tej organizacji.

– I właśnie dlatego – podjęła kobieta w czerni – nie jest pan obiektywnie zdolny do właściwej oceny jej obecnych potrzeb.

– Moja subiektywność to atut – powiedział Stell. – Według was najwyraźniej mamy tu do czynienia z fabryką broni. Chyba tylko ja zdaję sobie sprawę z tego, że zajmujemy się ludźmi!

– Uważamy, że z pewnego punktu widzenia – wtrącił mężczyzna w graficie – PonadPrzeciętni są oboma tymi rzeczami naraz.

Stell pokręcił głową z niedowierzaniem. Rozmowy zawsze sprowadzały do tego samego – do pieniędzy i władzy, których pożądał zarząd. Gdyby zostawić im wolną rękę, zapewne wykorzystaliby każdego schwytanego PonadPrzeciętnego jako broń. Najlepiej jednorazową.

– Marcella Riggins kpi sobie w żywe oczy z PION-u i z pana – powiedziała kobieta w granatowym. – Utrzymuje pan, że robicie wszystko, co w waszej mocy, że wykorzystujecie wszystkie narzędzia, a jednocześnie ogranicza się pan do słabszych środków, mając do dyspozycji kogoś idealnie pasującego do tego zadania.

Wówczas zrozumiał, o co im chodzi.

Eli.

– Te słabsze środki mają przynajmniej zabezpieczenia, dzięki którym możemy je kontrolować. Eli Cardale nie ma. Nie przydzielę go do wykonywania zadań w terenie.

Mężczyzna w graficie wyprostował się na fotelu.

– Ależ przecież sam pan się opowiadał za takim wykorzystaniem zasobów.

– To co innego – zaoponował Stell. – Eli nie jest ekszołnierzem. Jest seryjnym zabójcą.

– ...który posłusznie współpracował z nami przez ponad cztery lata.

Stell znów pokręcił głową.

– Nie znacie go tak dobrze jak ja.

– No i wracamy do kwestii obiektywizmu – powiedziała kobieta w granatowym.

– Znajomość rzeczy to nie to samo co uprzedzenia! – oburzył się Stell. – Uważacie, że narobiliśmy bałaganu? To nic w porównaniu do piekła, które się rozpęta, kiedy wypuścimy go na wolność.

– Kto powiedział cokolwiek o „wolności”? – zapytał facet w czerni. – Można przecież zastosować środki zaradcze. Zgodnie z naszymi danymi zainstalowano urządzenia śledzące...

– To nie jest tylko kwestia zgubienia śladu Elia – tłumaczył Stell. – Chodzi o to, co zrobi, zanim go znajdziemy. Nie da się go kontrolować.

Mężczyzna w szarym położył na stole płaską walizkę.

– Mając to na względzie – powiedział, przesuwając ją w kierunku dyrektora – proponujemy skuteczniejsze rozwiązanie.

Stell otworzył neser. W środku znajdowała się gładka stalowa obręcz, leżąca na czarnej wyściółce. Kiedy dyrektor wziął go w dłoń, odkrył, że są to w gruncie rzeczy dwie obręcze – jedna wpasowana w drugą. Stworzony w ten sposób kołnierz dało się otwierać i zamykać.

– Metody Haverty’ego rzeczywiście były problematyczne – przyznała kobieta w czerni – ale w tym przypadku okazały się użyteczne. Podczas początkowych testów doktor badał ogólną zdolność regeneracji u Cardale’a, ale w następnej kolejności – szybkość tej regeneracji oraz jej ograniczenia.

Na wyściółce obok kołnierza leżał mały pilot wielkości połowy karty kredytowej i równie płaski, z pojedynczym przyciskiem na gładkiej czarnej powierzchni.

– Haverty odkrył granicę: ciało Cardale’a potrafi wchłonąć każdy przedmiot mniejszy niż, powiedzmy, tabletkę, a jeżeli będzie większy, fizycznie go odrzuci, wypchnie. Jeśli jednak nie będzie w stanie go odrzucić, to się nie zregeneruje.

Stell przypomniał sobie Elia, przytomnego na stole operacyjnym, z otwartą klatką piersiową, i eksperymentującego Haverty’ego.

– Pracowaliśmy nad tym projektem przez wiele miesięcy. Proszę bardzo, niech pan go wypróbuje.

Dyrektor wcisnął wklęsły guzik i wewnętrzny pierścień kołnierza zacisnął się, przekształcając metalową obręcz w śmiertelnie niebezpieczną pułapkę.

– Zaprojektowano go tak – wyjaśnił mężczyzna w czarnym garniturze – żeby przecinał kręgosłup pomiędzy czwartym a piątym kręgiem. U zwykłego człowieka takie uszkodzenie

rdzenia kręgowego wywołałoby paraliż całego ciała poniżej szyi. U Cardale'a, z jego zdolnościami, efekt będzie oczywiście tymczasowy, ale w niczym nie ujmuje mu to skuteczności.

– To oczywiście tylko sugestia – uśmiechnęła się kobieta w granatowej garsonce. – Wciąż jeszcze pozostaje pan dyrektorem PION-u.

Stell odłożył kołnierz do teczki. Logika zarządu była nieodparta, ale czuł w żołądku ołowiany ciężar na myśl, że miałby wypuścić Elia z celi.

– Niezależnie od wszystkiego z całą mocą sugerujemy, żeby zajął się pan tą PonadPrzeciętną, i to jak najszybciej. Używając wszelkich, rozumie pan, wszelkich dostępnych środków.



Z POWROTEM W MERIT

Zamek w drzwiach do domu Stella zawsze się zacinał.

Dyrektor wiedział, że powinien zlecić jego naprawę, ale nie spędzał w domu przesadnie dużo czasu. Sypiał we własnym łóżku mniej więcej przez jedną noc na trzy. Jadał większość posiłków w kantynie PION-u. Sam nie wiedział, dlaczego teraz pojechał z lotniska do miasta, zamiast bezpośrednio do pracy; zdał sobie z tego sprawę w pół drogi. Cały czas jednak myślał o spotkaniu z zarządem. Dwie szklaneczki whiskey na pokładzie samolotu nie rozjaśniły sytuacji i Stell uświadomił sobie, że nie chce wracać do pracy, zanim nie będzie miał dokładnego planu działania.

Działania w kwestii Marcelli. I w kwestii Elia.

Wszedł do domu i zrzucił płaszcz. Zapalił papierosa i dopiero wtedy położył stalową walizczkę na kuchennym stole. Odpiął zatrzaśki.

Gładki metalowy kołnierz leżał na miękkiej czarnej wyściółce.

„Osobiste uprzedzenia powstrzymują pana przez pełnym wykorzystaniem wszystkich zasobów”.

Czy zarząd miał rację?

„Wyślij mnie”.

Stell usiadł powoli na krześle.

„Nigdy, przenigdy nie wydobędziesz się z tego budynku”.

Czy pozwalał, by przeszłość wpływała na jego osąd? Czy może był posłuszny instynktowi?

Przetarł oczy. Zaciągnął się, wypełniając płuca dymem papierosowym. Kołnierz błyszczał we wnętrzu walizki. To było rozwiązanie PION-u, lecz nie Stella. Jeszcze nie.

Zadzwoniła komórka. Stell odebrał, nie patrząc na ekran.

– Słucham.

Spodziewał się, że będzie to Rios albo ktoś z zarządu, ale głos w słuchawce był gładki i zmysłowy.

– Hej, Mark – przywitała się ciepło kobieta. Jej ton wskazywał, że traktuje go niczym starego przyjaciela.

Zmarszczył brwi, gasząc papierosa.

– Kto mówi?

– Naprawdę nie wiesz?

– Czy ja panią znam?

– Mam nadzieję. Przecież twoi ludzie spędzili dłuższą chwilę, usiłując mnie zastrzelić.

Stell nieświadomie zacisnął palce na telefonie. Marcella Riggins.

– Gdybym nie wiedziała lepiej, pomyślałabym, że masz coś przeciwko mnie.

– Skąd masz ten numer?

Dosłyszał w jej głosie cień uśmiechu.

– Męczysz mnie już zabijanie twoich agentów. A ty nie masz dosyć kolejnych pogrzebów? – Nie czekając na jego odpowiedź, ciągnęła: – Być może udałoby się nam znaleźć lepsze rozwiązanie...

– Większość PonadPrzeciętnych dostaje tylko jedną szansę – przerwał jej Stell. – Tobie daję drugą. Poddaj się teraz, a...

Odpowiedział mu cichy śmiech.

– Ależ Mark – odezwała się kpiąco. – Dlaczego miałabym zrobić coś takiego?

– Ach, więc dzwoniisz tylko po to, żeby się chełpić?

– Wcale nie.

– To po co?

– Pomyślałam – rzuciła beztrosko – że moglibyśmy się umówić na drinka.

Dopiero to wytrąciło Stella z równowagi.

– W jakim celu? – zapytał gniewnie. – Żebyś mogła mnie zabić?

– To byłoby bez sensu. Gdybym chciała to zrobić, już byś nie żył. Myślisz, że mam tylko twój numer? Muszę powiedzieć, że masz strasznie kiepski gust, jeżeli chodzi o wystrój wnętrza.

Stell poderwał głowę, zaalarmowany.

– Oczywiście – ciągnęła – rzadko bywasz we własnym domu, nieprawdaż?

Nic nie powiedział, ale przesunął się z krzesłem tak, by siedzieć tyłem do ściany, bacznie oglądając okna.

– Na ścianach wisi tylko kilka fotek – mówiła Marcella. – Podejrzewam, że to twoje siostry, biorąc pod uwagę, jak na ciebie patrzają...

– Myślę, że wyraziłaś się wystarczająco jasno – wycedził.

– Świetne, w takim razie będę w barze Canica koło siódmej. Nie zawieźdź mnie, nie lubię pić sama.

I zanim zdążył odpowiedzieć, rozłączyła się.

Stell opadł bezwładnie na krzesło. Kręciło mu się w głowie. Nie mógł tam iść. Nie powinien tam iść. Marcella była celem, wrogiem, kimś, z kim należało się uporać, a nie negocjować.

Musiał jednak coś zrobić.

Popatrzył na stalową walizeczkę, a potem na komórkę w dłoni.

Zaklął pod nosem i złapał płaszcz.

XVI

DWA TYGODNIE WCZEŚNIEJ

ŚRÓDMIEŚCIE MERIT

Niektóre kobiety spędzały całe lata na planowaniu wesela.

Marcella spędziła ostatnią dekadę na planowaniu wrogiego przejęcia.

Oczywiście przez cały czas zakładała, że będzie je firmował Marcus, ale w ostatecznym rozrachunku rezultat był o wiele bardziej satysfakcjonujący.

Po tym, jak gładko pozbyła się wszystkich czterech szefów mafii w Merit, wśród ich stronników zapanował chaos, podsycany plotkami i opowieściami naocznych świadków. Większość gangsterów szukała już nowej, stabilnej organizacji. Wielu z nich było chętnych służyć nowej pani.

Oczywiście nadal zdarzały się przepychanki z niepokornymi. Marcella była jednak przygotowana, by podporządkować sobie tych, którzy stanęliby jej na drodze, a także przekupić urzędników, którzy mogliby jej przeszkadzać.

Kwestia PION-u nadal pozostawała otwarta, ale Marcella opracowała plan działania i na tym froncie.

Stała tyłem do okna, ogarniając wzrokiem pokój. Jonathan na fotelu polerował saksofon, June przysiadła na oparciu kanapy, bawiąc się telefonem. Ponieważ apartament Hucha w Nationalu został zniszczony, zamieszkali w budynku First and White, w eleganckim penthousie z lustrzanymi oknami, przez które nie było widać, co dzieje się w środku.

„Można mnie nabrać tylko raz”, pomyślała Marcella, gdy ktoś zapukał do drzwi.

Jonathan otworzył je i odsunął się, by wpuścić do środka eleganckiego mężczyznę w jedwabnym garniturze.

– Oliver! – Marcella ucieszyła się na jego widok, a potem uśmiechnęła jeszcze szerzej, gdy dostrzegła za nim w przedpokoju wieszak pełen ubrań. Pożar w domu i incydent w Heights sprawiły, że jej potrzeby w tym względzie gwałtownie wzrosły.

– Cholera, Marce – poskarżył się Oliver – twoja ochrona tam na dole się nie patyczkuje, przeszukali mnie od stóp do głów, wzduż i w poprzek.

– Przykro mi – odparła. – Miałam trudny tydzień.

– Przepraszam bardzo za zbytnią ostrożność – wtrąciła się June – ale kto to, kurwa, jest?

– To Oliver – przedstawiła go radośnie Marcella. – Mój stylistą.

June wybuchła gromkim śmiechem.

– Próbując cię zabić, ciebie i nas wszystkich, a ty masz czas na pierdoloną wymianę garderoby?!

Oliver prychnął z wyższością.

– Powiedział ktoś, kto nie rozumie potęgi właściwego wyglądu!

– Ach, tak? – June zeskoczyła z kanapy. Ruszyła w kierunku Olivera, z każdym krokiem zmieniając postać. – Może rozwiniesz temat?

Oliver umilkł i znieruchomiał.

– A to – powiedziała sucho Marcella – jest nasza June.

Spojrzał na nią niepewnie.

– Słyszałem, hmm, o Marcusie. Cholera, o tobie też niejedno słyszałem. Mnóstwo dziwnych rzeczy.

– Cokolwiek słyszałeś – stwierdziła June – to zapewne prawda.

Marcella wskazała Jonathana, stojącego bez słowa w wytartym ubraniu.

– Ollie, czy przyniosłeś to, o co prosiłam?

W odpowiedzi stylistą zdjął z wieszaka pokrowiec i rozpiął go, odsłaniając modny czarny garnitur. Wzięła go i podała Jonathanowi ze słowami:

– To prezent dla ciebie.

– A dla mnie nic? – zapytała June.

– Ty masz już pełną szafę – powiedziała Marcella, ruszając w kierunku sypialni. – Chodź, Oliver, zobaczmy, co przywiozłeś.

Zaczęła rozpinąć kolejne pokrowce, podczas gdy Oliver powoli odzyskiwał rezon.

– Muszę powiedzieć, że po twoim telefonie byłem nieco zaskoczony – wyznał, dodając zaraz spieszenie: – i oczywiście zachwycony. Zawsze byłeś moją ulubioną modelką.

Zdjęła z wieszaka kilka bluzek, a Oliver w tym czasie rozkładał na łóżku sukienki. Przez chwilę ten widok skojarzył jej się z innym, z ubraniami leżącymi na pomiętych prześcieradłach.

Marcella pozwoliła, by stara bluzka zawisała jej na dłoni, a potem obróciła ją w proch.

– Przeszedłeś samego siebie – powiedziała, obejmując wzrokiem nową garderobę. Koronkowa sukienka z czarnymi, skórzanymi aplikacjami. Ciemnoczerwona marynarka z podniesionymi, ostro zakończonymi ramionami i zwężanymi rękawami. Czarna sukienka z opadającym kołnierzem i jedwabnym pasem zawiązanym na kokardę. Kolekcja idealnych szpilek ze stalowymi obcasami.

Uniosła jedną z nich. Obcasik był tak wypolerowany, że niemal mogła się w nim przejrzeć. Zobaczyła czerwone usta i czarne włosy, własne odbicie, tak wygięte na krzywiznie metalu, jakby skurczyło się w ogniu.

Przebrała się w krótką, czerwoną sukienkę z dekoltem w łódkę. Spojrzała na swoje odbicie w pełnowymiarowym lustrze, oceniając ślady poparzeń po lewej stronie obojczyka, na wewnętrznej stronie prawego przedramienia i u góry uda.

Goiły się, a skóra zmieniała kolor z różowego na połyskliwe srebrny.

– W tej wyglądasz oszałamiająco – powiedział Oliver zza jej pleców. Jeszcze raz zerknęła na swoje odbicie, w samą porę, by dostrzec w lustrze, jak asystent wyciąga z torby cienki nóż. Nawet nie drgnęła.

– Zapniesz mnie? – zapytała lekko.

– Oczywiście.

Ruszył ku niej, a ona zaczęła, aż zbliżył się na odległość ramienia, i wtedy odwróciła się raptownie. Oliver dźgnął. Złapała ostrze w dłoń, żarzącą się już na czerwono. Zanim zdolała choćby zadrapać jej skórę, rozsypało się w rdzawy pył.

– Co za szkoda – powiedziała, łapiąc męczyznę drugą dłonią za gardło. – Miałeś znakomity gust.

Zdołał wydać z siebie potworny skrzek, zanim skóra i mięśnie odsłoniły kość, kość zmieniła się w proch, a proch opadł na podłogę.

– Chryste – powiedziała June, pojawiając się w progu. Rozejrzała się po pokoju. – No i zobacz, co grozi człowiekowi, który ma osobistego stylistę. Czy jest na tym świecie ktokolwiek, kto nie chce cię zabić? Chociaż jedna osoba?

– Zdaje się, że to ryzyko zawodowe – odparła Marcella.

– Tak, na to wygląda – stwierdziła June. – Jak myślisz, ile czasu minie, zanim nasi kumple z PION-u znów spróbują szczęścia?

Marcella odwróciła się tyłem do lustra, strzepując zabłąkaną drobinę pyłu z sukienki. Popatrzyła przez ramię na swoje odbicie i się uśmiechnęła.

– PION? Już ja się nimi zajmę.

XVII

DWA TYGODNIE WCZEŚNIEJ

CANICA

Rozłożysty kandelabr rozkwitał pod sufitem, prosząc przyćmionym światłem na wnętrze pełne kryształów, marmuru i świeżego płótna.

Stell poprawił krawat, gratulując sobie w duchu, że nie zdążył się przebrać po spotkaniu w Capstone.

– Czy ma pan rezerwację, sir? – zapytał kierownik sali.

– Jestem z kimś umówiony – powiedział ostrożnie Stell. – Co prawda przyszedłem trochę wcześniej, ale...

– Zapraszamy do baru – przerwał mu mężczyzna, wskazując obły dębowy kontuar i szafki pełne szkła.

Stell zamówił whiskey o wiele lepszego gatunku niż ta, którą zwykle pijał, i rozejrzał się po sali. Wielu gości należało do ścisłej elity Merit: prokurator okręgowy, żona burmistrza, szefowie lokalnych korporacji, politycy i kilka gwiazd sportu.

Dostrzegł Marcellę natychmiast, kiedy weszła. Nie dało się jej nie zauważyć, nawet w przyćmionym świetle baru.

Była odziana w czerwień, niezbyt subtelnie, ale nic w jej postaci nie wskazywało, że ma zamiar bawić się w subtelności. Jej czarne włosy okalały luźnymi falami piękną twarz. Na ustach miała szminkę tej samej barwy co sukienka, lecz jej oczy miały wyraźny niebieski odcień.

Stell oczywiście widział zdjęcia. Żadne z nich nie oddawało Marcelli Riggins sprawiedliwości.

Dyrektor widział, że głowy gości odwracają się w jej kierunku, kiedy szła ku stolikowi na samym środku restauracji. Wziął szklanekę z baru i podążył za nią.

Kiedy go zobaczyła, jej czerwone wargi rozchyliły się w uśmiechu.

– Mark – powiedziała takim tonem, jakby jego imię było bronią. – Tak się cieszę, że zdecydowałeś się przyjść.

Jej głos był ciepły, lekko zachrypnięty.

– Dobry wieczór, pani Riggins – przywitał się Stell, siadając naprzeciwko.

– Pani Morgan – poprawiła go, a kelner postawił obok jej łokcia kieliszek czerwonego wina. – Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, nie czuję się już dłużej zobowiązana do używania nazwiska męża. Poza tym proszę, mów mi Marcella.

Mówiła z beztróską pewnością siebie, wodząc złotym paznokciem po krawędzi kieliszka, a Stell nagle zdał sobie sprawę, że cechą Marcelli, której fotografowie nie zdołali ująć na zdjęciach, nie była uroda, tylko coś innego.

Coś, co już wcześniej widział. U Victora Vale'a. U Elia Evera.

Rzadko występująca siła. Niebezpiecznie potężna wola.

„Ktoś dysponujący taką mocą nadaje się tylko do piachu”.

Nagle zrozumiał, skąd wzięła się deklaracja Elia i jego zdecydowany upór w tej sprawie. Dłoń dyrektora powędrowała ku kaburze z pistoletem.

„Jeżeli nie zabijesz jej teraz, gorzko tego pożałujesz”.

Jego palce musnęły bezpiecznik.

Marcella tylko się roześmiała.

– Daj spokój, Mark. Na pewno zauważyłeś, że w moim przypadku broń jest nieskuteczna.

Stell widział oczywiście nagrania przedstawiające Marcellę na zdemolowanym balkonie i odbijające się od niej pociski snajpera. Widział również w tle chudego mężczyznę w ciemnym garniturze. Tego samego, który teraz siedział kilka stołów dalej w ciemnych okularach, mimo że światło w restauracji było przyćmione. Układ ramion mężczyzny i kąt, pod jakim obrócił twarz, sugerowały, że patrzy w ich kierunku.

Stell domyślił się, że to kolejny PonadPrzeciętny.

– Nie zwracaj uwagi na Jonathana – powiedziała Marcella. – Nie chodzi o to, że ci nie ufam, Mark – dodała życzliwie. – Ale, rozumiesz, musimy się lepiej poznać.

Przed dyrektorem pojawiła się następna whiskey. Nie pamiętał, żeby skończył pierwszą, ale szklanka była pusta. Uniósł nową, pociągnął łyk i zniechęcony, rozpoznając smak.

Trzymał tę whiskey we własnym mieszkaniu, tę samą markę i odmianę. Nalewał jej sobie tylko wówczas, kiedy chciał uczcić coś szczególnego.

Marcella uśmiechnęła się porozumiewawczo. Założyła nogę na nogę odwrotnie niż przedtem, a jej stalowe obcasy zaśliznęły przy tym na skraju jego pola widzenia niczym ostrza noży.

– Powiedz mi – zapytała, obracając nóżkę kieliszka między palcami – czy kazałeś otoczyć to miejsce?

– Nie – odparł zdecydowanie. – Wierz albo nie, ale nie zależy mi na tym, żeby ktokolwiek wiedział, że rozmawiam z terrorystką.

Marcella wyduła wargi.

– Trzeba czegoś więcej niż ostre słowa, żeby mnie zranić, Mark. – Wypowiedziała jego imię tak, jakby było nóżką kieliszka, którą można się bawić.

– Chciałaś się spotkać – powiedział krótko. – Dlaczego?

– PION.

– O co ci chodzi?

– Wygląda na to, że próbujesz się do nas dobrać w związku z tym, czym jesteśmy, nie „kim”. Taki bezmyślny atak jest objawem krótkowzroczności, mówiąc najłagodniej. – Marcella odchyliła się na krześle. – Po co robisz sobie kolejnego wroga, kiedy możesz mieć sprzymierzeńca?

– Sprzymierzeńca... – powtórzył wolno Stell. – Co takiego mogłabyś mi zaoferować?

Odpowiedział mu leniwy karmazynowy uśmiech.

– To zależy, czego chcesz. Mniej przemocy? Bezpieczniejszych ulic? Ostatnio zorganizowana przestępczość wymyka się spod kontroli.

Stell uniósł brew.

– Myślisz, że potrafisz wpłynąć na mafię?

Teraz uśmiechnęła się doprawdy olśniewająco.

– Nie słyszałeś najnowszych wieści? Teraz to ja jestem mafią. – Wystukała niecierpliwie rytm paznokciami po stole. – Nie, przecież ty chcesz zapłaty w naturze, prawda? Wolisz coś innego? Chcesz... PonadPrzeciętnych.

– Sprzedałabyś własny rodzaj?

– Własny... co? – zadrwiła. – A kim oni dla mnie są?

Stell zerknął w kierunku mężczyzny w ciemnym garniturze. Marcella złowiła wzrokiem jego spojrzenie.

– Obawiam się, że June i Jonathan nie są na sprzedaż. Należą do mnie. Na pewno jednak istnieją inni, którzy wymykają ci się z rąk?

Dyrektor się zawahał. Oczywiście, niektórych PonadPrzeciętnych było trudniej ująć niż innych, ale jak dotąd tylko jednego nie udało się złapać.

– Jest pewna osoba PP – zaczął powoli – która najwyraźniej wzięła na cel innych PonadPrzeciętnych. – Nie rozwodził się nad szczegółami, nie opowiedział o hipotezie Elia dotyczącej motywacji zabójcy lub zabójców. – Jak dotąd zabiła siedmioro innych PP.

Marcella otworzyła szeroko oczy w udawanym zdumieniu.

– A to przypadkiem nie jest twoje zadanie?

– Nie popieram zabijania bez potrzeby – skwitował Stell. – Niezależnie od tego, czy ofiara była człowiekiem, czy nie.

– Rozumiem. Masz swoje zasady.

– Te zasady to jedyny powód, dla którego zgodziłem się na to spotkanie. Ponieważ mam dosyć grzebania dobrych żołnierzy...

– I ponieważ nie wymyśliłeś, jak mnie powstrzymać – przerwała mu Marcella. Stell przelknął ślinę i próbował coś powiedzieć, ale tylko machnęła dłonią. – To twoja ostatnia deska ratunku. Z jakiego innego powodu zasiadłbyś do stołu z terrorystką?

– Chcesz zawieszenia broni czy nie? – zapytał sucho dyrektor.

Marcella wpatrzyła się uważnie w wino.

– Co do tego PonadPrzeciętnego... mam szukać od zera czy dasz mi jakiś trop?

Stell wyciągnął z kieszeni notatnik i nagryzł listę na jednej z kartek, a potem ją wydarł.

– To ostatnie pięć miast, w których uderzył – wyjaśnił, przesuwając papier na drugą stronę stołu.

Marcella wsunęła kartkę do torebki bez czytania.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Masz dwa tygodnie – ostrzegł ją Stell.

Był to dość długi okres, by zdążyć coś znaleźć, ale nie dość długi, by mogła sobie pozwolić na marnowanie czasu. Miała rację i jednocześnie się myliła. To nie była ostatnia deska ratunku. Stell w rzeczywistości wiedział, jak ją powstrzymać, ale nie był to sposób, na który zgodziły się bez wahania. Dwa tygodnie dadzą mu czas do namysłu, pozwolą opracować plan, a jeżeli nie znajdzie alternatywnej metody, podejmie decyzję, co jest gorsze: zostawić Marcellę w spokoju czy wypuścić na wolność Elia.

– Dwa tygodnie... – zastanowiła się na głos Marcella.

– Tyle czasu możesz sobie kupić, wykonując to zadanie – oświadczył Stell. – Jeżeli uda ci się odnaleźć mordercę, to zapewne będziemy mogli kontynuować rozmowy i dojść do jakiegoś konsensusu. Jeśli zawiedziesz, to obawiam się, że PION nie będzie mógł dłużej tolerować twojej działalności.

– Oto mężczyzna, który wie, czego chce – powiedziała Marcella z kocim uśmiechem.

– Jest jeszcze jeden warunek: przestań wzbudzać takie zainteresowanie.

– Och, to będzie trudne – zakpiła.

– Dobrze, w takim razie przestań przyciągać uwagę swoją mocą – sprecyzował Stell. – Żadnych publicznych pokazów, żadnego popisywania się przy świadkach. Nie chcemy obrócić tego miasta w ruinę.

– Nie, tego na pewno byśmy nie chcieli – powiedziała Marcella czule. – Znajdę ci tego zabójcę, Mark, a ty w zamian odczepisz się od moich interesów i nie będziesz stawał mi na drodze. – Uniosła kieliszek. – Umowa stoi?

XVIII

DWA TYGODNIE WCZEŚNIEJ

PION

Eli w kółko oglądał nagrania z budynku National.

Ta misja powinna była przebiec szybko i sprawnie.

Ale jeżeli ktokolwiek próbował zadrzeć z Marcellą Riggins, błyskawicznie przekonywał się, że nie będzie mógł użyć określenia „szybko i sprawnie”.

– Powinieneś teraz świętować – powiedział duch Victora. – Czy nie tego chciałeś?

Eli nie odpowiedział. Skupił się na nagraniach z ataku, przeglądając je klatka po klatce. Patrzył, jak szkło się rozpryskuje, a pocisk – który powinien był trafić Marcellę w potylicę – rykoszetuje, krzesząc iskry z niewidzialnej tarczy.

Zatrzymał nagranie na tym kadrze, z namysłem stukając palcami w stół.

Szansa, że pojedyncza osoba PP będzie dysponowała więcej niż jedną zdolnością, była co najwyżej marna. Eli przypuszczał więc, że ta szczególna moc należała do jakiegoś trzeciego, jeszcze niezidentyfikowanego PonadPrzeciętnego, zapewne kryjącego się w cieniu, w głębi pokoju.

Troje PonadPrzeciętnych pracujących razem – już samo to było niezwykle. Osoby PP w ogromnej większości były samotnikami, izolującymi się z potrzeby lub z wyboru. Niewielu szukało podobnych sobie, jeszcze mniej ich znajdowało.

– My znaleźliśmy – zauważył Victor.

To prawda. Swego czasu obaj z Eliem doszli do tych samych wniosków: w liczbie siła, a współpraca PonadPrzeciętnych ma olbrzymi potencjał.

A teraz najwyraźniej Marcella wprowadzała te wnioski w życie.

Eli przewinął nagranie do przodu i patrzył, jak zasypywana gradem pocisków kobieta wychodzi na balkon. Patrzył, jak każdy karabinowy strzał rykoszetuje. Patrzył, jak Marcella unosi pistolet w kierunku snajpera.

W tym geście było coś beczelnie odważnego.

PonadPrzeciętni uciekali. PonadPrzeciętni się kryli.

Zagonieni w kącie czasami próbowali walczyć.

Ale nigdy nie robili... tego. Nigdy nie odgrywali dramatycznych ról. Nie używali swoich mocy z taką przyjemnością.

PonadPrzeciętni byli z definicji zepsuci; brak duszy, wewnętrzna pustka czyniły ich lekkomyślnymi; wiedzieli, że ich życie się zakończyło. Wszystko to popychało ich do kradzieży, niszczenia i autodestrukcji.

Marcella nie miała skłonności do autodestrukcji. Popisywała się, prowokowała przeciwników, wyzywała ich, by spróbowali jeszcze raz, mocniej.

Unicestwiła swojego męża – co miało sens, jako akt zemsty, zamknięcie pewnego rozdziału. Ale potem zniszczyła również jego konkurentów. To nie było działanie kogoś, kto nie miał nic do stracenia. Nie, to wyglądało na realizację planu przez kogoś, kto ma wiele do zyskania! To był objaw ambicji. A ambicja plus PonadPrzeciętna moc – to oznaczało bardzo niebezpieczne połączenie.

Co by zrobiła, gdyby zostawiono ją w spokoju?

Widmo w jego głowie trafiło w sedno: prosił o znak, że jest potrzebny, że ma rację.

Nie można pozwolić na dalszą działalność Marcelli. Stell wkrótce zda sobie sprawę, jeśli jeszcze to do niego nie dotarło, że jedyną osobą, która może zakończyć jej karierę, jest właśnie Eli.

Zza pleksiglasu dobiegł go odgłos kroków. Podniósł wzrok znad komputera, gdy za ścianą pojawił się dyrektor.

– O, jesteś – powiedział Eli, wstając z krzesła. – Przejrzałem wszystkie nagrania z nieudanej egzekucji i wynika z tego, że w tym przypadku potrzebujemy indywidualnego podejścia, zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę, że... – umilkł, widząc, że Stell umieszcza we wnęce nową teczkę z aktami. – Co to jest?

– Mamy zgłoszenie o podejrzanym o PonadPrzeciętność, dwie godziny jazdy na południe od Merit.

– A co z Marcellą? – Eli zmarszczył brwi.

– Nie jest jedynym celem PION-u.

– Ale najniebezpieczniejszym. W ciągu trzech dni nawiązała współpracę z dwójgim innych PonadPrzeciętnych. Co mamy zamiar zrobić z...

– Nie: „mamy”. Nie ma żadnych „nas” – przerwał mu bezceremonialnie Stell. – Twoja praca polega na analizowaniu akt, które ci przynoszę. A może zapomniałeś, że żyjesz na łasce i niełasce PION-u?

– W Merit działa obecnie troje PonadPrzeciętnych, i to razem, a ty masz zamiar ich zignorować? – wycedził Eli.

– Nie ignoruję nikogo i niczego – odparł Stell – ale nie możemy sobie pozwolić na kolejną porażkę. Musimy postępować z Marcellą i jej partnerami bardzo ostrożnie. Masz dwa tygodnie, by opracować to „indywidualne podejście”, o którym wspominałeś.

Eli się wyprostował.

– Dlaczego akurat dwa tygodnie?

Dyrektor zawahał się z odpowiedzią.

– Ponieważ – odpowiedział powoli – tyle czasu jej dałem, żeby dowiodła swojej wartości dla nas.

Eli wydawał się wstrząśnięty.

– Zawarłeś umowę? Z PonadPrzeciętną?!

– Świat nie jest czarno-biały – odparł Stell. – Czasami istnieją inne możliwości.

– A gdzie były moje?! – wrzasnęła Eli. – Mnie dałeś tylko dwie: laboratorium albo cela!

– Zabiłeś czterdzieścioro ludzi.

– A ilu zabiła dotąd Marcella? I ilu jeszcze zniszczy, zanim uznasz, że trzeba ją usunąć? Stell nie odpowiedział.

– Jak mogłeś być tak głupi?!

– Lepiej pamiętaj, gdzie jest twoje miejsce! – ostrzegł dyrektor.

– Dlaczego? Powiedz mi, dlaczego poszedłeś z nią na układ?! – Ale oczywiście doskonale znał odpowiedź. Stell był gotów posunąć się tak daleko, żeby trzymać go w tej celi, jak w klatce, pod kontrolą. – Co miałeś na myśli – wydusił Eli – mówiąc, że ma dowieść swojej wartości?

– Dałem jej misję. Może odniesie sukces tam, gdzie tobie się nie udało.

Eli znieruchomiał. Nie! Otwarta sprawa. Nierozwiązany przypadek. Victor.

– Myśliwy jest mój! – zawył.

– Miałeś dwa lata – oznajmił Stell. – Już czas na świeże spojrzenie.

Eli nie zdawał sobie sprawy, że podchodzi do pleksiglasowej ściany, dopóki nie walnął w nią pięścią.

Tym razem gest nie był wyrachowany. Uderzył w ścianę z czystej wściekłości, gdy gwałtowne emocje domagały się gwałtownego działania. Poczul ukłucie bólu, a ściana ostrzegawczo zabuczała, ale zdążył cofnąć dłoń, zanim włączył się prąd.

Na usta Stella wypłynął ponury uśmiech.

– Teraz możesz pracować dalej.

Eli patrzył za odchodzącym dyrektorem, dopóki pleksiglas nie zmatowiał do zwykłej bieli, a potem odwrócił się i usiadł na podłodze, oparty plecami o ścianę.

Cała jego cierpliwość i subtelne naciski na nic się nie zdały. Grunt pod nim zadrżał, tak jakby miał się za chwilę rozstąpić. Jeden fałszywy krok i pochłonie go ziemia, straci szansę, by dopaść zarówno Victora, jak i Marcelle. Nie dokona się sprawiedliwość, a Eli już na zawsze pozostanie uwięziony. Być może już było za późno.

Obejrzał wierzch swojej dłoni, z kostkami, na których wciąż jeszcze widać było rozsmarowaną krew.

– Ilu jeszcze umrze w imię jego dumy? – zapytał Victor.

Eli podniósł głowę i zobaczył, że znajome widmo znowu przed nim stoi.

Pokręcił głową.

– Stell prędzej pozwól spłonąć całemu miastu, niż przyzna, że jesteśmy po tej samej stronie.

Victor wpatrzył się w ścianę tak, jakby wciąż była przezroczysta.

– Nie wie, jaki jesteś cierpliwy – powiedział. – Nie zna cię tak dobrze jak ja.

Eli wytarł krew z dłoni.

– Nie – powiedział cicho. – Nikt nigdy nie poznał mnie tak dobrze.

XIX

DWA TYGODNIE WCZEŚNIEJ

FIRST AND WHITE

June pogwizdywała cicho, zmywając krew z dłoni.

Marcella wyszła z penthouse'u w czerwonej sukience, z Jonathanem towarzyszącym jej niczym cień. Nie powiedziała, dokąd idzie ani kiedy wróci, nie zaprosiła też June, której to jednak w niczym nie przeszkadzało. Być może Jonathan lubił chodzić za Marcellą jak wierny pies, ale June wolała pracować sama.

Co jednak nie oznaczało, że lubiła samotność, ciszę i pustą przestrzeń wokół. Bezczyność jest matką wszelkiego zła, jak mawiali starożytni Grecy. Właśnie dlatego June miała teraz dłonie upaprane cudzą krwią.

Nie przyjęła nowego zlecenia od ponad tygodnia. Nie musiała. Hutch był ostatnią pozycją na jej osobistej liście, tymczasem Marcella opracowała nową rozpiskę tych, których określała jako przeszkody – kobiet i mężczyzn, którzy najprawdopodobniej mieliby coś przeciwko jej nagłej karierze – więc za każdym razem, kiedy June zaczynała się nudzić, po prostu szła i likwidowała kilka osób.

Marcelli to najwyraźniej nie przeszkadzało.

Niektórzy ludzie byli jak zapalki – szybki błysk i prawie żadnego ciepła. Część była jak piecyki – bardzo gorący, ale dający niewiele światła. A czasem, bardzo rzadko, zdarzali się tacy jak ognisko – gwałtowni i lśniący niczym płomień, a do tego tak gorący, że nie dało się stać zbyt blisko, żeby się nie poparzyć.

Marcella była jak ognisko.

Oczywiście nawet te w końcu wygasają, kiedy wszystko w pobliżu obróciło się już w popiół. Tymczasem jednak June podziwiała ambicję kobiety i musiała przyznać, że właściwie ta współpraca bardzo jej się podoba.

Brakowało jej tylko cichego śmiechu Sydney i jej pogodnej miny...

June zakręciła wodę, wytarła ręce i popatrzyła w oczy swojemu odbiciu.

Nie. Nie swojemu. Nie widziała w lustrze swoich piwnych oczu ani kasztanoworudych włosów... ani piegów.

Odkryła jednak, że coraz częściej pozostaje przy takiej postaci – brązowe włosy, zielone oczy, trójkątna twarz. Czuła się trochę dziwnie, zachowując tę samą twarz przez dłuższy czas, dość długo, by inni ją zapamiętali.

„I co, było warto?” – zapytała ją kiedyś Sydney, tego wieczoru, kiedy przyznała się do porzucenia własnej twarzy, życia... do wyparcia się samej siebie. Było warto, tak, było, ale mimo to June nadal pragnęła, by od czasu do czasu ktoś ją rozpoznawał – by była dostrzegana i znana.

Mogła być teraz dowolną osobą, miała do dyspozycji milion postaci, ale próbowała się nie przywiązywać do żadnej z nich. Poza tym ludzie umierali, a wówczas ich powierzchowność zniknęła z jej kolekcji (czasami nawet nie wiedziała, że odeszli, dopóki nie zaczynała ich szukać).

Tylko jeden kształt miała do dyspozycji zawsze i wszędzie – lecz właśnie tego nie chciała przybierać.

Usłyszała odgłos otwieranych drzwi, a zaraz potem znany stuk obcasów Marcelli na marmurowej podłodze. Wstała i podeszła, żeby się przywitać, mijając Jonathana zmierzającego na balkon z papierosem w zębach. Marcella właśnie zdejmowała biały trenz.

– Co tam knujesz? – zapytała June, opierając się o ścianę.

– Nawiazywałam kontakty – oznajmiła Marcella i wyciągnęła z torebki kawałek papieru. – Ponieważ masz talent do znajdowania ludzi...

– Mam talent do zabijania ludzi – poprawiła June. – Znajdowanie ich to niezbędna dodatkowa umiejętność.

– Tak czy inaczej, mam dla ciebie robotę. – Podała jej kartkę. – Wiesz, kto zabija PonadPrzeciętnych?

– Tak, ludzie z jednej takiej organizacji – odparła June. – Nazywa się PION.

Marcella zachnęła się.

– Mam na myśli innego PonadPrzeciętnego. Kogoś takiego jak my, zabijającego ludzi takich jak my. Uważam, że to dość wkurzające.

June rozwinęła kartkę i przebiegła wzrokiem listę.

Fulton

Dresden

Południowe Broughton

Brenthaven

Halloway

Znieruchomiała. Serce zabiło jej mocniej, bo rozpoznała te nazwy – i ich kolejność.

– Co to jest?

– Miasta, w których nasza osoba PP zabiła pięć ostatnich ofiar – wyjaśniła Marcella.

June nie wzięła do ręki telefonu, ale wiedziała, że gdyby to zrobiła, gdyby otworzyła listę esemesów od Sydney, zobaczyłyby, że pochodzą z tych samych miejsc. Dziewczynka za każdym razem szczerze odpowiadała na pytanie przyjaciółki.

„A gdzie teraz jesteście?”

June zawsze chciała to wiedzieć, ponieważ świat był wielki, a Sydney trzeba było chronić. Przeczytała listę ponownie.

A więc to tym zajmował się Victor. Dlatego cała trójka ciągle się przemieszczała. June wątpiła jednak, by był profesjonalnym zabójcą. To nie mogło być takie proste.

„Victor szuka kogoś, kto będzie potrafił mu pomóc”.

Może to była prawda? Może Victor był tylko skrupulatny? Zacierał za sobą ślady? To miało sens, jeśli się pamiętało, że został uznany za zmarłego.

– Jeszcze raz, żeby wszystko było jasne – powiedziała June, chowając kartkę do kieszeni. – Mamy osobę PP zabijającą innych PonadPrzeciętnych. A ty chcesz ją znaleźć.

– To PION chce ją znaleźć – uściśliła Marcella. – A ja mam im w tym pomóc.

June roześmiała się, krótko i niewesoło, po czym zapytała:

– Czy to miałaś na myśli, mówiąc o nawiazywaniu kontaktów?

– Tak, owszem – przyznała Marcella. – Mówiłam ci, że się nimi zajmę. Musiałam jednak rzucić im jakąś kość, a do wyboru miałam albo ciebie i Jonathana, albo tę sprawę. – Oparła się na marmurowym kontuarze. – Dali mi dwa tygodnie na znalezienie tego PonadPrzeciętnego zabójcy.

– A jeżeli się nie wyrobisz w terminie?

– Och – zastanowiła się Marcella, wodząc palcem po żyłkach w marmurze. – Dyrektor Stell zapewne uzna, że sprawiam więcej kłopotu, niż jestem warta.

– Nie wygląda, żeby cię do martwiło – powiedziała June.

– Facet mnie nie docenia. Nie wie, co potrafię zrobić w ciągu dwóch tygodni. Tymczasem jednak wolałabym, żebyśmy odszukali tego PonadPrzeciętnego.

Umysł June pracował gorączkowo, ale starała się, by jej głos zabrzmiał bez troski.

– A co z nim zrobisz, jak go znajdziemy?

– A wiesz – odparła Marcella – że jeszcze nie zdecydowałam.

XX

PÓLTORA TYGODNIA WCZEŚNIEJ

ŚRÓDMIEŚCIE WHITTON

June wysłała wiadomość do Sydney w drodze do samochodu, a potem siedziała za kierownicą, dopóki nie zobaczyła trzech kropek.

Syd: Whitton

Wprowadziła lokalizację do nawigacji i wrzuciła bieg, kiedy tylko na ekranie pojawiła się trasa.

Dalej było już łatwo.

„Jaki masz widok z okna?” – zapytała. „Opowiedz, co widzisz”.

Prosta sprawa, po latach podobnych kontaktów poruszana wręcz rutynowo. Zadając takie niewinne pytania, próbowały zmniejszyć dzielący je dystans. June szybko dowiedziała się, że Sydney, Victor i Mitch zatrzymali się w jakimś apartamentowcu, dziesięciopiętrowym bloku z jasnego kamienia na ulicy pełnej takich samych budynków. Jedyną odmianą był mały park na rogu i jaskrawe flagi na hotelu naprzeciwko.

June zameldowała się w tym samym hotelu następnego dnia i czekała. Czekwała na dowód, że Victor jest PonadPrzeciętnym zabójcą, tą osobą, której szuka Stell, a którą przyrzekła znaleźć Marcella.

Czekała trzy dni.

Victor wychodził i wracał, powoli, niezmordowanie zataczając koła po mieście, a June śledziła go z pewnej odległości, robiąc mu zdjęcia telefonem. Na razie jednak nie zrobił jeszcze nic podejrzanego. June zaczynała się niecierpliwić.

Mimo to trzy dni nie były zmarnowanym czasem. Udało jej się zobaczyć Sydney – oczywiście sama się nie ujawniła, na to nadejdzie czas później – ale kiedyś poszła za Mitchem i Sydney do kina, usiadła bezpośrednio za nimi i udawała, że są tam razem, jak rodzina.

To było miłe.

Przez większość czasu June jednak czekała. Nienawidziła tego.

Przez stała na chodniku przed hotelem, przyjąwszy postać starego mężczyzny z papierosem w dłoni.

Co jakiś czas patrzyła w górę, czekając, aż odsuną się drzwi balkonu pięć kondygnacji wyżej i dwa mieszkania w bok i Sydney pojawi się w popołudniowym słońcu.

Kilka minut później dziewczynka faktycznie wyszła na balkon.

Słońce odbiło się od dobrze znanego blond boba. June uśmiechnęła się – mimo ciągłych skarg Sydney, dziewczynka rzeczywiście rosła. Zmiany były oczywiście nieznaczne, ale June знаła ludzi wystarczająco dobrze, by dostrzegać takie subtelności, nawet jeżeli miały mniej wspólnego ze wzrostem i wagą, a więcej z postacją, mimiką i gestykulacją.

Sydney wyjaśniła jej problem ze starzeniem się w okolicach swoich szesnastych urodzin. Chodziło o to, że chłód, a dokładnie hipotermia, którą przeżyła Sydney, spowolniła u niej wszystkie procesy, a przynajmniej taką hipotezę wysnuł Victor. Dziewczynka skarżyła się, że jeśli dalej będzie rosła w tym tempie, zostanie wieczną nastolatką. Potem jednak June

wskazała jej, że to samo dotyczyć będzie lat między dwudziestką a trzydziestką, czyli – z jej doświadczenia – najlepszych w życiu. Sydney zamilkła wówczas na dłużej, a między miastami zapanowała cisza.

– A w moje trzydzieste urodziny – odpowiedziała w końcu – wszyscy, których znam, będą już martwi. Poza Eliem.

Eli. Sposób, w jaki Sydney wymawiała to imię przy różnych okazjach, wskazywał, że boi się mówić zbyt głośno, tak jakby w ten sposób mogła go przywołać.

– A co z tobą? – zapytała dziewczynka z nagłą ciekawością. – Czy ty się starzejesz?

June się zawahała. Czasem zerkała na postać, która spoczywała z tyłu jej szafy, a której nigdy nie zakładała. Wydawała się nieruchoma i zakurzona po latach nieużywania, ale nie dało się przegapić faktów.

– Niestety tak.

Teraz June patrzyła, jak Sydney zapada w fotel na balkonie, z głową pochyloną nad telefonem, i kładzie nogi na grzbiecie wielkiego czarnego psa, któremu jednak w ogóle to nie przeszkadzało.

Kilka sekund później komórka June brzęknęła cicho.

Syd: Wciąż jesteś w Merit?

Przechyliła głowę, napawając się ciepłem dnia i błękitnym niebem, i skłamała:

June: Tak. Trochę pada. Mam nadzieję, że macie lepszą pogodę.

Drzwi bloku otworzyły się i wyszedł z nich, osłaniając oczy od słońca, człowiek podobny do upiora. June widziała ostatnio Victora Vale'a trzy lata temu. Teraz nie wyglądał dobrze. Twarz miał zbyt chudą i pobrużdżoną, a policzki zapadnięte. Zmieniła się również jego postawa – wydawało się, jakby miał w środku sznur, napięty tak mocno, że jeszcze trochę, a mógłby pęknąć.

„Potrafi krzywdzić ludzi”. Tak powiedziała Sydney.

Jednak June śledziła go przez kilka dni i nie zauważyła, żeby chociaż raz użył swojej mocy, poza tym, że ludzie na chodniku zawsze ustępowali mu miejsca. Nie wyglądał wcale na potężnego PP.

„Jest chory. I to przeze mnie”.

Victor ruszył w kierunku przecznicy. June zgasiła papierosa i podążyła za nim, mieszając się z grupką przechodniów. Na każdym skrzyżowaniu nieznanymi szli w swoim kierunku, ale na ich miejsce pojawiali się inni, a June przez cały czas miała Victora w zasięgu wzroku. Poruszał się przez miasto niczym duch, powoli opuszczając eleganckie centrum i kierując się w stronę zaniedbanych kwartałów, aż w końcu stało się jasne, że zmierza do dzielnicy znanej jako Brickworks.

Jej granice wyznaczały cztery przysadziste ceglane magazyny, niczym filary albo znaki na kompasie, a pomiędzy nimi rozciągała się sieć barów, punktów bukmacherskich, klubów ze striptizem i bliżej nieokreślonych miejsc, w których można było załatwić rozmaite ciemne interesy.

Nie potrzeba było barierki ani ogrodzenia, by zaznaczyć, gdzie przyzwoite sąsiedztwo ustępowało nieciekawemu. June mieszkała dość długo w okolicach należących do obu tych typów, by odróżnić je nawet po omacku. Nowe, stalowe konstrukcje znikwały, a pojawiały się stare, kamienne. Lśniące okna z podwójnymi szybami zmieniały się w brudne, zasnutę pajęczynami. Farba odpryskiwała ze ścian, których nikt nie odmalowywał od lat. Na chodnikach błyszczały odłamki stłuczonych butelek.

Brickworks nawet nie usiłowało udawać porządknej dzielnicy.

W niewielu miejscach można było załatwić szemrane interesy o tak wczesnej porze dnia, a biorąc pod uwagę, jak powszechny był to proceder, June zgadywała, że lokalna policja osiągała niezłe dochody, przysmykając oko na to, co się tu działo. Gdy przekroczyła niewidzialną granicę, zmieniła się w członka motocyklowego gangu, chudego starucha, sama skóra i kości, z wytatuowanymi ramionami.

Victor nie po raz pierwszy zapuszczał się w te okolice. Najwyraźniej kogoś szukał, jednak w świetle dnia trudno było go śledzić z bliska, do tego labirynt budynków nie ułatwiał zadania. June zwiększyła więc dystans, a kiedy spłowiła głowa mężczyzny zniknęła w drzwiach na zapleczu jakiegoś baru, zmieniła taktykę. Wróciła na ulicę i krążyła, aż znalazła na wpół przerdzewiałą drabinę, zwisającą z mało stabilnej konstrukcji schodów przeciwpożarowych.

Wspięta się po nich na dach najbliższego magazynu, zdzierając butami smołę, a tymczasem na dole gwałtownie otworzyły się drzwi. Przebiegła po dachu w odpowiedniej chwili, by zobaczyć, jak poniżej jakiś mężczyzna wpada na stos pustych skrzyń, mamrocząc przekleństwa.

Kilka sekund później w polu widzenia pojawił się Victor. Nieznajomy facet wstał z ziemi i ruszył w jego kierunku, by natychmiast zatrzymać się i uklęknąć, jakby uderzony.

Chłodny głos Victora unosił się w powietrzu jak dym.

– Zapytam cię jeszcze tylko raz...

Mężczyzna coś powiedział, ale zbyt cicho, by June go zrozumiała. Victor jednak wyraźnie go usłyszał. Poruszył ręką, unosząc ją, co sprawiło, że tamten stanął na równe nogi, a wówczas Victor strzelił mu prosto w głowę.

Tłumik wyciszył odgłos strzału, ale jego energii już nie. Krew trysnęła szerokim wachlarzem na cegły, a mężczyzna upadł na ziemię bez życia. Sekundę później pod Victorem również ugięły się nogi. Jego sylwetka, wcześniej napięta jak struna, zaczęła wiotczeć. PonadPrzeciętny zatoczył się aż pod przeciwległą ścianę. Przeciągnął dłońią po włosach i oparł głowę o mur, patrząc w górę.

June rzuciła się w tył, wstrzymując oddech, czekając na jakiś znak, że ją zauważył, ale Victor patrzył dużo dalej, gdzieś w przestrzeń. Usłyszała jego miarowe, powolne kroki, a kiedy zaryzykowała kolejne spojrzenie ponad krawędzią dachu, zniknął już za rogiem.



June odnalazła go znowu na granicy Brickworks. Poszła za nim, utrzymując stałą, bezpieczną odległość mniej więcej połowy kwartału, wybierając równocześnie numer Marcelli.

Zanim wcisnęła „Zadzwoń”, zawahała się przez chwilę, nie dlatego, by miała jakiegokolwiek wątpliwości, ale dlatego, że wypowiedziane słowa obciążone były pewnymi konsekwencjami, dotyczącymi nie tylko Victora. Wystawianie go na cel PION-owi oznaczało, że Sydney również znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Ale przecież June będzie na miejscu, żeby zapewnić bezpieczeństwo swojej dziewczynce.

Usłyszała jeden sygnał, a potem Marcella odpowiedziała.

– Tak?

June spojrzała na mężczyznę w czerni.

– To facet. Nazywa się Victor Vale.

– Szybko się uwinęłaś – stwierdziła Marcella. – Jesteś pewna, że to jego szukamy?

– Zdecydowanie.

– Jaką ma zdolność?

– Potrafi zadawać ból.

June usłyszała uśmiech w głosie Marcelli.

– O, to interesujące. Czy jest sam?

– Tak – odparła. – O ile mi wiadomo.

Skłamała bez wysiłku. Po wielu latach treningu przychodziło jej to całkiem łatwo.

Poza tym Sydney należała do niej, a June nie wiedziała, czy chce się nią dzielić. Jeżeli mogłaby jakoś przenieść dziewczynkę do Merit, to może... Gdyby Marcelli się udało, gdyby nadeszły czasy, w których PonadPrzeciętni nie będą już musieli się ukrywać ani uciekać... June wiedziała, że Sydney miała już dość uciekania. Póki co nie musiała jeszcze informować Marcelli o istnieniu przyjaciółki. Jeszcze nie teraz.

– Zostaję tutaj – ciągnęła. – Będę miała oko na wszystko. Nie chciałabym, żeby Victor się wyslizgnął. – Szczercze mówiąc, nie obchodziło jej, czy PION położy na nim łapy, ale nie miała zamiaru pozwolić, by Sydney wpadła w tę samą pułapkę. – Chyba że mnie potrzebujesz?

– Nie – odparła Marcella. – Przeżyjemy jeszcze trochę bez twojego oszałamiającego poczucia humoru.

– Wiem, że za mną tęsknicie. Czy w Merit już postawiono pomnik na twoją cześć?

Kobieta się roześmiała.

– Jeszcze nie – odpowiedziała – ale już niedługo.

A June nie potrafiła rozpoznać, czy to był tylko żart.



Idąc za Victorem, June rozważała pomysł, by zabić go tu i teraz.

Wiedziała, że nie powinna tego robić, ale pomysł wydawał się kuszący. Na pewno uprościłoby to sprawę. Była przekonana, że poradziłyby sobie z nim – ból nie był najmniejszym problemem, lecz fizyczna kontrola nad ludźmi mogłaby nieco utrudnić całą operację. Mimo to... June uwielbiała wyzwania. Obracała tę koncepcję w myślach niczym motylkowy nóż. Przecież Marcella planowała przekazać Victora PION-owi. Czy jego likwidacja nie byłaby aktem łaski? Dodatkowym plusem byłoby oczywiście to, że zabijając Victora, June uwolniłaby Sydney od zobowiązania i poczucia winy.

Wciąż jeszcze rozważała wszystkie za i przeciw, kiedy w połowie drogi Victor się potknął. Szedł teraz dużo wolniej i mniej pewnie. Zobaczyła, jak garbi się i przystaje, a potem rusza znów, szybciej i jakby rozpaczliwie.

Przyspieszyła kroku, lecz kiedy Victor przekroczył skrzyżowanie, światła się zmieniły i zasłonił go tłum przechodniów oraz trąbiące taksówki... i w tej samej sekundzie June go zgubiła.

Zaklęła i ruszyła niemal biegiem.

Nie mógł odejść daleko. Gdzie się podział, do licha?

Nie widziała go na głównej ulicy, co oznaczało, że wślizgnął się w boczną. Sprawdziła jedną, potem następną, ale dostrzegła go dopiero wtedy, gdy stanęła u wylotu trzeciej uliczki. Stał tyłem do niej, zgięty wpool, opierając się o ścianę. Ruszyła ku niemu, zmieniając się po drodze w kobietę w średnim wieku z mysimi włosami, wyglądającą niewinnie i niczym się niewyróżniającą. Już miała zapytać, czy wszystko w porządku, kiedy osunął się na ziemię.

Jednocześnie powietrze wokół niego zafalowało i sekundę później coś uderzyło June z siłą ciężarówki... gdyby ciężarówka budowano z powietrza, nie ze stali.

Odrzuciło ją w tył, a kiedy upadła na chodnik, jej poprzednia postać spelzła z niej. Ze zdumieniem poczuła, jak uderza o beton – nie w chwili, kiedy walnęła w nią energia Victora, ale ułamek sekundy później, kiedy jej potylicą zderzyła się z podłożem. Ból przewiercił jej głowę. Usiadła, rozcierając guz, ale gdy spojrzała na swoje dłonie, były oznaczone czerwienią. Zaparło jej dech, nie na widok krwi, ale przedramienia – dobrej znanej bladej skóry nakrapianej piegami.

Była sobą. Wrażliwą i wystawioną na ciosy sobą.

– Kurwa – mruknęła, wstając chwiejnie i zmieniając kształt – własne ciało – na inne, dygocząc z ulgi, kiedy cierpienie zniknęło wraz z ostatnim śladem jej prawdziwej postaci.

Wtedy przypomniała sobie o Victorze.

Siedział bez ruchu pod murem, z głową zwieszoną na piersi.

„Jest chory”, powiedziała jej wcześniej Sydney. „I to przeze mnie”.

Jednak leżący przed nią człowiek nie był tylko chory – był martwy. Nie miał pulsu, jego skóra przybrała nienaturalny kolor. June nie dostrzegała żadnych oznak życia.

Zadziwiające – spędziła ostatnie kilka dni, przekonując samą siebie, żeby go nie zabijać, a on i tak umarł.

A przynajmniej na to wyglądało.

Ostrożnie zbliżyła się do trupa. Kucnęła i dotknęła jego ramienia. Coś przeskokczyło przez jej palce, zamigotało w umyśle. Wspomnienie. Nie wszystkie, nawet nie garstka – tylko jedno. Laboratorium. Ruda dziewczyna. Elektryczność. Krzyk. Wszystko to przebiegło przez nią jak uderzenie prądu, pojedynczy błysk, krótki i nieprawdopodobny, a potem zniknęło.

June wzdrygnęła się, potrząsnęła dłonią, wyciągnęła pistolet i przyłożyła mężczyźnie lufę do czoła. Niezależnie od tego, czy rzeczywiście zmarł, mogła sprawić, że pozostanie martwy już na zawsze. Bardzo jej to ułatwił. Może los jednak jej sprzyjał?

Odbezpieczyła broń i położyła palec na spuście.

A potem się zawahała. Miała tuzin powodów, żeby posłać Victora na tamten świat, i tylko jeden, który ją powstrzymywał.

Sydney.

Dziewczynka nigdy by jej tego nie wybaczyła. Poza tym June nie chciała odbierać przyjaciółki Victorowi w ten sposób. Wołała zdobyć ją w uczciwej grze. Powiedziała jej kiedyś, że każdy powinien móc wybierać sobie rodzinę, a nie zwykła rzucać słów na wiatr.

June chciała, by Sydney wybrała tylko ją.

Dlatego opuściła pistolet. Właśnie chowała broń pod płaszcz, gdy nagle Victor... poruszył się! June o mało co sama nie wyzionęła ducha ze strachu.

Niewiele rzeczy potrafiło ją ostatnio zaskoczyć, ale widok dygoczącego Victora Vale'a wracającego do życia sprawiło, że włosy stanęły jej dęba. Palce mężczyzny drgnęły, pod skórą przebiegł widoczny impuls, a potem jego pierś uniosła się, kiedy zaczerpnął powietrza, otworzył oczy i spojrzął na nią.

– Chryste! – wykrzyknęła June, kładąc dłoń na bijącym gwałtownie sercu. – Myślałam, że pan nie żyje!

Przez chwilę Victor patrzył na nią nieobecny wzrokiem pijanego lub kompletnie zagubionego człowieka, a potem nagle w jego oczach pojawiła się iskra zrozumienia.

Jeżeli nawet był zaskoczony, że siedzi pod murem na ziemi, nie dał tego po sobie poznać. Zaczął coś mówić, ale natychmiast przerwał, po czym wyciągnął z ust mały czarny przedmiot. Ochraniacz na zęby. June zrozumiała, że nie po raz pierwszy przeżył coś podobnego.

Patrzył teraz na nią chłodno.

– Znam cię? – zapytał zwyczajnym głosem, nie ochrypłym ani zdezorientowanym.

– Chyba nie – odparła June, czując jednocześnie ulgę, że zdążyła się zmienić w rozbrajającą czarnowłosą nastolatkę, tę samą, którą była w gabinecie Hutchy. – Przechodziłam akurat i zobaczyłam pana na ziemi. Mam zadzwonić po karetkę?

– Nie – powiedział spokojnie Victor, wstając.

– Bez obrazy, ale chwilę temu nie wyglądał pan najlepiej.

– To taka choroba.

„Gówno prawda”, pomyślała June. Atak choroby, na przykład epilepsji, wyglądał inaczej. Przed chwilą widziała martwego człowieka.

– Teraz już wszystko w porządku – powiedział uspokajająco.

To akurat wydawało się prawdą. Wszystko jedno, na czym polegał atak, teraz nie zostało po nim śladu. Mężczyzna, który przed nią stał, wydawał się opanowany. Odwrócił się i ruszył ku wylotowi uliczki.

June mogła teraz do niego strzelić, prosto w potylicę, ale jednocześnie z jakiegoś dziwnego powodu zdawała sobie sprawę, że gdyby nawet sięgnęła po broń, nie zdołałaby oddać strzału.

Powietrze wokół wibrowało mocą – ale nienależącą do June. Dlatego jej ręka zwisała swobodnie przy boku, kiedy dziewczyna patrzyła za odchodzącym Victorem, przeklinając się w myślach.

Powinna była go zabić, kiedy miała szansę.

XXI

TYDZIEŃ WCZEŚNIEJ ŚRÓDMIEŚCIE WHITTON

Moc Sydney Clarke rośła.

Wskreszyła po pierwszym ptaku jeszcze trzy kolejne, za każdym razem wykorzystując coraz mniej i mniej szczątków.

Właśnie wypuszczała efekt swojego najnowszego sukcesu przez okno, kiedy usłyszała odgłos zamykanych drzwi do apartamentu. Victor wrócił do domu.

Nie powiedziała mu jeszcze o sukcesach – wiedziała, że byłby z niej dumny i chciała zobaczyć, jak pewnego dnia ta duma pojawia się w jego oczach – ale wolała nie zapeszyć; nie chciała, by dostrzegł motywację, jaka ją napędzała, prawdziwy powód jej ćwiczeń.

Victor potrafił przejrzeć innych na wylot.

Zamknęła okno i ruszyła ku drzwiom do salonu, jednak w pół drogi zwolniła, czując, jak w gardle rośnie jej gula.

Dwa głosy za drzwiami były przytłumione, ale słyszała, co mówią.

Victor, nisko i stanowczo:

– Okazał się niezgodny.

Niepewna odpowiedź Mitcha:

– To był ostatni...

Coś ścisnęło żebra Sydney.

„To był ostatni”.

Przycisnęła dłoń do mostka, próbując powstrzymać drzenie. Zdała sobie sprawę, że ostatnia nadzieja właśnie wyslizguje jej się z dłoni.

Victor odpowiedział na to tylko:

– Rozumiem.

Tak jakby był to tylko drobny problem, a nie zapowiedź rychłego pogrzebu.

Przycisnęła głowę do drzwi swojej sypialni, zapominając o najnowszym sukcesie, i zaczęła, aż rozmowa za nimi dobiegnie końca. Dopiero wtedy wyszła na korytarz.

Drzwi do pokoju Victora były zamknięte, a Mitch stał na balkonie – ciemny kształt ze zwieszoną głową i ramionami opartymi o balustradę.

W kuchennym koszu na śmieci spoczywała na samym wierzchu zgnieciona kartka. Sydney wyciągnęła ją i rozprostowała na kontuarze.

To był ostatni profil PonadPrzeciętnego, jaki pozostał Victorowi.

Jego ostatni trop.

Strona została zamazana; pomiędzy czarnymi, grubymi liniami pozostały pojedyncze litery, układające się w napis:

N A P R A W M N I E.

Sydney wstrzymała oddech i zamknęła oczy. Wyobraźnia podsunęła jej obraz lodu na jeziorze, pękającego Victorowi pod nogami.

XXII

TYDZIEŃ WCZEŚNIEJ

ŚRÓDMIEŚCIE MERIT

Pod koniec pierwszego tygodnia Stell wiedział już, że popełnił straszliwy błąd.

Pojął to, gdy zobaczył potężny lej krasowy na środku Broadwayu. Zrozumiał, kiedy wezwano go do zawałonego budynku na Dziewiątej. Nie miał najmniejszych wątpliwości, kiedy wkroczył do sali balowej w hotelu Continental.

Szedł przez ogromną przestrzeń z maską przeciwigazową na twarzy. Bogato zdobiona, wysoko sklepiona sala balowa była popularnym miejscem imprez organizowanych przez biznesmenów i bogate rodziny. Stell zakładał, że ubiegłego wieczoru odbywało się jedno z takich przyjęć. Stoły wciąż były zastawione, a pod sufitem wisiała widmowa jedwabna pajęczyna i kotyliony.

Brakowało tylko ludzi.

Chociaż w zasadzie ludzie też tam byli. Wszystkie powierzchnie pokrywała cienka warstwa popiołu – tylko tyle pozostało z czterdziestu jeden gości, którzy przybyli do Continentalu poprzedniego wieczoru.

Nie trzeba dodawać, że zbrodnia ta, określana przez policjantów jako „kompletnie posrana sprawa”, uruchomiła w Wydziale Policji Merit wszystkie alarmy.

Stell uznał, że widział już dość, toteż wycofał się do hallu, ściągnął z twarzy maskę i wybrał znajomy numer.

Dwa sygnały później w słuchawce odezwał się jedwabisty głos Marcelli.

– Halo, Mark?

– Może mi powiesz – syknął Stell – na co właśnie patrzę?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– W takim razie ja ci powiem – rzucił ostro. – Stoję tuż przy wejściu na salę balową w Continentalu. W środku wygląda jak po pierdolonej śnieżycy.

– Osobliwie.

– Czego nie rozumiesz w zdaniu „Przestań przyciągać uwagę swoją mocą”?

– Ale przecież – odparła z fałszywą skromnością – nie wypisałam swojego nazwiska w popiele.

Stell poskubał się w nasadę nosa.

– Potwornie utrudniasz mi przemykanie oka.

– Przecież na ulicach jest teraz mniej przemocy, tak jak obiecywałam.

– Nie. Ty ją po prostu skoncentrowałaś. – Stell obniżył głos, idąc dalej korytarzem. – Lepiej powiedz mi, że coś dla mnie masz poza tą wstrętną ekspozycją w sali balowej. Najlepiej coś, co interesuje nas oboje.

Marcella westchnęła.

– Ty to potrafisz popsuć zabawę. Myślałam, że umówimy się na lunch, żeby świętować tę okazję razem, ale ponieważ najwyraźniej jesteś zajęty, oszczędzę fatygi nam obojgu: znalazłam twojego zabójcę PonadPrzeciętnych.

Stell zeszytywniał.

– Czy jest teraz z tobą?

– Nie – odparła. – Ale nie martw się. Umowa to umowa, a ja mam jeszcze tydzień.

- Marcella...
- Zaraz wyślę ci zdjęcie na zaostwienie apetytu.

XXIII

TYDZIEŃ WCZEŚNIEJ

PION

„Ta kobieta jest naprawdę cwana”, ocenił Eli.

Leżał rozciągnięty na pryczy, gapiąc się na swoje odbicie w lustrzanym suficie, obracając w myślach problem niczym monetę między palcami.

Dzięki połączeniu strategicznego myślenia i szczęśliwego trafu Marcella zdołała zabezpieczyć sobie tyły z pomocą dwóch innych osób PP. Jeszcze raz powtórzył w myślach, z kim ma do czynienia.

Niszczycielka. Zmiennokształtna. Chodząca tarcza.

Z bliska, z daleka i wszystko, co pomiędzy. Gdy działali razem, ich moce były niemal niezwykłe. Ale gdyby znaleźć sposób, by ich rozdzielić, Marcella umrze tak samo, jak każdy inny.

Za pleksiglasem rozległy się czyjeś kroki i sekundę później ściana zrobiła się przezroczysta, odsłaniając Stella. Twarz dyrektora była czerwona z wściekłości.

– Wiedziałeś?!

Eli zamrugał i usiadł.

– Nie jestem wszechwiedzący, dyrektorze. Czy mógłbyś wyrażać się precyzyjniej?

Stell z impetem przyłożył do ściany kawałek papieru. Wydruk zdjęcia. Eli wstał z pryczy i podszedł do ściany. Dostrzegł twarz na fotografii i znieruchomiał. Wąski kształt, nieco jastrzębi profil, podbródek dotykający kołnierza płaszcza. Zdjęcie nie było ostre, wykonano je przy kiepskim świetle, ale Eli rozpoznałby go zawsze i wszędzie.

Victor Vale.

– Dwa lata – powiedział Stell. – Tyle czasu miałeś, żeby go namierzyć, a Marcella zrobiła to w niecałe dwa tygodnie. Ukryłeś przed mną. Wiedziałeś!

Teraz, patrząc na fotografię, Eli zdał sobie jednak sprawę, że w rzeczywistości wcale nie wiedział. Chciał mieć rację, chciał się upewnić, ale zawsze pozostawał margines błędu, pozwalający mu na wątpliwość – a teraz zniknął, pozostawiając gładką powierzchnię, dość mocną, by udźwignąć całą prawdę.

– Rozumiem, że nie spaliliście ciała.

– Do jasnej cholery, Eli – zapienił się Stell. – Jak to możliwe?!

– Victor nigdy nie umiał pozostać zbyt długo wśród martwych.

– Ale jak?! – zawył dyrektor.

– Siostrzyczka Sereny ma dość nieprzyjemną moc wskrzeszania zmarłych.

– Sydney Clarke? Wymieniłeś ją wśród swoich ofiar!

– Dokładnie rzecz biorąc – powiedział Eli – to Serena miała się jej pozbyć. Najwyraźniej w ostatniej chwili spanikowała. – Jeszcze jedna sprawa, którą powinien był załatwić własnoręcznie. Oderwał wzrok od zdjęcia. – Co masz zamiar z nim zrobić?

– Dopaść go. Teraz obaj będziecie gnici w celach.

– O, świetnie – odparł cierpko. – Może zostaniemy sąsiadami?

– To nie jest, kurwa, śmieszne! – zaklął Stell. – Całe to twoje gadanie o współpracy... Wiedziałem, że to ściema. Wiedziałem, że nie można ci ufać.

– Na litość boską! – zirytował się więzień. – Ile jeszcze znajdziesz wymówek, żeby wyjaśnić konsekwencje własnego uporu?

– Był tam przez cały czas, zabijając ludzi i PonadPrzeciętnych, a ty wiedziałeś!

– Podejrzewałem...

– I nie puściłeś pary z ust?

– To ty nie spaliłeś ciała! – ryknął Eli. – Ja go zlikwidowałem, a ty pozwoliłeś, żeby wrócił! Dalsze istnienie Victora Vale'a i śmierć wszystkich jego ofiar od tamtej pory to twoja porażka, nie moja. Tak, zatrzymałem podejrzenia dla siebie, ponieważ miałem nadzieję, że się mylę, miałem nadzieję, że nie byłeś taki głupi, że nie zawiodłeś na taką skalę. A jeżeli tak, to cóż, wiedziałem, że moje przestrogi trafią w próżnię. Chcesz Victora? Świetnie, pomogę ci go schwytać raz jeszcze.

Podszedł do półki i wyjął teczkę „Myśliwego”.

– Chyba że wolisz, żeby Marcella znów kazała ci skakać przez płonącą obręcz?

Włożył teczkę do wnęki.

– Jestem pewien, że kiedy zda sobie sprawę z wartości Victora, każe ci za niego zapłacić co do centa.

Dyrektor nie odpowiedział, próbując bezskutecznie zachować kamienną twarz. Powoli sięgnął po teczkę. Eli potrafił jednak dostrzec każde pęknięcie w jednolitej wcześniej fasadzie.

– Mój plan – dodał – znajduje się na ostatniej stronie.

Stell w milczeniu przejrzał instrukcję, a potem podniósł wzrok.

– Sądziysz, że to wypali?

– Ja zrobiłbym to właśnie tak – odparł szczerze Eli.

Stell odwrócił się, by odejść, ale więzień zawołał go z powrotem.

– Popatrz mi prosto w oczy – zażądał – i powiedz, że kiedy znajdziesz Victora, zlikwidujesz go raz na zawsze.

Dyrektor złowił jego wzrok i oświadczył:

– Zrobię, jak będę uważał za stosowne.

Eli uśmiechnął się dziko.

– Oczywiście, że tak zrobisz.

Po czym pomyślał: „Zupełnie jak ja”.

XXIV

DWA DNI WCZEŚNIEJ

CENTRUM WHITTON

Sydney znów stała na lodowej tafli.

Lód rozciągał się we wszystkich kierunkach. Nie widziała brzegów, nie dostrzegła niczego poza zamarznącą płaszczyzną jeziora przed sobą i za sobą – oraz obłokiem pary własnego oddechu.

– Halo?! – zawołała.

Jej głos odbił się echem od brzegów.

Lód trzasnął tuż za nią, więc odwróciła się na pięcie, spodziewając się zobaczyć Elia. Ale nikogo tam nie było.

A potem z daleka dobiegł ją dźwięk. Nie trzeszczenie lodu. Krótki, ostry ton.

Obudziła się.

Nie pamiętała, kiedy zasnęła. Leżała zwinięta w kłębek na kanapie, z Dołem u stóp. Zza okien sączyło się blade światło poranka.

Ostry ton zabrzmiał ponownie, więc Sydney rozejrzała się w poszukiwaniu telefonu, aż zdała sobie sprawę, że dźwięk dochodzi z komputera Mitcha. Laptop stał otwarty na stole jakies dwa metry dalej, piszcząc niczym elektroniczny budzik.

Stuknęła w klawisze, by wyjść z trybu uśpienia.

Pojawił się czarny ekran blokady, więc wpisała hasło: „Benedición”. Na wyświetlaczu pojawiły się linie kodu, daleko bardziej skomplikowane niż podstawy, których uczył ją Mitch. Jednak jej uwagę przyciągnęła skacząca ikonka w rogu.

„Wyniki (1)”, głosił napis.

Kliknęła ją, a wówczas wyskoczyło nowe okno.

Wstrzymała oddech. Rozpoznała format dokumentu, identyczny jak na kartce, którą znalazła zmiętą w koszu. To był profil. Szacowny czarnoskóry mężczyzna ze starannie przystrzyżoną siwą brodą patrzył na nią ze zdjęcia wykonanego przez profesjonalnego fotografa.

Ellis Dumont, pięćdziesiąt siedem lat. Chirurg, który uległ wypadkowi rok wcześniej. Nie porzucił poprzedniego życia i może dlatego właśnie jego nazwisko nie pojawiło się wcześniej w wynikach wyszukiwania. Za mało cech charakterystycznych. Ale to – to była ważna część: od kiedy wrócił do pracy, wskaźnik wyzdrowień jego pacjentów poszybował pod niebo. Wyświetliło się pełno linków do artykułów z prasy, chwalaących jego niemal proroczy dar diagnozowania chorób.

Przewinęła stronę w dół, aż znalazła obecne miejsce pracy Dumonta.

„Szpital Centralny, Merit”.

Zerwała się i pospieszyła korytarzem. Z pokoju Mitcha słychać było szum prysznica. Drzwi do sypialni Victora stały otworem, lecz za nimi było ciemno. Ledwie mogła rozróżnić zarys jego ciała na łóżku. Leżał plecami do niej.

Gdy dawno temu obudziła go, po raz pierwszy i jedyny, śnił jakiś koszmar, więc zanim zdążył oprzytomnieć, zadał jej ból, odzywający się echem w jej nerwach jeszcze długo potem.

Wiedziała, że taka sytuacja się prawdopodobnie nie powtórzy, ale mimo to trudno jej było podejść. Jednak niepotrzebnie się bała.

– Nie śpię – powiedział cicho Victor. Usiadł i odwrócił się do niej, mrużąc oczy. – Co się stało?

Serce waliło jej jak szalone.

– Powinieneś to zobaczyć!

Przycupnęła na skraju kanapy, gdy Victor z kamienną twarzą odczytywał profil. Żałowała, że nie potrafi odczytać jego myśli. Cholera, chciałyby móc wyczytać cokolwiek z jego twarzy!

W drzwiach pojawił się Mitch, z ręcznikiem na gołych ramionach.

– Co jest?

– Pakuj się – powiedział Victor, wstając od stołu. – Jedziemy do Merit.

DWA DNI WCZEŚNIEJ

FIRST AND WHITE

Marcella usiadła wygodnie na fotelu i spojrzała z podziwem na widok za oknem.

Za szklanymi ścianami rozciągała się panorama miasta, rozwinięta u jej stóp niczym dywan.

Kiedyś, stojąc na tarasie budynku uniwersyteckiego bractwa, myślała, że widzi całe Merit, tymczasem było to zaledwie kilka przecznic, resztę zasłaniały wysokie budynki. Teraz widziała prawdziwe miasto. Jej miasto.

Odwróciła się z powrotem do biurka, gdzie czekały zaproszenia.

Dostarczono je w prześlicznym pudełku wykładanym jedwabiem – sto śnieżnobiałych składanych kart, z wytłoczonym na wierzchu eleganckim złotym „M”.

Wzięła jedną z nich i otworzyła.

Krawędzie również wytłoczono złotem, a w środku czarny druk z ozdobnymi zawijasami głosił:

*Marcella Morgan i jej wspólnicy
zapraszają na ekskluzywne przyjęcie
z okazji otwarcia najbardziej niezwykłego przedsięwzięcia w Merit.
Przyszłość miasta zaczyna się teraz.
Budynek Starego Sądu
w najbliższy piątek, 23, o 18.00
Zaproszenie dwuosobowe.*

Uśmiechnęła się, obracając kartonik w dłoni.

„I co teraz?” – zapytała jakiś czas temu June. – „Urządzisz sobie wielki pieprzony bal?”

Marcella wiedziała, że dziewczyna traktowała to jako żart, ale podczas spotkania ze Stellem dyrektor zdradził jej swoje plany, zagrał z nią w otwarte karty.

„Żadnych publicznych pokazów, żadnego popisywania się przy świadkach. Nie chcemy obrócić tego miasta w ruinę”.

Oczywiście tak naprawdę nie miał na myśli miasta, tylko PION. Tak, gdyby zrobić naokoło nich trochę szumu, z pewnością by im to zaszkodziło.

Dokładnie to planowała Marcella.

Miała dość grania według reguł innych ludzi, dość ukrywania się. Ten, kto żył w mroku, umierał w mroku. Ale gdyby stanął w pełnym świetle... byłoby dużo trudniej sprawić, żeby zniknął bez śladu.

A Marcella Renee Morgan nigdzie się nie wybierała.

XXVI

DWA DNI WCZEŚNIEJ

W DRODZE

Mitchell Turner miał złe przecucia.

Zdarzało mu się to czasami, podobnie jak innym ludziom zdarzały się migreny albo déjà vu.

Zwykle były niewyraźne i abstrakcyjne: coś w rodzaju świadomości bliskiej katastrofy, nadszycia powoli, lecz nieubłagane, jak noc. Zdarzały się jednak również ostre i nagłe, jak nerwoból. Mitch nie wiedział, skąd się brały, ale kiedy stukały go w ramię – wołał ich posłuchać.

Złe przecucia ostrzegały pechowców. A Mitch przez całe życie miał pecha.

Pech zadbał o to, by to Mitcha zawsze chwytano.

Pech sprawił, że Mitch wylądował w więzieniu.

Pech skierował go na spotkanie z Victorem – chociaż wówczas tego nie dostrzegał.

Czuł się tak, jakby uwiązano go na gumce. Mógł oddalić się na pewną odległość, a potem niewidzialna ręka przyciągała go z powrotem, coraz szybciej, aż wpadał z hukiem w kłopoty. Inni ludzie byli zawsze zaskoczeni, gdy zdarzało im się coś złego... ale nie on. Kiedy przecucie ostrzegało Mitcha przed pechem, słuchał uważnie.

Uważał na każdym kroku. Poruszał się przez życie ostrożnie, jakby szedł przez skład porcelany.

We wstecznym lusterku dostrzegł Sydney w czerwonej bomberce, zwiniętą na tylnej kanapie, trzymającą obute nogi na grzbiecie Dola. Na głowie miała różową perukę, której syntetyczne kosmyki opadały jej na oczy. Mitch dyskretnie zerknął na fotel pasażera i zobaczył, że Victor z nieprzeniknioną – jak zwykle – miną ogląda świat za oknem.

Powoli zbliżali się do Merit.

– Wracamy na stare śmieci – odezwał się Victor. Rozejrzał się uważnie. – Powinieneś pojechać dalej.

Mitch uniósł brwi, zdumiony i zmieszany.

– Jeżeli to nie wypali – wyjaśnił cicho Victor. – A nawet jeżeli się uda. Weź Syd i...

– Nigdzie nie jadę – wtrąciła się Sydney, siadając na tylnej kanapie.

Victor westchnął.

– Powinieneś to zrobić sam – wymamrotał pod nosem.

Złe przecucia wciąż nękały Mitcha. Jak długo mu towarzyszyły? Od wielu dni, tygodni, a może miesięcy? Czy może od tej nocy, kiedy oblał benzyną ciało Sereny? A może chodziło tylko o to, że szczęście Mitcha miało ograniczony termin przydatności i po pewnym czasie się wyczerpywało?

– Daleko jeszcze? – zapytała z tyłu Sydney.

Mitchowi zaschło w gardle, lecz mimo to odpowiedział:

– Jesteśmy już prawie na miejscu.



Kurwa!

June zasnęła. Obudziła się, kiedy słońce stało już wysoko na niebie, a jego promienie zaświeciły jej prosto w oczy. Dlatego wolała zabijać niż śledzić; wtedy mogła trzymać się własnego planu.

Zwlekła się z łóżka, podeszła do okna i zaczęła się przyglądać apartamentowi po drugiej stronie ulicy. Na balkonie nie było śladu Sydney, a w oknach nie pojawili się ani Victor, ani Mitch. Przez ostatnie dni przemykali przez mieszkanie jak cienie, wylegiwali się na kanapach, wychodzili na spacer z psem. Teraz zasłony były zaciągnięte, a miejsce wyglądało na opuszczone.

June zaklęła i szybko się ubrała.

Przeszła przez ulicę i złapała drzwi, kiedy ktoś wychodził z klatki. Nawet się za nią nie obejrzał, bo niby dlaczego? Była przecież zwykłą, niewinną, chudą trzynastolatką. Pobieгла w górę schodów, zmieniając postać, jeszcze zanim dotarła do piątego piętra. Teraz wyglądała jak studentka chodząca po domach i namawiająca do głosowania na polityków.

Zapukała do ich drzwi, ale nikt nie odpowiedział.

Przycisnęła ucho do drewnianej płaszczyzny, odkryła, że po drugiej stronie panuje głęboka cisza, i zaklęła raz jeszcze. Wyjęła kilka wytrychów i otworzyła zamek.

Otworzyła drzwi. Mieszkanie stało puste.

Opanowało ją potworne uczucie déjà vu: inne miasto, inny porzucony apartament, cały rok bezskutecznych poszukiwań... Po chwili jednak się uspokoiła. Teraz Sydney była jej przyjaciółką. Znały się i ufały sobie. June wróciła do hotelu i podniosła telefon z nocnej szafki. Westchnęła z ulgą.

Sydney zdążyła już do niej napisać.

Syd: W życiu nie zgadniesz, dokąd jedziemy.

June знаła odpowiedź, zanim jeszcze przeczytała następną wiadomość.

„Merit”.

Pięć minut później była już w drodze, pędząc ku Merit, dobre trzydzieści kilometrów na godzinę ponad limit. Po drodze zadzwoniła do Marcelli.

– Jest w drodze – powiedziała, w ostatniej chwili przypominając sobie, że powinna użyć liczby pojedynczej, nie mnogiej. – Jedzie do Merit.

– No proszę – powiedziała wolno Marcella. – Zastanawiam się, kto podsunał mu ten pomysł.

– To nie byłeś ty?

– Nie – odparła, nieco zirytowana. – Ale tak będzie nawet lepiej. Dopilnuj, żeby dojechał bezpiecznie, przywitamy go z otwartymi ramionami.

June uniosła brwi, wyprzedzając ciężarówkę z naczepą.

– Myślałam, że chcesz go przehandlować PION-owi?

– Nigdy tego nie powiedziałam – odparła Marcella z naciskiem. – Mówiłam ci, że jeszcze się nie zdecydowałam. To nadal aktualne. Wiesz, że lubię wiedzieć, w co się pakuję,

a muszę przyznać, że reakcja Stella na wieść o odnalezieniu Victora Vale'a wzbudziła moje zaciekawienie. Odrobiłam pracę domową: ten Vale jest interesującym przypadkiem. Mógłby okazać się dla nas cennym nabytkiem... a może i nie. Ale na pewno nie mam zamiaru przekazać go PION-owi, zanim się z nim nie spotkam.

„Nie chce zmarnować okazji, by zyskać nową broń”, pomyślała June.

– Kto wie? – zastanawiała się Marcella. – Może okaże się wystarczająco uległy?

June mogła powiedzieć o Victorze wiele rzeczy, ale na pewno nie określiłaby go jako „uległego”. Wprost przeciwnie, wydawał się raczej nieustępliwy, niczym chłodny i opanowany żywioł wobec ognistego temperamentu Marcelli. Jednak z jakiegoś powodu przeciwieństwa się przyciągają. Czy połączenie sił byłoby złym pomysłem? June zawsze zakładała, że będzie musiała odebrać mu Sydney siłą, ale może wcale tak nie było? Może dołączy do nich i trójca PonadPrzeciętnych stanie się piątką? To też ładna liczba, no nie? Pięcioro. Niemal jak rodzina.

Marcella tymczasem wciąż mówiła.

– Chcę, żebyś się z nim skontaktowała – oznajmiła. – Przygotuj spotkanie z naszym nowym przyjacielem. Wyślę ci szczegóły. Aha, June?

– Tak?

– Ktoś przekonał Victora, żeby pojawił się w Merit, i to nie byłam ja.

– Postawiłabym na PION.

– I pewnie wygrałabys niezłą sumkę. Oczywiście nie możemy pozwolić, żeby dopadli Victora pierwsi, więc postaraj się go nie zgubić.

June znów zaklęła i wcisnęła gaz do dechy.

Dzień Sądu

DZIEŃ WCZEŚNIEJ

MERIT

Budynek Kingsley wyrastał w niebo niczym ostrze przecinające panoramę miasta.

Victor nie wybrał go jednak z racji nowoczesnej estetyki. Nie, zdecydował się tu zamieszkać przede wszystkim ze względu na podziemny parking, rozwiązujący problem widoczności: wytatuowany facet z ogoloną głową, wielki czarny pies i dziewczynka z krótką fryzurą blond zawsze rzucaliby się w oczy, nawet w tak wielkim mieście jak Merit. Pewne znaczenie miał też system wewnętrznego monitoringu, do którego Mitch włamał się zaraz po tym, jak się rozpakowali, oraz – ku ogromnej uciechu Sydney – ogród na dachu.

Mitch postawił ich torby przy drzwiach apartamentu.

– Nie przyzwyczajajcie się – ostrzegł Victor. – Nie zostajemy tu na długo.

Mitch i Sydney w ogóle nie powinni przyjeżdżać do Merit, lecz Victor już dawno zrezygnował z prób odwodzenia ich od tego pomysłu. Przywiązanie było irytującym uczuciem, równie groźnym jak chwast.

Powinien był od nich uciec, zanim zapuściło korzenie.

– Wracam niedługo – powiedział, kierując się ku drzwiom.

Sydney złapała go za ramię.

– Tylko bądź ostrożny – poprosiła.

„Co za utrapienie”, pomyślał Victor, ale położył jej dłoń na głowie.

– Ostrożność oznacza dobrze obliczone ryzyko – powiedział – a wiesz, że jestem dobry w obliczeniach.

Odszedł, zmuszając Sydney, żeby puściła jego ramię, i zamknął drzwi, nie oglądając się za siebie.

Zjechał windą na poziom zero i wyszedł z budynku prosto w popołudniowe słońce, sprawdzając zegarek. Było kilka minut po trzeciej, a według Mitcha doktor kończył zmianę w szpitalu o piątej. Victor chciał się z nim zobaczyć właśnie wtedy.

Ellis Dumont.

Ktoś bardziej religijny uznałby nagłe pojawienie się tego PonadPrzeciętnego za znak boskiej interwencji, lecz Victor zawsze uważał, że przeznaczenie nie ma większego wpływu na jego życie. Wiara zresztą też nie. Pojawienie się Dumonta w wynikach wyszukiwania było podejrzanie dogodne. Już samo to, że mieszkał w Merit, powinno było uruchomić alarm w głowie Victora.

Nie, Dumont był albo darem od losu – albo przynętą w pułapce.

Victor był skłonny przypuszczać, że tym drugim. Ale nie mógł sobie pozwolić na zignorowanie doktora w sytuacji, gdy stawką było jego własne życie.

Podczas ostatniego ataku przekroczył próg czterech minut. Wrócił potem do świata żywych, ale doskonale się orientował, że to niebezpieczna gra. Szanse były żałośnie małe, a stawka – ogromna. Wyglądało to jak rosyjska ruletka, poza tym, że komora z pociskiem mogłaby liczyć się jako wygrana.

Rozważał to: szybko, czystą śmierć. Nie samobójstwo, skądże, raczej zresetowanie systemu. To jednak włączało do równania kolejną zmienną i zwiększało ryzyko: gdyby

znów umarł – tym razem naprawdę – to czy Sydney potrafiłaby go ponownie wskrzesić? A jeżeli tak, ile mocy by mu pozostało? Jak wiele zostałoby z niego samego?

Cztery kwartały dalej skręcił za róg i przeszedł przez przesuwne szklane drzwi. Wolałby spotkanie w barze, ale Dominik Rusher od pięciu lat był trzeźwy, a w chwili nieuwagi Victor zgodził się na siłownię.

Odkąd pamiętał, nienawidził siłowni.

Jeszcze w szkole unikał lekcji wuefu, potem omijał szerokim łukiem miejsce na więziennym podwórzu, gdzie pakowali osadzeni – wolał doskonalić swoje umiejętności w inny sposób. Kiedyś lubił pływać; pociągała go kojąca powtarzalność ruchów, miarowy oddech, a także to, że masa ciała nie miała wpływu na umiejętności.

Teraz, kiedy przechodził pomiędzy zwałistymi, spoconymi cielskimi ćwiczącymi pod obciążeniem, przypominał sobie widowisko: zawodnicy futbolu amerykańskiego próbujący pływać. Potężni faceci atakowali wodę w basenie tak, jakby mogli usunąć ją sobie z drogi siłą... ale to obracało się przeciwko nim. Tonęli jak kamienie, rozpaczliwie łapiąc powietrze, pokonani przez tak prosty i naturalny żywioł, jakim była woda.

Dominik czekał na niego w szatni.

W pierwszej chwili Victor niemal go nie rozpoznał. Ostatnie pięć lat wycieńczyło Victora, ale posłużyło ekszołnierzowi. Zmiana wydawała się zdumiewająca im obu.

Dominik wybałuszyl oczy.

– Victor? Wyglądasz jak...

– Tak, wiem, jak psu z gardła wyjęty – przerwał mu i oparł się ramieniem o stalową szafkę. – Jak tam w pracy?

Rush podrapał się głowę.

– W sumie nieźle, jeżeli wziąć pod uwagę wszystko razem. Pamiętasz tę PonadPrzeciętną, o której ci opowiadałem? Tę ze skłonnością do dramatyzmu?

– Marcellę. – Victor zapamiętał to imię mimowolnie; coś sprawiło, że utkwiło mu w pamięci. – Jak długo przetrwała na wolności?

Dominik pokręcił głową.

– Jeszcze jej nie złapali.

– Naprawdę? – Victor musiał przyznać, że to imponujący wyczyn.

– Najdziwniejsze, że ostatnio przestali w ogóle próbować. A ona nie stara się zachowywać dyskretnie. Zabiła sześciu naszych agentów, nie dała się skasować snajperowi – cholera, codziennie daje o sobie znać. Mimo to mamy rozkazy, żeby w tej sprawie wstrzymać się od działania. – Obniżył głos. – Coś się dzieje, ale nie wiem co. Najwyraźniej to informacja zastrzeżona dla ważniejszych ode mnie.

– A Eli? – zapytał Victor.

– Wciąż w swoim gniazdku. – Dominik rzucił mu nerwowe spojrzenie. – Póki co.

Vale zmrużył oczy.

– Co masz na myśli?

– Krążą plotki o kimś z kierownictwa, kto uważa, że Eli mógłby odegrać w tym wszystkim bardziej aktywną rolę – oznajmił ekszołnierz.

– Chyba nie zrobiliby czegoś tak głupiego. – Jednak ludzie robili głupie rzeczy przez cały czas, a Eli... no cóż, potrafił oczarować niemal każdego. – Coś jeszcze?

Dominik zawahał się, pocierając szyję.

– Te twoje napady robią się coraz gorsze.

– Zauważyłem – odparł sucho Victor.

– Wczoraj Holtz zastał mnie w kiblu rzygającego jak kot. A w zeszłym tygodniu zacząłem się pocić jak mysz w samym środku wykładu szkoleniowego. Wcześniej mówiłem przy takich okazjach, że mam kaca, zespół stresu pourazowego, cokolwiek, ale powoli kończą mi się kłamstwa.

„A mnie się kończy życie”, pomyślał Victor, ruszając ku wyjściu.
– Powodzenia! – zawołał Dominik na odchodnym.
Ale Victor nie potrzebował szczęścia.
Potrzebował lekarza.



Sydney weszła do skąpanego w słońcu ogrodu na dachu budynku Kingsley.

Było przepięknie, nad głową miała bezchmurne niebo, lecz powietrze wciąż jeszcze było chłodne. Przypominało jej to jezioro i jej trzynaste urodziny, topniejącą tafelę lodu ponad zimną wodą. Zaciśnęła palce na komórce. Krótki esemes przyszedł, kiedy się rozpakowywała. Cztery niepokojące słowa:

June: Zadzwoń do mnie. Teraz.

Sydney zadzwoniła.

Czekała i czekała, licząc sygnały, a kiedy June w końcu odebrała, Sydney usłyszała najpierw muzykę, zbyt głośną i nerwową. Śpiewny głos June przebił się przez nią, każąc dziewczynce zaczekać, a kilka sekund później muzyka ucichła, zastąpiona przez niski pomruk silnika.

– Syd! – przywitała się June, teraz już doskonale słyszalna. – Ciebie mi trzeba!

– Cześć – powiedziała Sydney. – Właśnie dotarliśmy do Merit. Co się dzieje? Jesteś tu?

– Wracam. Pracowałam nad niedużym zleceniem za miastem. Słuchaj, musisz coś dla mnie zrobić. – W jej głosie dało się wyczuć napięcie, ton ponaglenia, którego Sydney nigdy wcześniej u niej nie słyszała.

– Co takiego?

Szybki wydech, jak zakłócenia na linii.

– Musisz mi powiedzieć, gdzie jest Victor.

Sydney poczuła, jakby w żołądku urosła jej ołowiana kula.

– Co?!

– Posłuchaj – nalegała June. – Victor ma kłopoty. W Merit czekają na niego naprawdę niebezpieczni ludzie. Wiedzą, że tu jest, i szukają go. Wolałabym, żeby pozostał bezpieczny. Zrobię w tym celu wszystko, co niezbędne, ale potrzebuję twojej pomocy.

„Bezpieczny”. Umysł Sydney zatrzymał się na tym słowie. Jeżeli Victor naprawdę miał kłopoty... ale dlaczego miałby je mieć i skąd June o tym wiedziała? Kto go szukał? PION?

Zaczęła pytać, ale przyjaciółka jej przerwała. Ta sama June, która nigdy nie podniosła na nią głosu.

– Ufasz mi czy nie?!

Tak, ufała jej. Bardzo chciała. Ale...

– Sydney, gdzie on jest?

Przełknęła ślinę.

– W Szpitalu Centralnym w Merit.

II

DZIEŃ WCZEŚNIEJ

SZPITAL CENTRALNY, MERIT

Godzina piąta, minut siedemnaście.

Victor oparł się plecami o szarego sedana Dumonta na piętrowym szpitalnym parkingu i zabijał czas, czytając esemesy od Dominika. Brzęczenie w jego czaszce wydawało się narastać, kiedy przeglądał ostatnie wiadomości.

„3 minuty, 49 sekund”.

„3 minuty, 52 sekundy”.

„3 minuty, 56 sekund”.

„4 minuty, 4 sekundy”.

Prowadzące z klatki schodowej na parking drzwi otworzyły się z głośnym trzaskiem.

Victor podniósł wzrok i zobaczył Dumonta: ciemnoskórego, siwego mężczyznę z głową pochyloną nad tabletem, zmierzającego ku swojemu samochodowi, a tym samym ku niemu.

Nie ruszył się, tylko czekał, aż lekarz do niego podejdzie.

– Doktor Dumont?

Mężczyzna podniósł wzrok i zmarszczył brwi. Victorowi wydało się, że dostrzega w jego twarzy cień... nie, nie zaskoczenia. Bardziej strachu.

– Czy mogę pomóc?

Victor obejrzał go uważnie, rozprostowując palce.

– Mam nadzieję, że tak.

Dumont rozejrzał się po parkingu.

– Jestem już po pracy – stwierdził – ale mogę pana umówić na...

Vale nie miał czasu na takie pogaduszki. Chwycił nerwy doktora niewidzialną dłonią i szarpnął. Dumont ze zduszonym okrzykiem złapał się za pierś, a na jego czole pojawiły się krople potu.

Wyraziwszy w ten sposób swoje stanowisko, Victor puścił lekarza.

Dumont oparł się ciężko o samochód.

– Pan jest... PonadPrzeciętny.

– Tak samo jak pan.

– Ja nie... krzywdzę ludzi – odparł doktor.

– Nie? To jak działa pańska moc?

Lekarz odparł, dysząc ciężko:

– Widzę... co jest nie tak z ludźmi. Potrafię się... zorientować, jak... ich naprawić.

Victor poczuł przypływ ulgi. W końcu obiecujący trop!

– Dobrze – powiedział, podchodząc do lekarza. – Proszę mi pokazać.

Dumont pokręcił głową. Victor już miał znów chwycić jego nerwy w żelazny uścisk, kiedy drzwi na parking otworzyły się i wyszła z nich grupka pielęgniarek prowadzących ożywioną rozmowę. W pobliżu zatrąbił klakson. Victor przesunął się, żeby zasłonić im widok.

– Nie tutaj – wymamrotał Dumont.

– To gdzie?

Lekarz wskazał głową wejście do szpitala.

– Mój gabinet, na siódmym...

– Nie – odparł Victor zdecydowanie. Zbyt wielu świadków. Zbyt wiele drzwi.

Dumont potarł czoło.

– Na piątym piętrze jest remont. Powinno tam być pusto. Nic lepszego nie wymyślę.

Victor zawahał się, ale brzęczenie wylewało się już z jego głowy. Zaczynał odczuwać je w kończynach. Kończył mu się czas.

– Dobrze – powiedział. – Proszę, pan przodem.



W TYM SAMYM CZASIE PO DRUGIEJ STRONIE MIASTA...

Sydney próbowała dodzwonić się do Victora, ale za każdym razem odzywała się poczta głosowa.

Co miała na myśli June, mówiąc o kłopotach? Byli przecież ostrożni. Jak zawsze.

„Ufasz mi czy nie?!”

W tamtej chwili Sydney zaufała przyjaciółce. Miała nadzieję, że nie popełniła błędu.

Za jej plecami rozległy się czyjeś kroki, toteż jej dłoń automatycznie sięgnęła do kieszeni płaszcza po pistolet, kciuk natychmiast trafił na bezpiecznik.

Po sekundzie rozpoznała jednak ciężki chód i się odwróciła. To Mitch nadchodził ku niej przez ogród.

– Tu jesteś! – zawołał radośnie.

Puściła broń.

– Cześć! – odpowiedziała. – Podziwiam widoki. – Próbowала mówić beztrąsko, ale w głowie jeszcze jej się kręciło. Bała się, że Mitch dostrzeże ślad niedawnych emocji na jej twarzy, więc odwróciła się z powrotem plecami. – To dziwne, nie? Jak te miasta się zmieniają. Budynki rosną, potem są burzone, a panorama wygląda niby tak samo, ale jednak inaczej.

– Tak jak ty – powiedział Mitch, przyjaźnie mierzwiąc jej różową perukę. Gest był lekki i swobodny, ale w jego głosie dało się wyczuć napięcie, a cisza, która potem zapadła, była ciężka, niemal dotykalna. Myśli Sydney krążyły wokół Victora, ale wiedziała, że Mitchowi chodzi o jej siostrę.

Nigdy nie rozmawiali o tym, co naprawdę stało się z Sereną. Najpierw było na to za wcześnie, a potem – zbyt późno. Rana się zabiłniła, najlepiej, jak się dało.

Teraz jednak byli z powrotem w Merit, ukończony budynek Falcon Price lśnił w oddali, a powietrze było gęste od niewypowiedzianych słów.

– Hej, Syd... – zaczął Mitch, ale natychmiast mu przerwała.

– Żałowałaś kiedykolwiek, że nie jesteś PonadPrzeciętny?

Uniósł brwi, zaskoczony pytaniem. Nie odpowiedział natychmiast. Zawsze ostrożnie dobierał słowa, zanim je wypowiedział.

– Pamiętam, jak poznałem Victora – stwierdził w końcu. – Te fajfusy w pierdłu nieźle mi dopiekły, a on tylko... – Mitch przesunął dłoń przed sobą. – W jego wykonaniu wyglądało to na łatwiutkie, i pewnie dla niego takie było, ale kiedy na to patrzyłem, czułem się taki... mały.

Sydney się roześmiała.

– Jesteś największym facetem, jakiego znam!

Uśmiechnął się do niej, lecz w tym uśmiechu czaił się smutek.

– Czasami czuję się tak, jakbym walczył gołymi pięściami, a drugi facet miał nóż. Ale potem ten z nożem musi stanąć przeciwko komuś z pistoletem. A ten z pistoletem idzie do walki z kimś, kto ma bombę. Prawda wygląda tak, Syd, że zawsze będzie ktoś silniejszy od ciebie. Tak działa ten świat. – Popatrzył na lśniący wieżowiec. – Nie ma znaczenia, czy to człowiek walczy z człowiekiem, czy człowiek z PonadPrzeciętnym, czy też jeden PP z drugim. Starają się dać z siebie wszystko. Każdy walczy i zwycięża... dopóki nie przestanie.

Sydney przełknęła ślinę i spojrzała znów na panoramę miasta.

– Jakies wieści od Victora? – zapytała, usiłując zachować pogodny ton.

Mitch pokręcił głową.

– Jeszcze nie. Ale nie martw się. – Położył jej dłoń na ramieniu. – Victor potrafi o siebie zadbać.



SZPITAL CENTRALNY W MERIT

Ich kroki odbijały się echem na klatce schodowej.

– Co dokładnie się dzieje podczas tych napadów? – zapytał Dumont.

– Upośledzenie czynności układu nerwowego. Atak drgawkowy – wyliczał objawy Victor.
– Migotanie przedsionków. Zatrzymanie akcji serca. Śmierć.

Dumont spojrzał na niego uważnie.

– Śmierć?

Vale przytaknął.

– Wie pan, ile razy umierał? Czy rozmawiamy o trzech, czterech nawrotach, czy powyżej dziesięciu...

– Sto trzydzieści dwa razy.

Lekarzowi ze zdumienia opadła szczeka.

– To... niemożliwe!

Victor zmierzył go wzrokiem i kwaśno stwierdził:

– Zapewniam pana, że liczyłem dokładnie.

– Ależ samo obciążenie pańskiego organizmu! – wybuchnął Dumont i pokręcił głową. – Powinien pan już dawno nie żyć.

– To sedno naszego problemu i przyczyna, dla której tu jestem, nieprawdaż?

– Czy doświadczał pan upośledzenia zdolności poznawczych?

Victor się zastanowił.

– Bezpośrednio po ataku następuje krótki okres dezorientacji, za każdym razem coraz dłuższy.

– To cud, że wciąż mówi pan pełnymi zdaniami!

„Cud”. Victor zawsze nienawidził tego słowa.

Dotarli na piąte piętro, a Dumont popchnął drzwi i włączył światło. Lampy zapalały się kolejno, tak że fala jasności powoli zalewała obszerną przestrzeń, najwyraźniej faktycznie będącą w trakcie przebudowy. Plastikowe płachty wisiały w charakterze tymczasowych zasłon, a wyposażenie osłonięto białymi plandekami. Przez chwilę Victor wyobraził sobie, że znów znajduje się na parterze nieukończonego Falcon Price, a głosy odbijają się od betonowych płaszczyzn.

– Z tej strony są gabinety zabiegowe – powiedział Dumont, lecz Victor powstrzymał go gestem.

– Tutaj będzie dobrze.

Stali w środku większej przestrzeni, otoczonej poplątanymi płachtami. Victor wolałby widzieć wszystkie wejścia, ale plastikowe zasłony uniemożliwiały mu to.

Dumont odłożył swoje rzeczy i powoli zdjął płaszcz.

– Od dawna jest pan PonadPrzeciętny? – zapytał Victor.

– Od dwóch lat.

Dwa lata. A w wynikach wyszukiwania nazwisko lekarza pojawiło się dopiero teraz.

– Proszę usiąść – powiedział Dumont, wskazując krzesło, lecz Victor pozostał na swoim miejscu.

– Proszę mi powiedzieć, panie doktorze, czego dotyczyły pańskie ostatnie myśli, kiedy pan umierał?

– Moje ostatnie myśli? – powtórzył Dumont z zaskoczeniem. – Myślałem o rodzinie... Jak bardzo będę za nimi tęsknił... Jak bardzo nie chcę ich zostawiać...

Zająknął się tak, jakby nie pamiętał swoich myśli zbyt dobrze. Może wynikało to ze zdenerwowania, lecz Victorowi jego wahanie skojarzyło się z aktorem, który zapomniał roli.

– I mówi pan, że moc pozwala panu diagnozować dolegliwości innych?

Nic się nie zgadzało. U osoby PonadPrzeciętnej olbrzymi wpływ na doświadczenia bliskie śmierci wywierały jej ostatnie chwile: wola przetrwania, ale także ich najsilniejsze, najbardziej rozpaczliwe życzenia. Ostatnie wspomnienia, ostatnie myśli Dumonta powinny były ukształtować jego moc, a mimo to...

Doktor uśmiechnął się nerwowo.

– Myślałem, że to ja mam zdiagnozować pana, a nie odwrotnie.

Victor odwzajemnił uśmiech.

– Tak, oczywiście. Proszę bardzo.

Tymczasem Dumont się zawahał, macając kieszeń koszuli.

– Coś nie tak? – zapytał Victor, a jego palce powędrowały ku kaburze.

– Zapomniałem okularów. – Dumont się odwrócił. – Musiałem je zostawić na dole. Pójdę po nie i zaraz...

Ale Victor był już za jego plecami.

Nie mógł użyć swojej mocy – następstwem bólu był hałas, który niepotrzebnie przyciągał uwagę – więc wcisnął lufę pistoletu w podstawę kręgosłupa doktora, a wolną dłonią zakrył mu usta.

– Kłopot z konwencjonalną bronią – szepnął do ucha lekarza – polega na tym, że powoduje trwałe uszkodzenia. Jeden niepotrzebny dźwięk i nigdy już nie będziesz chodził. Rozumiesz?

Dumont kiwnął głową.

– Nie jesteś PonadPrzeciętny, prawda?

Krótki przeczący ruch na boki. Nie.

– Czekają na twój sygnał?

Doktor znów pokręcił głową i próbował coś powiedzieć, ale dłoń Victora stłumiła jego słowa. PonadPrzeciętny zabrał rękę, a wówczas lekarz powtórzył półgłosem:

– Już tu są.

W tej samej chwili, jak na rozkaz, gdzieś daleko otworzyły się drzwi i usłyszeli odgłos kroków.

– Przykro mi – ciągnął rozpaczliwym szeptem Dumont. – Mają ludzi w moim domu. Pilnują mojej rodziny. Powiedzieli, że jeśli...

– Twoje motywy są nieistotne. Teraz chcę wiedzieć tylko, jak się stąd wydostać. – Victor odbezpieczył pistolet. – Gdzie są wyjścia? Gadaj!

– Jest winda towarowa, inne się tu nie zatrzymują... i dwie klatki schodowe.

Oczywiście właśnie tędy dostali się napastnicy, najprostszą drogą – i najsłabiej chronioną.

Buty zaszurały na wykładzinie w pobliżu, ostre światło czołowych latarek wydobyło cienie na plastikowych płachtach. Victor musiał widzieć swój cel, ale niekoniecznie ostro i wyraźnie.

Sięgnął do nerwów najbliższego żołnierza, który runął na podłogę z wrzaskiem. Teraz, kiedy napastnicy już wiedzieli, że nie mają przewagi zaskoczenia, rozbrzmiały strzały. Piąte piętro pogrążyło się w chaosie.



Dłoń Victora drgnęła i kolejnych dwóch żołnierzy upadło z krzykiem na linoleum. Wszystkie światła zgasły, a chwilę później usłyszał charakterystyczny metaliczny dźwięk, syk powietrza, a po podłodze potoczyły się puszki wypuszczające w powietrze kłęby dymu.

– Wstrzymaj oddech – rozkazał, odciągając Dumonta pod ścianę. Tymczasem w białych oparach pojawiły się czerwone nitki światła z celowników kolimatorowych. Dym palił Victora w oczy, drażniąc jego zmysły, a na domiar złego czuł, że przez jego kończyny przechodzą trzeszczące wyładowania energii, ostrzegające o bliskim ataku.

„Jeszcze nie”, myślał. „Jeszcze nie teraz”.

Drzwi windy towarowej otworzyły się z jękiem, a Victor zdążył dostrzec luźną broń, zarys czarnej zbroi i wojskowe buty. Szarpnął się, uwalniając zakładnika i schodząc z linii ognia.

Dumont wyrzucił dłoń w górę, kiedy Victor dotarł do klatki schodowej.

– Nie strzelać! – krzyknął lekarz, kaszląc od dymu.

Żołnierze przebiegli obok Victora, który popędził w dół schodami.

Usłyszał kroki kolejnych napastników, ale teraz miał nad nimi przewagę wysokości. Kiedy pierwszy z nadbiegających żołnierzy go zobaczył, Victor miał już jego nerwy w garści. Gwałtownie przełączył suwak w najwyższą pozycję, a oni upadli jak marionetki z przeciętymi sznurkami.

Okrążył ich nieruchome ciała i pobiegł dalej w dół. Docierając do trzeciego piętra, poczuł uderzenie pierwszego spazmu.

Przez sekundę myślał, że ktoś go postrzelił.

A potem zdał sobie z przerażeniem sprawę, że kończy mu się czas. Prąd przebiegł przez niego, paląc wszystkie nerwy. Victor skłonił głowę i złapał mocno poręcz, żeby nie upaść, po czym uparcie powlókł się dalej.

Udało mu się dojść na parter. Otworzył drzwi i zobaczył nacierającego żołnierza z uniesioną bronią. Zanim jednak zdołał zebrać siły i użyć swoich zdolności, by powalić napastnika, ktoś inny zrobił to za niego.

W polu widzenia pojawił się tłumik, a zaraz potem Victor usłyszał trzy fuknięcia, kiedy pistolet wystrzelił w bok hełmu. Nie wystarczyło to, by go przebić, ale kompletnie zaskoczyło mężczyznę. Chwilę później pojawiła się na korytarzu osoba, która strzelała – nieznajoma lekarka. Podeszła z boku do żołnierza i jednym eleganckim ruchem zatopiła ostrze w jego brodzie.

Upadł jak kamień, a ona odwróciła się do Victora.

– Nie stój tak! – syknęła dziwnie znajomym głosem. Nad nimi i pod nimi załomotały kroki. – Znajdź jakieś inne wyjście!

Victor chciał jej zadać mnóstwo pytań, ale nie było na to czasu.

Odwrócił się i powlókł dalej schodami, prosto w podziemia szpitala. Przedostał się przez kilkoro drzwi do pustego korytarza, na końcu którego widniał napis „Kostnica”, ale za nim świecił też znak wyjścia. W połowie drogi uderzył go kolejny spazm, tak mocny, że Victor się potknął i uderzył ramieniem w betonową ścianę. Kolano odmówiło mu posłuszeństwa i upadł.

Próbował zmusić się do wstania, a tymczasem drzwi za nim otworzyły się z rozmachem.

– Leżeć! – ryknął żołnierz, a Victor rozpląszczył się na podłodze.

– Mamy go! – zameldował jeden głos.

– Trafiliśmy go! – uzupełnił drugi.

Victor nie mógł się podnieść ani uciec, ale wciąż miał w zanadru jeden atut. Energia rosła, suwak szedł w górę, a on powstrzymywał się najdłużej, jak mógł, czepiając się życia przez kolejne sekundy, aż w polu widzenia pojawiło się kilka par wojskowych butów.

Wówczas puścił.

Pozwolił, by zmiażdżyła go ostateczna fala bólu, zmywająca i zacierająca wszystkie obrazy i wrażenia.



Ocknął się w ciemnościach.

Potem stopniowo wrócił mu wzrok, aż w końcu znów zobaczył świat wokół siebie ostro i wyraźnie. Leżał na noszach, a sufit znajdował się dużo niżej, niż powinien. Victor poruszył kończynami, spodziewając się, że będą unieruchomione, ale nie poczuł żadnych więzów na przegubach ani kostkach. Spróbował usiąść, lecz powstrzymał go nagły ból, zaciskający się wokół żeber. Dwa z nich wydawały się złamane, mimo to wciąż mógł oddychać.

– Zaczęłam cię reanimować – powiedział ktoś. – Ale obawiałem się, że w ten sposób bardziej ci zaszkodzię, niż pomogę.

Victor odwrócił głowę i zobaczył w ciemności jakąś postać.

Dumont. Doktor siedział na ławce może metr od niego, na wpół ukryty w cieniu.

Victor rozejrzał się i zdał sobie sprawę, że leży we wnętrzu karetki.

Fragmenty wspomnień z ostatnich sekund przed atakiem powoli przepływały mu przed oczami jako pojedyncze, oderwane klatki, ale żadna z nich nie wyjaśniała, jak dostał się z podziemnej kondygnacji szpitala do ambulansu.

– Znalazłem cię – wyjaśnił lekarz, niepytany – tuż obok kostnicy. To znaczy... najpierw znalazłem żołnierzy.

– Nie wydałeś mnie PION-owi – zauważył Victor. – Dlaczego?

Dumont popatrzył na swoje dłonie.

– Na piątym piętrze... mogłeś mnie zabić, ale tego nie zrobiłeś.

Ze strony Victora to nie był akt łaski. Zabójstwo po prostu nie miało sensu.

– A żołnierze? – zapytał.

– Już nie żyli.

– Ja też.

Dumont skinął głową.

– Historia medycyny pełna jest starannie wyliczanego ryzyka i decyzji podejmowanych w ułamku sekundy. Ja podjąłem właśnie taką.

– Mogłeś po prostu odejść.

– Może nie jestem PonadPrzeciętny – oświadczył Dumont – ale na pewno jestem lekarzem. I na pewno złożyłem przysięgę.

W pobliżu rozległ się przeraźliwy dźwięk syreny. Victor zeszytniał, lecz była to tylko inna karetka, wyjeżdżająca na wezwanie ze szpitalnego parkingu. Z parkingu...

– Wciąż jesteśmy w szpitalu? – zapytał.

– Oczywiście – potwierdził Dumont. – Pomogłem ci przeżyć, a nie uciec. Szczerze mówiąc, zaczynałem już wątpić, czy to pierwsze w ogóle się uda, a co dopiero drugie.

Victor zmarszczył brwi, macając się po kieszeniach w poszukiwaniu komórki.

– Jak długo byłem martwy?

– Prawie cztery i pół minuty.

Zaklął pod nosem. Nic dziwnego, że doktor nie odjechał spod szpitala.

– Powiniennem przeprowadzić choćby podstawowe badania – ciągnął Dumont, wyjmując przypominającą długopis latkę lekarską. – Upewnij się, że twoje funkcje poznawcze nie zostały upośle...

– To nie będzie konieczne – stwierdził Victor. Teraz Dumont nie mógł nic dla niego zrobić – a w każdym razie nic, co by pomogło. Poza tym cztery i pół minuty były stanowczo zbyt długim czasem jak na śmierć kliniczną, ale nie dość długim, by zespół PION-u zdążył odjechać ze szpitala. Na pewno byli jeszcze na miejscu. Ile potrwa, zanim dotrą do nich posiłki i zaczną przeszukiwać teren?

Victor skinął głową w kierunku fotela kierowcy.

– Zakładam, że potrafisz to prowadzić?

Dumont się zawahał.

– Potrafię, ale...

– Siadaj za kółko.

Lekarz ani drgnął.

Victor nie był w nastroju do zadawania bólu; wolał odwołać się do logiki.

– Powiedziałeś, że obserwują twoją rodzinę. Jeżeli wrócisz teraz do szpitala, będą wiedzieli, że pomogłeś mi uciec.

– Powiedzmy, że tak zrobię. Co mi to da, jeśli potem oskarżą mnie o współudział? – zapytał Dumont.

– Nikt cię nie oskarży, bo żaden z ciebie współnik – wyjaśnił Victor, wyciągając ze skrzynki na narzędzia kilka opasek zaciskowych. – Jesteś zakładnikiem. Mogę cię przywiązać do kierownicy, teraz albo później, jak chcesz.

Lekarz w milczeniu usiadł w fotelu kierowcy, a Victor obok niego. Włączył syrenę.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Dumont.

Victor przez chwilę rozważał to pytanie.

– Na południowym krańcu miasta jest zajezdnia autobusowa. Ruszaj.

Dumont dodał gazu i karetka wyjechała z parkingu. Kilka przecnic dalej Victor wyłączył syrenę i koguta, po czym rozsiadł się wygodnie, rozprostowując palce. Wyczuwał, że doktor co jakiś czas zerka na niego z ukosa.

– Patrz na drogę.

Dziesięć minut później w zasięgu wzroku pojawiła się zajezdnia, a Victor wskazał pusty chodnik tuż obok.

– Tam – rozkazał zwięźle.

Dumont zaczął powoli zjeżdżać z drogi, lecz pasażer sięgnął do kierownicy i zakręcił nią gwałtownie, tak że karetka aż wskoczyła na krawężnik.

– Nie zapominaj, że prowadzisz w wielkim stresie – upomniał lekarza. Zanim ten zdążył zaprotestować, Victor przypiął mu ręce do kierownicy opaskami. – Masz przy sobie telefon?

– zapytał. Dumont wskazał głową kieszeń. Vale wyciągnął mu komórkę i wyrzucił ją przez okno. – To chyba wszystko – powiedział, wysiadając z karetki.

Teraz miał sporą przewagę nad prześladowcami.

III

DZIEŃ WCZEŚNIEJ

PION

Stell stał przed półkolem ekranów z ramionami założonymi na piersi, patrząc, jak cała operacja bierze w łeb. Z głośnika na biurku dobiegały go rozmowy prowadzone przez radio.

- Ani śladu celu.
- Ofiary po naszej stronie!
- Zabezpieczyć obszar.

„Co za cholerna katastrofa”, pomyślał dyrektor, zapadając w fotel.

Pułapka Elia zadziałała, ale jego agenci ponieśli klęskę. Troje z nich nie żyło – dwoje znaleziono z krwotokiem z uszu i nosów w podziemiach, jednego – z nożem w gardle na parterze, a reszta okazała się bezużyteczna.

Niezależnie od tego, czy Victor przejrzał podstęp, czy też złapał przynętę, ale uciekł z haczyka, jedno było pewne – nie zrobił tego samodzielnie.

Kilku żołnierzy zostało postrzelonych przez sanitariusza, inni przez recepcjonistę, a kolejni – przez lekarzkę – ale Stell wyczuwał, że stoi za tym jedna osoba. Jeden z jego ludzi odpowiedział ogniem, trafiając panią doktor w ramię. W tej samej chwili po drugiej stronie szpitala pewna lekarka, dokładnie odpowiadająca opisowi, upadła na podłogę, krwawiąc z ramienia, w samym środku przygotowań do operacji.

Najwyraźniej do akcji wkroczyła zmiennokształtna PonadPrzeciętna. Wspólniczka Marcelli Renee Morgan. Pomogła Victorowi w ucieczce.

Stell chwycił komórkę i wybrał numer.

- Mark! – przywitał go gładki głos.
- Gdzie jest Victor Vale? – wycedził Stell.
- Oszukiwałeś.
- To nie jest gra. Zgodziłaś się go dostarczyć, a zamiast tego dzięki tobie wciąż pozostaje na wolności. Kiedy masz zamiar dotrzymać swojej części umowy?

Marcella westchnęła.

– Mężczyźni są tacy niecierpliwi! Pewnie dlatego, że przez całe życie dostajecie to, czego chcecie, wtedy, kiedy chcecie. Czasami, Mark, trzeba po prostu poczekać.

- Kiedy?!
- Jutro – powiedziała Marcella. – Przed imprezą.

Stell zacisnął szczęki jeszcze mocniej.

- Jaką imprezą?
- Nie mów, że nie dostałeś zaproszenia?

Stos poczty spoczywał na biurku dyrektora, nietknięty i zapomniany. Zaczął w nim grzebać.

- Rozwazałam śledzenie go, dopóki...

Znalazł zaproszenie na śnieżnobiałym kartonie ze złotym „M” wytłoczonym na środku. Na kopercie brakowało pieczętki, więc ktoś musiał dostarczyć ją osobiście. Stell otworzył kartę.

– To z pewnością trzymałoby cię z daleka ode mnie – ciągnęła Marcella – ale przecież nie chciałabym, żebyś przegapił przedstawienie...

„Marcella Morgan i jej wspólnicy...”

Przeczytał zaproszenie raz, a potem drugi. Nie mógł uwierzyć w to, co widział. Więcej, nie chciał w to uwierzyć!

„...najbardziej niezwykłego przedsięwzięcia w Merit...”

– Ależ to kompletne przeciwieństwo dyskrecji!

– Cóż mam rzec? Nigdy nie potrafiłam zachować powściągliwości.

– Mieliśmy umowę!

– To prawda – przyznała Marcella. – Na dwa tygodnie. Oboje wiedzieliśmy, że ta współpraca nie potrwa dłużej, ale przydało mi się to zawieszenie broni. Dało mi czas na wydrukowanie zaproszeń.

– Marcella...

Ale już się rozłączyła.

Stell zmiotł z biurka kubek, który rozleciał się na kawałki. Ciemne krople kawy rozprysły się na podłodze.

Po kilku sekundach na miejscu była Rios.

– Sir? – zapytała, obejmując wzrokiem stłuczony kubek, korespondencję porzucaną w poszukiwaniu zaproszenia i zgniecioną śnieżnobiłą kartę w jego dłoni.

Stell opadł bezwładnie na krzesło, a w jego głowie odzywał się echem głos Elia.

„Zawarłeś umowę?”

„Ktoś dysponujący taką mocą nadaje się tylko do piachu”.

„Wyślij mnie”.

Spojrzenie Stella powędrowało ku wąskiej srebrnej walizce, którą otrzymał od zarządu, z kołnierzem spoczywającym na wyściółce.

Agentka Rios stała u jego boku, milcząc i czekając na rozkazy.

Stell wstał.

– Przygotować na jutro zespół do transportu więźnia.

Rios uniosła brew.

– Którego?

– Cardale’a.



Stell zastał Elia siedzącego na brzegu pryczy, ze złożonymi dłońmi i pochyloną głową, tak jakby się modlił. A może tylko czekał.

Na dźwięk kroków Stella głowa PonadPrzeciętnego się uniosła.

– Dyrektorze, czy moja pułapka przyniosła zamierzony rezultat?

Stell się zawahał.

– Jeszcze nie – zełgał. Nie było powodu, by powiadamiać Elia o ucieczce Vale’a, natomiast istniało wiele dobrych powodów, by utrzymywać go w nieświadomości. Zwłaszcza jeśli wzięło się pod uwagę, co miał niedługo zrobić. – Czy rozważałeś problem Marcelli?

Eli wstał.

– Moja opinia pozostaje bez zmian.

- Nie pytam o twój wyrok – zachnął się Stell. – Pytam o metodę. Jakbyś się jej pozbył?
- Pytasz, jak ja bym się jej pozbył?
- Wciąż uważasz, że jesteś najlepiej wyposażony do tego zadania.

Cień uśmiechu.

– Tak jest.

– Będę z tobą wyjątkowo szczery – oświadczył Stell. – Nie ufam ci.

– Nie musisz – odparł Eli.

Stell pokręcił głową. Co sobie myślał ten PonadPrzeciętny?

– Wciąż nie wiemy, czy potrafisz wygrać z Marcellą.

Eli uśmiechnął się posępnie.

– Haverty spędził cały rok, próbując znaleźć granice mojej regeneracji. Nie udało mu się.

– Jej moc nie jest jedynym problemem – ostrzegł Stell. – Marcella nie działa przecież sama.

– Ja też nie – stwierdził Eli, wskazując na celę i całą resztą PION-u. – Zabicie trojga PonadPrzeciętnych nie jest trudne, dyrektorze. Dużo trudniej zebrać ich w jednym miejscu, a potem rozdzielić, tak żeby nie mogli współpracować. Dokonaj tego, a twoi agenci będą mogli zająć się pozostałą dwójką, podczas gdy ja zadbam o Marcellę. Zapewniam cię, że w odpowiednich warunkach pokonanie tamtych całkowicie mieści się w granicach naszych możliwości.

„W odpowiednich warunkach”.

Stell wsunął zaproszenie Marcelli do wnęki w przezroczystej ścianie.

– Czy to zadziała?

Eli wziął kartę, przebiegł wzrokiem przez jej treść.

– Tak – powiedział po chwili. – Sądzę, że tak.

IV

POPZEDNI WIECZÓR

MERIT

Victor potrzebował drinka.

Zauważył szereg niskich, ponurych budynków, zaniedbanych i nierzucających się w oczy, a między nimi bar. Ruszył ku nim ulicą, wygrzebując komórkę z kieszeni. Mitch odebrał po drugim sygnale.

– Zaczęliśmy się już martwić. Co z Dumontem?

– To była zasadzka – odparł beznamiętnie Victor. – Facet jest zwykłym człowiekiem.

Mitch zaklął.

– PION?

– W rzeczy samej – przyznał Victor. – Wymknąłem im się, ale nie zaryzykuję powrotu. Mógłbym doprowadzić ich do Kingsley.

– To on?! – zawołała Sydney w tle. – Co się stało?

– Powinniśmy wyjechać? – zapytał Mitch.

„Tak”, pomyślał Victor. Nie mogli jednak tego zrobić, a w każdym razie jeszcze nie teraz. Taki ruch tylko przyciągnąłby uwagę PION-u. Zastawili pułapkę w szpitalu i cierpliwie czekali, aż Victor do nich przyjdzie, co oznaczało, że nie umieli go znaleźć... ale nie oznaczało, że w końcu im się nie uda. Czy wiedzieli już o Sydney? Co by się stało, gdyby ją znaleźli?

– Zostańcie w apartamencie – polecił. – Nie otwierajcie drzwi. Nikogo nie wpuszczajcie. Zadzwoń, gdybyście zauważyli na zewnątrz kogoś lub coś podejrzanego.

– A co z tobą? – zapytał Mitch.

Na to Victor nie znał jeszcze odpowiedzi, więc rozłączył się i wszedł do baru, kiepsko oświetlonej i pustawej speluny. Zamówił whiskey i usiadł w boksie przy tylnej ścianie, skąd dobrze widział jedyne wejście do baru i garstkę stałych bywalców.

Zabrał z karetki czytana książkę w wydaniu kieszonkowym. Wydobył ją teraz razem z czarnym flamastrem i otworzył zniszczoną okładkę.

Stare nawyki. Pisak ruszył znanym szlakiem, zaczerniając pierwszy wers, a potem następny. Victor czuł, że uspokaja się z każdą skreśloną linijką tekstu, zamienioną w grubą czarną linię. Najtrudniej było znaleźć pierwsze słowo godne pozostawienia. Zawsze szukał jakiegoś konkretnego wyrazu, a potem wykreślał tekst wokół niego. Najczęściej, chociaż nie lubił się do tego przyznawać, nawet sam przed sobą, czuł, że to, co robi, ma znaczenie nie tylko fizyczne, ale również metafizyczne.

Pozwolił flamastrowi jechać w poprzek strony, czekając, aż pojawi się słowo, które go zatrzyma. Wymazał „dumę”, „upadek” i „zmianę”, by stanąć przed „znajdź”, potem ominął „jakiś” dwa wersy niżej i jechał w dół strony, aż natknął się tam na „sposób”.

Victorowi kończył się czas i tropy, ale się nie poddawał.

Sydney, Mitch, Dominik – wszyscy zachowywali się tak, jakby poddanie się było ryzykowną, lecz dopuszczalną możliwością... Ale przecież nie było. Jakaś niewielka część umysłu Victora chciała, żeby przestał się starać, przestał walczyć, lecz to nie leżało w jego charakterze. Ta sama uparta wola przeżycia, dzięki której stał się PonadPrzeciętnym, teraz nie pozwalała mu pogodzić się z losem ani przyznać do porażki.

„Cokolwiek ci się przydarzyło, jakkolwiek zostałeś zraniony, zrobiłeś to sobie sam”.

Tak powiedział Campbell. Uzdrowiciel miał rację. Victor zawsze był panem swego losu. Sam wszedł na stalowy stół w laboratorium. Zmusił Angie, żeby zamknęła obwód. Pięć lat temu sprowokował Elia do morderstwa, wiedząc, że Sydney go wskrzesi.

Każde działanie zostało starannie zaplanowane. Victor zadbał o każdy krok.

Jeżeli z tej sytuacji było jakieś wyjście, znajdzie je. Jeżeli nie było, stworzy je.

Jedyne drzwi baru otworzyły się gwałtownie i kilka chwil później Victor usłyszał głos. Słowa ginęły w gwarze innych rozmów, ale akcent trudno było pomylić.

Podniósł wzrok.

Przy barze stała niska brunetka o lisich rysach. Nigdy przedtem jej nie widział, ale wiedział, że to ona – kobieta z klubu Malcolma Jonesa. Przejęta samarytanka z bocznej alejki. I oczywiście lekarka, która pomogła mu uciec ze szpitala. Victor rozpoznawał nie tylko akcent, ale również błysk w jej oczach, kiedy zerkała ku niemu z łobuzerskim uśmiechem rozświetlającym jej twarz. Jeśli to faktycznie była jej twarz.

Z pewnością była PonadPrzeciętna.

Patrzył, jak zmiennokształtna bierze drinka i podchodzi do niego.

– Czy to miejsce jest zajęte? – zapytała śpiewnie.

– To zależy – odparł Victor. – Glass Tower. Czy to tam spotkaliśmy się po raz pierwszy?

Na lisiej twarzy pojawił się kpiący uśmiech.

– Tak, to był pierwszy raz.

– Ale nie ostatni.

– Nie – odparła PonadPrzeciętna, siadając na krześle naprzeciw niego. – Nie ostatni.

Victor zacisnął palce na szklance.

– Kim jesteś?

– Uważaj mnie za kogoś w rodzaju anioła stróża. Możesz mówić mi June.

– Czy to twoje prawdziwe imię?

– Ach – powiedziała June z zadumą. – „Prawdziwe”... W moim przypadku to nie takie proste. – Zmieniła się w kogoś innego. Nie była to stopniowa zmiana – brunetka rozwała się, a na jej miejscu siedziała teraz rudawa blondynka z bujnymi lokami, o ciemnoniebieskich oczach. – Podoba ci się? – zapytała, tak jakby zasięgała opinii na temat nowej sukienki, a nie zniekształconego obrazu jedynej dziewczyny, którą Victor kiedykolwiek kochał. – To najlepsze, co potrafię, biorąc pod uwagę, że oryginał nie żyje.

– Zmień to – powiedział sucho Victor.

– Oj tam – naburmuszyła się June. – Wybrałam ją specjalnie dla ciebie!

– Zmień to – powtórzył z naciskiem.

Spojrzenie błękitnych oczu spoczęło na nim, jakby prowokując? Rzucając mu wyzwanie? Victor odpowiedział na nie twardo. Jego palce drgnęły, kiedy chwycił za jej nerwy i powoli podkręcał ból. Jeśli jednak go poczuła, nie dała tego po sobie poznać. Jej moc, jakakolwiek była, chroniła ją.

– Przykro mi – odezwała się z bladym uśmiechem. – Nie możesz mnie skrzywdzić.

Z lekkim naciskiem na słowo „mnie”.

Victor pochylił się nad stolikiem.

– Nie muszę. – Rozchylił dlonie nad zniszczonym drewnianym blatem, przyszpilając jej ciało do krzesła. Na czole June pojawiła się lekka zmarszczka – jedyny ślad, że próbuje walczyć z jego uściskiem. – W ludzkim ciele jest wiele nerwów – powiedział. – Ból jest tylko jednym z możliwych sygnałów. Pojedynczym instrumentem w orkiestrze symfonicznej.

Na ustach dziewczyny pojawił się drwiący uśmieszek.

– I jak myślisz, długo tak mnie będziesz trzymać? Godzinę? Cały dzień? Do następnej śmierci? Tak sobie myślę: które z nas odpuści pierwsze?

Faktycznie, to był impas. Victor zwolnił chwyt.

June odetchnęła i rozluźniła mięśnie karku, jednocześnie znów się zmieniając. Rudawa blondynka zniknęła, zastąpiona przez brunetkę, która weszła do baru.

– Proszę bardzo. Teraz lepiej?

– Dlaczego mnie śledzisz? – zapytał Victor.

– Mam w tym własny interes – odparła. – I nie tylko ja. W tym mieście jest jeszcze jedna PP, która bardzo chciałaby się z tobą spotkać. Być może o niej słyszałeś?

Marcella Riggins.

PonadPrzeciętna traktująca Merit jak własne podwórko. Ta, która wbrew prawdopodobieństwu wciąż jeszcze znajdowała się u szczytu kariery.

– Rozumiem – odpowiedział powoli. – Więc mam cię traktować tylko jako posłańca.

Przez twarz June przebiegł cień urazy.

– Nie tylko.

– A dlaczegoż to – zapytał – miałbym spotkać się z Marcellą?

Wzruszyła ramionami.

– Z ciekawości? W związku z tym, że nie masz nic do stracenia? A może... zrobiłbyś to ze względu na Sydney?

Oczy Victora pociemniały.

– Czy to ma być groźba?

– Nie. – W jej głosie po raz pierwszy nie było kpiny ani złośliwości. Teraz mówiła szczerze. Nie zmieniła postaci, ale różnica była wyczuwalna. – Bardzo mnie interesuje jej przyszłość.

– Nawet jej nie znasz.

– Każdy ma jakąś tajemnicę, Victor. Nawet nasza kochana Syd. Jak myślisz, jakim cudem znalazłam cię dzisiaj w szpitalu? Dba o ciebie i powinieneś odwzajemnić się jej tym samym. Wiem, że jesteś chory. Widziałam, jak umierasz. Oboje wiemy, że Sydney ma przed sobą długie życie. Co się stanie, kiedy zabraknie cię, żeby ją chronić? – Szczerość zniknęła, zastąpiona raz jeszcze przez ironiczne skrzywienie ust i błysk w oku. – Ta nasza Syd ma potężną moc. Będzie potrzebowała przyjaciół, kiedy umrzesz, a oboje wiemy, że zabiłes najbliższą jej osobę.

Victor spojrzął w swoją szklanekę.

– Czy to tym chce być Marcella? Przyjacielem i sojusznikiem?

– Marcella jest naprawdę silna – powiedziała June dobitnie.

– A na czym dokładnie polega jej talent?

– Przyjdź i przekonaj się sam – odparła, a potem chwyciła książkę i flamaster. – Jutro – powiedziała, zapisując szczegóły na wewnętrznej stronie okładki. – Aha, musisz wiedzieć jedno – dodała, wstając. – Kiedy Marcella składa komuś ofertę, robi to tylko raz. – Popchnęła ku niemu książkę. – Nie zmarnuj tej okazji.

V

POPZREDNI WIECZÓR

FIRST AND WHITE

June nuciła pod nosem, jadąc w górę windą.

Przed drzwiami penthouse'u zastała dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach. Byli nowi, a jeden wpadł na kiepski pomysł, by ją zatrzymać.

– A ty dokąd się wybierasz?

June popatrzyła na dłoń spoczywającą na jej ramieniu. Kiedy znów podniosła wzrok na mężczyznę, była już nim samym, co do jednego włosa na kosmatych łapskach i śladu po trądziku.

– Wybieram się tam, dokąd mam ochotę – odparła ze śpiewnym akcentem przebijającym z jego niskiego głosu.

Ochroniarz cofnął się jak oparzony.

– Prze... przepraszam – zająknął się, a przez jego twarz przemknął autentyczny strach. To była miła odmiana. Wcześniej June spotykała się z zaskoczeniem, szokiem, raz czy dwa nawet z podziwem, ale nigdy z tak prostą emocją jak strach. Nie wiedzieli, kim była, ale zdawali sobie sprawę czym. PonadPrzeciętną. I to najwyraźniej sprawiało, że robili pod siebie.

Może Marcella miała rację? Może to nie PonadPrzeciętni powinni się kryć przed ludźmi?

– Nie przejmuj się – odpowiedziała pocieszająco, zmieniając się z powrotem w brunetkę.

– Pomyliłeś się w dobrej wierze.

Rzucili się otwierać drzwi i wkroczyła do penthouse'u, czując lekkie zdumienie, ponieważ po raz pierwszy od dawna miała dokąd wrócić.

„Teraz potrzebujemy już tylko psa”, pomyślała. „Takiego, który będzie nas witał, kiedy wracamy do domu”.

Weszła do salonu, gdzie zastała Jonathana. Siedział na kanapie, zasłaniając oczy dłońmi.

– Johnny, mój chłopcze, skąd ta rozpacz? – Zwolniła kroku na widok wielkiej ciemnoczerwonej plamy na podłodze. – O, coś nowego.

– Tak – odparł Jonathan, podnosząc głowę. – Miała sporo roboty.

– Właśnie widzę. A gdzie nasza nieustraszona przywódczyni?

Jonathan nie odpowiedział. Nie musiał – głos Marcelli dobiegał z jej gabinetu.

– Skąd pomysł, że odpowiadałyby mi kwiaty?

– To lilie – wyjaśnił męski głos. – Myślałem, że będą najbardziej elegancką ozdobą wieczoru.

– To ja będę ozdobą wieczoru.

– Obawiam się, że jeżeli nie damy czegoś, co złagodzi tę przestrzeń, to będzie wyglądać zbyt ascetycznie.

– To początek nowej ery – rzuciła gniewnie Marcella – a nie jakieś pierdolone urodziny słodkiej szesnastolatki!

Mężczyzna wyraźnie się zawahał.

– Skoro tego sobie pani życzy...

June usłyszała wymowny stukot obcasów na marmurze.

– No cóż, zapewne pani wie najlepiej... – powiedział głos, potem dało się słyszeć szurnięcie, sapnięcie... a June przestąpiła drzwi gabinetu w samą porę, by zobaczyć, jak facet zamienia się w proch pod dotykiem Marcelli.

– Och, jak za tym tęskniłam – powiedziała June niefrasobliwie, kiedy to, co pozostało z dekoratora, upadło na podłogę. Zmierzyła wzrokiem stos szczątków, udekorowany kilkoma poszarpanymi kawałkami jedwabiu i srebrną spinką do mankietu. Marcella potrafiła niszczyć innych coraz szybciej i mocniej, a jej zdolności nadal wydawały się nieograniczone.

Teraz oparła się o biurko, chwyciła ściereczkę i wytarła dłonie.

– Nigdy nie lubiłam się powtarzać. – Podniosła wzrok. – Czy nie powinnaś pilnować naszego przybysza?

– Mam dość pilnowania dzieci jak na jeden dzień – odparła June. – Poza tym dostarczyłam już twoją wiadomość.

– No i?

– Trudno zgadnąć, co zrobi, ale myślę, że przyjdzie.

– Mam nadzieję – oznajmiła Marcella. – I naprawdę się cieszę, że wróciłaś w porę.

– Na co? – zapytała June.

Marcella wręczyła jej zaproszenie.

Otworzyła je i przebiegła wzrokiem po tekście. Pokręciła głową, zdumiona i rozbawiona jednocześnie.

– Jezu, Marcella, czy ktoś ci kiedykolwiek powiedział, że jesteś szajbnięta?

Marcella wydeła usta.

– Wiele razy – odparła. – Mężczyźni lubią obrażać w ten sposób ambitne kobiety. Czy nie zapominasz czasem, June, że to był właściwie twój pomysł?

– To był żart, wiesz doskonale. – Rzuciła kartę na biurko. – Ilu ludziom już to wysłałaś?

Marcella zaczęła liczyć na palcach.

– Burmistrzowi, szefowi policji, prokuratorowi okręgowemu, dyrektorowi PION-u... – Machnęła dłonią. – A poza tym jeszcze ze stu innym najpotężniejszym – no, do niedawna najpotężniejszym – osobom z tego pięknego miasta.

June pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Zwracanie na siebie uwagi, i to jeszcze w ten sposób, jest bardzo złym pomysłem. To tak, jakbyś wieszala sobie na plecach tarczę strzelniczą.

– Jedna już tam wisi, nie zauważyłaś? I tak po nas przyjdą, wcześniej czy później, June, i jeżeli pozostaniemy w ukryciu, nikt nawet nie zauważy, że tu byliśmy. Więc niech nas zobaczą. Niech zobaczą, co potrafimy. – Uśmiechnęła się promiennie i uwodzicielsko. – Przyznaj, June. Chciałabyś stanąć w pełnym świetle... tak, żeby już nigdy nie uciekać, nigdy się nie kryć.

Marcella nie rozumiała, że June zawsze już będzie się ukrywać. Ale miała rację co do jednej rzeczy. Ludzie próbowali nagiąć June do swojej woli, złamać ją, sprawić, by poczuła się mała i niepotrzebna.

Być może nadszedł czas, żeby uświadomić sobie, że to oni są mali. June nigdy nie mogła być sobą, tą sobą, którą była, zanim stała się PonadPrzeciętna, ale mogła być kimś. Mogła sprawić, żeby ją dostrzeżono.

A kiedy przyjdą po nich ludzie z PION-u... No cóż, jej na pewno nie złapią.

W ten sposób pozostawała jej tylko jedna kwestia.

Czyją postać założyć na przyjęcie?

VI

OSTATNI PORANEK

MERIT

Sydney upadła na łód i pozostała na nim na czworakach.

Próbowała uciec, ale Eli złapał za kołnierz jej płaszczka i pociągnął ją za sobą.

– No dalej, Sydney – powiedział. – Skończmy, co zaczęliśmy.

Usiadła, łapiąc rozpaczliwie powietrze.

Nie zauważyła nawet, kiedy zasnęła. Przez większą część nocy obracała się tylko z boku na bok i rzucała w pościeli. Nie chodziło o Kingsley – przez ostatnie pięć lat przywykła do zasypiania w nowych, dziwnych miejscach. Chodziło o Victora, a raczej o jego nieobecność.

Czuła się źle w tym apartamencie, zbyt pustym bez niego.

Zajmował miejsce wśród nich w pewien szczególny sposób i nawet kiedy zaczął poruszać się jak duch, pojawiając się i znikając bez śladu, nigdy nie opuszczał ich na dłużej. Zawsze czuła łączącą ich nić, a kiedy wychodził wieczorem, leżała w łóżku i czuła, jak nić rozwija się pod jej dłonią, a potem zwija, kiedy wracał do domu.

Jednak poprzedniego wieczoru nie wrócił.

Spotkanie z Dumontem było pułapką, a Victor prawie dał się w nią złapać. Uciekł jednak i nie miał zamiaru wracać, dopóki nie będzie to bezpieczne. Uciekł – a Sydney wiedziała, że ktoś mu w tym pomógł. Jeszcze raz zerknęła na ekran telefonu, w wiadomości z zeszłej nocy.

Syd: dziękuję

June: ależ nie ma za co :)

Wstała i wyszła z pokoju. Znalazła Mitcha przy stole; zaginał dwa druciki, żeby dopasować je do małego czarnego pudełka. Sydney zawsze go podziwiała, nie mogąc się napatrzyć, jak jego wielkie łapska pracują z taką precyzją.

– Co to? – zapytała.

Mitch uśmiechnął się i odparł:

– Małe zabezpieczenie.

Uniosł urządzenie, a wówczas zdała sobie sprawę, że widziała je już wcześniej, albo bardzo podobne, przychepione za drzwiami tam, gdzie razem z Mitchem i Victorem akurat bawili się w dom.

– Victor się odzywał?

Mitch skinął głową.

– Dzisiaj rano – powiedział. – Jak tylko wróci, wyjeżdżamy.

Serce stanęło Sydney w gardle. Nie mogła opuścić Merit, jeszcze nie teraz, zanim nie spróbuje...

Prześlizgnęła się z powrotem do swojego pokoju i ubrała. Naciągnęła buty, założyła bombkę, a potem podeszła do komódki, w której ukryła małą czerwoną puszkę. Schowała ją głęboko w kieszeni i ruszyła w kierunku wyjścia z apartamentu.

– Chodź, Dol! – zawołała.

Psisko leniwie uniosło łeb.

– Syd – odezwał się Mitch. – Musimy zostać w środku.

– Ale on musi wyjść na spacer – zaprotestowała.

Dol nie wydawał się jednak szczególnie zachwycony taką perspektywą.

– Wyprowadziłem go już wcześniej na dach – wyjaśnił Mitch. – Tutejszy ogrodnik pewnie się wkurzy, ale to musi wystarczyć. Przykro mi, dzieciaku. Też nie lubię warować w zamknięciu, ale na zewnątrz nie jest bezpiecznie...

Sydney pokręciła głową.

– Gdyby PION wiedział, gdzie jesteśmy, już by po nas przyszli.

Mitch westchnął.

– Może i tak, jednak nie mam zamiaru kusić losu.

Powiedział to tak stanowczo i surowo, że Sydney przygryzła wargę, rozważając dalsze możliwości. Mitch nigdy dotąd nie powstrzymał jej przed wyjściem, przynajmniej nie fizycznie. Zastanawiała się, czy zrobiłby to teraz. Mimo wszystko nie chciała go stawiać w takiej sytuacji. Westchnęła, zdejmując kurtkę.

– Dobra.

Mitch odprężył się z widoczną ulgą.

– Cieszę się. W takim razie zrobię lunch. Zgłodniałaś?

Sydney się uśmiechnęła.

– Pewnie! – odparła. – Ale najpierw wezmę prysznic.

Poszedł do kuchni i włączył kuchenkę, a ona tymczasem prześlizgnęła się korytarzem, z powrotem zakładając bomberkę. Przeszła koło łazienki i skręciła do sypialni Mitcha. Otworzyła okno. Dol przyczłapał za nią do pokoju.

– Zostań! – szepnęła.

Pies otworzył pysk, jakby chciał warknąć, ale tylko wywiesił wielki czerwony jęzor.

– Dobry piesek – powiedziała, stawiając nogę na parapecie. – Pilnuj Mitcha!

Już miała ruszyć w dół schodów pożarowych, lecz się zawahała. Wygrzebała z kieszeni kartę, którą zawsze ze sobą nosiła – tę, którą Victor dawno temu wybrał z rozsypanej talii, a potem w sekrecie wsunął jej w dłoń.

Król pik. Karta była już mocno zniszczona, z brzegami wyświechtanymi od pięciu lat noszenia w tylnych kieszeniach spodni, zgięta w połowie.

W ich grze figura oznaczała wolność.

Sydney powiedziała sobie, że nie łamie zasad – a jeśli tak, no cóż, nie jest jedyna.

Upuściła kartę na podłogę i przytknęła za sobą okno.

VII

OSTATNI PORANEK ŚRÓDMIEŚCIE MERIT

Victor stał na ulicy ze skradzioną książką w dłoni.

Siedział w barze do północy, a potem wynajął pokój w pobliskim motelu, nijakim miejscu, które na pewno nie przyciągało uwagi policji. Po kilku bezsennych godzinach na skrzypiącym sprężynami łóżku wstał i wyszedł. Udał się na dłuższy spacer przez budzące się Merit, aż dotarł pod adres, który June wypisała na wewnętrznej stronie okładki.

„Alexander Place 119, o 12.00”

Pod tym adresem mieściła się – coś podobnego! – galeria sztuki. Z chodnika można było zajrzeć do środka przez wielkie okna, ale dostrzegał tylko fragmenty malowideł. Było już prawie południe, a on jeszcze nie zdecydował, czy przestąpi próg galerii.

Rozważał w myślach wszystkie opcje, przypominając sobie słowa June.

To mogła być kolejna pułapka. Albo okazja. W końcu wszedł, z czystej ciekawości. Chciał spotkać się z PonadPrzeciętną, która zdołała tak długo wymykać się PION-owi, z kobietą, która nie uciekała, lecz utrzymała swoją pozycję na szczycie przestępczego świata Merit.

Przebiegł ulicę, wspiął się po trzech płaskich schodkach i wkroczył do galerii White Hall.

Wnętrze było większe, niż wydawało się z ulicy: szereg wielkich, jasnych pomieszczeń, połączonych łukowatymi przejściami. Na ścianach wisiały abstrakcyjne obrazy, przedstawiające zwykle kolorowe plamy na białym tle. Victor w swoim czarnym stroju czuł się w tym otoczeniu niczym atramentowy kleks. Takie ubranie było idealne, gdy trzeba było przemykać niezauważonym przez tłum na ulicy, lecz w tak prostym wnętrzu rzucało się w oczy. Nie próbował więc wtopić się w tłum, nie udawał, że podziwia sztukę, tylko szedł przed siebie w poszukiwaniu Marcelli.

W kolejnych salach mijał mężczyzn i kobiety, ale żadne z nich nie wyglądało na bywalca galerii. Victor dostrzegał kabury pod dopasowanymi garniturami i dłonie spoczywające nad rozpiętą torebką. „Najemnicy”, pomyślał, zastanawiając się, czy June ukryła się wśród nich. Nie dostrzegał jednak nikogo, kto zachowywałby się tak jak ona.

W końcu znalazł Marcellę.

Stała w największym pomieszczeniu galerii, tyłem do niego, z czarnymi włosami upiętymi w kok, w jedwabnej bluzce z dekoltem na plecach sięgającym poniżej łopatek. Mimo to od razu wiedział, że to ona. Nie dlatego, że widział ją wcześniej na zdjęciu; powiedziała mu to jej postawa, niedbały wdzięk drapieżnika. Victor przywykł do sytuacji, w której był najpotężniejszą osobą w okolicy, tymczasem tutaj zobaczył kogoś innego, zachowującego się w ten sposób. To było zarazem znane, jak i niepokojące.

Nie byli tu sami.

Pomiędzy dwoma obrazami opierał się o ścianę chudy mężczyzna w czarnym garniturze. Ciemne włosy miał zaczesane do tyłu, a połowę jego twarzy skrywały okulary przeciwsłoneczne. Białe ściany sprawiały, że w galerii było nienaturalnie jasno, ale nie dość jasno, by pojawiły się cienie – co oznaczało, że ta biel służyła innemu celowi.

– Nigdy nie rozumiałam sztuki – odezwała się Marcella z zadumą, ale dość głośno, by Victor wiedział, że zwraca się do niego. – Odwiedziłam setki galerii, oglądałam tysiące

obrazów, czekając, aż mnie oświecą, natchną podziwem albo oczarują – a czułam tylko nudę.

Wyciągnęła dłoń i przycisnęła złoty paznokieć do powierzchni malowidła. Pod jej dotykami płótno zetlało i rozsypało się na kawałeczki, które opadły na podłogę.

– Na szczęście jestem właścicielką tego budynku i wszystkiego, co się w nim znajduje – powiedziała, obracając się na stalowym obcasie. Uniosła brew. – Oczywiście poza tobą. – Spojrzała na niego. – Czy lubisz sztukę, Vale? Mój mąż ją lubił. Zawsze miał słabość do pięknych rzeczy. – Uniosła podbródek. – Nie uważasz, że jestem piękna?

Victor uważnie się jej przyjrzał. Smukłe kończyny, czerwone wargi, błękitne oczy pod gęstymi, czarnymi rzęsami. Odwrócił od niej wzrok, spoglądając na resztki obrazu leżące na podłodze, a potem znów spojrzał na Marcellę.

– Uważam, że jesteś potężną, wpływową osobą.

Uśmiechnęła się, najwyraźniej zadowolona z odpowiedzi.

Victor wyczuł za sobą ruch i się obejrzał. Do pomieszczenia wszedł kolejny człowiek – mężczyzna z kocią bródką i łobuzerskim uśmiechem.

– Zdaje się, że już poznałeś June – powiedziała Marcella. – W tej czy innej postaci.

Mężczyzna figlarnie puścił do nich oko.

– A to jest Jonathan – przedstawiła Marcella chudego mężczyznę opartego o ścianę. Jonathan nie odezwał się, skinął tylko nieznacznie głową.

– A więc zamiast dzieł sztuki kolekcjonujesz PonadPrzeciętnych? – zapytał Victor.

Marcella rozchyliła czerwone usta w uśmiechu.

– Wiesz, kim chciałam zostać, jak byłam mała?

– Prezydentem?

Uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Kimś potężnym i wpływowym. – Stalowe obcasy zastukały na marmurze, kiedy ruszyła ku niemu. – Pomyśl, każdy chce właśnie tego. Kiedyś władzę i wpływy określało pochodzenie – to był wiek krwi. Potem określały ją pieniądze – to był wiek złota. Sądzę, że nadeszła pora, by to zmienić. Teraz nastąpi wiek mocy.

– Niech zgadnę – rzucił Victor. – Albo będę z tobą, albo przeciwko tobie?

Marcella cmoknęła z niesmakiem.

– Co za czarno-białe myślenie. Naprawdę, mężczyźni są tak zajęci szukaniem wrogów, że rzadko kiedy pamiętają, by zyskiwać również przyjaciół. – Pokręciła głową. – Dlaczego nie mielibyśmy współpracować?

– Działam sam.

Uniosła znacząco brew.

– Daj spokój, oboje dobrze wiemy, że to nieprawda.

Victor zmrużył oczy, ale nic nie powiedział. Marcella wydawała się przeszczeniwa, mogąc mu to wyjaśnić.

– Pieniądze we właściwych rękach mogą zdziałać wiele. Da się dzięki nim zyskać znaczną wiedzę i wgląd w wiele dokumentów. Na przykład w pliki Elia Evera z czasów jego współpracy z policją Merit. Piękną parę tworzyli z Sereną Clarke, ale wydaje mi się, że ty zawarłeś lepszy układ z jej siostrzyczką Sydney.

Victor zdołał zachować opanowanie, ale po drugiej stronie pokoju June zeszytniała i pobladła.

– Marcella...

Ale kobieta uniosła dłoń. W jej złotych paznokciach zaśniło światło.

– Słyszałam o twoim talencie – ciągnęła. – Chciałabym zobaczyć go na własne oczy.

– Czyli zaprosiłaś mnie na casting?

Jej usta drgnęły w uśmiechu.

– Nazywaj to, jak chcesz. Pokazałam ci swoją moc oraz Jonathana i June. Myślę, że byłoby fair, gdyby...

Victor nie próbował dalszej zachęty. Wyciągnął dłoń w kierunku chudego mężczyzny w garniturze, spodziewając się, że tamten natychmiast zwali się na podłogę – ale ku jego zaskoczeniu powietrze przed Jonathanem tylko zalsniło bielą i błękitem z trzaskiem elektrycznego wyładowania. Poza tym nic się nie wydarzyło. Dziwne. Victor wyczuwał nerwy tamtego tak samo jak przed chwilą, zanim próbował w niego uderzyć. Ale w trakcie ataku powstało krótkie spięcie; tak jakby piorun próbował uderzyć w coś uziemionego.

Pole siłowe.

Marcella się uśmiechnęła.

– Och, przepraszam. Powinnam była uprzedzić, że Jonathan jest poza zasięgiem. – Rozejrzała się. – Poproszę o małą pomoc.

Powiedziała to tylko nieznacznie głośniejszym głosem, ale do pokoju natychmiast zaczęli napływać ludzie. Pięciu mężczyzn i kobieta, których Victor minął wcześniej w galerii.

Marcella uśmiechnęła się znowu.

– Mam nagrodę dla tego – oznajmiła – kto powali tego człowieka!

Przez chwilę wszyscy trwali w bezruchu.

A potem ruszyli jednocześnie.

Wielki, kwadratowy facet rzucił się na niego pierwszy. Victor złapał jego nerwy i gwałtownie szarpnął. Mężczyzna upadł z wrzaskiem, Victor powalił dwóch kolejnych, nadsciągających jego śladem, a potem zwrócił się ku kobiecie, która wyciągnęła nóż.

Strzepnął palcami niczym dyrygent i ona również legła na podłozie.

Piąty skulił się na boku, jęcząc z cierpienia, podczas gdy szósty próbował sięgnąć po broń. Victor rozpląszczył jego dłoń na marmurze posadzki i przesuwając wirtualny regulator do góry, aż cała szóstka wiła się w spazmach.

Spojrzał Marcelli prosto w oczy, czekając, aż powie „dosyć”, aż każe mu przestać. Aż pojawi się pierwsza oznaka zaniepokojenia... ale Marcella patrzyła tylko na rozgrywającą się scenę swoimi błękitnymi oczami, nieporuszona.

Do tego momentu przypominała Victorowi Serenę, oczekującą, że cały świat podda się jej woli, lecz w tamtej chwili zobaczył w niej Elia. Ten sam żarliwy błysk w oku, ta sama skumulowana energia i przekonanie o własnej nieomyślności.

Uznał, że ma dość.

Skierował swoją moc przeciwko Marcelli. Nie subtelnym muśnięciem, ale nagłym uderzeniem tępej siły, dość potężnym, by usmażyć nerwy i powalić ciało. Powinna była upaść na zimny marmur tam, gdzie stała, niczym manekin. Zamiast tego sapnęła zaskoczona, a głowa Jonathana drgnęła niedostrzegalnie, zwracając się ku niej. Powietrze natychmiast zatrzęszczało, a wokół Marcelli zalsniła ta sama błękitno-biała poświata, która chwilę wcześniej osłoniła Jonathana.

Victor zdał sobie sprawę z błędu. Marcella przypominała Elia w większym stopniu, niż się spodziewał. Kobieta była zadziwiająco pewna siebie, ba, arogancka, a wszystko dzięki temu, że czuła się niezwyciężona, mimo że chroniła ją moc pożyczona od innego PonadPrzeciętnego.

Puścił sześcioro napastników. Pozostali na podłozie, ciężko łapiąc powietrze.

Marcella wydeła usta, a błękitno-biały blask zgasł.

– To było dość niesportowe zachowanie – stwierdziła.

– Wybacz – odparł sucho Victor. – Trochę mnie poniosło. – Spojrzał na najemników leżących na podłozie. – Rozumiem, że oblałem twój test.

– Och, tego bym nie powiedziała. Twój występ był... pouczający – odparła i wyciągnęła z zanadru śnieżnobiałą kopertę.

June wzięła ją z dłoni Marcelli i przekazała Victorowi.

– Co to? – zapytał.

– Zaproszenie.

Stali przez chwilę w ciszy. Żadne z nich nie chciało odwrócić się plecami do drugiego.

W końcu Marcella uśmiechnęła się i przerwała milczenie.

– Znasz drogę do wyjścia, więc nie będę cię odprowadzać. Ale mam nadzieję, że znów się spotkamy.

Victor wcale tego nie pragnął, ale czuł, że to nastąpi.



– No cóż – podsumowała Marcella, spoglądając za odchodzącym Victorem. – To było naprawdę kształcące spotkanie.

June milczała od chwili, kiedy Marcella wspomniała Sydney. Nie ufała własnemu głosowi. Dopiero teraz odchrząknęła.

– Wciąż myślisz, że może się przydać?

– Niewątpliwie – odparła tamta, wyciągając telefon.

– Mam go śledzić?

– Nie ma takiej potrzeby. – Marcella wybrała numer. – Widziałam już dość. – Ktoś odebrał, a ona powiedziała: – Ma apartament w Kingsley, na Piętnastej, ale teraz porusza się na zachód po Alexander Place. Pomyślnych łowów, Mark.

June poczuła, że serce staje jej w gardle. Skąd Marcella wiedziała, gdzie mieszka Victor? Oraz, co gorsza, również Sydney?!

Kobieta zmierzyła June beznamiętnym spojrzeniem.

– Nie sądziłaś chyba, że tylko ty trzymasz rękę na pulsie, co?

June przełknęła z wysiłkiem.

– Rób z Victorem, co chcesz, ale Sydney nie należy do tego równania.

– Może by tak rzeczywiście było – odparła dobitnie Marcella – gdybyś powiedziała mi prawdę o jej zdolnościach, zamiast zatrzymać ją dla siebie. – Machnęła dłonią w kierunku drzwi. – Ale proszę, idź! Zobaczymy, czy dotrzesz do niej przed ludźmi Stella.

VIII

OSTATNI PORANEK

KINGSLEY

– Sydney! – zawołał Mitch, przerzucając tosta z serem na patelni.

Nie odpowiedziała.

Złe przecucie, to samo, które opanowało go w drodze do Merit, zaczęło się krystalizować: z ogólnego lęku wyłoniły się bardziej konkretne obawy. Tak jak niejasne pierwsze symptomy choroby, która nagle przechodzi w całkiem konkretną gripę.

– Sydney! – zawołał ponownie, zdejmując patelnię z kuchenki, żeby nie przypalić lunchu. Ruszył ku łazience, lecz zwolnił, gdy zauważył drzwi otwarte równie szeroko, jak te do pokoju dziewczynki.

I te do jego pokoju.

Dostrzegł za nimi koniec czarnego ogona, machającego niedbale tuż nad podłogą. Dol leżał rozwalony z pyskiem skierowanym w stronę okna i przeżuwał kawałek papieru. Mitch ukląkł i wyjął go z paszczy psa. Znieruchomiał na widok korony i profilu z brodą. To była karta, figura.

Król pik.

Zerwał się, chwycił telefon i wybrał numer dziewczynki. Dzwonił, dzwonił i dzwonił, ale nikt nie odbierał. Zaklął i już miał rzucić komórkę na łóżko, kiedy ożyła w jego dłoni.

Odebrał, modląc się, żeby to była Sydney.

– Pakuj się – rozkazał Victor. – Wyjeżdżamy.

Mitch jęknął rozpaczliwie.

– O co chodzi?

– Sydney. Nie ma jej tu.

Gwałtowny wydech.

– A gdzie jest?

– Nie wiem. Robiłem lunch, a ona...

Victor przerwał mu:

– Po prostu ją znajdź.



Sydney stała na chodniku, patrząc w górę.

Pięć lat wcześniej wieżowiec Falcon Price był jeszcze w budowie. Stanowił wówczas szkielet betonu i zbrojeń, otoczony parkanem ze sklejki. Teraz wysoko ponad nią wyrastała

lśniąca wieża ze szkła i stali. Wszystkie dowody zbrodni popełnionych tamtej nocy ukryto pod świeżym cementem i za gipsowymi ścianami.

Sama nie wiedziała, co spodziewała się znaleźć lub zobaczyć. Ducha? Widmo siostry? Teraz, kiedy już tu dotarła, była w stanie wyobrazić sobie tylko Serenę przewracającą oczami na samą myśl o podobnych oczekiwaniach.

Klęknęła, sięgając do torby po sekret noszony od tak dawna. Zdjęła wieczko z czerwonej puszkki, rozłożyła pas materiału. Po raz pierwszy od pięciu lat musnęła końcami palców pokryte sadzą odłamki kości. Paliczek, kawałek żebra, fragment miednicy – to wszystko, co zostało z Sereny Clarke. Wszystko poza tym, co zostało pogrzebane tutaj.

Sydney wyłożyła kostki na materiał i rozmieściła je, zostawiając pustą przestrzeń na te, których brakowało, kreśląc w wyobraźni linie na ich miejscu.

Drżąc, wzięła głęboki wdech i już miała położyć dłonie na szczątkach, kiedy zadzwoniła jej komórka: wysoki dźwięk przewiercił ciszę. Jaka była głupia! Powinna była ją wyłączyć. Gdyby już zaczęła, gdyby jej dłonie i umysł sięgały już po skrawek nici, a wówczas rozległby się dzwonek, mogłaby stracić ostatnią szansę. Zrzuć wszystko.

Wygrzebała komórkę z kieszeni i zobaczyła na ekranie imię Mitcha. Wyłączyła telefon i ponownie skoncentrowała się na kościach siostry.

IX

OSTATNIE POPOŁUDNIE

PION

– Jak to „protokół transportowy”?

Dominik siedział w szatni, dopinając bluzę munduru, kiedy do środka wpadł Holtz z uśmiechem na twarzy. W końcu przydzielono go do misji w terenie. Dokładnie rzecz biorąc, do transportu.

– Stell wypuszcza swojego gończego psa na łowy – oznajmił.

Rush znieruchomiał.

– Co?

– Eli Cardale. Uwalniają go z klatki. Ma dopaść tę pojebaną żonę gangstera, która zabiła Barę.

Dominik zerwał się na równe nogi.

– Nie wolno im tego zrobić!

– Może i nie, ale to zrobią.

– Kiedy?

– W tej chwili. Przyszły właśnie rozkazy od dyrektora. Chciał to załatwić sam, ale w mieście dzieje się coś większego, rozumiesz, szaleje jakiś inny PP, i Stell właśnie wyleciał z gabinetu jak poparzony, ale przedtem kazał nam jeszcze uruchomić transport...

Dominik dosłyszał w tej pospiesznej wypowiedzi coś, co go zaniepokoiło.

– Powiedziałeś „jakiś inny PP”?

– Taa – potwierdził Holtz, zdejmując ze ściany matową czarną osłonę. – Ten tajemniczy koleś, który zabija innych PonadPrzeciętnych.

Dominikowi nagle zaschło w ustach.

– Ciekawe, czy go złapią? – zastanawiał się na głos Holtz. – Ale się dzieje! I to wszystko jednego dnia.

Zapiął zbroję i odwrócił się ku wyjściu, ale Dominik złapał go za ramię.

– Czekaj.

Żołnierz uniósł brwi w grymasie zdziwienia, kiedy kolega chwycił jego rękaw. Dominikowi zabrakło jednak słów. Co mógł powiedzieć? I co mógł zrobić? Nie zdołałby powstrzymać misji PION-u, więc pozostawało mu tylko jedno: ostrzec Victora.

Zmusił się, by puścić ramię Holtza.

– Uważaj na siebie – powiedział. – Żebyś nie skończył tak jak Bara.

Holtz posłał mu radosny uśmiech i wyszedł.

Dominik policzył do dziesięciu, potem jeszcze raz, czekając, aż kroki Holtza w korytarzu ucichną, aż słyszał już tylko uderzenia własnego serca. Potem wyszedł z szatni, skręcił w prawo i podążył do gabinetu Stella i jedynej zewnętrznej linii telefonicznej w budynku.

Szedł równym, swobodnym krokiem, ale z każdym przebytym metrem wiedział, że to jednokierunkowa droga, wiodąca ku kłęsce. Zatrzymał się przed drzwiami dyrektora. Ostatnia szansa, by zawrócić.

Popchnął drzwi i wszedł.



Victor wiedział, że jest śledzony.

Wyczuwał za plecami prześladowców, chwycił szóstym zmysłem czujne spojrzenia padające na jego plecy. Z początku zakładał, że to June albo jeden z ochroniarzy Marcelli, zwykłych ludzi, ale kiedy kroki przyspieszyły, a Victor zauważył, że idą za nim dwie osoby, zaczął podejrzewać, że to jednak ktoś inny. Wcześniej zmierzał bezpośrednio do Kingsley, teraz jednak odbił w lewo, przecinając zatłoczone ulice w centrum miasta, pełnym restauracji i kafejek.

Komórka w kieszeni zawibrowała.

Nie rozpoznał numeru, ale odebrał, nie zwalniając kroku.

– Namierzili cię – powiedział bez wstępów Dominik niskim, nagłym głosem.

– Tak – odparł Victor. – Dzięki za ostrzeżenie.

– Robi się gorzej. Wypuszczają Elia.

Te słowa ugodziły go niczym nóż, wbity precyzyjnie między żebra.

– Żeby mnie złapał?

– Nie. Myślę, że ma raczej dopaść Marcellę.

Victor zaklął pod nosem.

– Nie możesz do tego dopuścić.

– A niby jak mam to zatrzymać?

– Wymyśl coś – powiedział Victor i się rozłączył.

Wyraźnie wyczuwał teraz ludzi depczących mu po piętach. Usłyszał trzaśnięcie zamykanych drzwi samochodu.

Przeciął ulicę i wkroczył do pobliskiego parku, na rozległą zieloną połąć poprzecinaną siecią ścieżek, pełną straganów i wózków obwoźnych sprzedawców. W wiosennym słońcu przechadzali się liczni spacerowicze. Victor się nie oglądał. Nie był w stanie odróżnić swoich prześladowców między innymi ludźmi, jeszcze nie teraz. Tłum działał na ich korzyść, ale mógł też przydać się jemu.

Przyspieszył, udając, że przypomniał sobie nagle o czymś pilnym.

„Tylko żeby nie zostali w tyle”, pomyślał.

Usłyszał, że śledczy również przyspieszają, najwyraźniej spodziewając się, że zacznie biec. Zamiast tego Victor obrócił się na pięcie.

Zawrócił w zatłoczoną alejkę i ruszył w przeciwnym kierunku, zmuszając tych, którzy za nim szli, do wyboru: albo zatrzymają się i wycofają, albo będą iść dalej w tym samym kierunku i udawać, że nic się nie stało.

Nikt się nie zatrzymał. Nikt się nie wycofał.

Zwykle ludzie odchylali się od Victora, omijając go wzrokiem, podobnie jak woda omija kamień w nurcie strumienia. Teraz jednak w ciżbie biegaczy, spacerowiczów i całych rodzin z dziećmi jeden człowiek patrzył prosto na niego.

Był to młody mężczyzna w cywilnym ubraniu, ale jego postawa i krok zdradzały żołnierza. W chwili, kiedy ich spojrzenia się spotkały, przez twarz prześladowcy przemknął grymas zdradzający napięcie. Wyciągnął broń, ale kiedy jej dobywał, Victor szarpnął powietrze palcami jednej dłoni – pojedyncze, złośliwe pociągnięcie niewidocznego sznurka.

Mężczyzna upadł na kolana, a pistolet wypadł mu z dłoni. Victor szedł dalej, podczas gdy liczne głowy przechodniów odwróciły się w kierunku agenta, przyciągnięte nagłym krzykiem i widokiem broni na parkowej alejce.

Wybuchła panika. W nagłym chaosie Victor skręcił w lewo, w inną ścieżkę, kierując się ku ulicy. W pół drogi wybiegła ku niemu inna postać, kobieta z krótko przyciętymi ciemnymi włosami.

Nie miała broni w ręku, ale jedną dłoń przyciskała do ucha, a jej usta się poruszały.

Zza rogu wyjechała grupa rowerzystów, a Victor przeciął ich trasę, tuż zanim przejechali. Pędząca przeszkoda oddzieliła go od śledczych, dzięki czemu zyskał dość czasu, by przejść między dwoma wózkami sprzedawców i opuścić park.

Poruszał się teraz szybko, lawirując pomiędzy ludźmi i samochodami, aż dotarł do bocznej uliczki – na sekundę, zanim nieoznaczona furgonetka wyjechała zza rogu na jej drugim końcu. Sięgnął do nerwów mężczyzny za kierownicą i szarpnął za nie. Kierowca stracił kontrolę nad pojazdem, który zjechał w bok i walnął prosto w hydrant. Victor usłyszał więcej kroków i trzaski radiowych zakłóceń, przemknął więc do najbliższej stacji metra, przebiegł przez bramki, w dół po schodach, skacząc po dwa stopnie naraz, i ruszył w kierunku wjeżdżającego pociągu.

Dotarł do końca peronu, ale zamiast wskoczyć do wagonu, prześlizgnął się za barierkę i wszedł do tunelu. Przycisnął się do ściany, słysząc sygnał, a potem syk zamykanych drzwi. Śledzący go mężczyzna pojawił się na peronie w samą porę, by dostrzec odjeżdżający pociąg.

Victor czekał w tunelu, obserwując, jak tamten z dłońmi na biodrach gorączkowo przepatruje przejeżdżające wagony. Miał szpakowate włosy. Dyrektor Stell.

Mimo upływu pięciu lat Victor rozpoznał go natychmiast. Patrzył, jak były policjant odwraca się i biegnie schodami z powrotem na górę.

Wiedział, że powinien spróbować powrotu do Kingsley, ale najpierw musiał zamienić słowo z dyrektorem PION-u.

Na peron wjechał kolejny pociąg, a Victor wtopił się w tłum i podążył śladem Stella.

X

OSTATNIE POPOŁUDNIE

PION

Dominik gapił się na ścianę monitorów w gabinecie Stella.

„Wymyśl coś”.

Jego umysł kręcił się bezsilnie niczym opony samochodu buksujące w błocie. Wodził wzrokiem od biurka, poprzez drzwi, do siatki ekranów monitoringu na ścianie. Na jednym z nich, u góry i po prawej, trzech żołnierzy w pełnym rynsztunku szło białym korytarzem. Na innym widać było znajomą sylwetkę Elia Cardale’a, oczekującego w swojej celi.

Kurwa mać.

Dominik zwrócił się ku trzem ekranom na biurku. Nie miał zielonego pojęcia, jak wygląda włamywanie się do komputera.

Ale znał przecież kogoś, kto doskonale potrafił to robić.

Mitch odebrał po drugim sygnale.

– Kto mówi?

– Tu Dominik.

Odgłosy krzątania.

– To nie jest dobry moment.

W korytarzu przed gabinetem Stella rozległy się czyjeś kroki. Dominik przycisnął telefon do piersi i wstrzymał oddech. Gdy kroki ucichły, przyłożył go z powrotem do ucha i szybko powiedział:

– Przykro mi, ale działam z rozkazu Victora.

– Jak my wszyscy.

– Muszę się włamać do komputera.

Metaliczny dźwięk zapinanego zamka błyskawicznego.

– Jakiego rodzaju?

– PION-owego.

W słuchawce ucichło. Dominik przypuszczał najpierw, że Mitch pograżył się w rozmyślaniach, lecz po chwili usłyszał piknięcie włączanego laptopa i dźwięk startującego systemu.

– Jak jest zaszyfrowany?

– Nie mam pojęcia. – Dominik postukał w klawiaturę. – Widzę tylko ekran z żądaniem hasła.

Mitch wydał z siebie dźwięk, który zabrzmiał jak zduszony śmiech.

– Rządowe patenty. Dobra. Rób dokładnie to, co powiem...

I zaczął mówić w jakimś obcym języku – a przynajmniej tak to brzmiało – lecz Dominik robił, co mu mówiono. Trzy pełne napięcia minuty później na ekranie pojawił się zielony napis: „Przyznano dostęp”.

Dominik zakończył rozmowę i wyświetlił na ekranie zawartość twardego dysku. Każdy folder miał w nazwie numer celi. Wszystkie komputery w PION-ie zorganizowano w ten sam sposób i w każdym z nich numeracja zaczynała się od folderu opisanego jako „Cela 01”.

Na komputerze Stella był jednak jeszcze jeden – „Cela 00”.

Dominik otworzył go i po chwili na ekranie pojawił się Eli Ever vel Eliot Cardale, siedzący przy stole na środku kostki z pleksiglasu, przeglądający zawartość czarnej teczki. Kiedy Dominik wstukował kody, jego wzrok się wystrzył. Mężczyzna skupił się całkowicie na zadaniu, tak jak kiedyś na polu walki. Czas wydawał się płynąć wolniej. Wszystko zeszło na dalszy plan, z wyjątkiem ekranu, poleceń i pospiesznego ruchu palców na klawiaturze.

Otworzył okno sterowania całą i przyjrzał się kontrolkom: oświetlenie, temperatura, zabezpieczenie, alarmy, środki przymusu.

Nie mógł powstrzymać PION-u przed wypuszczeniem Elia, ale mógł spowolnić procedurę. Już miał wpisać jeden z kodów uzyskanych od Mitcha i zamknąć na głucho cały blok więzienny w trybie awaryjnym, kiedy ktoś za nim odchrząknął.

Odwrócił się błyskawicznie i zobaczył agentkę Rios z miną pełną niesmaku. Nie miał czasu zastanowić się, skąd się tam wzięła, nie zdołał też schować się w bezpiecznym świetle cienia, bo Rios dźgnęła go pałką z paralizatorem prosto w pierś i cały świat wokół niego nagle wybuchł bielą.



Eli czuł coraz większy niepokój.

W oczekiwaniu na Stella jeszcze raz przejrzał zdjęcia z czarnej teczki.

Dyrektor wyjaśnił mu plan w najdrobniejszych szczegółach – Eli zostanie odeskortowany z siedziby PION-u pod strażą, a po zakończeniu misji powróci do celi. Jeżeli w jakiegokolwiek chwili postąpi inaczej, niż przewiduje dany punkt programu, trafi nie do celi, lecz do laboratorium, gdzie spędzi resztę swoich dni, poddawany wiwisekcjom.

Tak przynajmniej zakładał plan Stella.

Eli miał własny.

Za ścianą rozbrzmiały czyjeś kroki, więc odstawił teczkę i wstał, spodziewając się jak zwykle Stella. Kiedy ściana zrobiła się przezroczysta, zobaczył oddziałek żołnierzy PION-u w czerni, z twarzami ukrytymi za gładkimi, dopasowanymi maskami. Lustrzane przyłbice mieli uniesione, ale i tak było widać tylko ich oczy. Jedna para zielonych, jedna błękitnych i jedna brązowych.

– I o co tyle hałasu? – mruknął ten z zielonymi oczami, mierząc go wzrokiem. – Nie wygląda mi na niebezpiecznego.

– Och – odezwał się Eli, ruszając ku nim przez środek celi – istnieją PonadPrzeciętni dużo bardziej niebezpieczni ode mnie.

– A ilu ludzi zabili? – zapytał błękitnooki. – Pewnie mniej niż ty?

Eli wzruszył ramionami.

– To zależy.

– Od czego? – zapytała żołnierka z brązowymi oczami.

– Czy uważacie PonadPrzeciętnych za ludzi – wyjaśnił.

– Dość – uciął błękitnooki, podchodząc do ściany. – Bierzmy się do roboty.

Eli nie ruszył się z miejsca.

– Gdzie jest dyrektor Stell?

– Zajęty.

Eli wątpił, żeby Stell przekazał komukolwiek tak delikatne zadanie, chyba że miały do roboty coś rzeczywiście pilnego. Albo osobistego.

Czy to możliwe, żeby już odnalazł Victora?

„Statki, które mijają się nocą”, pomyślał ponuro, nie mógł sobie jednak pozwolić teraz na rozważania o Vale’u.

– Osadzony, podejdź do przegrody i przelóż dłonie przez otwór – zakomenderował błękitnooki. Eli posłuchał go i poczuł, jak ciężkie metalowe kajdany zaciskają się na jego przegubach. – Teraz odwróć się plecami do otworu i uklęknij.

Zawahał się. Tego nie było w protokole. Ostrożnie zrobił tak, jak mu kazano, spodziewając się, że na głowę założą mu czarny kaptur. Zamiast tego poczuł na gardle zimny metal. Napiął się i oparł pokusie ucieczki, kiedy stalowy kołnierz zamknął się wokół jego szyi.

– Gończy pies dostał obrożę – skomentował błękitnooki.

Eli wstał, wodząc palcami po metalowej opasce.

– Co to jest?

Brazowooka wyciągnęła cienkiego pilota.

– Nie myślałeś chyba, że wypuścimy cię bez smyczy?

Nacisnęła guzik i w uszach Elia zadźwięczała pojedyncza wysoka nuta, niczym ostrzeżenie, a ułamek sekundy później ból przeszył jego kark. Zobaczył przed oczami biały błysk i ciało odmówiło mu posłuszeństwa.

– Iii... leżeć! – powiedział błękitnooki, kiedy Eli osunął się na podłogę celi.

Nie mógł się ruszyć, nie czuł nic poniżej metalowego klina wpijającego mu się w rdzeń pomiędzy kręgamii.

– Daj spokój, Samson – powiedział zielonooki. – Mamy napięty plan.

Dźwięk znów zabrzmiął i stalowy klin się cofnął. Eli wykonał zdławiony wdech; jego pierś gwałtownie unosiła się i opadała, kiedy tkanki się regenerowały. Czucie wracało do jego kończyn. Podniósł się na czworaka, a potem stanął z powrotem na nogi. Mała kałuża krwi na podłodze pozostała jedynym śladem tego, co zrobili przed chwilą strażnicy.

Brazowooka pomachała pilotem.

– Spróbuj uciekać albo nas zaatakować – kurde, wystarczy, żebyś nas wkurzył – i leżysz.

Eli obserwował cienkiego pilota w jej dłoni, zastanawiając się, czy to jedyne takie urządzenie.

– Dłaczego miałbym to robić? – zapytał. – Jesteśmy po tej samej stronie.

– Taa, akurat – rzucił zielonooki, pychając przez wnękę kaptur. – Zakładaj to.

Poprowadzili go, skutego i tymczasowo oślepionego, przez drzwi i korytarze. Z każdego boku trzymał go jeden żołnierz. Czuł, jak zmienia się nawierzchnia pod jego stopami: najpierw beton, potem wykładzina, a w końcu asfalt. Powietrze się zmieniło, jego skórę owiała lekka bryza; żałował tylko, że ma na głowie kaptur i nie może zobaczyć nieba ani odetchnąć pełną piersią. Wiedział jednak, że nadejdzie czas i na to. Jeszcze kilka metrów i stanęli. Obrócono go w miejscu i zaczęto nim manewrować, aż jego plecy dotknęły metalowego boku furgonetki.

Otwarto drzwi i na wpół wepchnięto go do środka, używając nieco więcej siły, niż potrzeba. Usiadł na bocznej stalowej ławeczce. Nogi skrępowano mu paskiem, a kolejnym przypasano jego tors do ściany, zaś kajdanki przypięto do ławeczki w ten sposób, że dłonie miał między kolanami. Żołnierze wsiedli za nim, drzwi się zamknęły, a silnik pojazdu ryknął. Ruszyli spod siedziby PION-u.

Eli uśmiechnął się pod kapturem.

Na rękach miał kajdanki, a na szyi – kołnierz, ale znajdował się o krok bliżej wolności.

XI

OSTATNIE POPOŁUDNIE WIEŻOWIEC FALCON PRICE

Kilka lat wcześniej Mitch w ramach edukacji domowej uczył Sydney o magnesach.

Spędzili cały dzień, sprawdzając, jak działają magnesy, jak się przyciągają i odpychają. Sydney zawsze kojarzyła magnetyzm z przyciąganiem, więc wstrząsnęło nią nieco, gdy odkryła, z jaką siłą odpychają się magnesy. Nawet mały, płaski krążek potrafił opierać się przyciśnięciu do drugiego.

Teraz, kiedy jej palce zawisły nad kośćmi siostry, czuła tę samą, odpychającą moc.

Z całych sił próbowała opuścić dłonie, ale coś w jej sercu nie pozwalało jej tego zrobić.

Dlaczego?

Musiała wskrzesić Serenę. Była przecież jej siostrą!

Rodzina nie zawsze musi się opierać na więzach krwi. Coś podobnego powiedziała June, która nigdy nie zdradziła Sydney... która chroniła Victora. Ale nie była Sereną.

A jeżeli polował na nich teraz PION, Serena mogłaby pomóc. Serena potrafiła zrobić wszystko – umiała zmusić innych ludzi, żeby zrobili wszystko.

Był to przerażający talent – ale równie dobrze mogło się zdarzyć, że Serena powróciłaby z martwych nie do końca taka jak przedtem. Jak wtedy wyglądałaby jej moc – osłabiona lub nawet kompletnie niesprawna?

Przez kilka ostatnich lat Sydney zakładała, że boi się porażki, że nic jej się wysłizgnie, że wypuści ją z palców, a razem z nią – jedyną szansę, by ponownie ożywić Serenę. Im dłużej jednak wpatrywała się w kości siostry, tym bardziej zdawała sobie sprawę, że w takim samym stopniu obawia się sukcesu.

Dlaczego czekała tak długo? Czy naprawdę wierzyła, że to musi stać się tutaj? Że nic okaże się najmocniejsza tam, gdzie została zerwana?

A może dlatego, że dzięki temu mogła zaczekać jeszcze dłużej?

Sydney bała się ponownego spotkania z siostrą. Nie była gotowa spojrzeć jej w twarz. Nie była pewna, czy rzeczywiście powinna wskrzesić Serenę, nawet jeśli potrafiła.

Łzy napłynęły jej do oczu. Świat wokół nagle stracił ostrość.

Zdała sobie nagle sprawę, że w koszmarach Serena ani razu jej nie uratowała. Stała tylko na brzegu zamarznętej rzeki, czekając i patrząc, jak Eli goni jej młodszą siostrę po lodzie. Jak rzuca ją na zamarznąłą ziemię i jak zaciska dłonie na gardle dziewczynki.

Tamtego dnia to nie Serena nacisnęła spust pistoletu wycelowanego w Sydney. Ale też nie powstrzymała przed tym Elia.

Sydney tęskniła za siostrą.

Tęskniła jednak za tą Sereną, która ją kochała i chroniła... która sprawiała, że dziewczynka czuła się bezpieczna i dostrzegana. Tylko że tamta Serena zmarła na lodzie, nie w ogniu.

Palce Sydney znieruchomiały w końcu nad kośćmi siostry, ale nie sięgnęła dalej, nie szukała wiotkiej nitki. Pozbierała szczątki i zgarnęła je do czerwonej puszkki.

Wstała. Nogi się pod nią trzęsły.

Wepchnęła puszkę głęboko do kieszeni i usłyszała, jak metal ociera się o metal. No tak, pistolet. W drugiej kieszeni jej dłoń trafiła na komórkę. Wychodząc z Falcon Price, wyjęła

telefon i patrzyła, jak się włącza. Ruszyła w kierunku Kingsley, lecz kiedy pokazały się powiadomienia, stanęła jak wryta.

Tyle nieodebranych połączeń!

Kilka od Victora. Ponad dziesięć od Mitcha.

A do tego esemes – jeden, drugi, kolejny! – od June.

Sydney zerwała się do biegu.



Próbowała zadzwonić do Mitcha, ale od razu włączyła się poczta głosowa.

Spróbowała zadzwonić do Victora, ale nie odbierał.

W końcu dozwoniła się do June.

– Sydney?

– Co się dzieje? – zapytała dziewczynka.

– Gdzie jesteś? – odparła tamta, dysząc.

– Zobaczyłam wszystkie te nieodebrane połączenia – powiedziała Sydney, zwalnając do zwykłego, spacerowego tempa – a nie mogłam się do nikogo dodzwonić, więc...

– Gdzie jesteś?! – powtórzyła June.

– W drodze do Kingsley...

– Nie! Nie możesz tam wrócić!

– Ale muszę!

– Za późno.

„Za późno”? Co miała na myśli?

– Zostań tam, gdzie jesteś, a ja po ciebie przyjdę. Sydney, posłuchaj...

– Przepraszam – odparła dziewczynka i rozłączyła się. Spacer do Falcon Price zajął jej niecałe pół godziny, lecz drogę powrotną przebiegła w dziesięć minut, zatrzymując się w pewnej odległości od budynku Kingsley, stojącego po przeciwnej stronie ulicy i przecnicę dalej. Dostrzegła dwie czarne furgonetki, stojące z włączonymi silnikami, jedną w pobliżu wejścia, drugą przy wyjeździe z piętrowego parkingu. Nie nosiły żadnych oznaczeń, lecz w lustrzanych szybach i pozbawionych okien bokach było coś złowieszcze.

Nagle ktoś objął ją ramionami. I położył dłoń na jej ustach.

Próbowała się wyrwać z uścisku albo chociaż wrzasnąć, aż nad uchem nie zabrzmiał jej znajomy głos.

– Spokojnie, to ja!

Uchwyt zelżał i Sydney się odwróciła. Zobaczyła June albo przynajmniej pewną jej wersję, tę z luźnymi brązowymi splotami włosów i zielonymi oczami. Dziewczynka z ulgą wtuliła się w objęcia stojącej nieruchomo June, wpatrzony w coś ponad jej ramieniem.

– Chodź – powiedziała w końcu zmiennokształtna, łapiąc ją za rękę.

Dziewczynka nie ruszyła się z miejsca.

– Nie mogę tak po prostu ich zostawić.

– Ale w ten sposób ich nie uratujesz. Co masz zamiar zrobić? Wpaść tam jak burza i co dalej? Pomyśl: jeżeli tam teraz wejdiesz, złapią cię ludzie z PION-u i na nic się nikomu nie przydasz.

June miała rację, a Sydney bardzo się to nie podobało. Nienawidziła siebie za to, że jej moc nie wystarczyła, by ich wszystkich ochronić.

– Potrzebujemy planu – orzekła June. – I wymyślimy go, obiecuję. – Ścisnęła ramię dziewczynki. – Chodź już.

Tym razem Sydney pozwoliła, żeby przyjaciółka pociągnęła ją za sobą.



Gdy Victor podążał za Stellem ulicami śródmieścia Merit, zaczęło padać.

Wyłowił czarny parasol ze stojaka przed sklepem na rogu, nie płacąc, i zniknął pod nim. Kolejny czarny kwiat pośród dziesiątków innych. Pół przecznicy dalej dyrektor zatrzymał się przy czarnej furgonetce oraz sedanie i odbył krótką rozmowę z grupką ludzi w normalnych, codziennych ciuchach, kompletnie przemoczonych. Ich postawa i ruchy nie pozostawiały jednak najmniejszych wątpliwości co do tego, kim naprawdę są.

Victor czaił się w pobliżu, wciśnięty w tłum na przystanku autobusowym. Patrzył, jak Stell w geście frustracji przeczesuje dłonią szpakowate włosy, a potem wskazuje gestem żołnierzom, żeby wrócili do pojazdów. Sam poszedł dalej.

Vale ruszył za nim.

Dyrektor maszerował przez dziesięć, może piętnaście minut, a potem skręcił do apartamentowca. Victor dotarł do frontowych drzwi w chwili, kiedy winda ruszała z miejsca. Patrzył, jak wskaźnik wędruje w górę – pierwsze piętro, drugie piętro, stop. Pobiegł schodami i przybył na miejsce w tym samym momencie, kiedy Stell otwierał drzwi mieszkania. Dostrzegł, że dyrektor sztywnieje, zdając sobie sprawę, że nie jest już sam.

Stell odwrócił się, sięgając po broń, zanim jeszcze zobaczył Victora. Zamarł.

Victor się uśmiechnął.

– Dzień dobry, panie śledczy.

Tamten wciąż trzymał wydobyty z kabury pistolet.

– Dawno się nie widzieliśmy.

– Jestem zaskoczony, że tak długo to panu zajęło.

– Mam na swoją obronę tylko jedno – oświadczył Stell. – Zakładałem, że nie żyjesz.

– Wiesz, co mówią o założeniach – odparł sucho Victor. – Poza tym nas, PonadPrzeciętnych, ciężko zatrzymać na tamtym świecie. – Wskazał na broń. – A jak już jesteśmy przy trzymaniu...

Stell pokręcił głową, ściskając mocniej kolbę.

– Nie mogę tego zrobić.

Victor zgiął palce.

– Na pewno? – zapytał, rozprostowując je. Przez twarz dyrektora przebiegł grymas zaskoczenia i szoku, gdy jego dłoń się otworzyła, a broń upadła na podłogę. – Nie tylko ty awansowałaś – wyjaśnił Victor, ruszając ku niemu. Słowa uwięzły Stellowi w gardle. Próbował się wycofać, lecz nie mógł się ruszyć. – Ból jest specyficznym odczuciem, ale względnie prostym – ciągnął Victor. – Natomiast poruszanie ciałem w sensowny sposób wymaga precyzji, uruchomienia pewnych nerwów, pociągnięcia za konkretne sznurki. Tak jak z marionetką.

– Czego... chcesz... – syknął Stell.

„Chciałbym przestać umierać”, pomyślał Victor.

Ale Stell nie mógł mu pomóc w tej kwestii.

– Chcę, żebyś dalej trzymał Elia w tej cholernej klatce.

Na twarzy dyrektora odmalowało się zaskoczenie.

– To nie leży w twoich kompetencjach – oświadczył.

– Jak mogłeś być tak głupi?

– Robię to, co muszę – wycedził Stell – i na pewno nie odpowiadam za to przed...

Dłoń Victora zacisnęła się, a Stell zgiął się wpół z bólu. Oparł się o ścianę i gwizdnął ostro przez zaciśnięte zęby. Sekundę później wszystkie drzwi na korytarzu się otworzyły i wyskoczyli z nich żołnierze z uniesioną bronią.

– Chcę go żywcem – rozkazał dyrektor.

„Godna pożałowania nieostrożność”, pomyślał Victor. Gliniarz zastawił na niego pułapkę, a on dał się zwabić w sam środek.

– Zawsze wolałeś być drapieżnikiem niż zdobywcą – zauważył Stell.

Victor zgrzytnął zębami i zapytał:

– Eli cię tego nauczył?

– No nie, mnie się też należy jakieś uznanie. Nie tylko wy zauważacie schematy zachowań.

– I co teraz? – zapytał Victor, próbując ocenić, ilu ludzi go otacza. Ile mocy musiałby użyć, żeby powalić wszystkich, nawet tych, których nie widzi?

– Teraz pójdziesz z nami. Może obędzie się bez przemocy? Klęknij, a potem...

Victor nie czekał, aż dyrektor skończy mówić. Odpalił wszystko, co miał. Dwa ciała runęły na podłogę za nim, trzecie oparło się bezwładnie o ścianę na skraju jego pola widzenia.

A wtedy Stell strzelił mu prosto w pierś.

Zatoczył się, macając dłońmi po żebrach. Nie było tam jednak krwi ani rany – tylko mała czerwona strzałka, wbita głęboko w ciało. A na jej końcu ampułka, już opróżniona. To, co zawierała, musiało być wyjątkowo silne – Victor wyrwał pocisk, ale kończyny zaczynały mu drętwieć.

Podniósł suwak o ząbek w górę, dopuszczając do swoich nerwów więcej bólu, chwytając się go kurczowo, żeby pozostać przytomnym.

Sprowadził do parteru dwóch następnych żołnierzy, zanim kolejna strzałka wbiła mu się w bok. Trzecia trafiła w udo i wówczas poczuł, że osuwa się na podłogę. Próbował przytrzymać się ściany, lecz nogi już odmawiały mu posłuszeństwa, wzrok mu się zamglił, po czym przed oczami zaczęło mu się robić coraz ciemniej. Zobaczył, jak otaczają go kolejni żołnierze, a potem...

Nic.

XII

OSTATNIE POPOŁUDNIE

GDZIEŚ W MIEŚCIE

Trzy przecznice od Kingsley, w jednym z niepozornych okolicznych hoteli, June robiła kakao z torebki, a Sydney siedziała na brzegu łóżka. Na zewnątrz zaczynało padać. Dziewczynka znów próbowała dodzwonić się do Victora, ale jego telefon najwyraźniej był wyłączony, podobnie jak Mitcha. Próbowała nawet połączyć się z Dominikiem, ale również nie odebrał.

June o wszystkim jej opowiedziała: o PION-ie, o oddziałach żołnierzy, o ich misji, by złapać Victora i Sydney, a także o swojej decyzji. Musiała wybierać szybko, wiedząc, że ma czas, by pomóc tylko jednej osobie. Tak się martwiła, że nie zdąży, tym bardziej że kiedy dotarła do Kingsley, żołnierze PION-u już tam byli.

Co oznaczało, że Mitch...

June wydawała się czytać jej w myślach.

– Ten wielki facet potrafi o siebie zadbać – powiedziała, niosąc dwa kubki – a jeżeli nie potrafi, to ty tym bardziej. Bez obrazy, Syd, ale twoja moc by go nie ochroniła. Złapaliby cię, a tego Mitch by na pewno nie chciał. – Przerwała na chwilę. – Wypij to. Cała drzysz.

Sydney złapała gorący kubek, a June opadła na fotel obok. Dziwnie było znów ją widzieć. Przez ponad trzy lata dziewczynka tylko słyszała jej głos, i to zawsze za pośrednictwem telefonu, ale widziała twarz June tylko raz, przy czym oczywiście nie była to jej prawdziwa twarz. Ani nawet ta, którą nosiła teraz.

Pociągnęła długi łyk i poczuła, że gorące kakao parzy ją w język. Skrzywiła się, ale nie ze względu na temperaturę, tylko słodycz – June dodała do napoju stanowczo zbyt dużo cukru.

– Jak naprawdę wyglądasz? – zapytała, dmuchając na parującą powierzchnię płynu.

– Przykro mi, dzieciaku, dziewczyny mają swoje tajemnice. – Puściła oko.

Sydney spojrzała na kakao i pokręciła głową.

– I co ja mam teraz zrobić?

– My – powiedziała z naciskiem June – na pewno coś wymyślimy. Przejdziemy przez to razem. Musimy tylko przyczaić się na chwilę, zanim to się nie skończy, a potem...

– Zanim co się nie skończy? Nie mogę po prostu tu siedzieć, kiedy Victor i Mitch mają kłopoty.

June pochyliła się, kładąc dłoń na jej bucie.

– Inni również potrafią cię ochronić.

– Nie chodzi o ochronę! – zaprotestowała Sydney. – Victor i Mitch są moją rodziną!

June zeszytniała, ale jej przyjaciółka wstała z łóżka, odstawiając na wół opróżniony kubek. Mogła ją złapać, ale tego nie zrobiła. Po prostu patrzyła, jak dziewczynka rusza do wyjścia.

Sydney była już niemal przy drzwiach i sięgała do klamki... która nagle zaczęła od niej odpływać. Drzwi również zaczęły się przesuwac. Sydney musiała się czegoś przytrzymać ze wszystkich sił, żeby nie upaść.

Zacisnęła powieki, ale to tylko pogorszyło sprawę.

Kiedy znów je otworzyła, June była przy niej i podtrzymywała ją.

– Już dobrze – mówiła ze swoim miękkim, melodyjnym akcentem. – Już dobrze...

Ale wcale nie było dobrze. Chciała zapytać, co jest grane, poczuła jednak, że język ma jak z ołowiu, a kiedy spróbowała się cofnąć, potknęła się. Kręciło jej się w głowie.

– Zrozumiesz – mówiła June. – Kiedy będzie po wszystkim, zrozu...

Wzrok Sydney stracił ostrość, a ramiona przyjaciółki zamknęły się wokół niej na chwilę przed upadkiem.



Samochód wiozący Elia i jego eskortę polykał kolejne kilometry dzielące ich od Merit.

Pięć minut po tym, jak ruszyli, zdjęto mu kaptur. Ciemny materiał nie zasłaniał mu już światła, za to przed oczami miał ciemność pozbawionego okien wnętrza furgonetki. Nie była to duża poprawa, ale zawsze jakaś.

Żołnierka siedziała po prawej stronie Elia, a pozostali dwaj – naprzeciwko. Jechali w ciszy. Eli starał się ocenić przebytą odległość, jednocześnie rozważając szczegóły planu, który mu przedstawiono, i zastanawiając się nad problemem Marcelli oraz jej towarzyszy.

Poczuł, że brązowooka mu się przygląda.

– O co chodzi? – zapytał.

– Próbuję wyobrazić sobie, jakim cudem facet taki jak ty zabija niemal czterdzieści osób. Eli zmarszczył czoło.

– Nie można zabić czegoś, co jest już martwe. Można się tylko tego pozbyć.

– Czy to stosuje się również do ciebie?

Zastanowił się. Przez wiele lat uważał się za wyjątek od reguły, teraz jednak zdał sobie sprawę z popełnianego błędu. A przecież dano mu moc regeneracji, uniemożliwiającą jego zabicie! Przez głowę przemknęło mu wspomnienie – kłęczy na podłodze, rozcinając sobie nadgarstki wciąż i wciąż, żeby zobaczyć, kiedy Bóg pozwoli mu umrzeć.

– Pogrzebałbym sam siebie, gdybym mógł.

– To musi być całkiem fajne – ocenił zielonooki. – Kiedy śmierć cię nie dotyczy.

Eli przypomniał sobie, jak leży na stole sekcyjnym, a jego serce bije w dłoniach Havertry'ego. Nie odpowiedział żołnierzowi.

Kilka minut później furgonetka zatrzymała się na ruchliwej ulicy. Hałas docierał do Elia, jeszcze zanim tylne drzwi się otworzyły i wszedł sam Stell.

– Dzień dobry, Briggs – powiedział, skinąwszy głową w kierunku kobiety. – Samson, Holtz. Były jakieś kłopoty?

– Nie, sir! – odparli chórem.

– Gdzie byłeś? – zapytał Eli.

– Możesz mi wierzyć lub nie – odparł dyrektor – ale twój transport nie był dzisiaj dla mnie najważniejszy.

To miał być przytyk, ale Eli dostrzegł kryjącą się za nim prawdę, wypisaną w zmarszczkach na twarzy dyrektora.

Victor.

Furgonetka przejechała jeszcze kilka przecznic, a potem skręciła w boczną uliczkę, gdzie trójka żołnierzy wysiadła. Stell został i zwrócił się do Elia:

– Poszli przodem, żeby zabezpieczyć pokój. Za minutę wysiadziemy i wejdziemy tam. Jeżeli spróbujesz jakiejś sztuczki, kołnierz będzie tylko pierwszym z wielu problemów, jakie się przed tobą pojawiają.

Eli wyciągnął ku niemu skute przeguby.

– Jeżeli chcesz, żebyśmy nie zwracali na siebie uwagi, powinienes mi to zdjąć.

Dyrektor przechylił się ku niemu, ale zamiast rozpiąć kajdanki, po prostu narzucił płaszcz na wyciągnięte dłonie Elia. Więzień westchnął i wyszedł z furgonetki za Stellem. Popatrzył na błękitne niebo nad głową i odetchnął świeżym powietrzem – po raz pierwszy od pięciu lat.

Stell położył mu dłoń na ramieniu i trzymał ją tam, dopóki nie minęli samochodów zaparkowanych przed hotelem.

– Pamiętaj o instrukcjach – ostrzegł Elia, kiedy przechodzili przez drzwi, a potem przez lobby w drodze do wind.

Żołnierze czekali na piątym piętrze. Dwoje na korytarzu, podczas gdy trzeci wciąż zabezpieczał pokój.

Zdjęli hełmy, odsłaniając twarze trojga młodych, przystojnych ludzi. Kobieta pod trzydziestkę, krępa, silna i ze stoickim uśmiechem. Młody, przystojny blondyn, na oko jej rówieśnik, który wyglądał, jakby swego czasu wygrywał konkursy na najbardziej lubianego ucznia. Drugi mężczyzna, z szeroką szczęką i zarozumiałą miną, przypominał Eliowi członków studenckiego bractwa, którego nienawidził. Tacy faceci potrafili zmiażdżyć sobie na głowie puszkę po piwie, tak jakby to był wyczyn, z którego można być dumnym.

Kiedy już byli w środku, Stell w końcu zdjął kajdanki z rąk Elia.

Roztarł przeguby – nie zdrętwiały mu ani nie nosiły śladów otarć, ale zrobił to z przyzwyczajenia, nawyku; takie małe gesty czyniły ludzi zwykłymi. Bardziej ludzkimi. Uważnie zlustrował pomieszczenie, elegancki, przestronny pokój hotelowy z wielkim łóżem i dwoma wysokimi oknami. Na drzwiach do łazienki wisiał pokrowiec na garnitur, drugi leżał na łóżku. Pod jednym z wielkich okien postawiono fotel, pod drugim – niskie biurko, na którego blacie leżał notatnik i długopis.

Eli ruszył w kierunku biurka.

– Osadzony, oddalić się od okien!

Zignorował rozkaz, kładąc dłoń na biurku.

– Przecież jesteśmy tu właśnie ze względu na to okno – powiedział, ukrywając długopis w dłoni. – Na ten widok.

Przechylił się przez biurko i popatrzył na budynek Starego Sądu po drugiej stronie ulicy. „Idealny wybór”, pomyślał. Przecież sąd był miejscem, gdzie wydawano wyroki. Gdzie dokonywała się sprawiedliwość.

Wyprostował się, wsuwając długopis do rękawa, i ruszył do łazienki.

– Ej, dokąd się teraz wybierasz?! – zapytał zielonooki.

– Wziąć prysznic – wyjaśnił Eli. – Muszę się dobrze prezentować.

Żołnierze spojrzeli na Stella, który popatrzył przeciągle na Elia, a po dłuższej chwili skinął głową.

– Przeszukać – rozkazał.

Eli czekał, podczas gdy żołnierze zabezpieczali łazienkę, upewniając się, że nie ma z niej innego wyjścia, i usuwali wszystko, co mogło zostać użyte jako broń. Tak jakby sam Eli nie był bronią.

Kiedy żołnierze byli już usatysfakcjonowani, zdjął pokrowiec z drzwi łazienki. Próbował zamknąć je za sobą, kiedy jeden z żołnierzy złapał je z drugiej strony.

– Zostaw otwarte!

– Proszę bardzo – odparł.

Ze względu na skromność Eli pozostawił drzwi uchylone na jakieś ćwierć metra. Powiesił wypożyczony garnitur i odkręcił wodę.

Odwrócony tyłem do drzwi, wyjął skradziony długopis z rękawa standardowej bluzy więziennej PION-u i włożył go sobie w zęby, rozbierając się. Po chwili ubrania spoczywały już u jego stóp.

Wszedł do brodziku i zamknął za sobą drzwi kabiny z matowego szkła. Przesunął palcami po powierzchni stalowego kołnierza, szukając słabszego miejsca, wgłębienia lub klamry – ale niczego takiego nie znalazł. Syknął z irytacji. Kołnierz musiał w takim razie zaczekać na swoją kolej.

Wyjął długopis z ust i złamał go na pół. Trzaśnięcie utonęło w szumie wody lejącej się z prysznica. Złamanym częściom było daleko do ideału, lecz stanowiły najbardziej zbliżoną do noża rzecz, jaką dysponował.

Zamknął oczy i przywołał w myślach jedno ze zdjęć z czarnej teczki. Swego czasu przestudiował je skrupulatnie, zapamiętując wszystkie szczegóły. Dotyczyły to zwłaszcza prześwietleń towarzyszących eksperymentom Haverty'ego.

Dane były makabryczne, ale zarazem bardzo przydatne.

Za pierwszym razem, gdy Eli dostrzegł cień na kliszy przedstawiającej jego przedramię, uznał go za jeden z tych znaczników, sygnalizujących, której strony ciała dotyczy zdjęcie rentgenowskie. Ale potem ten sam kształt pojawił się w wynikach rezonansu magnetycznego. Mały metalowy prostokąt ze słabo widoczną siatką połączeń w środku.

Szybko się domyślił, co to takiego.

Znalazł ten sam znak na zdjęciach dolnego odcinka kręgosłupa. Przy lewym biodrze. U podstawy czaszki. I wreszcie pomiędzy żebrami. Niesmak wezbrał w nim falą, kiedy zdał sobie sprawę, że kiedy Haverty otwierał jego ciało, rozciągał brzegi rany i przypinał klamry, zostawiając rozcięcie rozwarne, umieszczał po zakończeniu operacji urządzenie namierzające. Każde z nich tak małe, że ciało Elia zamiast się ich pozbyć, po prostu goiło się naokoło nich.

Nadeszła pora, by je usunąć.

Przyłożył zaimprovizowany skalpel do przedramienia i nacisnął. Skóra rozeszła się, poszarpana rana natychmiast nabiegła krwią. Znajomy głos w jego głowie zauważył, że ciepło i wilgoć pod prysznicem zadziałają jak antykoagulanty i utrudnią gojenie, lecz Eli przypomniał mu, że w związku z jego mocą regeneracji jest to kompletnie nieistotne.

Zacisnął zęby i ciął plastikowym ostrzem głębiej.

Haverty nigdy nie ograniczał się do płytkich ran. Kiedy otwierał Elia, rozcinał jego ciało do kości. Szum prysznica zagłuszyłyby zapewne wszelkie jęki bólu, lecz Eli nie wydał ani dźwięku.

Mimo to, kiedy jego palce ślizgały się we krwi ściekającej do odpływu, poczuł dreszcz paniki. To jedyny ślad, jaki pozostawiło w nim dzieło Haverty'ego – niewidzialny, lecz podstępny.

W końcu wydobyl z ciała nadajnik – prostokątny kawałek ciemnego metalu, który trzymał teraz w zakrwawionych palcach. Umieścił go w mydelniczce i odetchnął głęboko, dygocząc.

Jeden usunięty.

Zostały jeszcze cztery.



KINGSLEY

Mitch przetoczył się na bok i splunął krwią na podłogę.

Jedno oko miał tak spuchnięte, że nic przez nie nie widział, i nie mógł oddychać przez złamany nos, ale żył. Mógł się ruszyć, a co ważniejsze, mógł myśleć. Na tę chwilę to musiało wystarczyć.

Apartament był pusty. Żołnierze odeszli. Zostawili go samego.
„Człowiek”.

To jedno słowo, brzmiące jak wyrok, ocaliło mu życie. Żołnierze PION-u najwyraźniej nie mieli ochoty poświęcać czasu ani sił komuś tak nieznaczącemu.

Mitch z jękiem uniósł się na czworaka. Pamięć podsunęła mu niewyraźne wspomnienie poruszających się postaci i tego, co mówili.

„Mamy go!”

Trzeba było dłuższej chwili, by znaczenie tych słów dotarło do posiniaczonej głowy Mitcha.

Victor.

Potężny mężczyzna stanął niepewnie i rozejrzał się po zrujnowanym apartamencie, dostrzegając plamy krwi i Dola leżącego na podłodze.

– Przykro mi, piesku – mruknął, żałując, że nie może zrobić dla niego więcej. Teraz jednak potrafiła mu pomóc już tylko Sydney, a Mitch nie miał pojęcia, gdzie ona jest. Stał bezradnie wśród pobojowiska, rozdarty pomiędzy koniecznością czekania na dziewczynkę a potrzebą odszukania Victora. Przez moment te dwie siły wydawały się go fizycznie rozrywać, sprawiając mu ból.

Nie mógł jednak zrobić obu rzeczy naraz; doskonale zdawał sobie z tego sprawę, więc się zastanowił: co zrobiłby Victor? A Sydney? A kiedy obie odpowiedzi okazały się takie same, już wiedział.

Musiał uciekać.

Pozostawało pytanie: dokąd?

Żołnierze zabrali jego laptopa, a on sam zdążył zniszczyć swoją zwykłą komórkę. Teraz klęknął – co zabolalo równie mocno, jak wcześniej wstawanie – i sięgnął pod dolną krawędź kanapy. Wyjął stamtąd małe czarne pudełko z podłączoną do niego zapasową komórką.

Jego „lokaj”.

W starych, czarno-białych filmach, które tak lubił oglądać, dobrego lokaja nie było słycać ani widać, dopóki państwo go nie potrzebowali. Mimo to przez cały czas był na miejscu; stał niewinnie z boku, zawsze wiedząc, co się dzieje w domu.

Urządzenie Mitcha działało według podobnej koncepcji.

Włączył telefon i patrzył, jak na ekranie pojawiają się dane z urządzeń żołnierzy – rozmowy, esemesy, logowania, lokalizacje. Trzy telefony. Wszystkie były w jednym miejscu.

„Mam was!”

Przez całe życie ludzie lekceważyli Mitcha. Patrzyli na jego potężną postać, wytatuowane ramiona i ogoloną głowę i mieli gotową opinię: powolny, głupi, bezużyteczny.

PION również go lekceważył.

Mitch rozejrzał się, znalazł króla pikowego, którego zostawiła Sydney. Nagryzmołił z tyłu krótką instrukcję i położył kartę na nieruchomym ciele psa.

– Przykro mi, piesku – powtórzył.

A potem złapał płaszcz, kluczyki i poszedł ratować Victora.

XIII

OSTATNIE POPOŁUDNIE

PION

Victor otworzył oczy i zobaczył... siebie samego.

Jego wiotkie kończyny, ziemista cera i czarne ubranie odbijały się w suficie z wypolerowanego metalu. Leżał na wąskiej pryczy pod ścianą kwadratowego pomieszczenia, na pierwszy rzut oka wyglądającego jak cela.

Poczuł nagle ukłucie paniki. Spędził cztery lata w miejscu takim jak to – chociaż w sumie nie, nie tak wyrafinowanym i zaawansowanym – ale równie pustym. Wiele lat wcześniej został pogrzebany żywcem w izolatce i codziennie przysięgał sobie, że kiedy już wyjdzie, nigdy nie pozwoli, by znów go zamknięto.

Przyłożył dłoń do piersi i wyczuł siniaka między żebrami, tam, gdzie trafiła pierwsza strzałka, ocierając się o kość. Usiadł i odczekał chwilę, by minęły zawroty głowy, a potem wstał. Nie było tu zegara, więc nie mógł określić, jak długo leżał nieprzytomny. Słyszał tylko stały pomruk swojej mocy, z każdą minutą coraz głośniejszy i potężniejszy.

Ogarnął wzrokiem otoczenie, powstrzymując się przed pokusą krzyknienia „Jest tu kto?”. Przerazała go perspektywa, że nikt mu nie odpowie, że usłyszy tylko echo własnego głosu. Zamiast tego zaczął uważnie przyglądać się wnętrzu celi. Ściany, które początkowo wziął za zbudowane ze skał, w rzeczywistości były plastikowe, a może pleksiglasowe. Wyczuwał przepływający przez nie niewielki ładunek elektryczny – niewątpliwie zabezpieczenie przed ucieczką więźnia.

Spojrzał w górę, szukając kamer. W tym momencie celę wypełnił znajomy głos.

– Dzień dobry – powitał go Stell. – Przeszliśmy długą drogę, by w końcu znaleźć się w punkcie, od którego zaczęliśmy tę znajomość. Różnica polega oczywiście na tym, że teraz już stąd nie wyjdiesz.

– Nie byłbym tego taki pewien – odparł Victor, starając się zachować szyderczy ton. – Ale muszę przyznać, że sytuacja nie wydaje się szczególnie fair.

– To dlatego, że nie gramy w żadną grę. Jesteś mordercą i zbiegłym więźniem, a to jest więzienie.

– Co w takim razie z moim procesem?

– Straciłeś szansę na proces już dawno temu.

– A Eli?

– Wykonuje inne zadanie.

– Bawi się z tobą w kota i myszkę – zadrwił Victor. – A kiedy zdasz sobie z tego sprawę, będzie już za późno.

Stell nie połknął przynęty, zostawiając ostatnie słowo Victorowi, który stał teraz w milczeniu na środku celi. Kończyła mu się cierpliwość i kończył mu się czas. Spojrzał w górę, na kamery. Może i wsadzili go do klatki, ale przygotował się na taką ewentualność. Zostawił sobie klucz.

Pozostawała jedna kwestia: gdzie był Dominik Rusher?



Dominik szarpnął kajdankami, ale zostały przypięte do stołu.

Przez trzy lata bał się tylko jednego: że ocknie się w celi PION-u. Tymczasem obudził się w pokoju przesłuchań. Siedział na metalowym krześle, przykuty do stalowego stołu, sam, za zamkniętymi drzwiami. Na ścianie obok nich znajdował się panel kontrolny, którego ekran świecił na czerwono.

Poczuł panikę, lecz opanował się, powtarzając w myślach, że przecież nie wiedzą, kim naprawdę jest. Nie zorientowali się, że w rzeczywistości złapali PonadPrzeciętnego.

Jeszcze się nie domyślili. Musiał utrzymywać ten stan tak długo, jak się dało.

Chwilowo naprawdę znajdował się w pułapce – mógł się wyslizgnąć z normalnego czasu, ale ni cholery by mu to nie pomogło, ponieważ w świetle cienia nadal byłby przykuty do pierdolonego stalowego stołu. Poza tym miałby wtedy przesrane, ponieważ w chwili, gdy wróciłby do rzeczywistości, jego strażnicy z pewnością zauważyliby moment przejścia, różnicę pozycji przy stole sprzed chwili. Może wyglądałoby to na potknięcie lub błąd aparatury... ale w miejscu takim jak PION błędy się nie zdarzały i ktokolwiek obserwował go przez kamery, wiedziałby, co to oznacza. Kim jest Dominik.

Dlatego czekał, licząc w głowie kolejne minuty, zastanawiając się, gdzie jest Eli i mając nadzieję, że przynajmniej Victorowi udało się uciec.

W końcu ekran panelu zmienił kolor z czerwonego na zielony. Drzwi otworzyły się z sykem i weszły dwie osoby.

Dominik miał nadzieję, że pojawi się jakaś przyjazna twarz, ale zamiast tego naprzeciwko niego stanęła znów agentka Rios w towarzystwie nieokrzesanego, brutalnego żołnierza nazwiskiem Hancock. Więzień rozpaczliwie popatrzył na kurczącą się szybko drogę do wolności, lecz po sekundzie drzwi się zamknęły, a panel znów zaśnił czerwienią. „Cholera”.

Rios podeszła do stołu i położyła na nim teczkę z aktami Dominika. Otworzyła ją, a on zerknął na zawartość, szukając wśród kartek spinaczy, zszywek, czegokolwiek, co mogło mu się przydać.

– Agencie Rusher – zagała Rios. – Może powiesz nam, co robiłeś w gabinecie dyrektora?

Dominik dobrze wykorzystał niedługi czas, który minął, od kiedy odzyskał przytomność. Przygotował się na takie pytania.

– Próbowalem powstrzymać mordercę od ucieczki.

Rios uniosła brew.

– Możesz to wyjaśnić?

Dominik się wyprostował.

– Co wiesz o Eliu Everze, czy też Eliocie Cardale’u, wszystko jedno, pod jakim nazwiskiem go znasz? Orientujesz się, co zrobił?

– Czytałam jego akta – przyznała. – I twoje też.

– W takim razie wiesz, że byłem jednym z jego celów. Wciąż nie wiem dlaczego, ale powinienem już nie żyć. Pewnie by tak było, gdyby Eli mnie dopadł. Kiedy usłyszałem, że

dyrektor Stell planuje wywieźć go poza więzienie, uznałem, że nie mogę na to pozwolić. Ten szaleniec nie będzie znów grasował po ulicach Merit!

– To nie wchodzi w zakres twoich kompetencji, żołnierzu.

– Proszę, wylejcie mnie z roboty – odparł Dominik.

– To z kolei nie wchodzi w zakres moich kompetencji – stwierdziła Rios. – Zatrzymamy cię więc tutaj do powrotu dyrektora, który podejmie odpowiednią decyzję.

Mówiąc to, przeglądała jego akta. Dominik zauważył w nich metalowy spinacz, a zaraz potem włączył się komunikator Hancocka. Niski radiowy szum zagłuszył większość słów, ale jedno z nich dotarło do uszu Dominika.

„Vale”.

Próbował ukryć zaskoczenie, podczas gdy Hancock uniósł krótkofalówkę do ucha.

„Vale... obudził się...”

– Tymczasem – ciągnęła Rios – sugeruję, żeby...

– Jak dostałaś się do gabinetu dyrektora? – wypalił Dominik, zmieniając kierunek przesłuchania. Podniosła wzrok znad akt, a przez jej twarz przebiegł cień. Nacisnął mocniej: – Są tylko jedne drzwi, a ja siedziałem na wprost nich. Tymczasem pojawiłaś się za mną!

Rios zmrużyła oczy.

– Hancock, zadzwoń do Stella i zapytaj, co mamy robić – rozkazała.

Dominik miał wielką ochotę wysłuchać jej wyjaśnienia, lecz bardziej zależało mu na tym, żeby się wydostać. Czekał, aż Hancock przeciągnie swoją kartę przez czytnik, ekran zablyśnie zielenią, a drzwi się otworzą.

– A teraz, agencie Rusher – zwróciła się do niego Rios – przedyskutujmy...

Nie pozwolił jej dokończyć zdania. Odetchnął głęboko, jak pływak przed skokiem, i szarpnął się w tył. Świat rozstał się przed nim, kiedy wyslizgiwał się z czasu do świata cienia.

W pokoju zapanowała idealna cisza, a kolory zniknęły, zastąpione odcieniami szarości – u Rios, stojącej z nieodgadnioną miną, i u Hancocka, w pół drogi do drzwi. Dominik wciąż był przykuty do stołu.

Wstał, przyciągnął ku sobie spięte strony i wziął się do pracy, wyciągając zagięty kawałek metalu z pliku kartek. W końcu mu się udało, wyprostował zdobycz i zaczął gmerać cienkim metalowym drucikiem pomiędzy zębami obręczy a zamkiem. Próbował kilka razy – przytłaczająca atmosfera w świecie cienia spowalniała jego ruchy niczym mokra wełna owinięta wokół dłoni, a na przegubie coraz mocniej odciskała mu się czerwona pręga – ale w końcu zamek się poddał. Otworzył obręcz, powtórzył mozolny proces z drugą – i był wolny.

Zatrzasnął kajdanki na przegubach Rios, a potem przemknął pod uniesionym ramieniem Hancocka na korytarz. Powietrze stawiło mu opór niczym fale oceanicznego przypywu, kiedy zmierzał w stronę pobliskiego pokoju kontrolnego. Była tam tylko jedna osoba, agentka Linfield; siedziała przed konsolą sterowania, przeciągając się. Dominik odpiął wiszącą jej przy pasie pałkę z paralizatorem, przystawił końcówkę do karku i wrócił do normalnego czasu.

Błysk błękitnego światła, trzask wyładowania i Linfield zwała się twarzą naprzód, nieprzytomna. Dominik odsunął jej krzesło i zaczął szukać. Jego dłonie śmigały po klawiaturze.

Nie miał dużo czasu. Każda sekunda, jaką spędzał w rzeczywistym świecie, narażała go na wykrycie, a w dalszej kolejności na złapanie. W każdej chwili mógł rozbrzmieć dźwięk alarmu, a ku niemu mogły runąć zastępy żołnierzy. Mimo to dalej gorączkowo stukał w klawisze, a cały świat skurczył się do rozmiarów ekranu. Bał się strasznie, ale tętno miał stabilne. Zawsze dobrze sobie radził z presją.

Nie miał czasu szukać celi, w której zamknięto Victora, więc wybrał najszybszą możliwość.

Otworzył je wszystkie.



W jednej chwili Victor chodził w kółko po cichym, pustym, ograniczonym pomieszczeniu, a w następnej świat wokół niego zatrzęsł się w posadach i rozbrzmiał kaskadą dźwięków. Zawył wysoki, przenikliwy dźwięk alarmu, po czym jedna ze ścian powoli wsunęła się w podłogę.

Nad głową Victora zabłyśły jaskrawą bielą światła, ale najwyraźniej więzienie zamiast wchodzić w tryb awaryjnego zamknięcia, otwierało się. Ze wszystkich stron dochodziły go metaliczne dźwięki otwieranych zamków i dehermetyzowanych drzwi.

„No, w samą porę”, pomyślał.

Wyszedł z celi i znalazł się w drugiej, większej komorze, tym razem betonowej, nie plastikowej. Rozmiarami dorównywała małemu hangarowi dla samolotów. Krążył po jej wnętrzu, aż znalazł wyjście. Pod jego dotykiem stanęło otworem, przekroczył je i znalazł się w białym korytarzu.

Zrobił może trzy kroki, kiedy wszystko, co uruchomił Dominik, zaczęło się wyłączać. Drzwi zamykały się z trzaskiem, zamki – zaskakiwały, alarm przestał wyc i zaczął na nowo, światła zmieniły barwę z białej na głęboką, krwistą czerwień, jak jakaś szalona odmiana gry Szymon mówi.

Ale Victor się nie zatrzymał.

Nie powstrzymał go nawet odległy dźwięk huraganowego ognia z broni palnej, dochodzący z pobliskiego korytarza, stukot wojskowych butów po wykładzinie ani kłęby białego gazu, wydobywające się z szybów wentylacyjnych.

Na korytarzu przed nim opadła przezroczysta gródź, więc zawrócił, wstrzymując oddech, ale tuż za zakrętem stanął twarzą w twarz z dwójką żołnierzy PION-u, w pełnym rynsztunku i z bronią.

Sięgnął do ich nerwów, kiedy zaczęli unosić lufy, ale było już za późno – nacisnęli spusty ułamek sekundy przed tym, jak jego energia dotarła do ich ciał.

Rozbrzmiała kanonada, a Victor rzucił się w bok, lecz korytarz był wąski i nie zapewniał żadnej osłony.

Pocisk – tym razem nie usypiająca strzałka, lecz gładki, złowrogi ółow – otarł się o jego bok, tuż zanim zdołał uderzyć mocą w ręce trzymające broń i odsunąć lufy w innym kierunku. Jednak jego zdolność nagle osłabła, a strzelcy w ciągu sekundy zdołali wycelować broń ponownie w jego głowę i serce.

Wypalili razem, wypełniając korytarz ostrym trzaskiem wystrzałów. Victor napiął mięśnie, czekając na uderzenie.

Które nie nastąpiło.

Zamiast tego na jego barkach spoczęło czyjeś ramię. Ciało Dominika zakręciło się przed Victorem jak tarcza, wciągając obu w świat cienia.

Rzeczywistość wokół nich nagle ucichła i znieruchomiła. Stali w tym samym miejscu, w tym samym korytarzu, ale cała gwałtowna, nagła energia, przewalająca się naokoło, nagle zniknęła, zastąpiona ciszą i spokojem. Nacierający żołnierze zastygli w czasie, a pociski zawisły w powietrzu, powoli rzeźbiąc w nim swój szlak.

Victor odetchnął kilka razy, żeby się uspokoić, ale kiedy spróbował przemówić, nie padło ani jedno słowo. Świat cienia połykał nie tylko kolor i światło, ale także dźwięki.

Dominik odwrócił się ku Victorowi, zacisnął dłoń na jego rękawie i poruszył głową, wydając bezgłośnie rozkaz.

„Idź za mną!”

XIV

OSTATNI WIECZÓR

FIRST AND WHITE

Po raz kolejny Marcella zdecydowała, że ubierze się na złoto.

Przeszła długą drogę od tamtej nocy na dachu budynku National, która okazała się punktem zwrotnym w jej życiu. Pozbyła się nie tylko męża, ale także dekadentkich łusek tamtej sukienki, zmieniając skórę na wypolerowany połysk gładkiego jedwabiu w odcieniu białego złota. Nowy strój przylegał do jej ciała niczym płynny metal, wznosząc się ku jej szyi i opadając między łopatkami, by spłynąć w dół pleców.

„Za moją przepiękną żonę!”

Przy odpowiednim oświetleniu jasny materiał wydawał się drugą skórą. Miękki blask promieniował od ciała, zmieniając ją w złoty posąg.

„Jaki sens ma posiadanie pięknych rzeczy, jeżeli nie pokazuje się ich publicznie?”

Marcella założyła kosmyk czarnych włosów za ucho, podziwiając błyszczący kolczyk, przypominający kroplę płynnego złota. Na nadgarstku miała bransoletkę, a paznokcie pomalowane lakierem starannie dopasowanym do reszty stroju.

„Gdyby uroda była zbrodnią...”

Na jej włosach spoczywała siatka paciorków z białego złota, przypominająca konstelację gwiazd.

„Przykleiłeś na niej ostrzeżenie, że to twoje?”

Obcasy jej szpilek były cienkie niczym ostrza noży – i podobnie ostre.

„Oto moja żona. Magister przedsiębiorczości”.

Jedynym wyjątkiem od złotej palety były jej błękitne oczy i żywa, krwista czerwień ust.

„Nie chce pani przecież robić scen”.

Jej dłoń powędrowała ku zwierciadłu.

„Zawsze uważałem cię za beczelną sukę”.

Szkoło zamigotało pod dotykiem Marcelli, czerniejąc niczym paląca się klisza. Zniszczenie wędrowało po lśniącej tafli, aż pochłonęło jej odbicie: złotą sukienkę, błękitne oczy i czerwone wargi ułożone w idealny uśmiech.

Jonathan opierał się o ścianę, bawiąc się bronią, wysuwając i wkładając magazynek. Przypomnił jej się zniecierpliwiony Marcus, włączający i wyłączający długopis.

Klik, klik. Klik, klik. Klik, klik.

– W tej chwili przestań – zażądała, zwracając się ku niemu. – Jak wyglądam?

Jonathan zmierzył ją długim, uważnym spojrzeniem.

– Niebezpiecznie.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Pomóż mi się zapiąć.

Włożył pistolet z powrotem do kabury.

– Ale ta sukienka nie ma zamka.

Wskazała dłonią na buty. Podszedł i ukląkł, a ona postawiła stopę na jego kolanie.

– Bez względu na to, co się stanie dzisiaj wieczorem – powiedziała, unosząc dłonią jego podbródek – miej mnie przez cały czas na oku.



Sydney obudziła się w pustej wannie.

Leżała na boku, owinięta dużą kołdrą, w płytkim białym zagłębieniu. Przez sekundę nie miała pojęcia, gdzie jest. A potem sobie przypomniała.

Kingsley. Spotkanie z June. Hotel i kubek zbyt słodkiego kakao.

Zerwała się na równe nogi. Serce waliło jej jak młotem po tym, co June dodała do jej napoju. Pogratulowała sobie w myślach, że nie wypila go więcej. Wydostała się z wanny i chwiejnie podeszła do drzwi łazienki, ale nie chciały ustąpić.

Zapukała, a potem zaczęła walić w nie pięściami. Napała na nie ramieniem i poczuła opór – stawiany nie przez zamek, ale jakiś ciężki obiekt, którym zastawiono drzwi z drugiej strony. Odwróciła się i rozejrzała po małym pomieszczeniu bez okien. Zobaczyła notatkę pozostawioną na umywalce.

„Wyjaśnię ci wszystko, kiedy to się skończy.

Tylko mi zaufaj.

– J.”

Poczuła, że drży – nie ze strachu, z wściekłości. „Zaufaj”? June podała jej środek usypiający i zamknęła ją w hotelowej łazience. Sydney myślała, że June jest inna, że uważa ją za przyjaciółkę, siostrę, równą sobie. Tymczasem po całym tym gadaniu o zaufaniu, niezależności i własnych wyborach, June zrobiła właśnie to.

Sydney musiała się stąd wydostać.

A potem znaleźć Victora i ocalić Mitcha.

Zaczęła macać kieszenie bomberki w poszukiwaniu telefonu, aż przypomniała sobie, że zostawiła go na stoliku po tamtej stronie drzwi. Wyczuła jednak coś jeszcze: metalową puszczkę z kośćmi Sereny w jednej kieszeni, a potem twardą stal pistoletu w drugiej. June najwyraźniej nie pomyślała, żeby ją obszukać. Po tym wszystkim potraktowała Sydney jak naiwne dziecko.

Dziewczynka wyciągnęła broń i chwyciła ją pewnie, celując w klamkę. Zawahała się jednak, pomyślała i przesunęła lufę w kierunku zawiasów. Ogłuszający strzał odbił się echem od kafelków i marmurowej podłogi, boleśnie raniąc uszy Sydney.

Wystrzeliła jeszcze dwa razy, a potem napała znowu na drzwi. Poczuła, że zawiasy puszczejają, a drewniana płyta ustępuje pod naciskiem.

Udało jej się wydostać.

XV

OSTATNI WIECZÓR

PION

Białe korytarze układały się w przedziwną panoramę.

Żołnierze klęczeli na rogach i tkwili w pół kroku na korytarzach. Kobieta stała w płomieniach, które lizały napastników. Mężczyzna klęczał na podłodze, a funkcjonariusze PION-u wykręcali mu ramiona za plecami. Czerwone lampy alarmowe podświetlały chmury gazu.

Victor i Dominik przesuwali się obok tego wszystkiego w kierunku wyjścia powoli, rozpaczliwie powoli, bo powietrze stawiało im opór niczym woda brodzącym ludziom. Victor trzymał ramię Dominika jak niewidomy. W pewnym sensie tak właśnie było – nie znał przecież drogi przez ten labirynt.

A potem Dominik upadł.

Bez jednego znaku ostrzeżenia. Nie potknął się wcześniej ani nie zatoczył. Po prostu osunął się na podłogę.

Victor ukląkł obok niego – inaczej opuściłby świat cienia. Kiedy tamten oparł się plecami o ścianę, Victor dostrzegł, że przód jego munduru lśni od niewidocznej na czarnym tle krwi.

Pociski wyszarpały w nim okrągłe dziury o średnicy małych monet. To musiało się stać w trakcie strzelaniny w korytarzu, w tej krótkiej chwili, kiedy Dominik wyłonił się z cienia, by wciągnąć doń przyjaciela...

– Ty głupcze – mruknął Victor bezdźwięcznie.

Przycisnął dłoń do rany i poczuł, jak materiał nasiąka krwią. Jakim cudem Dominik był w stanie iść po postrzale jeszcze tak długo?

Ciałem ekszozolnierza wstrząsnął dreszcz, jakby z zimna, więc Victor odciął go całkowicie od bólu i powiedział bezgłośnie:

– Wstawaj!

Dominik nie mógł go jednak usłyszeć.

– Wstawaj! – powtórzył Victor ruchem ust.

Tym razem spróbował się podnieść, ale natychmiast zrezygnował. Osunął się z powrotem na podłogę. Poruszył bezdźwięcznie ustami, lecz Victor zrozumiał.

„Przepraszam”.

– Przepraszam – powtórzył, a Victor zdał sobie sprawę, że tym razem słyszy jego głos. Świat cienia walił się w gruzy, a przez szpary przesączały się kolor i dźwięk. Victor zastygł, mocniej łapiąc Dominika za ramię. Ale to nie jego chwyt był coraz słabszy.

To Dominik tracił kontrolę nad swoim ciałem i mocą.

– Trzymaj się – rozkazał Victor, lecz głowa jego przyjaciela osunęła się na ramię, a szara, pozbawiona dźwięków przestrzeń wokół nich gwałtownie ustąpiła miejsca chaosowi i hałasom, woni gazu i prochu strzelniczego. Krew ściekła Victorowi po palcach i poplamiała podłogę. Czerwony ślad rozciągał się za nimi, pozwalając ich wysledzić; krwawy szlak na sterylnej bieli podłóg.

Zaczął dźwigać Dominika, ale tamten był już martwy. Skóra mu poszarzała i zbladła niczym wosk, oczy miał otwarte, lecz niewidzące. Victor dał za wygraną. Ostrożnie opuścił

ciało z powrotem pod ścianę, podczas gdy zza rogu wyjrzał pierwszy żołnierz z bronią gotową do strzału, a za nim następni.

Tym razem to Victor zrobił pierwszy ruch. Zadziałał bez wahania ani namysłu, używając tępej, brutalnej siły.

Padli jak kamienie w głęboką wodę.

Przeszedł nad nieruchomymi ciałami. I zobaczył w oddali frontowe drzwi budynku. Między nim a wolnością rozciągał się tylko długi, pusty korytarz.

Wówczas z boku, prosto ze ściany, wyszła postać w pełnym rynsztunku, stając mu na drodze. W ścianie nie było żadnych przesuwanych drzwi ani korytarza. Kobieta przeszła przez mur, tak jakby nie stanowił dla niej żadnej przeszkody. Stała teraz przed nim, bez maski, mierząc go ostrym spojrzeniem ciemnych oczu, z paralizatorem w dłoni.

PonadPrzeciętna pracująca dla PION-u!

Victor nie miał czasu, by okazać zaskoczenie. Kobieta rzuciła się w jego kierunku; końcówka paralizatora iskrzyła błękitnym światłem wyładowań. Victor odskoczył, sięgając do jej nerwów, ale zanim zdążył za nie złapać, umknęła w bok, znikając znów w ścianie.

Chwilę później wyskoczyła z powrotem, tuż za nim.

Odwrócił się, łapiąc ją za nadgarstek. Kończówka paralizatora nie zdążyła dotknąć jego skóry.

– Jesteś nieznośna – oświadczył, lecz jego słowa zginęły w wyciu syren.

Szarpnął za jej nerwy, a ona jęknęła z bólu, ale nie upadła. Zamiast tego kopnęła go w zraniony bok. Przewrócił się ciężko na białą podłogę, a ona skoczyła na niego – a właściwie skoczyłaby, gdyby w ostatniej chwili nie użył mocy, zatrzymując ją w pół ruchu.

Walczyła z jego chwytem, gdy skierował jej dłoń z paralizatorem ku jej własnej piersi. Zmrużył w skupieniu oczy, kiedy ich umysły walczyły ze sobą, ale Eli był na wolności, a Sydney zaginęła – Victor nie brał więc pod uwagę porażki.

Zgiął jedną rękę i skierował dłoń ku własnemu torsowi, a agentka powtórzyła jego ruch w lustrzanym odbiciu – tyle że w jej dłoni spoczywała elektryczna pałka.

Zaiskrzyło błękitem, rozległ się trzask wyładowania i PonadPrzeciętna upadła, nieprzytomna.

Victor wstał i obszedł jej ciało, kierując się ku szerokim, szklanym drzwiom. Nie chciały się otworzyć.

Innej drogi ucieczki nie było.



Mitch nie wiedział, co ma dalej robić.

Jego samochód stał z włączonym silnikiem kilkadziesiąt metrów od wysokiej metalowej bramy wiodącej do kompleksu PION-u, podczas gdy mżawka na zewnątrz zmieniła się w ulewę.

Mitch siedział za kierownicą, improwizując: usiłował wykorzystać małe czarne pudełko „lokaja” tym razem nie w celu namierzenia czyichkolwiek sygnałów, lecz włamania do systemu sterowania bramą. To pozwoliłoby mu zbliżyć się do budynku, natomiast nadal

nie wiedział, jak dostać się do środka, a raczej – jak wydostać Victora. Ani nawet gdzie go szukać.

Za bramą stała dyżurka z wartownikiem w środku, a w budynku kryło się Bóg wie ilu funkcjonariuszy. Zapewne trzeba było czegoś dużo skuteczniejszego niż smartfon i hakerskie ustrojstwo, żeby włamać się do miejsca tak chronionego jak PION. Co oznaczało, że jeśli Mitch chce tam wjechać, musi użyć siły.

Wciąż wyteżał umysł, próbując wybrać najlepszy ze złych planów, jakie dotąd stworzył, kiedy deszcz osłabił nieco, odsłaniając wejście do budynku. Za szklanymi drzwiami stała charakterystyczna postać.

Victor.

Mitch nacisnął guzik na czarnym pudełku, a brama przed nim zaczęła się otwierać. Nacisnął pedał gazu, silnik ryknął, opony zabuksowały na mokrej nawierzchni i samochód ruszył z kopyta prosto ku budynkowi.

Victor odskoczył, zanim auto wbiło się we frontowe drzwi. Wzmocnione szkło nie rozprysło się, ale ugięło i wybrzuszyło, toteż kiedy Mitch cofnął, uciekinier był w stanie wyważyć uszkodzone skrzydło, a potem wyslizgnąć się przez szparę na zewnątrz.

Wskoczył na fotel pasażera. Mitch znów wcisnął gaz do dechy.

Strażnik z dyżurki przy bramie już ku nim biegł, ale Victor tylko machnął dłonią i tamten upadł na ziemię, jakby był uciążliwym insektem.

Samochód z pocięta maską wytoczył się przez otwartą bramę i nabrał prędkości.

Mitch spojrział we wsteczne lusterko. Nikt ich nie gonił – jeszcze. Zerknął z ukosa na Victora.

– To sporo krwi.

– Większość należała do Dominika – odparł Victor posępnie.

Mitch zamrugał, zaskoczony. Nie chciał wypytywać o szczegóły, ale... nie musiał. Za odpowiedź wystarczyło mu, że tamten starannie unikał jego wzroku.

– Gdzie Sydney? – zapytał Victor.

– Nie wiem.

– Wyszadzisz mnie – oświadczył PonadPrzeciętny – potem ją znajdziesz, a potem wyniesiecie się z tego miasta w cholerę.

– Gdzie cię wysadzić?

Victor wyciągnął zaproszenie z tylnej kieszeni, całe pocięte i poplamione krwią, lecz nadal czytelne. Złote litery zaświeciły z bieli.

– Przed budynkiem Starego Sądu.

XVI

OSTATNI WIECZÓR ŚRÓDMIEŚCIE MERIT

Kiedy Marcella wyszła na zewnątrz, deszcz wreszcie zaczynał słabnąć.

Przy chodniku czekały z włączonymi silnikami trzy samochody – elegancka czarna limuzyna eskortowana przez dwa SUV-y. Wokół kręcili się ochroniarze – czterech mężczyzn w starannie odprasowanych czarnych garniturach, trzymających otwarte parasole zasłaniające głowy i twarze.

Marcella eliminowała nawet najmniejsze ryzyko. Była pewna, że Stell niedługo zacznie szukać desperackich rozwiązań – a desperacja często idzie w parze z lekkomyślnością.

Dotarli do limuzyny. Jonathan otworzył przed nią drzwi. Kiedy nie użalał się nad sobą, potrafił zachowywać się jak prawdziwy dżentelmen.

Marcella wślizgnęła się na tylne siedzenie i dostrzegła, że nie jest sama. Naprzeciwko niej siedział opalony, elegancki mężczyzna w jasnoszarym garniturze. Wyglądał przez okno i widać było, że jest obrażony.

– No i? – zapytała Marcella. – Dotarłaś do niej na czas?

Mężczyzna skinął głową i odezwał się ze znanym, śpiwnym akcentem:

– Było blisko, ale dałam radę.

– Dobrze – odparła dziarsko Marcella. – Kiedy to się skończy, oczywiście przywieziesz mi ją.

Mężczyzna uciekł wzrokiem, ale kiedy June się odezwała, jej głos brzmiał pewnie:

– Oczywiście.

Jonathan wsiadł z drugiej strony. Marcella nie miała kłopotu z rozpoznawaniem June za wieloma maskami, ale Jonathan wzdrzgnął się na widok nieznanego.

– Johnny, chłopcze – zagruchała June. – Spokojnie, no już, to tylko pewna PP marnotrawna powróciła do stada!

Marcella zmierzyła ją wzrokiem.

– Masz zamiar tak wystąpić dzisiaj wieczorem?

Mężczyzna skrzywił usta w łobuzerskim uśmiechu.

– A co, jestem zbyt przystojna? – I w ułamku sekundy zniknął, a na jego miejscu pojawiła się starsza, bezdomna kobieta z haczykowatym nosem. – Tak lepiej?

Marcella przewróciła oczami, zadowolona jednak, że June już się na nią nie boczy.

– Na pewno znajdziesz jakiś złoty środek – oświadczyła.

June dramatycznie westchnęła i zmieniła się w dżentelmena w średnim wieku ze starannie przystrzyżonym wąsem i atrakcyjną, chociaż dość przeciętną twarzą.

– A teraz?

– Teraz dużo lepiej – oceniła Marcella.

– A ty za to wyglądasz jak Królowna Śnieżka, która zabiła królową i ukradła jej zwierciadło.

Marcella uśmiechnęła się chłodno.

– Potraktuję to jako komplement.

June rozsiadła się wygodnie.

– Tego się właśnie spodziewałam.



Eli przygładził włosy i zapiał koszulę.

Wrzucił kawałki połamanego długopisu do spłuczki, a nadajniki wsunął do kieszeni.

Dobrze się czuł w normalnym ubraniu, nawet jeżeli tego wieczoru miał na sobie strój wizytowy. Dawno temu, gdy przebywał na wolności i wykonywał swoją misję, zakładał setki różnych kostiumów. Teraz brakowało mu tylko broni: noża albo drucianej garoty. Potrafił jednak zabijać również gołymi rękami – robił to już przedtem.

Wiązał właśnie pożyczony krawat, kiedy usłyszał poruszenie za drzwiami łazienki. Radiowa konwersacja mieszała się z opryskliwym głosem Stella. Rozplątał węzeł i powoli, pracowicie zaczął wiązać go z powrotem, jednocześnie nasłuchując.

– Nie... Do ciężkiej cholery!... Kto to był? Nie... Kontynuujemy zgodnie z planem...

Eli zaczekał, aż stało się jasne, że nie usłyszy już nic więcej, i wyszedł, ogarniając wzrokiem całą scenę. Policzki Stella były czerwone z emocji. Ten facet nigdy nie potrafił zachować pokerowej twarzy... a tylko jeden człowiek potrafił wywołać takie zamieszanie.

Victor.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał Eli.

– Skup się na zadaniu! – rozkazał Stell, zakładając marynarkę i przeczesując dłonią szpakowate włosy. „Coraz więcej na nich siwizny”, pomyślał Eli. Niektórzy naprawdę nie powinni pracować na tak odpowiedzialnych stanowiskach.

Nie on jeden miał na sobie wizytowy strój.

Kobieta założyła jedwabny czarny kombinezon, pasujący bardziej do modelki niż do agentki PION-u. Młody blondyn pozostał w mundurze, ale żołnierz z kwadratową szczęką założył czarną marynarkę na świeżą, białą koszulę, rozpiętą pod szyją.

Eli zapytał z namysłem:

– Czy zaproszenie nie jest przypadkiem dwuosobowe?

W odpowiedzi Stell pokazał mu drugą kartę.

– Kopia? – zdziwił się PonadPrzeciętny. Jeżeli ktoś skopiował zaproszenie, zrobił to perfekcyjnie.

– Nie, oryginał – odparł dyrektor. – Marcella wysłała go prokuratorowi okręgowemu. Na szczęście dla nas, nie ma go dzisiaj w mieście. – Wręczył drugą kartę kobiecie. – Holtz – zwrócił się do blondyna. – Ty zostajesz na zewnątrz.

– Zawsze mam pecha – mruknął żołnierz.

Stell sprawdził zegarek.

– Już pora.



Kiedy Sydney wróciła do Kingsley, w pobliżu nie było już czarnej furgonetki.

Zastała drzwi do apartamentu wyważone, więc wyciągnęła broń i trzymając ją oburącz, wkroczyła do środka.

Najpierw rzuciła jej się w oczy krew. Szlak z wielkich czerwonych plam prowadził korytarzem aż do małej kałuży na parkiecie, najwyraźniej rozmazanej czyjąś dłonią.

A zaraz obok ciała.

„Dol!”

Skoczyła w jego kierunku i padła na kolana obok nieruchomego zwierzęcia. Strąciła z niego kartę, muskając palcami futro. Zamknęła oczy i sięgnęła w głąb, wyczuwając, jak nic życia psa odpływa w dal i unika jej chwytu. Za każdym razem było jej trudniej, za każdym razem musiała szukać głębiej. Skupiła się na chwytaniu ulotnego włókienka, a tymczasem przez jej ramiona powędrował straszny, bolesny chłód. Poczuli, że jej płuca zaczynają spazmatycznie łapać powietrze, oddech staje się płytszy... aż w końcu złapała nic i ożywiła Dola. Po raz kolejny.

Żebra psa uniosły się i opadły, a Sydney osunęła na podłogę obok, ciężko dysząc.

Teraz zwróciła uwagę na pikowego króla. Mitch zostawił wiadomość na odwrocie:

„Idę szukać Victora”.

Pośpiesznie wstała, a obok niej stanął Dol, otrząsając się ze śmierci jak z kropel deszczu. Otarł się o jej nogę, tak jakby chciał zapytać: „I co teraz?”.

Sydney się rozejrzała. Nie miała komórki. Nie miała pojęcia, gdzie są pozostali. Dysponowała jednak czymś innym: niewidzialną więzią, łączącą ją z tymi, których wskrzesiła.

Nie wiedziała, czy to wystarczy, ale musiała spróbować. Zamknęła oczy i poszukała innej nici... Znalazła ją i poczuła, jak się napina pod jej palcami.

– Chodź – rzuciła do psa, omijając kałużę krwi.

Kiedy wyszli na ulicę, Sydney zatrzymała się i jeszcze raz zamknęła oczy. Poczuli, jak świat przechyla się lekko, leciuteczko w lewo. Tak jakby chciał jej powiedzieć: „Tędy!”.

Ruszyła w tym kierunku.



– Jedź szybciej – nakazał Victor, próbując zignorować brzęczenie w głowie, pierwsze ostrzeżenie kumulującego się ponownie ładunku.

Kolejny atak nie miał wyboru: musiał zaczekać.

– Dlaczego? – zapytał Mitch, posłusznie przyspieszając w kierunku Merit. – Dlaczego jedziemy w kierunku tego bajzlu, zamiast od niego uciekać?

Victor znalazł na tylnym siedzeniu rolkę papierowych ręczników i przycisnął je do płytkiej rany na żebrach.

– Bo tam będzie Eli.

– To jeszcze lepszy powód, żeby zawrócić. Wy dwaj możecie grać w podchody przez wieczność, ale to się może skończyć tylko w jeden sposób, Victor. Nie wygrasz, nie ma mowy.

– Dziękuję, że we mnie wierzysz – odparł sucho Victor.

Mitch pokręcił głową.

– Ty i ta twoja zemsta...

Ale tu nie chodziło o zemstę.

„Cokolwiek ci się przydarzyło, jakkolwiek zostałeś zraniony, zrobiłeś to sobie sam”.

Campbell miał rację. Victor musiał przyjąć odpowiedzialność za swoje czyny... i za monstrum, które pomógł stworzyć. Za Elia.

– Masz zamiar iść tam tak po prostu? – zapytał Mitch.

Victor obrócił w dłoni kartę.

– Mam zaproszenie.

Po chwili zrozumiał jednak, o co chodziło przyjacielowi. Spojrzał krytycznie na siebie. Mitch miał rację.

Gdzieś pomiędzy spotkaniem ze Stellem na korytarzu a przebudzeniem w celi stracił swój ulubiony trenz. Jego czarny tiszert był rozcięty z boku. Zrobił, co mógł, mając do dyspozycji butelkę z wodą, żeby zmyć krew z dłoni, ale pod paznokciami nadal zostały czerwone ślady.

Nie miał bronii ani planu. Wiedział tylko z całkowitą pewnością, że Eli ucieknie, kiedy nadarzy się sposobność.

A Victor będzie wtedy w pobliżu, by znów go zatrzymać.

XVII

OSTATNI WIECZÓR

STARY SĄD

Eli przekroczył próg i znalazł się w wielkim foyer. Strząsnął z głowy krople deszczu, rozglądając się.

Wewnątrz było już pełno ludzi – kobiet i mężczyzn w wieczorowych strojach. Najwyraźniej zebrała się tu cała śmietanka towarzyska Merit. Dwójka żołnierzy PION-u weszła do środka przed nim, dłuższą chwilę temu, i natychmiast wtopiła się w tłum.

Eli i Stell przesunęli się do przodu i zostali zatrzymani przez parę ochroniarzy z ręcznymi wykrywaczami metali.

– Jestem stróżem prawa – rzucił opryskliwe Stell, pokazując kaburę ze służbowym pistoletem.

– Przykro mi, sir – odparł ochroniarz. – To impreza bez broni.

„Co za ironia”, pomyślał Eli, rozkładając ramiona, podczas kiedy ochroniarz przesuwając wykrywaczem po jego ciele. Urządzenie nawet nie pisnęło. Stell niechętnie oddał pistolet, a potem przeszli do szatni, gdzie Eli zostawił płaszcz. Odprowadził wzrokiem nadajniki, odpływające w czeluści przechowalni. Teraz pozostał mu już tylko problem stalowego koinierza na szyi, ale od wyjścia spod prysznicza zdążył ułożyć pewien plan.

Weszli do ogromnego atrium, okrągłej sali otoczonej kolumnadą i przykrytej kopułą. Eli uniósł głowę, podziwiając wnętrze – znakomity przykład neoklasycyzmu. Wysokie, puste pomieszczenie łączyło prostotę i elegancję.

Kinkiety z kutego żelaza zakwitwały wprost z kolumn niczym metalowe kwiaty. Na wypolerowanych marmurowych blatach stołów, które wydawały się wyrastać wprost z podłogi, stały wielkie srebrne talerze – dalekie echo szal wagi w dłoniach alegorycznej Sprawiedliwości. Pod kopułą, wzdłuż jej obwodu, biegła galeria widokowa, z której można było podziwiać atrium poniżej, a na środku pomieszczenia, na marmurowym postumencie, wyrastał niemal dwupiętrowy pomnik z brązu, przedstawiający samą Sprawiedliwość.

Nigdzie nie było śladu Marcelli – jeszcze nie, ale to akurat nie zaskoczyło Elia. To oczywiste, że chciała zrobić na wszystkich wrażenie efektownym entré – przewidział to. Jonathan zapewne pozostanie ukryty w pewnej odległości, natomiast June stawi się zamaskowana pod cudzą postacią, przynajmniej do chwili, kiedy wykona jakiś ruch.

Eli dostrzegł dwoje żołnierzy PION-u, krążących powoli w gęstniejącym tłumie.

Atrium rozbrzmiewało śmiechem. Przyćmione światło tańczyło między wysokimi kieliszkami szampana, kosztowną biżuterią i ludzkimi ciałami. Gęstniał tłum postronnych osób – poruszających się i rozpraszających uwagę.

Stell warował u boku więźnia.

– Czy będziesz w stanie wyprowadzić stąd ludzi, kiedy nadejdzie pora? – zapytał Eli.

– Zrobię, co w mojej mocy – odparł dyrektor. – Ale powstrzymanie paniki może być trudne.

Eli badawczo rozejrzał się po pomieszczeniu. Okna były wąskie i wysokie – bezużyteczne. Tłum coraz większy... ale to akurat mogło zadziałać na jego korzyść. Paniczny strach bywał zaraźliwy. Tak jak z zabawą klockami domina, trzeba tylko popchnąć pierwszy z nich.

– Zaraz wracam.

Stell złapał go za ramię.

– Dokąd się wybierasz?

– Załatwić ci broń. – Eli wskazał ochroniarzy Marcelli w czarnych, dopasowanych garniturach. – Nie zauważyłeś? Gościom nie wolno wnosić broni, ale jej ludziom – owszem.

Stell nie zwolnił uchwytu.

– W końcu i tak przyjdzie chwila – oznajmił spokojnie Eli – że będziesz musiał poluzować mi smycz.

Dyrektor popatrzył na niego przeciągle, a potem ostatecznie cofnął dłoń. PonadPrzeciętny odwrócił się i zaczął przeciskać przez tłum, śledząc jednego z ochroniarzy, zmierzającego w kierunku toalety. Wszedł za nim i spokojnie zaczekał, aż mężczyzna wejdzie do kabiny, a inny gość skończy myć dłonie w umywalce i opuści pomieszczenie. Wówczas Eli zamknął drzwi na zatrask i podszedł do kabiny.

Otworzył z rozmachem drzwi i z całej siły kopnął ochroniarza w tors, posyłając go pod ścianę. Złapał go za krawat, tuż zanim tamten zaczął się osuwać na podłogę, wyrwał mu pistolet z kabury i przycisnął lufę do jego piersi, by stłumić odgłos strzałów.

Po czym usadził ciało na sedesie.

Sporo czasu minęło, odkąd kogoś zabił, ale przebaczenie będzie musiało zaczekać.

Wrócił do Stella i oddał dyrektorowi skradzioną broń, swobodnie i dyskretnie, tak jakby ścisłał dłoń starego kumpla. Stell spojrział na niego z niemym zdumieniem. Eli trzymał pistolet lufą w jego kierunku, z palcem na spuście, ale w ostatniej chwili odwrócił go kolbą ku dyrektorowi.

Po dłuższej chwili Stell przyjął broń, a Eli odwrócił się i złapał kieliszek szampana z tacy przechodzącego kelnera. Teraz mógł rozkoszować się urokami imprezy.



– To ostatnia okazja, żeby jeszcze raz przemyśleć plan – wymamrotała June. – Albo jeszcze jedna okazja, żeby przemyśleć go po raz ostatni.

Deszcz bębnił o dach limuzyny, która właśnie zatrzymała się przed Starym Sądem.

– Nie bądź taka ponura – upomniała ją Marcella. – Szykuje się niezła impreza.

– Szykuje się niezłe szaleństwo – odpaliła June.

Usta Marcelli drgnęły.

– W takim razie dobrze, że w tym szaleństwie będzie metoda.

Oczywiście nadal było to ryzykowne zagranie, prawdziwy hazard – ale przynajmniej ambitny.

Zawsze mówiła Marcusowi, że świat nie został stworzony dla ludzi o słabych nerwach. Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa. A jeżeli jej plan miałby z jakiegoś powodu leć w gruzach, zamierzała pociągnąć za sobą całe miasto.

Wysiadła z samochodu i natychmiast wokół niej zakwitły czarne parasole, osłaniając ją przez całą drogę do wrót Starego Sądu.

Z wnętrza dobiegał ją brzęk lodu w kryształowym szkle, pomruk i gwar podekscytowanego tłumu. Położyła dłoń na wypolerowanym metalu, szeroko rozkładając

palce z lśniącymi złotem paznokciami, a June i Jonathan stanęli tuż za nią.

Marcella się uśmiechnęła.

– Czas na przedstawienie!



Samochód Mitcha zatrzymał się z piskiem opon przed Starym Sądem.

Wysiadając, Victor poczuł w boku ukłucie bólu, ale nie śmiał go usuwać – nie wobec brzęczenia w kończynach, świadczącego o zbliżającym się ataku.

– Victor... – zaczął Mitch.

PonadPrzeciętny obejrzał się na niego.

– Pamiętaj, co powiedziałem. Znajdź Sydney i wyjedźcie stąd.

Wspiął się na niskie kamienne schody i otworzył drzwi Starego Sądu. Wolną rękę trzymał możliwie swobodnie, ale jednocześnie tak, by zasłonić żebra. Wręczył zaproszenie ochroniarzowi w garniturze, który zmarszczył brwi, dostrzegłszy krew plamiącą biały papier.

Zerknął na Victora, który zimno odwzajemnił spojrzenie, stopniowo naciskając na nerwy tamtego, aż na twarzy strażnika odmalował się niepokój.

Mężczyzna pospiesznie go wpuścił.

Victor ruszył w kierunku atrium, ale zawrócił na widok szatni. Przebiegł wzrokiem po rzędach kurtek i szali, znajdujących się już na wieszakach, aż wreszcie odnalazł czarny wełniany trenz z wysokim kołnierzem i skórzanym obszyciem.

Machnął na szatniarza.

– Zgubiłem numerkę, ale chciałbym odebrać płaszcz, o, tamten. – Skinął głową w kierunku trenca.

Młody człowiek, w zasadzie jeszcze dzieciak, zawahał się.

– Prze... przepraszam... Ale nie mogę wydać panu płaszcz bez numerka...

Victor uciszył go swoją mocą, patrząc, jak tamten otwiera szeroko oczy. Odmalowało się w nich najpierw zdumienie, potem zmieszanie, a wreszcie przerażenie, gdy szatniarz zdał sobie sprawę, że nie może się ruszyć z miejsca.

– Mogę połamać ci kości, nie ruszając palcem – powiedział cicho. – Mam zademonstrować?

Chłopak gwałtownie wciągnął powietrze i panicznie pokręcił głową. Victor wypuścił go, a szatniarz zatoczył się w tył, dysząc ciężko. Ręce mu się trzęsły, kiedy zdejmował płaszcz z wieszaka.

PonadPrzeciętny niezgrabnymi ruchami założył trenz, po czym pogrzebał po kieszeniach i znalazł dwudziestodolarowy banknot.

– Dzięki – rzucił, pychając go do szklanego słoika na napiwki.

Atrium było pełne ludzi; ciała poruszały się powoli, słychać było gwar tłumu. Victor powoli okrążył salę, trzymając się zewnętrznej krawędzi. Przesuwał się między gośćmi, bacznie obserwując zgromadzonych.

Aż wreszcie po drugiej stronie dostrzegł w tłumie znajomą twarz. Tę, która nie zmieniła się od piętnastu lat.

Twarz Elia.

Cała impreza na chwilę odplynęła gdzieś w tło, poszczególne obrazy i dźwięki wycofały się, a Victor wpatrywał się tylko w jednego człowieka.

Nie zdawał sobie sprawy, że stopy same zaczęły go nieść w kierunku Elia, zanim czyjaś dłoń nie odciągnęła go w tył i w bok, za najbliższą kolumnę. Już sięgał do nerwów napastnika, kiedy zobaczył znajomy tatuaż, okrążający spiralą szerokie ramię mężczyzny.

– Kazałem ci wyjechać... – zaczął Victor, ale potem zauważył szelmowski błysk w oku Mitcha, dziwny wyraz jego ust i śpiewny akcent, kiedy tamten się przywitał. June. – Odczep się – zażądał.

June dalej go trzymała.

– Musisz ją powstrzymać.

– Nie przyszedłem tu po Marcellę.

– A powinieneś – stwierdziła. – Ostrzy sobie zęby na Sydney.

– Przez ciebie.

– Nie! – zaprotestowała zmiennokształtna. – Nie powiedziałam jej, ale i tak wie... a teraz chce dorwać małą. A z tego, co widziałam, Marcella...

W tym momencie, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, tłum się rozstał i postać, cała w złocie, wspięła się na kamienne podwyższenie w centrum.

Victor wyrwał się June, szukając wzrokiem Elia, lecz tamten gdzieś zniknął. „Cholera!” Ogarnął wzrokiem tłum, przeszukując morze czarnych marynarek, aż dostrzegł poruszenie. Większość ludzi stała nieruchomo, z oczami utkwionymi we wchodzącej na podium Marcelli. Eli prześlizgiwał się między nimi niczym rekin, skupiony na jednym celu.

Victor podążył za nim. Obaj przecinali tłum równolegle w drodze do podestu z posągami Sprawiedliwości i stojącą pod nim kobietą w złotym stroju.

Aż wreszcie Eli go zauważył.

Odwrocił wzrok od Marcelli i popatrzył na Victora. Na jego twarzy odmalowało się chwilowe zaskoczenie, które jednak natychmiast zniknęło, kiedy skrzywił usta w posępnym uśmiechu. W tym momencie ktoś przycisnął do pleców Victora lufę pistoletu, a nad uchem zabrzmiał mu szorstki głos Stella:

– Dość już tego, Vale.



Marcella spędziła całe życie na świeczniku.

Ale dopiero tego wieczoru rzeczywiście czuła, że ją dostrzeżono.

Kiedy wchodziła na podium, wszyscy patrzyli tylko na nią. Widzów rozpałała ciekawość: czekali na odsłonięcie tajemnicy, zgadując, że za tym wystąpieniem kryje się coś więcej niż tylko uroda i czar prelegentki. Niezależnie od tego, czy mieli rację, czy też się mylili, przyszli, by zobaczyć pokaz mocy i władzy.

Gdy Marcella przemówiła, jej głos niósł się po całym atrium, odbijając się echem od marmurów, dobrze słyszalny, ponieważ pomruk tłumy umilkł. Wszyscy goście zwrócili twarze w jej kierunku, jak kwiaty kierujące się ku słońcu.

– Jestem zachwycona – zaczęła – że możecie mi tu dzisiaj towarzyszyć.

Przemawiała, przechadzając się powoli wokół podium i rozkoszując władzą nad zafascynowaną widownią. Znajdowali się tu najpotężniejsi ludzie w Merit – a przynajmniej tak im się wydawało.

– Owszem, zaproszenie było nieco tajemnicze, ale wiedźcie, że opłaca się czekać na najlepsze. To, co mam wam do zaoferowania, lepiej pokazać niż opowiedzieć...



June pędziła po schodach, dając susy co drugi stopień.

Zamieniła potężną postać Mitcha na o wiele szczuplejszą osobę. Dzięki temu zyskała na szybkości i w podskokach dotarła na galerię górującą nad morzem głów w atrium. W jego centrum Marcella zataczała kręgi wokół podstawy posągu.

Znalazła Jonathana, śledzącego z dala przemówienie. Oparł łokcie na poręczy z kutego żelaza, skupiony całkowicie na lśniącej postaci w dole.

– Niektórzy z was mają pieniądze – brzmiał donośnie głos Marcelli – niektórzy wpływy. Część z was odziedziczyła władzę, a inni doszli do niej, zaczynając od zera. Jesteście tu wszyscy, ponieważ wspięliście się na wyżyny. Widzę prawników, dziennikarzy, szefów firm, stróżów prawa. Przewodźcie temu miastu. Kształtujecie je i ochraniać.

– Widzisz tego mężczyznę? – zapytała June, wskazując na jasnego blondyna przeciskającego się przez tłum.

– To Victor Vale – skonstatował beznamiętnie Jonathan.

– Tak, owszem.

Jeżeli Victor nie zechce jej pomóc, zmusi go do tego.

Kierował nim silny instynkt samozachowawczy. Jak nimi wszystkimi.

– Jeżeli zbliży się za blisko do Marcelli, postrzel go – rozkazała. Jonathan dobył pistoletu z kabury pod pachą, nie spuszczać wzroku z Marcelli. – Ale nie zabijaj – dodała. – Chyba że będziesz musiał. Ona chce go żywego.

Jonathan wzruszył ramionami. Jego posłuszeństwo zawsze ją irytowało, lecz tym razem była zadowolona, że nie zadaje pytań.

– Dzięki, Johnny! – powiedziała, biegnąc z powrotem po schodach.



– Stell – powiedział Victor i zgrzytnął zębami, ponieważ Eli podjął swój powolny, metodyczny marsz ku podwyższeniu, gdzie wiodła prym Marcella.

– Rozumiecie więc świetnie, jak ważna jest władza – mówiła właśnie. – Nie rozumiecie jednak jeszcze, że te wszystkie koncepcje władzy, które wymieniłam przed chwilą, są przestarzałe.

Stell wbił mocniej lufę w plecy Victora.

– Nie pozwolę, żebyś wszedł mu w drogę.

– Czyżby? – mruknął Vale, rozglądając się wśród tłumu.

– Po to tu dzisiaj jestem – ciągnęła Marcella. – Żeby otworzyć wam oczy.

Eli był tuż przy podium, kiedy położyła dłoń na szacie posągu z brązu.

– By pokazać wam, czym jest prawdziwa władza...

Victor wybrał pierwszego człowieka z brzegu i skrzył jego nerwy w postronek.

Wrzask mężczyzny rozległ się w atrium, zagłuszając głos Marcelli i odwracając od niej uwagę tłumu. W tej samej chwili Victor obrócił się na pięcie, wymierzając łokciem celny cios w skroń dyrektora.

Broń Stella wypaliła, ale Victor zszedł już z linii strzału, poruszając się uparcie w kierunku podestu, Marcelli i Elia. Tłum zareagował na huk paniką i ruszył do ucieczki; fala ciał runęła w kierunku wyjścia. Tylko Victor i Eli wciąż parli ku centrum sali i złotej postaci na środku.

Victor był niemal u celu, kiedy padł kolejny strzał. Pocisk chybił, krzesząc iskry na marmurowej podłodze pół metra od niego. Podniósł wzrok i zobaczył na galerii Jonathana. Zorientował się w jego intencjach w tej samej chwili, kiedy tamten złożył się do następnego strzału.

Pocisk przeszył jego ramię niczym rozżarzone do białości żelazo. W ranie natychmiast zaczęła zbierać się krew.

Zaklął, sięgając do nerwów Jonathana, zanim tamten zdążył strzelić po raz trzeci. Złapał je i przełączył moc na wyższy poziom, tak jak wcześniej w galerii sztuki. Natychmiast zabłysło błękitno-białe światło pola siłowego, osłaniając Jonathana przed atakiem. Victor poczuł, że jego uchwyt słabnie, ale tym razem nie odpuścił.

Każdy przedmiot miał ograniczoną wytrzymałość na rozciąganie lub zgniatanie. Wystarczyło przyłożyć odpowiednią siłę – i pękł.

XVIII

OSTATNI WIECZÓR

STARY SĄD

Przez pięć lat Victor Vale zajmował stałe miejsce w głowie Elia. Najpierw jako duch, potem jako złudzenie. Dopiero teraz Eli zdał sobie sprawę, że obie te koncepcje były kompletnie błędne. Objawiająca mu się postać rywala wyglądała tak samo jak przed laty, jakby Victor z jego wizji był owadem zatopionym w bursztynie. Po prawdziwym Victorze znać było całe pięć lat trudów, a nawet więcej. Jego wróg wychudł i wyglądał na chorego – tak jak przypuszczał Eli. Co prawda w tej chwili nie miało to najmniejszego znaczenia.

Naprawi błąd sprzed lat.

Ale najpierw – Marcella.

Schodziła właśnie z postumentu, z twarzą wykrzywioną nie strachem, lecz wściekłością. Zmierzała prosto ku Eliowi.

– Czy to przez ciebie musiałam przerwać imprezę?!

– Przepraszam najmocniej – odparł. – Gorąco pragnąłem cię poznać.

– Pożałujesz tego – obiecała gniewnie, wchodząc w zasięg jego rąk.

Spróbował ją złapać, ale wówczas błysnęło pomiędzy nimi błękitno-białe światło, odpychając jego dłoń. Najwyraźniej ograniczało jego, ale nie ją. Marcella podeszła i przytknęła palce do policzka Elia.

– Naprawdę powinieneś był uciekać razem z tłumem – powiedziała, a jej dłoń rozjarzyła się na czerwono.

Ból smagnął twarz Elia palącą falą, kiedy jego skóra zaczęła się rozpuszczać, odsłaniając zęby i kość szczęki. Zniszczenie zaczęło się rozszerzać, lecz czuł, że jednocześnie zachodzi odwrotny proces – mięśnie i skóra się goją. Rozbawienie zniknęło z twarzy Marcelli, zastąpione przez zaskoczenie i szok.

– Dlaczego miałbym uciekać? – zapytał Eli, podczas gdy jego policzki szybko się regenerowały. – Przyszedłem cię zabić.

Marcella odsunęła się od niego, niepewna, co robić dalej.

Tęsknił za tym – wyrazem twarzy swoich ofiar, zanim umarły. Za tym, jak szale kosmicznej wagi wahały się, zanim wróciły do równowagi. Tak jakby PonadPrzeciętni wiedzieli, że są wybrykiem natury, że ich życie – to, co uważali za życie – zostało podstępem wykradzione śmierci. Że czas już odejść.

W pobliżu rozległ się strzał, po nim kolejny, a sekundę później powietrze nad nimi załśniło błękitem i bielą. Jednocześnie zabrzmiały trzaski wyładowań. Victor stał z uniesioną głową, a kiedy Eli powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem, dostrzegł w sercu burzy Jonathana. Victor rozłożył ramiona i powietrze zakipiło błyskawicami, zasłaniając PonadPrzeciętnego na galerii przed wzrokiem widzów.

Zaskoczenie zniknęło z twarzy Marcelli, a zamiast niego pojawił się grymas strachu.

Eli opracował wcześniej pewną hipotezę, którą teraz zdecydował się sprawdzić.

Ponieważ Jonathana pochłaniała właśnie walka z Victorem, Eli wyciągnął dłoń i schwycił Marcellę za gardło. Tym razem nie pojawiły się wokół niej błękitno-białe wyładowania ani żadne pole siłowe. Poczul pod palcami miękką, delikatną skórę.

Natychmiast złapała go za ramiona. Rękawy marynarki szybko zetlały, skóra z jego rąk zaczęła odpadać płatami, natychmiast się regenerując – i znów odpadając.

Mimo to Eli nie zwolnił uchwytu.

Na przeciwległym krańcu atrium Stell i jego żołnierze usiłowali opanować panikujący tłum, podczas gdy po drugiej stronie posągu Victor nadal uderzał całą mocą w Jonathana, tak jakby tamten był elektrycznym urządzeniem, które można przeciążyć i spalić.

W pewien sposób znów współpracowali! Jak za starych, dobrych czasów – albo tak, jak mogliby to razem robić przez te wszystkie lata, gdyby się nie poróżnili.

Eli pomyślał, że taki obrót spraw wygląda niczym fabularne rozwiązanie w czyjejs powieści, lecz sekundę później dostrzegł za Victorem żołnierza PION-u.

– Nie! – wrzasnął na całe gardło.

Albo nikt go nie usłyszał, albo nikogo to nie obchodziło. Żołnierz dotarł do Victora i założył mu duszący chwyt, odciągając go i przerywając jego trans.

Błękitno-białe wyładowania pola siłowego Jonathana zniknęły, a sekundę później pojawiły się, tym razem chroniąc Marcelłę. Rozległ się głośny trzask, przypominający grom, a Eli został odrzucony w tył. Gwałtowny ból przeszył jego plecy, kiedy przeleciał kilka metrów i uderzył w najbliższą kolumnę. Nie upadł jednak. Spojrzał w dół i zobaczył końcówkę kinkietu wystającą mu z piersi.

Zgrzytnął zębami i spróbował odepchnąć się od kolumny, by uwolnić się od żelaznego pręta.

Marcella ruszyła ku niemu, masując ostrożnie szyję.

– Jesteś Eli Ever? – zapytała ochryple. – Wielki zabójca PonadPrzeciętnych? Muszę przyznać – dodała, kładąc dłoń na jego brzuchu – że zawiodłam się na tobie.

Popchnęła go z powrotem ku kolumnie. Żelazo ocierało się o jego wnętrzości, aż dotknęła plecami kamienia.

Warknął głośno z bólu i wściekłości.

– Nie wygląda, żeby się goiło – stwierdziła Marcella, wyciągając dłoń w jego kierunku. – Wciąż chcesz mnie zabić?

– Tak – wycedził Eli niewyraźnie, ponieważ z ust ciekła mu krew.

Marcella cmoknęła z dezaprobatą.

– Mężczyźni...

Po czym wpiła się paznokciami w jego ranę. Ból znów przeszył ciało Elia, kiedy kolejne warstwy skóry i mięśni zaczęły odpadać z jego ciała, poszczególne narządy kurczyły się, schły i więdły. Zaczął umierać.



Zduszony krzyk Elia odbił się echem od marmurów. Victor został przygwożdżony do podłogi.

– Nie możesz skrzywdzić tego, kogo nie widzisz, co? – odezwał się żołnierz PION-u za jego plecami. Nie było to jednak prawdą, zwłaszcza jeżeli ktoś był na tyle głupi, żeby zacząć go dusić w ten sposób.

Agent wrzasnął, tak jakby złamano mu ramię. Niewątpliwie tak właśnie się poczuł. Kiedy tylko złuzował chwyt wokół gardła Victora, ten skoczył na równe nogi i odwrócił się ku napastnikowi, powalając go na ziemię jednym pstryknięciem palców.

Victor zwrócił ponownie uwagę na Elia, przyszpilonego do kolumny pół metra nad ziemią.

W budynku Starego Sądu zabrzmiały echem strzały, Stell najwyraźniej zdał sobie sprawę, że szczególne zdolności Jonathana wymagają, by widział osobę, którą chce chronić. Dyrektor opróżniał teraz magazynek w kierunku PonadPrzeciętnego stojącego wysoko na galerii. Jego strzały odbijała błękitno-biała poświata, lecz po chwili jego pistolet umilkł – skończyły się naboje. Jonathan odpowiedział ogniem, zasypując gradem pocisków Victora i Stella, zmuszając ich do uskokoczenia za kolumny.

Victor czuł się wewnętrznie rozdarty.

Jeżeli unieszkodliwi Jonathana, Eli będzie mógł zabić Marcellę. Jeżeli tego nie zrobi, Marcella zapewne wykończy Elia – a o tym Victor marzył od lat. Wołał jednak zadać mu śmierć własnoręcznie.

W końcu decyzję podjął nie on sam, nie Eli ani Marcella, lecz June.

Pojawiła się przed nim, znów w postaci Mitcha, i przyłożyła pistolet do własnej głowy, a właściwie głowy potężnego mężczyzny.

– Prosiłam po dobroci, ale nie posłuchałeś. – Położyła palec na spuście. – Zabij Marcellę – rozkazała – albo on zginie.

Wszystko w jej postaci – pewna dłoń i władczy wzrok – mówiło Victorowi, że June zastrzeli Mitcha, choćby po to, żeby udowodnić, że ma rację, a co dopiero uzyskać to, czego chciała.

– Kiedy to się skończy – ostrzegł ją Victor – będziemy musieli zamienić parę słów.

Wyszedł zza kolumny, sięgając ku nerwom Jonathana. Błękitno-białe pole znów zabłysło wyzywająco, a na skroniach Victora pojawił się pot. Nigdy nie atakował nikogo tak potężnym ładunkiem, toteż jego własne nerwy trzeszczały i wibrowały z wysiłku, grożąc ostatecznym zwarciem, które zakończy jego karierę na dobre.

W końcu pole siłowe zaczęło jednak pękać.



Dłonie Marcelli wpiły się głębiej w ciało Elia, a jego wzrok zaczął szwankować.

Ale wciąż dostrzegał gwałtowne błyski światła na galerii ponad jej głową.

Jego wargi poruszyły się, jakby w niemej prośbie, lecz kiedy Marcella się przysunęła, walnął ją z całej siły głową w twarz. Bez ochronnego pola Jonathana cios sięgnął celu, a PonadPrzeciętna zatoczyła się w tył, trzymając się za policzek. Odwróciła się i zobaczyła pękającą tarczę Jonathana, więc ruszyła przez salę w kierunku Victora, pozostawiając Elia wiszącego na kinkiecie.

Pręt z kutego żelaza wciąż wystawał z jego ciała, chociaż Marcella poważnie go nadwyrężyła – wraz z wnętrznościami Elia. Walnął więc pięścią w porzdewiałą metalową końcówkę, która rozpadła się w pył.

Oparł stopę na kolumnie i odepchnął się od niej, ostatecznie uwalniając się z pułapki. Wylądował ciężko na podłodze. W jego brzuchu ziała otwarta rana, niczym potworny krwawy krater, ale ponieważ nie przeszywał jej już żelazny pręt, zaczynała się zasklepiać. Narządy wracały do normalnego stanu, a tkanki regenerowały się szybko, pozostawiając na zewnątrz czystą, gładką skórę.

W Starym Sądzie rozległ się ogłuszający trzask, kiedy pole siłowe Jonathana w końcu pękło. PonadPrzeciętny przechylił się nad barierką i spadł, uderzając z głuchym łomotem w kamienną posadzkę.

Victor zachwiał się, a potem przykleknął, dysząc z wysiłku. Nie widział zbliżającej się Marcelli. Szła coraz szybciej, a jej dłonie zaczynały się jarzyć czerwonym blaskiem.

Eli dopadł jej pierwszy, chwytając ją ramionami od tyłu i unieruchamiając w tej pozycji.

– Naprawdę? – warknęła. – Do niektórych nie dociera żadna sugestia.

Jej niszcząca potęga rozbłysła na nowo wściekłym żarem i zderzyła się z jego mocą. Eliowi z bólu pociemniało przed oczami.

Dawno temu w laboratorium doktor Haverty mierzył szybkość, z jaką regenerowało się ciało Elia i goiły rany. Zachwycał się przy tym stałym tempem tego procesu, porównując go do baterii, która nigdy się nie rozładuje. Żaden z testów Haverty'ego nie wystawił jednak Elia na taką próbę jak ta.

Odchyliła głowę na jego ramię.

– I co, dobrze się bawisz?

Jej moc osiągnęła taki poziom, że powietrze wokół zaczęło skwierczeć.

Teraz nie wyzwalala niszczącej siły samymi dłońmi. Zniszczenie promieniowało wokół obojga, wyginając pobliski stół i posyłając siatkę pęknięć przez kruszejącą podłogę u ich stóp. Pożarło jej suknię i jego garnitur, topiąc, unicestwiając i wymazując wszystko, aż stopniowo znaleźli się w płytkim zagłębieniu wypełnionym pyłem. Ramiona Elia – stopniowo tracące skórę i mięśnie aż do nagiej kości, a potem odradzające się w odwrotnej kolejności – wciąż ścisnęły Marcellę.

– Jeżeli chciałaś mnie rozebrać, licząc na moją przyzwoitość – stwierdził Eli – to wiedz, że zostałam mi jej już tylko nędzne resztki.

Wzmoceń uścisk, pochylając ku niej głowę w dziwnym, niemal miłosnym geście... i w tym momencie stalowy kołnierz wokół jego szyi ostatecznie przerzedziewiał i odpadł.

Mimo cierpienia uśmiechnął się, bo właśnie spadły ostatnie kajdany.

Podłoga pod ich stopami najwyraźniej słabła. Eli ścisnął jeszcze mocniej, chociaż jego ciało krzyczało w niemym proteście.

– Zabiłem pięćdziesięcioro PonadPrzeciętnych – syknął – a twoja moc nawet się do nich nie umywa!

Tymczasem Marcella rozsiewała zniszczenie coraz dalej. Posąg z brązu, stojący kilka metrów dalej, zaczął korodować i się rozsypywać. Kolumny zakolysały się, tracąc stabilność, i cały budynek zadrzżał. Posadzka pod ich stopami erodowała nadal, warstwa po warstwie, tak jak ciało Elia. Marmur pod nimi topniał niczym lód: najpierw zrobił się półprzezroczysty, a po chwili – całkiem przezroczysty.

– Wygląda na to – wycedziła Marcella – że sobie dorównujemy.

– Nie – zaprzeczył Eli. W podłodze pod nimi pojawiały się coraz większe pęknięcia. – Jest jedna różnica. Ty możesz umrzeć!

Tupnął w osłabioną kamienną posadzkę, która załamała się pod nimi. Spadli razem w ciemność.

Victor przycisnął dłoń do rany na ramieniu i właśnie podnosił się z podłogi, kiedy jej część runęła. Zatoczył się w tył, szukając oparcia dla nóg, a fala uderzeniowa wywołana upadkiem konstrukcji rozeszła się po budynku.

Dopiero kiedy wydostał się poza strefę zniszczenia, był w stanie ocenić skalę dewastacji. Wyglądało to tak, jakby w atrium Starego Sądu nastąpił wybuch skierowany do wewnątrz, coś w rodzaju implozji.

W jednej sekundzie Eli i Marcella stali, spleceni ramionami, w centrum świetlistej kuli na środku sali, a w następnej – przepadli, przelatując niczym meteory przez marmur posadzki. Siła uderzenia uruchomiła reakcję łańcuchową: ściany się zatrzęsły, kolumny upadły, a szklana kopuła była popękana i niekompletna.

W podłodze ziała teraz przepastna dziura, sięgająca na siedem, może nawet dziesięć metrów w głąb.

W pobliżu nie było śladu po June, ale Victor dostrzegł nieprzytomnego Stella, z jedną nogą uwięzioną przez zwaloną kolumnę.

Budynek przestał się trząść, więc Victor podszedł do brzegu dziury. Marcella leżała na dnie zapadliska z kończynami rozciągniętymi na potrzaskanym kamieniu, rozsypanymi czarnymi włosami i karkiem wygiętym pod niemożliwym kątem.

Sypnął się gruz i obok niej stanął na trzęsących się nogach Eli, nagi i zakrwawiony. Jego połamane kości pospiesznie się zrastały. Spojrzał na zwłoki Marcelli i przeżegnał się, a potem uniośł głowę i popatrzył na Victora.

Ich spojrzenia się spotkały i przez sekundę obaj stali w bezruchu.

„Uciekaj!”, pomyślał Victor, a Eli drgnął, tak jakby chciał odpowiedzieć: „Goń mnie!”.

Potrącił stopą luźny odłamek, który stoczył się ze stosu gruzu. Obaj mężczyźni ruszyli z miejsca.

Eli odwrócił się i zaczął wspinać po szczątkach podłogi, a Victor zaczął szukać sensownej drogi w dół; najbliższe schody runęły, a winda była nieczynna. W końcu znalazł klatkę schodową i popędził w dół, skacząc po dwa lub trzy stopnie naraz, aż wypadł na niższy poziom, gdzie na kupie gruzu leżały doczesne szczątki Marcelli Morgan.

Ale kiedy do nich dotarł, Elia już tam nie było.

XIX

OSTATNI WIECZÓR

STARY SĄD

Budynek w ciągu kilku minut zmienił się w ruinę, konstrukcję z przemieszczającego się ciągle i osypującego gruzu. Eli wydostał się ze strefy zniszczenia poprzez klęby pyłu i połacie rozbitego szkła. Musiał wyważyć drzwi, ale tylna klatka schodowa okazała się nietknięta, więc ruszył nią do góry, do drzwi prowadzących na piętrowy parking. W pobliżu wyły już syreny, a on szedł, nagi, po betonowej nawierzchni, w kierunku wyjazdu w boczną uliczkę.

Trudno mu było odpuścić i zostawić Victora.

Wiedział jednak, że czas konfrontacji jeszcze nastąpi. Najpierw musiał jak najszybciej oddalić się od budynku sądu – i uciec z zasięgu PION-u.

– Przepraszam, sir – odezwał się ochroniarz, wyłaniając się z cienia – ale nie może pan...

Eli walnął go pięścią w szczękę.

Tamten osunął się ciężko na ziemię. Eli rozebrał go, założył skradziony uniform, obszedł szlaban zagradzający wyjazd i znalazł się w bocznej alejce.

Od jego zatrzymania i uwięzienia minęło pięć lat – dużo więcej, niż poprzednio potrzebował, by zniknąć z pola widzenia służb. Zadziwiające, jak szybko potrafił wrócić w stare koleiny. Eli czuł spokój; wszystko było pod kontrolą, a jego umysł odhaczał kolejne punkty planu z kojącą regularnością.

Teraz musiał już tylko...

Nagły ból przeszył jego bok.

Skrzywił się i spojrzał w dół: między żebrami tkwiła strzałka. Wyciągnął ją i spojrzał pod światło, mrużąc oczy. Dostrzegł w ampulce resztki intensywnie niebieskiego płynu. Przebiegł go dziwny dreszcz, a klatka piersiowa zaczęła drętwieć.

Rozległy się za nim kroki, powolne i miarowe, więc odwrócił się i spojrzał prosto na ducha.

Na potwora.

Na szatana w białym laboratoryjnym kitlu, patrzącego na niego głęboko osadzonymi oczami zza okrągłych szkieł.

Doktor Haverty.

Eliowi zaschło w ustach. Jak za dotknięciem różdżki powróciły wspomnienia stalowego stołu śliskiego od krwi i dotyku dłoni wewnątrz jego otwartej klatki piersiowej. Mimo że od tych myśli zółć wezbrała mu w gardle, zmusił się, by stawić czoła tamtemu.

– Tyle czasu spędziliśmy razem – powiedział, odrzucając strzałkę – i naprawdę pan myśli, że coś takiego zadziało?

Haverty przechylił głowę, jego okulary załśniły w półmroku.

– Przekonajmy się.

Uniósł broń i wystrzelił drugą strzałkę prosto w pierś PonadPrzeciętnego.

Eli znów spojrzał w dół, spodziewając się dostrzec jaskrawoniebieski płyn, ale zawartość tej ampulki była przezroczysta. Wyrwał z ciała i tę strzałkę.

– Nie śpiam – powiedział, odrzucając ją – ale wciąż miewam marzenia, jak w snach. Ileż to razy marzyłem, żeby pana zabić!

Ruszył ku Haverty'emu, lecz w pół drogi kolana się pod nim ugięły. Łagodnie osunął się na chodnik, tak jakby zasypiał. Świat się zakolysał, a Eli wylądował na czworakach. Ręce i nogi miał jak z ołowiu, w głowie mu się kręciło.

To nie było w porządku. Nic nie było w porządku.

Teraz leżał na plecach, a doktor Haverty klęczał nad nim, mierząc mu tętno. Eli próbował uciekać, lecz ciało odmawiało mu posłuszeństwa.

A potem, po raz pierwszy od trzynastu lat, Eli Ever stracił przytomność.



Victor popędził schodami w górę i wpadł na piętrowy parking, zatraskując za sobą stalowe drzwi. Ramię wciąż mu krwawiło, pozostawiając na betonie szlak czerwonych plam, jak wskazówkę dla pogoni. W dodatku brzęczenie przewędrowało do rąk i nóg, a jego ton urósł w głowie do wysokiego jęku. Powoli kończył mu się czas.

Rozejrzył się po garażu. Czy Eli zabrał samochód, czy uciekał dalej pieszo? Na tym piętrze, na poziomie ulicy, wszystkie miejsca były zajęte, a prawdopodobieństwo, że Ever będzie marnował cenne sekundy, by się wspiąć, było niewielkie.

A więc na piechotę.

Ruszył ku wyjściu, dostrzegając ochroniarza spoczywającego bezwładnie na asfalcie z plecami opartymi o ścianę dyżurki. Ktoś rozebrał go do bokserek i skarpetek. Victor minął nieprzytomnego mężczyznę i wyszedł na boczną uliczkę.

Tu drogi się rozwidlały. Eli mógł wybrać każdą z nich, lecz było ich zbyt wiele, a każdy niewłaściwy wybór zwiększał tylko dystans między nimi.

Coś zalśniło na chodniku; Victor ukląkł i podniósł błyszczący przedmiot. Strzałka ze środkiem usypiającym.

Spojrzał w górę i wysoko nad głową zauważył dwie kamery monitoringu.

Przeszukał kieszenie skradzionego płaszcza i z ulgą odnalazł telefon komórkowy. Wykręcił numer Mitcha, mając nadzieję, że tamten chociaż raz nie posłuchał jego rozkazów.

Po dwóch sygnałach Mitch odebrał.

– Halo? Kto mówi?

– Vale.

– Stary Sąd się wali! Co tam się dzieje, do cholery?!

– Gdzie jesteś? – zapytał.

Chwila zawahania.

– Jakieś dwie przecznice dalej.

Victor poczuł ulgę.

– Ale wciąż nie wiem, co się stało z Sydney – dodał Mitch.

– Skoro wciąż jeszcze tu jesteś – powiedział Victor, patrząc na kamery – chciałbym, żebyś gdzieś się dla mnie włamał.



Stell zacisnął zęby, kiedy Holtz i Briggs podważyli kawał kolumny i uwolnili jego nogę spod gruzu.

Zdawał sobie sprawę, że na pewno jest złamana, ale i tak miał sporo szczęścia. Ciało Samsona było pogrzebane gdzieś na dnie gruzowiska – pochłonięte przez walącą się kondygnację. Pozostała część Starego Sądu nie wyglądała na stabilną.

– Karetka jest już w drodze – powiedziała Briggs, a jej słowa potwierdził dźwięk zbliżających się syren.

Jeszcze zanim podłoga się zapadła, Holtz powstrzymywał tłum i zrobił wszystko, co w jego mocy, by ograniczyć liczbę cywilnych ofiar do minimum. Teraz jednak, kiedy na miejscu katastrofy zaczęły pojawiać się kolejne ambulansy, pozostali na zewnątrz ludzie zaczęli wracać na salę. Przyzwyczajeni do sprawowania władzy, żądali odpowiedzi, wyjaśnień i raportów o zniszczeniach.

Umysł Stella pracował jak szalony, ale miał tylko kilka minut, by ogarnąć scenę po katastrofie.

Zwłoki Marcelli Morgan leżały na stosie pokruszonego marmuru daleko w dole, niczym posępne świadectwo jej niszczącej mocy.

W najdalszym zakątku zrujnowanej kondygnacji dyrektor dostrzegł ciało drugiego PonadPrzeciętnego – Jonathana – niczym szmacianą lalkę, z ręką zwisającą nad brzegiem zapadliska.

Nigdzie nie było śladu June. Ani Victora. Ani Elia.

– Odszukaj lokalizatory Cardale’a.

– Już to zrobiłam – odparła ponuro Briggs.

Pokazała Stellowi płaszcz Elia na jednej dłoni, a potem wyciągnęła drugą, z pięcioma małutkimi nadajnikami.

Dyrektor poczuł w brzuchu nagły ciężar.

– Jest jeszcze gorzej, niż pan myśli – dodał Holtz, podnosząc przerdzewiałe szczątki kołnierza Elia.

Stell strącił je z dłoni agenta, a one syknęły się na zniszczoną podłogę niczym metalowy deszcz.

– Wezwać wszystkich, których mamy do dyspozycji – rozkazał. – Znaleźć Cardale’a!

OSTATNI WIECZÓR

NIEZNANA LOKALIZACJA

Pierwszą rzeczą, jaką zarejestrował Eli, był zapach.

Woń środków odkażających, charakterystyczna dla laboratorium, ale oprócz niej coś nieznośnie słodkiego... jak zgnilizna albo chloroform. Powoli włączały się pozostałe zmysły, odbierając zbyt jasne światło. Twardą stal. Mózg miał jak z plasteliny, a myśli płynęły leniwie niczym gęsty syrop. Nie pamiętał już, jak to jest być pijanym – minęło wiele lat, od kiedy zadziałał na niego jakikolwiek alkohol – ale wydawało mu się, że to powinno być przyjemne uczucie. Jego obecny stan – sucho w ustach, potworny ból głowy i mdłości – był zdecydowanie nieprzyjemny.

Spróbował usiąść.

Nic z tego.

Leżał na plastikowej płachcie rozłożonej na skrzyni. Jego nadgarstki przykrępowano opaskami zaciskowymi do listew poniżej. Usta miał zakneblowane paskiem, przytrzymującym i unieruchamiającym zarazem jego głowę. Próbował złapać coś palcami, cokolwiek, ale czuł pod nimi tylko plastik.

– Nie tak wymyślne jak moje stare laboratorium, wiem – przyznał Haverty, pojawiając się w polu widzenia Elia. – Ale musi wystarczyć. Jak się nie ma, co się lubi, i tak dalej... – Zniknął gdzieś z boku. – Wciąż jeszcze mam przyjaciół w PION-ie, rozumiesz, a kiedy powiedzieli mi, że cię wypuszczają, no cóż... Nie wiem, czy wierzysz w przeznaczenie... – Eli usłyszał brzęk narzędzi układanych na metalowej tacce – ...ale na pewno zauważyłeś, że nasze ponowne spotkanie ma w sobie coś z poezji. Przecież to dzięki tobie dokonałem przełomu, więc to właściwe, żebyś teraz został moim pierwszym prawdziwym obiektem badań.

Haverty ponownie wszedł w zasięg wzroku Elia, trzymając wysoko strzykawkę. Wewnątrz tańczył jaskrawoniebieski płyn.

– To, jak już pewnie odgadłeś – powiedział doktor – jest inhibitor tłumiący twoją PonadPrzeciętną moc.

Przytknął skalpel do piersi Elia i nacisnął na ostrze. Skóra się rozstąpiła, a rana nabiegła krwią. Kiedy Haverty cofnął dłoń, Eli nadal krwawił! Czuł również ból, tępe rwanie rozciętego ciała. Dopiero po chwili rana zaczęła się zamykać, bardzo powoli.

– Ach, rozumiem – zadumał się Haverty. – Musiałem podać zbyt niską dawkę inhibitora. Poprzedni obiekt otrzymał za dużą porcję zbyt szybko i tak jakby... się rozpadł. Ale właśnie dlatego ty jesteś najlepszym kandydatem do tego rodzaju testu – zakończył i znów uniósł strzykawkę. – Zawsze byłeś! – dodał, wbijając igłę w szyję Elia.

Bolało, tak jakby ktoś wlewał mu do żył zimną wodę.

Najdziwniejszą rzeczą nie był jednak sam ból, ale wspomnienie, które przemknęło mu przez głowę: wanna wypełniona pękającymi kostkami lodu. Błade palce przegarniające zimną wodę. Muzyka rozbrzmiewająca w łazience.

Victor Vale sięgający na umywalkę.

„Gotowy?”

– A teraz – powiedział Haverty, przywołując Elia do rzeczywistości – zacznijmy od nowa.

OSTATNI WIECZÓR

MAGAZYNY. PRZEMYSŁOWA DZIELNICA MERIT

Victor zatrzymał się przed brudnoszarym budynkiem, w którym mieściła się długoterminowa przechowalnia, piętrowy labirynt klimatyzowanych boksów magazynowych wielkości dużego pokoju, w których ludzie zostawiali meble, dzieła sztuki lub pudła starych ciuchów. Tyle przynajmniej podpowiedział Victorowi Mitch po włamaniu się do systemu monitoringu – ale to zupełnie wystarczyło.

Według Mitcha w sprawę był zamieszany jeszcze jeden mężczyzna, w okularach i białym kitlu, który odszedł spod parkingu, ciągnąc za sobą nieprzytomnego Elia.

To nie miało sensu. Dawno temu, tego wieczoru, kiedy Eli stał się PonadPrzeciętny, Victor był świadkiem, jak jego przyjaciel próbował urznąć się w trupa, ale alkohol w ogóle na niego nie działał. Podobnie jak inne środki oszałamiające, które od tej chwili organizm Elia z marszu neutralizował.

Victor przeszukał parter, sprawdzając, które z rolowanych drzwi pozbawione są zamka. Ramię przestało mu krwawić, ale wciąż bolało. Nie złagodził bólu – wolał zachować wyostrome zmysły, zwłaszcza teraz, kiedy nowy ładunek gromadził się w jego ciele, w każdej chwili grożąc przeladowaniem i atakiem.

Usłyszał nieznaną męski głos, dochodzący z boksu po lewej. Przyklęknął, chwytając za dolną krawędź stalowej żaluzji, a głos kontynuował swobodną przemowę, tak jakby prowadził towarzyską konwersację. Uniósł rolowane drzwi kilka centymetrów, potem jeszcze wyżej, wstrzymując oddech w oczekiwaniu na nieuchronne stuknięcie czy szcęknięcie mechanizmu. Głos w środku nie przestawał jednak mówić. Jego właściciel najwyraźniej nic nie zauważył.

Victor schylił się, pod uniesionymi drzwiami przemknął do wnętrza boksu i wstał.

Natychmiast uderzył go zbyt słodki smród, kojarzący się z trucizną. Sama chemia. Szybko jednak zapomniał o nieprzyjemnej woni, kiedy dotarło do niego, na co patrzy.

Z boku znajdowała się taca z chirurgicznymi narzędziami, a mężczyzna w białym kitlu i lateksowych rękawiczkach upapranych krwią, stojący tyłem do Victora, pochylał się nad zaimprovizowanym stołem operacyjnym. Na nim leżał zaś przywiązany opaskami Eli.

Krew ciekła mu po bokach z kilkunastu płytkich nacięć.

A rany te się nie goiły!

Victor odchrząknął.

Doktor się nie przestraszył. Najwidoczniej pojawienie się Victora wcale go nie zaskoczyło. Odłożył skalpel i odwrócił się ku przybyszowi, odsłaniając chudą twarz z głęboko osadzonymi oczami za okrągłymi szklami okularów.

– Pan Victor Vale, jak sądzę?

– A pan to kto, do cholery?

– Nazywam się Haverty – powiedział mężczyzna. – Proszę wejść i...

Victor ścisnął dłoń w pięść. Doktor powinien był osunąć się na podłogę i zacząć wrzeszczeć, a przynajmniej zgiąć się wpół, jęcząc z bólu – ale nic podobnego się nie stało.

Haverty uśmiechnął się.

– ...zająć miejsce na widowni – dokończył.

Victor nie rozumiał, co się dzieje. Czyżby tamten również był PonadPrzeciętny, a jego moc dawała mu nietykliwość? Ale nie – Victor był w stanie wyczuć nerwy June, nawet jeśli nie miał na nie wpływu. Tutaj było inaczej. Kiedy sięgnął w głąb ciała doktora, nie czuł kompletnie nic. Tak jakby tamten w ogóle nie miał układu nerwowego. I nagle zdał sobie sprawę, że nie jest również w stanie poczuć własnych nerwów!

Zniknęła także groźna, wibrująca energia, zwiastująca nadciągający atak. Jego ciało było teraz... tylko ciałem.

Mięśnie, kości, skóra, narządy. Nic więcej.

– To dzięki mojemu gazowi – wyjaśnił doktor. – Coś wspaniałego, nieprawdaz? Technicznie rzecz biorąc, to oczywiście nie gaz, tylko rozpylona w powietrzu zawieszina tego samego tłumiącego PonadPrzeciętność serum, które właśnie testuję na panu Cardale'u.

Victor zauważył ruch za plecami doktora, jednak nie spuszczał z niego oczu. Gdyby Haverty się odwrócił, zauważyłby zapewne, jak palce Elia wyciągają się i wyginają, a potem odnajdują przy krawędzi zaimprovizowanego stołu skalpel, który tak nierozważnie odłożył eksperymentator. Haverty skupił się jednak na Victorze, przez co nie dostrzegł, że Eli właśnie się uwalnia.

– Czytałem pańskie akta – ciągnął doktor. – Przeczytałem wszystko na temat pana fascynującej mocy. Z rozkoszą obejrzałbym jej pokaz, ale – jak pan widzi – jestem właśnie w środku innego...

Odwrócił się, by wskazać gestem Elia leżącego na skrzyni, lecz PonadPrzeciętnego już tam nie było. Stał teraz tuż za doktorem, a skalpel w jego dłoni lśnił, odbijając zimny blask świetlówek.

Eli uderzył, ostrze rozcięło powietrze i po ułamku sekundy dotarło do gardła Haverty'ego. Lekarz zatoczył się w tył i złapał za szyję, lecz Eli zawsze miał pewną dłoń. Skalpel ciął celnie i głęboko, otwierając arterię i tchawicę. Haverty padł na kolana, otwierając i zamykając usta bezgłośnie jak ryba, a na betonie wokół niego zaczęła rozlewać się kałuża krwi.

– Za dużo gadał – powiedział krótko Eli.

Victor był świadom zarówno skalpela w jego dłoniach, jak i braku jakiegokolwiek broni we własnych. Jego wzrok powędrował ku tacy z narzędziami, na której leżało więcej skalpeli, piła do kości i chirurgiczne kleszcze.

Eli pchnął stopą ciało Haverty'ego i przewrócił konającego doktora na podłogę.

– Niech się smaży w piekle! – skomentował, a potem podniósł wzrok. – Victor – powiedział, po czym zamilkł na chwilę. – Powinieneś być pozostać martwy.

– Jakoś się nie złożyło.

Ponury uśmiech przemknął przez twarz Elia.

– Muszę przyznać, że nie wyglądasz najlepiej – ocenił, a jego palce zacisnęły się na skalpelu. – Ale nie przejmuj się, uwolnię cię od...

Victor skoczył ku tacy z narzędziami, lecz w tej samej chwili Eli stracił ją na podłogę.

Skalpele rozsypały się naokoło, jednak zanim Victor zdążył osiągnąć któregokolwiek, Eli złapał go wpół i powalił na ziemię. Chciał ciąć skalpelem zranione ramię Victora, ale ten w ostatniej chwili zdołał odepchnąć rękę napastnika i ostrze uderzyło w beton, krzesząc iskry.

Eli nie mógł się zregenerować. Victor nie mógł zadać mu bólu swoją zwykłą metodą. Nareszcie mieli równe szanse.

Guzik prawda. Eli wciąż był zbudowany jak dwudziestodwuletni rozgrywający. Victor był wychudłym trzydziestopięcioletkiem na skraju śmierci.

Eli w mgnieniu oka przycisnął łokciem gardło przeciwnika, który musiał wyteńczyć wszystkie siły, by jedną ręką powstrzymać ciosy skalpela, a drugą – miażdżący gardło ucisk.

– Zawsze na tym się kończy, no nie? – wysapał Eli. – Na nas dwóch. Na tym, co zrobiliśmy...

W tej chwili Victor kopnął go w poraniony brzuch; Eli odtoczył się na bok. Victor stanął chwiejnie na nogi, ślizgając się w kałuży krwi Haverty'ego. Złapał jedno z narzędzi leżących na podłodze, długi, cienki nóż, a wówczas Eli rzucił się na niego ponownie. Victor odsunął się o pół kroku i kopnął w kolano napastnika, który dla równowagi podparł się dłonią ze skalpelem. Wtedy Victor przydepnął ją i zamachnął się, próbując wbić nóż w pierś tamtego.

Eli podniósł jednak rękę w samą porę i ostrze pograżyło się w jego nadgarstku, przebijając go na wylot. Victor wrzasnął gardłowo, lecz kiedy spróbował wyciągnąć nóż, Eli złapał jego dłoń w żelazny uścisk i przekręcił tak, że tamten stracił równowagę i się przewrócił. Teraz Eli skoczył na przeciwnika z nożem w dłoni. Zamachnął się, by wbić go w pierś Victora, który wyrzucił ręce do góry i złapał go za przeguby. Mimo to śliski od krwi nóż stopniowo zbliżał się do torsu leżącego.

Eli górował nad nim, napierając na nóż całym ciężarem ciała. Ręce Victora drżały z wysiłku, ale ostrze cały czas się obniżało, aż jego czubek dotknął skóry na szyi.



Każdy koniec może być nowym początkiem, ale każdy początek musi mieć zakończenie.

Eli Ever doskonale to rozumiał, pochylając się nad starym przyjacielem.

Victor Vale, zmęczony, krwawiący, pozbawiony wszelkich atutów, powinien spocząć w grobie. Posłanie go do tego grobu było więc aktem łaski.

– Mój czas kiedyś nadejdzie – powiedział Eli, gdy koniec noża drasnął skórę Victora. – Ale twój nadszedł właśnie teraz. I tym razem upewnię się, że...

Jego słowa zginęły w ogłuszającym huku, który wstrząsnął pomieszczeniem.

Eli poczuł, jak z jego pleców rozlewa się na całe ciało ból, gorący niczym wulkaniczna lawa – i płynie przez całe ciało, sięgając coraz głębiej. Jego dłonie rozluźniły uścisk.

Victor leżał pod nim, ciężko dysząc, wciąż żywy, więc Eli próbował dokończyć to, co zaczął, lecz nóż zwiśł mu bezwładnie z palców. Nie czuł już, że go trzyma. Nie czuł nic poza ostrym bólem pod żebrami.

Spojrzał w dół i zobaczył wielką czerwoną płamę, która zakwitła mu na piersi.

Oddychał spazmatycznie, czując w ustach metaliczny smak, aż na mgnienie oka znalazł się na podłodze ciemnego pokoju w Lockland. Siedział w kałuży krwi i prosił Boga o odebranie mu mocy, kiedy nie będzie mu już potrzebna.

Podniósł wzrok znad dziury w ciele i zobaczył dziewczynę z platynowoblond włosami i dobrze znanymi, jasnoniebieskimi oczami, patrzącymi na niego nad łufą pistoletu.

Serena?

A potem upadł.

Umarł, zanim jeszcze dotknął podłogi.

XXII

OSTATNI WIECZÓR

BEZPIECZNI

Sydney stała u wejścia do boksu, wciąż trzymając oburącz broń.

Tuż za nią Dol zaskomlał cicho, kręcąc się nerwowo w miejscu, lecz dziewczynka stała z bronią wycelowaną w Elia, czekając, żeby wstał i odwrócił się ku niej, kiwając z politowaniem głową nad daremną próbą powstrzymania go.

Eli jednak nie wstał.

Za to Victor – owszem. Dźwignął się z trudem na nogi, przyciskając dłoń do płytkiej ranki na szyi, i powiedział:

– On nie żyje.

W jego słowach zabrzmiało zdumienie, tak jakby stało się coś niemożliwego. Sam Victor wydawał się w to wątpić, a co dopiero Sydney. Eli był przecież wieczny. Nieśmiertelny duch, potwór, który nawiedzał ją w każdym koszmarze, co roku, prześladując ją w snach, dopóki nie pozostawał jej już nikt do pomocy ani żadne bezpieczne schronienie.

Jak to, Eli Ever umarł?

Nie mógł.

Tymczasem leżał na betonowej posadzce przed nią – nieruchomy i bez życia. Strzeliła mu w plecy jeszcze dwa razy, dla pewności. Potem jednak Victor stanął u jej boku, delikatnie wyjmując jej broń z pobielających palców, powtarzając powoli, z naciskiem:

– On nie żyje.

Sydney podniosła wzrok znad ciała i przyjrzała się Victorowi. Z jego szyi ciekła cieniutka strużka krwi, w ramieniu miał dziurę, a drugą rękę przyciskał do żeber.

– Jesteś ranny!

– Tak – przyznał. – Ale żyję.

W pobliżu trzasnęły drzwi samochodu i Victor znieruchomiał.

– To PION – mruknął i zasłonił Sydney, kiedy w korytarzu zabrzmiał odgłos kroków. Dol jednak tylko patrzył i czekał, a kiedy rolowane drzwi uniosły się do samej góry, pojawili się nie żołnierze w czarnych mundurach, a Mitch.

Ogarnął wzrokiem scenę w boksie i zbladł jak ściana: improwizowany stół operacyjny, ciała na podłodze, obrażenia Victora, pistolet w dłoni Sydney.

– PION depcze mi po piętach – powiedział pospiesznie. – Musimy się stąd zbierać, i to już.

Sydney ruszyła naprzód, lecz Victor nie podążył za nią. Uwiesiła mu się na ramieniu i natychmiast poczuła wyrzuty sumienia na widok bólu na jego twarzy. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że spora część krwi na podłodze musiała pochodzić z jego żył.

– Możesz iść? – zapytała błagalnie.

– Ty przodem – odparł sztywno.

– Nie – zaoponowała. – Nie rozdzielamy się!

Victor odwrócił się i krzywiąc twarz, ukląkł przed nią.

– Mam tu jeszcze coś do zrobienia – powiedział. Sydney kręciła już głową, ale położył jej dłoń na policzku gestem tak dziwnym i delikatnym, że na chwilę przestała czuć chłód. – Syd. Popatrz na mnie.

Spojrzała mu prosto w oczy. Po wszystkim, co przeszli, nadal czuła się przy nim bezpiecznie – jak w rodzinnym domu.

– Muszę to zrobić, ale dołączę do was, jak tylko to załatwię.

– Gdzie?

– Tam, gdzie cię znalazłem.

Miejsce to zapadło głęboko w pamięć Sydney. Odcinek międzystanowej drogi, spory kawałek od miasta. Drogowskaz z napisem „Merit – 37 km”.

– Spotkamy się o północy.

– Przyrzekasz?

Victor wytrzymał jej spojrzenie.

– Przyrzekam.

Sydney zorientowała się, że kłamie. Zawsze wiedziała, kiedy kłamał.

Zdawała sobie również sprawę z tego, że nie jest w stanie go powstrzymać. To się nie mogło udać. Dlatego skinęła głową i wyszła za Mitchem.



Victorowi nie zostało wiele czasu.

Zaczekał, aż Mitch i Sydney wyjdą z magazynu, a potem wrócił do boksu. Ból utrudniał mu skupienie uwagi na celu, mimo to powłókł się ciężale ku laboratorium Haverty’ego, obchodząc z dala ciało Elia.

Przyciągało jego wzrok niczym magnes, ale zmusił się, by nie patrzeć na nie ani nie myśleć, co to oznacza: Eli Cardale był rzeczywiście, nieodwołalnie martwy. Pod pewnym względem ta świadomość wytrąciła Victora z równowagi. Ostatecznie stracił przeciwwagę – godnego przeciwnika.

Przeciwna mu, lecz równie potężna siła została usunięta.

Dlatego skupił się teraz na rzeczach Haverty’ego.

Exodus

PO WSZYSTKIM APARTAMENT STELLA

Victor przesunął palcami po ekranie swojego telefonu.

23.45.

Kwadrans do północy, a on jeszcze nie wyjechał z miasta.

Rozsiadł się wygodnie w starym fotelu, dostrajając własne nerwy, sprawdzając ich wytrzymałość. Serum Haverty'ego przestało działać jakiś czas temu; poczuł się wtedy tak, jakby do zdrewniałej kończyny wracało mu krążenie. Nerwy na początku dość ostro mrowiły, ale po chwili znów zaczął je kontrolować.

Wraz z powrotem mocy wróciło także brzęczenie w głowie i trzaski wyładowań – początek kolejnego ataku... ale tylko początek. To było dziwne: zanim wszedł do magazynu, znajoma vibracja ogarnęła już całe jego ciało, a od kolejnego kryzysu dzieliły go minuty. Kiedy inhibitor Haverty'ego stłumił jego moc, odsunął w czasie także sam napad. Zresetował układ nerwowy Victora, sprawił, że czas do ataku zaczął odliczać od początku.

Wyciągnął z kieszeni płaszczka fiołkę, jedną z sześciu, jakie zabrał z laboratorium doktora. W środku znajdował się jaskrawoniebieski płyn, świecący fluorescencyjnym blaskiem w ciemności pustego mieszkania.

Płyn stanowił skrajne rozwiązanie, ale jednocześnie dawał mu pewną nadzieję.

Musiał stosować to lekarstwo świadomie – za każdym razem, kiedy go użyje, oddali od siebie śmierć w zamian za pewien okres bez mocy, kiedy będzie wystawiony na ciosy. W związku z tym zaczął już planować pewne posunięcia.

Być może znajdzie odpowiednią dawkę, która zapewni mu spokój. To „być może” oznaczało jednak o wiele więcej, niż zdołał osiągnąć, zanim odkrył tajemnicę Haverty'ego.

Ekran telefonu rozjarzył się – wyciszył sygnał, ale nadal można się było do niego dozwonić. Na wyświetlaczu widniał znajomy numer.

Sydney.

Victor nie odebrał połączenia. Patrzył na ekran, aż ten zgasł, a potem wsunął telefon do kieszeni. Usłyszał za drzwiami nierówne kroki i kilka sekund później w zamku zachrobotał klucz. Stell wszedł do mieszkania, utykając, z jedną stopą w gipsie. Wrzucił klucze do miski, nie włączając światła, powłókł się do kuchni i nalał sobie drinka.

Po czym znieruchomiał ze szklanką w pół drogi do ust, kiedy zdał sobie sprawę, że nie jest sam. Ostrożnie odstawił drinka.

– Victor.

Trzeba przyznać, że nie zawahał się ani chwili – po prostu wyciągnął pistolet i wycelował go w głowę Victora... a przynajmniej chciał to zrobić, ale PonadPrzeciętny unieruchomił jego dłoń.

Stell wykrzywił się, walcząc z niewidzialną siłą powstrzymującą jego palce, ale w tej walce liczyła się siła woli, a tu Victor zawsze miał przewagę.

Podniósł teraz dłoń, obrócił ją, a dyrektor powtórzył jego ruch niczym marionetka, aż lufa znalazła się przy jego głowie.

– To się nie musi tak skończyć – wykrztusił Stell.

– Dwa razy zamknąłeś mnie w klatce – powiedział Victor. – Nie pozwolę, żebyś zrobił to po raz trzeci.

– Co ci da moja śmierć? Nie zatrzymasz PION-u. Ta organizacja jest czymś więcej niż ja sam i rośnie z każdym dniem.

– Wiem – odparł Victor, powoli zginając palec; swój i Stella.

– Do ciężkiej cholery, posłuchaj! Jeżeli mnie zabijesz, PION ogłosi cię wrogiem publicznym numer jeden i swoim głównym celem. Nie spoczna, zanim cię nie zatrzymają!

Victor uśmiechnął się posępnie.

– To też wiem.

I ścisnął dłoń w pięść.

Huk strzału rozorał powietrze. Ręka Victora opadła bezwładnie, a ciało Stella zważyło się na podłogę.

PonadPrzeciętny wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić. A potem wyciągnął z kieszeni kawałek papieru. Strona, wyrwana z podniszczonej książki, w której wykreślił na czarno większość tekstu, opuszczając tylko cztery słowa, które ułożyły się w wyzwanie:

„Złap mnie, jeśli potrafisz”.

I wyszedł, zostawiając otwarte drzwi.

Kiedy znalazł się na zewnątrz, w ciemności, wyciągnął z kieszeni telefon. Urządzenie znów wibrowało, a na wyświetlaczu ponownie widniało imię Sydney, białymi literami na ciemnym tle. Victor wyłączył telefon i wrzucił go do najbliższego kubła na śmieci.

Po czym postawił kołnierz płaszcza i odszedł w noc.

II

PO WSZYSTKIM W POBLIŻU MERIT

Sydney przycisnęła telefon do ucha, słuchając kolejnych sygnałów, aż ucichły, odezwał się nagrany komunikat poczty głosowej, a po nim długi pisk.

Minął już kwadrans po północy, tymczasem w pobliżu nadal nie było śladu Victora. Samochód stał z włączonym silnikiem tuż za drogowskazem – „Merit – 37 km”. Mitch za kierownicą czekał w napięciu na przyjaciela, a Dol wychylał łeb przez tylne okno.

Sydney jeszcze raz przeszła kawałek po trawiastym poboczu i po raz ostatni próbowała zadzwonić do Victora.

Tym razem od razu włączyła się poczta głosowa.

Dziewczynka przerwała połączenie i już miała napisać esemesa do June, kiedy przypomniała sobie, że nie ma przecież swojego telefonu. Oznaczało to, że nie zna numeru do June. A nawet gdyby...

Schowała zapasową komórkę do kieszeni i usłyszała, że drzwi samochodu się otwierają, a potem Mitch zmierza ku niej ciężkimi krokami.

– Hej, dzieciaku – odezwał się do niej delikatnie, tak jakby obawiał się zdradzić jej prawdę. Sydney wiedziała jednak, co jest grane. Victor odszedł. Popatrzyła na odległą panoramę Merit i wetknęła ręce do kieszeni kurtki, wyczuwając w jednej z nich kości siostry, a w drugiej – pistolet.

– Czas jechać dalej – powiedziała, wracając do samochodu.

Mitch dodał gazu i wrócił na szosę. Rozciągała się przed nimi, płaska, równa i nieskończona – niemal jak tafła zamrożonego jeziora w nocy.

Sydney oparła się pokusie zerknięcia za siebie.

Victor mógł sobie odejść, ale wciąż pozostawała pomiędzy nimi nić, zaplątana między życiem a śmiercią. Doprowadziła Sydney do niego już wcześniej, więc mogła doprowadzić po raz kolejny – w przyszłości.

Nieważne, jak długo albo jak daleko będzie go musiała szukać. Prędzej czy później go znajdzie.

Jeżeli Sydney miała czegoś pod dostatkiem – to właśnie czasu.

III

PO WSZYSTKIM

PION

Holtz zadrzał, nie na widok trupa na stalowym stole, ale z zimna.

W kostnicy panowała lodowata atmosfera.

– Teraz nie wygląda już na takiego ostrego zawodnika – wymamrotała Briggs, a z jej ust uniosła się chmura pary.

To była prawda.

Leżąc tam w zimnym, białym świetle, Eliot Cardale wydawał się... młodziutki. Wcześniej jego rzeczywisty wiek można było poznać tylko po oczach, bezlitosnych jak u rekina. Teraz jednak były zamknięte i Cardale wyglądał nie jak PonadPrzeciętny seryjny zabójca, a całkiem jak młodszy brat Holtza.

Żołnierz PION-u zastanawiał się zawsze nad tym, co dzieliło ciało żywego człowieka od zwłok. Nad chwilą, w której inni ludzie przestawali traktować kogoś jak osobę, a zaczęli – jak przedmiot. Eliot Cardale wciąż wyglądał jak osoba, mimo przeraźliwie białej skóry i krwawo połyskujących ran postrzałowych – małych, ciemnych dziur z nierównymi brzegami.

Nikt nie wiedział, jak Haverty zdołał zrobić z Elia zwykłego człowieka – a w każdym razie śmiertelnika. Nie wiedzieli również, kto zastrzelił Cardale'a ani kto zabił byłego pracownika PION-u, chociaż wszyscy zakładali, że zrobił to Victor Vale.

– Holtz! – warknęła Briggs. – Dupa prawie mi odmarzła, a ty gapisz się na trupa jak sroka w gnat.

– Przepraszam – odparł, wypuszczając z ust białe kłęby. – Zamyśliłem się.

– No to przestań myśleć – powiedziała dobitnie – i pomóż mi go załadować.

Razem wmanewrowali ciało Cardale'a do głębokiej stalowej szuflady, jednej z chłodni stojących rzędem w piwnicach budynku PION-u. Składano tam na czas nieokreślony doczesne szczątki zmarłych osób PP.

– Jeden z głowy – oznajmiła Briggs, odnotowując ten fakt na formularzu. – Następny w kolejce.

Wzrok Holtza spoczął na drugich zwłokach, czekających cierpliwie na własną stalową szufladę.

Rusher.

Unikał patrzenia na starego kompana tak długo, jak się dało. Nie tylko ze względu na rany po pociskach, które odznaczały się świeżo na tle starych blizn, ale również dlatego, że nie mógł uwierzyć własnym oczom. Przecież Dominik tyle przeszedł! Służyli razem w armii przez cztery lata, a potem pracowali tutaj przez kolejne trzy.

Przez cały ten czas Holtz ani razu nawet nie pomyślał, kim stał się Rusher.

Rios zawsze mówiła im, żeby niczego pochopnie nie zakładali. „Jeżeli coś człapie jak kaczka, kwacze jak kaczka i śmierdzi jak kaczka, to zapewne będzie to kaczka, ale w przypadku PonadPrzeciętnych to tak nie działa”.

Mimo wszystko jednak...

– To szaleństwo, nie? – wymamrotał. – Na samą myśl zaczynasz się zastanawiać, ilu ich chodzi po świecie. A ilu jest tutaj? Gdybym był PP, wierz mi, że unikałbym PION-u jak

ognia!

Ale Briggs nie słuchała. Nie winił jej za to.

PION funkcjonował w stanie podwyższonej gotowości. Dość szybko udało się przeprowadzić awaryjne zamknięcie jednostki, ale w trakcie tego procesu i tak stracono czworo PonadPrzeciętnych; teraz jedna trzecia żołnierzy przebywała w szpitalu, a pięcioro nie żyło. Misja podczas gali w Starym Sądzie była całkowitą klęską: zmarł pierwszy schwytyany przez PION nieśmiertelny PonadPrzeciętny, prawdopodobnie podczas eksperymentu prowadzonego przez eksppracownika tej instytucji, a do tego dyrektor nawet nie pofatygował się dzisiaj do pracy.

W tej sytuacji Holtz uznał, że musi wychylić parę głębszych.

Briggs szczerle zamknęła drzwi do kostnicy. Wspięli się po schodach do głównej części budynku.

Holtz przeszedł przez kontrolę bezpieczeństwa i opuścił budynek, szczęśliwy, że jego zmiana dobiegła końca.

Jego samochód czekał na parkingu dla pracowników. Ten smukły, żółty roadster nie jeździł tak jak inne samochody, ale poruszał się po drogach z niemal zwierzęcą gracją: skradał się, warczał, grzmiał i mruczał. Koledzy z PION-u uwielbiali opieprzać Holtza za wybór takiego modelu. On jednak od odejścia z wojska pożył dwóch rzeczy – szybkich samochodów i ładnych dziewczyn – i był skłonny płacić tylko za te pierwsze.

Wsiadł za kierownicę. Silnik przyjemnie zawył, kiedy nacisnął pedał gazu, próbując otrząsnąć się z chłodu kostnicy – i wstrząsu, jaki przeżył w ciągu poprzedniej doby. Kiedy wyjeżdżał przez bramę, podkreślił głośność radia, próbując zagłuszyć nieprzyjemny odgłos opon na zwirowej nawierzchni. Pokręcił z niesmakiem głową – PION powinno być przecież stać na porządne wyasfaltowanie dojazdu, ale najwyraźniej kierownictwo nie chciało przyciągać postronnych kierowców. Dla każdego normalnego cywila wjazd na zwirową drogę był sygnałem, że lepiej zawrócić.

A mimo to niektórzy ludzie nie łapali sugestii. „Tak jak ten dupek”, pomyślał Holtz, patrząc naprzód.

Na poboczu parkował samochód, niskie czarne coupe z włączonymi światłami stopu i podniesioną maską.

Holtz zwolnił, zastanawiając się, czy nie zgłosić tego incydentu, ale wówczas zobaczył dziewczynę. Stała pochylona nad silnikiem, a kiedy podjechał do jej auta, wyprostowała się, pocierając czoło.

Blond włosy. Czerwona szminka na ustach. Ciasno opięte dzinsy.

Opuścił szybę w oknie.

– To prywatny teren – ostrzegł. – Obawiam się, że nie może tu pani parkować.

– Nie chciałam przecież – odparła. – Ta głupia gabłota stanęła i zdechła!

Holtz dosłyszał w jej głosie śpiewny akcent. Rany, ale mu się spodobał!

– A do tego oczywiście – ciągnęła dziewczyna, kopiąc w oponę – gównno się znam na samochodach.

Holtz spojrział na niską czarną bestię.

– Niezła bryka jak na kogoś, kto się na tym gównno zna.

Odpowiedziała mu oszałamiającym uśmiechem, prezentując dołeczki w policzkach.

– Cóż mam powiedzieć? – zapytała śpiewnie. – Mam słabość do fajnych rzeczy – dodała, odgarniając włosy. – Może mi pan pomóc?

Holtz również gównno się znał na samochodach – to znaczy niewiele – ale nie miał zamiaru tego przyznawać. Wsiadł, podwinął rękawy i podszedł do silnika. Konstrukcja skojarzyła mu się z ćwiczebnymi bombami, które musiał rozbijać w ramach podstawowego szkolenia.

Kręcił, popychał tu i tam, mrucząc pod nosem, a dziewczyna stała przy nim, pachnąc latem i słońcem, aż w pewnej chwili cudownym zrządzeniem losu jej palce musnęły jakiś przewód i Holtz zdał sobie sprawę, że to właśnie ten wężyk zsunął się z zaworka. Podłączył go ponownie.

– Proszę spróbować zapalić – zaproponował i chwilę później silnik czarnego samochodu zbudził się z rykiem do życia. Dziewczyna wydała radosny okrzyk.

Holtz z poczuciem triumfu zamknął maskę.

– Mój bohaterze! – powiedziała z udawaną szczerością, ale prawdziwym uczuciem. Zaczęła grzebać w portfelu. – Proszę, zaraz panu zapłacę...

– Ależ nie musi pani! – wykrzyknął.

– Uratował mnie pan – powiedziała. – Musi być jakiś sposób, żebym się odwdzięczyła.

Holtz się zawahał. Nie miał szans u takiej laski, ale co tam, pieprzyć szanse.

– Może mi pani pozwolić postawić sobie drinka.

Wstrzymał oddech, oczekując natychmiastowej odmowy, więc nie był ani trochę zaskoczony, kiedy pokręciła głową.

– O nie – oznajmiła. – Tak się nie będziemy bawić. To ja postawię drinka panu!

Holtz wyszczerzył się w uśmiechu jak idiota.

Zabrałby ją na tego drinka właśnie teraz, zostawiając czarne coupe na poboczu prywatnej drogi, i pojechał, gdziekolwiekby miała ochotę, ale przeprosiła go – przez awarię była już cholernie spóźniona – i zapytała, czy zgodziłby się przełożyć spotkanie na później.

Jutro wieczorem?

Zgodził się.

Wyciągnęła dłoń wnętrzem ku górze.

– Ma pan telefon?

Podał jej komórkę, rumieniąc się lekko, kiedy jej palce musnęły jego skórę dotykiem lekkim jak piórko, lecz elektryzującym. Dodała imię i numer do kontaktów i zwróciła mu urządzenie.

– W takim razie jutro? – zapytała, odwracając się do swojego samochodu.

– W takim razie jutro... – powtórzył jak echo Holtz, zerkając na ekran telefonu – ... April.

Spojrzała na niego spod gęstych rzęs i puściła oko. Holtz wsiadł do swojego żółtego roadstera i odjechał, wpatrując się w April, widoczną we wstecznym lusterku. Spodziewał się, że zniknie jak jakiś miraż, ale cały czas tam była. Czasami życie bywało dziwne – i piękne.

A jutro był umówiony na randkę ze śliczną dziewczyną.



June patrzyła, jak żółty samochód znika w oddali.

„Idiota”, pomyślała, ruszając drogą, tym razem na piechotę.

Kiedy dotarła do bramy PION-u, wyglądała pod każdym względem jak Benjamin Holtz, agent Wydziału Obserwacji i Zatrzymań, lat dwadzieścia siedem, który uwielbiał swojego

młodsze go brata, nie znośił ojczyzna i wciąż miał koszmary związane z tym, co widział w trakcie służby wojskowej poza granicami kraju.

– A cóż to? – zapytał strażnik przy bramie, wychodząc z dyżurki.

– Głupi złom się rozkraczył – wymamrotała, próbując jak najlepiej naśladować akcent z północnego wschodu, z jakim mówił Holtz.

– Ha! – ucieszył się strażnik. – Tak się właśnie dzieje, kiedy wybierzesz styl zamiast niezawodności!

– Taa, wiem – odparła June.

– Tak naprawdę potrzebujesz dobrego sedana ze środkowej półki...

– Ej, ale weź mnie już wpuść, to skołuję furgonetkę i parę kabli, wezmę dupę w troki i spróbuję naprawić tego rżęcha.

Brama otworzyła się i June przeszła przez nią. Bułka z masłem. Pokonała parking i gwizdnęła cicho na widok frontowych drzwi. Wyglądały, jakby ktoś z impetem wjechał w nie samochodem. Wewnątrz żołnierz podniósł wzrok znad monitora maszyny skanującej.

– Już jesteś z powrotem? – zapytał, wstając zza biurka.

– Zostawiłem gdzieś portfel.

– Daleko bez niego nie zajedziesz.

– No nie mów!

Takie codzienne pogaduszki były formą sztuki, jedną z tych rzeczy, dzięki którym ludzie przyjmowali kamuflaż June za dobrą monetę. Gdyby milczała, zaczęliby się zastanawiać dlaczego. Ale wystarczyło podtrzymać rozmowę o niczym i nikt nic nie zauważał.

– Znasz procedurę – powiedział tamten.

No cóż, June właśnie jej nie znała. Takie rzeczy należały do codziennych drobiazgów, które rzadko była w stanie uchwycić dotykem. Improvizując, weszła do komory skanera i czekała.

– Daj spokój, Holtz – odezwał się żołnierz. – Nie rób mi problemu. Ramiona do góry!

Przewróciła oczami, ale uniosła ręce. Czuła się tak, jakby stała we wnętrzu kserokopiarki. Promień jasnego światła przesunął się po niej od głowy do stóp, a po nim rozległ się krótki dźwięk.

– W porządku – usłyszała.

June zasalutowała swobodnym gestem i ruszyła korytarzem. Musiała znaleźć komputer. W tak wyposażonym, nowoczesnym budynku powinno to być łatwe, ale wszystkie korytarze wyglądały podobnie, ba, wręcz identycznie. A w każdym identycznym korytarzu znajdowało się jeszcze więcej identycznych drzwi. Tylko nieliczne miały jakieś oznaczenia. Im dalej June zapuszczała się w ten labirynt, tym dłuższą drogę miała do pokonania przy wyjściu. Dlatego wybrała najprostsze rozwiązanie, kierując się w stronę najbliższych drzwi. Kiedy była w połowie drogi, otworzyły się. Wysza z nich agentka, która spojrzała na Holtza i przewróciła oczami.

– Zapomniałeś czegoś?

– Jak zwykle – mruknęła June. Nie przyspieszyła kroku, ale zdążyła złapać drzwi, zanim się zamknęły. Wślizgnęła się do wnętrza i znalazła w małym pokoju z czterema komputerowymi terminalami. Tylko jeden z nich był zajęty.

– Nareszcie! – odezwał się siedzący przy nim żołnierz. – Od godziny chce mi się łać...

Zaczął odwracać się ku June, ale była już za nim, zakładając mu duszący chwyt ramieniem. Przywoździła go do fotela, nie pozwalając mówić ani krzyczeć o pomoc. Wygiął się, walcząc z jej uściskiem, próbując okładać ją pięściami, ale nieskutecznie – wzięła go z zaskoczenia, do tego zaczął czuć również skutki braku tlenu. Ponadto Benjamin Holtz nie był słabeuszem, a June zabiła już w życiu niejednego silnego faceta. Żołnierz zdołał chwycić długopis i dźgnąć nim napastnika w udo, ale oczywiście nie było to udo June.

„Przepraszam, Ben”, pomyślała, zaciskając ramię mocniej.

Po chwili przeciwnik przestał walczyć. Zwiśł bezwładnie na fotelu, a wtedy go puściła, odsuwając jego fotel, tak by mieć dostęp do komputera. Nuciała pod nosem, gdy jej palce śmigły po klawiaturze.

Musiała oddać PION-owi jedno: ich system z pewnością był przyjazny użytkownikowi. Pół minuty po wejściu znalazła pliki, których szukała. Oznaczone były etykietą: „Pseudonim: June”. Przejrzała pobieżnie ich zawartość, ciekawa, co znaleźli na jej temat. Nie było tego wiele, ale dość, by jej wycieczka do PION-u była uzasadniona.

– No to pa – wyszeptwała, kasując pliki (i wszelkie dane na swój temat) z systemu.

Po czym wyszła tą samą drogą, którą tu przybyła. Korytarzem do hallu, przez kontrolę bezpieczeństwa, drzwi i bramę, z powrotem do czekającego czarnego coupe. Otworzyła drzwi i wsiadła za kierownicę, przybierając własną postać.

Nie długonogiej brunetki ani chudej nastolatki – ani żadnej z tuzina postaci, w które ostatnio się wcielala – ale dziewczyny o urodzie elfa, rudawych lokach i piegach na trójkątnej buzi.

Przez chwilę siedziała w tym ciele, oddychając własnymi płucami i oglądając świat własnymi oczami, tak dla przypomnienia, jak to jest. Potem przekręciła kluczyk i zapaliła silnik, zmieniając się dla bezpieczeństwa w kogoś innego. Osobę, której nikt się bacznie nie przygląda, taką, która niknie w tłumie.

Spojrzała we wsteczne lusterko, sprawdziła swoją nową twarz i odjechała.

I jeszcze...

WIADOMOŚĆ OD VICTORA VALE'A

WARSZTAT, 15 KM OD HALLOWAY

Victor
obszernie obserwował, jak jego nadnaturalny talent
wylącza.
napięcie
w klatce piersiowej
a jego dłoń chwyciła
pistolet

Przewróć stronę, a znajdziesz jeszcze jedną
opowieść osadzoną w uniwersum Złoczyńców.

PŁASZCZYZNA POROZUMIENIA

4 LATA WCZEŚNIEJ

RUINY MIASTA

To była rutynowa misja.

A w każdym razie tak rutynowa, jak mogła być misja w strefie działań wojennych.

Rios poprawiła kamizelkę, przetadowała broń, a tymczasem reszta jej oddziału zgłaszała się przez radio.

„Fallon, na pozycji”.

„Mendez, na pozycji”.

„Jackson, na pozycji”.

Ich głosy brzmiały zbyt głośno, a wieczór był zdecydowanie za spokojny. Ostrzał artyleryjski zakończono kilka godzin wcześniej, a teraz wysłano na zwiady jej zespół, nie po to, by ewakuować cywilów albo ustalić pozycje wycofujących się powstańców, ale by przeszukać jeden z większych domów, znany jako siedziba terrorystów, i przejąć wszystko, co się da – broń lub cenne informacje.

– Rios, na pozycji – powiedziała.

W jej przypadku pozycja oznaczała boczne wejście do domu.

Trzypiętrowy budynek wydawał się niemal nietknięty, mimo tygodnia intensywnego bombardowania. Nietknięty, ale pusty. Tego samego dnia, tylko nieco wcześniej, zwiadowczy dron nagrał ewakuację powstańców.

Pchnęła drzwi. Promień celownika kolimatorowego jej karabinu przeciął ciemność. Przez radio usłyszała, jak pozostała trójka również wkracza do wnętrza, obierając wcześniej ustalone trasy.

Rios weszła na pierwsze piętro i po kolei penetrowała pokoje. Kamera na jej hełmie nagrywała pozostałości map przytwierdzone do ścian i papiery na niskim drewnianym stoliku. Niemal zakończyła obchód, gdy usłyszała ten dźwięk.

Donośny gwizd.

Rozdzierał powietrze, brząc coraz głośniej i głośniej. Rios doskonale wiedziała, co oznacza ten hałas. Wszyscy żołnierze to wiedzieli.

– Padnij! – wrzasnęła na moment przed uderzeniem pocisku.

Świat zakolysał się gwałtownie, a siła wybuchu cisnęła Rios na bok. W uszach jej dzwoniło. Przetoczyła się na plecy. Eksplozja zniszczyła najwyższą kondygnację budynku i zawałiła pozostałości drugiego piętra na pierwsze.

Prosto na nią.

Spróbowała z powrotem wstać, kiedy runął sufit, obsypując ją gradem kamieni i drewna. Rzuciła się pod stół, lecz drewniany blat trzasnął i ustąpił. Miażdżący ciężar przycisnął ją do podłogi. Przez dłuższą chwilę cały świat wydawał się walić w gruzy.

A potem wszystko ucichło.

Rios próbowała się poruszyć, ale nie była w stanie. Osłonę hełmu wraz z optyką strzaskał jej gruz, kończyny utknęły pod stołem, przygniatanym przez szczątki wyższego piętra. Masa kamieni i drewna stopniowo miażdżyła jej żebra. Spróbowała zaczerpnąć oddechu, lecz płuca pracowały z coraz większym wysiłkiem, a w powietrzu unosił się pył, więc zaczęła się dławić i kaszleć. Czuła się tak, jakby tonęła.

Dzwonienie w uszach ucichło, zastąpione przez jednostajny szum radia.

– Fallon, zgłoś się! – wydyszała.

Nic.

– Jackson!

Cisza.

– Mendez?

Żadnego odzewu.

Konstrukcja wokół niej przeciągle jęknęła i zatrzęsła się. Musiała się stąd wydostać, uwolnić spod zwałów gruzu, zanim cały budynek się zawali, ale nie mogła się ruszyć. Nie mogła złapać oddechu.

Przez popękany wizjer widziała, jak gruz się przemieszcza, kamienie osuwają się ze stosu, kiedy dom wokół niej się chwiał. Zaciśnęła mocno powieki i spróbowała przepchnąć stół, wraz z kamieniami i resztą gruzu, usiłując pomóc sobie siłą woli, błagając w myślach, by przygniatający ją ciężar ustąpił. Spróbowała jeszcze raz, resztką sił, na ostatnim oddechu... ale to nie wystarczyło. Kamienie się nie poruszyły, a stół nie przesunął. Jej płuca krzyczały o tlen, po chwili zniknął nawet ból. Poczuli, że osuwa się w ciemność, powoli zamykającą się wokół niej.

A potem...

Rios spadała.

Metr, półtora, trzy – aż uderzyła w podłogę dość twarde, by je wyczuć.

Podłoga pod nią musiała w końcu się zawalić. Wyrzuciła ramiona w górę, próbując się osłonić przed gruzem, ale nic nie spadło, a kiedy spojrzała w górę, zobaczyła nietknięty sufit. W takim razie... jak się tutaj znalazła? I co to było za „tutaj”? Odwróciła głowę i zdała sobie sprawę, że jest w piwnicy.

– Wstawaj, dziewczyno! – powiedziała sama do siebie.

Podniosła się. Tak ją zabolalo, że niemal upadła z powrotem, ale jednak nie, teraz, kiedy już stała, miała zamiar tak pozostać. Z wysiłkiem dowlokła się do drewnianych schodów w rogu pomieszczenia, schodami na górę, aż do wyjścia u ich szczytu. Pchnęła drzwi.

Ustąpiły na centymetr, po czym zatrzymały się, zablokowane z drugiej strony przez gruz.

Rios warknęła, po czym rzuciła się na nie z całej siły... a przynajmniej spróbowała. Jej poranione ciało nie uderzyło w drzewo, zamiast tego potknęła się i przewróciła. Stała teraz na czworaka w niewielkim stosie gruzu. Za jej plecami znajdowały się drzwi, wciąż zablokowane.

– Co tu się, kur...

Na zewnątrz rozległy się okrzyki, więc Rios stanęła prosto, mając nadzieję, że to Jackson, Mendez albo Fallon, ale głosy dochodziły spoza budynku. Odkrzyknęła im ochryple, a płuca zabolaly ją od wysiłku.

Uprzątnięcie ruin zabrało im dwa dni. Jackson i Mendez nie żyli. Fallon przeżył, znaleziono go nieprzytomnego. A Rios... Rios wyszła stamtąd o własnych siłach. Poobijana, połamana, ale żywa.

Problem polegał na tym, że nie wiedziała jak.



W zasadzie wyszła stamtąd półżywa.

Ze wstrząsem mózgu, pięcioma złamanymi żebrami i siedmioma złamaniami przeciążeniowymi w innych miejscach. Kiedy próbowała się ruszyć – bolało, kiedy oddychała – bolało, kiedy zbyt intensywnie myślała nad tym wszystkim – również zaczynała ją boleć, więc starała się unikać tych trzech czynności. Zapewne dlatego dopiero po paru dniach zdała sobie sprawę, że coś tu jest nie tak. Nie z nią; w tej kwestii zorientowała się dość szybko – ale ze szpitala.

Została przetransportowana drogą powietrzną do szpitala wojskowego, a przynajmniej tak właśnie zakładała. Kiedy jednak najsilniejsze środki przeciwbólowe przestały działać i mogła rozejrzeć się naokoło już w miarę przytomnie, doszła do wniosku, że to jakaś przywatna placówka. Za dużo lekarzy, za mało pacjentów.

„Powinam była skłamać”, pomyślała.

– Weszłaś na pierwsze piętro – powiedział sierżant. – Jak się wydostałaś?

Rios była półprzytomna z bólu, a zarazem odrętwiała ze względu na wstrząs pourazowy. Mimo to nie była pewna, czy powiedzieć mu prawdę, bo doskonale wiedziała, że zabrzmi to jak szaleństwo. Jednak kłamstwo zawsze wychodziło jej nieprzekonująco, a poza tym nie miało znaczenia, czy jej uwierzą, czy też nie – mogła im przecież pokazać, jak to działa.

Tak przynajmniej myślała.

Właściwie to nie wiedziała, czy ta sztuczka, czymkolwiek była, uda jej się ponownie. Nie wiedziała, jak włączać i wyłączać tę umiejętność, jak sprawić, żeby powierzchnia raz była twarda i solidna, a raz – przepuściła ją jak powietrze. Okazało się jednak w końcu, że nie musiała robić tego świadomie. Sztuczka wychodziła jej zawsze.

Dlatego pokazała to sierżantowi, przekładając rękę przez karoserię najbliższej wojskowej ciężarówki, a on wybałuszył oczy i otworzył usta.

Nie pamiętała zbyt wiele z tego, co wydarzyło się potem.

– Pani kapral Rios.

Podniosła wzrok i zobaczyła w drzwiach sali mężczyznę o szpakowatych włosach i zmęczonych oczach.

– Jestem dyrektorem tej placówki – przedstawił się. – Nazywam się Mark Stell.

Rios z trudem usiadła.

Zabandażowali jej zebra bardzo ciasno, więc czuła się niemal tak samo jak pod ciężarem gruzu.

– Proszę się zbytnio nie wysilać – powiedział Stell. Rozejrzał się po sali, ale nie było tu żadnych krzeseł dla gości, więc stanął nad łóżkiem. – Ma pani szczęście, że żyje, pani kapral.

– Tak mi cały czas mówią.

Rzucił jej znaczące spojrzenie.

– Myśli pani, że to coś więcej niż szczęście?

Rios nie odpowiedziała. To pytanie nie było tylko grzecznościowe. Jej rozmówca doskonale wiedział, o co mu chodzi. Wiedział, co powiedziała sierżantowi – i co mu pokazała.

– Czy wie pani, gdzie się znajdujemy? – naciskał Stell.

– Widzę, że to nie jest normalny wojskowy szpital – odparła, a on nie zaprzeczył.

Skinął głową i się rozejrzał.

– To miejsce dla takich jak pani.

– Dla żołnierzy?

– Dla osób PP.

Wypowiedział ten skrót tak, jakby coś znaczył, ale dla niej nie znaczył nic. Stell musiał zauważyć jej zmieszanie, bo kontynuował:

– Taka moc, pani kapral, to broń. Doskonale pani wie, jaka może być niebezpieczna. Moje zadanie polega na dopilnowaniu, żeby ta broń nikogo nie skrzywdziła.

Rios pokręciła głową.

– Proszę posłuchać, dyrektorze, ja tylko robiłam swoje. Nie wiem, co się tam stało, a zwłaszcza co się stało ze mną, ale jestem z tego zadowolona. Ta zmiana ocaliła mi życie. Sprawiała, że jestem silniejsza. Proszę odesłać mnie z powrotem i pozwolić...

– Tego nie mogę zrobić – przerwał jej Stell.

– Czy w takim razie zatrzymacie mnie tu na dłużej? – zapytała gniewnie.

– Nie wiem, czy możemy – przyznał. – Ważniejsze jednak, że nie wiem, czy powinniśmy. Mam nadzieję, pani kapral, że uda nam się dojść do porozumienia. To niespotykana wcześniej sytuacja, ponieważ jest pani pierwszą osobą PP, która sama oddała się w nasze ręce.

– A co innego miałabym zrobić?

– Większość ludzi w pani sytuacji wybiera ucieczkę.

– Dlaczego? – zdziwiła się Rios. – Nie jestem przecież przestępcą. – Mimo bólu usiadła prosto. – Spędziłam dotąd całe życie, walcząc, nie uciekając. A teraz miałabym przestać? Poddać się? Tylko dlatego, że przeżyłam? Nie, nie sędzę.

Ku jej zaskoczeniu Stell się uśmiechnął.

– Ma pani rację. Pani talent czyni panią silniejszą. Jest dla pani... jak dodatkowe wyposażenie, z którym można stawić czoła innemu niebezpieczeństwu. Jeżeli wciąż chce pani służyć swojemu krajowi...

– Zawsze chciałam i nic się tu nie zmieniło – przerwała mu Rios.

– W takim razie – stwierdził Stell – być może znajdziemy jakiś sposób, by kontynuowała pani tę służbę.